

Clive Cussler
Jack Du Brul
Korsarz

Clive Cussler
Jack Du Brull
Korsarz

Prolog

Rok 1803. Amerykańska flota atakuje kryjówkę berberyjskich piratów w Zatoce Trypolisu

- Dobrze, że jest pan z nami - mruknął z roztargnieniem Lafayette. Myślał już o swoim nowym, tymczasowym domu. Dwa maszty „Intrepida” stały prosto, ale kilka sztagów zwisało luźno, a żagle ustawione do wiatru były pokryte solą i połatane. Choć pokład wyszorowano ługiem i pumeksem, odrażające wyziewy unosiły się z dębowych desek. Od smrodu Henry’emu łzawiły oczy. Okręt był uzbrojony tylko w cztery krótkie działa ładowane przez lufę. Mężczyźni biorący udział w akcji leżeli na pokładzie, gdzie się dało, każdy z muszkietem i szablą w zasięgu ręki. Większość wyglądała tak, jakby jeszcze nie doszła do siebie po pięciodniowym sztormie.

Henry uśmiechnął się szeroko do Decatura.

- Trudno dowodzić tym okrętem, sir.

- W istocie, ale jest mój. A o ile mi wiadomo, Lafayette, tobie w ciągu wszystkich lat służby jeszcze nie przypadła w udziale rola kapitana.

- To prawda - przyznał Lafayette i energicznie zasalutował - panie kapitanie.

Minęła kolejna noc, zanim wiatr wzmógł się na tyle, że „Intrepid” zdołał się zbliżyć do Trypolisu. Decatur i Lafayette patrzyli przez mosiężny teleskop, jak warowne miasto wyłania się wolno z pustyni. Wzdłuż wysokiego muru obronnego i w otworach strzelniczych w zamku paszy rozmieszczono ponad sto pięćdziesiąt dział. Nadmorski wał, nazywany falochronem, który biegł przez kotwicowisko, zasłaniał „Philadelfię” i widzieli tylko szczyty jej trzech masztów.

- I co myślisz? - spytał Henry’ego Decatur. Na czas tej operacji mianował go pierwszym oficerem. Stali ramię przy ramieniu za maltańskim pilotem.

Henry spojrzał na żagle i kilwater małego kecza. Oceniał, że płyną z prędkością czterech węzłów.

- Sądzę, że jeśli nie zwolnimy, to wejdziemy do portu na długo przed zachodem słońca.

- Mam kazać zrefować marsel i kliwer, kapitanie? - zapytał Salvador Catalano.

- Lepiej tak zrobimy. Księżyc będzie później świecił wystarczająco jasno.

Cienie się wydłużały, aż rozpląnęły się w mroku, i ostatnie promienie słońca zgasły za horyzontem na zachodzie. Kecz wpłynął do Wielkiej Syrty i zaczął się zbliżać do imponujących murów berberyjskiego miasta. Blask wschodzącego księżyca sprawiał, że kamienie falochronu, twierdzy i pałacu paszy lśniły upiornie, stanowiska dział na fortyfikacjach stwarzały nastrój grozy. Ponad murem wyrastał minaret. Mężczyźni na „Intrepidzie” usłyszeli dochodzące stamtąd wezwania na modlitwę tuż przed zachodem słońca. A na kotwicy dokładnie pod zamkiem stała „Philadelphia”. Wyglądało na to, że jest w dobrym stanie. Amerykanie zauważyli, że wyrzucone za burtę działa uratowano i ulokowano z powrotem w furtach.

Jej widok budził w Henrym Lafayettecie sprzeczne uczucia. Zachwycił się pięknym kształtem i wielkością fregaty i jednocześnie kipiał z gniewu na myśl, że trypolitańska bandera wisi nad jej rufą, a trzystu siedmiu członków załogi jest zakładnikami paszy. Niczego bardziej nie pragnął niż tego, by Decatur wydał rozkaz szturm na zamek i uwolnienia więźniów, ale wiedział, że to nie nastąpi. Komodor Preble, dowódca całej śródziemnomorskiej eskadry, stanowczo stwierdził, że nie zaryzykuje uwięzienia następnych Amerykanów przez berberyjskich piratów.

W porcie i wzdłuż falochronu cumowały tuziny statków handlowych z ozagłowaniem łaćńskim i najeżone działami okręty pirackie. Lafayette przestał liczyć po dwudziestu.

Ogarnął go strach.

Gdyby plan się nie powiódł, „Intrepid” nie wy dostałby się z powrotem z portu i wszyscy na pokładzie ponieśli by śmierć lub, co gorsza, staliby się niewolnikami.

Henry’emu zaschło nagle w ustach i niezliczone godziny ćwiczeń z kordem wydały się zupełnie niewystarczające. Podobnie jak dwa nędzne pistolety skałkowe nie do pary, oba kaliber 14,7 milimetra, które tkwiły za szarfą przewiazaną w pasie. Zerknął w dół na marynarzy ukrytych za nadburciami „Intrepida”. Uzbrojeni w topory, piki, szable i sztylety, wyglądali na równie krwiożerczych, jak arabscy piraci. Byli najlepszymi ludźmi na świecie, ochotnikami, i wiedział, że wykonają zadanie. Kadet chodził między nimi i upewniał się, że dowódcy drużyn mają zapalone lampy i przygotowane lonty nasyczone tranem.

Spojrzał znów na „Philadelphię”. Byli już na tyle blisko, że widzieli trzech wartowników z bułatami przy jej relingu. Ale przy tak słabym wietrze dopiero dwie godziny później znaleźli się w zasięgu głosu.

Catalano zawołał po arabsku:

- Ahoj, tam.

- Czego chcesz? - odkrzyknął jeden.

- Jestem SaWador Catalano - odrzekł maltański pilot zgodnie z planem, który ułożyli Decatur i Lafayette. - To jest statek „Mastico”.

Przy płynęliśmy tu kupić żywy inwentarz dla brytyjskiej bazy na Malcie, ale złapał nas sztorm. Urwała nam się kotwica, więc nie możemy jej użyć. Chciałbym przycumować na noc do waszego wspaniałego okrętu. Rano zajmiemy właściwe stanowisko w porcie i dokonamy napraw.

- Chwila nadeszła - szepnął Decatur do Henry’ego. - Jeśli się nie zgodzą, będziemy w tarapatkach.

- Zgodzą się. Niech pan spojrzy na to z ich punktu widzenia. Obawiałby się pan tego małego kecza?

- Nie. Pewnie nie.

Dowódca straży podrapał się w brodę i przyjrzał uważnie „Intrepidowi”. Potem krzyknął:

- Możecie przycumować, ale musicie odpłynąć o świcie.

- Dziękuję. Allah ma wyjątkowe miejsce dla ciebie w swoim sercu - zawołał w odpowiedzi

Catalano, po czym przeszedł na angielski i szepnął do dwóch oficerów: - Zgodzili się.

Lafayette stał u boku Decatura, gdy lekka bryza pchała wolno „Intrepida” ku burcie „Philadelphii”. Działa dużej fregaty wysunięto, czopy ochronne wyjęto z luf. Im bliżej byli, tym większe wydawały się ich wyloty. Gdyby piraci nabrali podejrzeń, salwa z tej odległości zamieniłaby kecz w podpałkę i rozerwała na strzępy jego osiemdziesięcioosobową załogę. Piraci stojący przy relingu fregaty byli dobre cztery metry powyżej pokładu „Intrepida”. Zaczęli mamrotać i wskazywać sobie kształty mężczyzn ukrytych za nadburciami kecza.

Okręty dzieliły trzy metry, kiedy jeden pirat krzyknął:

- Americanos!

- Niech pan każe swoim ludziom atakować! - zawołał Catalano.

- Nie ruszają się bez rozkazu dowódcy - odrzekł spokojnie Decatur. Powyżej berberyjscy piraci dobywali perskich mieczy, jeden sięgnął do garłacza przypasanego do pleców. Wrzask podniósł się, gdy tylko dębowe kadłuby się zetknęły, i Decatur krzyknął:

- Abordaż!

Henry Lafayette dotknął Biblii, którą zawsze miał przy sobie, i skoczył ku otwartej furcie armatniej. Jedną ręką chwycił się drewnianej krawędzi, drugą przytrzymał ciepłej lufy z brązu, wierzgnięciem przerzucił nogi przez lukę między działem a burtą okrętu i wylądował na stojąco, wyciągając ostrze z pochwy. W świetle samotnej lampy zwisającej z niskiego sufitu zobaczył dwóch piratów, którzy cofali się przed atakującymi marynarzami od innej furty armatniej. Jeden z piratów odwrócił się i na jego widok dobył bułata. Bose stopy korsarza zadudniły na pokładzie, gdy natarł na przeciwnika. W biegu wrzeszczał, co zawsze przerażało nieuzbrojone i niewyszkolone załogi statków handlowych.

Henry się nie uląkł. Choć był pewien, że sparaliżuje go strach, górę wzięła w nim wściekłość.

Pozwolił piratowi się zbliżyć, i gdy ten wziął zamach na wysokości biodra, by przeciąć go na pół, Henry dał krok naprzód i zatopił ostrze w jego piersi. Stał przeszła między żebrami rozpedzonego Araba i przebiła go na wylot. Ciężki bułat upadł z hałasem na pokład, kiedy pirat osunął się na Lafayette'a. Henry musiał oprzeć kolano o jego ciało, by wyciągnąć ostrze. Obrócił się szybko, gdy dostrzegł ruchomy cień, i schylił pod zataczającym łuk toporem wycelowanym w jego ramię. Zadał cios szablą, ostrze przecięło tkaninę, skórę i mięsień. Nie mógł uderzyć pod takim kątem, by rozplątać przeciwnika, ale ilość krwi, która trysnęła z rany, świadczyła o tym, że pirat został wyłączony z walki.

Na pokładzie artyleryjskim rozpętało się piekło. Ciemne postacie siekały i rąbały się nawzajem z zapamiętaniem. Szczęk stali przeplatał się z okrzykami bólu, gdy ostrze dosięgało skóry. W powietrzu unosił się zapach prochu strzelniczego, ale Henry czuł też miedzianą woń krwi.

Ruszył do boju. Pokład artyleryjski z niskim sufitem nie był idealnym polem walki na szable i piki, ale Amerykanie dawali z siebie wszystko. Jeden z nich padł po ciosie w plecy. Henry zauważył, że korsarz, który go ugodził, góruje wzrostem nad innymi, turbanem niemal zawadza o belki stropowe. Zamachnął się bułatem na Henry'ego, i kiedy ten sparował cios, całe ramię zdrętwiało mu od siły uderzenia. Arab znów zaatakował i Henry z najwyższym trudem zdołał unieść ostrze na tyle wysoko, by odbić opadający miecz. Zatoczył się do tyłu i wróg wykorzystał swoją przewagę. Ciął wściekle i spychał Henry'ego do defensywy. Decatur podkreślał podczas planowania akcji, że trzeba ją przeprowadzić jak najciszej, gdyż w porcie stacjonuje potężna piracka armada. Ale Lafayette szybko tracił siły i nie miał innego wyjścia niż wyciągnąć pistolet zza szarfy wokół pasa. Nacisnął spust, zanim dobrze wycelował. Mała ilość prochu w panewce rozbłysła i gdy zajął się główny ładunek, broń wypaliła z hukiem. Kula kaliber 14,7 milimetra trafiła pirata w pierś.

Postrzał powaliłby normalnego człowieka na pokład, zanim ten zdążyłby mrugnąć, ale olbrzym nadal nacierał. Henry miał zaledwie moment na uniesienie szabli w obronie przed opadającym bułatem. Ostrze uratowało go od straty ramienia, ale przewrócił się od ciosu. Upadł pod jedną z osiemnastofuntówek „Philadelphii”. Choć wciąż brzmiały mu w uszach rozkazy Decatura, żeby zachować ciszę, wyciągnął zapaloną lampę olejną z sakwy przy pasie i przytknął płomień do otworu zapałowego w brązowym dziale. Poczł zapach płonącego prochu, ale skwierczenie ledwo było słycać w hałasie walki, która trwała na okręcie. Zasłaniał ciałem wielką armatę przed napastnikiem z przekonaniem, że dzięki wieloletniemu doświadczeniu w obsłudze dział okrętowych wybierze najlepszy moment.

Stał, jakby pogodził się z nieuniknionym, i pirat zrozumiał, że jego przeciwnik uznał się za pokonanego. Uniósł saraceński miecz i zaczął go opuszczać, spodziewając się, że ostrze natrafi na

opór, gdy będzie przecinało ciało i kości. Wtedy Amerykanin uskoczył w bok. Było już za późno, by Arab zmienił kierunek uderzenia lub zauważył dym wydobywający się z działa. Huknęło moment później w kłębach siarkowego dymu. Grube konopne liny ograniczały odrzut, by działo nie potoczyło się po pokładzie, ale były na tyle luźne, że mogło się kawałek cofnąć. Tył armaty trafił pirata prosto w krocze, roztrzaskał mu miednicę, zmiążdżył biodra i połamał kości udowe. Jego bezwładne ciało zostało rzucone na belkę i upadło do tyłu na pokład zgięte w pół.

Henry wyjrzał przez furtę armatnią. Ośmiokilogramowa kula zrobiła dziurę w fortecy po drugiej stronie portu i lawina gruzu stoczyła się w dół.

- Dwa jednym strzałem. Nieźle, mon ami Henri, całkiem nieźle - pochwalił wielki bosman John Jackson.

- Jeśli kapitan Decatur zapyta, to jeden z tych szczurów wypalił z działa, prawda?

- To właśnie widziałem, panie Lafayette.

Wystrzał armatni zadziałał jak dźwięk z pistoletu sygnalizującego start wyścigu. Arabscy piraci zaniechali obrony i rzucili się do furt armatnich. Skakali do spokojnej wody w porcie. Ci, którzy wspinali się po drabinach na główny pokład, musieli się natknąć na Decatura i jego ludzi.

- Do dzieła.

Mężczyźni wrócili do prawej burty okrętu i marynarze czekający w pogotowiu na pokładzie „Intrepida” zaczęli im podawać materiały palne. Henry Lafayette poprowadził na dół Jacksona i sześciu innych niosących baryłki prochu strzelniczego. Zeszli po drabinie i minęli kwatery załogi z wiszącymi wciąż hamakami, lecz ogołoczone ze wszystkiego innego. Opuścili się na dolny pokład, najniższy na fregacie, i weszli do jednej z ładowni. Większość zapasów zabrano, ale pozostało jeszcze dość, by mogli podpalić okręt.

Uwijali się. Henry zdecydował, gdzie mają ułożyć lonty, i kiedy skończyli, zapalił je swoją lampą olejną. Płomienie rosły dużo szybciej, niż się spodziewali. Ładownię momentalnie wypełnił cuchnący dym. Zaczęli się wycofywać, zasłaniając rękawami usta, by móc oddychać. Sufit nad nimi nagle stanął w ogniu z hukiem jak wystrzał armatni. John Jackson upadł i zostałby przygnieciony przez płonące belki, gdyby Henry nie złapał go za nogę i nie odciągnął po szorstkich deskach. Pomógł bosmanowi wstać i ruszyli biegiem z resztą drużyny tuż za plecami. Płonące kawałki drewna wciąż spadały z góry i musieli przez nie przeskakiwać lub nurkować pod nimi.

Gdy dotarli do drabiny, Henry się odwrócił i przynaglił swoich ludzi do wspinaczki.

- Z życiem, do diabła, bo zginiemy tutaj.

Wdrapał się za Jacksonem na szczeble, kiedy ogień buchnął wzdłuż korytarza. Henry wbił bark w siedzenie bosmana i dźwignął z całej siły. Wypadli z włazu i przetoczyli się na bok, gdy płomienie wystrzeliły z ładowni, dosięgły sufitu i rozprzestrzeniły się jak sklepienie piekła.

Otaczało ich morze ognia. Ściany, pokład i sufit płonęły. Henry’emu łzawiły oczy od gęstego dymu. On i Jackson pobiegli na ślepo, znaleźli następną drabinę i wydostali się na pokład artyleryjski. Dymiło się z furt armatnich, ale świeżego powietrza było dość, by pierwszy raz od pięciu minut mogli oddychać bez kasłania.

Słaba eksplozja zatrzęsła „Philadelfią” i Henry wpadł na Johna Jacksona.

- Chodźmy, chłopcze.

Wygramolili się przez jedną z furt. Marynarze na „Intrepidzie” pomogli im przejść na mały kecz. Poklepali Henry’ego po plecach kilka razy. Myślał, że gratulują mu dobrze wykonanego zadania, ale w rzeczywistości gasili jego tłący się arabski strój.

Nad nimi Stephen Decatur stał przy nadburciu z jedną nogą na relingu.

- Kapitanie! - krzyknął Lafayette - niższe pokłady są puste.

- Doskonale, poruczniku. - Zaczekał, aż paru jego ludzi zejdzie po linach, i opuścił się na swój okręt.

Na „Philadelphii” szalał pożar. Płomienie strzelały z furt armatnich i zaczynały trawić takielunek. Wkrótce od żaru mogły się zapalić ładunki prochowe w działach, z których osiem celowało prosto w „Intrepida”.

Linę mocującą dziób kecza do fregaty udało się odczepić dość łatwo, ale cuma rufowa się zablokowała. Henry odepchnął marynarzy na bok i wyciągnął szablę. Lina miała dwa centymetry grubości, a ostrze stąpiło się podczas walki, jednak przeciął cumę jednym ciosem.

Ogień pochłaniał tyle powietrza, że nie wystarczało go do wypełnienia żagli kecza, i kliwer był niebezpiecznie blisko płonącego takielunku „Philadelphii”. Załoga usiłowała odwiosłować od palącej się fregaty, ale gdy tylko się oddalili, żar wessał ich z powrotem. Strzępy płonącego grota „Philadelphii” spadały z masztu jak confetti. Jednemu z mężczyzn zapaliły się włosy.

- Henry! - krzyknął Decatur - zwoźnij łódź i odholuj nas stąd.

- Tak jest.

Henry, Jackson i czterech innych spuściło szalupę na wodę. Przywiązali linę do dziobu „Intrepida” i odpłynęli od kecza. Gdy lina się naprężyła, pociągnęli wiosła ze wszystkich sił. Kiedy je wynurzyli i przygotowali do następnego ruchu, zdążyli stracić połowę pokonanego dystansu z powodu wiatru wywołanego przez pożar.

- Ciągnijcie, psie syny! - ryknął Henry. - Ciągnijcie!

Starali się. Zmagali się uparcie z ciężarem sześćdziesięciu czterech ton i potężnym ssaniem ognia. Z wysiłku trzeszczały im kręgosłupy i nabrzmiewały żyły na szyjach. Holowali swój okręt z załogą, zwiększając odległość od fregaty, dopóki Decaturowi nie udało się postawić żagli, które wydał lekki wiatr wiejący teraz od pustyni. Nagle zobaczyli błysk wysoko na murze zamku. Moment później rozległ się huk działa. Kula wylądowała daleko za keczem i łodzią, ale nadleciało tuzin następnych. Wodę dziurawiły pociski z broni ręcznej strażników, którzy biegli po falochronie.

Na pokładzie „Intrepida” ludzie przy wiosłach dawali z siebie wszystko, podczas gdy za nimi „Philadelphia” nagle się rozświetliła, kiedy zajęły się resztki jej żagli. Przez dwadzieścia pełnych napięcia minut mężczyźni płynęli pod gęstym ostrzałem. Jedna kula przeszła przez grotbramsel kecza, ale poza tym okręt nie ucierpiał. Ogień z broni ręcznej ucichł pierwszy, a potem znaleźli się poza zasięgiem dział paszy. Wyczerpani marynarze osuwali się jeden na drugiego, śmiali i śpiewali. Za ich plecami mury twierdzy oświetlał chybotliwy blask pożaru na fregacie.

Henry podpłynął szalupą pod żurawik.

- Dobrze się spisałeś, mój przyjacielu. - Decatur się uśmiechał, łuna za rufą odbijała się w jego twarzy.

Potwornie zmęczony i zasapany, Henry tylko zasalutował słabo.

Wszyscy spojrzeli nagle w kierunku portu, kiedy płonące maszty „Philadelphii” przechyliły się wolno i opadły na lewą burtę wśród snopów iskier. A potem, w ostatnim salucie, wypaliły działa fregaty. Podczas głośniejszej kanonady część kul wylądowała w wodzie, inne trafiły w mury zamku.

Mężczyźni ryknęli na ten akt jej buntu przeciwko berberyjskim piratom.

- Co dalej, kapitanie? - zapytał Lafayette.

Decatur patrzył na morze i nie przeniósł wzroku na Henry'ego.

- To się nie skończy dzisiejszej nocy. Rozpoznałem jeden z korsarskich okrętów w porcie. Należy do Sulejmana Al-Dżamy. Nazywa się „Saqr”, czyli sokół. Możesz postawić swój ostatni grosz na to, że ten pirat szykuje się teraz do rozprawy z nami. Pasza nie zemści się na naszych pojmanyh marynarzach za to, co zrobiliśmy, bo są dla niego zbyt cenni, ale Al-Dżama nie puści nam tego płazem.

- Był kiedyś duchownym, prawda?

- Jeszcze kilka lat temu - przytaknął Decatur. - Imamem, jak to nazywają muzułmanie. Kimś w rodzaju księdza. Ale tak bardzo nienawidził chrześcijan, że uznał, iż kazania nie wystarczą, i chwycił za broń, by napadać na wszystkie statki, które nie płyną pod muzułmańską banderą.

- Słyszałem, że nie bierze jeńców.

- Ja też tak słyszałem. Pasza z pewnością nie jest z tego zbyt zadowolony, bo można za nich dostać okup, ale ma niewielką władzę nad Al-Dżamą. Pasza zawarł pakt z diabłem, kiedy pozwolił Al-Dżamie wyruszać czasami z Trypolisu. Podobno nie brakuje mu ochotników do udziału w korsarskich wyprawach. Jego ludzie są mu bezgranicznie oddani.

- Zwykły berberyjski pirat postrzega to, co robi, jako profesję, sposób zarabiania na życie. Tak jest od pokoleń. Widziałeś, jak uciekali z „Philadelphii”, kiedy wdarliśmy się na pokład. Nie zamierzali polec w potyczce, której nie mogli wygrać.

- Ale zwolennicy Al-Dżamy są zupełnie inni. To dla nich powinność, święta wojna. Nazywają ją dżihad. Walczą do ostatniej kropli krwi, jeśli mogą zabić jednego niewiernego więcej.

Henry pomyślał o wielkim piracie, który nacierał na niego nieustępliwie mimo rany postrzałowej. Zastanawiał się, czy był to jeden ze zwolenników Al-Dżamy. Nie patrzył Arabowi w oczy, ale wyczuwał w nim szaleńca, dla którego zabicie Amerykanina było ważniejsze niż przeszkodzenie w podpaleniu „Philadelphii”.

- Jak pan sądzi, dlaczego nas nienawidzą? - zapytał. Decatur spojrzał na niego surowo.

- Poruczniku Lafayette, jeszcze nie słyszałem bardziej niedorzecznego pytania. - Wziął oddech. - Ale powiem ci, co myślę. Nienawidzą nas, bo istniejemy. Nienawidzą nas, bo różnimy się od nich. Ale, co najważniejsze, nienawidzą nas, bo uważają, że mają do tego prawo.

Henry milczał przez chwilę i starał się przetrwać odpowiedź Decatura, ale takie rozumowanie nie mieściło mu się w głowie. Zabił dziś człowieka, a jednak nie czuł do niego nienawiści. Wykonywał po prostu rozkazy. I basta. To nie była sprawa osobista i nie pojmował, jak ktoś mógł ją tak traktować.

- Jakie rozkazy, kapitanie? - spytał w końcu.

- „Intrepid” nie jest przeciwnikiem dla „Saqra”, zwłaszcza tak zatłoczony jak teraz. Spotkamy się z „Siren”, zgodnie z planem, ale nie wrócimy na Maltę w konwoju. Chciałbym, żebyś został na „Siren” i pokazał Sulejmanowi Al-Dżamie, że amerykańska marynarka wojenna nie boi się jego i jemu podobnych. Przekaż kapitanowi Stewartowi, że nie wolno mu dostać batów.

Henry nie mógł powstrzymać uśmiechu. Od dwóch lat nie brali udziału w akcji, z wyjątkiem opanowania „Intripida” i teraz podpalenia „Philadelphii”.

- Jeśli zdołamy go pojmać lub zabić - powiedział - podniesie to znacznie nasze morale.

- I poważnie obniży ich.

Godzinę po świcie obserwator wysoko na szczycie grotmasztu „Siren” zawołał w dół:

- Żagiel! Żagiel z prawej burty! Pięć rumbów od dziobu.

Henry Lafayette i porucznik Charles Stewart, kapitan okrętu, czekali na to od wschodu słońca.

- Do diaska, w samą porę - powiedział Stewart. Zaledwie dwudziestopięcioletni Stewart otrzymał patent oficerski miesiąc przed oficjalnym powołaniem do życia marynarki wojennej przez Kongres. Dorastał razem ze Stephenem Decaturem i podobnie jak on był wschodzącą gwiazdą sił morskich. Na okręcie krążyły plotki, że awansuje na kapitana, zanim flota powróci do Stanów Zjednoczonych. Był szczupły, miał pociągłą twarz i szeroko rozstawione, głęboko osadzone oczy. Utrzymywał surową dyscyplinę, ale postępował sprawiedliwie, i w konsekwencji każdy okręt, na którym służył, był uważany przez załogę za szczęśliwy.

Piasek w klepsydrze przesypywał się przez dziesięć minut, zanim obserwator znów zawołał:

- Płynie równoległe do wybrzeża. Stewart chrząknął.

- Zgnilek musi podejrzewać, że tu jesteśmy. Próbuje nas okrążyć, żeby puścić się w pogoń za „Intrepidem”. - Odwrócił się do bosmana Jacksona. - Pełne żagle.

Jackson ryknął rozkaz w górę do marynarzy na takielunku, tuzin żagli rozwinęło się z rei i wydeła je orzeźwiająca bryza. Fokmaszt i grotmaszt zaskrzypiały, gdy dwustuczterdziestotonowy okręt począł sunąć po Morzu Śródziemnym.

Stewart zerknął za burtę na spienioną wodę przepływającą wzdłuż dębowego kadłuba. Oceniał ich prędkość na dziesięć węzłów i wiedział, że osiągną piętnaście przy tej pogodzie.

- Zauważył nas - krzyknął obserwator. - Stawia więcej żagli.

- Żaden okręt z ożaglowaniem łacińskim na tych wodach nie jest szybszy od naszego - powiedział Henry.

- Tak, ale tamten ma o połowę mniejsze zanurzenie niż my. Jeśli zechce, może pozostać blisko brzegu poza zasięgiem naszych dział.

- Kiedy rozmawiałem z kapitanem Decaturem, odniosłem wrażenie, że ten Sulejman Al-Dżama nie boi się walki.

- Myślisz, że stawi nam czoło?

- Decatur tak sądzi.

- To dobrze.

Przez następne czternaście godzin „Siren” uparcie ścigała „Saqra”. Amerykański bryg miał większą powierzchnię żagli, toteż był o kilka węzłów szybszy od okrętu Al-Dżamy, ale arabski kapitan znał te wody jak nikt inny. Od czasu do czasu zwabiał „Siren” niebezpiecznie blisko płycizn i zmuszał ją do przerywania pościgu i poszukiwania głębszej wody. „Saqr” płynął też z silniejszym wiatrem, który dał blisko lądu od pustyni za wysokimi klifami ciągnącymi się wzdłuż wybrzeża.

Dystans między żaglowcami znacznie się zmniejszył, gdy zaczęło zachodzić słońce i bryza osłabła.

- Dogonimy go za godzinę - powiedział Stewart, przyjmując szklanekę letniej wody od swojego stewarda.

Spojrzał na odkryty pokład artyleryjski. Kanonierzy stali przy działach z wyrazem wyczekiwania w oczach. Kule i ładunki z prochem leżały pod ręką, choć w małych ilościach, na wypadek gdyby wróg trafił w działo. Dziesięcioletni chłopcy - „urwisy prochowe” - byli w pogotowiu, żeby biegać do arsenału po amunicję. Marynarze wysoko na takielunku czuwali, by zmieniać żagle tak, jak będą dyktowały losy bitwy.

A dwaj snajperzy z piechoty morskiej wspinali się na szczyty fokmasztu i grotmasztu. Byli braćmi z Appalachii i nikt z załogi nie rozumiał, co mówili, ale obaj potrafili ładować i strzelać cztery razy

na minutę i zawsze trafiali w środek tarczy.

Dwa białe pióropusze przesłoniły nagle rufówkę „Saqra” i moment później rozległ się huk wystrzałów. Jedna kula wylądowała pięćdziesiąt metrów na lewo od dziobu „Intrepida”, druga daleko za rufą.

Stewart i Lafayette spojrzeli na siebie. Henry wyraził głośno ich wspólny niepokój:

- Mają na rufie działa długolufowe. O dwukrotnie większym zasięgu niż nasze. Co najmniej.

- Panie Jackson, ster dziesięć stopni w lewo - rozkazał Stewart, żeby utrudnić zadanie kanonierom „Saqra”. - Stały rozkaz wykonywania takiego manewru po każdym strzale. Kierunek na najbliższe padające kule.

- A jakie rozkazy, jeśli nas trafią? - zapytał wielki bosman, zanim zdążył się powstrzymać.

Stewart mógł kazać wychłostać Jacksona za taką bezczelność. Zamiast tego odrzekł:

- Potrąćcie sobie dzienny żołąd, bosmanie, i miejcie nadzieję, że ten okręt jest więcej wart niż wasze pobory.

Wiatr blisko brzegu nagle zamarł. Wielkie trójkątne żagle „Saqra” zaczęły łopotać bezużytecznie, podczas gdy te na masztach „Intrepida” pozostały wydęte. Podpływali do pirackiego okrętu z tyłu pod niewielkim kątem, żeby uniknąć ostrzału z jego dział rufowych. Z odległości stu pięćdziesięciu metrów trzy z dział „Saqra” wypaliły i jego burtę spowił dym. Dwie kule poszybowały za wysoko, trzecia uderzyła w kadłub „Siren”, ale go nie przebiła.

Stewart milczał, zmniejszał dystans i zwiększał szansę celnego ataku z każdym przebytym metrem. Widział, że jeszcze nie namierzyło ich żadne z pozostałych dział, więc czekał, aż Arabowie wysuną te, które właśnie przeczyścili i załadowali.

- Ognia!

Cztery działa zagrzmiały, huk uderzył Henry’ego w pierś niczym kopnięcie. Dziób zasnuł dym i rozszedł się wzdłuż kadłuba atakującego „Intrepida”. Piechurzy morscy na szczytach masztów za pomocą muszkietów kładli trupem piratów na pokładzie „Saqra”, którzy myśleli, że są niewidoczni za relingami okrętu.

Dwa następne działa huknęły, zanim ktokolwiek zdążył zobaczyć, czy pierwsza salwa była celna. „Saqr” odpowiedział doskonale wymierzonym ogniem z całej burty. Jedna kula trafiła w krótkie działo z zapalonym lontem, które się przewróciło na bok w chwili wystrzału. Pocisk z jego lufy zabił dwóch kanonierów i ranił trzeciego. Worki z prochem stanęły w płomieniach. Inna kula z „Saqra” roztrzaskała grotmaszt „Intrepida”, choć go nie ścięła. Kanonada odłupała od nadburci ostre drzazgi zdolne przebić człowieka na wylot.

- Panie Jackson! - krzyknął Stewart przez bitewną wrzawę - ściągnąć część żagli z grotmasztu, zanim całkiem go stracimy. Panie Lafayette, na dziób. Ugasić pożar i zorientować się, co z działami.

- Tak jest, sir. - Henry zsalutował i popędził przez pokład dziurawiony pociskami z pirackich muszkietów.

Zobaczył, że berberyjski okręt płonie. „Intrepid” nie pozostawał dłużny „Saqrowi”. Jakaś postać wykrzykiwała rozkazy, ale wbrew okolicznościom spokojnie, bez paniki. Mężczyzna w czystych białych szatach miał ciemną brodę z dwoma siwymi pasmami biegnącymi w dół od kącików ust i duży nos, zakrzywiony tak mocno, że niemal dotykał górnej wargi.

Sulejman Al-Dżama musiał wyczuć, że jest obserwowany, bo spojrzął na amerykański okręt. Z odległości około stu metrów Henry poczuł emanującą z Araba nienawiść. Dym towarzyszący kolejnej salwie zasłonił na chwilę kapitana piratów i Henry musiał się schylić, gdy reling za nim się

rozprysnął. Kiedy znów podniósł wzrok, Al-Dżama nadal patrzył na niego.

Henry uciekł spojrzeniem w bok.

Dotarł na dziób i szybko zorganizował brygadę strażacką z wiadrami do stłumienia ognia. Trafione działo zostało zniszczone, ale sąsiednie ocalało. Henry obsadził je osobiście. Kilkunastoletni kadet dowodzący tym odcinkiem pokładu artyleryjskiego był tak poparzony, że trudno go było rozpoznać.

Wycelował naładowane działo i przytknął do niego tłący się lont wolnopalny. Działo huknęło i w tej samej chwili cofnęło się na szynach. Lafayette kazał ludziom przeczyścić lufę, zanim sprawdził uszkodzenia „Saqra”. Kula zrobiła wyrwę obok jednej z furt armatnich i przez dziurę w drewnie Henry zobaczył, jak leżący ranni wiją się z bólu.

- Ładuj!

Z niewielkiej odległości dwa okręty wymieniały ciosy niczym zawodowi bokserzy, którzy nie wiedzą, kiedy przestać. Ściemniało się, ale żaglowce były tak blisko siebie, że załogi mogły celować w blasku wybuchających i gasnących pożarów.

Ostrzał z „Saqra” zaczął zamierać. Amerykanie niszczyli jego działa jedno po drugim. Kiedy trypolitański okręt nie odpowiedział ogniem przez minutę, Stewart rozkazał, by „Siren” podeszła do pirackiego żaglowca.

- Drużyny abordażowe, przygotować się.

Marynarze chwycili haki, żeby szybko szepić okręty, inni uzbroili się w topory, piki i szable. Henry sprawdził panewki dwóch pistoletów za pasem i wyciągnął kord.

Tnąc dziobem spienione fale, „Siren” pruća w kierunku „Saqra” jak szarżujący byk. Kiedy żaglowce dzieliły niespełna cztery metry, rzucono haki abordażowe. Gdy tylko kadłuby się zetknęły, Henry przeskoczył na nieprzyjacielski okręt.

Ledwo dotknął stopami pokładu, nastąpiła seria eksplozji na całej długości pirackiego żaglowca. Jego działa wcale nie zostały uciszone. Korsarze udawali nieuzbrojonych, by zwabić „Siren” do siebie. Dwanaście kul armatnich posiekało amerykański bryg i rząd mężczyzn przy relingu. Stewart musiał ostro odbić. Marynarze rozpaczliwie rąbali liny haków abordażowych, żeby się oswobodzić.

Patrząc na rzeź swoich towarzyszy, Henry cierpiał tak, jakby rozrywano jego własne ciało. Ale nie miał czasu przeskoczyć z powrotem na „Siren”, zanim oddaliła się na pięć metrów od pirackiego okrętu. Znalazł się w pułapce. Pociski z muszkietów piechurów morskich zaświstały mu nad głową.

Arabowie przy działach nie zauważyli, że jest na pokładzie „Saqra”. Mógł jedynie skoczyć do morza i modlić się, by starczyło mu sił na dopłynięcie do odległego brzegu. Zaczął się skradać do przeciwnego relingu i prawie tam dotarł, kiedy nagle wyrosła nad nim jakaś postać.

Rzucił się instynktownie do ataku, zanim mężczyzna pojawił w pełni, co się dzieje. Henry wyciągnął lewą ręką jeden z pistoletów i zdążył strzelić, nim uderzył ramieniem w pierś pirata.

Gdy wypadali za burtę, rozpoznał charakterystyczne siwe pasma w brodzie Araba: Sulejman Al-Dżama.

Wylądowali w ciepłej wodzie spleceni razem. Henry wynurzył się i zobaczył, że Al-Dżama jest obok niego i łapie gwałtownie oddech. Miotał się, ale w dziwny sposób. Henry dostrzegł ciemną plamę na białej szacie. Kula z jego pistoletu ugodziła kapitana w staw barkowy i nie mógł podnieść ręki.

Henry spojrzał szybko na okręty. „Saqr” był już oddalony o piętnaście metrów i znów wymieniał salwy z burty z „Siren”. Nikt nie usłyszałby wołania Henry’ego, więc dał sobie z tym spokój.

Al-Dżama miał coraz większe trudności z utrzymaniem głowy nad powierzchnią. Wciąż nie mógł nabrać powietrza do płuc i ciężkie szaty ciągnęły go w dół. Henry przez całe życie dobrze pływał i widział wyraźnie, że Arab nie miał w tym wprawy. Jego głowa zniknęła na chwilę pod wodą, po czym wyłonił się, plując. Ale ani razu nie wezwał pomocy.

Znów się zanurzył, tym razem na dłużej, i kiedy wrócił na powierzchnię, ledwo mógł utrzymać usta nad wodą. Henry zrzucił ciężkie buty i rozciął swoim szkockim sztyletem szatę Al-Dżamy. Strój uniosły fale, ale Al-Dżama nie przetrwałby ani minuty dłużej. Od brzegu dzieliło ich co najmniej pięć kilometrów i Henry Lafayette nie wiedział, czy w ogóle zdoła tam dotrzeć, a co dopiero holując pirata, ale życie Sulejmana Al-Dżamy było teraz w jego rękach i miał obowiązek zrobić, co w jego mocy, by go uratować.

Otoczył ramieniem nagą pierś Al-Dżamy. Kapitan odepchnął go rozpaczliwymi ruchami. Henry powiedział:

- Z chwilą, gdy wypadliśmy za burtę, przestałeś być moim wrogiem, ale przysięgam na Boga, że jeśli będziesz ze mną walczył, pozwolę ci utonąć.

- Wolałbym - odparł Sulejman po angielsku z silnym obcym akcentem.

- Jak chcesz. - Po tych słowach Henry wyciągnął drugi pistolet i zdzielił Al-Dżamę w skroń. Chwycił nieprzytomnego mężczyznę pod pachy i zaczął płynąć do brzegu.

1.

Waszyngton

St. Julien Perlmutter przemieścił swoje cielsko na tylnym siedzeniu rolls--royce'a silver dawn z roku 1955. Wziął wąski wysoki kieliszek ze składanego stolika przed sobą, pociągnął mały łyk szampana z dobrego rocznika i wrócił do lektury. Obok szampana i talerza tartinek leżały fotokopie korespondencji admirała Charlesa Stewarta z okresu jego niewiarygodnej kariery. Stewart służył wszystkim prezydentom od Johna Adamsa do Abrahama Lincolna i w nagrodę za swoje zasługi piastował więcej dowódczych stanowisk niż jakikolwiek amerykański oficer. Oryginały listów spoczywały bezpiecznie w bagażniku rollsa.

Perlmutter, zapewne najwybitniejszy historyk morski na świecie, ubolewał nad faktem, że jakiś filister poddał korespondencję niszczącemu działaniu fotokopiarki - papier został lekko uszkodzony i atrament trochę wyblakł - ale nie aż tak bardzo, by nie skorzystać, skoro i tak szkoda została już dokonana, i zaczął czytać kopie, gdy tylko wyruszył w podróż powrotną z Cherry Hills w New Jersey. Szukał tej kolekcji od lat i musiał użyć swojego niezwykłego uroku osobistego oraz wystawić czek na sporą sumę, aby listy nie trafiły do rządowego archiwum w jakimś nieuczęszczanym miejscu.

Gdyby okazały się nieciekawe, zamierzał zatrzymać kopie do wglądu, a oryginały ofiarować, żeby mieć podstawę do odpisu od podatku.

Zerknął przez okno. Na trasie w kierunku stolicy panował potworny tłok, jak zwykle, ale Hugo Mulholland, jego długoletni szofer i asystent, świetnie sobie radził. Rolls sunął autostradą międzystanową 1-95, jakby był jedynym samochodem na drodze.

Zbiór dziedziczyły kolejne pokolenia Stewartów, ale gałąź rodziny, do której obecnie należał, wymierała. Jedyne dziecko Mary Stewart Kilpatrick, której szeregowy dom Perlmutter właśnie opuścił, nie interesowało się kolekcją, a jej wnuk cierpiał na autyzm. St. Julien nie żałował wydanych pieniędzy, gdyż wiedział, że zostaną przeznaczone na pomoc dla chłopca.

Czytał teraz pismo do sekretarza wojny, Joela Robertsa Poinsetta, z okresu, kiedy Stewart pierwszy raz dowodził Filadelfijską Stoczną Marynarki Wojennej w latach 1838-1841. Treść nie była pasjonująca: spis potrzebnego zaopatrzenia, informacje o postępach w naprawie jakiejś fregaty, uwagi na temat jakości otrzymanych żagli. Z listu jasno wynikało, że choć Stewart jest kompetentny, wolałby wrócić na okręt, niż nadzorować ten obiekt. Perlmutter odłożył pismo na bok, wsunął tartinkę do ust i popił następnym łykiem szampana. Przejrzał część korespondencji i wybrał list wysłany do Stewarta przez pewnego bosmana, który służył pod jego rozkazami podczas wojen berberyjskich. Słowa były ledwo czytelne i autor, niejaki John Jackson, nie miał wykształcenia. Wspominał swój udział w akcji podpalenia „Philadelphii” i w późniejszej bitwie morskiej z pirackim okrętem o nazwie „Saqr”.

St. Julien dobrze znał te wydarzenia. Czytał relację kapitana Decatura o spaleniu amerykańskiej fregaty, choć nie natrafił na inny opis walki z „Saqrem” niż raport Stewarta dla Departamentu Wojny.

Przy lekturze listu St. Julien niemal czuł zapach dymu z dział i słyszał krzyki, gdy „Saqr” zwabił

do siebie „Siren”, a potem z zaskoczenia oddał do niej salwę z całej burty. Jackson pytał listownie admirała o los zastępcy dowódcy brygu, Henry’ego Lafayette’a. Perlmutter pamiętał, że ten młody porucznik przeskoczył na pokład trypolitańskiego żaglowca tuż przed kanonadą i przypuszczalnie poległ, gdyż nigdy nie zażądano za niego okupu.

Czytał dalej z rosnącym zaciekawieniem, kiedy uświadomił sobie, że się mylił. Jackson widział, jak Lafayette walczył z kapitanem „Saqra” i obaj wypadli za lewą burtę. „Chłopak wpadł do morza (przez samo „ż”) z tamtym szatanem Sulejmanem Al-Dżamą”.

Nazwisko zelektryzowało Perlmuttera. Nie zaskoczył go kontekst historyczny - ledwo sobie przypominał, jak się nazywał kapitan „Saqra”. Zaintrygowała go współczesna inkarnacja nazwiska: Sulejman Al-Dżama to był nom de guerre terrorysty poszukiwanego niemal tak samo jak Osama bin Laden.

Współczesny Al-Dżama wystąpił w kilku nagraniach wideo z egzekucji i stał się duchową inspiracją dla niezliczonych zamachowców-samobójców na Bliskim Wschodzie, w Pakistanie i Afganistanie. Jego szczytowym osiągnięciem było dowodzenie atakiem na odległą pakistańską placówkę wojskową, gdzie zginęło ponad stu żołnierzy.

St. Julien sprawdził, czy Stewart odpisał i zachował kopię, jak miał w zwyczaju. Owszem, adresatem następnego listu okazał się John Jackson. Perlmutter zapoznał się szybko z treścią, która tak go zdumiała, że przeczytał list jeszcze raz wolniej. Rozparł się wygodnie, aż skóra na siedzeniu zaskrzypiała pod jego ciężarem. Zastanowił się, czy są jakieś współczesne implikacje tego, czego się właśnie dowiedział, i doszedł do wniosku, że chyba nie.

Już miał zacząć studiować kolejny list, gdy rozważył to ponownie. A gdyby rząd mógł wykorzystać te informacje? Co one by im dały? Najprawdopodobniej nic, ale uznał, że nie jemu o tym decydować.

Zwykle, kiedy natrafiał na coś interesującego podczas swoich dociekań, przekazywał to swojemu bliskiemu przyjacielowi Dirkowi Pittowi, dyrektorowi Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, ale nie był do końca pewien, czy taka sprawa leży w gestii NUMA. Perlmutter, stary waszyngtoński wyga, miał kontakty w całym mieście. Wiedział, do kogo zadzwonić.

Telefon w samochodzie miał bakelitową słuchawkę i obrotową tarczę. Perlmutter nie uznawał komórek. Jego grube palce ledwo się mieściły w małych otworach tarczy, ale zdołał wybrać numer.

- Halo - odebrała kobieta.

St. Julien zadzwonił na jej bezpośredni numer, żeby ominąć armię asystentek.

- Cześć, Christie, tu St. Julien Perlmutter.

- St. Julien! - wykrzyknęła Christie Valero. - Nie widzieliśmy się całe wieki. Co u ciebie?

Perlmutter pogładził się po wielkim brzuchu.

- Znasz mnie. Marnieję.

- Akurat. - Roześmiała się. - Przyrządzasz coquilles St. Jacques mojej matki, odkąd wycygałeś ode mnie jej tajny przepis?

Oprócz tego, że posiadał rozległą wiedzę na temat statków i żeglugi, Perlmutter był znanym smakoszem i bon vivantem.

- Regularnie - zapewnił ją. - Zadzwoń, kiedy będziesz miała ochotę, to podejmę cię tym specjałem.

- Chętnie skorzystam. Wiesz, że moje umiejętności kulinarne ograniczają się do instrukcji w rodzaju: „Zawartość opakowania przełożyć do naczynia żaroodpornego i podgrzać w kuchence

mikrofalowej”. Dzwonisz w celach towarzyskich, czy masz jakąś sprawę? Jestem trochę zajęta. Konferencja jest dopiero za kilka miesięcy, ale Smoczyca nas zamęcza.

- Nieładnie jest tak o niej mówić - upomniał łagodnie.

- Żartujesz? Fiona to uwielbia.

- Wierzę ci na słowo.

- Więc co się stało?

- Właśnie natknąłem się na coś ciekawego i pomyślałem, że może cię to zainteresować - powtórzył to, co przeczytał w liście Charlesa Stewarta do jego byłego podwładnego.

Christie Valero zadała mu tylko jedno pytanie:

- Jak prędko możesz być u mnie w biurze?

- Hugo - powiedział St. Julien, kiedy odłożył słuchawkę na widełki - zmiana planów. Jedziemy do Departamentu Stanu. Nasza podsekretarz do spraw Bliskiego Wschodu chciałaby pogawędzić.

2.

U wybrzeża Somalii. Cztery miesiące później

Ocean Indyjski przypominał połyskujący klejnot, idealnie czysty i błękitny. Ale na jego powierzchni widniała skaza w kształcie stusiedemdziesięciometrowego frachtowca. Statek ledwo się posuwał naprzód, choć z jednego komina buchały wielkie kłęby trującego czarnego dymu. Było jasne, że zamiast przemierzać szlaki żeglugowe, jednostka powinna dawno trafić na złomowisko.

Statek miał tak duże zanurzenie, że musiał płynąć z Bombaju okrężną drogą, żeby unikać sztormów, bo fale znacznie wyższe od półtorametrowych zalewałyby pokład. Nawet przy mniej wzburzonym morzu statek nabierałby wody z lewej burty, bo miał lekki przechył na tę stronę. Chropowaty, pomalowany na zielono kadłub był upstrzony plamami o innych barwach w miejscach, gdzie załódze zabrakło farby w oryginalnym kolorze. Od spływników biegly w dół rdzawe zacieki, do burt przyspawano wielkie stalowe płyty, żeby wzmocnić osłabioną konstrukcję.

Nadbudowa trampa wznosiła się tuż za śródokręciem, pod pokładem dziobowym mieściły się trzy ładownie, pod rufowym dwie. Z trzech mocno skorodowanych żurawi zwisały postrzępione liny, pokłady zagracały ciekące beczki, zepsute mechanizmy i różne rupiecie. Przerdzewiałe kawałki relingu zastąpiono łańcuchami.

Mężczyźni, którzy przyglądali się uważnie starej jednostce z pobliskiego kutra rybackiego, nie widzieli w niej nic zachęcającego, ale nie mogli zrezygnować z nadarzającej się okazji. Żyłasty somalijski szyper miał pociągłą twarz o ostrych rysach, szczerbę między spróchniałymi przednimi zębami i poczerniałe dziąsła. Naradził się z trzema towarzyszami w ciasnej sterówce, po czym wziął mikrofon radiostacji i wcisnął przycisk.

- Ahoj, pobliski frachtowiec - mówił po angielsku z silnym akcentem, ale szło mu nie najgorzej.

Chwilę później czyjś donośny głos dobiegł z blaszanego głośnika.

- Czy to kuter rybacki z mojej lewej burty?

- Tak. Potrzebujemy lekarza - odrzekł szyper. - Czterech moich ludzi jest ciężko chorych. Macie kogoś?

- Ktoś z naszej załogi był medykiem w marynarce wojennej. Jakie mają symptomy?

- Sym... omy? Nie znam tego słowa.

- Co im jest? - zapytał radiooperator na frachtowcu.

- Wymiotują od kilku dni. Chyba się zatruli jedzeniem.

- Okej, myślę, że sobie z tym poradzimy. Podejdźcie do nas tuż przed nadbudową. Zwolnimy, ile się da, ale nie będziemy mogli się zatrzymać. Rozumiecie?

- Tak, tak, rozumiem. Nie staniecie. Okej. - Posłał drapieżny uśmiech kompanom i powiedział w ojczystym języku: - Uwierzili mi. Nie zatrzymają się, pewnie dlatego, że nie odpaliliby później silników, ale to nie problem. Abdi, bierz ster. Doprowadź nas do ich burty blisko nadbudowy i dostosuj szybkość do nich.

- Tak jest, Hakim.

- Chodźmy na pokład - zwrócił się szyper do pozostałej dwójki. Spotkali się z czterema mężczyznami, którzy wyszli z kabiny pod sterówką. Mieli złachane koce zarzucone na ramiona i poruszali się, jakby łapały ich kurcze.

Frachtowiec górował nad osiemnastometrowym kutrem, choć przy tak dużym zanurzeniu jego reling był niewiele wyżej niż ich. Marynarze powiesili opony od ciężarówek jako odboje i usunęli fragment relingu przy nadbudowie, by ułatwić transport chorych na pokład. Hakim naliczył czterech. Jeden z nich, niski Azjata, nosił mundurową koszulę z czarnymi naramiennikami. Drugi był wielkim Afrykaninem lub wyspiarzem z Karaibów. Co do dwóch innych, Hakim nie miał pewności.

- Pan jest kapitanem?! - zawołał do oficera.

- Tak. Nazywam się Kwan.

- Dziękuję za pomoc. Moi ludzie są bardzo chorzy, ale musimy zostać na morzu, żeby łowić ryby.

- To mój obowiązek - odparł Kwan raczej wyniośle. - Pański kuter będzie musiał trzymać się blisko nas, kiedy będziemy leczyli pańskich ludzi. Płyniemy do Kanału Sueskiego i nie możemy zboczyć z kursu, żeby wysadzić ich na ląd.

- To żaden kłopot - odrzekł Hakim ze służalczym uśmiechem, kiedy podawał w górę cumę. Afrykański marynarz przywiązał ją do słupka relingu.

- Okej, dajcie ich - polecił Kwan.

Hakim pomógł jednemu ze swoich ludzi wejść na reling kutra. Statki dzieliło niecałe pół metra, a morze było spokojne, więc nie było niebezpieczeństwa, że mężczyzna się ześlizgnie. Obaj dali krok w górę na pokład frachtowca i odsunęli się na bok, żeby zrobić miejsce dwóm następnym.

Kiedy czwarty wskoczył zwinnie na statek, kapitan Kwan stał się nieufny.

Gdy otworzył usta, by zapytać o stan chorych, czterej mężczyźni w kocach zrzucili je z ramion. Trzymali kałasznikowy AK-47 z obciętymi byle jak drewnianymi kolbami. Aziz i Malik, dwaj inni członkowie załogi kutra, chwycili taką samą broń z drewnianej skrzyni i wtargnęli na pokład.

- Piraci! - krzyknął Kwan i dostał lufą w brzuch.

Opadł na kolana i ścisnął bolące miejsce. Hakim wyciągnął pistolet zza pleców, jego uzbrojeni kompani odepchnęli załogę frachtowca od relingu i skierowali się wysoko na skrzydło mostka, gdzie zniknęli wszystkim z oczu.

Somalijski przywódca dźwignął kapitana na nogi i przycisnął mu lufę pistoletu do szyi.

- Róbcie, co każemy, to nikomu nic się nie stanie.

W oczach Kwana pojawił się na moment błysk buntu, którego nie mógł powstrzymać, ale szybko zniknął i pirat go nie zauważył. Kapitan skinął niezgrabnie głową.

- Zaprowadzisz nas do kabiny radiowej - ciągnął Hakim. - Każesz swojej załodze zebrać się w mesie. Wszyscy muszą tam być. Jeśli spotkamy kogoś gdzie indziej, zabijemy go.

Kiedy mówił, jego ludzie krępowali zaszokowanym marynarzom nadgarstki plastikowymi opaskami zaciskowymi. Muskularnemu Afrykaninowi założyli trzy, na wszelki wypadek. Gdy Aziz i Malik zajęli się innymi członkami załogi, Kwan z pistoletem przyciśniętym do pleców poprowadził Hakima i czterech „chorych” piratów do nadbudowy. W środku było tylko o kilka stopni chłodniej niż na zewnątrz, bo klimatyzacja ledwo działała. Korytarze i przejścia wyglądały tak, jakby nie czyszczono ich od zwodowania frachtowca. Popękane linoleum na podłodze odłaziło od niej, kłęby kurzu wielkości zajęcy czaiły się w każdym kącie.

Wspinaczka na mostek trwała niecałą minutę. Sternik stał za wielkim drewnianym kołem, towarzyszący mu oficer garbił się nad stołem nawigacyjnym, gdzie wśród talerzy z zastygłym

jedzeniem leżała wyblakła mapa, tak stara, że mogłaby pokazywać linię brzegową Wszechlądu. Szyby były niemal matowe od soli.

- Jak poszło z rybakami? - zapytał oficer, nie podnosząc wzroku. Modulował dziwnie głos, trochę jak Brytyjczyk, ale nie całkiem tak. Spojrzał w górę, zbladł i wytrzeszczył duże niewinne oczy. Czterech piratów omiało lufami karabinków całe pomieszczenie, kapitan miał głowę przechyloną na bok pod naciskiem pistoletu przystawionego do szyi.

- Bez bohaterstwa - powiedział Kwan. - Obiecali, że nikomu nie zrobią nic złego, jeśli będziemy wykonywali ich polecenia. Proszę włączyć radiowęzeł, panie Maryweather.

- Tak jest, panie kapitanie. - Młody oficer, Duane Maryweather, sięgnął wolno do przycisku interkomu obok radia okrętowego. Wręczył mikrofon Kwanowi.

Hakim wbił pistolet głębiej w szyję kapitana.

- Jeśli nadasz jakieś ostrzeżenie, zabiję cię, a moi ludzie wystrzelają twoją załogę.

- Ma pan moje słowo - odrzekł Kwan. Włączył mikrofon i jego głos rozległ się w głośnikach na całym statku. - Mówi kapitan. Zebranie całej załogi w mesie. Łącznie z dyżurnym personelem technicznym. Natychmiast. Obecność obowiązkowa.

- Wystarczy - warknął Hakim i zabrał mikrofon. - Abdul, za ster. - Machnął pistoletem w kierunku Maryweathera i sternika. - Wy dwaj stańcie obok kapitana.

- Nie może pan zostawić tylko jednego człowieka za sterem - zaprotestował Kwan.

- Nie pierwszy raz zajmujemy statek.

- Domyślam się.

W Somalii praktycznie nie istniał rząd i władzę dzierżyli rywalizujący ze sobą watażkowie. Część z nich uprawiała piractwo, by móc finansować swoje armie. Wody wokół tego kraju w Rogu Afryki należały do najniebezpieczniejszych na świecie. Ataki na statki zdarzały się niemal codziennie, i choć Stany Zjednoczone i inne państwa utrzymywały w regionie swoje siły morskie, ocean był po prostu zbyt rozległy, żeby ochraniać każdą jednostkę płynącą wzdłuż wybrzeża. Piraci używali zwykle szybkich motorówek i rabowali przeważnie pieniądze lub kosztowności, ale z czasem drobne kradzieże przestały im wystarczać. Teraz porywali całe statki, ładunki sprzedawali na czarnym rynku, a załogi zostawiali w szalupach, zatrzymywali dla okupu lub zabijali na miejscu.

Wielkość napadanych statków rosła wraz z brutalnością ataków. Podczas gdy kiedyś głównym celem piratów były tylko małe frachtowce żeglugi przybrzeżnej, teraz ich łupem padały tankowce i kontenerowce, a raz przez piętnaście minut ostrzeliwali z automatów statek wycieczkowy. Ostatnio nowy watażka zaczął gnębić innych piratów wzdłuż północnego wybrzeża i konsolidował swoje zaplecze polityczne, dopóki wszyscy piraci w regionie nie stali się wierni tylko jemu.

Nazywał się Mohammad Didi i walczył w stolicy Somalii w okresie chaosu w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy ONZ próbowała powstrzymać klęskę głodu w nawiedzonym suszą kraju. Zyskał złą sławę, plądrując ciężarówki z pomocą humanitarną, ale ugruntował swoją reputację podczas tak zwanej bitwy w Mogadiszu. Dowodził natarciem na amerykańskie pozycje i zniszczył humvee granatem raketowym. Potem wyciągnął ciała z płonącego wraka pojazdu i porąbał je na kawałki maczetą.

Po niesławnym odwrocie marines Didi nadal budował swoje zaplecze polityczne, dopóki nie stał się jednym z zaledwie garstki watażków kontrolujących kraj. Później, w roku 1998, powiązano go z zamachami bombowymi al Kaidy na amerykańskie ambasady w Kenii i Tanzanii. Udzielał terrorystom schronienia w ciągu tygodni poprzedzających ataki i przydzielił im kilku ludzi jako

czujki. Groził mu wyrok skazujący Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze i wyznaczono pół miliona dolarów za jego głowę, więc wiedział, że wcześniej czy później któryś z jego rywali spróbuje odebrać nagrodę. Przeniósł się z Mogadiszu na nadmorskie bagna prawie pięćset kilometrów na północ.

Zanim się pojawił, piraci uwalniali swoje ofiary natychmiast. To on wprowadził zwyczaj brania okupu. Jeśli odrzucano jego żądania lub negocjacje prowadziły donikąd, bez skrupułów zabijali załogi. Krążyły pogłoski, że nosi naszyjnik z zębów ze złotymi plombami wyrwanych ludziom, których sam zamordował. To jemu porywacze starego frachtowca złożyli przysięgę.

Hakim i jeden z jego kompanów zmusili kapitana Kwana, żeby ich zaprowadził do swojego biura, podczas gdy inni piraci zabrali obsługę mostka do mesy. Biuro Kwana sąsiadowało z jego kajutą na pokładzie poniżej sterówki. Pomieszczenia były spartańskie, ale czyste, metalowe ściany zdobiło jedynie parę tandetnych obrazów klaunów na aksamicie. Oprawiona fotografia Kwana i jakiejś kobiety, najprawdopodobniej jego żony, stała na pustym biurku.

Miedziane światło wpadało przez pojedynczy bulaj.

- Pokaż mi listę załogi - zażądał Hakim.

Mały sejf był przyśrubowany do pokładu w rogu kabiny za biurkiem Kwana. Kapitan schylił się i zaczął manipulować pokręteł.

- Cofnij się, jak otworzysz drzwiczki - rozkazał pirat. Kwan zerknął przez ramię.

- Zapewniam pana, że nie mamy żadnej broni. - Ale wykonał polecenie. Otworzył sejf i zrobił krok do tyłu.

Podczas gdy jego pomocnik celował w Kwana z kałasznikowa, Hakim wyjął z sejfu akta i cisnął na biurko kapitana. Gwizdnął, gdy zajrzał do grubej koperty i zobaczył paczki banknotów w kilku walutach. Powachlował się plikiem studolarówek i pociągnął zakrzywionym nosem, jakby wąchał dobre wino.

- Ile tego jest?

- Około dwunastu tysięcy.

Hakim wepchnął kopertę za koszulę. Przerzucił papiery i znalazł listę załogi. Nie umiał czytać w swoim ojczystym języku Somali, a co dopiero po angielsku, ale rozpoznał różne paszporty, w sumie dwadzieścia dwa. Przejrzał je i wyciągnął dokument Kwana, Duane'a Maryweathera i sternika. Natrafił również na paszporty trzech marynarzy, którzy stali na pokładzie podczas abordażu. Był zadowolony. Doliczył się już jednej czwartej załogi.

- Zaprowadź nas teraz do mesy.

Kiedy tam weszli, w jasno oświetlonym pomieszczeniu panował tłok. Część marynarzy paliła papierosy, więc w powietrzu wisiał gęsty dym, ale dominował odór nerwowego potu. Mężczyźni różnych ras nawet bez wycelowanej w nich broni mieli ponure miny. Byli przegrzanymi ludźmi, którzy nie mogli dostać lepszej pracy od tej na pokładzie zdezelowanego trampa. Utrzymywali na chodzie nadający się tylko na złom statek z tej prostej przyczyny, że gdyby poszedł na żyłki, nie znaleźliby innego.

Jeden z podwładnych Kwana przyciskał zakrwawioną szmatę do potylicy. Najwyraźniej powiedział lub zrobił coś, czym naraził się któremuś z porywaczy.

- Co się dzieje, kapitanie? - zapytał główny mechanik w ubrudzonym smarem kombinezonie.

- A na co to wygląda? Statek opanowali piraci.

- Cisza! - ryknął Hakim.

Porównał zdjęcia w paszportach, które przyniósł z biura Kwana, z twarzami mężczyzn siedzących w mesie i upewnił się, że wszyscy są obecni. Kiedyś popełnił błąd, akceptując podany mu przez pewnego kapitana stan załogi, i dwaj ukrywający się marynarze pobili na śmierć jednego z jego piratów i prawie zdążyli nadać przez radio SOS, zanim zostali wykryci.

- Bardzo dobrze. Nikt nie odgrywa bohatera. - Odłożył paszporty na bok i się rozejrzał. Potrafił łatwo poznać, czy ktoś się boi, i spodobało mu się to, co zobaczył. Wysłał jednego ze swoich kompanów na pokład, żeby odcumował ich kuter i kazał Abdiemu popłynąć jak najszybciej do bazy z wiadomością o zdobytym frachtowcu.

- Nazywam się Hakim i ten statek jest teraz mój. Jeśli będziecie wykonywali moje rozkazy, nie zabijemy was. Ale jeśli ktoś spróbuje uciec, zostanie zastrzelony i rzucony rekinom na pożarcie. O tych dwóch rzeczach musicie pamiętać przez cały czas.

- Moi ludzie będą posłuszni - zapewnił Kwan z rezygnacją. - Zrobimy, co pan każe. Wszyscy chcemy jeszcze zobaczyć nasze rodziny.

- Bardzo mądrze, kapitanie. Z twoją pomocą skontaktuję się z armatorem, żeby wynegocjować wasze uwolnienie.

- Draniom żal forsy na kilka litrów farby - wymamrotał główny mechanik do sąsiada przy stole. - Już widzę, jak płacą za nas okup.

Dwaj bandyci zbierali w kambuzie wszystko, co mogłoby posłużyć za broń. Wywlekli stamtąd płócienny worek pełen sztućców, noży kuchennych i tasaków. Jeden pirat został w mesie, drugi wyciągnął worek na korytarz, najpewniej po to, żeby wyrzucić go za burtę.

- Ci faceci znają się na rzeczy - szepnął Duane do radiooperatora. - Złapałbym za nóż, jak tylko przestaliby być czujni.

Maryweather nie zdawał sobie sprawy, że jeden z piratów jest tuż za nim. Dostał kałasznikowem w kark tak mocno, że uderzył twarzą w blat stołu pokryty laminatem. Kiedy się wyprostował, krew kapłała mu z nozdrzy.

- Jeszcze słowo i zginiesz - powiedział Hakim. Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że to ostatnie ostrzeżenie. - Widzę, że toaleta jest w mesie, więc wszyscy zostaniecie tutaj. Są tu tylko jedne drzwi i będą zablokowane od zewnątrz i pilnowane przez cały czas. - Odwrócił się do swoich towarzyszy i przeszedł na somali. - Chodźmy zobaczyć, jaki ładunek transportują.

Wynieśli się z mesy i zabezpieczyli drzwi grubym kablem, który owinęli wokół klamki i przywiązali do poręczy na ścianie po drugiej stronie korytarza. Hakim kazał jednemu ze swoich ludzi strzec drzwi i ruszył z innymi przeszukać statek.

Mimo wielkości frachtowca pomieszczenia wewnątrz były niezwykle ciasne, a ładownie mniejsze niż piraci się spodziewali. Te na rufie blokowały rzędy kontenerów, które zajmowały tyle miejsca, że nawet najchudszy z porywaczy nie mógł się przecisnąć obok. Musieli poczekać, aż zawiną do portu i wyładują kontenery, żeby się przekonać, co w nich jest. Ich zawartość stała się zbędna, gdy odkryli, co statek przewozi w trzech ładowniach dziobowych. Wśród skrzyń z częściami do maszyn, indyjskich silników samochodowych i stalowych płyt wielkości stołu stało sześć pikapów. Takie małe ciężarówki z zamontowanymi karabinami maszynowymi upodobano sobie jako pojazdy bojowe w całej Afryce. Była też większa ciężarówka, ale tak zdezelowana, że zapewne nie nadawała się do jazdy. Frachtowiec transportował również palety worków pszenicy z nadrukami jakiejś światowej organizacji charytatywnej, ale najcenniejszą zdobyczą były setki beczek z azotanem amonu. Ten związek chemiczny, używany przede wszystkim jako sztuczny nawóz, tworzył po zmieszaniu z olejem

napędowym silny materiał wybuchowy. Ilość w ładowni wystarczyłaby do zrównania z ziemią połowy Mogadyszu, gdyby Mohammad Didi miał taki plan.

Hakim wiedział, że jego pobyt na bagnach nie będzie trwał wiecznie. Didi stale mówił o powrocie do stolicy i ostatecznym rozprawieniu się z innymi watażkami. Tyle materiału wybuchowego z pewnością dałoby mu nad nimi przewagę. Hakim był przekonany, że najdalej za miesiąc Didi będzie rządził całą Somalią i wynagrodzi go za porwanie frachtowca tak, jak nawet mu się nie śniło.

Żałował, że tak szybko wysłał Abdiego do bazy, ale teraz nie mógł na to nic poradzić. Ich małe radio miało zasięg zaledwie paru kilometrów i kuter rybacki był już zbyt daleko. Wrócił na mostek, by delektować się kubańskim cygarem, które zwędził z kajuty kapitańskiej. Słońce chowało się szybko za horyzontem i nadawało morzu wygląd wypolerowanego brązu. Ale ludzie tacy jak Hakim i jego piraci nie dostrzegali piękna zmierzchu. Egzystowali na poziomie brzydoty i okrucieństwa, gdzie wszystko oceniali przez pryzmat własnych korzyści. Ktoś mógłby przekonywać, że są produktem swojego zagrożonego w wojnie kraju, że nie mieli szans przeciwstawić się brutalności, która ich ukształtowała. Prawda wyglądała tak, że ogromna większość Somalijczyków nigdy w życiu nie oddała ani jednego strzału, a ludzie sprzymierzali się z bandytami w rodzaju Didiego, bo pociągała ich władza nad innymi, takimi jak załoga tego statku. Hakimowi podobało się to, że kapitan schylał przed nim głowę, uznając się za pokonanego, że marynarze mieli strach w oczach. Znalazł w biurze zdjęcie Kwana z jakąś kobietą, jego żoną, jak przypuszczał. Hakim mógł sprawić, że ta kobieta zostanie wdową. To go ekscytowało jak nic innego na świecie.

Aziz i Malik weszli na mostek. Wzięli sobie nowe ubrania z kwater oficerów. Aziz miał zaledwie dwadzieścia pięć lat, ale brał już udział w tuzinie porwań. Był tak chudy, że musiał zrobić dodatkowe dziurki w pasku, żeby ukradzione džinsy mu nie spadły. Ponad czterdziestoletni Malik walczył u boku Mohammada Didiego z siłami ONZ i Amerykanami. Podczas ulicznej potyczki z wrogim gangiem został trafiony odłamkiem, który zdeformował mu prawą stronę twarzy i uszkodził mózg. Malik rzadko się odzywał i niewiele z tego, co mówił, miało sens. Ale przestrzegał instrukcji co do joty, a tylko tego Hakim od niego wymagał.

- Przeprowadźcie kapitana. Chcę porozmawiać z nim o firmie, do której należy ten statek. Muszę się zorientować, ile według niego będą skłonni zapłacić. - Przyjrzał się oczom Aziza. - I zostaw zielsko. - Użył gwarowej afrykańskiej nazwy marihuany.

Dwaj piraci zeszli po schodach na główny pokład. Przy zachodzącym słońcu w środku frachtowca panował mrok. Działało tylko kilka lamp, więc cienie przywierały do sufitów i ścian niczym mech. Aziz skinął głową do wartownika, żeby odwiązał kabel. On i Malik trzymali broń w pogotowiu, kiedy drzwi otworzyły się do środka. Wszyscy trzej rozdziawili usta.

W mesie nie było nikogo.

3.

Gdy tylko Malik i Aziz weszli do pustej mesy, wartownik wyczuł czyjąś obecność w głębi korytarza. Wpatrzył się w mrok i uniósł kałasznikowa. Gdyby nie wystraszyło go tak zniknięcie załogi, spokojnie poszedłby na zwiady. Ale każdy nerw mrowił go, jakby przez jego ciało przepływał słaby prąd elektryczny. Palec sam zagiął się na spuście i karabinek plunął dziesięciopalcową serią. Drgający ogień z lufy oświetlił pusty korytarz, pociski zdarły tylko więcej farby z obskurnych ścian.

- Co jest? - zapytał ostro Aziz.

- Zdawało mi się, że kogoś widzę - wyjąkał wartownik. Aziz podjął szybko decyzję.

- Malik, idź z nim przeszukać ten pokład. Powiem Hakimowi, co się stało.

Przywódca piratów usłyszał kanonadę i natknął się na Aziza w połowie drogi z mostka na dół. Pistolet trzymał tak jak podpatrzył w teledyskach, poziomo w wyciągniętej ręce z nadgarstkiem wygiętym w bok. W oczach miał gniewne błyski.

- Kto strzelał i dlaczego? - Nie zwolnił kroku, kiedy się spotkali, i Aziz musiał szybko zawrócić.

- Mesa jest pusta i Ahmedowi zdawało się, że kogoś widzi. On i Malik szukają go teraz.

Hakim nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Co to znaczy, mesa jest pusta?

- Cała załoga zniknęła. Kabel blokował drzwi i Ahmed nie spał, ale jakoś się wydostali.

Drzwi mesy były ledwo uchylone, kiedy tam doszli, więc Hakim otworzył je mocnym kopniakiem. Uderzyły z hałasem w odbój. Cała załoga siedziała przy stołach tak jak ją zostawili kilka godzin wcześniej. Na twarzach dwudziestu dwóch marynarzy malowało się napięcie i obawa.

- Co to były za strzały? - zapytał kapitan Kwan. Hakim posłał Azizowi mordercze spojrzenie.

- Do szczura.

Chwycił młodszego mężczyznę za ramię i wypchnął z pomieszczenia. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nimi, Hakim spoliczkował Aziza i poprawił na odlew.

- Ty durniu. Jesteś już tak naćpany, że nie wiedziałbyś, którą ręką się podcierasz.

- Nie, Hakim, przysięgam. Wszyscy widzieliśmy...

- Dosyć! Jak jeszcze raz cię przyłapię na paleniu zielska w czasie operacji, zastrzelę na miejscu. Jasne? - Aziz spuścił wzrok i nie odezwał się. Hakim chwycił go za podbródek i uniósł jego głowę tak, że ich spojrzenia się spotkały. - Jasne? - powtórzył.

- Tak, Hakim.

- Zablokuj z powrotem te drzwi i znajdź Malika i Ahmeda, zanim znów zaczną strzelać.

Aziz zrobił, co mu kazano, i poszedł, Hakim został. Przycisnął ucho do drzwi, ale nie mógł nic usłyszeć przez gruby metal. Rozejrzał się po pustym korytarzu. Nie zauważył nic niezwykłego, ale odniósł nagle wrażenie, że ktoś go obserwuje. Ciarki przeszły mu po plecach i się wzdrygnął. Przeklećci głupcy każą mi następnym razem ścigać cienie, pomyślał.

Dwa pokłady poniżej mesy, w części statku, o której istnieniu piratom nawet się nie śniło, Juan

Rodriguez Cabrillo patrzył, jak Somalijczyk drży. Lekki uśmiech pojawił się w kącikach jego ust.

- Bu! - krzyknął do obrazu na wielkim płaskim wyświetlaczu dominującym z przodu pomieszczenia nazywanego centrum operacyjnym.

Centrum było supernowoczesnym mózgiem frachtowca, przestrzenią z niskim sufitem, którą rozjaśniała niebieskawa poświata niezliczonych monitorów komputerowych. Podłogę pokrywała przeciwpoślizgowa, antystatyczna guma, konsole miały szarą i czarną barwę. W efekcie, zgodnie z zamierzeniem, pomieszczenie wyglądało jak ciemniejsza wersja sterowni statku kosmicznego „Enterprise” w znanym serialu telewizyjnym. Dwa siedzenia przed głównym ekranem zajmowali sternik i operator uzbrojenia frachtowca. Na obwodzie centrum znajdowały się stanowiska obsługi radia, radaru, sonaru, głównego mechanika i szefa ekipy naprawczej.

Pośrodku stał tak zwany Fotel Kirka. Z tego miejsca Cabrillo widział wszystko, co się dzieje wokół niego, i poprzez komputer w podłokietniku grubo wyściełanego siedzenia mógł zarządzać wszystkimi systemami na pokładzie.

- Nie powinieneś im na to pozwolić - upomniał Max Hanley, wiceprezes Korporacji. Cabrillo nosił tytuł prezesa. - A gdyby chłopcy Mohammada Didiego wrócili, kiedy ukryte drzwi były otwarte?

- Max, martwisz się jak moja babcia. Opanowalibyśmy z powrotem „Oregona” i przeszli do planu B.

- To znaczy?

- Powiem ci, jak tylko go ułożę. - Juan wstał i rozprostował ręce nad głową.

Był dobrze zbudowany, ostrzyżony na jeża, miał prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ogorzałą twarz o ostrych rysach i zadziwiająco niebieskie oczy. Wychowywał się na plażach południowej Kalifornii i blond włosy spłówiały mu od słońca. Choć przekroczył czterdziestkę, utrzymywał się w świetnej formie.

Miał w sobie coś zniewalającego, co ludzie dostrzegali prawie natychmiast, ale nie potrafili tego określić. Nie był to polor człowieka sukcesu czy sztywność zawodowego wojskowego, lecz raczej poczucie, że wie, czego chce, i umie to sobie zapewnić. Cechowała go też bezgraniczna wiara w siebie zrodzona z własnych osiągnięć.

Maksowi Hanleyowi kilka lat temu stuknęła sześćdziesiątka. W swoim czasie odsłużył dwie tury w Wietnamie. Był niższy od Cabrilla, miał pogodną, rumianą twarz i wianuszek rudych loków w kształcie podkowy wokół łysiejącej czaszki. Mógłby zrzucić parę kilogramów, co uwielbiał mu wytykać Juan, ale Max był niewzruszony jak skała w każdym sensie tego słowa.

Pomysł założenia Korporacji narodził się w głowie Cabrilla, ale to Max dbał o to, żeby firma prosperowała. Kierował codziennymi sprawami tego wielomilionowego interesu i jednocześnie pełnił funkcję głównego mechanika „Oregona”. Jeśli ktokolwiek kochał ten statek bardziej niż Juan, to właśnie Max Hanley.

Mimo że siedmiu uzbrojonych po zęby piratów kręciło się po frachtowcu i dwudziestu dwóch członków załogi było „więźniami” w mesie, nikt się nie niepokoił w centrum operacyjnym, zwłaszcza Cabrillo.

Ta operacja została starannie zaplanowana, uwagę poświęcono każdemu drobiazgowi. Kiedy piraci weszli na pokład - był to najważniejszy moment, bo nikt nie wiedział, jak zamierzają potraktować załogę - snajperzy ulokowani na dziobie wzięli siedmiu Somalijczyków na celowniki. Marynarze przy relingu mieli na sobie supercienkie kamizelki ochronne, które wciąż dopracowywano

w Niemczech dla NATO.

Mikroskopijne kamery i mikrofony ukryto we wszystkich przejściach i pomieszczeniach w „publicznych” częściach statku, więc bandyci byli obserwowani przez cały czas. Gdziekolwiek szli, zawsze śledziło ich co najmniej dwóch członków Korporacji czuwających w niewidocznych przedziałach „Oregona” i gotowych zareagować w każdej sytuacji.

Stary frachtowiec w rzeczywistości krył w sobie dwa statki. Na zewnątrz wyglądał niemal jak wrak, który dawno powinien trafić na złomowisko. Ale ta fasada miała za zadanie wprowadzać w błąd inspektorów celnych, pilotów portowych i każdego, kto znalazł się na pokładzie. Taki wizerunek wymyślono po to, żeby „Oregon” nie zapadał nikomu w pamięć.

Rdzawe zacieki po prostu namalowano, rupiecie rozrzucano po pokładzie celowo. Sterówka i kabiny w nadbudowie były scenicznymi dekoracjami. Pirat obsługujący teraz ster nie miał żadnej kontroli nad statkiem. Sternik w centrum operacyjnym poprzez system komputerowy otrzymywał dane z drewnianego koła na mostku i korygował odpowiednio kurs. To wszystko stanowiło skorupę zasłaniającą być może najnowocześniejszy okręt szpiegowski na świecie, najeżony ukrytym uzbrojeniem i wyposażony w elektronikę, która dorównywała tej na niszczycielach klasy Aegis. Opancerzony kadłub „Oregona” był odporny na pociski z większości rodzajów broni używanej przez terrorystów, takich jak granaty raketowe. Transportował dwie minilodzie podwodne opuszczane do morza przez specjalne wrota wzdłuż kila i helikopter McDonnell Douglas MD-520N ukryty w ładowni rufowej za ścianą o wyglądzie stosów kontenerów. Kwatery załogi nie ustępowały najbardziej komfortowym kabinom na luksusowych statkach wycieczkowych. Kobiety i mężczyźni z Korporacji co dzień ryzykowali życie, więc Juan chciał im zapewnić jak najlepsze warunki.

- Gdzie jest nasz gość? - zapytał Max.

- Znów podrywa Julię.

- Jak myślisz, dlatego, że ona jest lekarką czy ślicznotką?

- Pułkownik Giuseppe Farina, jak wskazuje jego nazwisko, jest Włochem. I przypadkiem wiem, że uważa się za najlepszego, więc się do niej przystawia, bo ona jest kobietą. Linda Ross i wszystkie inne panie tyle razy dały mu kosza, odkąd wszedł na pokład. Została mu tylko nasza pocziwa doktor Huxley, a ponieważ ona musi na wszelki wypadek tkwić w izbie chorych, pułkownik ma słuchaczkę mimo woli.

- Nie podoba mi się to, że mamy tu obserwatora - powiedział Max.

- Bierze się taką robotę, jaką dają, a nie taką, na jaką ma się ochotę - odparł Juan. - Góra nie chce, żeby coś poszło nie tak w czasie procesu, jak już dopadniemy Didiego. Farina jest tu po to, żeby mieć pewność, że postępujemy zgodnie z regułami gry, które nam narzucili.

Max zrobił kwaśną minę.

- Walczyć z terrorystami według zasad fair play? To śmieszne.

- Nie jest tak źle. Znam Seppe piętnaście lat. Jest w porządku. Ponieważ ekstradycja Didiego jest niemożliwa, bo w Somalii nie funkcjonuje system prawny...

- Ani nic innego. Juan zignorował wtęt.

- Zaproponowaliśmy alternatywę. Ceną, którą płacimy, jest obecność Seppe, dopóki nie dostarczymy Didiego na wody międzynarodowe, skąd zabierze go amerykańska marynarka wojenna. Didi musi tylko wejść na ten statek i będziemy go mieli.

Max przytaknął niechętnie.

- I załadowaliśmy na pokład tyle rzekomego materiału wybuchowego, że powinien chcieć go

zobaczyć na własne oczy.

- Dokładnie tak. Przynęta dobrana do szkodnika.

Korporacja przyjęła nietypowe dla nich zlecenie. Zwykle pracowali dla rządu i wykonywali operacje zbyt ryzykowne dla amerykańskich żołnierzy lub agentów wywiadu - tylko za gotówkę. Tym razem zostali wynajęci przez CIA, żeby pomóc Międzynarodowemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze postawić Mohammada Didiego przed sądem. Władze USA chciały wysłać go prosto do Guantanamo, ale zawarły umowę z sojusznikami Ameryki, że będzie sądzony w Europie, pod warunkiem że uda się go schwytać w sposób wykluczający jego wydanie.

Langston Overholt, główny kontakt Korporacji w CIA, obarczył swojego protegowanego, Juana Cabrilla, trudnym zadaniem pojmania Didiego tak, żeby nie wyglądało to na porwanie. Cabrillo i jego ludzie, jak mieli w zwyczaju, ułożyli plan w ciągu dwudziestu czterech godzin, podczas gdy wszyscy inni zaangażowani w sprawę biedzili się nad tym miesiącami.

Juan zerknął na chronometr w rogu głównego ekranu. Sprawdził prędkość i kurs statku i obliczył, że dotrą do wybrzeża o świcie.

- Zjesz ze mną kolację? Chyba będzie homar faszerowany. Max poklepał się po brzuchu.

- Hux kazała mi poćwiczyć pół godziny w siłowni.

- Bitwa o Ardeny - zażartował Juan.

- Chciałbym zobaczyć twoją figurę za dwadzieścia lat, przyjacielu.

Statek dopłynął do lądu krótko po świcie. Namorzynowe bagna ciągnęły się wzdłuż horyzontu. Hakim przejął ster, bo najlepiej znał tajne głębokowodne farwatery prowadzące do ich kryjówek. Choć pierwszy raz porwali taką dużą jednostkę, był pewien, że uda mu się ominąć mielizny i dotrzeć do ich obozu, a przynajmniej tak blisko, żeby mogli rozładować ja bez wielkiego kłopotu.

Powietrze było zamglone i wilgotne, i gdy tylko słońce wyłoniło się zza horyzontu, temperatura zaczęła rosnać.

Kiedy duży frachtowiec zapuścił się w głąb bagien, jego kilwater stał się brązowy od mułu podrywanego do góry przez pędniki. Hakim nie potrafił odczytać wskazań głębokościomierza na czołowej przegrodzie sterówki, ale tylko dwa i pół metra wody dzieliło kil od dna. Drzew wciąż przybywało po obu stronach statku, aż w końcu ich gałęzie niemal się nad nim stykały.

Hakim ledwo mógł manewrować w wąskim kanale. Nie przypominał sobie, żeby było tu tak ciasno, ale też nigdy nie widział tego szlaku z mostka tak dużego statku. Dziób uderzył w zanurzoną kłodę, która przedziurawiłaby kadłub ich kutra rybackiego, lecz o frachtowiec jedynie się otarła. Do bazy pozostał już tylko jeden zakręt, ale najwęższy. Odległość do przeciwległego brzegu wydawała się mniejsza niż długość statku.

- Myślisz, że dasz radę? - zapytał Aziz.

Hakim nie spojrzał na niego. Wciąż był zły z powodu incydentu ubiegłej nocy.

- Jesteśmy niecały kilometr od obozu. Nawet jeśli mi się nie uda, możemy rozładować statek i przerzucić wszystko do bazy.

Zacisnął mocniej ręce na kole sterowym i rozstawił nogi trochę szerzej. Dziób wszedł w zakręt i Hakim zaczekał do ostatniej chwili, żeby obrócić koło. Frachtowiec nie zareagował tak szybko, jak Hakim oczekiwał, i nadal sunął ku przeciwległemu brzegowi. Potem dziób zaczął wolno zmieniać kierunek, ale trochę za późno. Kolizja była nieunikniona. Hakim przestawił telegraf maszynowni na całą wstecz w nadziei, że zmniejszy siłę uderzenia.

Kilka pokładów niżej Cabrillo siedział na swoim stałym miejscu w centrum operacyjnym. Eric

Stone najlepiej potrafił prowadzić „Oregona”, lecz teraz tkwił zamknięty w mesie, udając Duane’a Maryweathera. Ale Cabrillo i tak nie powierzyłby mu w tym momencie steru. Na tak ciasnych szlakach nie ufał nikomu poza sobą.

Choć Hakim dał sygnał do całej wstecz, Cabrillo zignorował jego polecenie i włączył pędnik dziobowy. Obrócił też do oporu wyloty kierunkowe pomp odrzutu wody napędzających „Oregona”.

Na mostku musiało się wydawać, że jakimś cudem nagle zerwał się sprzyjający wiatr, choć żadne z drzew się nie poruszyło. Dziób skręcił ostro, jakby popchnęła go niewidzialna ręka. Hakim i Aziz wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie mogli uwierzyć, że frachtowiec zdołał się wpisać w łuk tak szybko, nie zdawali sobie też sprawy, że sam popłynął prosto po wyjściu z zakrętu. Hakim beżużytecznie obrócił kołem sterowym w przekonaniu, że panuje nad statkiem.

- Allah na pewno błogosławi tę akcję od początku - powiedział Aziz, choć żaden z nich nie był zbyt religijny.

- Albo po prostu wiem, co robię - odparł ostro Hakim.

Obóz piratów leżał na prawym brzegu, który wznosił się stopniowo prawie do poziomu pokładu frachtowca. Wysoko położony teren chronił okolicę przed przyływami i wiosennymi powodziami. Trzydziestometrowy drewniany pomost ciągnął się wzdłuż krawędzi wody, wejście nań z lądu umożliwiała kilka kondygnacji stalowych schodów wkopanych w twardą ziemię. Wymontowano je z jednego z pierwszych porwanych statków. Kuter Hakima cumował na przystani wraz z dwoma innymi.

Obóz tworzyły rozmieszczone byle jak budynki zrobione z tego, co udało się zdobyć. Były namioty przeznaczone kiedyś dla uchodźców, tradycyjne lepianki i chaty z miejscowego drewna i blachy falistej. Mieszkało w nich ponad osiemset osób, w tym trzy setki dzieci. Wokół wznosiły się cztery wieże strażnicze z rur i starych desek. Wszędzie walały się śmieci i ludzkie odchody. Póldzikie, wychudłe parchate psy włóczyły się stadami.

Tłumy wiwatujących ludzi czekały wzdłuż brzegu rzeki i tłoczyły się na pomoście, który mógł zawalić się pod ich ciężarem. Zgromadziły się półnagie dzieci, kobiety w zakurzonych sukienkach z niemowlętami przypasanymi do pleców i setki mężczyzn z karabinami szturmowymi. Wielu strzelało w powietrze, co nie przeszkadzało w spaniu przywykłym do hałasu niemowlętom. Na środku pomostu w otoczeniu swoich najbardziej zaufanych pomocników stał Mohammad Didi.

Chociaż siał postrach, nie wyglądał imponująco. Miał niespełna metr siedemdziesiąt wzrostu, mundur samozwańca wisiał na nim jak szmaty na strachu na wróble. Dolną część jego twarzy zasłaniała rosnąca kępami, przetykana siwizną broda, białka kaprawych oczu w różowych obwódkach przecinały czerwone żyłki. Był tak chudy, że duży pistolet u pasa przekrzywiał mu biodra, jakby cierpiał na skoliozę.

Nie uśmiechał się, miał twarz bez wyrazu. To była jedna z jego charakterystycznych cech. Nigdy nie okazywał emocji - ani wtedy, gdy zabijał człowieka, ani wówczas, kiedy po raz pierwszy trzymał na rękach jedno ze swoich niezliczonych dzieci - nigdy.

Nosił naszyjnik z nieregularnych białych paciorków, które po bliższych oględzinach okazywały się ludzkimi zębami ze złotymi plombami.

Hakim przez piętnaście nerwowych minut manewrował dużym frachtowcem, by przybić do brzegu. Raz tak szybko podszedł do pomostu, że stojący na nim ludzie uciekli na ląd. Trwałoby to dłużej, ale Cabrillo w końcu miał dość żalosnych prób Somalijczyka i go wyręczył. Piraci przy relingu rzucili liny tłumowi w dole i statek szybko przycumowano. Kłęby gęstego dymu z komina

zmalowały do cienkiej smugi. Hakim włączył syrenę okrętową i wiwaty gapiów przybrały na sile. Wysłał Aziza po pomoc do opuszczenia schodni, żeby Mohammad Didi mógł sam zobaczyć, co zdobyli.

W centrum operacyjnym Giuseppe Farina wskazał monitor.

- Nasz człowiek jest w samym środku.

- To ten z kurzymi piórami wyrastającymi mu z twarzy? - zapytał Max Hanley.

- Si. Nie wygląda na takiego, ale to zatwardziały zabójca. - Farina był w polowym mundurze włoskich wojsk lądowych i czarnych butach, które lśniły jak lakierki. Przystojny pułkownik miał ciemne oczy i włosy, oliwkową cerę i regularne rysy. Bruzdy mimiczne w kącikach ust i na czole zawdzięczał upodobaniu do zabawy i żartów. Kiedy Juan pracował w CIA i urabiał rosyjski kontakt w Rzymie, on i Seppe nieraz zaszaleli na mieście.

- Żeby wszystko było jasne, mamy rozkaz poczekać, aż Didi wejdzie na pokład „Oregona”, tak? - upewnił się Juan. Farina skinął głową, więc dodał:

- I co dalej?

- Schwytnie go, jak chcecie. Ten statek pływa pod jakąś banderą, więc jest suwerennym terytorium... Gdzie jest zarejestrowany?

- W Iranie.

- Żartujesz.

- Nie - zaprzeczył Juan z leniwym uśmiechem. - Wymyśliłbyś lepszy kraj, żeby odsunąć od nas podejrzenia, że jesteśmy okrętem szpiegowskim na usługach Amerykanów?

- Nie - przyznał Giuseppe, nerwowo marszcząc brwi - ale to może wywołać konsternację w Hadze.

- Odpręż się, Seppe. Mamy też papiery, w których „Oregon” figuruje jako „Grandam Phoenix” zarejestrowany w Panamie.

- Dziwna nazwa.

- Taki statek był w jednej książce, którą czytałem lata temu. Jakoś mi się spodobał. Nie będzie żadnych problemów, kiedy dostarczysz Didiego Trybunałowi Sprawiedliwości.

- Si. Z chwilą, kiedy postawi stopę na twoim statku, przestanie być w Somalii. Będzie, eee... łatwą ofiarą.

- Jak wyjaśnicie w sądzie obecność włoskiego pułkownika na frachtowcu porwanym przez poszukiwanego faceta, za którego głowę wyznaczono pół miliona dolarów nagrody?

- Wcale - odrzekł Farina. - Wasz udział nigdy nie wyjdzie na jaw. Wziąłem ze sobą narkotyk, który wymaże z jego pamięci ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Obudzi się z potężnym kacem, ale bez trwałego uszczerbku na zdrowiu. Mamy zarekwirowany kuter rybacki poza dwunastomilowym pasem somalijskich wód terytorialnych. Zostawicie na nim Didiego i zabierze go stamtąd amerykański krążownik nadzorujący ten rejon. Marynarze wejdą na pokład i go znajdą. Prosta, czysta robota, i nie zostanie wydany.

- Obłąd - mruknął Max.

- Prezesie - powiedział Mark Murphy, żeby zwrócić uwagę Juana. Murph był operatorem systemów obrony „Oregona”. Ze swojego stanowiska obok steru mógł otworzyć ogień z budzącego grozę uzbrojenia, w które wyposażono dawny drewnowiec. Miał do dyspozycji torpedy, rakiety woda-woda i woda-powietrze, karabiny maszynowe kaliber 7,62 milimetra ukryte na pokładzie, jak również kierowane radarem dwudziestomilimetrowe działka Vulcan, czterdziestomilimetrowego

orlikona i studwudziestomilimetrową armatę w dziobie.

Cabrillo spojrział na ekran i zobaczył, że schodnia jest opuszczona i Mohammad Didi idzie w jej kierunku.

- Wejdz w mą sieć, powiedział pajak do muchy.

4.

Bahiret el Bibane Tunezja

Alanie nie przeszkadzał piasek ani żar buchający z pustyni niekończącymi się falami. Dokuczały jej muchy. Bez względu na to, ile kremu nakładała na skórę i jak często poprawiała moskitierę w swoim namiocie, nie mogła się uwolnić od skrzydlatych diabłów. Po prawie dwóch miesiącach pobytu na wykopaliskach nie potrafiła rozpoznać, gdzie kończy się jeden ślad po ukąszeniu a zaczyna sąsiedni. Ku jej rozgoryczeniu, miejscowi robotnicy zdawali się w ogóle nie zauważać kęsających owadów. Żeby poczuć się trochę lepiej, próbowała wymyślić jakąś uciążliwość w swojej rodzinnej Arizonie, z którą ci ludzie nie umieliby sobie poradzić, ale nie przychodziło jej do głowy nic gorszego niż korki uliczne. Na terenie wykopalisk archeologicznych pracowało jedenastu Amerykanów i pięćdziesięciu wynajętych robotników. Ekipą kierował profesor William Galt. Sześć osób spośród jedenastu miało doktoraty jak Alana, pozostała piątka dopiero je robiła na Uniwersytecie Stanu Arizona. Było ośmiu mężczyzn i trzy kobiety, ale dotąd nie stwarzało to problemów.

Pozornie odkopywali rzymskie ruiny niecały kilometr w głąb lądu od Morza Śródziemnego. Kompleks rozpadających się budowli, uważany od dawna za letnią rezydencję Klaudiusza Sabińczyka, regionalnego gubernatora, okazał się dużo bardziej interesujący. Odkryto dużą świątynię, przedtem zupełnie nieznaną. Wśród archeologów w obozie chodziły słuchy, że Sabińczyk stał na czele jakiejś sekty. Biorąc pod uwagę czasy, w jakich rządził tym terytorium, spekulowano, że mógł zostać chrześcijaninem.

Profesor Bill, jak lubił być nazywany Galt, marszczył brwi na to przypuszczenie, ale nie mógł zabronić swoim ludziom dyskusji na ten temat przy posiłkach.

Ale to była tylko przykrywka. Alana i jej trzyosobowy zespół mieli tu zupełnie inne zadanie. I choć wiązało się ono z archeologią, w ich przypadku nie chodziło o poznanie przeszłości, lecz raczej o ocalenie przyszłości.

Jak dotąd sprawy nie układały się dobrze. Siedmiodniowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu i dochodzili do wniosku, że przysłano ich na próżno.

Alana pamiętała, jaka była podekscytowana projektem, kiedy zwróciła się do niej Christie Valero z Departamentu Stanu, ale pustynia zgasiła jej entuzjazm dawno temu. Ciemnowłosa Alana Shepard miała zaledwie metr sześćdziesiąt dwa wzrostu i często brano ją za jedną z jej studentek, choć tylko rok dzielił ją od czterdziestych urodzin. Była dwukrotną rozwódką - pierwsze małżeństwo zawarte w wieku osiemnastu lat okazało się wielką pomyłką, drugie, tuż przed trzydziestką, jeszcze większą - i samotną matką. Jej syn Josh mieszkał u babci, kiedy Alana pracowała w terenie.

Ponieważ krótkie włosy sprawiały mniej kłopotów na pustyni, strzygła się na pazia. Nie wyróżniała się urodą, ale była taka drobna, że wszyscy uważali ją za uroczą. Twierdziła, że nie cierpi tego określenia, choć skrycie je uwielbiała. Zrobiła dwa doktoraty na Uniwersytecie Stanu Arizona, z geologii i archeologii, więc miała szczególnie dobre przygotowanie do obecnej pracy, ale

żaden z dyplomów wiszących w jej gabinecie w Phoenix nie mógł jej pomóc w znalezieniu tego, czego tu nie było.

Wraz z zespołem przeczesła wyschnięte koryto rzeki na odcinku wielu kilometrów w głąb łądu, ale nie zauważyli żadnej anomalii. Kanion miliony lat temu wydrążony przez wodę w piaskowcu, ciągnący się aż do dawnego wodospadu, przypominał pozbawiony wyrazu korytarz służbowy.

Uznali, że dalej nie ma sensu szukać. Kiedy dwieście lat temu płynęła tędy rzeka, wodospad musiał być przeszkodą nie do pokonania.

Odgłos wiertła wyrwał Alanę z zamyślenia. Maszyna została zamontowana z tyłu ciężarówki i ustawiona poziomo, żeby mogła się wgryźć w ścianę klifu. Diamentowe ostrze łatwo wchodziło w kruchy piaskowiec. Urządzenie obsługiwał Mike Duncan, geolog z Teksasu, który miał doświadczenie w robieniu odwiertów na polach naftowych. Przebijali się przez stare osuwiska, żeby sprawdzić, czy nie natrafiają na ukryte groty lub jaskinie. Wywierciwszy przeszło sto dziur, mieli tylko pół tuzina zużytych świdrów.

Przyglądała się przez kilka minut i wycierała pot z szyi. Kiedy dwunastometrowe wiertło zagłębiło się w ścianę, Mike wyłączył dieslowski silnik. Gdy hałas ucichł, Alana znów usłyszała szum wiatru.

- Nic - wyrzucił z siebie Mike.

- Nadal uważam, że powinniśmy zrobić kilka dziur więcej w tamtym osuwisku skalnym jakieś półtora kilometra w dół koryta rzeki - powiedział Greg Chaffee, ich rządowy opiekun. Alana podejrzewała, że Greg jest z CIA, ale nie chciała wiedzieć, czy się nie myli. Chaffee nie miał naukowych ani zawodowych kwalifikacji, żeby im towarzyszyć, więc jego opinie raczej ignorowano. Przynajmniej wykonywał każdą pracę, jaką Alana mu przydzielała, i mówił po arabsku jak tubylec.

Emile Bumford, czwarty członek małej grupy, był znawcą Imperium Osmańskiego, zwłaszcza państw berberyjskich. Alana uważała go za nadętego gamonia. Odmawiał opuszczania obozu w pobliżu rzymskich ruin, twierdząc, że jego wiedza nie będzie potrzebna, dopóki czegoś nie znajdą.

Alana zgadzała się z tym, ale kiedy spotkali się w Waszyngtonie z podsekretarz Valero, chwalił się ogromnym doświadczeniem w terenie i powiedział, że „uwielbia czuć ziemię za paznokciami”. Bardzo o nie dbał i jak dotąd nie kiwnął palcem, żeby coś zdziałać, tylko stale wygładzał swoją kurtkę safari, w której wyglądał pretensjonalnie.

- Znowu masz przeczucie? - zapytał Grega Mike. Obaj interesowali się wyścigami konnymi i ufali swojemu instynktowi nie mniej niż oficjalnym informacjom o gonitwach.

Chaffee wzruszył ramionami.

- Nie zaszkodzi spróbować.

- To nic nie da - wtrąciła się Alana trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzała. Usiadła na ziemi w cieniu ciężarówki. - Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Ale klify są tam zbyt wysokie i strome. Nie udałoby się sprowadzić na dół wielbłądów, żeby rozładować statek.

- Wiemy na pewno, że to jest właściwe koryto rzeki? - zapytał Mike. - Nie natrafia się na zbyt wiele dużych jaskiń w piaskowcu. Jest za miękki. Sklepienie zawałiłoby się, zanim erozja zdążyłaby powiększyć grotę na tyle, żeby zmieścił się w niej statek.

Alana myślała podobnie. Powinni szukać wapienia, który jest doskonałym środowiskiem do tworzenia się jaskiń, bo jest na tyle miękki, że ulega erozji, ale jednocześnie wystarczająco twardy, by przetrwać eony. Problem polegał na tym, że znajdowali tylko piaskowiec i sporadycznie bazalt.

- W liście Charlesa Stewarta jest dość dokładnie podana lokalizacja tajnej bazy Al-Dżamy -

powiedziała. - Nie zapominajcie, że Henry Lafayette spędził tam dwa lata, zanim stary pirat zmarł. Zdjęcia satelitarne pokazują, że to jest jedyne możliwe koryto rzeki w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od miejsca ich pobytu opisanego przez Lafayette'a.

- I przynajmniej jest po tej stronie granicy z Libią - dodał Greg. Miał blond włosy, jasną skórę i był szczególnie wrażliwy na słońce, więc nosił długie rękawy i duży słomkowy kapelusz. Co wieczór musiał prać koszule z wiecznie przepoconymi kołnierzykami i pachami. - Mimo że zbliża się szczyt w Trypolisie, wątpię, żeby stary Muammar Kaddafi pozwolił nam kopać na swoim podwórku.

- Mój ojciec pracował na libijskich polach naftowych, zanim Kaddafi je zracjonalizował - odrzekł Mike. Był wyższy i szczuplejszy od Grega, zahartowany przez lata pracy w terenie, więc zmarszczki wokół jego niebieskich oczu nigdy nie znikwały. Dłonie miał stwardniałe jak kora dębu, kącik ust wypychała mu prymka tytoniu wielkości piłeczki golfowej. - Mówił mi, że Libijczycy są bodaj najsympatyczniejszymi ludźmi na świecie.

- Libijczycy tak, ale ich rząd nie bardzo. - Alana pociągnęła z manierki łyk wody o temperaturze gorącej kąpieli. - Chociaż są gospodarzami konferencji pokojowej, nie widzę, żeby inaczej śpiewali. - Spojrzała na Grega Chaffee i zapytała znacząco: - Czy CIA nie uważa, że udzielili kiedyś schronienia Al-Dżamie, temu terroryście, który przyjął nazwisko poszukiwanego przez nas pirata?

Nie połknął haczyka.

- Z tego, co czytałem w gazetach, Al-Dżama próbował wjechać do tamtego kraju, ale go nie wpuszczono.

- Badamy to koryto rzeki od tygodni. Nic tu nie ma - powiedział z niechęcią Mike. - Ta robota to kompletna strata czasu.

- Zdaje się, że zorientowani w sprawie są innego zdania - odparła Alana z rezerwą.

Wróciła myślami do swojego spotkania z Christie Valero w Waszyngtonie. W Departamencie Stanu podsekretarz towarzyszył jeden z największych mężczyzn, jakich Alana kiedykolwiek widziała. Nosił niezapomniane nazwisko St. Julien Perlmutter. Przypominał jej Sydneya Greenstreeta, z tą różnicą, że stary aktor zawsze wyglądał ponuro, natomiast Perlmutter był typowym jowialnym grubasem. Jego niebieskie oczy błyszczały tak jak zielone oczy Alany. Valero była zadbaną ładną blondynką kilka lat starszą od Alany. Ściany jej gabinetu zdobiły zdjęcia miast na Bliskim Wschodzie, w których przebywała na placówkach dyplomatycznych w ciągu swojej dwudziestoletniej kariery.

Wstała zza biurka, kiedy Alanę wprowadzono do pokoju, ale Perlmutter nie ruszył się z kanapy i podał jej rękę na siedząco.

- Dziękuję, że zgodziła się pani z nami zobaczyć - powiedziała Christie.

- Nie co dzień dostaję propozycję spotkania od kogoś na takim stanowisku jak pani.

Perlmutter zachichotał.

- Podsekretarzy jest w tym mieście na pęczki. Zapal światło na przyjęciu, a rozpierzchną się jak karaluchy.

- Jeszcze jedna taka uwaga - ostrzegła Christie - i wpiszę cię na czarną listę, żebyś nigdy więcej nie został zaproszony na kolację do żadnej ambasady.

- To cios poniżej pasa - odrzekł szybko St. Julien, po czym się roześmiał. - A raczej dokładnie w linię pasa.

- Doktor Shepard...

- Proszę mi mówić Alana.

- Alano, mamy wyjątkowo interesujące wyzwanie odpowiednie do twoich uzdolnień. Kilka tygodni temu St. Julien natknął się na list napisany przez admirała nazwiskiem Charles Stewart w latach dwudziestych XIX wieku. Jest to wręcz niewiarygodna historia ocalenia pewnego marynarza, niejakiego Henry'ego Lafayette'a, który zaginął w czasie wojny berberyjskiej w 1803 roku.

Christie Valero opowiedziała o udziale Lafayette'a w spaleniu „Philadelphii” i jego przypuszczalnym zaginięciu na morzu po ataku na „Saqra”. Dalej mówił St. Julien.

- Lafayette i Sulejman Al-Dżama dotarli do lądu, gdzie Henry wyjął piratowi kulę gołymi palcami i obłożył ranę solą, którą zdrapał ze skał. Arabski kapitan majaczył przez trzy dni, ale potem przestał gorączkować i w pełni wydobrzył. Szczęśliwie dla nich Henry zdołał zgromadzić deszczówkę do picia i potrafił znaleźć pożywienie na brzegu.

- Musisz wiedzieć, że Al-Dżama zajmował się piractwem nie dla zysku. Robił to z nienawiści do niewiernych. Był ówczesnym Osamą bin Ladenem.

- Czy Sulejman Al-Dżama przyjął jego nazwisko? - zapytała Alana, mając na myśli współczesnego terrorystę.

- Tak.

- Nie miałam pojęcia, że zaczerpnął je z przeszłości.

- Wybrał je bardzo starannie. Dla wielu muzułmańskich radykałów prawdziwy Al-Dżama jest bohaterem i duchowym przewodnikiem. Zanim został piratem, był imamem. Większość jego pism przetrwała do dziś. Są uważnie studiowane, bo uzasadniają ataki na niewiernych.

- Sportretowano go przed jego pierwszą wyprawą morską - powiedziała podsekretarz Valero. - Często znajdujemy kopie tego obrazu na honorowych miejscach podczas nalotu na jakiś bastion islamskich terrorystów. On inspirował ich wszystkich. Jest dla nich inicjatorem dżihadu, pierwszym człowiekiem, który podjął walkę z Zachodem.

Alana się pogubiła.

- Przepraszam, ale co to ma wspólnego ze mną? Jestem archeologiem.

- Do tego zmierzam - odrzekł Perlmutter. Zaburczało mu w brzuchu, więc go pomasaował. -I będę się streszczał.

- Lafayette i Al-Dżama nie mogliby się bardziej od siebie różnić, nawet gdyby jeden z nich pochodził z Marsa. Ale łączyła ich dość specyficzna więź. Widzisz, Henry uratował Sulejmanowi życie nie raz, a dwa razy. Najpierw holując go do lądu, potem opiekując się nim po opatrzeniu jego rany. Takiego długu muzułmanin po prostu nie mógł zignorować. W dodatku Henry, francuskojęzyczny Kanadyjczyk, wyglądał dokładnie tak samo jak od dawna nieżyjący syn Al-Dżamy.

- Byli zdani na siebie, na pustyni, co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów od Trypolis. Sulejman wiedział, że jeśli doprowadzi tam Henry'ego, pasza uwięzi go z załogą „Philadelphii” lub co gorsza skáže na śmierć za spalenie fregaty.

- Ale istniała alternatywa. Widzisz, oprócz siedziby w mieście, Al-Dżama miał również tajną bazę na pustyni daleko na zachodzie. To stamtąd przeprowadzał wiele ataków, dzięki czemu mógł omijać blokady morskie. Przypuszczał, że jego okręt pokona „Siren” i że spotka się ze swoimi ludźmi w jaskini.

St. Julien, urodzony gawędziarz, zaakcentował ostatnie słowo, by dodać opowieści dramatyzmu.

- Ruszyli więc na zachód i kiedy mogli, szli wzdłuż brzegu, ale często musieli zbaczać w głąb lądu. Henry nie wiedział, ile dni wędrowali. Oceniał, że około czterech tygodni, i musiało to być istnym piekłem. Wody stale brakowało i nieraz myśleli, że umrą z pragnienia. „Woda, woda

wszędzie, lecz ani kropli do picia”, jak to trafnie ujął Coleridge. Ratowały ich sporadyczne szkwały z deszczem i sok znajdujących małży.

- Stało się też coś zabawnego. Zaprzyjaźnili się. Al-Dżama znał trochę angielski, a ponieważ Henry był już dwujęzyczny, bardzo szybko nauczył się arabskiego. Nie potrafię sobie wyobrazić, o czym mogli rozmawiać, ale tak właśnie było. Zanim dotarli do kryjówki, Al-Dżama już nie utrzymywał Henry’ego przy życiu z obowiązku, lecz dlatego, że naprawdę go polubił. Później nazywał go synem, a Henry mówił o nim „ojciec”.

- W tajnej bazie zastali „Saqra”, ale członkowie załogi, w przekonaniu, że ich kapitan zginął, wrócili do swoich domów wzdłuż berberyjskiego wybrzeża. W raporcie dla Departamentu Marynarki Charles Stewart stwierdza, że „Saqr” stanął w ogniu i zatonął, kiedy przerwali walkę, ale najwyraźniej ocalał.

- Według relacji Henry’ego kryjówka była dobrze zaopatrzona i troszczył się o nich pewien stary służący. Co kilka miesięcy przybywała karawana wielbłądów, by wymienić jedzenie na część łupu, który zgromadził Al-Dżama, choć kazał im obiecać, że nie ujawnią jego ludziom, iż przeżył.

- Łupu? - zapytała Alana.

- Henry użył słów „góra złota” - odpowiedział Perlmutter. - Uważa się też, że Al-Dżama był w posiadaniu Klejnotu Jerozolimy.

Alana spojrzała na podsekretarz Valero.

- Chce mnie pani wysłać na poszukiwania skarbu? Christie przytaknęła.

- W pewnym sensie, ale nie interesuje nas złoto ani mityczny kamień szlachetny. Co wiesz o fatwie?

- Czy to nie rodzaj odezwy do muzułmanów? Jakiś czas temu wydano taką, żeby zabić Salmana Rushdiego za napisanie *Szatańskich wersetów*.

- Właśnie. Zależnie od tego, kto ją wydaje, może ona mieć ogromny wpływ na mahometan. Ajatollah Chomeini wydał taką w czasie wojny irańsko-irackiej, żeby żołnierze dokonywali samobójczych ataków. Musisz wiedzieć, że Koran kategorycznie zabrania samobójstwa, ale siły Saddama gromiły oddziały Chomeiniego, więc był zdesperowany. Zezwolił swoim ludziom na wysadzanie się w powietrze, jeśli będą przy tym uśmiercali przeciwników. Jego strategia okazała się skuteczna, może aż za bardzo, z naszego punktu widzenia. Irańczycy odparli wojska irackie i w końcu doszło do zawieszenia broni, ale fatwa pozostała i wciąż jest wykorzystywana jako uzasadnienie samobójczych zamachów bombowych od Indonezji po Izrael. Gdyby odwołał ją jakiś równie szanowany duchowny, może zaprzestano by tego na całym świecie. Alana zaczynała rozumieć.

- Sulejman Al-Dżama?

St. Julien pochylił się do przodu, skóra na kanapie zaskrzypiała.

- Zgodnie z tym, co Henry powiedział Charlesowi Stewartowi po powrocie do Stanów Zjednoczonych, Al-Dżama całkowicie zmienił swój wcześniejszy stosunek do chrześcijan. Nigdy nawet z żadnym nie rozmawiał, dopóki Henry go nie ocalił. Henry czytał mu Biblię, którą miał przy sobie, i Al-Dżama zaczął się skupiać na podobieństwach obu religii, zamiast na różnicach między nimi. Przez dwa lata poprzedzające jego śmierć w kryjówce studiował Koran jak nigdy przedtem i pisał obszernie o tym, że mahometanie i chrześcijanie powinni żyć w pokoju. Moim zdaniem nie chciał, żeby jego marynarze dowiedzieli się, że przeżył bitwę morską, ponieważ chcieliby kontynuować rozboje, a on nie.

Wtrąciła się Christie Valero:

- Jeśli tamte dokumenty istnieją, mogłyby być potężną bronią w wojnie z terroryzmem, bo podcięłyby skrzydła wielu najbardziej fanatycznym zamachowcom. Zabójcy, którzy są ślepo posłuszni wcześniejszym edyktom Al-Dżamy, żeby mordować chrześcijan, poczuliby się moralnie zobowiązani przynajmniej do rozważenia tego, co stary pirat napisał pod koniec życia. Nie wiem, czy się orientujesz - ciągnęła - że za parę miesięcy jest konferencja pokojowa w Trypolisie w Libii. To będzie największe zgromadzenie tego rodzaju w historii i być może nasza najważniejsza próba zakończenia walki raz na zawsze. Wszystkie strony deklarują gotowość do poważnych ustępstw, a kraje wydobywające ropę obiecują przeznaczyć miliardy na pomoc gospodarczą. Bardzo bym chciała, żeby sekretarz stanu miała okazję przeczytać, co Al-Dżama napisał o pojednaniu. Uważam, że to przechyliłoby szalę na stronę pokoju.

Alana się skrzywiła.

- Czy to nie byłoby... bo ja wiem... raczej symboliczne?

- Owszem - przyznał St. Julien - ale taka jest w dużej mierze dyplomacja. Strony chcą pojednania. Ujawnienie, że zwolennikiem pokoju był szanowany imam, potężny inspirator przemocy, który zmienił poglądy, byłoby mistrzowskim posunięciem dyplomatycznym, i te rozmowy musiałyby się zakończyć sukcesem.

Alana przypominała sobie uczucie podniecenia, że pomoże ustabilizować sytuację na Bliskim Wschodzie, towarzyszące jej po spotkaniu z Valero i Perlmutterem, ale teraz, po tygodniach bezowocnych poszukiwań tajnej bazy Al-Dżamy, czuła się tylko zmęczona, spocona i brudna. Wstała. Koniec przerwy.

- Chodźmy. Została nam jeszcze godzina. Potem trzeba będzie wrócić do rzymskich ruin i zameldować się nadzorcy wykopalisk. - Taką mieli umowę. Mogli prowadzić własne badania, pod warunkiem że będą wracali do obozu co wieczór. Było to uciążliwe, ale tunezyjskie władze nalegały, żeby nikt nie nocował samotnie na pustyni. - Możemy ostatecznie sprawdzić to miejsce, gdzie według przecucia Grega czeka nas nagroda, bo znajomość geologii nic mi nie podpowiada.

5.

Plan schwytania Mohammada Didiego, który ułożył Cabrillo, był prosty. Gdy tylko on i jego świta wejdą do nadbudowy, otoczą ich uzbrojone drużyny o przytłaczającej sile. Element zaskoczenia powinien zagwarantować że wszystko pójdzie gładko. Kiedy dostaną go w swoje ręce odbiją od pomostu i skierują się na pełne morze. Żaden z kutrów rybackich nie miał szans dogonić zamaskowanego frachtowca, a Juan nie widział w obozie rebeliantów helikoptera.

Był tak pewny swego, że nie zamierzał uczestniczyć w akcji. Dowodzenie operacją powierzył Eddiemu Sengowi, który udawał kapitana Kwana. Eddie pracował kiedyś w CIA, jak Cabrillo, i należał do najlepszych żołnierzy na „Oregonie”. Miał go wspomagać, jak zwykle, Franklin Lincoln. Wielki ekskomandos SEAL stał na pokładzie, gdy piraci weszli na statek, i wzięli go za Afrykanina. Linc pochodził z Detroit i był bodaj najbardziej opanowanym człowiekiem, jakiego Cabrillo znał.

Ale kiedy Juan patrzył na ekran, widział, że jego plan się wali.

Kamera wysoko na szczycie jednego z żurawi frachtowca umożliwiała obserwację całej przystani. Didi już miał wejść na schodnię, gdy nagle przystanął, powiedział kilka słów do towarzyszących mu mężczyzn i odsunął się na bok. Tuziny Somalijczyków wbiegły na trap, wrzeszcząc i wyjąc jak potępieńcy.

- Prezesie! - zawołał Mark Murphy, kiedy zaroilo się od nich na statku.

- Widzę.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Giuseppe Farina.

- Daj mi sekundę. - Juan nie mógł oderwać oczu od monitora. Wcisnął przycisk mikrofonu w swoim fotelu. - Eddie, widzisz to?

- Patrzą na ekran tutaj na dole. Wydaje się, że plan A nie wypalił. Co proponujesz?

- Zostań na miejscu i nie pokazuj się, dopóki czegoś nie wymyślę.

Mohammad Didi w końcu zaczął się wspinać na statek, ale na pokładzie była już co najmniej setka tubylców i następni podążali za swoim przywódcą.

Juan przemyślał i odrzucił różne rozwiązania. „Oregon” i jego załoga byli tak uzbrojeni, że mogliby wybić Somalijczyków jak muchy, ale nawet nie brał tego pod uwagę. Członkowie Korporacji byli najemnikami, zajmowali się ochroną i inwigilacją dla zysku, ale nigdy nie przekraczali pewnych granic. Nigdy nie wzięliby na celowniki cywilów. Zabicie facetów wymachujących kałasznikowami nie ciążyłoby Juanowi zbyt na sumieniu, ale w tłumie były kobiety i dzieci.

Eric Stone wpadł do centrum operacyjnego tylnym wejściem, wciąż w przebraniu Duane’a Maryweathera.

- Przepraszam za spóźnienie. Wygląda na to, że mamy większą imprezę, niż planowaliśmy.

Usiadł na swoim stanowisku nawigatora i stuknął się pięściami z Murphem. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Stone pozostał nieśmiałym, wybitnie uzdolnionym pilnym uczniem szkoły średniej, mimo że spędził cztery lata w Annapolis i sześć w marynarce wojennej. Chodził przeważnie w

drelichowych spodniach i koszulach z przypinanym kołnierzykiem; nosił okulary i nie zwracał sobie głowy szklami kontaktowymi.

Murph nosił maskę surfera-punkowca, której nie mógł całkowicie zrzucić. Ten absolutny geniusz projektował broń dla wojska - w ten sposób poznał Erica. Obaj zbliżali się powoli do trzydziestki. Mark ubierał się zwykle na czarno i utrzymywał ciemne włosy w kudłatym nieładzie. Drugi miesiąc zapuszczał kozią bródkę, ale bez powodzenia. Choć różnili się pod bardzo wieloma względami, tworzyli jeden z najlepszych zespołów na statku i umieli przewidywać zamiary Cabrilla, jakby czytali w jego myślach.

- Przygotować... - zaczął Cabrillo.
- ...armatki wodne - dokończył Murph. - Już się robi.
- Nie strzelać bez mojego rozkazu.
- Jasne.

Juan spojrział na Lindę Ross. Była wiceprezesem Korporacji do spraw operacyjnych. Służyła na krążowniku klasy Aegis i pełniła obowiązki asystentki Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, więc kwalifikowała się do walki na morzu i do pracy sztabowej. Miała twarz baśniowej wróżki, migdałowe oczy, piegi na nosie i policzkach. Stale zmieniała uczesanie i kolor włosów, a teraz była blondynką ostrzyżoną na „elegantkę”, jak to nazywała. Jej wysoki, niemal dziewczęcy głos wydawał się nieodpowiedni do wydawania rozkazów bojowych, ale w niczym nie ustępowała swoim kolegom na pokładzie.

- Linda - powiedział Cabrillo - monitoruj Didiego. Śledź go kamerami wewnętrznymi i daj mi znać, jak tylko wejdzie do ładowni.

- Załatwione.
- Seppe, jesteś zadowolony, że Didi znalazł się na tym statku z własnej nieprzymuszonej woli?
- Jest twój.

Juan znów włączył mikrofon.

- Eddie, Linc, spotykamy się na dole w Magicznej Pracowni, migiem.

Wsunął przenośne radio do kieszeni i włożył słuchawki, żeby stale być w kontakcie z innymi. Kiedy wybiegał z centrum operacyjnego, rzucił przez ramię do Halego Kasima, żeby go połączył z Kevinem Nixonem, głównym czarodziejem Magicznej Pracowni. Zamiast czekać na windę, Cabrillo skorzystał z wyłożonej tekową boazerią klatki schodowej i wyjaśnił byłemu hollywoodzkiemu charakterowi, o co mu chodzi. Potem skontaktował się z Maksym Hanleyem i wydał mu polecenia. Max ponarzekał na to, co Juan chciał zrobić, wiedząc, że jego personel techniczny będzie miał z tym później sporo pracy, ale przyznał, że pomysł jest dobry.

Cabrillo dotarł do Magicznej Pracowni tuż po Eddie i Linc. Pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie salonu piękności z magazynem. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się blat charakterystyczny i lustro, resztę przestrzeni zajmowały stojaki z ubraniami, gadżetami do efektów specjalnych i wszelkiego rodzaju rekwizytami.

Dwaj komandosi nazywani przez Maksa „psami myśliwskimi” byli ubrani w czarne mundury polowe z kieszeniami na dodatkową amunicję, noże bojowe i inny sprzęt. Trzymali karabiny szturmowe Barrett REC7, które miały ewentualnie zastąpić całą gamę broni M16.

- Zostawcie te armaty - rozkazał szorstko Cabrillo.

Kevin wpadł do Magicznej Pracowni z jednego z dużych magazynów, gdzie przechowywał przebrania. Przyniósł stroje nazywane „diszdasza”, długie szaty w stylu nocnych koszul, popularne w

tej części świata. Bawełna była kiedyś biała, ale została umiejętnie poplamiona, żeby sprawiała wrażenie starej i znoszonej. Kevin wręczył każdemu jeden strój i wciągnęli je na ubrania. Linc wyglądał jak wciśnięty do kielbasnicy, ale szata zasłaniała wszystko oprócz jego wojskowych butów.

Nixon dał im też arabskie chusty i kiedy owijali nimi głowy, nakładał makijaż Eddiemu i Juanowi, żeby przyciemnić im cerę. Kevin był perfekcjonistą i nie cierpiał niedbałej roboty, ale czuł niecierpliwość Cabrilla.

- Nie musisz się tak starać - powiedział Juan. - Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Taka jest pierwsza zasada maskowania się.

Głos Lindy dobiegł z jego radia:

- Didi jest jakieś dwie minuty drogi od głównej ładowni.
- Za szybko. Nie jesteśmy gotowi. Jest ktoś na mostku?
- Para dzieciaków bawi się kołem sterowym.
- Włącz syrenę okrętową i puść dźwięk do ładowni przez głośniki.
- Po co?
- Zaufaj mi - odparł krótko Juan.

Ryk syreny rozległ się na bagnach, spłoszone ptaki poderwały się do lotu, kundle w obozie podkuliły ogony. W korytarzu, którym szedł Mohammad Didi ze swoją świtą, hałas porażał zmysły. Zasłonili rękami uszy, ale niewiele to dało.

- Dobra decyzja - pochwaliła prezesa Linda. - Didi się zatrzymał i wysłał jednego ze swoich ludzi do sterówki. Tamte dzieciaki będą miały za swoje, jak facet tam dotrze.

- Co się dzieje w innych miejscach?

- Syrena nie powstrzymała ludzi przed szabrem. Widzę, jak dwie kobiety wynoszą materace z kapitańskiej kajuty. Inna para zabiera te szkaradne obrazy klaunów. I nie pytaj mnie dlaczego, ale jakiś facet usiłuje wyrwać sedes.

- Bo mówi się o tym „tron” - zażartował Juan.

Kevin skończył nakładać makijaż, zanim człowiek Didiego wszedł na mostek i złapał dwóch chłopców za uszy. Linda uciszyła syrenę, kiedy pirat sięgnął do wyłącznika, choć popatrzył dziwnie na panel, bo nie zdążył dotknąć żadnego przycisku. Wzruszył ramionami i wrócił szybko do swojego wodza.

Rusznikarz przyszedł do Magicznej Pracowni i rozdał trzy kałasznikowy AK.-47. Karabinki wyglądały na tak zużyte w walce jak broń piratów, ale był to kamuflaż, jak wszystko na „Oregonie”. W rzeczywistości działały bez zarzutu. Dał im też maski gazowe, które wepchnęli do kieszeni diszdaszy.

- Ściągnąłeś nas tutaj - powiedział Linc - i wyglądacie obaj jak para naśladowca dwóch miejscowych kumpli, ale nie wiem, jaki jest plan.

- Nie moglibyśmy podejść do Didiego ubrani jak ninja przy tyłu uzbrojonych rebeliantach wałęsających się po statku. Musimy zbliżyć się do niego, nie wywołując alarmu.

- Stąd te stroje muftich - domyślił się Eddie.

- W tym całym zamieszaniu wtopimy się w tłum i zaczekamy na odpowiedni moment - wyjaśnił Juan.

- Jeśli Didi postanowi otworzyć beczki z azotanem amonu i zorientuje się, że to woda morska, wyczuje pułapkę i da nogę z „Oregoną”.

- Jak myślisz, dlaczego się śpieszę, duży? Kevin?

Nixon cofnął się i przyjrzał swojemu dziełu. Pogrzebał w szufladzie biurka i wręczył Juanowi i Eddiemu okulary przeciwsłoneczne w lotniczym stylu. Odcień ich cery był właściwy, ale bez lateksowych aplikacji nie mógł zmienić im rysów twarzy. Gdyby miał dość czasu, zrobiłby z nich bliźniaków Didiego, jednak dodanie ciemnych okularów go zadowoliło. Skinął głową i zamierzał oznajmić, że skończył robotę, lecz Juan już wyprowadzał pozostałych z pracowni.

- Linda, gdzie jest teraz Didi? - zapytał Cabrillo przez radio.

- Dokładnie przed ładownią. Towarzyszy mu chyba dwunastu ludzi. Wszyscy są uzbrojeni po zęby. A skoro o tym mowa, to nasz przywódca piratów, Hakim, szczerzy je od ucha do ucha.

- Nie dziwię mu się - odparł Juan. - Ale już niedługo. Poprowadził Linca i Eddiego do nieoznakowanych drzwi w jednym z eleganckich korytarzy „Oregona”. Odsłonił judasz w lustrze weneckim i kiedy zobaczył, że w pomieszczeniu po drugiej stronie jest ciemno, otworzył drzwi i weszli do środka. W blasku górnego oświetlenia ukazał się schowek gospodarczy ze zlewem, mopem, wiadrami i półkami wypełnionymi środkami czyszczącymi. Było to jedno z wielu tajnych przejść między dwiema częściami „Oregona”.

Dopiero gdy Juan położył rękę na gałce drzwi do publicznej części statku, pomyślał, że może się znaleźć w sytuacji bojowej. Nagły przyływ adrenaliny podziałał na niego jak narkotyk. Towarzyszyły temu - jak zawsze - strach, niecierpliwość i podniecenie, ale im częściej stawiał czoło niebezpieczeństwu, tym dłużej zajmowało mu tłumienie tych uczuć i oczyszczanie umysłu.

O takich chwilach członkowie Korporacji nigdy nie rozmawiali i nie przyznawali się, że je miewają. Wyobraził sobie zgrozę Linca i Eddiego, gdyby się odwrócił do nich i zapytał, czy boją się tak jak on. Strach to żaden wstyd, ale dobry żołnierz jest tak zdyscyplinowany, że zmienia to uczucie w inne, przydatne w walce.

Juan się nie zatrzymał. Pchnął drzwi i wszedł do drugiej części statku. Dwie Somalijki niosły zrolowany dywan, który musiały zabrać z jednej z kabin. Nie zwróciły uwagi na Cabrilla i jego towarzyszy.

Trzej mężczyźni pobiegli ku rufie i dotarli do zejściówki wiodącej dalej w głąb frachtowca. Uzbrojony wartownik stał u stóp schodów i kiedy Juan spróbował go ominąć, tamten złapał go za ramię i powiedział coś w języku somali, czego Cabrillo nie zrozumiał.

- Muszę pomówić z naszym przywódcą - wyjaśnił Juan po arabsku w nadziei, że mężczyzna zna ten język.

- Nie wolno mu przeszkadzać - odrzekł niepewnie wartownik.

- Niech będzie po twojemu - mruknął Juan po angielsku i wyrznął drobnego Somalijczyka sierpowym, który zwałił go z nóg.

Cabrillo potrząsnął dłonią, Linc i Eddie zawlekli wartownika pod metalowe schody.

- Pamiętajcie, że ten facet tu leży, żebyśmy nie zapomnieli o nim, jak będzie po wszystkim - powiedział Juan i ruszył do ładowni. Według Lindy Ross Mohammad Didi był tam od trzech minut i oglądał pikapy. - W jakim jest humorze?

- W takim jak dziecko w sklepie ze słodyczami.

- Okej, chyba już czas. Przekaż Maksowi, żeby zaczął puszczać dym i miał w pogotowiu armatki wodne. Pamiętaj, że chcę, żeby ludzie się wynieśli, a nie wdarli na pokład i łapali, co popadnie.

- Przyjęłam.

Być może najwspanialszą ukrytą cechą „Oregona” było to, że nie napędzały go tradycyjne diesle

okrętowe, lecz silniki magnetohydrodynamiczne. Magnesy chłodzone ciekłym helem pobierały wolne elektrony z wody morskiej i zapewniały statkowi prawie nieograniczoną ilość energii elektrycznej. Prąd służył do zasilania czterech pomp odrzutu wody, które przetłaczały ją przez dwa kierunkowe kanały napędowe głęboko w kadłubie. Rewolucyjny system umożliwiał jedenastotysięcznikowi poruszanie się z niewyobrażalną prędkością. Ale dla podtrzymania iluzji, że frachtowiec jest niemal wrakiem, zainstalowano generatory dymu, który w razie potrzeby buchał z komina, żeby upozorować opłakany stan diesli.

Max kierował teraz ten dym do systemu wentylacyjnego w częściach statku, w których przebywali somalijscy piraci, przekonani, że kontrolują sytuację.

Kiedy Juan zbliżał się do otwartych drzwi ładowni numer 3, zauważył sadzę wydobywającą się z wywietrzników w niskim suficie. Wystarczyłoby piętnaście minut, by statek wypełnił trujący gaz. Usłyszeli głosy w ładowni.

- Gotowi? - zapytał Juan. Linc i Eddie przytaknęli. Wpadli do ładowni i Juan krzyknął po arabsku:

- Pożar! Pali się!

Didi i jego dwunastoosobowa świta, oglądający jeden z pikapów, spojrzeli na niego.

- O co chodzi?

- Pożar. Dym. - Juan zdawał sobie sprawę, że jego saudyjski akcent musi dziwnie brzmieć w Somalii. - Wydobywa się zewsząd.

Didi zerknął na beczki z azotanem amonu. Juan nie wiedział, czy watażka myśli o zabranii ich, zanim statek stanie w ogniu, czy też niepokoi się, że mogą wybuchnąć. Czuli już dym w niewentylowanej ładowni. Wisiał blisko drzwi. Juan popatrzył na Hakima. Pirat wyczuł, że jest obserwowany, i odwzajemnił spojrzenie. Nie miał pojęcia, co się kryje za okularami przeciwsłonecznymi na twarzy Cabrilla, ale wyciągnąłby pistolet i strzelił, gdyby wiedział, jak bardzo Juan nienawidzi piratów. Głos Lindy rozległ się w słuchawce niewidocznej pod jego turbanem:

- Do twojej wiadomości, kobiety i dzieci kierują się do trapu, ale niewielu żołnierzy sprawia wrażenie zaniepokojonych.

- Widziałeś ogień? - zapytał Mohammad Didi.

- Eee... nie.

Błysk nieufności pojawił się w oczach dyktatora.

- Nie znam cię. Jak się nazywasz?

- Faruk.

- Skąd jesteś?

Juan nie mógł w to uwierzyć. Podniósł alarm, że wybuchł pożar, Didi widział dym, a żądał od niego życiorysu.

- Nie ma czasu.

- Dobrze, zobaczymy, co cię tak wystraszyło. Ktoś pewnie po prostu przypalił jedzenie w kambuzie.

Juan skinął do Eddiego, żeby poprowadził ich z powrotem korytarzem do schodów. Didi szedł wolno i trzymał się w środku swojej grupy, mimo że Juan go ponaglał. Eddie obejrzał się tuż przed wodoszczelnymi drzwiami. Cabrillo skinął. Gdy tylko Mohammad Didi, poprzedzany przez Juana i Linca, przestąpił próg, stalowy panel ukryty w suficie opuścił się pod działaniem siłowników

hydraulicznych. Stało się to tak szybko, że ludzie uwięzieni po drugiej stronie nie zdążyli zareagować. W jednym momencie droga była wolna, w następnym metalowa bariera zatrzymała ich w korytarzu. Płyta odgrodziła połowę ochroniarzy watażki, ale pozostało ich jeszcze zbyt wielu, żeby rozprawić się z nimi w ciasnej przestrzeni.

- Co się dzieje? - zapytał Didi, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Hakim pamiętał nieprawdopodobną opowieść Malika i Aziza o pustej mesie. Rozejrzył się z zabobonnym lękiem. Coś było nie tak z tym statkiem i jego nagłe pragnienie zejścia z pokładu nie miało nic wspólnego z ewentualnym pożarem.

Dwaj piraci próbowali bez powodzenia unieść stalową płytę, ich kompani łomotali w nią z drugiej strony. Dym gęstniał.

- Zostawcie ich! - krzyknął Didi, który też wyczuł, że sytuacja nie jest taka, jak się wydawało.

Wbiegł pierwszy na schody, nie zauważając, że zniknął wartownik wcześniej tam przez niego postawiony. Szybki marsz zamienił się w trucht, a potem w sprint.

Ten facet ma instynkt szczura, pomyślał Juan. Zwolnił, żeby skontaktować się z centrum operacyjnym bez zwracania uwagi na siebie.

- Linda, śledzisz nas?

- Tak.

- Nie mogę dorwać Didiego przy tych wszystkich gorylach. Jak wyjdziemy na pokład, walniesz w nas, jasne?

- Jasne.

W drodze na górę minęli korytarz z najbliższym tajnym wejściem i wyłonili się na głównym pokładzie przy trapie. Gdy tylko wynurzyli się z nadbudowy na palące słońce, strumień z armatki wodnej trafił Didiego prosto w pierś. Uderzenie odrzuciło go do tyłu na jego ludzi i trzech z nich upadło. Linc opasał potężnymi ramionami dwóch, którzy utrzymali się na nogach, i zderzył ich głowami z głuchym odgłosem. Gdyby chciał, mógłby roztrzaskać im czaszki, ale zadowolił się tym, że runęli na pokład.

Hakim zignorował rwący potok u swoich stóp i popatrzył na Cabrilla z niedowierzaniem. Woda morska zmyła Juanowi makijaż z twarzy, zerwała ciemne okulary i odsłoniła przenikliwe niebieskie oczy. Ostrzegawczy okrzyk Somalijczyka przebił się przez zawodzenie polewanych kobiet. Przyciskał kałasznikowa do biodra, kiedy Juan zaatakował go barkiem i pchnął na reling. Impet wystarczył, by pirat zagiął palec na spuście. Karabinek wystrzelił serię pocisków. Na szczęście poszybowały nad głowami przemieszczających się kobiet i dzieci, ale wywołały popłoch i uporządkowany exodus zamienił się w chaotyczną ewakuację. Terkot kałasznikowa zwrócił też uwagę innych uzbrojonych mężczyzn. Juan wyładował gniew na Somalijczyku, wbijając mu łokieć w brzuch. Karabinek Hakima upadł z hałasem na pokład. Gdy pirat wybałuszył oczy i wciągał ustami powietrze, Cabrillo wymierzył mu tak silny cios w szczękę, że Somalijczyk przeleciał przez reling. Juan wyjrzał za burtę i zobaczył, że Hakim miał pecha i nie wyładował w wąskim przesmyku wody między statkiem i pomostem, lecz na pawęży kutra rybackiego, który wykorzystał wcześniej do ataku na „Oregon”. Juan poznał po wygięciu szyi pirata, że skręcił sobie kark i jest martwy. Nie mógł być bardziej zadowolony.

Zaczął się przepychać przez spanikowany tłum Somalijczyków. Woda nadal tryskała z armatki i opryskiwała statek, więc przypominało to rejs przez cyklon. Nikt zdawał się nie zauważać jego jasnej skóry, dopóki nie zobaczył go około sześciolatek chłopiec z naręczem prześcieradeł i

ęcowników, który otworzył usta, by wszczać alarm. Juan uszczypnął go w ramię w nadziei, że malec się rozplacze jak wiele innych dzieci wokół usiłujących opuścić statek ze swoimi matkami. Zamiast tego chłopiec padł na pokład i złapał Juana za nogę obiema rękami. Cabrillo starał się uwolnić, ale malec trzymał go z nieustępliwością mureny. Potem popełnił błąd i ugryzł Juana w łydkę. Nigdy nie był u dentysty ani nawet nie słyszał o kimś takim, więc zacisnął szczęki z całej siły i stracił cztery młeczne zęby. Zaczął wrzeszczeć, kiedy krew pociekła mu z ust. Cabrillo się oswobodził i dotarł do swoich ludzi.

- Chodźcie.

Mohammad Didi już prawie stanął na nogi. Strumień z armatki gaśniczej podarł mu koszulę i odsłonił pierś poznaczoną bliznami po odłamkach, woda kapała mu z brody. Wyglądał jak utopiony szczur i chciał jak najprędzej zejść z „Oregoną”. Rzucił się naprzód i napotkał mur nie do przebiccia.

Franklin Lincoln górował jak wieża nad somalijskim wodzem.

- Nie tak szybko, przyjacielu - powiedział wielki mężczyzna, chwycił Didiego za ramię i wyciągnął mu pistolet z kabury.

- Na pomoc! - krzyknął Didi do swoich goryli.

Potężna fontanna wody i rozbryzgi od pokładu ograniczały widoczność do trzech metrów, ale okrzyk zelektryzował ludzi Didiego. Ruszyli naprzód, chroniąc oczy przed prysznicem, karabinki trzymali jedną ręką z palcem na spuście.

- Do środka! - Juan pomógł wciągnąć Didiego głębiej do nadbudowy, Eddie osłaniał odwrót. Piraci przedarli się przez wodospad i gdy tylko ich wzrok przyzwyczaił się do półmroku wewnątrz statku, zorientowali się, że przywódca jest w tarapatach. Jeden z nich oddał pół tuzina strzałów, lekceważąc bezpieczeństwo Didiego.

Juan poczuł na szyi ciepło pocisków, zanim trafiły w sufit i zrykoszetowały. Wycofujący się biegiem Eddie powalił bandytę dwoma strzałami z kałasznikowa, potem przestawił selektor na ogień ciągły i skierował serię na trzech pozostałych przeciwników. Dali nura na pokład i drużyna Korporacji zdążyła skręcić za róg. Juan wsunął się na czoło i nasłuchiwał przez radio ostrzeżeń Lindy przed innymi piratami na statku. Przystanął przed skrzyżowaniem korytarzy, kiedy mu powiedziała, że uzbrojony Somalijczyk jest tuż za zakrętem. Wyrzwał zza rogu, zobaczył plecy mężczyzny i zdzielił go w potylicę kolbą karabinka.

Albo źle obliczył, albo pirat miał najtwardszą czaszkę na świecie, bo odwrócił się do niego, wbił mu broń w brzuch i odepchnął go na odległość strzału.

Juan wyrzucił przed siebie lewą nogę i przygwoździł lufę do ściany. Bandyta próbował ją wyszarpnąć, ale nie mógł. Cabrillo zamachnął się swoim AK-47 jak kijem bejsbolowym i walnął pirata w twarz. Ten padł jak długi z rozciętym policzkiem. Linda nadała następne ostrzeżenie, gdy tylko Juan spojrział w głąb korytarza. Dwaj kolejni piraci wyłonili się z mesy, prowadząc ostrzał. Juan został trafiony tuż powyżej prawej kostki i zatoczył się. Stracił równowagę i przewróciłby się, gdyby Eddie nie chwycił go za ramię i nie wciągnął z powrotem za róg.

- Okej? - zapytał Seng. Juan zgiął kolano.

- Proteza wydaje się w porządku. - Poniżej kolana Juan Cabrillo miał sztuczną nogę, odkąd pocisk artyleryjski z chińskiego niszczyciela pozbawił go własnej podczas zadania, które Korporacja wykonywała dla Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Somalijski chłopiec na tej protezie połamał sobie zęby.

Cabrillo poprawił obłuzowaną słuchawkę.

- Mów, Linda.

- Tamci dwaj, którzy przed chwilą strzelali, zajmują pozycje obronne w drzwiach mesy i zaraz będziesz miał na karku jeszcze sześciu.

- Eddie, pilnuj naszych tyłów.

Juan pobiegł korytarzem do jednej z kabin. Drzwi były zamknięte i Somalijscy nie mieli dość czasu, by je sforsować i ogołocić pomieszczenie. Włożył klucz uniwersalny do otworu w klamce i pchnął drzwi. Kajuta miała być kwaterą głównego mechanika, więc była mniejsza niż kapitańska, używana wcześniej przez Eddiego. Tanie meble dopasowano do reszty kamuflażu „Oregon”, pomieszczenie zdobiły plakaty z hiszpańskiej corridy i modele żaglowców w butelkach. Juan przemierzył kabinę i wszedł do małej toalety. Nad porcelanową umywalką wisiało lustro przyklejone do przegrody. Uderzył lufą AK w szkło i roztrzaskał je na kawałki. Podniósł jeden wielkości karty do gry z pokrytej linoleum podłogi i wypadł z kajuty. Podkradł się znów do rogu i wystawił kawałek lustra na korytarz, żeby widzieć dwóch bandytów. Czaili się w drzwiach mesy, jak powiedziała Linda, jeden kucał, drugi stał schylony nad nim. Obaj celowali w kierunku zakrętu, ale w słabym świetle nie mogli dostrzec lusterka.

Wolno, niczym kobra usypiająca czujność swojej ofiary, Cabrillo wysunął lufę karabinka zza rogu tylko na tyle, że ukazał się jedynie jej wylot.

Niektórzy nazywają to szóstym zmysłem - zdolność człowieka do określania swojej pozycji względem otoczenia, orientację w przestrzeni. Cabrillo miał tak wyostrzony szósty zmysł, że nawet gdy patrzył na odbicie w lustrze przycupnięty na podłodze z sześcioma terrorystami na karku, potrafił dokładnie wyczuć, pod jakim kątem musi trzymać kałasznikowa. Uniósł broń o ułamek centymetra i nacisnął spust.

Seria trafiła w ścianę obok wejścia do mesy i pociski zrykoszetowały z taką siłą, że uderzyły w drzwi, które się zamknęły od impetu i przytrzasnęły wystające lufy broni piratów. Cabrillo ruszył naprzód pod osłoną własnego ognia. Piraci nie próbowali wyszarpnąć karabinków ani otworzyć drzwi pod ostrzałem i Juan zdążył dotrzeć do nich niezauważony. Wbił lufę w szczelinę między drzwiami i framugą i znów wygarnął serią z bliska. Krew zaskwierczała na gorącej broni, kiedy ją wycofał. Zajrzał przez szparę i zobaczył, że obaj bandyci leżą podziurawieni pociskami.

Przywołał gestem swoich ludzi, by dołączyli do niego. Linc prowadził somalijskiego dowódcę, niemal go niosąc.

- Nadchodzą - ostrzegła Linda.

Juan wiedział, że mówi o sześciu przeciwnikach, o których wspomniała wcześniej. Wyrzucił pusty magazynek z kałasznikowa i wcisnął na miejsce pełny. Jeden nabój pozostał w komorze - Cabrillo nigdy nie zużywał amunicji do końca, bez względu na to, jak zażarta była walka - więc nie musiał przeładowywać broni. Gdy tylko zobaczył cień wyłaniający się zza rogu, gdzie przed chwilą się ukrywali, otworzył ogień. Strzelał desperacko obok swoich ludzi, żeby dać im czas na dotarcie za osłonę.

Hałas był ogłuszający w zamkniętej przestrzeni, dym z wentylatorów i luf uniemożliwiał oddychanie i ograniczał widoczność.

Błyskom na końcu korytarza towarzyszył terkot broni przeciwnika. Eddie Seng padł jak długi, jakby ktoś popchnął go nagle z tyłu. Nie zdołał podeprzeć się rękami, upadł na pokład i uderzył w prezesa. Cabrillo jedną ręką złapał go za kołnierz i wciągnął do mesy, a drugą wciąż strzelał.

Didi nadal miotał się w potężnym uścisku Linca, który wpychał go do pomieszczenia. Wszystkie

meble zniknęły i - nie do wiary - dwaj Somalijczycy usiłovali wydostać kuchenkę z kambuza, mimo strzelaniny na zewnątrz. Kiedy zdali sobie sprawę, że ludzie, którzy wtargnęli do mesy, nie są ich przyjaciółmi, rzucili ciężar i sięgnęli po swoją broń leżącą na palnikach.

Juan strzelił szybko z wysokości biodra, co nie przeszkodziło mu trafić w cel. Krew i strzępy ciała wytrysnęły z piersi obu piratów.

Niewidoczne drzwi w przegrodzie otworzyły się. Linda obserwowała ich dzięki ukrytej kamerze i ustawiła ludzi do pomocy. Dwaj członkowie Korporacji wpadli do mesy i dziesięć sekund później Mohammad Didi miał plastikowe kajdanki na nadgarstkach. Wepchnęli go za drzwi i zamknęli je za sobą. Eddie jęczał i próbował wstać. Juan podniósł go delikatnie i wprowadził za próg. Po drugiej stronie Cabrillo oparł się o ścianę z rękami na kolanach, woda kapała z niego na miękki dywan. Dopiero po chwili złapał oddech.

- Mogło pójść lepiej - wysapał.

- Owszem - zgodził się Eddie.

- Nic ci się nie stało?

- Pocisk drasnął moją kamizelkę kuloodporną. Boli jak diabli, ale jestem na chodzie. Daj mi sekundę.

Giuseppe Farina podszedł z doktor Huxley. Miała na sobie swój obowiązkowy biały fartuch laboratoryjny, a pod nim strój chirurgiczny. Trzymała skórzaną torbę lekarską w prawej dłoni. Była rzeczowa, po czterdziestce, ciemne włosy wiązała w koński ogon. Juan wyszczerzył zęby do Włocha.

- Chyba nie rozegraliśmy tego za bardzo po kowbojsku, co? Farina posłał Didiemu mordercze spojrzenie.

- Liczyłem na trochę więcej.

- Kim jesteście? - zapytał agresywnie Didi akcentowaną angielszczyzną. - Nie możecie mnie zabrać. Jestem obywatelem somalijskim. Mam swoje prawa.

- Już nie, odkąd postawiłeś nogę na tym statku, zanim przeszedł kontrolę celną - poinformował go Juan. - Jesteś teraz na moim terytorium. - Musiał użyć całej siły woli, żeby nie zerwać Didiemu makabrycznego naszyjnika i nie wepchnąć mu go do gardła.

Julia postawiła swoją torbę na pokładzie, poszperała w niej i wyprostowała się ze strzykawką i nożyczkami chirurgicznymi w rękach. Kiedy Linc mocno trzymał Didiego, odcięła watażce część rękawa koszuli i przetarła skórę alkoholem.

Didi wytrzeszczył oczy.

- Co pani robi? - Próbował się uwolnić, ale ramiona Linca opasywały go jak żelazne obręcze. - To są tortury.

Juan wyrósł przed wodzem, zanim ktokolwiek się zorientował, że się poruszył. Wyciągnął Didiego z uścisku Linca, chwycił go jedną ręką za gardło, przyparł do ściany i uniósł tak, że ich oczy znalazły się na jednym poziomie. Somalijczyk zaczął się dusić, ale nikt nie zareagował. Nawet ich europejskiego obserwatora zahipnotyzował wyraz wściekłości na poczerwieniałej twarzy prezesa.

- Chcesz zobaczyć tortury? Zaraz ci pokażę, ty zbrodnicza kupo brudu. - Juan ścisnął kciukiem i palcem wskazującym wolnej ręki splot nerwowy w barku Didiego. Somalijczyk musiał się poczuć tak, jakby go przypalano gorącym żelazem, bo zawył, aż dźwięk odbił się echem w korytarzu. Cabrillo wbijał się coraz głębiej i zmieniał tonację wrzasku pirata, jakby grał na instrumencie muzycznym.

- Wystarczy, Juan - odezwała się Huxley.

Cabrillo puścił Didiego, który upadł na podłogę, trzymając się za gardło i bark. Łkał, ślina ciekła mu z kącika ust.

- Tak myślałem - powiedział Juan, znów opanowany. - Każdy tyran jest w gruncie rzeczy tchórzem. Szkoda, że twoi ludzie nie mogą cię teraz zobaczyć.

Hux pochyliła się nad leżącym i wkuła mu igłę. Didi zatrzepotał powiekami i przewrócił oczami tak, że tylko białka pozostały widoczne. Hux znów się schyliła i opuściła mu powieki.

Seppe wyciągnął rękę.

- Gratuluję, Juan. Zadanie wykonane.

- Będzie, jak wydostaniemy się poza somalijskie wody i ta szumowina zniknie z mojego statku. - Cabrillo włączył radio. - Linda, meldunek sytuacyjny. I niech Max przerwie zadymianie.

- Okej. Piraci, którzy was ścigali, kręcą się po mesie. Jeden sprawdza, co jest z facetami, do których strzeliłeś, ale tamci chłopcy nie są w stanie wiele mu powiedzieć. Na pokładzie fontanny z armatek wodnych odnoszą pożądany skutek. Ludzie uciekają ze statku najszybciej, jak mogą.

- Jak oceniasz, ile osób jeszcze zostało?

- Dokładnie czterdzieści trzy. Łącznie z rebeliantami uwięzionymi przez was blisko ładowni. Nieprzytomnym wartownikiem spod schodów już się zajęto. Ocknął się, jak tylko wylądował w wodzie.

- Powiedz Ericowi, żeby się przygotował do odbicia od brzegu.

- Co zrobimy z piratami włączającymi się nadal po nadbudowie? - zapytała Linda.

- Zamknij ich tam i przyślij tu rusznikarza z pistoletami trankwilizacyjnymi i goglami noktowizyjnymi.

W centrum operacyjnym Linda przekazała polecenia Juana. Obserwowała na dużym monitorze, jak dzieci próbują dla zabawy robić uniki przed potężnym strumieniem wody z jednej z armatek gaśniczych. Ze swojego fotela pośrodku pomieszczenia sięgnęła do sterownika armatki i zamknęła wodę. Chłopcy przestali biegać w kółko i zrobili miny, jakby zabrano im ulubioną zabawkę. Linda wzięła ich na cel i elektronicznie otworzyła zawór z powrotem. Strumień trafił malców w kolana, zwałił wszystkich sześciu z nóg i odrzucił w kierunku trapu. Pokoziółkowali po pokładzie i stoczyli się przemoczeni na pomost. Zerwali się szybko i uciekli do wioski.

- Zamykam - zameldował Mark Murphy ze swojego stanowiska po wpisaniu komend do komputera. Nacisnął ostatni klawisz i ukryte stalowe płyty zasłoniły wszystkie drzwi, włazy i okna, skutecznie uszczelniając całą nadbudowę.

Kot mógłby się poruszać w takiej ciemności, ale człowiek bez gogli noktowizyjnych był jak ślepiec.

Linda przełączyła kamery wewnętrzne na termowizję i sprawdziła wszystkie pomieszczenia. Trzydzieści osób pozostało jeszcze w środku statku. Kiedy przełączyła kamery na noktowizję, zobaczyła, że są to sami uzbrojeni mężczyźni. Słyszała przez głośniki, jak się nawołują, ale żaden nie miał odwagi ruszyć się z miejsca.

Kiedy tylko zakończyła rozpoznanie, Juan odezwał się przez radio:

- Jak stoimy?

- Mamy trzynastu. Piraci z mesy są teraz w korytarzu z innymi, więc uważam, że droga jest wolna.

- To mi wystarczy.

- Udanych łowów.

Dwa pokłady wyżej Juan zgasił światła w korytarzu i włożył gogle noktowizyjne trzeciej

generacji. W rękę trzymał smukły pistolet z rękojeścią z drewna orzechowego i wyjątkowo długą lufą. Sprężony gaz mógł wyrzucić z tej broni dziesięć strzałek z tak silnym środkiem uspokajającym, że przeciętnie zbudowany mężczyzna padał po dziesięciu sekundach. Choć mogłoby się wydawać, że to krótki okres, strzelec z automatem zdążyłby opróżnić cały magazynek - dlatego musiało być ciemno.

Eddie i Linc byli jednakowo uzbrojeni.

Cabrillo znów otworzył tajne przejście. Przez gogle świat miał upiornie zieloną barwę. Powierzchnie odbijające światło błyszczały na biało, co mogłoby rozpraszać uwagę, gdyby Juan i jego ludzie nie byli tak przyzwyczajeni do gogli noktowizyjnych. Kiedy włąz zamknął się za nimi, ruszyli cicho naprzód i przywarli do drzwi mesy. Powietrze wciąż mocno pachniało dymem.

- Trzech jest na prawo od was - poinformowała Linda. - Trzy metry w głąb korytarza, i oddalają się.

Juan przekazał to gestami swoim towarzyszom i jak zjawy w koszmarze wyłonili się z mesy i wycelowali jednocześnie. Pistolety trankwilizacyjne wydały cichy dźwięk, i zanim strzałki dosięgły piratów, Cabrillo, Eddie i Linc ukryli się z powrotem w mesie.

Somalijczycy zostali trafieni w barki, cieniutkie igły łatwo przebiły ubrania i utkwili w ciele. Uklucie sprawiło, że wszyscy trzej się odwrócili, i jeden w panice otworzył ogień. W błysku z lufy zobaczył pusty korytarz i po raz drugi w ciągu dwunastu godzin Aziz i Malik ścigali duchy.

- Załogą tego statku są złe dżinny - zdążył wyjąkać Aziz, zanim obezwładnił go narkotyk. Większy od niego Malik chwiał się przez chwilę, potem też upadł i wylądował na nieprzytomnym trzecim rebeliancie.

- Zostało dziesięciu - powiedziała Linda. - Ale mamy problem.

- Mów - odrzekł krótko Juan.

- Piraci na brzegu zaczynają się organizować. Jakiś facet mobilizuje ich do ponownego zajęcia „Oregona”. Zebrał dwudziestu pięciu czy trzydziestu ludzi, którzy chyba zamierzają spróbować.

- Jestem na głośnikach?

- Tak.

- Mark, wysuń jeden z kaemów pokładowych i rozpuść tłum. Eric, odbijaj od pomostu.

Eric Stone i Mark Murphy wymienili szerokie uśmiechy i wzięli się do roboty. Mark wpisał do komputera komendę dla jednego z karabinów maszynowych kaliber 7,62 milimetra ukrytych w beczce po oleju na pokładzie.

Pokrywa beczki otworzyła się na zawiasach, broń wyłoniła się w pozycji pionowej, po czym lufa została nakierowana na ziemny wał za przystanią. Murphy widział na swoim monitorze obraz z kamery na M60 wraz z siatką celowniczą.

Strzelił serią nad głowami Somalijczyków, kaem zaterkotał i puste łuski spadły na pokład metalowym deszczem. Część uzbrojonych piratów dała nura na ziemię, inni zniknęli za wałem. Kilku leżących odpowiedziało ogniem skoncentrowanym na punkcie, gdzie zdalnie sterowany karabin maszynowy jeszcze dymił. Ich ostrzał pociskami kaliber 7,62 milimetra był równie skuteczny, jak rzucanie papierowymi kulkami w nosorożca.

Obok Murphy'ego Eric Stone uruchomił silniki magnetohydrodynamiczne. Woda w głębi bagien była tylko słonawa, bo mieszała się ze słodką, ale jej zasolenie wystarczyło, by uzyskać osiemdziesiąt procent mocy. Dał wsteczny ciąg. Siła odrzutu wytworzona przez masywne hydrofony wzburzyła wodę przy dziobie „Oregona” i wielki statek zaczął się cofać od

drewnianego pomostu.

Stare konopne liny, którymi piraci przywiązali frachtowiec, napreżyły się, potem napięły jak struny i wreszcie pękły. Eric oddalił statek od przystani na dobre piętnaście metrów, po czym włączył system dynamicznego pozycjonowania, żeby utrzymać „Oregona” na współrzędnych podanych przez GPS.

Nie było mowy, żeby spróbował wymanewrować frachtowiec z bagien bez czuwającego nad nim prezesa, który pomógłby mu w razie kłopotów.

Ale jego decyzja została zmieniona za niego.

Niczym chmara strzał z łuków nadleciały z lądu granaty raketowe. Smugi dymu ciągnące się za nimi zdawały się wypełniać niebo wzdłuż całego horyzontu.

6.

Eric walnął pięścią w przycisk alarmu kolizyjnego. Elektronicznie wygenerowany sygnał rozbrzmiał na całym statku. Załoga dobrze znała ten dźwięk.

Przy tak małej odległości od brzegu nie wystarczyło czasu na użycie do obrony dwudziestomilimetrowego gatlinga, ale Mark Murphy przygotowywał go do odparcia następnego ataku, którego się spodziewał.

Część rakiet zboczyła z kursu i wylądowała w wodzie lub w namorzynach, gdzie eksplodowała nieszkodliwie. Ale mimo że „Oregon” był zwrócony dziobem w kierunku ostrzału, stanowił zbyt duży cel, by chybić. Granaty trafiły w dziób, zniszczyły reling i urwały łapę jednej z kotwic. Inne uderzyły w nadbudowę i wybuchły pod zasłoniętymi oknami sterówki.

Każdy inny statek zamieniłby się w kupę złomu. Ale pancierz „Oregona” wytrzymał. Rakiety zrobiły kilka wyrw na powierzchni stali i opaliły farbę na całej nadbudowie, ale żaden pocisk nie dostał się do środka. Były jednak czułe miejsca. Frachtowiec nie został całkowicie zabezpieczony przed atakiem raketowym. Komin osłaniał wysokiej klasy antenę radarową i celny strzał mógł ją łatwo zniszczyć.

- Nadlatują - usłyszał Juan przez radio tuż przed uderzeniem pierwszego granatu w jego statek.

Trafienie w dziób ostrzegło ich w samą porę. Zdążyli zasłonić rękami uszy i otworzyć usta, by nierówne ciśnienie w zatokach nie rozerwało im bębenków w uszach.

Nadbudowa dźwięczała jak ogromny dzwon. Przy każdej eksplozji zataczali się do tyłu, choć byli daleko od miejsc, gdzie uderzały rakiety. W pomieszczeniach bliżej wybuchów potężne wstrząsy mogły zabić. Jeden z piratów oparty o ścianę trafioną granatem raketowym doznał śmiertelnych obrażeń wewnętrznych, jego dwaj kompani stracili na zawsze słuch.

- Powiedz Ericowi, żeby nas stąd zabrał do wszystkich diabłów! - krzyknął Juan do swojego mikrofonu. Ledwo słyszał samego siebie, głos Lindy brzmiał jak niezrozumiały pisk.

Gdy Eric wcisnął przycisk alarmu kolizyjnego, natychmiast wyłączył GPS i zrekonfigurował główny ekran tak, że jedna połowa pokazywała widok z kamery nad rufówką „Oregona”, a druga obóz piratów. Nie miał czasu ani miejsca na obrócenie stu pięćdziesięciometrowego statku.

Znów przesunął przepustnice wstecz.

Kanał wydawał się taki wąski, że Eric czuł się tak, jakby musiał nawlec igłę w rękawicach kuchennych. Przynajmniej przez pierwsze półtora kilometra szlak wodny biegł prosto, więc Stone zwiększył moc i cofał duży frachtowiec najostrożniej, jak mógł. Niestety zerwał się wiatr, więc kadłub i nadbudowa działały jak żagiel.

Dwa granaty raketowe odpalono z przystani. Tym razem Mark miał otwartą pokrywę zasłaniającą sześciolufowe działko Gatling, które osiągnęło prawie tysiąc obrotów na minutę.

Vulcan zawarczał i grad dwudziestomilimetrowych pocisków z jego luf zasypał rosyjskie granaty z napędem raketowym. Obie główce bojowe eksplodowały nad wodą, seria podziurawiła też wał ziemny na brzegu. Mark zobaczył, że piraci przygotowują swoje kutry rybackie do pościgu za

„Oregonem”. Na morzu byłoby bez szans, ale dopóki Eric manewrował statkiem wśród namorzynów, mieli przewagę.

Mark wycelował nisko w kadłub pierwszego kutra i strzelił sekundową serią. Pociski posiekały wodę tuż przy burcie, rozbryzgi ochlapały rebeliantów i, co ważniejsze, ostrzegły ich. Wskoczyli z małego traulera, i kiedy byli w połowie długości pomostu, Mark znów nacisnął spust.

Kuter zamienił się w tuman fruujących kawałków drewna, szkła i metalu. Wybuch zbiornika paliwa przewrócił piratów, tłusty dym uniósł się w powietrze.

Somalijczycy na drugim traulerze odbili od przystani, zanim sobie uświadomili, że będą następni. Mark niemal zachichotał, gdy komicznie dawali nura za burtę, nie przejmując się losem kompanów. Kiedy wszyscy się ewakuowali, strzelił. Pociski zmiotły sterówkę niczym tornado ogrodową szopę. Dziób został tak zniszczony, że płynący kuter nabrał wody i zniknął pod powierzchnią. Przypominał zanurzający się okręt podwodny, tyle że nie mógł powrócić z głębin.

Na górze w nadbudowie Juan i jego towarzysze wznowili obławę. Cabrillo wciąż nie słyszał Lindy, bo jeszcze dzwoniło mu w uszach, więc polegał na swoim instynkcie myśliwego. Poruszali się wolno i metodycznie sprawdzali kolejne pomieszczenia. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie trafiła jedna z rakiet, wpakowali strzałki dwóm ogłuszonym piratom. Trzeci wyglądał jak do połowy wybebeszona szmaciana lalka.

Eksplozje i ruch statku wywołały panikę wśród rebeliantów na pokładzie. Wrzeszczeli do siebie w ciemności i ci, którzy trafili na zamknięte szczelnie drzwi, próbowali je otworzyć gołymi rękami. Nie mieli pojęcia, że ktoś się do nich skrada, dopóki strzałki nie nadleciały nie wiadomo skąd.

Gdyby ci ludzie nie napadali na niespodziewające się niczego statki w pobliżu wybrzeża, Juan może nawet by im współczuł. Ale pałał szczególną marynarską nienawiścią do piratów i piractwa, więc nie czuł nic, gdy strzelił ostatni raz i wysłał ostatniego z bandytów do krainy snów.

- Okej, Linda, załatwione - zameldował. - Otwórz nadbudowę i przyślij tu jakieś wsparcie. Niech Hux opatrzy rannych najlepiej, jak może, ale chcę się pozbyć tych szumowin ze statku w ciągu pół godziny.

Cabrillo zdjął niewygodne gogle noktowizyjne, kiedy płyty zasłaniające zewnętrzne drzwi i bulaje uniosły się i rozbłysło fluorescencyjne światło. Otarł rękawem pot z czoła. Materiał przemókł i Juan wiedział, że jest cały mokry nie tylko z powodu wysokiej temperatury. Ręce i nogi drżały mu od przyływu adrenaliny.

Kilka chwil później w nadbudowie zaroilo się od personelu, który przyszedł zabrać nieprzytomnych piratów. Giuseppe pojawił się u boku Juana i wręczył mu lśniąca od rosy butelkę wody. Poszedł z nim, gdy prezes skierował się do centrum operacyjnego. Włoch musiał wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku.

- Pomyślałem, amico, że moglibyśmy wziąć ze sobą kilku z tych ludzi, kiedy będziemy wsadzali Didiego na nasz kuter rybacki.

Cabrillo napił się łąpczywie i zapytał:

- To byłaby lepsza przykrywka niż historyjka, że Didi wybrał się w samotny rejs o zachodzie słońca?

- Si.

- Masz wystarczającą ilość tego środka powodującego amnezję?

- Jeszcze dla dwóch.

- W porządku - odrzekł niedbale Juan, kiedy weszli do pomieszczenia będącego mózgiem statku.

Cabrillo jednym spojrzeniem ogarnął sytuację. Oddalili się od obozu rebeliantów na tyle, że granaty raketowe już im nie zagrażały, i ponieważ nie widział żadnych ścigających ich kutrów, domyślił się, że Murph je unieszkodliwił. Eric doprowadził „Oregona” tyłem do prawego zakrętu.

- Jak idzie, panie Stone? - zapytał Juan.

- To jest jak pchanie sznurka. Nadciąga przypyływ, wiatr się wzmaga i są tu mielizny. Nie rozumiem, jak pan mógł nas wpakować w ten pasztet, prezesie.

- Mam cię zastąpić?

- Najpierw chciałbym sam spróbować.

- Nadlatują! - krzyknął nagle Murph.

Załoga nie wiedziała, że wzdłuż kanału biegnie grobla, którą rebelianci uprzętnęli, żeby utworować sobie drogę. Kiedy statek wycofywał się wolno z bagien, uzbrojeni Somalijczycy wpakowali się do kilku pikapów i popędzili za odpływającym frachtowcem. Gdy się zatrzymał w ciasnym zakręcie, odpalili granaty raketowe.

Murph nadal miał podniesioną osłonę gatlinga, ale pozwolił, by lufy działka przestały się obracać. Wprawił je w ruch naciśnięciem przycisku i otworzył ogień. Nie zdążył stracić dwóch pierwszych rakiet, które uderzyły w kadłub i eksplodowały nie powodując większych szkód, ale udało mu się zestrzelić dwie następne w powietrzu.

- Przejmuję ster - oznajmił Cabrillo.

- Tak jest - odpowiedział natychmiast Eric.

Podczas gdy Stone podchodził do zdradliwego zakrętu wolno i ostrożnie, Juan podwyższył obroty silników i włączył pędniki dziobowe, pamiętając, że płynie wstecz, więc musi uważać na przeciwległy brzeg. Vulcan znów się odezwał i zabrzmiał jak piła mechaniczna. Na grobli jeden z pikapów stracił przednią oś. Przekoziołkował przez przód, gubiąc ludzi, broń i roztrzaskane szyby. Wylądował na dachu i wrył głęboką bruzdę w kamienistej ziemi; tylne koła wirowały w powietrzu.

Drugi pikap został trafiony w bok. Energia kinetyczna wolframowych pocisków przewróciła dwutonowy pojazd na bok i zbiornik paliwa eksplodował. Samochód ogarnęły płomienie i spowił dym. Mark wziął na cel trzeci, ale pikap zniknął za splątanym gąszczem roślinności. Murph czekał, aż pojazd wyłoni się po drugiej stronie kępy drzew, lecz mijały sekundy, a samochód się nie pojawiał.

Obserwował poszycie leśne przez obiektyw kamery o zmiennej ogniskowej i wydało mu się, że widzi ruch, ale wstrzymywał się z otwarciem ognia. Statek przyspieszał i kąt się zmieniał. Murph wiedział, że zaraz będzie musiał przejść z vulcana w burcie „Oregona” blisko dziobu na działko rufowe. Uruchomił mechanizm hydrauliczny, który otwierał pokrywy w rufówce. Płyty się odsunęły i odsłoniły wielolufową broń, ale jej wysunięcie i przełączenie monitora z jednej kamery na drugą trwało chwilę. Dżunglę w obiektywie rozświetliły oślepiające błyski. Moment później „Oregona” posiekały dwudziestomilimetrowe pociski z działka przeciwlotniczego na pikapie. W przeciwieństwie do granatów raketowych utwardzona amunicja penetrowała pancierz statku i gdy dwa pociski trafiły w to samo miejsce, przebiły stal na wylot i kanonada zaczęła siać zniszczenie wewnątrz frachtowca.

Na szczęście zbiorniki balastowe były pełne, żeby tramp wyglądał na mocno obciążony, więc tylko jeden z tajnych pokładów był odsłonięty. Jeden pocisk przeciwlotniczy przedziurawił dwa skórzane fotele w sali posiedzeń zarządu i utkwiał w przeciwległej ścianie. Drugi rozerwał paletę mąki w magazynie spożywczym i pomieszczenie wypełnił gęsty biały pył. Trzeci wleciał do kabiny mechanika, który miał wolne. Mężczyzna siedział przy biurku i śledził walkę na monitorze, co

uratowało mu nogi, ale odłamki poszarpały mu kark i plecy.

To wszystko stało się w mgnieniu oka. Mark przyglądał się temu bezradnie. Nie mógł nic zrobić, dopóki komputer nie zasygnalizował mu, że drugie działko jest gotowe.

- Uzbrojenie, co jest, do diabła? - warknął Juan, skoncentrowany na delikatnym manewrze, jaki musiał wykonać, by duży statek pokonał zakręt.

- Jeszcze sek...

Na pulpicie Murphy'ego zapaliła się zielona kontrolka i dał ognia. Seria skosiła dżunglę, gdzie stał ukryty pikap. Drzewa o grubości trzydziestu centymetrów zostały ścięte jak zboże kombajnem. Jeden pień runął na ziemię wśród odpryskujących drzazg. Uderzył w skrzynię ładunkową pojazdu i uciszył dwa działka, ale Mark nie przerwał ostrzału, dopóki drzewa nie zniknęły i samochód nie zamienił się w dymiący wrak z porozrywanymi trupami załogi. „Oregon” był w połowie zakrętu. Cabrillo precyzyjnie ocenił łuk. Cofał swój statek z wprawą kierowcy parkującego wielką ciężarówkę równolegle do krawężnika. Rufa minęła o centymetry błotnisty brzeg. Przeszła tak blisko, że ktoś stojący przy flagsztoku mógłby zerwać liście z drzew. Potem frachtowiec obrócił się niemal w miejscu i rufówka wycelowała na wschód w kierunku pełnego morza.

Eric spojrział na Cabrilla z szacunkiem graniczącym z czcią dla bohatera. Nigdy nie odważyłby się przeprowadzić statku tak szybko przez taki ciasny kanał.

- Myślisz, że dalej sobie poradzisz? - zapytał prezes swojego sternika.

- Tak, szefie. - Statek automatycznie rejestrował swoją pozycję, wykorzystując satelity GPS. Teraz, gdy najniebezpieczniejszy zakręt został pokonany, Stone musiał tylko wprowadzić wsteczny kurs do komputera nawigacyjnego, żeby statek sam omijał zdradliwe bagna i mielizny. Eric miał już współrzędne miejsca, gdzie zdezelowany kuter rybacki czekał na Mohammada Didiego.

Juan wstał z fotela dowódcy i zwrócił się do Giuseppe Fariny:

- Chodźmy ustalić, kogo zabierzesz i kto wypadnie za burtę. Chcę się pozbyć piratów ze statku, zanim wydostaniemy się z namorzynów.

Poprowadził włoskiego obserwatora kilka pokładów niżej do hangaru łodziowego „Oregon”. Tu, przy linii wodnej, duże drzwi otwierały się na morze. W burtę wbudowano pochylnię pokrytą teflonem, żeby była śliska. Załoga spuszczała po niej pontony Zodiac, skutery wodne i sztywnokadłubową łódź pneumatyczną. Ta ostatnia została skonstruowana dla komandosów Navy SEAL. Miała poduszkę powietrzną wokół kadłuba, żeby służyć w każdych warunkach, i dwa potężne silniki zaburtowe, które rozpędzały ją do ponad pięćdziesięciu węzłów. W pomieszczeniu paliło się białe światło fluorescencyjne, ale podczas nocnych operacji używano czerwonych lamp bojowych. Załoga już napompowała dużą czarną tratwę i luźno przywiązała do niej nieprzytomnych piratów, żeby łatwo mogli się nawzajem oswobodzić, kiedy się ockną, i dowiosłować do brzegu. Hux jeszcze trzymała rannych w izbie chorych, zaś martwi mieli być pochowani w morzu.

- Weźmiemy tego, tego i tamtego - zdecydował Farina, wskazując Malika i Aziza. - Kiedy zajmowali statek, wyglądali na przywódców. Kto wie, mogą się okazać cennymi źródłami informacji.

- Ten młodszy pewnie na nic się nie przyda. Facet pali więcej marychy niż hipis na koncercie Grateful Dead.

- Oni już nie jeżdżą w trasy, wiesz o tym - podrażnił się Seppe.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Zabierzemy go. Przymusowy detoks wyjdzie mu na dobre.

Pół godziny później Hux zjawiała się w hangarze z paroma załogantami, którzy pełnili funkcje

sanitariuszy. Na kilku wózkach szpitalnych przywieźli rannych piratów.

- Co z nimi? - zapytał Juan.

- Mamy jednego rannego - poinformowała go Hux.

- Co? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Nie było sensu, dopóki się nim nie zajęłam.

- Kto to jest? Co się stało?

- Jeden z tamtych pocisków przeciwlotniczych zranił Sama Pryora w jego kabinie. Dostał odłamkami w plecy. Wyjęłam około dwudziestu małych kawałków. Stracił dużo krwi i ma przecięty mięsień, ale wyjdzie z tego.

- Dzięki Bogu. - Juan odetchnął z ulgą i pomyślał, że będzie musiał udzielić nagany Markowi Murphy'emu. Powinien przygotować rufowego gatlinga dużo wcześniej. - Więc co z tymi facetami?

- Dwaj stracili słuch - odrzekła doktor Huxley rzeczowym tonem. - Nie wiem, czy na zawsze, i niewiele mogę z tym zrobić. Dwóch innych ma powierzchowne rany. Usunęłam odłamki, opatrzyłam ich i wpompowałam w nich tyle antybiotyku, ile się odważyłam. Jeśli wda się infekcja, będzie niedobrze, zważywszy warunki, w jakich żyją.

Dwaj postrzeleni Somalijczycy dostali nylonową torbę. Cabrillo domyślał się, że są w niej dodatkowe leki z dołączonym sposobem użycia. Podejrzewał, że mężczyźni nie będą ich brali, tylko sprzedadzą je na czarnym rynku, który w Somalii kwitł.

Rannych umieszczono w tratwie i otwarto zewnętrzne drzwi. Juan zadzwonił do centrum operacyjnego, żeby Eric zatrzymał statek. Płynęli z niewielką prędkością, więc pompy wyhamowały „Oregon” w ciągu kilku minut. Statek pławił się w łagodnych falach jak stara maciora. Dolna krawędź pochylni wisiała tuż nad powierzchnią morza. Cabrillo widział, że są już prawie na granicy namorzynów. Nadciągał przypływ, więc było pewne, że tratwa podryfuje na zachód, aż utknie na bagnach. Jej pasażerowie ockną się za jakąś godzinę i poza lekkim odwodnieniem nic im nie będzie.

Pomógł zepchnąć tratwę z pochylni. Uderzyła w wodę, nie rozpryskując jej i z rozpędu oddaliła się od statku o kilka metrów.

Juan znów wcisnął przycisk interkomu.

- Okej, Eric, cała naprzód. Jak zostaną ćwierć mili morskiej za rufą, dasz czadu i weźmiesz kurs na kuter rybacki.

- Przyjąłem.

Pół godziny później Juan i Seppe Farina stali na skrzydle mostka. Załoga naprawiała drobne uszkodzenia powstałe podczas ataku raketowego. Wymieniano relingi i malowano opalone miejsca farbą okrętową. Marynarze opuszczeni za burtę na krzeselkach bosmańskich przyspawywali łąty do kadłuba tam, gdzie pociski przeciwlotnicze przebiły pancierz. Inni wnosili do ogołoconych kabin materace i meble z magazynów na statku. Max Hanley robił spis wszystkiego, co będą musieli kupić, żeby przywrócić staremu frachtowcowi poprzednią „światłość”.

„Oregon” ciął niewielkie fale z szybkością ponad trzydziestu węzłów, dużo niższą od swojej maksymalnej prędkości, gdy wysoki głos Lindy dobiegł z blaszanego głośnika:

- Prezesie, mamy kontakt radarowy cztery mile morskie przed dziobem.

Juan uniósł lornetkę do oczu i chwilę później zobaczył punkt na pustym oceanie. Po kilku minutach rozpoznał kuter rybacki podobny do tego, z którego ich zaatakowano.

- Kiedy ma się tu zjawić amerykański niszczyciel? - zapytał przyjaciela.

- Jutro o świcie. Wystarczy nam czasu, żeby oddalić się stąd pod osłoną nocy. Didi i reszta

pewnie jeszcze się nie ockną, a jeśli nawet, to z takimi mdłościami po narkotyku, że będą potulni jak owieczki. I bez obaw, na kutrze nie ma radia ani paliwa, i szansa na to, że ktoś go znajdzie przed waszą marynarką wojenną, jest zerowa.

Eric podszedł „Oregonem” tak blisko do burty starego kutra, że mężczyźni w hangarze łodziowym mogli po prostu przeskoczyć na niego z linami, żeby przywiązać go do frachtowca. Cabrillo i Farina osobiście przenieśli Mohammada Didiego na cuchnący kuter, by zostawić go w kajucie pod sterówką. Kiedy zbyt energicznie rzucali go na nie posłaną koję, uderzył głową w ramę z satysfakcjonującym stukiem. Cabrillo spojrzał w dół na watażkę z najwyższą pogardą.

- Powinniśmy wziąć cię za tyłek i wsadzić do Guantanamo za wszystkie cierpienia, których byłeś sprawcą, ale decyzja nie należała do mnie. Najgorsza cela w najgorszym więzieniu na świecie jest dla ciebie za dobra. Odsiadka w Europie będzie pewnie jak wakacje po takim życiu, jakie prowadziłeś, więc mogę mieć tylko nadzieję, że kiedy dostaniesz dożywocie, będziesz miał na tyle przyzwoitości, żeby skończyć ze sobą na miejscu.

Po powrocie na pokład nie mógł powstrzymać chichotu. Linc i Eddie przywiązali Aziza do krzesła z wędką w jednej ręce i butelką piwa przyklejoną do drugiej.

Ledwo rzucono cumy, Hali Kasim, specjalista „Oregona” od telekomunikacji, odezwał się przez interkom:

- Prezesie, dzwoni do ciebie Langston Overholt w pilnej sprawie.
- Przełącz go tutaj. - Juan odczekał moment i powiedział: - Lang, tu Juan. Do twojej wiadomości, rozmawiam z tobą przez telefon głośno-mówiący. Jest ze mną nasz włoski łącznik.
- Daruję sobie uprzejmości - odparł Overholt ze swojego gabinetu w Langley. - Jak prędko możecie być w Trypolisie?
- To zależy od ruchu w Kanale Sueskim. Za jakieś cztery dni. A dlaczego?
- Sekretarz stanu poleciała tam na jakieś rozmowy wstępne. Właśnie straciliśmy kontakt z jej samolotem. Obawiamy się, że spadł.
- Wyrobimy się w trzy.

7.

Nad Saharą

Kiedy palec zsunął się jej ze struny, Fiona zakłęła. Spojrzała szybko w górę, żeby sprawdzić, czy nikt nie usłyszał, choć była sama w swojej prywatnej kabinie w ogonie samolotu. Matka surowo ją karała za używanie brzydkich wyrazów, więc Fiona nawet czterdzieści lat później reagowała odruchowo.

W grze na skrzypcach znajdowała schronienie przed światem. Ze smyczkiem w ręku mogła się odgradzić od wszystkiego, co ją rozpraszało, i skoncentrować wyłącznie na muzyce. Żadne inne zajęcia czy hobby nie uspokajało jej tak jak gra, której często przypisywała zbawienny wpływ na swoją psychikę, zwłaszcza odkąd przyjęła stanowisko szefowej Departamentu Stanu.

Fiona Katamora należała do tych rzadkich stworzeń, które pojawiają się raz na jedno pokolenie. Zanim skończyła sześć lat, dawała solowe koncerty skrzypcowe. Jej rodziców internowano w czasie II wojny światowej, bo oboje urodzili się w Japonii. Nauczyli ją ojczystego języka, ona sama nauczyła się arabskiego, mandaryńskiego i rosyjskiego. Dostała się na Harvard, kiedy miała piętnaście lat, studia prawnicze zaczęła w wieku osiemnastu. Zanim przystąpiła do egzaminu końcowego, wzięła wolne, żeby solidnie potrenować szermierkę, którą uprawiała, i pojechałaby na olimpiadę, gdyby nie zerwała sobie więzadła w kolanie tydzień przed ceremonią otwarcia igrzysk.

Tego i bardzo wielu innych rzeczy dokonała pozornie bez wysiłku. Miała niemal fotograficzną pamięć i potrzebowała tylko czterech godzin snu w ciągu doby. Była nie tylko utalentowana sportowo, naukowo i muzycznie, lecz również czarująca i uprzejma, a jej zaraźliwy uśmiech zdawał się rozjaśniać każde pomieszczenie.

Po ukończeniu studiów otrzymała ponad sto ofert pracy, łącznie z propozycją prowadzenia wykładów na swojej uczelni, ale chciała się poświęcić służbie cywilnej. Trafiła do waszyngtońskiego zespołu doradców w dziedzinie energetyki i szybko wyrobiła sobie nazwisko dzięki zdolności dostrzegania związków przyczynowych, których inni po prostu nie zauważali. Po pięciu latach jedną ze swoich rozpraw złożyła jako pracę doktorską i przed jej nazwiskiem pojawił się skrót „dr”.

Cieszyła się tak dobrą opinią, że została regularną konsultantką prezydentów z obu partii. Po jakimś czasie zaproponowano jej stanowisko w rządzie.

Fiona Katamora, wciąż niezamężna w wieku czterdziestu sześciu lat, była olśniewająco piękną kobietą o kruczoczarnych włosach błyszczących jak obsydian i gładkiej cerze. Utrzymywała się w dobrej formie i miała metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, dużo jak na jej pochodzenie. W wywiadach mówiła, że jest po prostu zbyt zajęta, żeby założyć rodzinę. Plotkarskie magazyny próbowały ją łączyć z różnymi bogatymi i wpływowymi mężczyznami, ale prawie wcale nie chodziła na randki.

Odkąd przed dwoma laty została sekretarzem stanu, czyniła cuda na całym świecie, przywracając Ameryce opinię mediatora i bezstronnego arbitra. Pomogła wynegocjować najdłuższe jak dotąd zawieszenie broni między rządem Sri Lanki i separatystami Tamiłskimi Tygrysami, i wykorzystała

swoje umiejętności do rozwiązania problemu spornych wyborów w Serbii, które groziły wybuchem przemocy.

Zrobiła też porządki na własnym podwórku. Zyskała przezwisko Smoczyca, bo pozbywała się zbędnego personelu, dopóki Departament Stanu nie stał się wzorem efektywności i przykładem dla reszty administracji państwowej.

A teraz zbliżał się moment, który mógł być ukoronowaniem jej niezwyklej kariery. Wstępne rozmowy miały stworzyć podstawy do zawarcia tak zwanego porozumienia trypolitańskiego. Jeśli ktokolwiek mógł doprowadzić do pokoju na Bliskim Wschodzie po fiasku dziesięciu poprzednich rządów, to właśnie Fiona Katamora.

Skończyła grać utwór Brahmsa, który ćwiczyła, i odłożyła skrzypce i smyczek. Wytarła palce chusteczką z monogramem i pogimnastykowała je, żeby pozbyć się lekkich kurczów. Obawiała się, że ma początki artretyzmu.

Rozległo się pukanie do drzwi kabiny.

- Proszę - powiedziała.

Jej osobista asystentka, Grace Walsh, zajrzała do środka. Była z Fioną od ponad dziesięciu lat, towarzyszyła jej na kolejnych posadach.

- Miałam cię zawiadomić, jak będzie czwarta.

- Dzięki, Grace. O której lądujemy?

- Wiedziałam, że zapytasz, więc porozmawiałam z pilotem. Jesteśmy około czterdziestu pięciu minut od celu. Niedługo będziemy nad terytorium Libii. Przynieść ci coś?

- Butelkę wody poproszę. Dzięki.

Fiona zagrzebała się w papierach rozłożonych na łóżku. Były to dossier wszystkich ważnych osobistości, które zapowiedziały swój udział w zbliżającym się szczycie, łącznie z krótkimi życiorysami i zdjęciami. Przystudiowała je wcześniej i większość zapamiętała, ale chciała się upewnić, że niczego nie pomyli. Sprawdziała, czy wie, którzy ministrowie są spokrewnieni z władcami swoich krajów, jakie mają wykształcenie, jakie imiona noszą ich żony i dzieci. Wszystko po to, by poznać ich możliwie jak najlepiej.

Najbardziej intrygował ją nowy energiczny minister spraw zagranicznych Libii, Ali Ghami. Jego dossier mówiło najmniej. Podobno był urzędnikiem państwowym niskiego szczebla, dopóki nie zwrócił na niego uwagi libijski przywódca Muammar Kaddafi. Kilka dni po spotkaniu obu mężczyzn Ghami dostał stanowisko ministra spraw zagranicznych. Było to pół roku temu. Od tamtej pory stale podróżował po regionie i zabiegał o poparcie dla konferencji pokojowej. Początkowo w bliskowschodnich stolicach przyjmowano go chłodno, ale jego energia i urok osobisty sprawiły, że zaczęto powoli zmieniać nastawienie. Pod wieloma względami przypominał Fionę i może właśnie dlatego nie potrafiła określić, co ją w nim niepokoi.

Grace znów zapukała i weszła do sypialni. Postawiła butelkę dasani na nocnym stoliku i zrobiła w tył zwrot.

- Zaczekaj moment - powiedziała Fiona i podsunęła jej zdjęcie Ghamiego. - Co ci mówi o nim twoja kobieca intuicja?

Grace wzięła fotografię i zbliżyła ją do jednego z okien boeinga 737. Oficjalne zdjęcie pokazywało Ghamiego w doskonale skrojonym garniturze w zachodnim stylu. Miał gęste przyprószone siwizną włosy i takie same wąsy.

Grace oddała Fionie fotografię.

- Pytasz niewłaściwą osobę. Zakochałam się w Omarze Sharifie, kiedy obejrzałam Doktora Żywago jako nastolatka, a ten facet wysyła takie same fluidy.

- Przystojny, owszem, ale przyjrzyj się jego oczom.

- A co z nimi? - spytała Grace.

- Nie umiem tego sprecyzować. Coś w nich jest albo czegoś w nich brakuje, sama nie wiem.

- Może to po prostu złe zdjęcie.

- Albo może po prostu nie podoba mi się to, że nie wiem właściwie nic o naszym gospodarzu.

- Nie możesz mieć ściągawki o każdym - napomniała ją delikatnie Grace. - Pamiętasz, jak sprawdzałaś przeszłość tamtego sprytnego prawnika, którego chciałaś...

Głośny niepokojący łomot przerwał jej w pół zdania. Kobiety spojrzały na siebie szeroko otwartymi oczami. Obie od lat spędzały niezliczone godziny w powietrzu i wiedziały, że taki odgłos to nic dobrego.

Czekały przez chwilę, czy nastąpi coś jeszcze. Po kilku sekundach jednocześnie odetchnęły i zachichotały nerwowo.

Fiona wstała, żeby zapytać pilota, co się stało. Była w połowie drogi do drzwi, gdy samolot zadrżał gwałtownie i zaczął spadać. Grace wrzasnęła, kiedy strome nurkowanie przycisnęło ją do sufitu. Fiona zdołała utrzymać się na nogach, bo zapała się rękami o wyprofilowany plastik nad głową.

Słyszała krzyki w dziobowej części odrzutowca, gdzie inni członkowie jej personelu zmagali się ze skutkami chwilowej nieważkości.

- Nie wiem, co się stało - powiedział przez interkom pilot, pułkownik sił powietrznych - ale niech każdy jak najszybciej przypnie się pasem. - Nie wyłączył interkomu, gdy on i drugi pilot próbowali odzyskać kontrolę nad samolotem, więc Fiona i inni usłyszeli napięcie w jego głosie: - Co to znaczy, że nie masz z nikim łączności? Dwie minuty temu rozmawialiśmy z Trypolisem.

- Nie potrafię tego wyjaśnić - odparł drugi pilot. - Radio po prostu nie działa.

- Nie przejmuj się tym teraz, pomóż mi... Cholera, lewy silnik właśnie przestał pracować. Spróbuj go odpalić - interkom nagle umilkł.

- Rozbijemy się? - zapytała Grace. Stała na nogach i tuliły się do siebie z Fioną jak małe dziewczynki w domu, w którym straszy.

- Nie wiem - odrzekła Fiona spokojniej, niż się czuła. Wnętrza wywracały się jej na drugą stronę, dłonie zwilgotniały.

- Co się stało?

- Nie wiem. To chyba jakaś awaria mechaniczna. - Ta odpowiedź jej nie zadowoliła. Nie było powodu, żeby samolot z dwoma sprawnymi silnikami zaczął spadać. Mógł lecieć nawet z jednym. Coś innego musiało się zdarzyć. I co oznaczał tamten hałas? Jej pierwsza i jedyna myśl była taka, że trafił w nich pocisk, który miał uszkodzić boeinga, ale nie zniszczyć. Odrzutowiec zaczął powoli wyrównywać lot. Pilotom udało się zapanować nad maszyną na tyle, że powstrzymali swobodne opadanie, ale samolot nadal pędził ku ziemi na złamanie karku.

Fiona i Grace dotarły po omacku do głównej kabiny i przypięły się do dużych skórzanych foteli. Sekretarz Katamora powiedziała kilka uspokajających słów do swoich ludzi. Żałowała, że nie może zrobić więcej, żeby pomóc im pokonać strach, który widziała na ich twarzach. Prawda była taka, że ledwo panowała nad własnymi emocjami. Obawiała się, że jeśli będzie mówiła dłużej, jej przerażenie stanie się widoczne.

- Panie i panowie - odezwał się drugi pilot - nie wiemy, co się stało. Jeden silnik nie działa, drugi ledwo wytwarza ciąg. Będziemy musieli wylądować na pustyni. Bez obaw, pułkownik Markham przeciwiczył to w F-16 podczas pierwszej wojny w Zatoce. Chcę, żeby na mój sygnał każdy przyjął pozycję przeciwkolidyjną, włożył głowę między kolana i otoczył je ramionami. Kiedy tylko samolot się zatrzyma, steward musi jak najszybciej otworzyć drzwi kabiny. Ochrona pani sekretarz Katamory ma obowiązek wyprowadzić ją pierwszą.

Samolotem leciał tylko jeden agent Secret Service. Reszta ochrony Fiony i część jej personelu były w Libii prawie od tygodnia i czyniły przygotowania do jej wizyty. Agent, Frank Maguire, odpiął pas bezpieczeństwa, zczekał, aż odrzutowiec na moment przestanie się kołysać, i przesiadł się na fotel między Fioną i drzwiami. Przypiął się szybko z powrotem, kiedy boeing przechylił się gwałtownie. W odpowiedniej chwili mógł chwycić Fionę i wyprowadzić na zewnątrz w ciągu sekund.

Trzymając Grace za rękę, Fiona zaczęła się modlić, czego nie robiła od lat. Ale nie prosiła Boga o uratowanie im życia, lecz o to, by wielka szansa, jaką miał być szczyt, nie została zaprzepaszczona na zawsze, jeśli zdarzy się najgorsze i zginą w katastrofie. Altruistyczna do końca, Fiona Katamora martwiła się bardziej o pokój niż o własny los.

Odważyła się wyjrzeć przez okno. Niedaleko pod samolotem rozciągała się pustynia z poszarpanymi wzgórzami. Fiona nie była lotnikiem, ale wiedziała, że wbrew zapewnieniom załogi mają małe szanse.

- Okej - powiedział drugi pilot - podchodzimy do lądowania. Proszę przyjąć pozycję przeciwkolidyjną i trzymać się mocno.

Pasażerowie usłyszeli, jak kapitan pyta:

- Widzisz tamt... - w tym momencie interkom znów umilkł. Nie mieli pojęcia, co zobaczył pilot, i byłoby lepiej dla nich, gdyby się nie dowiedzieli.

8.

Alana siedziała w samochodzie wiertniczym na miejscu pasażera, Mike Duncan prowadził. Stare koryto rzeki było usłane okrągłymi głazami. Niektóre udawało się ominąć, innych nie. Miała posiniaczone pośladki po tygodniach pokonywania tej samej trasy.

Poprzedniego wieczoru w obozie tłumaczyli przedstawicielowi władz tunezyjskich, przekonaniem, że szukają rzymskiego młyna i koła wodnego, że powrót co noc do starych ruin to niepotrzebny środek ostrożności. Prosimi go o zgodę na kilkudniową wyprawę w teren, argumentując, że Greg Chaffee ma telefon satelitalny, więc nie stracą kontaktu z głównym zespołem archeologicznym.

Podczas gdy członkowie tego zespołu robili duże postępy w odkopywaniu rzymskich ruin, ekipa Alany wciąż nie mogła się niczym pochwalić. Mieli nadzieję, że jeśli dłużej zostaną na pustyni i zbadają większy obszar, wpadną na trop starego berberyjskiego korsarza, Sulejmana Al-Dżamy.

Alanę podtrzymywał teraz na duchu tylko nocny internetowy czat z jej synem w Phoenix. Podziwiała rozwój techniki. Kiedy jeszcze jako studentka pierwszy raz brała udział w wykopaliskach na pustyni w Arizonie raptem trzysta kilometrów od uczelni, czuła się bardziej odcięta od świata niż na tych zapomnianych przez Boga i ludzi piaskach, gdzie mogła korzystać ze współczesnej telekomunikacji satelitarnej.

Tunezyjski nadzorca rządowy odrzucał ich prośbę, dopóki Greg nie wziął go na stronę na dwie minuty. Kiedy weszli z powrotem do namiotu służącego za jadalnię, urzędnik uśmiechnął się szeroko do Alany i udzielił im pozwolenia, pod warunkiem że będą się codziennie meldowali telefonicznie i wrócą za trzy doby.

- Bakszysz - wyjaśnił Greg w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. Alana zbladła.
- A gdyby odmówił przyjęcia pieniędzy i doniósł na ciebie?
- Jesteśmy na Bliskim Wschodzie. Bylibyśmy w tarapatkach, gdyby tego nie zrobił.
- Ale... - Alana nie wiedziała, co powiedzieć.

Zawsze kierowała się prostą zasadą: przestrzegaj przepisów. Nigdy nie ściągała na sprawdzianach, wpisywała każdy cent do zeznania podatkowego i ustawiała tempomat w samochodzie na dozwoloną prędkość.

Dla niej świat był czarno-biały, co z jednej strony ułatwiało jej życie, a z drugiej bardzo utrudniało. Wybory moralne, których dokonywała, zapewniały jej dobre samopoczucie, ale musiała funkcjonować w społeczeństwie spędzającym większość czasu na szukaniu szarych stref, żeby móc unikać odpowiedzialności.

Nie była naiwna i wiedziała, jak został urządzony świat, ale nie chciała, by jego zepsucie miało wpływ na jej postępowanie. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby przekupić przedstawiciela tunezyjskiego ministerstwa archeologii, bo to było niewłaściwe. Ale nie mogła nie skorzystać z okazji, skoro Greg załatwił sprawę. Dlatego znów jechali z zamiarem znalezienia drogi prowadzącej za wodospad w nadziei, że tajna baza Sulejmana Al-Dżamy jest gdzieś na pustyni położonej za nim.

W ciężarówce wieźli zapas wody i jedzenia na trzy doby. Wzięli tylko jeden namiot, ale Alana czuła się na tyle swobodnie w obecności swoich towarzyszy, że nie stanowiło to dla niej problemu. Mieli też dwustulitrową beczkę paliwa umocowaną na skrzyni ładunkowej. Ilość oleju napędowego mogła wystarczyć do wydłużenia trasy o prawie pięćset kilometrów, zależnie od tego, ile zużyją do wierceń.

Nikt nie miał złudzeń. Wodospad był po prostu za wysoki, by przepłynąć go żaglowcem. Ale byli zdesperowani. Szczyt w Trypolisie był coraz bliżej. Alana wiedziała, że sekretarz stanu przylatuje dziś do Libii na krótkie rozmowy wstępne, więc czuła dodatkową presję.

- Musisz wpadać w każdą dziurę i na każdy kamień? - zapytał Greg z tylnej kanapy odkrytej ciężarówki.

- Żebyś wiedział - zażartował Mike. Greg przesunął się w prawo za Alanę.

- To wpadaj lewymi kołami, dobra?

Był kolejny piękny dzień, co oznaczało, że temperatura dojdzie do czterdziestu dwóch stopni Celsjusza, gdy staną, by zjeść obiad. Kiedy się zatrzymali, Alana rozdała butelki wody z chłodziarki i wręczyła każdemu z mężczyzn kanapkę przygotowaną przez personel obozu. Według licznika pokonali sto dwanaście kilometrów. Alana obliczyła, że do wodospadu pozostało czterdzieści osiem.

- Co myślicie o tamtym miejscu? - zapytał Mike z pełnymi ustami i wskazał kanapką przeciwległy brzeg wyschniętej rzeki. Zwykle po obu stronach mieli strome klify, ale tutaj, w zakolu koryta, erozja utworzyła stromiznę prowadzącą w górę na pustynię.

- Pochyłość wygląda na jakieś sześćdziesiąt stopni albo więcej - powiedział Greg.

- Jeśli znajdziemy na szczycie coś do zaczepienia haka wyciągarki, powinniśmy się tam wdrapać bez problemu. Alana przytaknęła.

- Zgoda.

Gdy tylko skończyli posiłek, który nie smakował im w upale, Mike podjechał ciężarówką do brzegu rzeki. Z bliska zbocze okazało się bardziej strome, niż im się wcześniej wydawało i wyższe o dobre dziesięć metrów. Samochód piął się pod górę, dopóki tylne koła nie straciły przyczepności i nie zaczęły wyrzucać spod opon tumanów kurzu. Alana i Greg wyskoczyli z pojazdu. Ona wzięła się do odwijania plecionej stalowej liny z bębna wyciągarki zamontowanej na przednim zderzaku, podczas gdy Chaffee, najsprawniejszy z całej trójki, ruszył w górę pochyłości. Przy każdym kroku spod jego butów osuwały się małe lawiny ziemi i kamyków i wkrótce musiał się wspinać na czworakach. Zaklął, kiedy duży słomkowy kapelusz sfrunął mu z głowy i potoczył się w dół. Nie miał wyboru, przyczepił hak z tyłu do paska i wdrapywał się dalej, zdzierając sobie skórę z palców na chropowatej skale.

Dotarcie na szczyt zajęło mu prawie dziesięć minut. Kiedy się tam znalazł, koszulę na plecach miał moką od potu i paliła go łysina na ciemieniu. Zniknął na moment z pola widzenia, ciągnąc za sobą linę.

Gdy pojawił się z powrotem, krzyknął do dwójki na dole:

- Zaczepiłem linę wokół wypiętrzenia skalnego. Spróbujcie tu wjechać i weźcie po drodze mój kapelusz.

Wyciągarkę można było obsługiwać z kabiny ciężarówki, więc Alana podniosła kapelusz, zanim odfrunął, i wskoczyła na siedzenie pasażera. Mike wrzucił jedynekę, dał trochę gazu i włączył wyciągarkę. Nie miała zbyt mocnego silnika, ale zapewniała odpowiedni moment obrotowy. Samochód zaczął się wolno i dostojnie wspinać na brzeg. Alana i Mike wymienili szerokie uśmiechy,

Greg wydał triumfalny okrzyk. Uwagę Alany zwrócił cień, który przemknął po jej twarzy. Zerknęła w górę, spodziewając się zobaczyć jastrzębia lub sępa.

Duży dwusilnikowy odrzutowiec przelatywał niespełna trzysta metrów nad nimi. O dziwo, Alana ledwo słyszała huk silników. Zupełnie, jakby były wyłączone i samolot leciał lotem ślizgowym. Nie wiedziała nic o istnieniu jakiegokolwiek lotniska w tym rejonie, przynajmniej po tej stronie granicy z Libią, i domyśliła się, że samolot ma kłopoty. Zauważyła dwa szczegóły, kiedy maszyna lekko się przechyliła. Jednym była poszarpana dziura blisko ogona z zaciekami czegoś, co mogło być płynem hydraulicznym. Drugą rzeczą był napis wzdłuż kadłuba: „United States of America”.

Greg przestał wiwatować. Osłonił ręką oczy przed słońcem i obracał się w miejscu, śledząc tor lotu uszkodzonego rządowego odrzutowca.

Alana gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy uświadomiła sobie, co to za samolot i kto nim leci. Skoncentrowany na prowadzeniu pojazdu Mike Duncan nic nie widział, więc kiedy Alana westchnęła, pomyślał, że coś się dzieje z liną holowniczą.

- Co się stało? - zapytał.
- Wjedź na szczyt najszybciej, jak możesz.
- Pracuję nad tym. Skąd ten pośpiech?
- Samolot sekretarz stanu zaraz się rozbije.

Oczywiście Mike nie mógł nic zrobić. Byli na łasce obracającej się wolno wyciągarki. Alana krzyknęła w górę do Grega:

- Widzisz coś?!
- Nie - odpowiedział przez warkot silnika ciężarówki. - Samolot zniknął za wzgórzami parę kilometrów stąd. Nie ma dymu ani nic. Może pilotowi udało się bezpiecznie wylądować.

Przez osiem nerwowych minut samochód piał się pod górę niczym mucha pełznąca po skórce od chleba. Greg stale meldował, że nie widzi dymu, co Alana przyjmowała z wielką ulgą.

W końcu wydostali się z koryta wyschłej rzeki. Greg odczepił hak holowniczy od liny i odwinął ją z piaskowca wielkości lokomotywy. Lina wbiła się w miękką skałę i musiał zaprzeć się nogą, żeby ją wyciągnąć.

- Mógł usiąść w Libii - mruknął Mike.
- Co mówisz? - zapytała Alana.
- Samolot mógł przekroczyć granicę i wylądować w Libii - powtórzył Mike tak głośno, żeby Greg też go usłyszał.

Alana kierowała zespołem, ale spojrzała na Chaffee, szukając uzasadnienia. Ponieważ podejrzewała, że jest z CIA, zdała się w tej sytuacji na niego.

- Możemy być jedynymi ludźmi w promieniu stu albo więcej kilometrów - powiedział Greg.
- Jeśli udało im się wylądować, mogą być ranni, a my mamy jedyny tutaj samochód.
- Dla kogo naprawdę pracujesz? - spytała Alana.
- Tracimy czas.
- Greg, to ważne. Jeżeli mamy wjechać do Libii, muszę wiedzieć, dla kogo pracujesz.

- Dobra, jestem z Agencji. Z CIA. Mam za zadanie nie spuszczać z oka waszej trójki. A raczej dwójki, bo poczciwy doktor Bumford nie ruszył się z obozu od naszego przyjazdu. Rozpoznałaś samolot, prawda? - Alana przytaknęła. - Więc wiesz, kto jest na pokładzie?

- Tak.
- Chcesz pozwolić jej tam umrzeć, bo boisz się, że możemy napotkać libijski patrol? Zaprosili ją,

do diabła. Nic nam nie zrobią za to, że próbujemy ją uratować, na litość boską.

Alana spojrzała na Mike'a Duncana. Szczupły nafciarz miał obojętną minę, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Co o tym myślisz? - zapytała.

- Nie jestem bohaterem, ale uważam, że chyba powinniśmy spróbować.

- Więc jedźmy - odparła Alana.

Ruszyli przez pustynię. Czuli się jak na Księżycu. Ani śladu obecności ludzi, żadnych wskazówek, że nadal są na tej samej planecie. Od rzeki do wzgórz, o których wspomniał Greg, rozciągała się tylko usiana głazami równina bez oznak życia. W głębi pustyni mogły przetrwać jedynie nieliczne owady i jaszczurki, które dobrze wiedziały, że muszą pozostawać w swoich kryjówkach w czasie morderczego południowego upału.

Podczas jazdy Greg bezskutecznie próbował skontaktować się ze swoimi przełożonymi przez telefon satelitarny. Jego aparat należał do systemu telekomunikacji rządowej, takiego samego jak wojskowy, więc powinien się dodzwonić bez problemu, ale nie mógł. Wymienił baterię na inną, którą miał w plecaku.

- Kawał szmelcu - wyrzucił z siebie. – Mają trzydziestomiliardowy budżet roczny i wysyłają mnie w teren z pięcioletnim telefonem, który nie działa. Mogłem się tego spodziewać. Posłuchajcie, musicie wiedzieć, że to nie jest priorytetowa operacja. Jeśli znajdziemy papiery Al-Dżamy, to super. Ale bez tego konferencja też się odbędzie.

- Ale Christie Valero mówiła...

- Cokolwiek, żebyś się zgodziła w to wejść. Mike i ja gramy na wyścigach, więc wiemy, że strzał w ciemno czasem się opłaca, ale to była farsa od samego początku. Dla mnie ta fucha jest karą za to, że dałem plamę w Bagdadzie kilka miesięcy temu. A dla was... nie mam pojęcia, ale wysłali mnie tutaj z gównianym sprzętem, więc się domyślcie.

Po wybuchu Grega jechali dalej w milczeniu, w ciężarówce panował ponury nastrój. Alana myślała o słowach Grega i o tym, co zastaną, kiedy znajdą samolot sekretarz Katamory. Jedno i drugie przygnębiało ją. Nigdy nie spotkała Fiony Katamory, ale ogromnie ją podziwiała. Kogoś takiego Ameryka potrzebowała. Myśl, że ta kobieta mogła zginąć w katastrofie lotniczej, przerażała Alanę.

Ale to, co powiedział Greg, też było przykre, więc uznała, że po prostu się myli. Kto wie, co przeżył, że jest tak negatywnie nastawiony. Christie Valero i St. Julien Perlmutter przedstawili sprawę przekonująco. Podważenie tego, czym islamscy radykałowie uzasadniają swoje zbrodnicze działania, byłoby zapewne najważniejszym krokiem, jaki dotąd podjęto w wojnie z terroryzmem. Alana przyznawała, że ta operacja to strzał w ciemno, ale uważała, że może mieć decydujące znaczenie dla zbliżających się rozmów pokojowych, i nie obchodziło jej zdanie Grega.

Mike wjechał do zacienionego kanionu między wzgórzami, gdzie było dużo chłodniej niż na otwartej przestrzeni. Jar wił się wśród niskich gór przez prawie kilometr, zanim się skończył. Wciąż nic nie wskazywało na to, że samolot sekretarz się rozbił, żaden słup czarnego dymu nie unosił się ku niebu. Zważywszy, jak nisko leciał, musiał już być na ziemi, więc w Alanę wstąpiła nadzieja, że wylądował bezpiecznie.

Minęła następna godzina. Wiedzieli, że w pewnym momencie przekroczyli nieoznaczoną granicę i przebywają teraz nielegalnie na terytorium Libii. Alanę pocieszało tylko to, że Greg zna biegle arabski. Gdyby natknęli się na patrol, musiałby rozmawiać tak, żeby wyciągnąć ich z tarapatów.

Pustynia wznosiła się i opadała, nad niekończącymi się wydłami drgało rozgrzane powietrze, które sprawiało, że odległy horyzont się rozmywał. Ciężarówka wspięła się na kolejne wzgórze i Mike już miał ją sprowadzić w dół po drugiej stronie, gdy nagle zahamował. Wrzucił wsteczny bieg i obrócił się na siedzeniu, żeby spojrzeć za siebie.

- Co jest? - krzyknęła Alana, kiedy samochód zaczął się staczać tyłem ze zbocza, na które przed chwilą wjechali.

Nie odpowiedział jej Mike, lecz Greg:

- Patrol!

Alana spojrzała przed siebie, gdy wojskowy pojazd z pudełkową kabiną pojawił się na wzgórzu. W otwartym włazie dachowym stał żołnierz wsparty na groźnie wyglądającym karabinie maszynowym. Wysoko zawieszony pojazd na grubych oponach nadawał się doskonale na pustynię.

- Odsuść to sobie, Mike! - zawołał Greg, przekrzykując wycie silnika. - Ucieczka tylko pogorszy sprawę.

Mike Duncan przez moment nie mógł się zdecydować, potem skinął głową. Wiedział, że Chaffee ma rację. Puścił gaz i zahamował.

Kiedy ciężarówka się zatrzymała, wyłączył silnik i położył ręce na kierownicy.

Libijski pojazd patrolowy stanął dwadzieścia metrów od nich, żeby strzelec we włazie dachowym miał optymalną pozycję do celowania w całą trójkę. Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i wyskoczyło z nich czterech żołnierzy w pustynnych mundurach polowych z kałasznikowami gotowymi do strzału.

Alana nigdy w życiu tak się nie bała. Sprawił to nieoczekiwany zwrot akcji. W jednym momencie byli sami, w następnym patrzyli w wyloty luf.

Libijczycy krzyczeli i wymachiwali bronią, pokazując im, że mają wysiąść z ciężarówki. Greg Chaffee próbował rozmawiać z nimi po arabsku, ale bez skutku. Jeden z żołnierzy cofnął się i posiekał ziemię serią z karabinu. Pociski podrywały fontanny piasku, które rozwiewał wiatr. Hałas był ogłuszający i Alana wrzasnęła.

Ona, Mike i Greg podnieśli szybko ręce do góry na znak, że się poddają. Żołnierz złapał Alanę za nadgarstek i wyciągnął ją z odkrytego samochodu. Mike wykonał gest protestu przeciwko brutalnemu traktowaniu i dostał kolbą w ramię tak mocno, że ręka zdrętwiała mu aż do czubków palców.

Alana padła na ziemię, jej duma ucierpiała bardziej niż ciało. Greg zeskoczył z tylnego siedzenia z rękami w górę.

- Przepraszamy - odezwał się po arabsku - nie wiedzieliśmy, że wjechaliśmy do Libii.

- Powiedz im o samolocie - przypomniała Alana, kiedy wstawiała i otrzepywała się z kurzu.

- Słusznie. - Chaffee znów zwrócił się do żołnierza: - Widzieliśmy odrzutowiec, który wyglądał tak, jakby miał za chwilę spaść. Chcieliśmy zobaczyć, czy się rozbił.

Choć żaden z żołnierzy nie miał oznaczeń na mundurze, jeden najwyraźniej był dowódcą.

- Gdzie go widzieliście?

Greg odetchnął z ulgą, że nawiązał dialog.

- Jesteśmy członkami zespołu archeologicznego, który prowadzi wykopaliska w Tunezji niedaleko granicy. Samolot przeleciał nad miejscem, gdzie pracowaliśmy, na wysokości najwyższej trzystu metrów.

- Widzieliście, że spadł? - zapytał nieogolony żołnierz.

- Nie. Przypuszczamy, że wylądował gdzieś na pustyni, bo nie zauważyliśmy dymu.

- To macie szczęście - odparł nielogicznie.

- Co to znaczy? - spytał Greg.

Libijczyk zignorował pytanie i poszedł do pojazdu patrolowego. Wrócił po chwili z czymś, czego Amerykanie nie mogli rozpoznać, dopóki nie wręczył tego jednemu ze swoich ludzi. Kajdanki.

- O co wam chodzi? - zapytała ostro Alana po angielsku, kiedy jeden z żołnierzy chwycił ją z tyłu za ramiona. - Nie zrobiliśmy nic złego.

Gdy ciepła stal zatrzasnęła się wokół jej nadgarstka, odwróciła się i plunęła w twarz Libijczykowi. Uderzył ją tak mocno, że upadła.

Mike odepchnął żołnierza, który chciał go skuć, i zdążył zrobić dwa kroki w kierunku półprzytomnej Alany, kiedy dowódca patrolu zareagował na jego agresywne zachowanie. Wyciągnął pistolet z kabury na biodrze i ze spokojem wpakował nacierzowi kulę między oczy. Głowa Mike'a Duncana odskoczyła do tyłu i runął obok Alany. Ogłuszona ciosem, mogła tylko patrzeć na ohydne trzecie oko w czole Mike'a. Strużka ciemnego płynu wyciekała z otworu.

Alana czuła, jak ją stawiają na nogi, ale nie miała siły ani się opierać, ani ułatwiać im zadania, kiedy wpychali ją na tylne siedzenie pojazdu patrolowego. Greg Chaffee też wydawał się szokowany, gdy sadzano go na ławce obok niej. W środku było goręcej niż na zewnątrz i zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy żołnierz wciągnął jej ciemny tekstylny worek na głowę. Materiał wchłonął łzy Alany Shepard, gdy tylko pociekły z jej oczu.

9.

Hotel Corlntia Bab Africa Trypolls, Libia

Ambasador Charles Moon wstał zza biurka, gdy sekretarka otworzyła drzwi jego gabinetu i odsunęła się na bok. By okazać szacunek swojemu gościowi, Moon powitał go na środku wyłożonego dywanem pokoju.

- Panie ministrze, dziękuję, że mimo tylu zajęć znalazł pan czas na spotkanie ze mną - powiedział poważnym tonem.

- Pułkownik Kaddafi żałuje, że w tej trudnej chwili nie może osobiście wyrazić troski naszego rządu, ale nie pozwalają mu na to sprawy państwowe. Proszę przyjąć obecność mojej skromnej osoby za dowód na to, że podzielamy pański niepokój. - Ali Ghami wyciągnął rękę.

Ambasador Stanów Zjednoczonych uściśnął mu dłoń i wskazał kanapy pod szklaną ścianą z widokiem na skrzące się Morze Śródziemne. Dwaj mężczyźni usiedli. Moon był niski, garnitur leżał na nim jak worek jutowy. Przystojny elegancko ostrzyżony libijski minister spraw zagranicznych miał metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, nosił garnitur o charakterystycznym kroju z Savile Row, jego buty lśniły jak lustro. Mówił po angielsku niemal bezbłędnie, z zaledwie nieznacznym akcentem, który pasował do jego wytwornych manier. Założył nogę na nogę i wygładził spodnie.

- Mój rząd pragnie pana zapewnić, że wysłaliśmy w rejon katastrofy ekipy poszukiwawczo-ratownicze, łącznie z lotnictwem, i zrobimy wszystko, by wyjaśnić, co stało się z samolotem sekretarz Katamory.

- Doceniamy to, panie ministrze - odrzekł oficjalnie Charles Moon. Był zawodowym dyplomata i wiedział, że ton ich rozmowy jest równie ważny jak słowa. - Reakcja pańskiego rządu na zaistniałą sytuację jest taka, że więcej nie moglibyśmy sobie życzyć. Sama pańska wizyta świadczy o tym, jak poważnie traktujecie sprawę, która może się okazać straszliwą tragedią.

- Wiem, że współpraca między naszymi krajami dopiero się zaczyna. Wasza ambasada nie ma jeszcze nawet stałej siedziby i musi pan urzędować w apartamencie hotelowym. - Ghami wskazał szerokim gestem pokój. - Ale nie chciałbym, żeby to naraziło na szwank nasze dobre stosunki.

Moon skinął głową.

- Od maja 2006 roku, kiedy oficjalnie je odnowiliśmy, mamy wsparcie ze strony waszego rządu, i w tej chwili nie dopuszczamy myśli, że coś stało się, eee... nieprzypadkowo. - Położył nacisk na ostatnie słowo i doszedł do sedna: - Jeśli nie pojawią się nowe informacje, uznamy to za nieszczęśliwy wypadek.

Teraz Ghami skinął głową. Zrozumiał.

- Nieszczęśliwy wypadek, w istocie.

- Czy mój rząd może w jakiś sposób pomóc? - zapytał Moon, choć już znał odpowiedź. - Lotniskowiec „Abraham Lincoln” jest obecnie w Neapolu i mógłby włączyć się do poszukiwań za dzień lub dwa.

- Bardzo chętnie skorzystałbym z pańskiej uprzejmej propozycji, panie ambasadorze, jednak

uważamy, że nasze wojskowe i cywilne grupy poszukiwawcze są wystarczająco dobrze przygotowane do tego zadania. Wolę sobie nie wyobrażać konsekwencji dyplomatycznych w razie następnej katastrofy lotniczej. Poza tym społeczeństwo libijskie nie zapomniało ostatniej wizyty amerykańskich samolotów bojowych pod naszym niebem.

Miał na myśli ataki maszyn FB-111 sił powietrznych i lotniskowca 14 kwietnia 1986 roku. Naloty zrównały z ziemią kilka koszar i poważnie osłabiły libijską obronę przeciwlotniczą. Przeprowadzono je w odpowiedzi na serię zamachów bombowych w Europie, które Stany Zjednoczone wiązały z ugrupowaniem wspieranym przez Libię. Libia zaprzeczyła, że była w to zamieszana, ale od tamtej pory takie zamachy nie powtórzyły się do czasu pojawienia się al Kaidy dziesięć lat później.

Ghami uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście, godzimy się z tym, że najprawdopodobniej skierowaliście część waszych satelitów szpiegowskich nad nasz kraj. Jeśli zauważycie tamten samolot, zrozumiemy, jak go znaleźliście, o ile zdecydujecie się podzielić z nami tą informacją. - Moon chciał zaprotestować, ale Libijczyk powstrzymał go gestem. - Bardzo proszę, panie ambasadorze, komentarz jest zbyteczny.

Moon uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd dwanaście godzin wcześniej transponder w samolocie Fiony Katamory umilkł.

- Chciałem tylko zapewnić, że niewątpliwie podzielimy się taką informacją.

- Musimy omówić jeszcze jedną kwestię - powiedział Ghami. - W tej chwili nie widzę powodu, żeby odwoływać czy nawet opóźniać konferencję pokojową. Zgadza się pan ze mną?

- Rozmawiałem z prezydentem dziś rano - odrzekł Moon. - Ma takie samo odczucie. Gdyby, nie daj Boże, stało się najgorsze, konferencja tym bardziej powinna się odbyć dla uczczenia pamięci sekretarza Katamory, która uważała ten szczyt za największą szansę na osiągnięcie stabilizacji w regionie. Myślę, że ona bardziej niż ktokolwiek chciałaby, żebyśmy kontynuowali rozpoczęty proces.

- W wypadku tego najgorszego, jak pan się wyraził, kto ewentualnie reprezentowałby pański rząd na konferencji? Orientuje się pan?

- Szczerze mówiąc, nie. Prezydent nie chce nawet spekulować na ten temat.

- Doskonale to rozumiem - odparł Ghami.

- On i sekretarz Katamora bardzo się przyjaźnili.

- Wyobrażam sobie. Z tego, co czytałem i widziałem w wiadomościach, była niezwykłą kobietą. Proszę mi wybaczyć, jest niezwykłą kobietą. - Ghami wstał, wyraźnie poirytowany własną gafą. - Panie ambasadorze, nie będę panu zabierał więcej czasu. Chciałem po prostu osobiście wyrazić naszą troskę. Ma pan moje słowo, że jeśli tylko czegoś się dowiem, zadzwonię do pana bez względu na porę.

- Będę wdzięczny.

- A prywatnie, Charles - Ghami celowo zwrócił się do Moona po imieniu - jeśli taka jest wola Allaha, to nie rozumiem tego.

Moon wiedział, że tylko uczucie płynące prosto z serca mogło skłonić Ghamiego do zakwestionowania woli jego Boga.

- Dziękuję.

Ambasador Stanów Zjednoczonych odprowadził libijskiego ministra spraw zagranicznych do wind. Po namyśle powiedział:

- Zastanawiam się, jak powinniśmy postępować, jeśli doszło do katastrofy.

- Nie rozumiem.

- Jeśli samolot się rozbił, mój rząd najprawdopodobniej będzie chciał przysłać amerykańskich ekspertów do zbadania szczątków. Ludzie z NTSB, Narodowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu, są specjalistami od ustalania przyczyn wypadków lotniczych.

- Tak, rozumiem. - Ghami potarł podbródek. - My też mamy fachowców, którzy pełnią takie funkcje. Nie widzę problemu. Aczkolwiek będę musiał skonsultować to z pułkownikiem.

- Doskonale. Dziękuję.

Minutę po powrocie Moona do gabinetu rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę.

- I co pan o tym myśli? - zapytał Jim Kublicki, szef placówki CIA przy ambasadzie amerykańskiej. Dawny gwiazdor futbolu akademickiego pracował w Agencji od piętnastu lat. Z powodu wzrostu ledwo mieścił się w drzwiach, dlatego nie mógł działać w terenie, bo wyróżniał się w tłumie. Ale był kompetentnym administratorem i czterech agentów przydzielonych do ambasady lubiło go i szanowało.

- Jeśli są w to zamieszani, to bez udziału Ghamiego - odrzekł Moon.

- Z tego, co słyszałem, jest pupilkiem Kaddafiego. Gdyby zestrzelili samolot, wiedziałby o tym.

- Więc przecucie mówi mi, że Libijczycy nie maczali w tym palców i to był wypadek.

- Nie będziemy mieli pewności, dopóki nie znajdą wraka i nie zostanie on zbadany.

- Oczywiście.

- Pytał go pan, czy możemy ściągnąć speców z NTSB?

- Tak. Zgodził się, ale podobno musi to przedyskutować z Kaddafim. Myślę, że nie spodziewał się tego pytania i chce mieć trochę czasu na zastanowienie się, jak to zrobić, żeby wpuścić naszych ludzi, ale nie przyznać, że są lepsi niż jego. Nie mogą sobie pozwolić na odmowę.

- Taka zagrywka z ich strony byłaby znacząca - powiedział Kublicki, objawiając typową szpiegowską paranoję.

- Spotkałem go wcześniej, oczywiście, ale tym razem lepiej go poznałem. Jest czarujący i uprzejmy, nawet w tych okolicznościach. Naprawdę przejął się tym, co się wydarzyło. Nie po to tak się zaangażował w zorganizowanie konferencji, żeby teraz miało do niej nie dojść. Bardzo go to martwi. Trudno uwierzyć, że jest wytworem tutejszego reżimu.

- Kaddafi wyczuł pismo nosem, kiedy dopadliśmy Saddama Husajna. Po jakim czasie, odkąd wyciągnęliśmy go z jego nory, Libia zgodziła się zrezygnować ze swojego programu nuklearnego i odciąć się od terroryzmu?

- Chyba po paru dniach.

- No właśnie. Lampart potrafi zmienić cętki, kiedy widzi konsekwencje nękania starych pocziwych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Moon opuścił kąciki ust. Był przeciwnikiem dzingoizmu i inwazji na Irak, choć przyznawał, że bez niej może nigdy nie padłaby propozycja zwołania zbliżającego się szczytu pokojowego. Wzruszył ramionami. Kto wie? Sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej, i nie ma sensu wracać do przeszłości.

- Ma pan jakieś informacje? - zapytał Kublickiego.

- Narodowe Biuro Zwiadowcze przemieściło jeden ze swoich satelitów znad zatoki nad zachodnią część libijskiej pustyni. Specjaliści od obrazowania mają już pierwsze zdjęcia. Jeśli ten samolot tam jest, znajdą go.

- Mówimy o prawie dwustu tysiącach kilometrów kwadratowych - przypomniał Moon. - I część

tego terenu jest górzysta.

- Tamte satelity potrafią odczytać numer rejestracyjny samochodu z wysokości półtora tysiąca kilometrów - odparł niezrażony Kublicki.

Moon był zbyt zdenerwowany sytuacją, żeby napomknąć, iż zdolność rozpoznawania szczegółów określonego celu nie ma nic wspólnego z przeszukiwaniem obszaru wielkości Nowej Anglii.

- Jest coś jeszcze?

Kublicki zorientował się, że to koniec rozmowy, i wstał.

- Nie, panie ambasadorze. Musimy czekać.

- Okej, dzięki. Mógłby pan poprosić moją sekretarkę, żeby przyniosła mi aspirynę?

- Oczywiście. - Agent ciężkim krokiem wyszedł z gabinetu.

Charles Moon ścisnął kciukami skronie. Odkąd usłyszał o zniknięciu samolotu, udawało mu się nad sobą panować, ale wyczerpanie kruszyło jego zawodową fasadę. Wiedział z całą pewnością, że jeśli Fiona Katamora nie żyje, nie ma szans na podpisanie porozumienia trypolitańskiego. Okłamał Ali Ghamiego podczas spotkania. Rozmawiał z prezydentem o tym, kto reprezentowałby Stany Zjednoczone. Prezydent powiedział mu, że wysłałby wiceprezydenta, bo podsekretarz stanu nie ma po prostu wystarczających wpływów. Problem polegał na tym, że wiceprezydent był młodym przystojnym kongresmenem, którego wpisano na listę wyborczą dla równowagi. Nie miał żadnego doświadczenia dyplomatycznego i wszyscy byli zgodni, że rozumu też mu brakowało.

Wiceprezydent poznał kiedyś przedstawicieli Kurdów na przyjęciu w Białym Domu i nie przestawał dowcipkować na temat kurdybanu. Na oficjalnej kolacji dla chińskiego przywódcy zapytał go, jak nazywa się w Chinach gra chińczyk. Potem przez długie miesiące największym powodzeniem w Internecie cieszył się filmik pokazujący, jak wiceprezydent gapi się na rowek między piersiami pewnej aktorki i oblizuje wargi. Charles Moon nie miał zwyczaju modlić się, ale nagle zapragnął uklęknąć i błagać Boga o życie dla Fiony. Chciał się też pomodlić za setki tysięcy ludzi, którzy nadal będą ginęli w wyniku trwającej przemocy, jeśli ona odeszła.

- Aspiryna, panie ambasadorze - powiedziała sekretarka. Podniósł na nią wzrok.

- Zostaw całe opakowanie, Karen. Przyda mi się.

10.

Gdy tylko drzwi windy z polerowanego mosiądzu otworzyły się na najniższym pokładzie „Oregon”, Juan Cabrillo poczuł pulsowanie. Drgań w wyłożonym dywanem korytarzu nie wytwarzały rewolucyjne silniki statku, lecz bodaj najdroższy pływający system stereo. W jego uszach głośnie muzyka, która dochodziła z jedynej kabiny w tej części frachtowca, brzmiała jak odgłosy eksplozji połączone z wrzaskiem tuzina kotów walczących w jutowym worku. Wycie wznosiło się i opadało bez związku z rytmem i co kilka sekund rozlegał się pisk wzmacniaczy.

Z powodu muzycznych upodobań Marka Murphy’ego, jeśli można to było nazwać muzyką, nikt inny nie miał kabiny w tej części „Oregon”.

Cabrillo zatrzymał się w otwartych drzwiach. Członkowie Korporacji dostali pokaźne sumy na urządzenie swoich kabin według własnego gustu. Jego była wykończona różnymi rodzajami egzotycznego drewna i bardziej przypominała angielski dworek niż kajutę. Franklin Lincoln, który nie miał nic, kiedy wychowywał się na ulicach Detroit, i przez dwadzieścia lat służby w marynarce wojennej sypiał tam, gdzie mu kazano, wyposażył swojąabinę w koję, wojskową szafkę i metalową szafę na ubrania. Resztę pieniędzy wydał na harleya zbudowanego na zamówienie. U Maksa żaden mebel nie pasował do pozostałych, jakby wszystkie pochodziły z magazynu organizacji Goodwill.

Eric Stone otoczył się wszelkiego rodzaju konsolami do gier wideo. Ściany jego kabiny zdobiły zdjęcia nagich dziewczyn i plakaty reklamujące gry komputerowe. Na podłodze pokrytej gumą przeciw zakłóceniom krzyżowały się kilometry kabli. W rogu nie posłanego łóżka leżała sterta prześcieradeł i koców.

Mark był minimalistą. Ściany miał pomalowane szarą matową farbą w odcieniu dywanu na podłodze. Tuziny płaskich ekranów na jednej ścianie tworzyły wyświetlacz o ponad pięciometrowej przekątnej. Umeblowanie składało się z dwóch skórzanych foteli, podwójnego łóżka i prostej komody. W kabinie dominowały cztery głośniki o wysokości ponad dwóch metrów, które przypominały Muzeum Guggenheima w hiszpańskim Bilbao zaprojektowane przez Franka Gehry’ego. Murph twierdził, że ostre kąty w głośniku zniekształcają dźwięk. Wziąwszy pod uwagę rodzaj muzyki, której słuchał, Juan nie miał pojęcia, skąd jego młody specjalista od uzbrojenia to wie.

Murph i Stone stali przed wyświetlaczem i patrzyli na obraz satelitarny przesłany przez Langstona Overholta. „Oregon” płynął szybko do Libii i Cabrillo uzgodnił z Langiem, że po dotarciu do celu będą działali jako tajna grupa poszukiwawczo-ratownicza. Poprosił też o przekaz satelitarny, gdyż był pewien, że NRO - Narodowe Biuro Zwiadowcze - zacznie prowadzić rozpoznanie kilka godzin po zniknięciu sekretarza Katamory.

Mark i Eric zmienili oprogramowanie umożliwiające rozpoznawanie szczegółów, żeby ułatwić sobie poszukiwania rządowego samolotu.

Tuziny specjalistów NRO robiły to samo, dysponując sprzętem i oprogramowaniem komputerowym wyższej klasy niż ich, ale Cabrillo był pewien, że jego ludzie znajdą boeinga pierwsi.

Juan zapalił światło, żeby zwrócić ich uwagę.

Murph wycelował pilot w stereo i wyciszył dźwięk.

- Dziękuję - powiedział Juan. - Co to było? Pytam, żeby przez pomyłkę nie kupić tej płyty.

- Zespół Peking Muses - odrzekł Mark, jakby Cabrillo powinien to wiedzieć.

- To nie ma mowy, żebym się pomylił.

Mark miał na sobie podarte džinsy i koszulkę z napisem „Pedro na prezydenta”. Jego włosy tworzyły splątany ciemny gąszcz i ku zaskoczeniu Juana zgolił rzadki zarost, który nazywał brodą. Eric był jak zwykle w koszuli z przypinanym kołnierzykiem i drelichowych spodniach.

Cabrillo dotknął podbródka.

- W samą porę pozbyłeś się tego martwego ptaka z twarzy.

- Dziewczyna, z którą rozmawiam w sieci, powiedziała, że wyglądam lepiej bez tego. - Mark już odzyskał pewność siebie po tym, jak prezes udzielił mu nagany za jego błąd w Somalii. Sam Pryor, ranny mechanik, nie żywił urazy do Murpha, ale zamierzał go wykorzystać jako osobistego służącego po wyjściu z izby chorych.

- Mądra kobieta. Ożeń się z nią. Co znaleźliście? Zaraz. Zanim odpowiecie, powiedzcie co to jest.

Juan wskazał na mapie miejsce styku Sahary z Morzem Śródziemnym około osiemdziesięciu kilometrów na zachód od rozpoznawalnego Trypolis i jego przedmieść. W tym rejonie linia brzegowa przebiegała prosto, ale tu morze wrzynało się w ląd, tworząc idealny kształt trójkąta. Było oczywiste, że to dzieło człowieka. Według skali na monitorze akwen miał ogromną powierzchnię.

- Nowy rodzaj elektrowni pływowej - odrzekł Eric. - Uruchomili ją zaledwie miesiąc temu.

- Nigdy bym nie pomyślał, że na Morzu Śródziemnym są wystarczająco wysokie przypyływy - powiedział Juan.

- Nie ma, ale ta elektrownia nie wykorzystuje bezpośrednio takich ruchów wody. Zbudowano ją w zatoce o wąskim ujściu, dużo głębszej niż inne w tym regionie. Przegrodzono ujście tamą i osuszono zatokę. Potem ją poszerzono i pogłębiono. Blisko szczytu tamy jest rząd śluz skierowanych w dół. Podczas wysokiego przypyływu woda wlewa się przez wrota śluz do rur, napędza turbiny i wytwarza prąd.

- To nie ma sensu. Stara zatoka w końcu wypełni się wodą. Bez względu na to, jak dużo ją powiększyli.

- Zapominasz o lokalizacji. - Eric uśmiechnął się z wyższością. Kiedy czytał o tym projekcie, intuicyjnie pojął, na czym polega tajemnica elektrowni. Juan patrzył na niego pytająco, więc wyjaśnił: - Pustynia.

Prezes nagle zrozumiał.

- Parowanie. Genialne.

- Zbiornik wodny musi być rozległy, ale niekoniecznie głęboki. Obliczyli przeciętną szybkość parowania, żeby akwen miał wielkość odpowiednią do ilości prądu, którą chcieli produkować. Przed zachodem słońca sztuczne jezioro jest praktycznie puste. Potem nadciąga przypyływ, woda dociera do elektrowni i cykl się powtarza.

- A co z...

- Nadmiarem soli? Jest wywożona nocami i sprzedawana władzom samorządowym europejskich miast do posypywania dróg w zimie. Całkowicie odnawialna, czysta energia plus dodatkowy zysk w postaci kilku milionów dolarów rocznie z eksportu soli.

- Jest jeden potencjalny problem - dodał Mark. - Z czasem intensywne parowanie może zmienić klimat w okolicach, gdzie wiatr będzie zwiewał parę.

- W raporcie przeczytałem, że byłoby to niezauważalne - odparł Eric, broniąc projektu przed wrodzoną paranoją Marka.

- Raport przygotowała włoska firma, która zbudowała tę elektrownię. Jasne, że według nich to byłoby niezauważalne, ale tak naprawdę tego nie wiedzą.

- To nie nasze zmartwienie - uciął Cabrillo, zanim Mark zdążył wygłosić jedną ze swoich teorii spiskowych. - Musimy znaleźć samolot sekretarza stanu. Co macie?

Murph wypił pół puszki red bulla, zanim odpowiedział.

- No więc widzimy parę możliwości. Pierwsza jest taka, że samolot eksplodował w powietrzu, albo na skutek poważnej awarii, jak TWA 800 nad południowym brzegiem Long Island, albo trafienia rakietą, też jak TWA 800, zależnie od tego, w co się wierzy. W takim wypadku mielibyśmy szczątki rozrzucone na powierzchni dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, biorąc pod uwagę prędkość i wysokość lotu odrzutowca.

- Zlokalizowanie wraku byłoby prawie niemożliwe, jeśli nie wiadomo, gdzie w przybliżeniu nastąpiła katastrofa - wtrącił Eric, wycierając okulary brzegiem koszuli.

- Wiemy, kiedy umilkł transponder i urwała się łączność - zauważył Mark. - Z pobieżnej analizy ich kursu, szybkości i przewidywanego czasu lądowania w Trypolisie wynikałoby, że zdarzenie miało miejsce po tunezyjskiej stronie granicy i samolot spadł w Libii.

Juan wskazał obraz pustyni na wielopanelowym wyświetlaczu.

- Tam?

Murph pokręcił kudłatą głową.

- Nie, już sprawdziliśmy i nic. Zobaczyliśmy porzuconą ciężarówkę i mnóstwo śladów opon pojazdów patroli granicznych, jak przypuszczamy, ale żadnego samolotu.

- Więc to dobra wiadomość - powiedział Juan. - Jej boeing nie rozpadł się w powietrzu.

- Dobra i zła - odrzekł Eric. - Ponieważ nie wiemy, jaki charakter miało to zdarzenie, wyjaśnienie tej sprawy staje się dużo trudniejsze. Czy zawiódł system tlenowy, co spowodowało śmierć załogi, i samolot leciał sam, dopóki nie skończyło mu się paliwo? W takim wypadku mógłby spaść nawet tysiąc kilometrów na wschód od Trypolisu, możliwe, że do Morza Śródziemnego. Gdyby tak było, to szybowałby kilometrami, zanimby się rozbił.

- Ale to nie tłumaczyłoby ciszy radiowej - zauważył prezes. - Załoga wzywałaby pomocy.

- Wiemy o tym - odparł Mark trochę defensywnie. - Mimo to musimy przeanalizować każdą ewentualność, żeby wyselekcjonować, dobre słowo, co? - nasz docelowy rejon. To nieprawdopodobne, żeby radio wysiadło w tym samym momencie, co silniki, ale zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. To mi o czymś przypomniało. Czy federalni rozmawiali z obsługą naziemną, która serwisowała ten samolot jako ostatnia? Wiecie, to mógł być sabotaż.

- Lang powiedział, że FBI właśnie prowadzi przesłuchania.

- Powinni też sprawdzić załogę. Ktoś z personelu latającego mógł być z al Kaidy albo czegoś takiego.

- Załoga składa się z samych lotników wojskowych - odpowiedział Juan. - Wątpię, żeby stanowiła zagrożenie.

- CIA mówiła to samo o Aldridge'u Amesie, a FBI na pewno prześwietliło Roberta Hanssena. - Mimo że był geniuszem, lub może właśnie dlatego, Mark uwielbiał wytykać innym błędy. - Ktoś mógł

przekupić jakiegoś faceta z sił powietrznych. Samolot wylądował w jakiejś libijskiej bazie na odludziu i torturują tam teraz sekretarz stanu. - Spojrzał na Erica trochę szklistymi oczami, jakby doznał olśnienia. - O co się założysz, że robią jej waterboarding? Za facetów, których trzymamy w Guantanamo. Albo przemocowali jej elektrody do...

- Panowie, nie śpieszmy się tak - przerwał mu Juan, zanim zaczęli wymyślać bardziej drastyczne metody torturowania.

- Jasne, przepraszam - mruknął Eric, choć milczał podczas pełnej podniecenia przemowy Marka. - No więc, zakładając, że wysiadły oba silniki, wzięliśmy pod uwagę prędkość i wysokość i oceniliśmy, że samolot spadał w tempie czterystu pięćdziesięciu metrów na minutę. To daje nam docelowy odcinek około osiemdziesięciu mil morskich.

- To więc macie na ekranie? - spytał Cabrillo.

- Niezupełnie - odrzekł Eric.

Mark uprzedził następne słowa przyjaciela.

- Tak, musieliśmy rozważyć ewentualność awarii silników i radia, ale wykluczaliśmy ją dość szybko i doszliśmy do czegoś innego.

Juan zaczynał tracić cierpliwość do swoich mózgowców, ale nie okazywał tego. Wiedział, że Murph i Eric uwielbiają popisywać się intelektem, i nie chciał pozbawiać ich tej przyjemności.

- Więc jakie jest wyjaśnienie?

- Samolot stracił ogon.

- Lub przynajmniej jego część - poprawił Eric.

- Uszkodzenie konstrukcji ogona mogło łatwo spowodować zniszczenie anten radiowych, co tłumaczyłoby ciszę w eterze - powiedział Mark. - Jednocześnie mogło wyłączyć transponder.

- Zależnie od skali uszkodzenia - ciągnął Eric - samolot mógł jeszcze przelecieć jakiś dystans. Byłby bardzo niestabilny i pilot miałby nad nim niewielką kontrolę. Mógłby sterować maszyną, jedynie zmieniając ciąg każdego silnika.

- Niebezpieczeństwo polega na tym, że w boeingu 737 nie ma możliwości pozbycia się paliwa. Musiałby latać w kółko, żeby je spalić, albo zaryzykować lądowanie z nadmiernym obciążeniem. - Cabrillo chciał zadać pytanie, ale Mark je przewidział. - Zatankowali w Londynie, kiedy zrobili krótki postój na szybkie spotkanie z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych. Według moich obliczeń mieli dość paliwa przynajmniej na godzinę lotu po stracie łączności.

Juan skinął głową.

- Nawet z przymkniętymi przepustnicami mógłby pokonać kilkaset kilometrów.

- Ale tak nie było - powiedział Eric - bo wtedy próbowaliby wylądować awaryjnie w Trypolisie.

- Słusznie. Więc gdzie oni są, do diabła?

- Połączyliśmy dwie ewentualności, a mianowicie awarię silników i uszkodzenie ogona - pochwalił się Mark. - To jest przekonujące. Wysoce nieprawdopodobne, ale mogło się zdarzyć. I zawęziło obszar poszukiwań do około dwustu pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Znaleźliśmy jedno potencjalne miejsce, ale okazało się formacją geologiczną przypominającą kształtem samolot. - Wskazał środkowy ekran. - A tu natrafiliśmy na to.

Juan podszedł bliżej. Na monitorze widniał górzysty teren, dostępny tylko helikopterem lub samochodem z porządnym napędem na cztery koła. Mark wcisnął przycisk na panelu sterowniczym i zrobił powiększenie.

- Jest - szepnęła prezes.

Blisko szczytu jednej z gór spoczywał samolot. A raczej to, co z niego zostało. Szczątki ciągnęły się prawie przez kilometr w dół zbocza. Cabrillo zobaczył ślady na ziemi, gdzie maszyna uderzyła pierwszy raz, odbiła się, potem znów opadła i rozleciała się, gdy wytracała prędkość. Ogień osmaliał grunt mniej więcej w połowie odległości między drugim uderzeniem i głównym skupiskiem szczątków. Kadłub, a przynajmniej jego dwie trzecie, które pozostały w jednym kawałku, był zwęglonym cylindrem otoczonym poszarpanymi resztkami skrzydeł. Jeden silnik leżał trzydzieści metrów od samolotu, drugiego Juan nie mógł dostrzec.

- Żadnych oznak, że ktoś przeżył? - zapytał, choć znał odpowiedź.

- Niestety, szefie - odrzekł Eric. - Jeśli ktoś ocalał, to nie sygnalizował, że potrzebuje pomocy. Pan Overholt powiedział, że powinniśmy dostać następne zdjęcia satelitarne za jakieś dziesięć godzin. Porównamy jedne i drugie i sprawdzimy, czy coś się zmieniło na miejscu katastrofy. Ale sam zobacz. Nie wygląda na to, żeby ktoś mógł się uratować z takiego wypadku lotniczego z pożarem i tak dalej.

- Wiem, masz rację. Po prostu nie mogę się z tym pogodzić. Fiona Katamora była kimś. Wielka szkoda, że zginęła w taki sposób. Zwłaszcza tuż przed podpisaniem porozumienia trypolitańskiego. - Pewność, że ona nie żyje, ciążyła Juanowi jak kamień w żołądku. - Posłuchajcie, dobrze się spisaliście. Prześlijcie szybko dokładne współrzędne do mojego komputera, żebym mógł je przekazać dalej. Nie ma sensu, żeby rządowi specjaliści marnowali czas na poszukiwania, skoro my już znaleźliśmy samolot. Lang na pewno będzie chciał, żebyśmy zbadali miejsce katastrofy, zanim zawiadomi Libijczyków. A przy okazji, gdzie oni szukają?

- Kilkaset kilometrów stamtąd - odrzekł Mark. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tylko udają, że coś robią. Wiedzą, że mamy satelity, więc będą się obijali, dopóki nasz rząd im nie powie, gdzie szukać.

- Pewnie tak - zgodził się Juan. - W każdym razie, musimy się tam dostać, a nie możemy polecieć potajemnie naszym helikopterem, więc trzeba wyznaczyć trasę dla Knota.

- Max nie lubi, jak się używa tej nazwy - przypomniał Eric.

- Wymyślił dla tego pojazdu dziwaczne określenie „kołowy niezależny operacyjny transporter”, więc mówimy w skrócie Knot. Max gdera, bo po prostu to lubi. - Juan starał się powiedzieć to swobodnym tonem, ale myślał o ofiarach katastrofy lotniczej.

Gdyby zamknął oczy, mógłby sobie wyobrazić ich przerażenie tuż przed uderzeniem samolotu w zbocze góry. Był ciekaw, o czym myślała wtedy Fiona Katamora. Godzinę później siedział samotnie w swojej kabinie z nogami na biurku i kubańskim cygarem między wskazującym i środkowym palcem. Patrzył, jak dym zbiera się leniwie pod kasetonowym sufitem. Wszystko było przygotowane na ich przybycie do Trypolisu następnej nocy. Juan skontaktował się z pewną zagadkową postacią w Nikozji na Cyprze. Facet nosił przydomek L'Enfant, Niemowlak. Cabrillo nigdy go nie spotkał, ale gość miał układy w całym rejonie Morza Śródziemnego. Za opłatą Niemowlak załatwił wszystkie formalności celne potrzebne do wyładunku Knota. Zdobył też wizy dla zespołu, który Cabrillo zamierzał wziąć ze sobą w góry. Langston żądał, żeby potwierdzili, że sekretarz stanu nie żyje.

Juanowi nie uśmiechało się grzebanie w szczątkach samolotu, ale wiedział, że muszą mieć pewność.

Znów spojrzął na wydruk zdjęcia satelitarnego miejsca katastrofy leżący na jego biurku. Coś mu nie dawało spokoju, ale nie potrafił powiedzieć, co. Obejrzał w Internecie zdjęcia wypadków

lotniczych i nie zauważył wyraźnych różnic. Nie, żeby katastrofy były identyczne, ale nic szczególnego nie rzucało się w oczy. A jednak coś mu nie pasowało. Ponieważ Cabrillo znał biegle arabski, wysłano go do Libii, kiedy pracował w CIA. Wykonał dwa przydzielone mu zadania, ale nie towarzyszyły temu tak dramatyczne okoliczności. Za pierwszym razem pomógł pewnemu generałowi i jego rodzinie uciec z kraju. Za drugim - spotkał się potajemnie z naukowcem uczestniczącym rzekomo w programie budowy arsenału nuklearnego Kaddafiego. Okazało się, że facet nie ma żadnych przydatnych informacji, więc nic z tego nie wyszło. Juan lubił ludzi, których poznał, i wyczuwał, że są przeciwnikami swojego rządu, ale boją się cokolwiek zrobić. Tak wyglądało życie w państwie policyjnym.

Był ciekaw, czy coś się zmieniło. Czy Libia naprawdę otwiera się na Zachód, czy też nadal uważa nas za wrogów? O ile się orientował, obie frakcje żyły w symbiozie. Tak czy owak, podjął decyzję. Postanowił nie osądzać, że katastrofa samolotu Katamory była wypadkiem, dopóki sam nie usłyszy tego, co zarejestrowała czarna skrzynka. I nie wierzyć, że ona nie żyje, dopóki nie zobaczy wyników badań próbek DNA, które Langston kazał im pobrać.

Juan odnosił sukcesy jako agent CIA, bo miał dobry instynkt i ufał mu. W Korporacji szło mu jeszcze lepiej z tej samej przyczyny.

Coś było nie tak i zamierzał się dowiedzieć, co.

11.

Okazało się, że pilot przydzielony do wprowadzenia „Oregona” do portu w Trypolisie to ich kontakt. Życzliwy mężczyzna średniego wzrostu miał gęste kręcone włosy, które właśnie zaczynały siwieć, zrosnięte brwi i paskudnie ułamany jeden z siekaczy. Stale macał go językiem, co sugerowało, że szczerba jest świeża. Mały siniak w kącie ust mężczyzny zdawał się to potwierdzać.

Pilot uzasadniał swoje zajęcie tym, że potrzebuje dodatkowych pieniędzy na opiekę nad swoją powiększoną rodziną. Jego szwagier stracił ostatnio pracę na budowie w Dubaju i zwałił mu się na głowę z całą rodziną. Jego rodzice jeszcze żyją, Allahowi niech będą dzięki, ale doszczętnie go objadają. I musi zapłacić za dwa zbliżające się wesela. Na dodatek stale pomaga finansowo licznym ciotkom, wujom i kuzynom.

Wszystko to opowiedział w drodze od schodni do kajuty Juana na górze.

- Jest pan honorowym człowiekiem, panie Assad - stwierdził Cabrillo z poważną miną. Nie uwierzył w ani jedno słowo. Podejrzał, że Assad jest skorumpowany, bo ma na utrzymaniu kochankę, i ona lub jego żona uderzyła go niedawno tak mocno, że prawie wybiła mu zęb.

Pilot zbył to machnięciem ręki, papieros ściśnięty między jego palcami przemieścił się jak meteor w mrocznej kajucie. Słońce schowało się już za horyzontem, a „Oregon” był tak daleko od portu, że bardzo niewiele światła od strony miasta przenikało przez matowy od soli bulaj. Juan zapalił tylko słabą lampę na biurku. Mimo że trochę się ucharakteryzował - ciemna peruka, okulary i wypchane gazą policzki - nie chciał, żeby Assad przyjrzał mu się dobrze, choć wiedział z doświadczenia, że tacy ludzie wolą nie widzieć za dużo.

- Robimy, co musimy, żeby przeżyć - perorował Assad. Położył mocno sfatygowany skórzany neseser na biurku Juana i uniósł wieko. - Nasz wspólny znajomy na Cyprze powiedział, że chce pan wyładować ciężarówkę i potrzebne są panu wizy i stemple w paszportach trzech mężczyzn i kobiety. - Wyjął plik papierów i pieczętkę celną. Juan znał się na rzeczy i wręczył mu cztery paszporty. Pochodziły z Magicznej Pracowni Kevina Nixona i nie zawierały żadnych prawdziwych informacji o grupie towarzyszącej Cabrillo w wyprawie na pustynię. Tylko zdjęcia były ich.

Pilot portowy poświęcił kilka minut na zapisanie nazwisk, numerów i innych danych, potem ostemplował czystą stronę w każdym paszporcie i zwrócił je Juanowi. Następnie dał mu odpowiednie papiery.

- Niech pan je pokaże inspektorom celnym. Dotyczą pańskiej ciężarówki. A to... - wyciągnął dwie tablice rejestracyjne i położył na biurku - bardzo panu ułatwi podróżowanie po moim kraju.

Juan nie musiał już kraść tablic z jakiegoś samochodu w mieście.

- Dobrze pomyślane. Dziękuję. Libijczyk się uśmiechnął.

- Biznes polega na obsłudze klienta, tak?

- To prawda - zgodził się Juan.

- Ma pan pamięć do cyfr?

- Słucham?

- Chcę panu podać numer telefonu komórkowego, ale nie chcę, żeby pan go zapisywał.

- Aha. W porządku. Niech pan mówi. Assad wyrecytował ciąg cyfr.

- Niech pan powie osobie, która się zgłosi, pod jakim numerem jest pan osiągalny. Zadzwońię do pana w ciągu godziny. - Arab zachichotał.

- Jeżeli nie będę z żoną.

Juan uśmiechnął się sztucznie, słysząc ten żart.

- Na pewno nie będziemy potrzebowali pańskich usług, ale dziękuję. Życzliwość Assada nagle zniknęła, jego oczy się zwęziły.

- Nie sądzę, żeby trzej mężczyźni i kobieta w ciężarówce mogli być wielkim zagrożeniem dla mojego kraju, ale jeśli usłyszę w wiadomościach coś, co wzbudzi moje podejrzenia, nie zawaham się zawiadomić władz. Mam swoje sposoby na to, żeby nie być w nic zamieszonym, rozumiemy się?

Juana nie rozgniewało to ostrzeżenie. Spodziewał się takich słów i słyszał je w przeszłości od tuzinów podobnych ludzi. Niektórzy rzeczywiście mogli być niebezpieczni. Assad na takiego wyglądał. I Juan wiedział, że Libijczyk zaraz go wybada.

- Amerykański rząd musi być wstrząśnięty śmiercią ich sekretarz stanu - zauważył Assad.

Juan uwielbiał te oklepane chwytły.

- Na pewno. Ale jak pan wie z mojego paszportu, jestem obywatelem kanadyjskim. Nie mam nic wspólnego z tym, co się dzieje u naszego południowego sąsiada.

- Musi im bardzo zależeć na zlokalizowaniu wraku.

- Na pewno - odrzekł Cabrillo z kamienną twarzą zawodowego pokerzysty.

- Skąd pan jest? - zapytał nagle Assad.

- Z Saint John's.

- To w Nowej Szkocji.

- Na Nowej Fundlandii.

- A, część Gaspe.

- To wyspa.

Assad przytaknął. Egzamin zdany. Może kapitan rzeczywiście jest Kanadyjczykiem. Spróbował inaczej.

- Może pański rząd chce pomóc swoim południowym przyjaciołom w tej sprawie.

Juan zrozumiał. Assad chciał się upewnić, że są tu z powodu katastrofy samolotu, nie z żadnej innej przyczyny. To było jedyne logiczne wytłumaczenie, jakie mogło przyjść Libijczykowi do głowy, biorąc pod uwagę czas ich przybycia. Prezes nie widział przeszkód, żeby trochę uspokoić Araba.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Uśmiech Assada powrócił.

- Minister Ghami wystąpił wczoraj wieczorem w telewizji z apelem, żeby ludzie, którzy coś wiedzą o katastrofie, natychmiast się zgłosili. Odnalezienie samolotu leży w interesie wszystkich, tak?

- Chyba tak - odparł Juan. Pytania Assada zaczynały go męczyć. Otworzył szufladę biurka. Libijczyk pochylił się do przodu, gdy Cabrillo wyjął pękata kopertę. - Myślę, że to załatwia sprawę.

Wręczył kopertę Arabowi. Assad schował ją do nesesera bez sprawdzania zawartości.

- Nasz wspólny znajomy na Cyprze powiedział mi, że jest pan honorowym człowiekiem. Wierzę mu i nie przeliczę pieniędzy.

Juan omal nie uśmiechnął się drwiąco. Dobrze wiedział, że zanim Assad doprowadzi „Oregona” do miejsca cumowania, przeliczy gotówkę co najmniej dwa razy.

- Wspomniał pan wcześniej, że w biznesie chodzi o obsłużenie klienta. Dodam, że również o reputację.

- To prawda. - Obaj mężczyźni wstali i uścisnęli sobie dłonie. - Jeśli zechce pan teraz zaprowadzić mnie na mostek, kapitanie, nie będę pana dłużej zatrzymywał.

- Z przyjemnością.

Cabrillo zawsze uważał, że zorganizowana przestępczość narodziła się na nabrzeżach i w basenach portowych będących we władaniu starożytnych fenickich żeglarzy, kiedy paru dokerów ukradło amforę z winem. Wyobrażał sobie, że poczęstowali trunkiem strażników, żeby odwrócili wzrok. Przypuszczał też, że ktoś ich widział i wymusił na nich następne kradzieże. W tym jednym prostym czynie były trzy elementy konieczne do powstania organizacji przestępczej - złodzieje, skorumpowani strażnicy i jakiś szef żądający haraczu. I jedyne, co się zmieniło w ciągu tysięcy lat, to skala kradzieży. Porty to osobne światy, i bez względu na to, jak autorytarny jest lokalny rząd, zachowują tak dużą autonomię, że korupcja trafia na podatny grunt.

Juan widział to od lat i wykorzystywał zakorzenioną w portach korupcję jako furtkę do przestępczego podziemia podczas swojej kariery w CIA. Przy tak ogromnych ilościach wwożonych i wywożonych towarów w portach można się obłowić. Nic dziwnego, że mafia tyle inwestowała w związek kierowców ciężarówek w okresie jego rozkwitu.

Konteneryzacja zapobiegła na jakiś czas drobnym kradzieżom, bo ładunki zaczęto transportować w zaplombowanych skrzyniach. Ale wkrótce szefowie gangów zorientowali się, że równie dobrze mogą kraść całe kontenery.

Juan stał na skrzydle mostka od strony portu z Maksym Hanleyem u boku. Wonny dym unosił się z fajki Maksa i łagodził odór bunkrowanego paliwa i gnijących ryb. Na wprost ich stanowiska cumowniczego samobieżny żuraw zdejmował kontener z frachtowca żeglugi przybrzeżnej. Na żurawiu nie paliły się żadne światła, lampy w górze na suwnicy bramowej były zgaszone. Ciągnik z naczepą, który czekał na ładunek, też miał wyłączone reflektory. Tylko pojedyncza latarka w ręku marynarza obok kontenera rozjaśniała ciemność. Pan Assad poszedł prosto z „Oregoną” dopilnować wyładunku. Cabrillo ledwo widział sylwetkę Libijczyka rozmawiającego z kapitanem statku na nabrzeżu. Było za ciemno, żeby zobaczyć, jak koperta zmienia właściciela, ale Eric zameldował o tym po zaobserwowaniu tego przez kamerę noktowizyjną „Oregoną”.

- Wygląda na to, że nasz L'Enfant zna swoich ludzi - odezwał się Max. - Pan Assad to zajęty chłopak.

- Jak to powiedział Claude Rains w Casablance, „Jestem tylko biednym skorumpowanym urzędnikiem”?

Walkie-talkie Juana zadzwieczało.

- Prezesie, mamy otwartą pokrywę luku. Jesteśmy gotowi.

- Przyjąłem, Eddie. Assad powiedział, że możemy wyładować Knota naszym żurawiem, więc go odpalcie i do roboty.

- Załatwione.

Podobnie jak na tajemniczym statku przycumowanym do sąsiedniego nabrzeża, na „Oregonie” panowała całkowita ciemność. Po drugiej stronie portu wysokie żurawie na szynach rozładowały wielki kontenerowiec w oślepiającym blasku lamp sodowych. Dalej rozciągało się pole kontenerów, a za nim biegło ogrodzenie, stały rzędy magazynów i wznosiły się masywne zbiorniki ropy.

Jeden z paru działających żurawi pokładowych „Oregoną” zaczął się obracać na tle nieba. Kiedy

jego ramię znalazło się nad otwartym lukiem, pleciona stalowa lina odwinęła się z bębna i zniknęła w ładowni. Po pięciu minutach została wciągnięta z powrotem, bom łatwo uniósł ciężar.

Choć Juan nie widział szczegółów w ciemności, rozpoznał kształt Knota. Kołowy niezależny operacyjny transporter był pomysłem Maksa. Na zewnątrz wyglądał jak zwykła ciężarówka i zdobiło go logo fikcyjnej firmy zajmującej się poszukiwaniami ropy. Miał podwozie mercedesa unimoga - była to jedyna niezmodyfikowana część pojazdu. Silnik Diesla z turbodoładowaniem miał zwiększoną średnicę i skok tłoków i został tak przygotowany, że rozwijał moc prawie ośmiuset koni mechanicznych, a wtrysk podtlenu azotu umożliwiał osiąganie ponad tysiąca. Knota wyposażono w samowulkanizujące się opony o głębokiej rzeźbie bieżnika i zawieszenie o regulowanej wysokości. Po podniesieniu pojazdu jego prześwit wynosił prawie sześćdziesiąt centymetrów, o piętnaście więcej niż wojskowego humvee. Opancerzona czteroosobowa, kabina nad przednią osią wytrzymywała strzały z karabinu nawet z bliska. Pudełkową zabudowę z tyłu zabezpieczono podobnie.

Kiedy Eric i Mark po raz pierwszy usłyszeli, że Max planuje zbudować Knota, ochrzcili go Q na cześć konstruktora uzbrojenia Jamesa Bonda. Karabin maszynowy kaliber 7,62 milimetra był ukryty pod przednim zderzakiem, wyrzutnie kierowanych pocisków raketowych wysuwały się z boków ciężarówki, generator dymu tworzył gęstą zasłonę za pojazdem. Z wjazdu dachowego wylaniał się moździerz, Knot mógł mieć też zamontowany drugi kaem lub automatyczny granatnik. Zależnie od potrzeb przedział ładunkowy mógł być szpitalem polowym, stacją radarową lub pomieszczeniem do transportu dziesięciu żołnierzy w pełnym ekwipunku.

Mimo to nic poza większymi oponami nie zdradzało prawdziwego charakteru Knota. Był lądową wersją samego „Oregona”. Gdyby jakiś inspektor otworzył tylne drzwi, zobaczyłby sześć dwustulitrowych beczek wypełniających przestrzeń między podłogą i sufitem. A gdyby z ciekawości poleciał usunąć pierwszy rząd, ukazałby się drugi. W pierwszych beczkach był zapas paliwa na prawie tysiąc trzysta kilometrów. Następne tylko zasłaniały wnętrze ciężarówki, więc mieli nadzieję, że nikt nie każe ich wyjmować.

- Chyba czas się przekonać, Max, czy twój patent był wart zachodu.

- Wy małej wiary - odparł ponuro Hanley. Cabrillo spowaźniał.

- Wiesz, co masz robić?

- Jak tylko wyjedziecie z Trypolis, wyjdę z portu i wezmę kurs na zachód. Zajmiemy pozycję na wodach międzynarodowych na północ od miejsca katastrofy. Helikopter będzie w pogotowiu.

- Wiem, że będziecie w zasięgu helikoptera, ale dobrze jest mieć jakieś zabezpieczenie na wszelki wypadek. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, popłyniecie za nami wzdłuż wybrzeża, jak damy nogę do Tunezji.

- A jeśli coś nie wypali?

Juan spojrzał na niego z udawanym przerażeniem.

- Kiedy ostatni raz tak było?

- Parę dni temu w Somalii, kilka miesięcy temu w Grecji, zeszłego roku w Kongu, a przedtem...

- Tak, tak, tak...

Zakłócenia dobiegły z głośnika w sterówce. Juan wszedł do środka i zdjął mikrofon ze ściany.

- Cabrillo.

- Prezesie, Knot jest na nabrzeżu i możemy jechać. Według ostatnich informacji libijska grupa poszukiwawczo-ratownicza jest dobre pięćset kilometrów od miejsca katastrofy.

- Okej, Linda, dzięki. Spotkamy się przy trapie za pięć minut. - Wyszedł z powrotem na skrzydło mostka.

Max stukał fajką o reling wśród drobin żaru, które opadły wzdłuż burty i gasły jedna po drugiej.

- Do zobaczenia za parę dni.

- Jasne. - Rzadko życzyli sobie powodzenia przed akcją.

Juan prowadził, Mark Murphy siedział obok, Linda Ross i Franklin Lincoln zajmowali tylną kanapę. Wszyscy czworo byli w kombinezonach khaki, wszechobecnych w całej Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie strojach nafciarzy. Linda obcięła włosy i upchnęła je pod czapkę bejsbolową. Ze swoją szczupłą figurą mogła spokojnie uchodzić za młodego mężczyznę na pierwszym zagranicznym kontrakcie.

Było jeszcze ciemno, gdy światła Trypolisu przestały być widoczne w lusterku wstecznym. Ruchu na nadbrzeżnej szosie prawie nie było i po godzinie jeszcze nie natknęli się na blokadę drogową. Pojawił się radiowóz policyjny z błyskającymi kogutami i wyjącą syreną, ale wyprzedził ciężarówkę i zniknął w oddali.

Cabrillo miał zaufanie do ich fałszywych papierów, ale wolał, żeby pozostali anonimowi jak najdłużej. Nie obawiał się zbyt długo zatrzymania przez władze. Niepokoili go skorumpowani gliniarze, którzy ustawiali blokady drogowe, żeby oskubać zmotoryzowanych. Przygotował pieniądze na taką okoliczność, ale wiedział, że sprawy mogą się szybko wymknąć spod kontroli.

Mark wpisał trasę do systemu nawigacyjnego Knota, żeby trafili do rozbitego samolotu, i mieli po prostu szczęście, że blokada drogową była niecałe trzydzieści metrów od miejsca, w którym powinni skręcić z szosy na pustynię. Dwa wozy policyjne zaparkowały tak, że tylko jeden pas pozostał wolny. Gliniarz w odblaskowej kamizelce zaglądał do zatrzymanego sedana, który nadjechał z przeciwnego kierunku, i oświetlał latarką jego wnętrze. Juan zauważył dwóch innych mężczyzn w jednym z radiowozów. Podejrzewał, że jest jeszcze czwarty, ale trzyma się poza polem widzenia. Zwolnił i zapytał:

- Murph, możemy ich ominąć i skręcić dalej? Młody ekspert od uzbrojenia pokręcił głową.

- Wyznaczyłem trasę dokładnie według zdjęć satelitarnych. Jeśli nie skręcimy tutaj, natrafimy na dość strome klify. Nie widać tego w ciemności, ale na lewo od nas jest serpentyna prowadząca na szczyt.

- Czyli teraz albo nigdy, tak?

- Niestety.

Cabrillo zahamował dużą ciężarówką wystarczająco daleko od prowizorycznej blokady drogowej, by sedan mógł go ominąć, kiedy gliniarze go przepuszczą. W ukrytej kieszeni na prawo od fotela kierowcy wyczuwał rękojeść swojej ulubionej broni ręcznej, Fabrique Nationale (FN) Five-seveN. Wojskowa amunicja SS190 miała niewiarygodną siłę przebicia i dzięki małym wymiarom naboju dwadzieścia sztuk mieściło się w magazynku w wygodnym chwycie pistoletu. Na razie zostawił broń w spokoju.

Z tej odległości widział, że w samochodzie jest rodzina. Kobieta miała chustę na głowie i jej twarz była jak jasny owal w świetle latarki. Trzymała niemowlę na rękach i kołysała je delikatnie. Juan słyszał jego płacz przez szum wiatru. Drugie dziecko stało na tylnym siedzeniu. Choć nie mógł zrozumieć słów, słyszał napięcie w głosach ojca i gliniarza, kiedy się kłócili.

- To legalna blokada czy przypadek mordidyl - zapytał Linc. Użył hiszpańskiego słowa oznaczającego branie i meksykańskiego eufemizmu określającego łapówkarstwo.

Juan otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle gliniarz cofnął się od otwartego okna auta i wyszarpnął pistolet z kabury. Krzyk przerażonej kobiety miał jeszcze wyższy ton niż zawodzenie niemowlęcia. Jej mąż za kierownicą podniósł ręce do góry błagalnym gestem. Dwaj pozostali policjanci wyskoczyli z radiowozów i sięgnęli po broń przy biodrach. Jeden ruszył w kierunku prawej strony sedana, drugi pobiegł ku ciężarówce Cabrilla i jego zespołu z pistoletem wycelowanym wabinę.

Ostrożność Juana natychmiast zamieniła się w furię, bo wiedział, że się spóźni. Mark Murphy otworzył szarpnięciem schowek w desce rozdzielczej i automatycznie wysunął się pulpit z płaskim ekranem i klawiaturą z małym dżojstikiem. Kiedy Murph aktywował zamontowany z przodu karabin maszynowy, gliniarz stojący przy zatrzymanym samochodzie nacisnął spust.

Głowa nieszczęsnego kierowcy eksplodowała w czerwonym rozprysku, krew ochlapała przednią szybę od wewnątrz i zasłoniła Juanowi bandytę, który strzelił jeszcze dwa razy. Krzyki kobiety i niemowlęcia ucichły. Padł czwarty strzał i Cabrillo był pewien, że dziecko na tylnym siedzeniu nie żyje. Już wiedział, że wymuszenie pieniędzy się nie powiodło. Zadziałał odruchowo. Wrzucił bieg i nacisnął pedał. Przyspieszenie nie było mocną stroną Knota, ale wystartował jak rozjuszone zwierzę. Gliniarz biegnący w ich kierunku przystanął i otworzył ogień.

Pociski złościły nieszkodliwe wgłębienia w bezpiecznym szkłe lub rykoszetowały od pancerza ciężarówki.

- Gotowe - zawołał Mark.

Juan na sekundę zerknął w bok. Ekran pokazywał widok z kamery pod ukrytym karabinem maszynowym i wyświetlał współrzędne celownicze. Broń sama opuściła się tak, że lufa wysunęła się spod zderzaka.

- Wal! - warknął Juan.

Mark dał ognia i ciężarówka zadrżała, gdy seria zaterkotała pod kabiną i zryła jezdnię w linii biegnącej do najbliższego bandyty. Skorumpowany gliniarz odwrócił się, żeby uciec w lewo, ale zrobił to za wcześnie i dał Murphowi czas na skorygowanie kierunku ostrzału. Trafili go w łydkę, a potem cały został podziurawiony pociskami, które kaem wypluwał z szybkością czterystu sztuk na minutę. Przewrócił się na asfalt i przetoczył na wznak. Jego ciało wyglądało tak, jakby rozszarpał je lew.

Zabójca rodziny rzucił się do jednego radiowozu, trzeci gliniarz do drugiego. Mark zwolnił spust, gdy tylko zlikwidował pierwszego i wziął na cel trzeciego mordercę. Seria roztrzaskała wszystkie szyby w samochodzie i porozrywała nadwozie. Dwie opony siadły i auto się obniżyło. Bandyta ukrył się za częściowo zamkniętymi drzwiami, ale najwyraźniej zrozumiał, że to go nie uratuje. Przeczłogał się przez siedzenie, otworzył drzwi po przeciwnej stronie i opadł na ziemię za radiowozem. Skulił się za przednim kołem i czekał, gdy pociski dziurawiły pojazd.

Był chwilowo nieszkodliwy, więc Juan skrzył w kierunku drugiego samochodu. Gliniarz wsiadał za kierownicę, kiedy silne reflektory Knota oświeciły radiowóz. Gliniarz uniósł pistolet i zaczął strzelać tak szybko, jak tylko pozwalała na to broń, ale bez większego skutku niż wcześniej jego partner.

Cabrillo czuł tylko wściekłość, gdy jechał prosto na wroga.

- Trzymajcie się - powiedział niepotrzebnie tuż przed staranowaniem radiowozu.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu, kiedy drzwi uderzyły w ciało bandyty, ucięły mu nogę w kostce, rękę w nadgarstku i głowę. Ciężarówka pchała samochód, dopóki jego opony nie zahaczyły o

asfalt i auto nie przewróciło się na dach.

- Pierwszy radiowóz! - krzyknęła Linda z tylnego siedzenia. Juan spojrział w tamtą stronę i zobaczył, że kierowca sięga do środka samochodu. Bez wątpienia do radiostacji, pomyślał. Nie miał czasu skrócić tak, żeby Mark mógł użyć kaemu, więc wyciągnął FN Five-sevenN ze skrytki i rzucił Lindzie. Złapała broń jedną ręką, drugą już opuszczała kuloodporną boczną szybę.

Przesunęła kciukiem bezpiecznik i wypaliła z pistoletu, gdy tylko zdołała wystawić lufę przez okno. Linc sięgnął do korbki i opuścił szybę do końca, żeby ułatwić jej zadanie. Celowała pod takim kątem, że nie mogła trafić bandyty, więc gdy Linc otworzył okno, wychyliła się do pasa z ciężarówki i lewą ręką przytrzymała dużego bocznego lusterka. Zaczęła strzelać. Naciskała spust tak szybko, że charakterystyczny trzask efenki brzmiał jak seria fajerwerków.

Cabrillo już miał ją ostrzec, że gdzieś może się czaić czwarty policjant, gdy skorumpowany gliniarz wyłonił się z za wydmy przy drodze i otworzył ogień z automatu. Broń była z tej odległości żałośnie niecelna i przy wyrzucaniu pięciuset pocisków na minutę opróżnienie długiego magazynka trwało tylko cztery sekundy. Pociski omijały Knota, rykoszetowały, gdy trafiały w pancierz, i powodowały pęknięcia na powierzchni szkła, kiedy uderzały w przednią szybę. Jeden wleciał do środka nad zgiętymi plecami Lindy i odłupał kawałek metalu od ramy drzwi dwa centymetry od głowy Linca. Odprysk utkwiał w szyi ekskomandosa SEAL, i gdyby kąt był nieznacznie inny, odłamek przeciąłby mu tętnicę.

Linc przycisnął dłoń do krwawiącej rany i miał tyle przytomności umysłu, że złapał Lindę za kostkę, gdy Juan obrócił kierownicę, żeby ustawić Knota opancerzoną stroną do strzelca. Ledwo zdołał ją uratować przed wypadnięciem na drogę.

- Dostałeś - powiedziała, kiedy zobaczyła krew między jego palcami.

- Gorzej zaciąłem się rano przy goleniu - zażartował Linc. Ale nie zaprotestował, gdy Linda odczepiła apteczkę przymocowaną pod kanapą.

Cabrillo skrzył ostro, żeby podwieszony karabin maszynowy znalazł się w jednej linii z celem. Dzięki akcji Lindy zyskali kilka sekund, których potrzebowali. Jej ogień osłonowy znów zepchnął bandytę za wóz policyjny i gliniarz dopiero teraz sięgał ponownie do radiotelefonu.

Mark nacisnął spust, gdy tylko Juan zakończył manewr. Nie celował w kabinę auta, bo zabójca był tam zbyt dobrze chroniony. Zamiast tego strzelał w tył samochodu, dopóki benzyna nie trysnęła z przedziurawionego zbiornika. Ponieważ co siódmy pocisk był smugowy, wystarczyła sekundowa seria, by rosnąca kałuża się zapaliła. Ogień buchnął spod radiowozu z taką siłą, że tył auta uniósł się z asfaltu. Libijczyk zaczął uciekać na pustynię, ale nie zdążył.

Mieszanka paliwa i powietrza w zbiorniku eksplodowała. Samochód został wyrzucony do góry, podwozie płonęło jak meteor, gdy koziółkował.

Runął na ziemię tuż obok biegnącego gliniarza i wzbił tuman rozżarzonego pyłu, który otoczył mężczyznę. Jego ubranie zajęło się jak pochodnia, upadł i próbował je ugasić, ale przesiąkł benzyną i nie mógł stłumić ognia. Murph wpakował w niego następną serię. Z litości.

- Gdzie jest ten ostatni? - krzyknął Juan.

- Chyba zwiął na pustynię - odrzekł Linc. Linda opatrzyła mu szyję i ścierała sobie krew z rąk.

Cabrillo zaklął.

Pojawienie się następnego pojazdu było tylko kwestią czasu. Ale nie miał wyboru. Nie mogli sobie pozwolić na pozostawienie świadków. Zjechał z drogi.

Terenowa ciężarówka radziła sobie łatwo z miękkim piaskiem i wkrótce rozpędzili się do

sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Ślady bandyty były wyraźnie widoczne w blasku reflektorów, szeroko rozstawione wgłębienia wskazywały, że facet biegnie co sił w nogach.

Po następnej minucie zobaczyli skorumpowanego policjanta. Pędził niczym przerażony zajęc. Mimo dużej ciężarówki za plecami nie zamierzał się poddać. Juan zbliżył się do niego na taką odległość, żeby facet poczuł ciepło silnika.

- Co z nim zrobimy? - zapytał Mark z autentyczną troską w głosie.

Juan nie odpowiedział. Nieraz widział i zadawał śmierć, ale nienawidził zabijania z zimną krwią. Wolał nie pamiętać, ilu ludzi pozbawił życia, ale wiedział, że ilekroć to robi, traci część duszy. Ulżyłoby mu, gdyby Libijczyk się odwrócił i strzelił do nich, ale porzucił broń przy punkcie kontrolnym. Najrozsądniej byłoby go przejechać i mieć to z głowy.

Cabrillo zgiął nogę w kostce, żeby dodać gazu, potem zrezygnował. Musiał być inny sposób. Bandyta spróbował nagle zrobić unik przed Knotem. Stracił równowagę na miękkim piasku i upadł. Juan nacisnął hamulec i skręcił ostro, rozpaczliwie usiłując ominąć uciekiniera. Wszyscy czworo poczuli w kabinie uderzenie.

Zanim Knot się zatrzymał, Juan otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię. Pochylił się nad ciałem. Szybkie spojrzenie powiedziało mu wszystko, co chciał wiedzieć. Wsiadł z powrotem do ciężarówki z zaciśniętymi ustami.

Zobaczył w wyobraźni, jak mężczyzna ostrzeliwuje Knota, jak Linda wisi za oknem, jak Linc zostaje ranny w szyję, ale nie poczuł się ani trochę lepiej z tym, co właśnie się stało. Kiedy wrócili na szosę, podjechał do cywilnego samochodu. Radiowóz nadal płonął. Juan wziął od Lindy swój pistolet, włożył nowy magazynek i odciągnął suwadło. Wyskoczył z kabiny z bronią w obu rękach i powiódł lufą od jednego zniszczonego wozu policyjnego do drugiego. Sięgnął do pierwszego, wyrwał mikrofon z radiostacji i cisnął na pustynię na wypadek, gdyby jakiś dobry samarytanin chciał wezwać władze. Drugi radiotelefon musiał być masą stopionego plastiku, więc go zignorował.

Podszedł do rodzinnego sedana i wziął głęboki oddech, gdy zajrzał do środka. Zapach krwi sprawił, że poczuł w gardle smak miedzi. Mąż i żona, jak również ich dwoje dzieci, nie żyli. Pocieszyło go tylko to, że rany postrzałowe spowodowały natychmiastową śmierć. Co nie osłabiło jego wściekłości z powodu bezsensownej rzezi. Zauważył cienki portfel na podolku mężczyzny. Wziął go, ignorując plamę krwi. Kierowca nazywał się Abdul Mohammad. Mieszkał w Trypolisie. Z dokumentu wynikało, że uczył w szkole średniej. Juan znalazł w portfelu zaledwie parę libijskich dinarów.

Przestał mieć wyrzuty sumienia, że przejechał czwartego bandytę.

Młoda rodzina zginęła, bo byli za biedni, żeby zapłacić łapówkę.

12.

Minęło siedem monotonnych godzin podróży przez pustynię. Linc przespał większość tego czasu, jego wielkie ciało kołysało się, gdy Knot przemierzał nierówny teren. Linda zaproponowała, że poprowadzi ciężarówkę, ale Cabrillo odmówił. Chciał być skoncentrowany i nie rozmyślać. Ilekroć powracał do niego widok zamordowanej rodziny, zaciskał dłonie na kierownicy, aż bieleły mu knykcie.

Mark i Eric Stone wykonali fantastyczną robotę, wyznaczając ich trasę przez góry według zdjęć satelitarnych, a Knot spisywał się lepiej, niż Max obiecywał. Silnik prawie w ogóle nie tracił mocy na najbardziej stromych podjazdach, hamulce były aż nadto skuteczne podczas zjazdów. Max Hanley zamontował nawet za tylnymi kołami łańcuchy, które mogły być opuszczane jak długie chlapacze. Kiedy wlokły się po ziemi, zacierały ślady opon. Nie obawiali się zbyt, że ktoś ich wytropi od punktu kontrolnego. Mimo to śpieszyli się. Władze libijskie wkrótce zorientują się, co zaszło na szosie, i rozpoczną obławę na ludzi, którzy zabili gliniarzy, choćby skorumpowanych.

Juan regularnie dostawał meldunki od Maksa z pokładu „Oregona”. Trzydzieści mil morskich od wybrzeża krążyła eskadra samolotów amerykańskiej marynarki wojennej. Napędzane śmigłami maszyny wczesnego ostrzegania E-2C Hawkeye obserwowały libijską grupę ratowniczą. Dzielili się informacjami z Cabrillem, toteż kiedy o świcie samoloty Libijczyków znów wzbiły się pod niebo, Juan wiedział, czy któryś się do nich nie zbliża.

Na razie nie groziło im wykrycie. Libijczycy ponownie skoncentrowali się na przeczesywaniu rejonu odległego o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca katastrofy.

- Według GPS-u jesteśmy dwa kilometry od wraka - powiedział Mark. - Stoney i ja zauważyliśmy dobrą kryjówkę dla Knota niedaleko stąd.

Cabrillo się rozejrzał. Byli w płytkiej górskiej dolinie na wysokości tysiąca dwustu metrów. Nic nie roślo na nagich skalistych zboczach i tylko skąpa roślinność czepiała się dna doliny. Prawdziwa pustynia.

- Skręć w lewo i przejedź czterysta pięćdziesiąt metrów - polecił Murph.

Juan zastosował się do jego wskazówek i zbliżył do wzniesienia, ale zanim zaczął się wspinać, zobaczył to, co jego ludzie wypatrzyli na zdjęciach satelitarnych. Wąska rozpadlina skalna miała szerokość i głębokość w sam raz do ukrycia Knota, tak że byłby widoczny tylko z góry.

- Super - mruknął i wprowadził ciężarówkę do ciasnej szczeliny. Wyłączył silnik i dostrzegł, że zostały im jeszcze dwie trzecie zapasu paliwa. Knot palił w terenie mniej, niż Max się spodziewał.

Siedzieli przez chwilę i przyzwyczajali słuch do ciszy.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytał sennie Linc.

- Prawie, duży. Pobudka.

Linc ziewnął i przeciągnął się na ile mógł. Linda sięgnęła do ukrytego włącznika za nimi. Tylne ściana kabiny opuściła się i odsłoniła ładownię. Ze względu na charakter tej operacji zabrali minimalną ilość sprzętu. Oprócz małego arsenału złożonego z pistoletów maszynowych i wyrzutni

granatów raketowych, mieli cztery plecaki spakowane na pokładzie „Oregona”. Zaczęła je podawać. Kiedy tylko Cabrillo dostał swój, wyskoczył z kabiny i pomasował knykciami kręgosłup.

Nawet w zacienionej rozpadlinie powietrze było gorące, suche i miało smak kurzu. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś może tu żyć, ale wiedział, że Sahara jest zamieszkała od tysięcy lat. Uważał to za dowód ludzkiej pomysłowości i zdolności przystosowawczych. Chwilę później dołączyli do niego pozostali. Mark spojrział na przenośny odbiornik GPS i wskazał północ.

Podczas jazdy prawie nie rozmawiali i nikt nie czuł potrzeby, żeby robić to teraz. Juan się nie odezwał, gdy rozpoczęli wspinaczkę na kolejne wzgórze bez nazwy.

Jego oczy chroniły okulary przeciwsłoneczne z boczną osłoną, ale czuł żar na karku. Wyciągnął chustkę z kieszeni na biodrze i zawiązał ją luźno na szyi. Dobrze było iść po tylu godzinach siedzenia w Knocie.

Po piętnastu minutach okrążyli ostre wypiętrzenie terenu i natrafili na pierwszy element samolotu. Był to pognieciony płat aluminium wielkości pokrywy od śmietnika - część skrzydła, być może. Ekspert lotniczy rozpoznałby w nim część klapy przedniego podwozia boeinga 737.

Juan spojrział w górę zbocza i zobaczył, że jest usłane szczątkami. W oddali, w trzech czwartych drogi na szczyt, leżał największy fragment kadłuba odrzutowca. Wyglądało to jak miejsce po przejściu tornado, gdzie walają się rozrzucone pozostałości domu jakiejś nieszczęsnej rodziny.

Uderzenie musiało być potwornie silne. Poza piętnastometrowym odcinkiem poczerńałego od ognia kadłuba, większość kawałków metalu i plastiku była mniejsza od pierwszego, na który się natknęli. Ziemia została zryta, eksplozja paliwa osmaliała grunt niczym pożar lasu, tylko tu nie rosły drzewa.

Podczas wspinaczki wiatr wiał im w plecy, więc nie czuli odoru nafty lotniczej. Teraz wisiał w powietrzu i utrudniał oddychanie. Wszyscy czworo zawiązali chusty na twarzach, żeby osłonić nosy i usta.

Rozdzielili się, gdy przeczesywali miejsce katastrofy. Mark fotografował aparatem cyfrowym niektóre większe szczątki i pstrykał zbliżenia rozdarć metalu. Zrobił zdjęcia kilku ściętych śrub mocujących rząd foteli do podłogi kabiny pasażerskiej. Rozglądał się na próżno za częścią ogonową, która zdaniem jego i Erica Stone'a odpadła i spowodowała wypadek. Jeśli mieli rację, leżała kilometry stąd.

- Prezesie - zawołała Linda. Stała na lewo od niego przy jednym z roztrzaskanych silników CFM International.

Cabrillo natychmiast do niej dołączył. Wskazała bez słowa ziemię.

Juan przyjrzał się bliżej. Na wpół zagrzebana w pyle leżała spalona ludzka ręka. Sądząc po wielkości, męska. Cabrillo włożył lateksowe rękawiczki i pochylił się nad uciętą dłonią. Wyjął z plecaka plastikowy cylinder, otworzył jeden koniec i wyciągnął wacik. Pobrał próbkę krwi z poszarpanego nadgarstka i zamknął szczelnie pojemnik. Potem zsunął obrączkę z serdecznego palca i popatrzył na inskrypcję w środku.

Wręczył krążek Lindzie. Wzięła go i przeczytała głośno:

- FXMiJCF 15/5/88.

Podniosła wzrok na Juana.

- Francis Xavier Maguire i Jennifer Catherine Foster. Pobrali się piętnastego maja 1988. Znam listę załogi i pasażerów. Był agentem Secret Service przydzielonym do ochrony Katamory.

Nadzieja Juana, że sekretarz stanu żyje, rozwiała się. Nie to, że zauważył coś podejrzanego na

zdjęciach satelitarnych, lecz pragnienie, żeby coś dostrzec, kazało mu wierzyć i oszukało go. Ostatecznym potwierdzeniem była ponura mina Linca, który właśnie podszedł.

- Znalazłem tabliczkę znamionowaną na lewym silniku. Numer seryjny pasuje. To ich samolot. - Położył mięsistą dłoń na ramieniu Cabrilla. - Przykro mi.

Juan poczuł się tak, jakby dostał kopniaka w brzuch. Doskonale zdawał sobie sprawę z globalnych implikacji śmierci Fiony Katamory. Wiedział też, że dopóki nie zjawi się zespół ekspertów, nie poznają przyczyny katastrofy. Dowody były tak poważnie uszkodzone, że rozważał odwołanie poszukiwań. Mogli tu niechętnie coś zniszczyć i zaszkodzić ekipie NTSB. Ale miał kontrakt z Langstonem Overholtem i nigdy nie kończył pracy w połowie, nawet najbardziej bezowocnej.

- Okej - powiedział w końcu. - Pobieramy dalej próbki. Tylko bądźcie bardzo ostrożni.

Spojrzał na swoje stopy. Wszyscy mieli na nogach buty na gładkich podszewkach. Nie zostawiali śladów. Wsunął obrączkę z powrotem na palec uciętej dłoni i upewnił się, że jest dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej ją znaleźli.

Mark doszedł już do dużej części kadłuba, więc podążyli za nim. Odcinek kabiny biegł od kokpitu do połowy szerokości skrzydeł. Po lewej stronie, tam gdzie powinien być rząd okien, kadłub został rozpruty tak, że aluminium wgięło się do środka i wyglądało jak długie obsceniczne usta bez warg. Poprzecinane kable i przewody hydrauliczne zwisały z samolotu, z niektórych wyciekał płyn i plamił kamienistą glebę.

Wyżej na zboczu spoczywały szczątki kokpitu. Dziób odrzutowca był wbity w ziemię na dobre dwa i pół metra, więc metalowe poszycie przypominało harmonijkowy łącznik autobusu przegubowego.

Juan wspiął się do wnętrza kadłuba. Okazały gabinet sekretarza stanu uległ całkowitemu zniszczeniu. Podłogę pokrywały zastygłe kałuże roztopionego plastiku. Fotele można było rozpoznać tylko po metalowych szkieletach.

Naliczył jedenaście spalonych ciał, nie do zidentyfikowania, w przeciwieństwie do dłoni agenta Secret Service. Nie zachowały się żadne ubrania, siła uderzenia rozrzuciła bezładnie zwłoki. Smród zwęglonego mięsa i zgnilizny dominował nad odorem paliwa lotniczego. Bzyczenie much narastało i cichło, gdy rozpraszały się i gromadziły z powrotem, kiedy Juan przechodził od ciała do ciała.

Nagła fala mdłości sprawiła, że ślina napłynęła mu do ust i musiał mocno przełknąć. Mark Murphy zaglądał na czworakach pod zgliszcza jednego z foteli klubowych z miniaturową latarką w zębach. Mimo ponurego otoczenia - lub może właśnie z jego powodu - nucił pod nosem.

- Murphy - powiedział Juan - jeśli nie masz nic przeciwko temu... Głos prezesa przestraszył Marka. Wyprostował się i wyjął latarkę z ust.

- To jest chyba najlepszy kant, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Słucham?

- Miejsce katastrofy zostało spreparowane, Juan. Ktoś tu był przed nami i się tym zajął.

- Jesteś pewien? Wszystko wygląda mniej więcej tak, jak się spodziewałem.

- Samolot się rozbił, owszem. To jest boeing Fiony Katamory, ale ktoś tutaj kombinował.

Juan ukucnął na wprost klęczącego Murpha.

- Przekonaj mnie.

Zamiast zwrócić się do prezesa, Mark zawołał do Linca:

- Zauważyłeś to już?

- Co miałem zauważyć? - zapytał Linc. - Widzę roztrzaskany odrzutowiec i trupy, które będą mi się śniły do końca życia.

Mark odparł:

- Zdejmij tę szmatę z twarzy i pociągnij nosem.

- Nie ma mowy, człowieku.

- Zrób to.

- Jesteś stuknięty, koleś - powiedział Linc, ale opuścił chustę i zrobił ostrożny wdech. Coś poczuł i wciągnął powietrze głębiej. Otworzył szeroko oczy, gdy rozpoznał woń. - A niech mnie. Masz rację.

- Co jest? - spytał Juan.

- Nie poczułbyś, bo bardzo wątpię, żebyś zetknął się z tym w CIA i Linda też nie, bo marynarka wojenna tego nie używa.

- Czego?

- Galaretowatej benzyny.

- Czego takiego?

- Napalmu - wyjaśnił Linc. Mark skinął głową ekskomandosowi SEAL.

- To był najprawdopodobniej dobry staromodny miotacz ognia. Widzę to tak. Zmusili jakoś samolot do wylądowania gdzieś na terytorium Libii i porwali sekretarz stanu. Potem przylecieli tutaj i celowo roztrzaskali odrzutowiec o tę górę. Zainstalowali system zdalnego sterowania, albo maszynę rozbił pilot-samobójca, co jest bardziej prawdopodobne.

- Kiedy wspięli się tutaj, żeby sprawdzić, czy wszystko jest okej, i zatrzeć ślady obecności kamikaze, zobaczyli, że kabina nie spłonęła na tyle, na ile chcieli, więc dokończyli robotę miotaczem ognia. Gdybyśmy się tu nie zjawili, zapach by się ulotnił i byłby niewyczuwalny. Sprawa wyszłaby na jaw dopiero wtedy, kiedy faceci z NTSB zbadaliby próbki w chromatografie gazowym i wykryli inne substancje niż składniki paliwa lotniczego.

- Obaj jesteście pewni? - zapytał Juan, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

Linc przytaknął.

- To jest jak perfumy twojej pierwszej dziewczyny.

- Musiała być nie byle jaka - zażartowała Linda.

- Nie, to jest po prostu jeden z tych zapachów, których się nigdy nie zapomina.

Juan poczuł się tak, jakby dano mu drugą szansę. Wcześniejszy pesymizm zastąpił przyływ energii. Ale pewna myśl zepsuła mu humor.

- Zaraz. Jaki macie dowód, że samolot wylądował przed katastrofą?

- Powinien być na podwoziu. Chodźcie.

Wyszli wszyscy z kadłuba i wgramolili się do mrocznej ładowni podabiną pasażerską. Cuchnęła spalonym paliwem, ale uwolnili się od woni zwłok leżących od kilku dni na pustyni. Mark skierował się prosto do pokrywy w podłodze. Odblokował rygle i uniósł klapę na długim zawiasie. Poniżej spoczywały duże koła i wózek lewego podwozia boeinga. Wszystko wyglądało zadziwiająco dobrze jak na katastrofę.

Mark zeskoczył do szybu i oświetlił latarką jedną z opon. Obejrzał cały jej obwód, niemal dotykając twarzą gumy.

- Nic - mruknął i przycupnął jeszcze niżej, żeby sprawdzić drugie koło.

Podniósł się po chwili z małym kawałkiem skały w ręku. Trzymał go jak diament Hope.

- Oto dowód.

- Kamień? - zapytała Linda.

- Kawalek piaskowca zaklinował się w bieżniku. I piasek pozostał na dolnej klapie. - Kiedy zobaczył wyraz dezorientacji na twarzach swoich towarzyszy, dodał: - Ten samolot podobno wystartował z Bazy Sił Powietrznych Andrews, poleciał do Londynu, a potem się rozbił, tak? Więc gdzie, u diabła, w jego oponie mogła utkwąć bryłka piaskowca, która wygląda dokładnie tak samo jak wszystkie inne w promieniu tysiąca kilometrów wokół nas?

- Wylądował na pustyni - odrzekł Juan. - Brawo, Murph. To rzeczywiście jest dowód.

Cabrillo schował kamień do kieszeni na piersi.

- Na wypadek, gdyby faceci z NTSB to przeoczyli, trzeba go zbadać, żeby mieć pewność, ale moim zdaniem to przesądza sprawę.

Hałas dobiegł nie wiadomo skąd i wszyscy czworo skulili się odruchowo, kiedy duży helikopter pojawił się dokładnie nad nimi. Był tak nisko, że podmuch wzbijał tuman kurzu.

Nadlądzał z północnego wschodu, najprawdopodobniej z libijskiej bazy wojskowej pod Trypolisem, i musiał trzymać się blisko ziemi, żeby uniknąć wykrycia przez samoloty AWACS amerykańskiej marynarki wojennej. Dlatego nikt nie nadał ostrzeżenia. Kiedy śmigłowiec zaczął zwalniać przed lądowaniem, zobaczyli, że to rosyjski transportowy Mi-8 o udźwigu prawie pięciu ton. Dźwięk jego turbin zmienił się, gdy zbliżał się do szczytu wzgórza jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów od kadłuba boeinga.

- Potrzebujecie dalszych dowodów, że znają miejsce katastrofy? - zapytał Mark i wskazał helikopter w kolorze khaki. - Dobrze wiedzieli, gdzie mają przylecieć.

- Chodźcie. - Juan ruszył w głąb ładowni. - Musimy się ukryć, zanim kurz wokół niego opadnie.

Przezołgali się przez kadłub i zeskoczyli na ziemię na drugim końcu. Nie było wystarczającej naturalnej osłony blisko wraka, więc zbiegli ze zbocza i natrafili na wąski wąwóz, którym woda deszczowa spływała z gór eony temu. Kiedy wszyscy się usadowili, Juan zakopał ich pod cienką warstwą piasku i nasypał na siebie tyle, ile mógł. Nie mieli najlepszego widoku, ale oddalili się na tyle od helikoptera, że Cabrillo wątpił, żeby ktoś stamtąd zapuścił się tutaj.

- Jak myślicie, co jest grane? - zapytał szeptem Mark.

- Nie mam bladego pojęcia - odrzekł Juan. - Linda? Linc?

- Nie wiem - wymruczał Linc.

- Może ktoś zdał sobie sprawę, że ich scenografia nie jest taka dobra, jak im się wydawało - podsunęła Linda - i przylecieli ją ulepszyć.

Na szczycie turbiny umilkły i duży rotor zaczął zwalniać. Po chwili meł powietrze z siłą wentylatora sufitowego. Wielkie dwuczęściowe drzwi pod belką ogonową otworzyły się i mężczyźni wyszli na zewnątrz. Byli w jednakowych pustynnych mundurach maskujących i czerwono-białych kufkach, ulubionych nakryciach głowy islamskich bojowników na całym Bliskim Wschodzie.

- Regularna armia czy partyzantka? - zapytał Linc.

Juan przyglądał się tamtym prawie minutę, zanim odpowiedział.

- Sądząc po tym, jak się kręcą, to nie jest wojsko. Prawdziwi żołnierze dostaliby już rozkaz, żeby sformować szyk. Tylko mnie nie pytaj, co robią w helikopterze z libijskimi oznaczeniami wojskowymi.

Jakby po to, żeby ich bardziej zdezorientować, dwaj mężczyźni wyłonili się tyłem ze śmigłowca, ciągnąc za lejce wielbłąda. Dromader na drżących nogach opierał się im, ryczał i pluł na nich. Potem

zwymiotował na jednego ze swoich dręczycieli, jakby chciał pokazać, co myśli o locie. Śmiech dotarł na dół do członków Korporacji.

- Co oni, do diabła, robią z tym zwierzęciem? - zapytał Mark. - Wygląda na ledwo żywe.

Juan nie znał się na wielbłądach, choć jeździł na kilku. Wolał konie, ale wrażenia nie były takie złe. Zgadzał się z Murphem. Nawet z tej odległości zwierzę wyglądało na chore. Miało niejednolitą, matową sierść i tylko połowę garbu.

Domyślał się, o co chodzi, ale trzymał język za zębami i śledził rozwój wypadków.

Po kilku kolejnych minutach około dwudziestu mężczyzn zeszło na zbocze usłane szczątkami. Dwaj mężczyźni oprowadzali wielbłąda bez wyraźnego celu po terenie, tam i z powrotem, żeby nowe ślady pokryły stare, jakby było więcej niż jedno zwierzę. Dopiero gdy Cabrillo zauważył, że niektórzy z nich są w skórzanych sandałach, utwierdził się w swoich podejrzeniach.

- Linda ma rację. Uznali, że miejsce katastrofy nie wygląda wiarygodnie. W obawie, że eksperci coś wywęszą, stwarzają teraz pozory, że przeszła tędy grupa koczowników.

Obserwowali prawie przez godzinę, jak tamci systematycznie demolowali wszystko, co im wpadło w ręce. Rozbijali szczątki młotami kowalskimi, wrywali kilkusetmetrowe zwięglone kable i przemieszczali elementy samolotu tak, żeby nic nie leżało we właściwym miejscu. Podważyli klapy podwozia i przestrzelili opony odrzutowca. Zawlekli też części boeinga na górę do helikoptera. Kiedy śmigłowiec był pełny, odleciał z paroma mężczyznami i wrócił po dwudziestu minutach. Juan przypuszczał, że wyrzucili ładunek gdzieś dalej na pustyni.

Beładne zbiorowisko aluminium, plastiku i stali, ale istotne dla ekspertów od katastrof lotniczych, zostało całkowicie zniszczone. Posunęli się nawet do tego, że rozczłonkowali zwłoki i pochowali je w kilku nieoznaczonych grobach. Rozpalili też parę ognisk, jakby koczownicy obozowali tu przez kilka dni. Kiedy wielbłąd przestał być potrzebny, jeden z mężczyzn strzelił mu między oczy.

W końcu zaczęli się zbierać. Paru mężczyzn oddaliło się w różnych kierunkach, zapewne w poszukiwaniu ustronnych miejsc, by załatwić fizjologiczną potrzebę przed powrotnym lotem do bazy.

Juan zwrócił się do swojej drużyny:

- Wracajcie do Knota i jedźcie do granicy z Tunezją, ale nie kierujcie się od razu do wybrzeża. Zaczekajcie, aż skontaktuję się z wami przez Maksa na „Oregonie”. Powiedzcie mu, co odkryliśmy. Niech mnie namierza.

Wszyscy pracownicy operacyjni Korporacji mieli w nogach implanty lokalizacyjne. Źródłem zasilania chipów była energia organizmu, choć co jakiś czas wymagały doładowywania przez skórę. Technologia GPS pozwalała na określenie pozycji lokalizatora z dokładnością do kilkudziesięciu metrów.

- A co z tobą? - zapytała Linda.

- Dołączę do nich.

- Nie wiemy nawet, kim są.

- Właśnie dlatego zabiorę się z nimi.

Jeden z zamaskowanych mężczyzn zbliżył się na niecałe sto metrów do ich kryjówki. Był mniej więcej tego samego wzrostu i budowy, co Cabrillo, stąd wziął się pomysł Juana. Blond włosy miał teraz ufarbowane na ciemno i nosił brązowe szkła kontaktowe. Z biegłą znajomością arabskiego i w kufie zasłaniającej jego rysy mógł spróbować podmiany.

Rzucił Lincowi kluczyki do Knota i zaczął się wycofywać z ich kryjówki, gdy Linda chwyciła go

za ramię.

- Co mamy zrobić z tym facetem?

- Zostawcie go. Przeczucie mówi mi, że rząd libijski zamierza ogłosić, iż zlokalizowali miejsce katastrofy, w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Niedługo zaroi się tutaj od ludzi. Niech wyjaśni, co tu, do diabła, robi.

Po tych słowach Cabrillo zniknął. Czółgając się, w niecałą minutę pokonał dystans dzielący go od nic nie podejrzewającego mężczyzny. Pomagało mu to, że turbiny odległego helikoptera zaczęły się obracać z przeraźliwym gwizdem.

Niewidoczny dla innych za wzgórzem, Juan zaczekał, aż facet zrobi swoje, po czym przebiegł ostatnie metry. Mężczyzna był odwrócony plecami do niego, i kiedy zaczął wstawać i podciągać spodnie, Cabrillo zdzielił go w potylicę kamieniem wielkości pięści. Pamiętał Somalijczyka, którego uderzył w podobny sposób niecały tydzień wcześniej, i włożył w cios tyle siły, że Libijczyk osunął się na piasek.

Juan skinął głową, kiedy wyczuł tętno na szyi Araba, i zaczął zdejmować mu ubranie. Na szczęście mężczyzna był jednym z niewielu w wojskowych butach. Sandały nie zasłoniłyby lśniących tytanowych rozporok protezy Cabrilla. Gdy ściągnął Arabowi kufie, zobaczył przeciętnie wyglądającą twarz faceta około trzydziestki. Jego rysy nie wskazywały, że nie jest Libijczykiem, ale Juan nie miał pewności. W kieszeniach munduru mężczyzny nie znalazł portfela ani żadnego dokumentu tożsamości, na ubraniu nie było żadnej metki.

Cabrillo odciągnął nieprzytomnego Araba dalej od miejsca katastrofy, potem sięgnął za plecy i sprawdził, czy jego telefon satelitarny jest tam bezpieczny. Bez niego nawet nie próbowałby tego, co teraz robił. Pozostało mu czekać. Nie trwało to długo. Wkrótce ktoś zaczął go wołać przez ryk silników helikoptera.

- Mohammad! Mohammad! Chodź!

Juan znał już imię człowieka, w którego się wcielił. Zasłonił bardziej twarz chustą i wynurzył się zza wzgórza. Żołnierz zidentyfikowany przez nich wcześniej jako dowódca dwudziestoosobowego oddziału stał piętnaście metrów od śmigłowca. Przynaglił Juana gestem. Cabrillo skinął głową i zaczął biec truchtem.

- Jeszcze chwila i zostawilibyśmy cię tutaj ze skorpionami - usłyszał Juan, kiedy się zrównali.

- Przepraszam - odrzekł. - Coś mi zaszkodziło.

- Nie przejmuj się. - Dowódca klepnął go w ramię i obaj wspięli się do helikoptera. W tylnej ładowni składane siedzenia ciągnęły się wzdłuż obu ścian. Cabrillo usiadł w pewnej odległości od innych i sprawdził, czy nogawka spodni zasłania jego metalową kostkę. Zauważył z zadowoleniem, że nie wszyscy opuścili kufie, więc oparł głowę o ciepłe aluminium kadłuba i zamknął oczy.

Nie miał pojęcia, czy jest wśród żołnierzy zwykłej armii, czy w otoczeniu fanatycznych terrorystów. W końcu uznał, że jeśli go zdemaskują, pewnie nie będzie to miało znaczenia.

Śmierć to śmierć.

Chwilę później unieśli się w powietrze.

13.

Muzyka napływała wciąż rosnącymi falami, gdy zbliżała się do crescendo. Orkiestra nigdy nie grała lepiej, z większą pasją. Twarz dyrygenta lśniła od potu, batuta wirowała i połyskiwała. Widownia za jasnymi reflektorami słuchała jak urzeczona, świadoma cudownych doznań. Miarowe dudnienie sekcji perkusyjnej brzmiało jak wystrzały armatnie, ale nawet to nie mogło zagłuszyć nasilających się dźwięków skrzypiec i drewnianych instrumentów dętych.

Potem rozległ się fałszywy ton.

Muzycy się zawahali, ale jakoś odzyskali rytm.

Głuche uderzenie powtórzyło się, po nim nastąpił ostry trzask i muzyka umilkła.

Fiona Katamora powróciła z koncertu w swojej wyobraźni i zastygła w takiej pozycji, jakby w prawej ręce miała smyczek i zgiętymi palcami lewej dotykała strun.

Tylko ćwiczenie muzyki w myślach utrzymywało ją przy zdrowych zmysłach od chwili porwania.

Jej cela była metalowym boksem bez wyrazu z pojedynczymi drzwiami i nocnikiem, który nieregularnie opróżniano. Oświetlała ją tylko słaba żarówka w drucianej osłonie. Fionie zabrano zegarek, więc nie wiedziała, jak długo jest więziona. Przypuszczała, że cztery dni.

Tuż przed awaryjnym lądowaniem ich samolotu na pustyni pilot powiedział przez interkom, że zauważyli stare lotnisko polowe. Udało mu się przelecieć jeszcze parę kilometrów i posadzić maszynę. Lądowanie na ziemnym pasie startowym było twarde, ale odrzutowiec pozostał cały. Wiwaty, kiedy koła w końcu przestały się toczyć, były ogłuszające. Wszyscy wstali jednocześnie, ściskali się, śmiali i ocierali łzy radości.

Gdy obaj piloci wyszli z kokpitu, klepano ich po plecach tak długo, że posiniały, i potrząsano ich dłońmi tak mocno, że omal nie odpadły. Frank Maguire otworzył główne drzwi i ciepły pustynny wiatr wywiał odór strachu z kabiny.

Głowa agenta nagle eksplodowała, krew i tkanka opryskały stewardesę stojącą za nim.

Tłum mężczyzn wyłonił się zza krawędzi pasa startowego, gdzie ukrywali się w norach przykrytych brezentem i piaskiem. Byli w mundurach khaki i chustach na głowach. Kilku niesło drabiny i zanim ktokolwiek pomyślał, żeby zamknąć z powrotem drzwi samolotu, jedną oparto o próg wjazdu. Pilot rzucił się, żeby ją odepchnąć jak rycerz broniący murów zamku. Został trafiony w ramię przez tego samego snajpera, który zabił Maguire'a. Upadł, ściskając ranę. Chwilę później trzech mężczyzn wymachujących karabinkami AK-47 wdarło się do kabiny.

Asystentka Fiony, Grace Walsh, wrzasnęła tak przeraźliwie, że zirykowało to Fionę, jak sobie później przypomniała, choć jednocześnie obawiała się o jej życie. Wszystko stało się bardzo szybko. Odepchnięto ich od otwartych drzwi, żeby wpuścić następnych mężczyzn do samolotu. Terrorysty powtarzali po arabsku:

- Na podłogę. Wszyscy na podłogę. Fionie jakoś udało się wydobyć z siebie głos.

- Zrobimy, co każecie. Nie ma potrzeby używać przemocy. - I uklękła, żeby się położyć.

Załoga i pasażerowie poszli za jej przykładem.

Jeden z mężczyzn postawił ją szarpnięciem na nogi i popchnął do wyjścia w tym samym czasie, gdy inny wspinał się po drabinie. W przeciwieństwie do pozostałych był w ciemnych luźnych spodniach i białej bawełnianej koszuli z krótkimi rękawami. Kiedy tylko Fiona go zobaczyła, wiedziała, że nigdy nie zapomni jego twarzy. Miał anielskie oblicze o gładkiej cerze koloru kawy i długich rzęsach za okularami w drucianej oprawce.

Wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat, był szczupły i sprawiał wrażenie mola książkowego. Nie miała pojęcia, co robił wśród dzikusów potrzęsających bronią i wrzeszczących na jej ludzi. Potem zauważyła w jego rękach sznur arabskich koralików i Koran. Uśmiechnął się nieśmiało, gdy ją mijał, i zaprowadzono go do kokpitu. Obejrzała się i zobaczyła, że jej ludzie są przykuwani kajdankami do foteli. Zrozumiała i wpadła w przerażenie.

- Błagam, nie róbcie tego - poprosiła mężczyznę, który trzymał ją za ramię.

Popchnął ją jeszcze mocniej w kierunku drabiny. Dostała szału. Rzuciła się na niego z pazurami i próbowała kopnąć go kolanem w krocze. Zdołała zerwać mu kufie i zobaczyła, że nie ma klasycznych semickich rysów typowego Libijczyka. Domyśliła się, że jest Pakistańczykiem lub Afgańczykiem. Zwinął dłoń w pięść i uderzył ją tak mocno, że na chwilę straciła przytomność. W jednym momencie drapała i kopała, w następnym leżała na dywanie z pulsującym bólem z lewej strony twarzy. Mężczyźni stojący na zewnątrz na drabinie zaczęli wyciągać ją z samolotu. Napotkała spojrzenie Grace, zanim ją zabrali. Jakoś udało jej się powstrzymać łzy. Grace też zdawała sobie sprawę, co się stanie.

- Niech Bóg ma cię w opiece - wymówiła bezgłośnie Grace.

- Ciebie też - odrzekła cicho Fiona i została zwleczona na dół. Odprowadzili ją trzydzieści metrów od odrzutowca, zmusili, żeby uklęknęła, i skuli jej ręce za plecami. Dostrzegła przez małe okno kokpitu, że młody człowiek manipuluje sterami. Zobaczyła też dziurę w ogonie samolotu. Wyglądało to tak, jakby pocisk raketowy trafił w boeinga, ale nie eksplodował. Pomyślała, że o to chodziło. Zamierzali ją porwać i upozorować, że zginęła.

Ostatni z terrorystów skończył krępować ludzi na pokładzie. Pilot-samobójca wyszedł z kokpitu i uściskał ostatniego bandytę w progu drzwi. Pomachał do innych, którzy pożegnali go hałaśliwymi wiwatami. Kiedy bandyta zszedł na ziemię i zabrano drabinę, pilot zamknął właz i wrócił do kokpitu.

Łzy spływały Fionie po policzkach. Widziała twarze przyciśnięte do okien samolotu. To byli jej ludzie, mężczyźni i kobiety, z którymi pracowała od lat. Nie chciała pokazać im słabości i powstrzymywała łzy.

Silnik odpalił, jego huk narastał, aż poraził jej uszy. Wzdłuż pasa startowego stały ukryte pod plandekami pojazdy, wśród nich mały ciągnik, jaki widuje się w portach lotniczych na całym świecie. Podjechał do przedniego podwozia dużego samolotu i kierowca zaczepił hak holowniczy.

Minęło kilka minut, zanim ustawił odrzutowiec na krańcu pasa startowego z ubitej ziemi. Ton silnika zmienił się, boeing ruszył i zaczął przyspieszać.

Fiona modliła się, żeby uszkodzenia spowodowane rakietą okazały się na tyle poważne, że samolot nie zdoła osiągnąć prędkości startowej, ale z tak małą ilością paliwa w zbiornikach i pasażerów na pokładzie odrzutowiec nabierał szybkości. Przemknął obok niej, spaliny śmierdziały jak cuchnący gorący oddech. Terrorysty strzelali z kałasznikowów w powietrze i wiwatowali, gdy przednie koła boeinga uniosły się wolno. Wisiały niezgrabnie przez dłuższą chwilę, potem ogon zawadził o ziemię na skutek uszkodzenia i niedoświadczenia pilota.

Dziób zaczął opadać z powrotem i Fiona była pewna, że jej modlitwa została wysłuchana. Pas

się kończy, nie wystartuje.

A potem samolot wzbił się majestatycznie w powietrze lekko przechylony. Wiwaty się nasiliły, więcej pocisków z karabinków poszybowało pod niebo.

Fiona przygryzła wargi, kiedy odrzutowiec nabral wolno wysokości. Nie miała pojęcia, jak daleko polecą pilot. O ile się orientowała, wziął kurs na Trypolis, więc podejrzewała, że uderzy w centrum konferencyjne, gdzie miał się odbyć szczyt pokojowy. Ale terroryści nie zbierali się do odjazdu. Wszyscy patrzyli, jak samolot maleje w oddali. Nie chciała go obserwować, ale nie mogła oderwać od niego oczu.

Boeing zaczął się przechylać na skrzydło, dziób celował teraz w odległe wzgórze. Pilot zdołał odzyskać kontrolę nad maszyną i na moment wyrównał. Potem samolot obrócił się gwałtownie podwoziem do góry i uderzył we wzgórze z taką siłą, że ziemia zadrżała. Szczątki się rozprysły, skrzydła odpadły od kadłuba i stanęły w płomieniach. Jeden silnik się urwał i pokoziołkował w górę zbocza, wyrzucając spod siebie ziemię. Kurz wzbity w powietrze przesłonił na jakiś czas widok, zanim wolno się rozwiał. Skrzydła płonęły, podczas gdy biały cylinder kadłuba potoczył się z dala od pożaru.

Fiona gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy mężczyźni wokół niej ryknęli radośnie.

Mimo dużej odległości wiedziała, że nikt nie ocalał. Choć los oszczędził im grozy spłonięcia żywcem, nikt nie mógł się uratować z takiej katastrofy. W bok od Fiony, tuż poza zasięgiem głosu, kilku terrorystów zaczęło rozmawiać cicho poważnym tonem. Ich mowa ciała sugerowała rozczarowanie, że cały samolot nie spłonął, i zapewne naradzali się, co najlepiej zrobić.

Po drugiej stronie pasa startowego ściągnięto plandekę z wielkiego spychacza. Jego silnik zadudnił i maszyna zaczęła zacierać ślady lądowania, niszcząc systematycznie połowe lotnisko, przygotowane po to, by zwabić pilotów Fiony w to miejsce. Tempo pracy wskazywało, że za kilka godzin nic nie zostanie z prowizorycznego lądowiska.

Zebrań nagle się skończyło. Mężczyzna, który sprawiał wrażenie dowódcy, wydał rozkazy swoim towarzyszom. Fiona nie dosłyszała większości, ale dotarły do niej słowa:

- Usuńcie dowody, że samolot trafiła rakietą i nie zapomnijcie o kajdankach.

W końcu podszedł do niej.

- Dlaczego to zrobiliście? - zapytała po arabsku, klęcząc na kamienistej ziemi.

Przysunął się bliżej. Widziała tylko jego oczy - ciemne otchłanie szaleństwa.

- Bo taka była wola Allaha - odpowiedział, po czym zawołał do jednego ze swoich ludzi: -

Zabierz ją. Sulejman Al-Dżama będzie chciał obejrzeć swoją zdobycz.

Naciągnięto jej kaptur na głowę i wepchnięto na tył ciężarówki. Mogła coś zobaczyć dopiero w celi, ubrana w rodzaj burki, w której rozpoznała afgańską chadri. Szata zakrywała jej całe ciało z wyjątkiem oczu osłoniętych gęstą koronkową siatką.

Hałas, który zakończył koncert w jej wyobraźni, był odgłosem wkładanego do zamka klucza i zwalnianego rygla. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Nie widziała jeszcze twarzy żadnego z porwaczy oprócz pilota-samobójcy i terrorysty, którego zaatakowała w samolocie. Dwaj mężczyźni w progach nie różnili się strojem od pozostałych, nosili mundury khaki bez żadnych dystynkcji i tradycyjne chusty. Jeden z nich warknął, gdy zobaczył, że udało jej się zdjąć burkę mimo kajdanków na rękach. Używała szaty jako poduszki. Odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na jej twarz, wziął burkę i szybko założył ją więźniarce.

- Będziesz okazywała szacunek - powiedział.

- Poznaję twój akcent - odrzekła Fiona. - Jesteś z Kairu. Ze slumsów Imbaba, jeśli się nie mylę. Zamachnął się na nią, ale się powstrzymał.

- Następnym razem uderzę cię, jeśli ośmielisz się odezwać. Strażnicy zabrali ją z celi i wyprowadzili z budynku więzienia. Była wdzięczna za koronkową siatkę, która chroniła oczy przed oślepiającym blaskiem słońca odbijającym się od piasku pustyni. Zorientowała się po kącie padania promieni, że jest późny ranek, ale upał nie dokuczał tak, jak się spodziewała. Domyśliła się, że są wyżej w górach.

Zwracanie uwagi na takie szczegóły i granie muzyki klasycznej w wyobraźni pomagało jej nie myśleć o swoim położeniu i losie przyjaciół i personelu.

Obóz terrorystów wyglądał jak setki innych znanych jej ze zdjęć wywiadowczych. Kilka wysmaganych wiatrem namiotów stało pod urwiskiem podziurawionym niezliczonymi grotami. Wiedziała, że największy będzie ich ostatnim bastionem, jeśli obóz kiedykolwiek zostanie zaatakowany, i nie wątpiła, że zgromadzili tam ilość materiałów wybuchowych wystarczającą do wysadzenia w powietrze połowy góry.

Instruktor musztrował grupę mężczyzn na placu apelowym. Sądząc po ich energicznych ruchach, zbliżali się do końca szkolenia. Kawalek dalej, po zawietrznej góry wyrastającej nad obozem, inny oddział strzelał z karabinów AK-47 ostrą amunicją. Cele znajdowały się zbyt daleko, żeby Fiona mogła zobaczyć, jak im idzie, ale ugrupowania terrorystyczne takie jak Al-Dżamy dostawały tyle pieniędzy, że stać je było na marnowanie pocisków na szkolenie nawet najgorszych rekrutów.

Za strzelnicą Fiona widziała prawie kilometr płytkej doliny z masywem górskim na przeciwległym krańcu. W dolinie trwały jakieś roboty ziemne i biegła tamtędy linia kolejowa. Kilka krytych wagonów towarowych stało na boczniczy obok rzędu rozpadających się drewnianych budynków. Za nimi ogromna lokomotywa spalinowa górowała nad mniejszą, przypominającą ciężarówkę, którą przywieziono tu Fionę. Siatka burki uniemożliwiała jej dostrzeżenie szczegółów.

Nie miała żadnych informacji o tym miejscu. O obozie terrorystów przy linii kolejowej nie wspominały raporty CIA, NSA i FBI, które czytała do znudzenia. Po tylu latach wojny z terroryzmem wciąż nadrabiali zaległości.

Strażnicy skierowali ją do jaskini niedaleko głównej groty. Pod sklepieniem wisiały przewody elektryczne i co jakieś dziesięć metrów gołe żarówki. Powietrze było wyraźnie chłodniejsze i wilgotne jak w starej piwnicy od dawna niezamieszkanego domu. Doszli do drewnianej ściany z drzwiami prowadzącymi do jaskini. Strażnik, który zagroził Fionie, że ją uderzy, zapukał i zaczął na wezwanie.

Otworzył drzwi. Byli w samym końcu groty. Pomieszczenie ograniczała z trzech stron surowa skała. Cztery lub pięć warstw perskich dywanów leżało na ziemi, węgiel drzewny tlił się w koksowniku stojącym w rogu, połączonym z kominem, który biegł obok kabli.

Mężczyzna siedział po turecku na środku pomieszczenia. Miał na sobie świeżo wyprasowaną białą szatę i czarno-białą kufie na głowie. Czytał książkę w słabym świetle - Koran, jak przypuszczała Fiona. Nie podniósł wzroku, w ogóle nie zareagował na ich obecność.

Pomyślała, że to upozowana scena. Ona siedziałaby w swoim gabinecie za biurkiem, pochylona nad jakimś wyglądającym na ważny dokumentem z długopisem w ręku. Kazałaby ludziom czekać najwyżej pół minuty, podczas gdy ten mężczyzna nie spojrzał w górę przez pełną minutę. Jego taktyka dominacji była stratą czasu.

W końcu zamknął Koran z czcią.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał.

- Ali Babą? - odrzekła, żeby go sprowokować.

- Będziesz moją Szeherezadą?

- Prędzej umrę.

- Nie mam szczególnego upodobania do nieboszczyków, ale można to załatwić.

Fiona nie zamierzała pozwolić mu udawać, że jest kimś innym niż potworem.

- Nikt nie wie, jak się naprawdę nazywasz, ale jesteś znany jako Sulejman Al-Dżama. Postawiłeś sobie za cel zniszczenie Izraela i Stanów Zjednoczonych i utworzenie państwa islamskiego rozciągającego się od Afganistanu po Maroko z tobą jako... sułtanem?

- Nie wiem, jaki tytuł przyjmę - odparł Al-Dżama. - Sułtan pasuje, ale ma dekadencjonalne konotacje, nie sądzisz? Haremy, pałace, intrygi i tak dalej.

Podniósł się jednym płynnym ruchem i sięgnął po mosiężny dzbanek stojący obok koksownika. Miał ruchy pełne gracji, ale w ich szybkości była drapieżność. Nalał sobie szklanek herbaty, Fiony nie poczęstował.

Teraz, kiedy wstał, zobaczyła, że ma co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, jest barczysty i dobrze zbudowany, sądząc po grubości nagich nadgarstków. Nie mogła zobaczyć jego rysów, w chybotliwym świetle i przez koronkę burki ledwo widziała jego oczy, ale miała wrażenie, że są głęboko osadzone i ciemne.

- Wasz Jezus powiedział: „błogosławieni czyniący pokój”. Wiedziałaś, że jest prorokiem w islamie? Nie ostatnim, oczywiście. Jest nim Mahomet, pokój z Nim. Ale wasz „Zbawiciel” jest uważany za wielkiego nauczyciela.

- Oboje czcimy Boga Izaaka i Abrahama - odrzekła Fiona.

- Ale ty nie wierzysz w Jego ostatnie wypowiedzi skierowane do Jego wybranego Proroka, święte słowa zapisane przez Mahometa i umieszczone w Koranie.

- Moja wiara zaczyna się i kończy na śmierci i zmartwychwstaniu. Al-Dżama milczał, ale czuła, że ma gotową uszczypliwą ripostę.

W końcu przemówił.

- Wracając do cytatu, uważasz się za błogosławioną?

- Jeśli staram się położyć kres przemocy, to moim zdaniem samo dzieło jest błogosławione, nie ci, którzy w nim uczestniczą.

Przytaknęła.

- Dobrze powiedziane. Ale po co to robisz? Dlaczego pragniesz pokoju?

- Jak możesz o to pytać? - Mimo wcześniejszej rezerwy dała się wciągnąć w dyskusję. Spodziewała się tyrady o tym, że Zachód to samo zło, a nie intelektualnej rozmowy. Było oczywiste, że samozwańczy Sulejman Al-Dżama jest wykształcony, więc ciekawiło ją, jak usprawiedliwi swoje masowe zabójstwa. Słuchała nagranych wywodów bin Ladena, czytała zapisane wypowiedzi więźniów trzymanyh w Guantanamo i oglądała tuziny sfilmowanych scen męczeństwa. Chciała się dowiedzieć, czy ten człowiek jest inny, choć już wiedziała, że jeśli jest jakaś różnica, to nie ma ona znaczenia.

- Pokój równa się stagnacji, szanowna pani sekretarz - odparł Al-Dżama. - Kiedy panuje pokój, dusza człowieka obumiera, jego duch kreatywności zanika. Tylko podczas konfliktu jesteśmy naprawdę tacy, jak chciał Allah. Wojna ujawnia odwagę i poświęcenie. A co nam przynosi pokój? Nic.

- Pokój przynosi nam dobrobyt i szczęście.

- To są rzeczy dla ciała, nie dla ducha. Wasz pokój to większy telewizor i lepszy samochód.

- A wasza wojna to cierpienie i rozpacz - skontrowała Fiona.

- Więc jednak rozumiesz. Te rzeczy są dla ducha, nie dla ciała. Te rzeczy powinniśmy odczuwać.

Nie wygodę wspaniałego domu, lecz wspólną niedolę. To nas zbliża do Allaha. Nie wasza demokracja, nie wasza muzyka rockowa, nie wasze filmy pornograficzne. One odwracają uwagę od prawdziwej przyczyny naszego istnienia. Nie służymy na ziemi żadnemu innemu celowi niż podporządkowanie się woli Allaha.

- A kto wie, jaka jest jego wola? - zapytała. - Kto uznał, że ty znasz jego zamiary lepiej niż ktokolwiek inny? Koran zabrania samobójstwa, a jednak kazałeś młodemu człowiekowi roztrzaskać samolot pełen ludzi o szczyt góry.

- Zginął jako męczennik.

- Nie - zaprzeczyła ostro. - Przekonałeś biednego chłopca, że umrze śmiercią męczennika i będzie miał swoje siedemdziesiąt siedem dziewic w niebie, ale nie mów mi, że w to wierzysz. Nie jesteś nikim więcej niż tanim bandziorem, który próbuje wydrzeć władzę innym, i wykorzystuje ślełą wiarę nielicznych, żeby osiągnąć swoje cele.

Sulejman Al-Dżama klasnął w dłonie i roześmiał się z zachwytem. Przeszedł na angielski.

- Brawo, pani sekretarz Katamora. Brawo.

Choć nie widział tego przez burkę, wyraz zaskoczenia pojawił się na twarzy Fiony. Nagła zmiana języka i tonu rozmowy zdezorientowała ją.

- Przecież musisz wiedzieć, że zawsze chodzi o władzę. Wieki temu Anglia zdobyła ją dzięki swojej doskonałej flocie. Stany Zjednoczone rządzą teraz światem dzięki swojemu bogactwu i arsenałowi nuklearnemu. A co mają kraje bliskowschodnie, oprócz gotowości niektórych z ich obywateli do wysadzania się w powietrze? Prymitywną broń, owszem. Ale pozwól, że cię zapytam, ile twój kraj wydał na utrzymanie Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, odkąd garstka ludzi z nożami ze sklepu żelaznego zburzyła dwa z waszych największych budynków? Sto miliardów? Pięćset miliardów?

Kwota zbliżała się do biliona, ale Fiona nie odpowiedziała. To spotkanie przebiegało zupełnie inaczej, niż się spodziewała. Myślała, że Al-Dżama wyrzuci z siebie wiele przeznaczonych fragmentów Koranu, żeby wytłumaczyć, dlaczego robi to, co robi, a nie ujawni, że jest człowiekiem pragnącym dominacji.

- Przed atakami na World Trade Center jeden na pięćset tysięcy muzułmanów chciał zginąć śmiercią męczennika. Od tamtej pory ta liczba się podwoiła. To daje dziesięć tysięcy mężczyzn i kobiet gotowych wysadzić się w powietrze w świętej wojnie z Zachodem. Naprawdę myślisz, że zdołacie powstrzymać dziesięć tysięcy zamachowców, kiedy ruszą? Ludzie tacy jak ten młody pilot dzisiaj i bin Laden w swojej jaskini w Pakistanie mogą wierzyć w sprawę dżihadu, madame sekretarz, ale są tylko pionkami, narzędziami do użycia i wyrzucenia. Mamy teraz prawie nieograniczoną liczbę pełnych zapału ochotników i wkrótce zaczniemy ich wykorzystywać do skoordynowanych samobójczych ataków, które zmienią granice na świecie tak, jak zawsze sobie wyobrażałem.

Nie mówił jak fanatyk, lecz niemal jak prezes zarządu jakiejś firmy nakreślający plany jej rozwoju.

- Nie musicie tego robić - odrzekła Fiona błagalnym tonem.

- Jest za późno, by to zatrzymać. - Ściągnął kufie z podbródka. Fiona omal nie zemdląła na widok jego twarzy. - A twoja śmierć będzie pierwszym uderzeniem.

14.

Ledwo Linc wsiadł za kierownicę Knota i odpalił silnik, Mark Murphy włączył aktywowany głosem system telekomunikacyjny ciężarówki.

- Zadzwoń do Maksa.

Dźwięk telefonu zabrzmiał w środku pojazdu terenowego. Knot był tak dobrze wyciszony wewnątrz, że ledwo słyszeli diesla, kiedy Linc wyjeżdżał z kryjówki w kierunku granicy z Tunezją.

Nieznany nikomu głos rozległ się w kabinie.

- Pizza Maksa. Do odbioru czy z dostawą?

- Mogliby dostarczyć - powiedział Linc. - Zjadłbym kawałek.

- Przepraszam, pomyłka. - Mark przerwał połączenie i spróbował jeszcze raz. - Zadzwoń do Maksa Hanleya.

Tym razem odebrał Max.

- Max, tu Mark Murphy. Jestem w Knocie z Lindą i Lincem.

- Cieszę się, że w końcu zadzwoniłeś - odrzekł Max. - Po waszym odjeździe zaczęły się problemy.

- Wyobrażam sobie. Jesteś w centrum operacyjnym?

- Tak.

- Każ komuś wyświetlić ekran śledzenia biochipów.

- Moment. - Nastąpiła chwila ciszy. Kiedy czekali, Mark wprowadził do komputera Knota odpowiednie polecenie, połączył się z kamerami „Oregona” i na jego monitorze pojawił się widok futurystycznej sterowni. Max stał przy stanowisku telekomunikacyjnym i obserwował ekran ponad ramieniem operatora. - To ciekawe - mruknął Hanley. - Widzę, jak kierujecie się we troje na zachód z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, przypuszczalnie kołowym niezależnym operacyjnym transporterem, podczas gdy prezes podróżuje na północny wschód z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Co się stało, pokłóciliście się, ludzie?

- Bardzo śmieszne. Nie zgub go. Jesteśmy w drodze do granicy z Tunezją. Juan jest z ludźmi, którzy według nas rozwalili samolot sekretarz stanu. Uważamy, że ona żyje.

- Powiedziałaś, że rozwalili jej samolot?

- Tak i nie sądzę, żeby Fiona Katamora była na pokładzie, kiedy się rozbił.

- Jak oni to zrobili, do diabła? Powiesz mi za chwilę. Lepiej wynoście się stamtąd. Dwadzieścia minut temu Libijczycy ogłosili, że zlokalizowali wrak, i ich rząd wydał zgodę na zbadanie go przez zespół z naszego NTSB. Są teraz w Kairze i będą w Trypolisie w południe, ale założę się, że wcześniej na miejscu katastrofy zaroi się od Libijczyków.

- Nic nie znajdą - odparł Mark. - Grupa ludzi przyleciała tam helikopterem i zrobiła taką demolkę, że wypadku nie da się zrekonstruować. Przemieścili szczątki, część zabrali i roztrzaskali chyba wszystko, co wpadło im w ręce. Przywieźli nawet kulawego wielbłąda, żeby zostawił wszędzie ślady.

- Kulawego wielbłąda?

- Żeby demolka wyglądała na robotę koczowników - wyjaśnił Mark.

- Myślę z wyprzedzeniem - mruknął Max.

- Czy NTSB będzie w Libii jawnie? - spytała Linda.

- Nie. Langston powiedział mi, że uzgodniono to na najwyższych szczeblach i sprawa będzie trzymana w tajemnicy.

- To znaczy, że sprawcy mają kogoś w rządzie, skoro wiedzieli, że trzeba wrócić na miejsce i je zniszczyć.

- Albo są wspierani przez rząd - skontrował Max. - Mark, mówiłeś, że twoim zdaniem sekretarz Katamory nie było w samolocie.

- Jest dość przekonujący dowód, że samolot wylądował na pustyni przed katastrofą.

- Myślisz, że ją porwali?

- A po co by lądowali, startowali znów i uderzali w szczyt góry? Chcą żeby wszyscy myśleli, że ona nie żyje.

- Co na tym zyskają?

- No co ty, Max? - wtrąciła się Linda. - Ona jest sekretarzem stanu, do diabła. Jest dla tych ludzi albo cenną zdobyczą ich wywiadu, albo najlepszą kartą przetargową w historii. Pamiętaj, że była doradcą poprzedniego prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Gdybyśmy uważali, że zginęła, nie szukalibyśmy jej. Mogliby wyciągać z niej informacje do sądnego dnia i nic byśmy nie wiedzieli.

Zapadło milczenie, wszyscy przetrawiali sugestie Lindy. Urowadzenie Fiony Katamory przez terrorystów mogło spowodować więcej szkód niż porwanie prezydenta. Urzędował dopiero pierwszy rok i nie wtajemniczano go w drobne szczegóły operacyjne wojny z terroryzmem. Fiona piastowała od lat takie stanowiska i miała taką zdolność zapamiętywania szczegółów, że wiedziała więcej o zbliżających się operacjach amerykańskich i planach kraju na przyszłość niż głowa państwa.

- Musimy ją odbić - powiedział Max.

Nie było potrzeby odpowiadać na tak oczywiste stwierdzenie.

- Dzieje się jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? - zapytał Mark.

- Tak. Dowiedziałem się od Langstona o pewnej operacji prowadzonej przez Departament Stanu w Tunezji bardzo blisko granicy z Libią.

- Oni prowadzą teraz operacje? - spytał Linc.

- Uzgodnili ją z Langley i do zespołu został przydzielony ich człowiek. Nie uznali jej za priorytetową, bo szansa na powodzenie była niewielka.

- Co oni robią w Tunezji?

Max wyjaśnił, że historyk morski nazwiskiem St. Julien Perlmutter natknął się na pewien list dotyczący pirata Sulejmana Al-Dżamy, który działał w okresie wojen berberyjskich. Powiedział im o przypuszczeniach, że stary korsarz zostawił w jakiejś ukrytej grocie przy brzegu koryta wyschniętej rzeki swoje rozprawy o tym, że możliwa jest pokojowa koegzystencja chrześcijan i muzułmanów.

- To strzał w ciemno - odrzekła Linda, kiedy skończył. - Czy to się wiąże z katastrofą samolotu?

- To zbieg okoliczności, że jedno i drugie miało miejsce mniej więcej w tym samym czasie i niedaleko od siebie, ale nie ma dowodu, że istnieje związek. Sekretarz nawet nie wiedziała o ekspedycji. Zorganizowała to podsekretarz, niejaka Christie Valero. Najwyraźniej uważała, że warto spróbować. Ja też jestem tego zdania. Oświadczenia wpływowych duchownych mają wielką wagę w

tym regionie. Ajatollah Chomeini oznajmił, że każdy, kto...

- ...popęlni samobójstwo podczas walki z wrogiem, będzie uznany za męczennika - dokończyła za niego Linda. - Znamy historię, Max. I założę się, że dowiedziałeś się o tym drobnym fakcie od Overholta.

Hanley nie zaprzeczył.

- Tak czy owak, trzy z czterech osób wysłanych przez Departament Stanu do Tunezji są teraz uważane za zaginione. Dostali pozwolenie od lokalnego rządowego opiekuna na wyjazd ciężarówką z obozu na siedemdziesiąt dwie godziny i nie wrócili.

- I Langley podejrzewa, że ich zniknięcie ma związek z uprowadzeniem Fiony, tak? - zapytał z powątpiewaniem Mark.

- Nie - zaprzeczył Max tonem, który dawał do zrozumienia, że nie obchodzi go sceptycyzm Marka. - Ale Lang chce, żebyśmy sprawdzili, co się z nimi stało.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - powiedziała Linda. - Juan dopiero co odleciał z grupą terrorystów albo oddziałem libijskich sił specjalnych, w każdym razie z ludźmi zamieszkanymi w katastrofę samolotu. Nie powinniśmy włączyć się po pustyni w poszukiwaniu zaginionych archeologów, kiedy on może w każdej chwili nas potrzebować.

- Moment - wtrącił się Murph z podnieceniem w głosie. - Gdzie jest Stoney?

- Nie ma teraz służby, więc pewnie jest w swojej kabinie.

- Max, połącz mnie z nim, zaraz znów porozmawiamy.

Hanley przekierował połączenie. Eric Stone ukazał się na monitorze chwilę później, siorbiąc napój energetyczny.

- Hej, jak idzie zabawa w Lawrence'a z Arabii? - zapytał na powitanie.

- Podbierasz mi red bulla? - naskoczył na niego Mark.

Eric szybko postawił puszkę poza zasięgiem kamery.

- Nie.

- Baran. Posłuchaj, jak oglądaliśmy zdjęcia satelitarne, zauważyliśmy porzuconą ciężarówkę na pustyni niedaleko przypuszczalnej trasy przelotu boeinga.

- Pamiętam.

- Wyświetl mi zbliżenie i podaj współrzędne.

- Poczekaj. - Eric przeniósł wzrok z obiektywu kamery w dół na klawiaturę komputera i zaczął pisać. Ponad jego ramieniem widać było grę wideo. Stwór wyglądający jak ropucha w średniowiecznej zbroi zdobywał mozolnie punkty, układając w kółko kwiaty w koszyku.

- Grasz w jakąś paskudną grę, Eric - zauważył Linc, kiedy zerknął na monitor komputera przed Murphem. - Niech zgadnę. To Sir Ribbet i Bukiet Śmierci?

Stone obejrzał się przez ramię i wyłączył ekran pilotem. Wiedział, że nigdy nie zdoła wytłumaczyć, co robi, takiemu wojownikowi jak Linc.

- Okej, wysłałem e-mail z danymi GPS i powiększeniem zdjęcia ciężarówki. Patrzę teraz, gdzie jesteście. Macie około stu sześćdziesięciu kilometrów do tego miejsca. Powinniście tam być za parę godzin.

- W linii prostej, Stoney, nie tak jak jedziemy, ale dzięki. Mógłbyś jeszcze dać tę fotkę na główny ekran w centrum operacyjnym i przełączyć mnie z powrotem do Maksa?

- Robi się.

- Pogadamy później.

- To ich ciężarówka? - zapytał Hanleya Mark, gdy tylko odzyskali kontakt.

- Overholt mówił, że miała jakieś urządzenie wiertnicze na skrzyni ładunkowej, więc chyba tak. Skąd wiedziałeś, gdzie znaleźć jej zdjęcie?

- Jestem geniuszem, Max - odparł Murph bez cienia ironii. - Przecież wiesz.

- Okej, geniuszu, właśnie zafundowałeś sobie wycieczkę. Obejrzyjcie tę ciężarówkę, a potem przesłuchacie czwartego członka zespołu poszukiwawczego, niejakiego doktora Emile'a Bumforda. Jest nadal na terenie wykopalisk archeologicznych, które służyły za przykrywkę ekipie z Departamentu Stanu. Rozmawiał już z podsekretarzem stanu, organizatorką tej operacji. Z tego, co mówił Lang, Bumford jest bezużyteczny, ale spotkanie z nim może nam coś dać.

- A co z prezesem? - Linda nie ustępowała. - Czuję się tak, jakbyśmy go opuszczali.

- Skarbie, mówimy o Juanie Cabrillu - uspokoił ją Max. - Przy jego szczęściu tamten helikopter poleci do jakiegoś pięciogwiazdkowego nadmorskiego kurortu i dziesięć minut po wylądowaniu Juan będzie miał drinka w ręku i kobietę u boku.

Prawie osiem ciężkich godzin trwała jazda przez pustynię do miejsca, gdzie Eric i Mark na zdjęciach satelitarnych wypatrzyli porzuconą ciężarówkę wiertniczą. Krajobraz tworzyły niezliczone pagórki i koryta rzek, więc podczas podróży tak trzęsło ich wnętrza, że wydawały się płynem zamkniętym w powłokach ciała.

Mark i Linda zamienili się miejscami, więc siedziała obok Linca. Prowadził z rozluźnionymi ramionami, w swobodnej pozycji, jakby trudny teren nie przeszkadzał mu bardziej niż zdarzające się sporadycznie wyboje na autostradzie międzystanowej. Kiedy słońce zawisło nad odległym horyzontem, zbliżyli się do punktu o współrzędnych podanych przez Erica Stone'a. Knot nadal spisywał się bez zarzutu i zostało im jeszcze paliwo akurat na dojazd do Tunezji. Tam musieliby zatankować. Linc miał nadzieję, że będą mogli kupić zapas oleju napędowego na terenie wykopalisk, ale liczył się z tym, że potrzebna będzie dostawa z „Oregona”. Musiałby zadzwonić do Maksa, żeby podwiesili małą cysternę pod nowym śmigłowcem Korporacji. Helikopter McDonnell Douglas MD-520N miał udźwig jednej tony, więc George Adams, ich pilot, mógłby bez problemu przetransportować ilość paliwa potrzebną do napełnienia zbiorników Knota.

Coś wystawało ponad powierzchnią pustyni i przykuło uwagę Linca. Było niecałe pół kilometra na lewo od nich. Nie miał pojęcia, co to jest. Z daleka i w słabym świetle zdawało się pulsować. Pokazał to Lindzie i Markowi. Nie wiedzieli, co to może być. Półtora kilometra dzieliło ich od porzuconej ciężarówki, ale Linc uznał, że warto sprawdzić, co zobaczyli, więc zaparkował Knota za niską wydumą i zgasił silnik.

- Mark, daj mi mój karabin, dobra? - poprosił. Obok niego Linda wyciągnęła Glocka 19, kompaktową wersję siedemnastki, jednego z najpopularniejszych pistoletów bojowych na świecie.

Mark otworzył tylne drzwi i wręczył Lincowi jego karabin szturmowy REC7. Nie tak dobry w strzelaniu z broni ręcznej jak w obsłudze supernowoczesnego arsenału „Oregona”, Murph wetknął z tyłu za pasek stary pistolet Model 1911 kaliber 11,43 milimetra, gdy zwinnie wy dostał swoją chudą postać z ciężarówki.

Cała trójka trzymała się nisko i kryła za naturalnymi osłonami w drodze do niezidentyfikowanego obiektu sterczącego z ziemi. Kiedy byli w odległości pięćdziesięciu metrów od niego, usłyszeli obsceniczny krzyk, który nie mógł być ludzki, ale przypominał wrzask noworodka.

- Co to jest, do diabła? - zapytał Mark z zabobonnym lękiem.

Linc posuwał się naprzód pierwszy z uniesionym wysoko karabinem przy ramieniu i wpatrywał się intensywnie w to, co widział. Obiekt wyglądał jak odwrócony krzyż, ale dwa ciemne kształty poruszały się niezgrabnie po jego obu stronach. Jeden z nich rozpostarł szerokie czarne skrzydła i Linc natychmiast się zorientował, co ma przed sobą. Jakiś człowiek został ukrzyżowany do góry nogami i para sępów siedziała na jego pachach. Pióra na głowach miały umazane krwią, bo pożywiały się zwłokami. Jeden oderwał pasek ciała, który zwisał mu teraz z dzioba. Rzucił głową tam i z powrotem, żeby wepchnąć mięso do przełyku.

Kiedy Linc był komandosem SEAL, służył w środkowej Afryce, więc wiedział z doświadczenia, że żaden ostrzegawczy strzał na świecie nie spłoszy odrażających ptaków, gdy żerują na swojej ulubionej padlinie. Wypalił dwa razy z karabinu dla efektu i pociski zmiotły sępy z ich makabrycznej grzędy. Kilka piór poszybowało leniwie na lekkim wietrze i opadło niedaleko martwych ptaków.

- O Boże... O Boże... O Boże... - powtarzał Mark Murphy, ale musieli przyznać, że został z nimi, kiedy podeszli bliżej.

Sępy zadały ukrzyżowanemu człowiekowi straszliwe rany. Miały dni na rozszarpanie ciała, ale można było rozpoznać, że mężczyzna jest rasy białej i zginął od kuli w głowę. Ponieważ krew wsiąkała w ziemię pod krzyżem, nie sposób było powiedzieć, czy najpierw go zastrzelono, czy powieszono. Zginął zaledwie półtora kilometra od ciężarówki wiertniczej, więc nasuwał się logiczny wniosek, że należał do ekipy Departamentu Stanu.

Linc mógł się zgodzić z tym, że terroryści uznali zabicie tego człowieka za konieczność w czasie operacji. Ale ukrzyżowali go na podobieństwo Chrystusa po prostu dla zabawy.

Bez słowa ruszył z powrotem do Knota po łopatę.

Ponure zadanie zajęło mu tylko dwadzieścia minut, bo ziemia była miękka. Kiedy skończył, tylko cienka warstwa potu lśniła na jego torsie i ogolonej głowie. Gdy pracował, Linda i Mark powędrowali do ciężarówki, i zauważyli, że została zabrana po tym, jak namierzył ją satelita. Natrafili na wyraźne ślady opon prowadzące na zachód. Zauważyli też inne, pozostawione przez pojazd lżejszy od samochodu wiertniczego. Między jednymi i drugimi śladami leżała mosiężna łuska po pocisku, która pachniała jeszcze prochem strzelniczym. Na ziemi widniała czerwono-czarna plama, usuwana mozolnie, po jednym ziarenku piasku, przez kolumny mrówek.

Kiedy powiedzieli Lincowi, co widzieli, wszyscy się zgodzili, że zespół Departamentu Stanu przez nieuwagę przekroczył granicę Libii i natknął się na patrol. Z jakiejś przyczyny jeden członek grupy został zastrzelony, a pozostałych aresztowano. Ciało przewieziono kawałek dalej i ukrzyżowano.

- Możliwe, że zobaczyli lecący samolot Katamory - zasugerował Mark. - Zdali sobie sprawę, że ma kłopoty, i postanowili to zbadać.

- I akurat tak się złożyło, że wpadli na patrol graniczny? - Słowa Lindy brzmiały bardziej jak pełne powątpiewania stwierdzenie niż pytanie.

- Nie na patrol graniczny - skontrolował Linc, wyczuwając, do czego Linda zmierza. - Terroryści rozmieścili drużyny wzdłuż przewidywanej trasy lotu boeinga, żeby wyeliminować każdego, kto go widział.

- Sądząc po miejscu zasadzki, ludzie z Departamentu Stanu byli daleko na południe od swojego obozu - zauważył Mark. - Znaleźli się we właściwym miejscu, tylko w niewłaściwym czasie.

- Co robimy? - zapytał Lindę Linc.

Była wiceprezesem Korporacji do spraw operacyjnych, więc miała najwyższe stanowisko z całej

trójki. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Maksa z prośbą o decyzję, ale Hanley nie widział stanu zwłok i nie poczuł tego, co ona, na widok ciała. Gdy chodziło o sprawy taktyczne, Linda rzadko pozwalała, by emocje miały wpływ na jej decyzje. Jak każdy dobry dowódca. Jednak tym razem, patrząc na swoich towarzyszy, wiedziała, że powinni ruszyć tropem rzeźników, którzy dokonali tej zbrodni. Gdyby dopisało im szczęście, wzięliby jednego do niewoli. Wątpiła, żeby szeregowy żołnierz znał wszystkie plany tych ludzi wobec sekretarza stanu, ale jakakolwiek informacja była lepsza niż nic.

- Mają dużą przewagę czasową - powiedziała, ledwo poruszając szczęką z gniewu.

- Mnie to nie przeszkadza - odrzekł Linc.

- Jeśli to coś ułatwi - odezwał się Mark - jest pięćdziesiąt procent szans na to, że pozostała dwójka Amerykanów została uwięziona, kiedy Libijczycy zatrzymali ich ciężarówkę.

Linda nie pomyślała o tym i to ostatecznie przechyliło szalę.

- Do wozu.

Jazda przez pustynię po śladach opon ciężarówki wiertniczej była łatwa jak trzymanie się linii przerywanej na wiejskiej drodze. Ciężki pojazd zostawił tak głębokie koleiny, że jeszcze nie zasypał ich nawiewany przez wiatr piasek. Kiedy słońce schowało się za odległymi górami, Mark włączył FLIR Knota. Zaprojektowany dla śmigłowców bojowych, system dalekiej obserwacji w podczerwieni wykrywał źródła ciepła w otoczeniu i ostrzegłby ich z wyprzedzeniem wielu kilometrów, że zbliżają się do gorącego silnika samochodowego.

Linc włożył gogle noktowizyjne. Pracowały zarówno w trybie pasywnym, jak i aktywnym, służącym do przetwarzania promieniowania z zakresu bliskiej podczerwieni. Używając obu, mógłby w razie potrzeby prowadzić Knota w zupełnej ciemności. Ale wschodząca za nimi ćwiartka księżyca dostarczała systemowi trzeciej generacji aż nadto światła.

Nikt się nie odzywał, gdy pokonywali pustkowia. Nie było potrzeby. Wszyscy troje mieli takie same myśli, obawy i pragnienie, by pomścić martwego mężczyznę. Nie zwracali uwagi na wyboje pod kołami potężnego pojazdu. Czego nie tłumiły wielkie amortyzatory, przyjmowały ich ciała.

- Jak daleko jesteśmy od granicy z Tunezją? - zapytała Linda po paru godzinach.

Mark sprawdził pozycję na swoim komputerze.

- Około trzynastu kilometrów.

- Rozglądaj się. Wątpię, żeby ją przekroczyli.

Upiorne cienie nagle zniknęły, gdy chmury przesłoniły wschodzący księżyc. Gogle noktowizyjne Linca miały za mało światła do przetwarzania, więc włączył tryb aktywny. Przyrząd wysyłał fale w widmie bliskiej podczerwieni niewykrywalne dla ludzkiego wzroku, ale wyraźnie widoczne w jego goglach.

Przejechali tak następne półtora kilometra. Mark Murphy dobrze wiedział, że sygnał z gogli Linca mógłby zobaczyć każdy wyposażony w noktowizor, więc nie odrywał wzroku od FLIR-a. Jak dotąd termowizja pokazywała, że na terenie przed nimi panuje całkowita ciemność.

Wtem pojawił się jakiś punkt. Za mały na człowieka, pomyślał Mark. Uznał, że to również nie nocne zwierzę, gdy nagle błysk rozświetlił kabinę ciężarówki niemal na każdej długości fal. Strumień gorących spalin granatu raketowego wyglądał jak biała błyskawica na ekranie Marka, gogle noktowizyjne Linca wypełnił blask pocisku. Wpadli w doskonale przygotowaną zasadzkę i gdyby człowiek z granatnikiem wystrzelił moment wcześniej, zostaliby rozerwani na kawałki.

15.

Knot był na szczycie wzgórza, więc mieli kontrolę nad wysoko położonym terenem, ale bez osłony nic im to nie dawało. Linc nie zdążył zahamować i wrzucić wstecznego biegu, toteż wykorzystał jedyną możliwość, jaka mu pozostała. Kiedy sterowana rakietą zbliżała się do nich płaskim torem, ekskomandos SEAL dodał gazu i zjechał w dół zbocza. Wcisnął przycisk na desce rozdzielczej i uaktywnił zawieszenie hydrauliczne.

Koła wysunęły się daleko poza błotniki i środek ciężkości pojazdu znalazł się niżej.

Po zmniejszeniu prześwitu Knota Murph nie mógł już użyć karabinu maszynowego zamontowanego pod przednim zderzakiem, ale Linc zwiększył stabilność ciężarówki i pędzili w poprzek wydmy bez obawy, że się przewrócą. Linc opuścił łańcuchy za tylnymi kołami, żeby zacierały ich ślady. Przy szybkości, z jaką jechał, ciężkie łańcuchy wzbijały w powietrze gęsty tuman kurzu, który prześwietlał FLIR, ale nie gogle noktowizyjne grenadiera.

Granat raketowy uderzył w ziemię tam, gdzie Knot był kilka sekund wcześniej, i eksplodował, wyrzucając do góry fontannę piasku. Serie pocisków smugowych przecięły ciemność i spotkały się na ciężarówce jak strumienie wody z węży strażackich.

- Linda... - zaczął Linc, ale mu przerwała.

- Już się robi.

Otworzyła drzwi do bagażnika i wsunęła się tam nogami do przodu. Sięgnęła natychmiast do sterownika wjazdu w dachu i gdy tylko kłapa się uniosła, wypchnęła drugi karabin maszynowy do góry, by umieścić go w uchwytach. Pokrywy wjazdu osłaniały ją z obu stron, więc wycelowała w bandytów ostrzeliwujących Knota z przodu. Kaem zadudnił w jej rękach i wyrzucił lśniącem łukiem puste mosiężne łuski. Wpakowała serię w punkt największej koncentracji ognia. W ciemności nie widziała, co się dzieje sto metrów od niej, ale pociski smugowe przestały nadlatywać.

Obróciła broń, gdy wóz manewrował, i posiekała następną norę. Musiał tam być grenadier i ludzie strzelający z karabinów szturmowych, bo eksplozja rozerwała kryjówkę i poszarpane ciała poszybowały pod niebo.

Inny granat raketowy wystartował z ciemności, ale został tak źle wycelowany, że Linc mógł sobie pozwolić na zignorowanie go. Skierował Knota na długie piaszczyste wzniesienie, które doskonale osłaniało kilku przeciwników. Wjechał na zbocze i kiedy dotarł na szczyt, wprowadził ciężki pojazd w czterokołowy poślizg tak, że gdy znaleźli się na dole po drugiej stronie, Linda miała na celowniku cały rząd bandytów. Otworzyła ogień i unicestwiła ich pozycje obronne.

- Widzę silne źródło ciepła - zameldował Mark.

- Odległość?

- Pięćset metrów. Jest częściowo zasłonięte przez rzeźbę terenu, ale to coś dużego i temperatura rośnie.

- Rakiety - rozkazał Linc.

Choć Knot podskakiwał na nierównościach, Mark nie pomylił ani jednego klawisza, kiedy

wpisywał polecenia do komputera. Sterowane hydraulicznie panele otworzyły się na bokach ciężarówki i odsłoniły tępe stożki dziobowe czterech pocisków przeciwczołgowych FGM-148 Javelin. Normalnie odpalana z ramienia rakieta przenosiła prawie ośmiokilogramową głowicę bojową i dowiodła swojej skuteczności w walce z wszelkimi pojazdami opancerzonymi.

Kierowany podczerwienią javelin był bronią typu „wystrzel i zapomnij”, więc gdy tylko Mark naprowadził siatkę celowniczą swojego komputera na niezidentyfikowane źródło ciepła, mógł odpalić pocisk.

- Daję ognia - krzyknął do Lindy i wystrzelił raketę. Wystartowała z wyrzutni z szumem gorących gazów spalinowych i pomknęła nad pustynią. Linc skręcił, żeby Linda mogła zlikwidować następną bazę wroga, z której ciągle ostrzeliwano bok Knota. Wyglądało na to, że tylko jeden przeciwnik wciąż chce z nimi walczyć. Javelin leciał w kierunku źródła ciepła z pełną determinacją, bez względu na toczącą się wokół niego bitwę i daremne próby paru mężczyzn, żeby go zestrzelić, kiedy leciał ku tajnej pustynnej bazie. Piętnaście metrów od celu jego detektor nagle zgubił sygnał, choć wyłapał chłodniejszy i bliższy kontakt. Jednak pocisk zignorował przynętę i pozostał na swoim kursie.

Javelin nie mógł zdawać sobie sprawy, że cysterna samochodowa przejeżdża między nim i jego celem i że to jej silnik stanowi słabe źródło ciepła. Rakietę uderzyła w zbiornik tuż za kabiną. Kierowca zginął na miejscu, gdy mieszanka paliwa i powietrza eksplodowała w kuli ognia, która zdawała się dosięgać nieba. Wybuch rozerwał na strzępy pobliskie skupisko namiotów, ich linki zamieniły się w tasiemki, ze słupków pozostały drzazgi. Siatka maskująca rozwieszona na palmach daktylowych, żeby obóz był niewidoczny na zdjęciach satelitarnych, zajęła się jak podpałka. Kawałki metalu z cysterny skosiły obsługę naziemną pracującą w bazie, ale nie wyrządziły szkód serwisowanej maszynie.

W blasku pożaru Linc, Mark i Linda zobaczyli jednocześnie dwie rzeczy. Po pierwsze, że eksplozja przewróciła na bok ciężarówkę wiertniczą należącą do zespołu Departamentu Stanu i jej podwozie płonie. Po drugie to, czego strzegą strażnicy.

Otoczony workami z piaskiem, stał rosyjski helikopter bojowy Mi-24, być może budzący największą groźbę w historii śmigłowiec wojenny. To ciepło emitowane przez jego dwie nabierające tempa turbiny Izotowa wykrył Mark na monitorze FLIR-a. Rotory wirowały, pilot przygotowywał latającego niszczyciela czołgów do startu.

- Jasny gwint! - krzyknął Murph. - Jeśli on oderwie to draństwo od ziemi, będzie po nas.

Ledwo to powiedział, maszyna o kryptonimie Łania uniosła się w powietrze. Pilot obrócił ją wokół jej osi, wciąż częściowo za osłoną worków z piaskiem. Pod dziobem Łani było zamontowane czterolufowe działko Gatling i kiedy helikopter znalazł się nad workami, zionęło ogniem.

Linda ledwo zdążyła dać nura do wjazdu, zanim pustynię wokół Knota posiekały setki pocisków kaliber 12,7 milimetra. Część uderzyła w kuloodporną przednią szybę z taką siłą że szkło popękało na zewnątrz, i gdyby ostrzał trwał kilka sekund dłużej, rozprysłoby się.

Linc zredukował bieg i wcisnął gaz, aż piasek wytrysnął spod kół. Ziemia na lewo od Knota eksplodowała od następnej serii. Nadleciało pół tuzina rakiet odpalonych z wyrzutni pod krótkimi skrzydłami Łani. Jechali jak w burzy piaskowej. Pociski trafiały we wzgórze wokół nich. Linc robił uniki najlepiej, jak umiał, zygzakując między wybuchami w nadziei, że zyska kilka sekund. Jedna rakietę uderzyła w tylny zderzak i Knot zakołysał się, ale tylko wgięła hartowaną stal.

Linc spojrział na Murpha.

- Gotowy?

- Dawaj!

Linc skręcił gwałtownie i wbił stopę w pedał hamulca. Knot stracił przyczepność na luźnym piasku i zarzuciło go, ale szeroki rozstaw kół zapobiegł wywrotce. Gdy tylko przód pojazdu odwrócił się z powrotem w kierunku Łani, Mark odpalił dwa javeliny, wierząc, że ich detektory ciepła znajdą jego źródło, bo nie miał czasu porządnie wycelować.

Pilot Łani w kurzawie zgubił swoją ofiarę i wstrzymał na chwilę ogień, żeby poczekać, aż wiatr rozwieje pył. Nagle zza tej nieprzeniknionej zasłony wyłoniły się dwie rakiety. Krioniczny system chłodzenia jednej z nich nie zdołał osiągnąć właściwej temperatury, więc nie mogła namierzyć celu na tle wciąż ciepłej powierzchni pustyni. Spadła i eksplodowała daleko od helikoptera.

Skierowany dziobem w stronę nadlatujących rakiet, śmigłowiec stanowił mały termiczny przekrój poprzeczny, bo jego kadłub zasłaniał wydechy turbin. Pilot to wiedział i nie zareagował w nadziei, że jeśli będzie udawał trupa, pociski go miną. Ale javelin nie dał się nabrać. Dla jego komputerowego mózgu cztery rozżarzone rury u dołu helikoptera były wystarczającą zachętą do przeprowadzenia ataku.

Detektor ciepła wysłał do sterów rakiety impuls korygujący minimalnie ich ustawienie, by naprowadzić ją na wciąż gorące lufy gatlinga Łani. Pilot spróbował poderwać maszynę w ostatniej chwili i javelin nie trafił w działko, ale uderzył w spód kokpitu. Wybuch rozerwał śmigłowiec na pół, część dziobowa niemal się rozpadła, kadłub i ogon stanęły dęba od siły eksplozji. Ponieważ główny rotor wciąż wirował, helikopter stracił stabilność i zaczął się obracać, dym buchał z poczerńiałej dziury, która wcześniej była kokpitem. Kiedy śmigłowiec przechylił się pod kątem niemal dziewięćdziesięciu stopni, łopaty wirnika przestały działać i dziesięcotonowa Łania runęła na ziemię. Aluminiowe rotory zryły grunt i rozprysły się, ich fragmenty osiągnęły prawie ponaddzwiękową prędkość. Turbiny Izotowa wessały tyle pyłu, że się zatarły.

Samouszczelniające zbiorniki paliwa Łani spełniły swoje zadanie. Nie nastąpiły wtórne eksplozje i płomienie wokół silników szybko zgasły.

Mark odetchnął głęboko.

- Ładny strzał, Teksańczyku - powiedział przeciągle Linc i zawołał do Lindy: - Jesteś cała?

- Teraz wiem, jak się czuje martini Jamesa Bonda.

- Przepraszam za to. Wetknęła głowę do kabiny.

- Strąciliście Łanię, panowie, więc to było spostrzeżenie, nie skarga. Co to za miejsce? Jakiś posterunek graniczny?

- Prawdopodobnie - odrzekł Linc.

- Podjedźmy do Łani, dobra? - poprosił Mark. Badał roztrzaskany śmigłowiec FLIR-em.

- To nie jest dobry pomysł. Powinniśmy stąd zniknąć, dopóki możemy.

- Nie sędzę, żeby to był posterunek graniczny - powiedział Murph. - Muszę się przyjrzeć bliżej helikopterowi, żeby mieć pewność. Poza tym, trzeba sprawdzić, czy jakiś sprzęt telekomunikacyjny nie ocalał. Jeśli ktoś tutaj przeżył, to lepiej, żeby nie wezwał posiłków.

Linc wrzucił bieg i przejechał prawie pół kilometra do wraka. Mark otworzył drzwi, zanim Knot się zatrzymał. Niczym prymitywny myśliwy skradający się do niebezpiecznego zwierzęcia, które może jeszcze żyć, Mark zbliżył się ostrożnie do zestrzelonej Łani. Linda wróciła do wjazdu w dachu i stamtąd ponad przyrządami celowniczymi karabinu obserwowała tłące się zgliszczą obozu.

- Czego szukasz? - zapytała, nie patrząc w dół.

- Niczego - odparł Mark. - Oglądam.

- Ale co?

- Wloty powietrza. Są nietypowe. Zostały powiększone. Podobnie jak końce łopat rotora.

- I? - przynaglił Linc z kabiny Knota. Mark odwrócił się twarzą do niego.

- Ten helikopter zmodyfikowano do operacji na dużych wysokościach. Założę się, że gdybym obejrzał przewody paliwowe jego turbin, okazałoby się, że też mają zwiększoną średnicę. A to... - klepnął uchwyt pod skrzydłem śmigłowca - służy do mocowania wyrzutni pocisków rakietowych AA-7 Apex.

- No i?

- Rakiety Apex nie są standardowym uzbrojeniem Łani. Te helikoptery są używane do niszczenia celów naziemnych. Apex to pocisk powietrze-powietrze. Zaprojektowano go do myśliwca Mig-23 nazywanego Biczem.

- Skąd ta pewność? - zapytała Linda.

- Przed przyjściem do Korporacji konstruowałem broń. Żyłem tym - odrzekł Mark. - Kojarzycie fakty, no nie?

- Rakieta powietrze-powietrze, helikopter o zwiększonym pułapie... - Linc wykonał gest, jakby ważył te dwa elementy w dłoniach.

- To niezupełnie jest zagadka godna talentu Sherlocka Holmesa. Ta Łania zestrzeliła samolot sekretarza stanu.

- Więc to jest baza Libijczyków czy jakichś terrorystów? - zapytała Linda.

- Pytanie za milion dolarów - odparł Murph i wsiadł z powrotem do Knota. - Sprawdźmy, czy uda nam się znaleźć odpowiedź.

Wjechali na teren pustynnego obozu. Z namiotów zostało niewiele więcej niż popiół, liście na wszystkich palmach spłonęły. Linc zahamował obok jednego z martwych mechaników Łani, między zwłokami i otwartą przestrzenią. Mark zeskoczył na dół i odwrócił ciało. W chybottliwym blasku pobliskiego pożaru zobaczył kawałek metalu, prawdopodobnie część zbiornika cysterny samochodowej, tkwiący w piersi mężczyzny. Zabity nie miał oznaczeń na mundurze ani jakiegokolwiek dowodu tożsamości w żadnej z kieszeni, nawet blaszek identyfikacyjnych na szyi.

Mark obejrzał i obszukał kilka innych zwłok, nie ryzykując oddalenia się od osłaniającego go Knota. Bez rezultatu. Rozejrzał się wokół zniszczonych namiotów. Zauważył telefon satelitarny, który schował do kieszeni, i roztrzaskaną radiostację, ale nic nie wskazywało, kim byli ci ludzie ani komu służyli.

- I co? - zapytała Linda, kiedy wgramolił się do kabiny Knota i zatrzasnął drzwi po raz ostatni.

- Nic. - Przeczesał ręką włosy przypominające strąki w geście frustracji. - Wiemy, jak doszło do katastrofy samolotu, ale nadal nie mamy pojęcia, kto ją spowodował i dlaczego.

- Bez obaw - odrzekł Linc, gdy skierowali się z obozu w stronę granicy z Tunezją. - Założę się, że prezes znalazł odpowiedzi na te dwa pytania pięć minut po wylądowaniu tamtego drugiego helikoptera.

16.

Gdy tylko drzwi pod belką ogonową śmigłowca otworzyły się i wzrok Juana przyzwyczał się do jasnego światła na zewnątrz, zorientował się, że wpadł.

Uniknięcie zdemaskowania w libijskiej bazie lotniczej powinno być stosunkowo łatwe. Stacjonowałyby tam tysiąc ludzi, stałyby tuziny budynków do ukrycia się i anonimowość wynikałaby z tego, że personel wojskowy się zmienia, bo dostaje przydział raz tu, raz gdzie indziej.

Ale Mi-8 nie wylądował w obiekcie sił powietrznych, lecz wysoko w górach na osłoniętym płaskowyżu z zapierającym dech widokiem na kilka dolin. Poniżej lądowiska z ubitej ziemi leżał obóz szkoleniowy. Kiedy Juan wyszedł z helikoptera wraz z innymi, zobaczył tuziny namiotów, plac apelowy, tor przeszkód i strzelnicę.

Nie chciał wyciągać pochopnych wniosków. Fakt, że jest to obóz terrorystów, niekoniecznie oznaczał, że rząd nie ma z tym nic wspólnego. Ostatecznie był wciąż w Libii.

Z boku wznosiła się makieta dwupiętrowego domu zrobiona z rusztowań i rozwieszonego na nich grubego płótna. Miała wielkość biurowca, otaczał ją mur, ganek sięgał do kolistego podjazdu, boczne skrzydło skojarzyło się Juanowi z solarium, ale budowla była za duża na prywatną rezydencję. Z tyłu znajdowała się zamknięta przestrzeń i choć nie została urządzona jak prawdziwy ogród, ustawiono ogrodzenie z płótna udające żywopłot.

Kiedy turbiny ucichły, Cabrillo usłyszał zamierający hałas generatorów poniżej i głos muezina wzywającego wiernych na południową modlitwę. Mężczyźni ruszyli przez obóz, każdy niósł dywanik modlitewny. Zaczęli się gromadzić na placu apelowym i układać dywaniki w kierunku wschodu i Mekki. Juan ocenił, że jest ich co najmniej dwustu - dużo, ale nie dość, by mógł pozostać anonimowy przez dłuższy czas. Ktoś w końcu zauważył nieobecność prawdziwego Mohammada i przeprowadzą dokładne poszukiwania. Choć zależało mu na zdobyciu informacji o tej grupie, jego jedyną szansą było szybkie wymknięcie się stąd w nadziei, że zdoła wrócić na nocne rozpoznanie.

- Ruszaj się - rozkazał ktoś z tyłu i Juan zszedł z tylnej pochylni śmigłowca.

Za doliną wypatrzył jakąś budowę lub wykopaliska. Zacisnął mocniej chustę wokół twarzy i skierował się ku ścieżce prowadzącej do obozu w dole. Trzymał się blisko mężczyzny przed nim, żeby nikt nie zobaczył jego oczu, i garbił się lekko, by ukryć to, że jest wyższy niż większość pozostałych.

Nie wiedział, czy mężczyźni wysłani na miejsce katastrofy samolotu są skoszarowani razem, ale tak należało sądzić. Obserwował ich przy pracy i choć nie byli tak zdyscyplinowani jak zawodowi żołnierze, tworzyli zgrany zespół, który ćwiczy i działa w zwartej grupie. Juan zdawał sobie sprawę, że kiedy dojdą do kwatery, jego życie zawiśnie na włosku.

Ścieżka wiła się wzdłuż krawędzi stromego zbocza wąwozu. Piaszczystą, usłaną luźnymi kamieniami pochyłość przecinały niezliczone, krzyżujące się rynny i rowy. W połowie drogi na dół, na szczycie co najmniej dziesięciometrowego urwiska, była skalna półka. Juan ocenił, że jego szanse na dotarcie żywym na dno jaru są bliskie zeru, gdy dowódca oddziału na czele małej kolumny

odwrócił się i zaczął zbierać ich kufie.

Większość mężczyzn wiedziała, że tak będzie, i już odwinęła chusty z głów. Juan znów zerknął w dół na obóz na lewo od niego. Nikt nie miał zakrytej głowy. Tak budowali więź. Tylko dla obcych byli anonimowi. Tutaj, bezpieczni w obozie i wśród swoich braci, nie maskowali się.

Szanse przestały się liczyć.

Popchnął mężczyznę przed sobą i warknął:

- Uważaj.

Tamten się odwrócił z gniewnym błyskiem w oczach.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Uderzyłeś mnie łokciem w brzuch - odparł Juan. - Powiniennem cię zabić za tę zniewagę.

- Co tam się dzieje z tyłu?

- Ten świński syn mnie popchnął - krzyknął Juan.

- Który to z was? - zawołał dowódca. - Pokaż się.

- Niech najpierw przeprosi.

- Nie doczekasz się tego. Ty uderzyłeś mnie w plecy pierwszy.

Juan zamachnął się na Araba leniwym sierpowym, w który nie włożył nawet ułamka swojej siły. Mężczyzna zobaczył nadlatującą pięść z dużym wyprzedzeniem, uchylił się odruchowo i zadał Juanowi dwa szybkie ciosy w brzuch. Takiego pretekstu potrzebował Cabrillo. Zerwał przeciwnikowi kufie i obrócił się z nim tyłem do reszty grupy, żeby nikt nie zobaczył jego twarzy.

- Nie znam cię! - krzyknął Juan z udawanym zaskoczeniem. - To impostor, infiltrator.

- Oszalałeś? Jestem tu od siedmiu miesięcy. Cabrillo zakipiał z gniewu.

- Łżesz.

Mężczyzna spróbował go pchnąć. Zamiast stawić opór, Juan chwycił go za nadgarstki i cofnął się ze ścieżki. Nogi natychmiast zaczęły mu się obsuwać. Pochyłość była najpierw łagodna, ale szybko stała się stroma. Nabierali szybkości. Kiedy już mieli się przewrócić, Juan upadł na plecy i przerzucił nieszczęsnego terrorystę nad swoją głowę. Nie rozluźnił chwytu, więc z rozpędu przekoziołkował na pierś mężczyzny niczym akrobata. Teraz Arab tarł plecami o ostre skały, gdy ześlizgiwał się przygnieciony przez Juana.

Wpadli do pierwszej rynny i Cabrillo usłyszał trzask łamanych kości przez szum towarzyszącej im lawiny żwiru. Libijczyk wrzasnął Juanowi do ucha, kiedy siła odśrodkowa przechyliła ich w rynnę. Zjeżdżali ze zbocza jak bobsleiści, tyle że w roli sań występował terrorysta. Wokół przybywało obluzowanych przez nich kamieni, aż w końcu za zasłoną pyłu przestali być widoczni z góry. Mężczyzna miał złamane obie nogi poniżej kolan, golenie wyginały mu się w sposób przyprawiający o mdłości, gdy on i Juan sunęli w głąb wąwozu, wznosząc się i opadając na nierównościach terenu.

Cabrillo sterował swoją protezą najlepiej jak potrafił, żeby utrzymać ich na środku rynny. Każde wyprostowanie sztucznej nogi odczuwał jak cios młotem kowalskim w kikut, ale gdyby nie nadawał im kierunku, zaczęliby się staczać bezwładnie.

Coraz więcej żwiru i piasku gromadziło się wokół nich i nagle znaleźli się na wierzchu lawiny, którą sami wywołali. Tarcie poturbowanego ciała terrorysty szorującego po ziemi zniknęło bez ostrzeżenia i Juanowi wydało się, że ich prędkość wzrosła dwukrotnie. Nie mógł już kontrolować ślizgu. Kiedy rynna zaczęła skręcać w lewo, masa pędzącego w dół zbocza materiału nie zmieściła się w niej i wylała na zewnątrz jak wezbrana rzeka z koryta, unosząc ze sobą Juana i Araba.

Wylecieli w powietrze, gdy grunt gwałtownie opadł. Kiedy wylądowali, terrorysta już nie wrzeszczał, i zyskali kilka cennych metrów przewagi nad ścigającą ich ścianą żwiru.

Nowy rów był szerszy i głębszy od pierwszego, ale bardziej kręty. Lawina dogoniła ich i Juan znów usiadł okrakiem na mężczyźnie jak na pniu drzewa spławianym kanałem po wyrębie lasu. Zobaczył przed sobą, jak rumowisko skalne spada z półki, którą widział wcześniej ze szczytu. Zaryzykował i spojrział w górę zbocza. Za lawiną żwiru i piasku toczyły się głazy poddane działaniu sił grawitacji i naporu osuwiska powyżej. Zderzały się i miażdżyły na proch, widok przypominał wnętrze młyna udarowego.

Juan spojrział w dół. Lawina szybowiała w powietrzu trzy metry za urwiskiem, po czym spadała na ziemię. Gdyby to był wodospad, Cabrillo wylądowałby u jego podnóża i miałby dużą szansę odplłynąć. Ale nie tutaj.

Wbił protezę w żwir. Wpychał ją coraz głębiej w luźny materiał, dopóki nie poczuł twardego podłoża. Kiedy on i Arab byli tuż przed przepaścią, odepchnął się z całej siły, oderwał od ciała terrorysty niezgrabnym susem w bok i znalazł na brzegu lawiny.

Natychmiast zaczął się wdrapywać na czworakach z powrotem, zmagając z osuwającym się pod nim żwirem. Miał wrażenie, że wspina się na ruchomą bieżnię ustawioną na maksymalną prędkość. W ogóle nie posuwał się do góry, lawina pędziła zbyt szybko. Wstąpiła w niego nadzieja, że zyska kilka cennych sekund, dopiero gdy zaczął się przemieszczać wyżej po ścianie rynny, żeby oddalić się od osuwiska, zanim porwie go w dół.

Zostały mu trzy metry do pokonania i wciąż grzązł w lawinie. Wbijał w nią krwawiące palce niczym maszyna, poruszał nogami jak tłokami i wyrzucał spod siebie ziemię przy każdym kopnięciu. Ale to nie wystarczyło. Był zbyt daleko od krawędzi sunącej masy, by się z niej wydostać.

Nie zamierzał się poddać i podjął ostatni wysiłek. Kaskada luźnych okruchów i odłamków skalnych zabrała szczątki jego towarzysza w tym samym momencie, kiedy natrafił palcami na stały grunt. Cabrillo poszukał po omacku oparcia dla rąk i znalazł coś twardego i okrągłego. Nie mając wyboru, chwycił się tego lewą dłonią i rozejrzał za czymś, czego mógłby się złapać prawą. Znał pierwszą zasadę alpinisty: nigdy nie ufaj roślinności. Może się urwać w każdej chwili. Ale z braku wyboru uczepił się korzenia sękatego drzewa wystawionego na słońce.

Niemal natychmiast korzeń zaczął wychodzić z ziemi, jakby Juan szarpnął koniec liny zakopanej tuż pod powierzchnią. Choć z lawiny zdołał wydobyć tylko stopy, zdał się całkowicie na korzeń i im więcej splątanych podziemnych połączeń pękało, tym niżej opadał ku urwisku.

Jego nogi znalazły się za krawędzią, potem biodra. Trzymał się korzenia z całej siły, podczas gdy niecałe trzydzieści centymetrów od jego ramienia sunął w dół nieprzerwany strumień piasku i kamieni. Zawisł na moment nieruchomo, więc spróbował się podciągnąć, ale tylko wyrwał więcej korzenia i zadyndał nad przepaścią. Tuż przed tym zobaczył, że masa głazów i odłamków skalnych dotrze za kilka sekund do krawędzi.

Zmusił się, żeby przejść po ścianie urwiska w prawo, drobne kamyki uderzały go w głowę i ramiona, gdy oddalał się od miejsca, gdzie korzeń wystawał z ziemi. Potem szybko wrócił do poprzedniego punktu, przesuając się chwilę zanim obok runęły głazy. Wydostał się z lawiny i zakołysał jak wahadło. Wyciągnął lewą rękę i ledwo udało mu się chwycić występu skalnego.

Przy jego ruchach korzeń tarł o ostrą krawędź urwiska jak sznurek o piłę. Cabrillo nie zdążył złapać się mocniej kawałka piaskowca, zanim korzeń pękł. Uderzył ciałem w ścianę. Korzeń drzewa, który uratował mu życie, pokoziołkował w przepaść wchłonięty przez lawinę. Wisząc tylko na jednej

ręce, Juan spojrzał desperacko w dół. Górna część klifu była gładka jak tafla szkła i pionowa jak bok wieżowca. Ale kilkanaście centymetrów pod jego stopami biegła półka nie szersza od książki w miękkiej okładce.

Kruchy występ z piaskowca, którego się trzymał, zaczął pękać w jego dłoni.

Juan wziął oddech i opadł. Nie miał miejsca, by ugiąć kolana i zamortyzować lądowanie. Poczuł, jak wsysa go otchłań. Telefon satelitarny, którego nie zgubił podczas szaleńczego zjazdu ze zbocza, przemieścił się od wstrząsu, zsunął w dół nogawką spodni i wypadł. Juan nie mógł nic zrobić, gdy aparat odbił się od półki i zniknął w dolinie poniżej.

Nie usłyszał uderzenia telefonu w ziemię przez grzmot lawiny, ale wiedział, że go stracił. Czuł ciepło skały na policzku.

Obok niego spadające w przepaść kamienie i piasek wzbijały tumany kurzu, ale lawina już zwalniała. Stały wiatr wirujący wokół szczytu góry rozwiewał pył i Cabrillo stałby się wkrótce widoczny ze ścieżki powyżej. Pionowa ściana opadająca ku następnej części zbocza miała co najmniej dziesięć metrów wysokości, pod nią trzydziestometrowa stromizna biegła do dna doliny.

Spojrzał w prawo. Lawina prawie się skończyła. Największe głazy zaścielały teraz teren na dole i tylko cienka strużka piasku zsypywała się z krawędzi urwiska.

Druga zasada alpinisty brzmiała: nigdy nie schodź po skalnej ścianie, jeśli nie znasz drogi. Juan nie miał pojęcia, co jest pod nim, jakie uchwyty dla dłoni i stopnie znajdzie, ale przy dwudziestu uzbrojonych bandytach, bez wątpienia wypatrujących swoich dwóch towarzyszy w dole zbocza, zasady bezpiecznej wspinaczki nie były istotne.

Schylił się najniżej, jak się odważył, opuścił nogę z półki i poszukał palcami jakiegoś oparcia dla stopy. Zablokował też staw kostki w protezie. Natrafił po omacku na płytkie wgłębienie, gdzie ledwo zmieścił się but, ale to wystarczyło, by utrzymać jego ciężar. Zsunął się z wąskiej półki i oparł na niej łokcie. Zmienił stopy w małej niszy i poszukał następnego stopnia. Nic nie znalazł. Ściana była gładka.

Gruba splątana lina opadła nagle obok jego twarzy i rozwinęła się. Spojrzał w górę i zobaczył, że urwisko zasłania go przed terrorystami powyżej. Zdał sobie sprawę, że nie rzucili mu liny ratunkowej, lecz zamierzają wysłać kogoś na dół, żeby sprawdził, czy któryś z nich przeżył. Miał po prostu szczęście, że wybrali akurat to miejsce, gdzie przywierał do ściany. Wdrapał się szybko z powrotem na półkę i zdjął ostrożnie but. Odpiął kilka guzików mundurowej koszuli i wepchnął go za pazuchę. Potem owinał dwukrotnie linę wokół gładkiej wymodelowanej stopy protezy. Poczuł, jak lina płasa i drga w rytm ruchów człowieka, który podjął się sprawdzić, co się stało z jego kolegami. Cabrillo chwycił w garść jej odcinek dyndający nad przepaścią i dał krok w pustkę. Odwrócony plecami do skalnej ściany, popuszczał wolno linę. Z owiniętą nią stopą i zablokowaną kostką zsuwał się w dół ręka za ręką tak gładko, że facet nad nim nie mógł nic poczuć.

Po niecałej minucie dotarł do podnóża klifu. Gdyby nie proteza, zejście zaalarmowałoby terrorystę lub Juan otarłby sobie nogę do kości. Zdażył przeciąć zbocze i rzucić się przez wąwóz, zanim Arab znalazł się na krawędzi urwiska i wyjrzał zza niej.

Jego głos rozległ się w dolinie:

- Nie widzę nic oprócz sterty kamieni. Chyba obaj nie żyją.

Juan zaryzykował i spojrzał w górę. Żołnierz albo terrorysta - Cabrillo miał to dopiero ustalić - przyglądał się przez chwilę rumowisku, potem zaczął się wspinać z powrotem po linie. Juan osunął się na ziemię i dopiero teraz poczuł ból. Nic sobie nie złamał, ale wiedział, że jest cały

posiniaczony. Pozwolił sobie na zaledwie dziesięciominutowy odpoczynek, bo po dłuższym tak by zeszywniał, że nie mógłby się ruszyć.

Kiedy znalazł swoją kufie zagrzebaną do połowy w piasku, uznał to za dobry znak. Włożył ją i odblokował kostkę protezy. Zaplanował, że poszuka jakiejś bezpiecznej kryjówki, przeczeka w niej dzień, po czym przejdzie przez szczyt góry po drugiej stronie budowy, którą zauważył w sąsiedniej dolinie. Zważywszy bliskość obozu szkoleniowego terrorystów, przypuszczał, że te dwa miejsca są połączone.

Gdy dotrze do celu, będzie musiał znów liczyć na szczęście, żeby się dowiedzieć, co tam jest, i mieć nadzieję, że sekretarz Katamora jest więziona w jednej lub drugiej bazie.

W głębi duszy nie wierzył, żeby ktoś miał tyle szczęścia.

17.

Linda Ross i Franklin Lincoln podeszli pieszo do obozu archeologów godzinę przed świtem. Oboje mieli za dużo adrenaliny i za mało snu. Murph pojechał Knotem w głąb pustyni na spotkanie z George'em Adamsem, który leciał z cysterną paliwa potrzebnego im do wypełnienia zadania.

Rozdzielili się niechętnie. Tylko jedno ciało w pobliżu ciężarówki wiertniczej i brak jakichkolwiek śladów pozostałej dwójki Amerykanów w bazie helikoptera oznaczały, że zabrano ich gdzie indziej.

Przypuszczalnie tam, dokąd libijski śmigłowiec transportowy zabrał prezesa. Jeśli tak, to ich przesłuchanie byłoby szybkie, brutalne i bez wątplenia owocne. Oddział terrorystów mógł już nawet być swoim Mi-8 w drodze do wykopalisk archeologicznych.

Ale czas uciekał. Szczyt szybko się zbliżał i co ważniejsze, im dłużej więziono sekretarz, tym bardziej było prawdopodobne, że jest torturowana.

O wschodzie słońca obóz ożył. Linda i Linc zauważyli, że większość archeologów to słuchacze studiów doktoranckich spędzający lato na pracy w terenie. Domyślali się, że kilku starszych członków zespołu to profesorowie i opiekunowie. Personel obozu składał się z około dziesięciu Tunezyjczyków. Jeden z nich był w źle dopasowanym garniturze, denerwował się i niewiele robił, więc przypuszczali, że to przedstawiciel rządu.

Musieli czekać prawie godzinę, aż doktor Emile Bumford wyłoni się ze swojego namiotu. Jak na człowieka, który stracił trzy czwarte swojego zespołu, nadęty naukowiec nie sprawiał wrażenia zbyt przejętego. Ziewnął teatralnie, gdy wyszedł na słońce, jakby przespał spokojnie noc. W śmiesznym stroju safari i panamie na głowie powędrował spacerkiem do jadalni pod namiotem. Kucharze obsługiwali grille ustawione za stołówką i choć zapach nie docierał do Lindy ani Linca, oboje wyobrażali sobie woń jajek i smażonych ziemniaków. Zjedli na śniadanie zimne wojskowe racje żywnościowe. Posiłek trwał długo; bez wątplenia towarzyszyło temu zebranie personelu. Studenci wyszli z jadalni pierwsi, wrócili na krótko do swoich namiotów, wzięli plecaki oraz narzędzia i pomaszrowali przez niskie wzniesienie do rzymskich ruin. Wykładowcy nie śpieszyli się, ale w końcu też zniknęli za wzgórzem, które oddzielało obóz od terenu wykopalisk.

Bumford wrócił do swojej kwatery, kiedy inni poszli do pracy. Był w środku tylko chwilę, po czym usadowił się na krześle pod zadaszeniem przed wejściem do namiotu. Książka, którą otworzył, miała grubość encyklopedii. Linc chciał się zakraść do obozu i dopaść Bumforda teraz, ale miejscowi pracownicy kręcili się po terenie, zbierali pranie i sprząтали namioty studentów.

- Miałam zajęcia z archeologii na przedostatnim roku studiów -szepnęła Linda. - Pojechaliliśmy na wykopaliska na długi weekend. Nikt nam tak nie usługiwał jak tutaj.

- Bo Departament Stanu nie płacił dodatkowo za obecność swoich ludzi.

- Słusznie. I co myślisz o Bumfordzie?

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dostaje dobrą dniówkę za pobyt tutaj i nie pali się do tego, żeby sprawdzić, co się stało z Alaną Shepard i innymi.

- Miło - odrzekła sarkastycznie Linda.

Przedstawiciel Tunezyjczyków podszedł do Bumforda jakąś godzinę po tym, jak naukowiec usadowił się na krześle. Rozmawiali tylko przez chwilę. Bumford wykonywał skomplikowane gesty rękami i zakończył wymianę zdań nonszalanckim wzruszeniem ramion.

Linc szepnął z silnym, lekko arabskim akcentem:

- Profesorze Bumford, czy pańscy ludzie się odezwali? - Potem odpowiedział sobie z rezerwą nosowym głosem: - Nie mam pojęcia, co się z nimi stało... Chyba skontaktował się pan ze swoim uniwersytetem i zgłosił ich zaginięcie... To nie mój obowiązek. Jestem tu tylko konsultantem... Ale czy pana to nie niepokoi? Nie ma ich od kilku dni... To nie mój problem.

I miejscowy się zmył.

Głośne domysły Linca, którym towarzyszyła pantomima, okazały się trafne. Bumford wrócił do książki natychmiast po zakończeniu rozmowy.

Poczekali jeszcze dwadzieścia minut, aż w obozie zapanuje spokój. Miejscowy personel zniknął z pola widzenia, więc Linc wymknął się ze swojej kryjówki i podkradł od tyłu do namiotu Bumforda. Wyjął z głębokiej kieszeni kombinezonu nóż Emerson CQC-7A, który był tak ostry, że przeciął nylon bezdźwięcznie niczym masło.

Linc wśliznął się do namiotu i podszedł cicho do wejścia. Bumford siedział plecami do niego w odległości niecałych trzydziestu centymetrów i nie miał pojęcia, że ktoś patrzy ponad jego ramieniem. Linc spojrział w stronę Lindy, która kuciała za beczkami z paliwem do generatora. Uniosła szczupłą dłoń na znak, żeby Linc zaczekał, bo jeden z kucharzy szedł właśnie przez obóz w kierunku latryny. Gdy tylko zniknął, Linda zacisnęła pięść.

Linc chwycił Bumforda pod pachami, dźwignął do góry i wciągnął do namiotu jednym płynnym ruchem. Znacznik Imperium Osmańskiego padł na ziemię. Lincoln zawisnął nad zażywnym profesorem niczym czarna zjawa, zasłonił mu usta dłonią i pokazał nóż.

Moment później Linda weszła do namiotu przez dziurę, którą wyciął Linc.

- Poszło ci diabelnie łatwo - powiedziała. - On musi ważyć ze sto dziesięć kilo.

- Bliżej stu dwudziestu. To była czysta robota w moim wydaniu. Szybko i bez hałasu.

Linda kucnęła przy głowie Bumforda. Doktor wytrzeszczał oczy, pot perlił mu się na wysokim czole.

- Mój kolega zabierze rękę. Niech pan się nie rusza i nie krzyczy. Jasne?

Bumford leżał jak wypatroszona ryba.

- Niech pan kiwnie głową, jeśli pan rozumie.

Nie zareagował, więc Linda szarpnęła mu podbródek w górę i w dół. Bumford zatrzepotał powiekami, gdy pierwszy strach minął, i pokiwał energicznie głową.

Kiedy Linc cofnął rękę, Bumford wyjąkał piskliwie:

- Kim jesteście?

- Ciszej - powiedziała Linda. - Chodzi nam o Alanę Shepard, Mike'a Duncana i Grega Chaffee.

- Kim jesteście? - powtórzył Bumford. - Nie znam was. Nie należycie do tej grupy.

Gdy Linda sięgnęła do jego twarzy, omal nie zakopał się w ziemi. Wyprostowała mu okulary na grzbiecie nosa i założyła zauszniak za ucho.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odrzekła. - Musimy porozmawiać z panem o członkach pańskiego zespołu.

- Nie ma ich tutaj.

- Co to za facet, uczony idiota? - zapytał Linc.

- Profesorze Bumford - zaczęła Linda jeszcze raz, najłagodniej jak potrafiła - chcemy zadać panu kilka pytań. Jesteśmy z amerykańskiej grupy poszukiwawczo-ratowniczej.

- Wojskowej?

- Cywilnej, ale na kontrakcie rządowym. Ludzie w Waszyngtonie uznali wasze zadanie za tak ważne, że nas wynajęli.

- To strata czasu - odparł Bumford, odzyskawszy trochę równowagę i arogancję.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Wie pani, kim jestem, prawda?

Linda wiedziała, że ego Bumforda każe mu szukać potwierdzenia, że jest znany. Przytaknęła.

- Jednym z czołowych znawców Imperium Osmańskiego.

- Więc powinna się pani orientować, że nie muszę wyjaśniać moich opinii. Można je przyjmować za pewnik. Ta praca dla Departamentu Stanu to kompletna strata czasu.

- To co pan tu, do diabła, robi? - zapytał Linc.

Bumford nie odpowiedział od razu i Linda zauważyła podejrzany wyraz jego oczu.

- Niech pan nie kłamie - ostrzegła. Bumford westchnął.

- Straciłem etat z powodu romansu ze studentką i jestem teraz w trakcie rozwodu. Adwokat żony traktuje mnie jak dojną krowę, a nie zarabiałem tak dużo jako wykładowca. W dodatku nie opublikowałem żadnej książki od dziesięciu lat, więc chyba nietrudno się domyślić, co mnie tu sprowadziło.

- Pieniądze.

- Są mi potrzebne. Departament Stanu płaci mi pięćset dolarów dziennie.

- Dlatego siedzi pan tutaj na tyłku, mimo że reszta pańskiego zespołu zaginęła. Zarabia pan tylko swoją dniówkę.

Na twarzy Bumforda nie było ani zaprzeczenia, ani wstydu.

Linda miała ochotę go spoliczkować, żeby przestał być taki zadowolony z siebie, ale zamiast tego powiedziała najspokojniej, jak mogła:

- Pora, żeby pan zapracował na wypłatę. Dlaczego pan uważa, że ta wyprawa to strata czasu?

- Znać tę historię, jak Sulejman Al-Dżama zaprzyjaźnił się z pewnym amerykańskim marynarzem i zmienił zdanie na temat swojej świętej wojny z Zachodem?

- Słyszeliśmy ją - odrzekła Linda.

- Nie wierzę w nią. Przystudiowałem wszystko, co Al-Dżama kiedykolwiek napisał. Jest prawie tak, jakbym znał go osobiście. Nie zmieniłby się. Tak samo jak żaden z berberyjskich korsarzy. Robili zbyt duże pieniądze, rabując europejskie statki.

- Myślałem, że Al-Dżama walczył z przyczyn ideologicznych, nie dla zysku - skontrował Linc.

- Al-Dżama był człowiekiem jak każdy inny. Jestem pewien, że kusiłoby go bogactwo, którego zdobycie umożliwiały napady na morzu. Mógł zacząć od zabijania niewiernych dla samego zabijania, ale w niektórych ze swoich późniejszych rozpraw pisze o zgromadzonych przez siebie „nagrodach”. To jego słowo, nie moje.

- Nagroda niekoniecznie oznacza skarb - zauważyła Linda, gdy sobie uświadomiła, że Bumford ocenia Al-Dżamę przez pryzmat własnej chciwości.

- Młoda damo, przysłano mnie tutaj, bo jestem ekspertem. Jeśli nie interesują pani moje wyjaśnienia, to proszę dać mi spokój.

- Jestem ciekaw - powiedział Linc - jak lukratywne było piractwo dla berberyjskich korsarzy?

- Co pan naprawdę o nich wie?

- Że marines skopali im tyłki „do brzegów Trypolisu”, jak mówi piosenka.

- W rzeczywistości pięciuset najemników pod dowództwem amerykańskiego ekskonsula, Williama Eatona, wraz z garstką żołnierzy piechoty morskiej splądrowało miasto Dema, zaścianek w paszalyku trypolitańskim. Owszem, ich akcja mogła przyspieszyć zawarcie pokoju, ale nie była to żadna legendarna bitwa warta hymnu.

Linc miał przyjaciół w korpusie marines, którzy zabiliby faceta za tę uwagę.

- Od XV do XIX wieku - ciągnął Bumford - berberyjscy piraci kontrolowali szlaki żeglugowe na Morzu Śródziemnym i wzdłuż północnoatlantyckiego wybrzeża Europy, a więc trasy przewozu najcenniejszych ładunków na świecie. W tamtym okresie statki państw, które nie zamierzały lub nie mogły płacić astronomicznych trybutów, padały łupem korsarzy. Towary rabowano, a załogi albo zatrzymywano dla okupu, albo sprzedawano w niewolę. Takie kraje jak Anglia, Francja i Hiszpania płaciły piratom miliony w złocie, by chronić swoje floty handlowe. Przez pewien czas Stany Zjednoczone też to robiły. Według niektórych źródeł przeznaczały na to ponad jedną dziesiątą wpływów do kasy federalnej. Pieniądze trafiały do różnych władców berberyjskich. Korsarze porywali także ludzi z nadmorskich wiosek, nawet bardzo daleko na północy, aż w Irlandii. Ocenia się, że ponad półtora miliona Europejczyków uprowadzono z ich domostw i sprzedano w niewolę. Może pan to sobie wyobrazić?

- Pewnie - odparł Linc z cieniem ironii.

Bumford się rozkręcił i postanowił zignorować drwinę Afroamerykanina.

- Mówimy o jednej z czołowych potęg morskich tamtych czasów. A Sulej man Al-Dżama odnosił być może największe sukcesy i był z pewnością najbardziej bezwzględny piratem ze wszystkich. Wprawdzie najpierw studiował, żeby być imamem, ale korsarstwo miało długą tradycję w jego rodzinie, trudnili się tym od pokoleń. Podobno jego przodkowie napadali na okręty wracające z wypraw krzyżowych. Al-Dżama miał to we krwi. Przykro mi, ale z tego, co o nim wiem, nigdy nie zaniechałby walki z zachodnimi mocarstwami, którą postrzegał jako dżihad. Tak jak współczesny terrorysta o tym samym nazwisku.

Linda dostrzegła swoją pomyłkę. Bumford nie patrzył na to przez pryzmat własnej chciwości. Widział to, co usiłowali osiągnąć, przez soczewkę nieuniknionej kontynuacji terroryzmu i triumfu dogmatu islamu. Rozmawiała z człowiekiem pokonanym, który nie oddał ani jednego strzału w wojnie z ekstremistami. Twierdził, że jest znawcą ich kultury, ale nigdy jej nie rozumiał.

Mimo to powiedziała:

- Ale właśnie wtedy Thomas Jefferson postanowił, że Stany Zjednoczone nie będą dłużej płaciły haraczu. Po raz pierwszy w swojej historii piraci stanęli naprzeciw pierwszorzędnej floty wojennej, która zamierzała walczyć z nimi, a nie przekazać im pieniądze. Al-Dżama na pewno rozumiał, że to kres ich swobody. Jednostronne wypowiedzenie przez Jeffersona wojny korsarzom oznaczało początek ich końca. Jedno państwo przeciwstawiło się ich barbarzyństwu, mimo że reszta świata nadal tchórzyła.

Gdy to mówiła, analogie do współczesnej walki z terroryzmem przyprawiły ją o dreszcz. Europa przeżyła ostatni okres XX wieku w ciągłym zagrożeniu zamachami terrorystycznymi. Podkładanie bomb w nocnych klubach, uprowadzenia, zabójstwa i porwania samolotów na całym kontynencie nie spotykały się ze zdecydowaną reakcją władz.

W Stanach Zjednoczonych było podobnie po pierwszym ataku na World Trade Center. Rząd uznał to za czyn przestępczy, zamiast spojrzeć prawdzie w oczy i potraktować to jako pierwszą salwę w wojnie. Zamachowców aresztowano i osadzono w więzieniu, po czym w zasadzie zapomniano o sprawie do jedenastego września.

Nie popełniono tego błędu po raz drugi po ataku w roku 2001. Rząd podjął walkę z każdym, kto popierał terroryzm w jakiegokolwiek formie. Tak jak dwieście lat wcześniej Ameryka oznajmiła światu, że będzie prowadziła wojnę, zamiast żyć w strachu.

Bumford odrzekł:

- Nawet jeśli zgodzę się z tym, że Al-Dżama mógł zmienić poglądy i znaleźć sposoby na pokojową symbiozę muzułmanów i chrześcijan, pozostanie kwestia odszukania jego okrętu, „Saqra”. Jest po prostu niemożliwe, żeby statek przetrwał w ukryciu na pustyni dwieście lat. Zniszczyłyby go żywioły albo splądrowali koczownicy. Wierzcie mi, że nic się nie zachowało.

- Na użytek dyskusji - wtrącił się Linc, kiedy zauważył, że pesymizm Bumforda za chwilę załamie Lindę - gdyby jednak jakoś ocalał, gdzie mógłby być, pańskim zdaniem?

- Z listu, który przeczytałem w Waszyngtonie, wywnioskowałem, że w suchym korycie rzeki na południe od nas, ale Alana, Mike i Greg przeczesał je dokładnie. Zakończyli dopiero przy wodospadzie, bo kiedy płynęła rzeka, byłby przeszkodą nie do pokonania. Nie jest tam ukryty żaden berberyjski okręt piracki.

- Czy w liście była jakaś inna wskazówka? Nawet nieistotna.

- Henry Lafayette napisał, że okręt był ukryty w wielkiej jaskini dostępnej tylko przy użyciu „przemysłnego urządzenia”, jak to nazwał. Proszę mnie nie pytać, co to znaczy. Alana męczyła mnie o to bez końca. Jedyna rzecz, jaką mam poza tym, to miejscowa legenda, według której okręt jest ukryty pod czernią, która płonie.

- Pod czym? - zapytała Linda.

- Pod czernią, która płonie. Opowieść pochodzi z dziennika zastępcy Al-Dżamy, Sulej mana Karamanli. Dokument się zachował, bo ten człowiek był bratankiem paszy Trypolisu, więc dziennik trafił do archiwów królewskich. Co to znaczy, niestety nie wiem, przykro mi.

- Mnie też - mruknęła Linda.

Skoro Alanie Shepard, zawodowemu archeologowi, nie udało się znaleźć okrętu Al-Dżamy podczas tygodni poszukiwań ze specjalistycznym sprzętem, była mała szansa, żeby ona, Mark i Linc natknęli się na „Saqra” w ciągu dni pozostałych do konferencji pokojowej.

Linda zerknęła na zegarek. Czekala ich godzinna wędrówka do miejsca spotkania z Markiem w Knocie. Po zameldowaniu, że rozmowa z Bumfordem nic nie dała, Linda zamierzała powiedzieć Maksowi, że najlepiej będzie, jeśli przemieszczą się Knotem w pobliże Juana, w nadziei że prezes miał więcej szczęścia.

- Idziemy - zwróciła się do Linca. - Doktorze Bumford, dziękujemy, że poświęcił nam pan czas. I chyba nie muszę panu przypominać, że nigdy nas tu nie było.

- Nie, oczywiście - odrzekł naukowiec. - A przy okazji, natrafiliście na jakiś ślad reszty mojego zespołu?

Linda powstrzymała się od przytyku na temat jego spóźnionej troski o innych.

- Jeden z mężczyzn nie żyje. Albo Greg Chaffee, albo Mike Duncan. Strzał w głowę. Sępy nie zostawiły dość ciała, by go zidentyfikować. O pozostałej dwójce nic nie wiemy.

- Wielki Boże. Jestem tu bezpieczny? Może powinienem wrócić do Stanów?

Linc złapał Lindę za ramię, zanim zdążyła powalić znawcę Imperium Osmańskiego.

- Spokojnie, dziewczyno. On nie jest tego wart. Chodź.

Wymknęli się z namiotu przez dziurę i ruszyli przez cichy obóz.

Żadne z nich nie zauważyło chłopca, który podsłuchiwał ich rozmowę przycupnięty obok kwatery Bumforda. Zaczekał, aż oboje znikną za piaszczystą skarpą, po czym pobiegł poszukać przedstawiciela władz tunezyjskich. Dwadzieścia minut później informacja za pokaźną sumę pieniędzy została przekazana komuś w Trypolisie i po następnych czterdziestu turbiny helikoptera Mi-8 w odległym obozie szkoleniowym na szczycie góry zaczęły się obracać.

18.

Kiedy ambasador Moon zobaczył miejsce katastrofy z kabiny helikoptera, musiał użyć całej siły woli, żeby nie zwymiotować na podolek współpasażera, ministra spraw zagranicznych Alego Ghamiego. Dewastacja była całkowita. Szczątki samolotu Departamentu Stanu ciągnęły się na przestrzeni prawie półtora kilometra i poza piętnastometrową częścią kadłuba i silnikami, żaden fragment nie wydawał się większy od walizki.

- Allahu, bądź miłosierny - odezwał się Ghami. On też pierwszy raz widział to miejsce.

W dole na ziemi, ochraniani przez kordon libijskich żołnierzy, mężczyźni badali wrak. Pierwszej grupie z NTSB towarzyszyło paru lokalnych ekspertów lotniczych. Ekipa przyleciała niedługo przed amerykańskim ambasadorem i jej śmigłowiec stał dobre półtora kilometra od szczątków.

- Panie ministrze - zawołał pilot przez interkom w specjalnej dźwiękoszczelnej kabinie. - Będziemy musieli wylądować obok ich helikoptera, żeby podmuch od naszego rotora nie zmiotł czegoś z miejsca katastrofy.

- W porządku - odrzekł Ghami. - Myślę, że spacer i świeże powietrze dobrze zrobi panu ambasadorowi i mnie.

- Tak jest.

Minister odwrócił się do Moona i położył mu dłoń na ramieniu.

- W imieniu mojego rządu i własnym, wyrazy współczucia, Charles.

- Dziękuję, Ali. Kiedy zadzwoniłeś z wiadomością, że samolot został zlokalizowany, miałem jeszcze nadzieję. - Wskazał przez pleksiglasową szybę śmigłowca. - Ale teraz... - zawiesił głos. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

Pilot posadził francuski helikopter EC155 w sąsiedztwie maszyny w wojskowych barwach. Ochroniarz Ghamiego, milczący osiłek bez szyi imieniem Mansur, otworzył drzwi śmigłowca, choć łopaty rotora jeszcze wirowały w górze. Ghami zignorował pył wzbijany podmuchem, zeskoczył na ziemię i zaczął na tęższego Moona.

Poszli w kierunku wraka. Moon spociał się po zaledwie paru krokach, ale na libijskiego ministra i jego ochroniarza upał i prażące słońce najwyraźniej nie działały. Woń zwęglonego plastiku i paliwa lotniczego docierała do nich ze sporadycznymi podmuchami wiatru. Moon stwierdził, że szczątki wyglądają z ziemi gorzej niż z powietrza. Wszystko szerniało i odkształciło się w czasie pożaru, który strawił samolot. Zatrzymali się przy kordonie żołnierzy i czekali na szefa grupy dochodzeniowej z NTSB. Śledczy szedł wolno przez pobojuwisko i robił zdjęcia cyfrowym aparatem fotograficznym, podczas gdy jego towarzysz filmował wszystko kamwidem. Kiedy śledczy zauważył w końcu dygnitarzy, powiedział parę słów do kolegi i skierował się niespiesznie w ich stronę. Miał pociągłą, wychudłą twarz i opuszczone kąciki ust.

- Pan ambasador Moon? - zawołał, gdy był w zasięgu głosu.

- To ja. A to jest pan Ali Ghami, minister spraw zagranicznych Libii. Uścisnęli sobie dłonie.

- David Jewison.

Moon dostrzegł, że Ghami zmienił lekko pozycję na dźwięk tego nazwiska.

- Może pan, eee... coś nam powiedzieć? - zapytał Moon. Jewison zerknął przez ramię, potem znów spojrzął na ambasadora.

- Nie jesteśmy tu pierwsi. To pewne.

- Co pan mówi? - spytał ostro Ghami.

Moon wiedział, że postępowanie Libijczyków w tej sprawie będzie miało wpływ na ich stosunki ze Stanami Zjednoczonymi i europejskimi mocarstwami wybiegający daleko poza porozumienie trypolitańskie. Odkrycie Jewisona bez wątplenia stawiało Ghamię i jego rząd w trudnej sytuacji. Jeśli były jakieś dowody ingerencji, mogło paść oskarżenie o ukrywanie prawdy.

- Z tego, co możemy stwierdzić, przechodziła tędy grupa koczowników. Zostawili setki odcisków stóp, oraz ogniska, charakterystyczne dla ich wędrownego trybu życia, i martwego wielbłąda zabitego strzałem w głowę. Nasz miejscowy przewodnik powiedział, że zwierzę było bliskie śmierci, sądząc po stanie jego zębów, i prawdopodobnie pozbyto się go, bo przestało mieć jakąkolwiek wartość. Elementy wraka przemieszczono, niektóre zapewne zabrano. Ciała pasażerów też zniknęły. Muzułmanie mają chyba zwyczaj grzebania zmarłych dwadzieścia cztery godziny po śmierci. Libijski śledczy stwierdził, że koczownicy prawdopodobnie tak zrobili. Nie mam powodu wątpić w jego słowa, ale nie będziemy pewni, dopóki nie sprowadzimy tu psów szkolonych w wykrywaniu zwłok.

- Orientuje się pan już, co się stało z samolotem?

- Wstępny wniosek jest taki, że stracił fragment ogona podczas lotu. Nie wiemy dlaczego, bo nie ma go tutaj. Wyślemy za chwilę nasz helikopter, by przeszukał znaną nam trasę odrzutowca. To uszkodzenie mogło spowodować wyciek płynu hydraulicznego oraz awarię steru kierunku i wysokości. Bez płynu hydraulicznego klapy, lotki, skrzela i hamulce aerodynamiczne na skrzydłach też by nie działały. W takim przypadku pilotowanie samolotu byłoby bardzo trudne lub wręcz niemożliwe.

Ghami zapytał:

- Jest jakaś wskazówka, dlaczego samolot stracił część ogona?

- Jeszcze nie - odparł Jewison. - Zorientujemy się, jak ją znajdziemy.

- A jeśli nie? - spytał Moon. To nie była celowa prowokacja, ale chciał sprawdzić reakcję Ghamię. Nie zapomniał o swojej roli tutaj tylko dlatego, że osobiście lubił tego człowieka.

- To o ile nie natrafimy na inne dowody, katastrofa zostanie oficjalnie uznana za wypadek z nieznanymi przyczynami.

Ghami spojrzął na ambasadora.

- Charles, obiecuję ci, że zlokalizujemy ten fragment samolotu i wyjaśnimy przyczynę tej tragedii.

- Bez obrazy, panie ministrze - wtrącił się Jewison - ale może pan nie dotrzymać tej obietnicy. Zajmuję się wypadkami lotniczymi od osiemnastu lat. Widziałem już wszystko, łącznie z samolotem pasażerskim, który eksplodował w powietrzu i został wyłowiony z oceanu u brzegu Long Island. Tamto dochodzenie było stosunkowo proste w porównaniu z tym. Nie potrafimy określić, co zniszczyła katastrofa, a co pańscy rodacy. - Ghami chciał zaprotestować, ale Jewison powstrzymał go gestem. - Mówię o koczownikach. Są Libijczykami, a więc pańskimi rodakami, tylko to miałem na myśli.

- Koczownicy nie są obywatelami żadnego kraju, tylko pustyni.

- W każdym razie narobili takiego bałaganu na miejscu katastrofy, że nie wiem, czy nawet

znalezienie ogona pozwoli nam definitywnie stwierdzić, co się wydarzyło.

Ghami wytrzymał spojrzenie eksperta.

- Pan ambasador Moon i inni przedstawiciele pańskiego rządu powiedzieli mi, że jest pan najlepszym na świecie fachowcem w tej branży, panie Jewison. Zapewnili mnie, że potrafi pan ustalić, co się stało. Są o tym przekonani. Wierzę, że dokłada pan wszelkich starań, by wyjaśnić okoliczności każdej katastrofy lotniczej, ale z pewnością zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji i znaczenia tego, co pan odkryje.

Jewison przeniósł wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Spochmurniał jeszcze bardziej, gdy zrozumiał, że polityka gra tu równie wielką rolę, jak jego znajomość rzeczy.

- Kiedy jest konferencja? - zapytał.

- Za czterdzieści osiem godzin - odrzekł Moon. Pokręcił głową z rezygnacją.

- Jeśli uda nam się znaleźć ogon i jeśli nie został jeszcze bardziej zniszczony przez koczowników, to może do tego czasu zdołam sporządzić wstępny raport.

Ghami wyciągnął rękę i Jewison uścisnął mu dłoń.

- Tylko o to prosimy.

Na „Oregonie” obowiązywała całkowita cisza. Niewiele można było zrobić z odgłosem fal uderzających w kadłub, oprócz utrzymywania statku dziobem do wiatru. Poza tym pozycji frachtowca nie pozostawiano przypadkowi. Max Hanley otoczył statek w promieniu trzydziestu mil morskich bojami, które odbierały napływające sygnały radarowe i przekazywały je za pośrednictwem bezpiecznych nadajników do komputera pokładowego. Tym sposobem mogli być w porę ostrzeżeni o obecności innego statków w okolicy bez konieczności używania własnego radaru. Gdyby jakiś cel zdążył w ich kierunku, system dynamicznego pozycjonowania przemieściłby „Oregonia” przy wykorzystaniu energii zgromadzonej w potężnym zestawie akumulatorów srebrowo-cynkowych z ledwo słyszalnym szmerem wody przetłaczanej przez pompy napędowe. Kadłub i nadbudowę frachtowca pokrywała powłoka antyradarowa, toteż przepływający statek musiałby być niemal w zasięgu wzroku, żeby go wykryć.

Sonar pasywny zwisał pod kilem „Oregonia” z jego basenu zanurzeniowego. Mikrofony nasłuchiwały w zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni, czy pod powierzchnią nie czają się jakieś niebezpieczeństwa. Inne sensory rejestrowały dane elektroniczne i rozmowy radiowe na morzu, w powietrzu i na lądzie wzdłuż wybrzeża Libii. Dryfowanie i inwigilacja lub „praca w przyczajeniu”, jak mawiał Murph, to były dokładnie takie zadania, do jakich Juan zaprojektował „Oregonia”. Przystosowanie frachtowca do potajemnych działań umożliwiło załodze zajmowanie pozycji u wybrzeża wrogiego państwa przez dni - lub tygodnie, w razie potrzeby - i zbieranie informacji o ruchach floty, sygnalizacji elektronicznej i wszystkim innym, co interesowało klienta Korporacji.

Spędzili u wybrzeża Kuby dwadzieścia osiem dni w okresie, gdy choroba zmusiła Fidela Castro do przekazania władzy bratu, Raulowi.

Podśluchiwali, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami prywatnej rezydencji komunistycznego dyktatora. Dostarczyli amerykańskim służbom wywiadowczym bezcennej wiedzy o kulisach funkcjonowania tajemniczego reżimu i rozwiali niepewności, dotyczące panującej tam sytuacji.

Całkowita cisza na „Oregonie” oznaczała również zawieszenie wszystkich rutynowych czynności, czemu nikt z załogi się nie sprzeciwiał. Jednak siłownia na statku została zamknięta, żeby ciężarki przypadkowo nie uderzyły o siebie, a posiłki ograniczono do paczkowanych porcji, które gotowano

w garnku wstawionym do kuchenki w kambuzie. Kucharze przechodzili samych siebie w przygotowywaniu dań, ale pozostawały one nędzną namiastką smakowitych potraw, do jakich byli przyzwyczajeni członkowie Korporacji. Sztuce i porcelanę zastąpiono papierowymi talerzami i plastikowymi nożami i widelcami, a z telewizora lub radia każdy musiał korzystać w słuchawkach.

Max Hanley budował w swojej kabinie model łodzi Swift, jednej z szybkich jednostek rzecznych, którymi dowodził w Wietnamie. Nie rozpamiętywał swojej przeszłości i nie popadał w nostalgię. Przechowywał medale za zasługi wojenne w Los Angeles w skrytce bankowej, do której nie zaglądał od lat, i spotykał się z dawnymi towarzyszami broni tylko na pogrzebach. Budował model po prostu dlatego, że potrafił to zrobić z pamięci i by mieć inne zajęcie niż obowiązki.

Doktor Huxley zasugerowała mu to hobby jako sposób na łagodzenie stresu i utrzymywanie w normie ciśnienia krwi. Na razie odpowiadało mu to bardziej niż joga, którą przepisała mu wcześniej. Zbudował już i podarował Juanowi piękną replikę „Oregona”. Stała teraz w plastikowej gablocie w sali posiedzeń zarządu Korporacji. W planach miał też parowiec kołowy z Missisipi, kiedy skończy swifta.

Ktoś zapukał do drzwi tak lekko, że mógł to być tylko Eric Stone przestrzegający ciszy na „Oregonie” do granic możliwości.

- Proszę! - zawołał Hanley.

Eric przestąpił próg z laptopem i dużą płaską aktówką. Wyglądał, jakby nie spał od tygodnia, co prawdopodobnie nie było zbyt dalekie od prawdy. Stone zwykle ubierał się schludnie jak wojskowy, bo wpojono mu to w Annapolis, ale dziś miał koszulę na wierzchu i spodnie pogniecione jak kawałek zmiętej w kulę aluminiowej folii.

Max zawsze się niepokoił, gdy ich ludzie przebywali w nieprzyjaznym otoczeniu, ale Eric przejmował się tym jeszcze bardziej. Max był mentorem Stoneya po jego przyjsciu do Korporacji, ale potem Eric zapatrzył się w Juana Cabrilla, a Marka Murphy'ego traktował jak brata, którego nigdy nie miał. Zmęczenie wyryło bruzdy na jego gładkiej twarzy i choć nie miał bujnego zarostu, było widać, że nie golił się od jakiegoś czasu.

- Masz coś? - zapytał Max bez wstępu. Eric pokazał mu teczkę.

- Szczegółowe mapy miejsca pobytu Juana i krótką historię tamtego terenu.

- Wiedziałem, że ci się uda. - Hanley uprzątnął szeroką powierzchnię na biurku, żeby Eric mógł rozłożyć mapę. Wstał, by mieć lepszą perspektywę. - Wyjaśnij mi, na co patrzę.

Widział mały obóz szkoleniowy wysoko w górach około trzydziestu kilometrów od wybrzeża. Bazę zasłaniały szczyty i gdyby nie bliskość jakiegoś wielkiego dołu, łatwo byłoby ją przeoczyć, nawet znając jej lokalizację dzięki transponderowi GPS w ciele Juana. Ciemna linia, która wiała się od wybrzeża w górę do dołu, biegła wzdłuż konturu ładu. Tam, gdzie stykała się z brzegiem, było parę starych budynków i długie molo. Inne budynki stały wzdłuż krańca doliny, gdzie wykopywano ziemię.

Eric wskazał najpierw port.

- To pozostałości brytyjskiej stacji bunkrowej z lat czterdziestych XIX wieku. W roku 1914 dobudowano większy pomost, zapewne przewidywano wybuch I wojny światowej. Został częściowo zniszczony podczas kampanii północnoafrykańskiej Rommla i odbudowany przez Niemców jako punkt etapowy dla ich wojsk pracujących w kierunku Egiptu. Ta ciemna linia to tory kolejowe od stacji do kopalni węgla tutaj. - Powiódł palcem po linii do budynków przy odkrywce. - Był tu kanał dla barek transportujących węgiel, ale wysechł i położono tory.

- Wygląda na to, że ktoś znów tam działa - zauważył Max.

- Zgadza się. Od około pięciu miesięcy. Linię kolejową przystosowano do przejazdów większych wagonów do transportu rudy z myślą o wydobywaniu węgla ze starej kopalni.

- Czy to ma sens w kraju, który siedzi na czterdziestu miliardach baryłek ropy?

- Sprawdziłem, jak tylko się zorientowałem, co to za miejsce - odrzekł Eric. - I krótko mówiąc, nie ma. Zwłaszcza że ich rząd stawia na ekologię, o czym świadczy elektrownia pływowa dalej na południu wybrzeża.

- Więc o co naprawdę chodzi?

- CIA uważa, że to przykrywka dla nowego podziemnego ośrodka jądrowego.

- Myślałem, że wujek Muammar zrezygnował ze swoich ambicji nuklearnych - powiedział Max. -

Poza tym CIA była prawdopodobnie przekonana, że moja teściowa realizuje program jądrowy, kiedy kazała sobie wykopać nową piwniczkę ziemną.

Eric zachichotał.

- Zagraniczne służby wywiadowcze nie zgadzają się z CIA. Ich zdaniem to legalne przedsięwzięcie. Problem w tym, że nie udało mi się ustalić, jaka firma prowadzi te roboty. Co nie jest zaskakujące. Libijczycy nie słyną z polityki jawności. Znalazłem tylko artykuł o tym, że Libia jest zainteresowana gazyfikacją węgla jako alternatywą dla przerobu ropy i twierdzi, że ma system, dzięki któremu będzie on czystszy niż gaz ziemny.

- Nie brzmi to przekonująco - stwierdził Max.

- Pogrzebałem trochę i natrafiłem na relacje załóg statków korzystających kiedyś z tej stacji. Okazuje się, że na parowcach, które regularnie brały tam paliwo, notowano pięćdziesięcioprocentowy wzrost nakładów na konserwację silników i dwudziestoprocentowy spadek ich sprawności.

Jako inżynier Max natychmiast się połapał, w czym rzecz.

- Ten węgiel jest brudny, tak?

- W zachowanym dzienniku okrętowym z frachtowca żeglugi przybrzeżnej o nazwie „Hydra” jest wpis jego kapitana, że wolałby bunkrować trociny niż węgiel z tej stacji.

- Nie ma mowy, żeby przy obecnej technologii gazyfikacji był czysty.

- Teren na północ od kopalni to dawny obóz szkoleniowy armii libijskiej.

- Więc jednak rząd macza palce w całej tej sprawie - zawyrokował Max.

- Niekoniecznie - skontrolował Eric. - Wojsko przestało tam ćwiczyć parę lat temu.

- Wracamy do punktu wyjścia - powiedział gorzko Max.

- Niestety. Przez ostatnie dwa dni trwały podejrzane manewry wojskowe w Syrii, więc nasze satelity szpiegowskie przekierowano na wschód, żeby je obserwowały. To zdjęcie tutaj jest sprzed dwóch miesięcy, nowszego nie znalazłem.

- A cywilny satelita jakiejś firmy nie mógłby tego sfotografować?

- Staralem się to załatwić, ale bez skutku. Nawet za podwójną stawkę moglibyśmy mieć nowe zdjęcia dopiero za tydzień.

- Za późno dla Juana i Fiony Katamory. Eric przytaknął.

- Wiem.

- I próbowałeś wszystkiego, żeby ustalić, kto użytkuje tę linię kolejową?

- To przedsiębiorstwo jest lepiej chronione niż cokolwiek, z czym się dotąd zetknąłem. Szukając właściciela, natrafiłem na same tropy donikąd. Ale dowiedziałem się, że generalnie współnikiem w

firmach działających w Libii jest państwo, są jakby znacjonalizowane.

- Więc zatoczyliśmy pełne koło i za tym wszystkim stoi libijski rząd?

- Wiesz, co to jest Cosco, prawda?

- Chińskie towarzystwo żeglugowe.

- I wielu podejrzewa, że w rzeczywistości należy do Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Zastanawiam się, czy tutaj nie mamy czegoś podobnego.

- Mówisz, że nie są w to zamieszane władze centralne, tylko wojsko?

Eric przytaknął.

- Albo Organizacja Bezpieczeństwa Dżamahiriji, ich główna agencja wywiadowcza. Odkąd Kaddafi zaczął być grzeczny, została usunięta na margines. Mogą próbować odzyskać dawne znaczenie.

- Diabelnie ryzykowna gra, bo wiemy, że mają coś wspólnego z katastrofą samolotu Katamory - odrzekł Max. Stone się nie spierał, więc Hanley ciągnął dalej. - A może terroryści płacą tej awanturniczej frakcji, żeby udawała, że nic nie widzi? Tak robił bin Laden w Sudanie, a potem w Afganistanie, dopóki nie rozgromiliśmy talibów.

- Przyszło mi to do głowy - odpowiedział Eric. - Wiemy, że Libia udzielała schronienia terrorystom w przeszłości. Ta kopalnia i linia kolejowa mogą być przykrywką dla obozu szkoleniowego terrorystów, a zyski z tego przedsięwzięcia zamierzają przeznaczać na finansowanie swoich operacji. Al Kaida robiła tak w Afryce, handlując nielegalnie diamentami.

Max zapalił fajkę, żeby wykorzystać tę chwilę na uporządkowanie myśli. Kiedy tytoń żarzył się równo i dym zaczął zasnuwać sufit, stwierdził:

- Kręcimy się w miejscu. Nie ma sensu zgadywać, co kto robi. Juan prawdopodobnie znajdzie odpowiedź. Więc tak jak ja to widzę, naszym priorytetem jest wyciągnięcie go stamtąd, żebyśmy się dowiedzieli, co odkrył.

- Zgoda.

- Jakies sugestie? - zachęcił Hanley.

- Nie w tej chwili. Musimy poczekać, aż się z nami skontaktuje. Max Hanley był znany wśród załogi z tego, że chowa swoje zdanie dla siebie, toteż Erica zaskoczyły jego następne słowa wypowiedziane z frustracją:

- Nie podoba mi się to.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Juan nie powinien tak zniknąć.

- Uznał to za konieczność taktyczną. Jak inaczej byśmy się dowiedzieli, gdzie stacjonują?

- Są lepsze sposoby. Mogliśmy śledzić tamten helikopter na radarze.

- Nie widzieliśmy ich, kiedy lecieli na miejsce katastrofy - odparł Eric. - Jak byśmy ich namierzyli? Trzymali się blisko ziemi przez całą drogę. Byli dla nas zupełnie niewidoczni z tej odległości. I zanim to powiesz, nie mieliśmy czasu na załatwienie ponownej obserwacji satelitarnej. Juan podjął jedyną słuszną decyzję.

Max przecesał ręką rzednące rude włosy.

- Masz rację. Wiem. Po prostu jestem niespokojny. W grę wchodzi tyle wariantów, że nic nie wiadomo. Czy to wspierani przez państwo terroryści, czy awanturnicza frakcja w libijskim rządzie, czy też jakieś małe znaczące ugrupowanie terrorystyczne, najprawdopodobniej Sulejmana Al-Dżamy? Nie mamy pojęcia, kto jest naszym przeciwnikiem i czego chce. Nie wiemy, czy Katamora

żyje, czy nie. Zasadniczo nie wiemy nic. Linc, Linda i Mark natrafiają na helikopter, którego wygląd wskazuje, że był wyposażony w uzbrojenie do zestrzelenia samolotu sekretarz, ale znów nie wiemy, kto za tym stał. Dalej mamy trójkę zaginionych archeologów, związanych z tą sprawą lub nie, i naukowca mięczaka, który mówi, że oni wszyscy są zapatrzeni we własne pępki, żeby on mógł się wypłacić byłej żonie. Pomiąłem jakiś fragment tej układanki? A tak, najważniejsza konferencja pokojowa od czasu Camp David zaczyna się za parę dni. I bez porozumienia się z Juanem nie wiem, gdzie jaki fragment pasuje.

I w tym rzecz, pomyślał Eric. To jest sedno problemu Maksa. Hanley nie jest urodzonym przywódcą, tak jak Cabrillo. Rzuć Maksowi techniczne wyzwanie, to będzie nad tym pracował, dopóki nie znajdzie rozwiązania. Przedstaw mu plan, to dopilnuje jego wykonania co do joty. Ale kiedy trzeba podjąć trudną decyzję, zadrecza się, bo to nie jest jego mocną stroną. Nie jest strategiem ani taktykiem i wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

- Gdyby to zależało ode mnie - zaczął dyplomatycznie Eric - wysłałbym Marka i resztę na odległość strzału od kopalni i obozu terrorystów, żeby Juan miał ich pod ręką, kiedy się odezwie.

- A co z archeologami i manuskryptami?

- Na razie bym to zostawił. Nasze priorytety to prezes, a potem sekretarz Katamora.

Telefon Maksa zadzwieczał. Zobaczył na wyświetlaczu, że to dyżurny łącznościowiec. Wcisnął przycisk głośnika.

- Hanley.

- Max, właśnie dostałem wiadomość od Overholta.

- Co znowu? - gderliwie spytał Hanley.

- Helikopter odpowiadający opisowi tamtego, którym wcześniej odleciał Juan, wylądował na terenie wykopalisk archeologicznych po tunezyjskiej stronie granicy. Uzbrojeni ludzie porwali profesora Emile'a Bumforda, tunezyjskiego nadzorcę rządowego i członka personelu obozu, miejscowego chłopca, który może być z nim powiązany.

Max spojrzał Ericowi w oczy i uniósł krzaczastą brew.

- Odwrócenie uwagi? - potem powiedział do operatora: - Okej. Wyślij Langowi potwierdzenie, że dostaliśmy jego wiadomość. - Rozłączył się i oparł wygodnie w wyściełanym fotelu. - Kolejny fragment, który nie pasuje.

Eric przezornie nie wspominał, że ten fragment może być częścią zupełnie innej układanki.

19.

Na jego cudownej twarzyczce malowała się determinacja i zachwyty. Usta ułożył w małe o, a oczy miał szeroko otwarte mimo szczypiącego chloru. Krople wody wisiały na jego nieprawdopodobnie długich rzęsach jak okruchy brylantów. Wił się w rytm kopiających nóg, a nadmuchiwane rękawki na jego ramionach uderzały go w brodę przy każdym niezgrabnym wymachu.

Alana miała wrażenie, że serce za chwilę jej eksploduje; stała po pas w wodzie basenu przy swoim apartamentowcu i krok za krokiem cofała się przed Joshem, który usiłował jej dosięgnąć. Wiedział, na czym polega ta zabawa. Marudził, kiedy się zmęczył, zanim do niej dopłynął, albo promieniał z dumy, jeśli udało mu się schronić w jej ramionach.

Pośladki Alany oparły się o betonowy brzeg basenu. Josh był parę kroków od niej, jego usta rozciągały się już w tryumfalny uśmiech. Wiedział, że mu się uda. Wtedy jego rękawki nagle zniknęły i twarz się zanurzyła. Alana usiłowała odepchnąć się od brzegu, ale jej skóra i kostium kąpielowy jakby przywarły do ściany.

Josh się wynurzył, plując wodą. W jego szeroko otwartych oczach dostrzegła panikę, pierwszy spazm kaszlu wstrząsnął jego małym ciałem. Woda i ślina zapieniły się na jego ustach. Udało mu się krzyknąć: „Mamo!”, zanim znów zniknął pod powierzchnią.

Alana wyciągała ręce, wydawało jej się, że wypadną ze stawów, ale nie mogła go dosięgnąć. Nie mogła się ruszyć. Na basenie było pełno ludzi, wylegiwali się na leżakach albo siedzieli na brzegu, mocząc nogi w wodzie. Chciała ich zawołać, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Nikt nie zauważył jej tragedii.

Szamotoanina Josha ustała, jego długie włosy unosiły się w wodzie i kołysały niczym jakieś morskie stworzenia. Dłonie zacisnął w pięści, jakby się czegoś trzymał, ale Alana nic nie mogła zrobić. Strumień filtrowanej wody odpychał go coraz dalej. Nadwyrężone ramiona bolały z wysiłku, w głowie straszliwie jej łomotało - wiedziała, że to kara za to, że była złą matką.

Jej dziecko umierało. Ona sama umierała.

I pogodziłaby się z takim losem, lecz rzeczywistość była o wiele okrutniejsza.

Przebudziła się z koszmaru.

Głowa bolała ją od ciosu, który jeden ze strażników wymierzył jej pałką, ogłuszając ją. Ramiona bolały, bo wleczono ją od miejsca, gdzie wydawano jedzenie i gdzie chwilę wcześniej nalewała ciekłą polewkę na blaszane talerze innych więźniów. Pośladki miała zdrętwiałe, bo ziemię pokrywał szorstki żwir, a wlokący ją mężczyźni narzucili szybkie tempo.

Inny strażnik krzyknął coś do tego, który ją uderzył. Oprawca zatrzymał się w pół kroku i upuścił ją na piach. Nie słuchała pospiesznych potoków arabskich słów, płynących od jednego mężczyzny do drugiego. Leżała tylko nieruchomo w płonnej nadziei, że o niej zapomną.

Obraz tonącego syna, który podsunęła jej wyobraźnia, by zwiększyć jeszcze cierpienia w i tak okrutnych warunkach, był jak tępy ból w piersi. Josh miał już jedenaście lat, nie był pięciolatkiem, którego widziała, i doskonale pływał.

Krzyki dwóch strażników przybrały na sile, aż dołączył do nich trzeci. Wiedziała, że jest jednym z wyższych rangą w obozie pracy; jedno jego ciche słowo natychmiast zakończyło dyskusję. Mężczyzna, który uderzył Alanę, szturchnął ją butem w żebra, żeby wstała i gestem kazał jej wrócić na miejsce przy stole na kozłach, służącym więźniom za stołówkę. Jedzenie podawały wyłącznie kobiety, karmieni zaś byli głównie mężczyźni harujący w upale, aż poszarpane ubrania zwisały luźno na chudych ciałach, a policzki zmieniały się w ciemne doły.

Alana była w obozie niecały tydzień i wiedziała już, że większość tych nieszczęśników pracuje tu od kilku miesięcy. Wyglądali jak więźniowie uwolnieni z hitlerowskich obozów koncentracyjnych.

Kiedy wróciła na swoje miejsce za stołem, kobieta obok niej mruknęła coś po arabsku.

- Przepraszam, nie rozumiem.

Kobieta - kiedyś tęga, sądząc po fałdach skóry zwisających z jej szyi - wskazała oczy Alany, a potem stół. „Nie patrz na strażników”, usiłowała powiedzieć. A może tak tylko Alana to zrozumiała. Może - „patrz, co robisz”. Tak czy inaczej, kiedy szurając nogami podszedł kolejny więzień, Alana podniosła wzrok tylko na tyle, żeby zobaczyć talerz trzymany w trzęsącej się dłoni.

Kiedy dostali już jedzenie i po kubku wody tak gorącej, że parzyła w język, więźniowie zaczęli jeść, siedząc na ziemi. Kilku miało szczęście - mogli oprzeć się o ścianę starego budynku. Wszystkie budowle miały po dwie lub trzy kondygnacje i dachy pokryte przerdzewiałą blachą. Ściany zbudowano z próchniejących desek, popękanych i wypaczonych od słońca i upału. Za budynkami znajdowała się bocznica z kilkoma wagonami oraz dwiema lokomotywami, jedną nie większą od ciężarówki. W przeciwieństwie do budynków i wagonów lokomotywy były nowsze, choć i tak zakurzone. Kawałek dalej wzdłuż torów, znikających za zboczem góry niecały kilometr dalej, wznosiła się olbrzymia konstrukcja z przerdzewiałych stalowych dźwigarów, najeżona starymi przenośnikami taśmowymi i metalowymi zsypani, zapadającymi się i osuwającymi z zaniedbania.

Alana nie potrzebowała dużo czasu, żeby się zorientować, że to stara kopalnia i że więźniowie ją odnawiają. Grupy najsilniejszych każdego ranka szły do pracy przy torach na północy, pozostali zaś trudzili się w olbrzymiej jamie na dnie doliny. Używano niewiele ciężkiego sprzętu - jeden dźwig na szynowej platformie, układający tory, i dwa spychacze. Resztę pracy wykonywano ręcznie pod czujnym okiem strażników o szybkich pięściach.

Nagle wśród grupek jedzących więźniów przemknął szmer; spojrzeli na wschód, wzdłuż krawędzi doliny. Wąską drogą nadjeżdżał samochód, wzbijając spod opon tumany kurzu.

Był identyczny jak ten, który pojmał dwójkę Amerykanów - terenówka patrolu pustynnego, o wysokich gruzłowatych oponach, z karabinem maszynowym na dachu. Kiedy się zbliżyła, Alana zauważyła przywiązany do jej maski toból. Chwilę później zobaczyła, że to ciało mężczyzny. Nie miał ubrania, a jego ciemna niegdyś skóra była spalona na czerwono i zaczynała schodzić wielkimi płatami. Alana widziała, że do zwłok dobrały się zwierzęta, bo na ramionach i piersiach widniały głębokie rany. Twarz była krwawą miazgą.

Patrol miał wytropić zbiegłego więźnia.

Samochód zatrzymał się tuż przed stołami na kozłach. Otworzyły się drzwi pasażera. Mężczyzna, który wysiadł, przez chwilę rozmawiał z dowódcą straży. Ten z kolei przemówił do więźniów. Alana nie musiała znać języka, żeby go zrozumieć: to właśnie spotyka wszystkich, którzy próbują ucieczki. Potem dowódca wyciągnął nóż, przeciął sznury mocujące zwłoki do samochodu i się odsunął. Trup spadł na ziemię z mięsistym odgłosem, a muchy, które bezustannie kłębiły się nad jedzeniem, nagle znalazły sobie bardziej apetyczny posiłek.

Żołądek Alany był zbyt pusty, żeby mogła zwymiotować. Zgięła się tylko wpół, oparła dłonie na kolanach i charczała, aż poczuła, że jej żołądek zmienił się w supeł. Kiedy się wyprostowała, zobaczyła, że obcy strażnik przygląda się jej z zainteresowaniem.

Pół godziny później, po skończonym posiłku, Alana i inne kobiety zmywały blaszane talerze, szorując je garściami piasku - chociaż więźniowie harujący w kopalni i przy torach nie zostawili na nich wiele. Jedną z głównych zasad, ułatwiających strażnikom panowanie nad obozem, było utrzymywanie wszystkich więźniów na granicy śmierci głodowej.

Alana klęczała na ziemi, obracając piasek w misce, kiedy zamajaczył nad nią czyjś cień. Podniosła wzrok. Kobiety były skupione na swojej pracy. Alanę nagle poderwano na nogi i brutalnie odwrócono. To był ten sam strażnik, który wcześniej ją uderzył. Stał tak blisko, że czuła smród tytoniu w jego oddechu i widziała, że ma najwyżej dwadzieścia lat - i że jego wzrok jest martwy. Nie dostrzegwał w niej człowieka. Sądząc po jego spojrzeniu, nie uważał jej w ogóle za żywą istotę.

Strażnicy pilnujący kilkunastu kobiet celowo patrzyli w inną stronę. Zawarto umowę. Alana Shepard należała do tego mężczyzny tak długo, jak długo tego chciał.

Spróbowała kopnąć go kolanem w krocze, ale musiał wyczuć jej zamiar, bo zrećcznie się obrócił i cios trafił w udo. Lubieżny grymas wciąż widniał na jego twarzy, nawet kiedy uderzał Alanę w policzek, który już spuchł i zaczął sinieć.

Nie krzyknęła ani nie upadła. Zachwiała się tylko, czekając, aż piekący ból minie, a w głowie się jej przejaśni. Strażnik znów się obrócił i wbijając kościste palce w jej ramię, odprowadził ją z dala od reszty.

Sto metrów dalej stała stara szopa. Brakowało jej połowy dachu, a ściany były zapadnięte jak krzywy grzbiet starego konia. Drzwi wisiały przekrzywione na jednym zardzewiałym zawiasie. Tuż za progiem strażnik pchnął Alanę tak mocno, że runęła na ziemię. Wiedziała, co ją czeka, już raz przeżyła ten koszmar na studiach i przysięgła sobie, że nie dopuści, by spotkało ją to ponownie. Odwracając się do niego, wciąż na kolanach, zgarnęła dłonią garść piasku i żwiru.

Strażnik doskoczył do niej i kopnął ją w nadgarstek. Odruchowo rozwarła palce, cała ręka jej zdrętwiała. Licha broń rozsypała się z powrotem na ziemi. Mężczyzna powiedział coś po arabsku i parsknął śmiechem.

Alana otworzyła usta, by krzyknąć, a on nagle znalazł się na niej, jedną brudną ręką zakrywając jej usta i nos, a drugą - o drugiej nie chciała nawet myśleć. Usiłowała się szamotać pod jego ciężarem, gryźć go w palce, odgrodzić się od koszmaru, który miał nastąpić, ale przyciskał ją mocno do ziemi. Nie mogła złapać tchu. Jego ciężar wypchnął powietrze z jej płuc, a ręka zakrywała usta i nos. Alanie zaczęło kręcić się w głowie; po kilku sekundach walki, której miała już nigdy nie przegrać, jej ciało ją zdradziło; ruchy straciły siłę, a omdlenie czaiło się jak czarny cień.

Wtedy rozległ się głośny trzask, staccato pękającej garści gałązek, i Alana znów mogła się odwrócić i złapać oddech. Nad sobą zobaczyła męską dłoń i tył głowy strażnika. Ktoś ściągał z niej napastnika; zaczęła krótko, spazmatycznie oddychać, a powietrze napępniało jej płuca. Niedoszły gwałcieł padł nieruchomo obok niej, ich twarze dzieliło kilkanaście centymetrów. O ile to w ogóle możliwe, śmierć sprawiła, że jego nieruchome oczy nabrały życia.

Nad Alaną klęczał strażnik, który przyglądał się jej, kiedy wymiotowała przy stołach. Gołymi rękami skręcił tamtemu kark.

Odezwał się uspokajającym tonem i dopiero po chwili do Alany dotarło, że rozpoznaje słowa. Mówił po angielsku.

- Już wszystko dobrze - powiedział. - Jego zapał ostygł. Permanentnie.

- Kim...? Kim jesteś?

Ściągnął swoją kufie. Był starszy niż wszyscy inni strażnicy, których Alana widziała, ze skórą ogorzałą od lat spędzonych na świeżym powietrzu. Zauważyła także, że w przeciwieństwie do innych ludzi, których ostatnio widziała, jedno z jego oczu było piwne i zażawione, a drugie niepokojąco błękitne.

- Nazywam się Juan Cabrillo i jeśli chcesz żyć, musimy się stąd natychmiast wynieść.

- Nie rozumiem.

Cabrillo wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Nie musisz. Wystarczy, że mi zaufasz.

Po całonocnym marszu w świetle księżyca przez dolinę w stronę placu budowy, dostanie się do środka było fraszką. Strażnicy mieli rozkaz nikogo nie wypuszczać; nikt im jednak nie mówił, że mają nie wpuszczać do środka ludzi ubranych tak samo jak oni.

Kiedy Juana zapytano o powód jego obecności - stał akurat swobodnie w kolejce po śniadanie wraz z innymi strażnikami po porannej modlitwie - odparł, że przysłano go tu z innego obozu za karę za niepowodzenie na torze przeszkód. Młody mężczyzna, który zadał pytanie, uznał odpowiedź za wyczerpującą i nie powiedział nic więcej.

W ten prosty sposób Cabrillo stał się elementem krajobrazu - jeszcze jeden Arab w pustynnym mundurze, z połową twarzy zasłoniętą kraciatą chustą. Musiał uważać. Podczas upadku ze zbocza zgubił jedno ze swoich przyciemniających szkieł kontaktowych. Drugie przepłukał w ustach, jak mógł najlepiej, ale wbił się w nie piach i za każdym razem, kiedy mrugał okiem, miał uczucie, jakby tarł rogówkę papierem ściernym. Z oka cały czas płynął strumień łez.

Ranek spędził, kręcąc się po okolicy; trzymał się wystarczająco blisko innych strażników, żeby nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Szybko się zorientował, że to obóz pracy, a sądząc po stanie więźniów, albo byli tu od dawna, albo nie byli w najlepszej kondycji, już kiedy przyjechali. Był skłonny wierzyć raczej w to drugie, bo według niego prace nie posunęły się bardzo do przodu.

I o to właśnie chodziło, uświadomił sobie po kilku godzinach. Ci ludzie nie mieli tu nic zrobić. Jamy, które wykopali na dnie doliny, wyglądały na wyznaczone losowo, bez nadzoru inżyniera górnictwa. Najwyraźniej odnowienie kopalni było pracą bezcelową, zajęciem, które miało ich zmęczyć, wygłodzić i sprawić, że byli wdzięczni za nędzne posiłki. Ktokolwiek jednak ich tu przysłał, nie chciał ich śmierci. Przynajmniej nie teraz.

Wszystko to sprawiło, że Cabrillo pomyślał o sekretarz Katamorze i o tym, że ona też tkwiła w zawieszeniu. Ani żywa, ani martwa, przynajmniej oficjalnie.

Podsluchując innych strażników, Juan wyrobił sobie opinię na temat tego miejsca - nie wiedział, po co je stworzono, o tym nikt nie rozmawiał - ale zrozumiał, kto je obsadzał. Słyszał arabski ze wszystkimi możliwymi akcentami, od najgorszego bełkotu z marokańskich slumsów po elegancję kształconych na uniwersytetach Saudyjczyków. Owa wieża Babel intonacji i akcentów utwierdziła Cabrilla w przekonaniu, że terroryści rekrutowali się ze wszystkich zakątków Bliskiego Wschodu.

Raz udało mu się podejść do namiotu dowódców na tyle blisko, że usłyszał, jak ktoś - być może dowódca strażników - rozmawia przez radio lub, co bardziej prawdopodobne, przez telefon satelitarny. Juan przystanął, żeby zawiązać but, obserwowany przez wartownika stojącego pod zamkniętym wejściem do namiotu; był pewien, że usłyszał nazwisko Sulejmana Al-Dżamy. Wiedział, że nie może kręcić się tu dłużej i oddalił się, zanim wartownik nabrał podejrzeń.

Dopiero w południe podczas posiłku zorientował się, że nie wszyscy więźniowie są Arabami. Wśród nich zauważył jasnoskórego mężczyznę o rzadkich blond włosach. Słońce okropnie go poparzyło. Kiedy zaś jeden ze strażników uderzył podającą jedzenie kobietę, Cabrillo zobaczył, że ona również nie jest rodowitą mieszkanką tego regionu. Była drobna, miała krótko przyciętą grzywkę, wystającą spod chusty na głowie, i jasnozielone oczy. Mogła być Turczynką, pomyślał, ale jej swojska, amerykańska uroda sprawiła, że zmienił zdanie.

Od tej pory nie spuszczał jej z oka i był w pobliżu, kiedy napastnik powrócił, by zemścić się za upokorzenie, którego doświadczył, gdy dowódca publicznie go złajał.

Cabrillo miał przypiętą protezę, którą nazywał bojową nogą, wyprodukowaną przez Kevina Nixona w Magicznej Pracowni z pomocą głównego zbrojmistrza „Oregona”. Pod plastikową powłoką łydki ukryta była drucziana garota, której Cabrillo mógł użyć, ale wolał uniknąć krwi, oraz niewielki pistolet Kel-Tec.380. Broń nie miała tłumika, więc zostawił ją w kieszeni i po prostu skręcił strażnikowi kark.

- Chyba nie mam innego wyjścia - powiedziała Alana i chwyciła jego wyciągniętą dłoń.

Szopa była wystarczająco oddalona od reszty zabudowań, by żaden ze strażników jej nie widział. Wiedzieli, co się ma w niej dziać, więc żaden nie starał się jej zbytnio przyglądać. Juanowi udało się przeprowadzić Alanę z budynku za niewielkie wzniesienie kawałek dalej. Tuż za jego szczytem położyli się płasko na rozgrzanej skale. Cabrillo przyjrzał się obozowi, wypatrując jakichkolwiek znaków, że ich zauważono.

Wszystko wyglądało zwyczajnie.

Po kilku minutach uznał, że mogą bezpiecznie ruszyć dalej. Juan i jego nowa podopieczna zsunęli się w dół zbocza i skierowali na pustynię, oddalając się od obozu szkoleniowego terrorystów i zagłębiając w jałowe pustkowia.

Cabrillo oceniał, że mają przynajmniej godzinę, zanim komukolwiek przyjdzie do głowy szukać zaginionego strażnika, a kiedy policzyliby więzionych mężczyzn zdolnych skręcić komuś kark, odkryliby, że nikogo nie brakuje. Zamieszanie oddaliłoby jeszcze moment, w którym wysłaliby patrole. Z dala od obozu Cabrillo nie martwił się jednak pościgiem. Widział przedstawienie urządzone z pojmanym zbiegiem podczas obiadu i wiedział, że strażnicy pozwalali, by pustynia ich wyreczyła - czekali, aż drapieżne ptaki zaprowadzą ich do ofiary.

Najpewniej wysłaliby samochód za dzień czy dwa, szukając kołujących sępów.

A za dzień czy dwa Cabrillo zamierzał wylegiwać się w miedzianej wannie swojej kajuty na pokładzie „Oregona”, z drinkiem w jednej ręce i kubańskim cygarem w drugiej. A ponieważ zgubił swój satelitarny telefon, na nodze miałby zakrwawiony bandaż.

20.

Doktor Julię Huxley obudził nieznany alarm. Jej kajuta była położona obok gabinetu, a drzwi były stale otwarte. Alarm dochodził z komputera; kiedy spojrzała w tamtą stronę, zobaczyła, że ekran ożył, rzucając mleczną poświatę, która zalała schludne biurko i odbijała się od nierdzewnej stali poręczy fotela na kółkach.

Julia odrzuciła prześcieradła, odruchowo zbierając włosy w kucyk i wiążąc je gumką leżącą na szafce przy łóżku. W ramach dużego, choć skrywanego ustępstwa na rzecz kobiecości nosiła białą satynową koszulę nocną z ręcznie tkanymi koronkami, opinającą jej kształty niczym druga skóra. Kiedy wiedziała, że jest szansa na pobudkę w środku nocy - zazwyczaj kiedy „Oregon” szykował się do walki - spała w luźnym T-shircie; gdy jednak było spokojnie, miała do wyboru całą szufladę obcisłych nocnych koszul. Parę razy o mało nie została nakryta, obok łóżka trzymała jednak złożony czysty kitel, była w stanie przebrać się w kilka chwil i nikt jak dotąd nie poznał jej sekretu.

Boso przebiegła przez kajutę i usiadła przed komputerem. Kiedy włączyła lampkę przypiętą do biurka, wiedziała już, co wywołało alarm. Jeden z biometrycznych chipów naprowadzających, implantowanych w nogi wszystkich agentów na lądzie, został uszkodzony. Komputer wydawał kilka różnych dźwięków, w zależności od rodzaju usterki. Najczęściej była to wyładowana bateria, ale to, co Julia usłyszała, sprawiło, że po plecach przeszedł jej zimny dreszcz. Przenikliwy, elektroniczny pisk oznaczał, że chip został usunięty albo jego właściciel nie żył.

Wyjaśnienie widniało na ekranie jej komputera.

Chip Juana Cabrilla nie przekazywał już swojego położenia do orbitujących satelitów GPS. Julia przewinęła tabelę w tył, sprawdzając jego położenie z ostatnich kilku godzin i zobaczyła, że opuścił okolicę obozu terrorystów oraz starej kopalni, kierując się na południe ze stałą prędkością sześciu i pół kilometra na godzinę. Przeszedł prawie czterdzieści kilometrów. Zatrzymał się dziesięć minut temu, a potem, bez ostrzeżenia, chip przestał działać.

Julia sięgała po telefon, żeby powiadomić Maksa, kiedy alarm ucichł. Chip znów nadawał. Julia wpisała polecenie uruchamiające diagnostykę systemu, zauważając, że prezes nie zmienił położenia. Chipy naprowadzające wciąż były nowinką techniczną i choć nie sprawiały zbyt wielu problemów, nie były też niezawodne. Według systemu Cabrillo albo przez trzydzieści osiem sekund był martwy, albo chip został wyciągnięty z jego ciała i włożony z powrotem, gdzie dotknął znów płynącej, natlenowanej krwi i zamknął obwód potrzebny do nadawania.

Tak samo nagle, jak alarm ucichł, znów się rozległ, piszcząc przez jakieś trzydzieści sekund. Potem zaczął się włączać i wyłączać, pozornie bez składu i ładu.

Bip, biiip, biiip. Bip, biiip. Biiip, bip, biiip. Bip.

Bip, bip, biiip. Bip, biiip, biiip, bip.

W chaosie dźwięków Julia zaczęła rozpoznawać prawidłowość. Sprawdziła, czy komputer poprawnie nagrywa sygnały z chipa Juana, a potem połączyła się z Internetem i potwierdziła swoje przecucie. Prawie minutę zajęło jej odcyfrowanie pierwszego ciągu dźwięków, a cały czas

rozlegały się nowe.

„Wake... up...” Obudź się.

Bip, bip, bip, bip. Bip, bip, biiip. Biiip, bip, bip, biiip.

„Hux...”

Juan w jakiś sposób przerywał sygnał chipa i wysyłał wiadomość staroświeckim alfabetem Morse'a.

- Ty cwany sukinsynu - mruknęła z podziwem Julia.

Wtedy alarm ogłuszył ją ciągłym wyciem.

Przewróciła kubek z ołówkami, sięgając po telefon.

Po przejściu pierwszych dziesięciu kilometrów od obozu terrorystów, Cabrillo znalazł kryjówkę, w której mogli się schronić przed bezlitosnym słońcem. Razem ze swoją nową towarzyszką, Alaną Shepard, musiał poczekać do zmroku, by zmierzyć się z otwartą pustynią. Kazał jej spać, a sam cofnął się parę kilometrów, sprawdzając, czy wiatr zatarł ich trop. Wiedział, że muzułmanie nie trzymają psów, nawet do tropienia, był więc pewny, że nikt nie ruszy ich śladem, przynajmniej na razie.

Kiedy podjęli wędrówkę, niedługo po zachodzie słońca, chciał oddalić się jak najbardziej od obozu, przeczuwając, że gdy się zatrzymają, później daleko już nie zajdą. Gdyby on i Alana wciąż byli samotni na pustyni o świcie, zaczęłyby nad nimi krążyć sępy. Pożywienie było tu tak trudno dostępne, że ścierwojady śledziłyby ich wiele dni, czekając na ich śmierć. Równie dobrze mogliby postawić szyld „Tu jesteśmy”. Gdyby terroryści wysłali za nimi patrol, zwłaszcza śmigłowiec, szybko by ich zlokalizowali.

Kolejną rzeczą, którą należało wziąć pod uwagę, była wytrzymałość Alany. Kobieta wydawała się w lepszym stanie niż inni więźniowie, których Cabrillo widział, ale mimo to cierpiała z niedożywienia i wyczerpania. Podczas wędrówek po obozie Juan zwinął kilka manierek z wodą i pozwalał jej teraz pić, ile chciała, mimo to pozostawała mocno odwodniona. Nie mógł też nic poradzić na burczenie w jej brzuchu, za które czuła się zobowiązana bezustannie przeproszać.

Była trzecia nad ranem, kiedy Cabrillo uznał, że Alana zupełnie już opadła z sił. Być może uszłaby jeszcze kilometr, ale nie było takiej potrzeby. Przyszła pora zdać się na jego ludzi, a nie na jej wytrzymałość.

- Opowiedz mi o tych poszukiwaniach, które prowadziliście - poprosił, żeby czymś ją zająć, a sam usiadł, opierając się plecami o głaz. Zaprowadził Alanę na niewielkie skaliste wzniesienie z naturalną niecką na szczycie, dającą osłonę, a także stanowiącą naturalny punkt obserwacyjny.

Ponieważ narzucił ostre tempo, ich dotychczasowe rozmowy skończyły się na wzajemnym przedstawieniu.

- To bardzo frustrujące. - Napiła się wody z manierki. Chociaż musiała odczuwać palące pragnienie, miała dobry instynkt przetrwania i piła oszczędnie. - Źródła wskazują, że „Saqr” Sulejmana Al-Dżamy jest wciąż pogrzebany w jakiejś jaskini, ale niech mnie licho, jeśli znaleźliśmy jakikolwiek ślad. Przede wszystkim geologia tego rejonu jest nieodpowiednia dla jaskiń i grot.

- Do tego całkiem możliwe, że ten cały Lafayette źle się zorientował i szukacie w niewłaściwym korycie - dodał Cabrillo, kończąc jej myśl. Podwinął nogawkę spodni.

Alana wytrzeszczyła oczy na widok tytanowo-plastikowej protezy, ale nic nie powiedziała.

- Zaciąłem się przy goleniu - oznajmił Juan z krzywym uśmiechem. Musiał jej przyznać, że nawet się nie zająknęła.

- Używaj depilatora. Trzeci i najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że Arabowie z bandy, o której wspominał w swoim dzienniku Lafayette, wrócili do jaskini po śmierci Al-Dżamy, złupili, co się dało, a resztę zniszczyli.

- To akurat najmniej prawdopodobne - odparł Juan. Ze swojej bojowej nogi wyciągnął bojowy nóż, płaski kawałek chirurgicznej stali, wyważony i naostrzony jak brzytwa. - Jeśli byli lojalni wobec Al-Dżamy za życia - ciągnął - szanowaliby go i po śmierci. Prawdziwy muzułmanin prędzej zje szynkę na wielkanocny obiad niż zbecześci grób.

- Ale muzułmanie nie jedzą... och, rozumiem.

- Jeśli tylko to jedno pokolenie jego sług milczało o pogrzebanym statku, jestem pewien, że on wciąż tam jest.

- Nie tam, gdzie go szukaliśmy. - Oczy Alany przygasły w świetle księżyca. - Damy radę uratować Grega Chaffee?

Juan popatrzył jej w twarz.

- Nie będę wciskał ci kitu. Mój zespół i ja mamy inne priorytety, ważniejsze niż Chaffee. Przykro mi. Kiedy tylko skończymy, wrócę tu. To mogę ci obiecać.

- Szukacie samolotu Fiony Katamory, prawda? - Alana uznała milczenie Juana za potwierdzenie. - Widzieliśmy, jak spadał. Dlatego właśnie Greg, Mike i ja przekroczyliśmy libijską granicę. Też go szukaliśmy.

- To wyjaśnia, dlaczego wzięto was do niewoli.

- Znalazł nas patrol. Oni... zabili Mike'a Duncana. Zastrzelili go za to, że chciał mi przyjść na pomoc.

Juan zobaczył w świetle księżyca łzy lśniące na jej policzkach. Wiedział, że niektóre kobiety chciałyby, żeby wziął je w ramiona i pocieszył, ale Alana Shepard dumnie unosiła podbródek. Nie potrzebowała jego współczucia, tylko pomocy. Cabrillo poczuł, że jego szacunek do niej wzrósł jeszcze bardziej.

- Zbliża się ważna konferencja pokojowa - powiedział cicho. - Jej obecność tam byłaby gwarancją powodzenia.

- Wiem. To właśnie Departament Stanu wynajął mnie, żebym znalazła statek Al-Dżamy. Uważali, że pozostawione przez Al-Dżamę pisma przydałyby się podczas szczytu.

- Czyli tu nie chodzi tylko o archeologię? Alana pokręciła głową.

- Opowiedz mi wszystko od początku.

Streszczenie całej historii zajęło jej zaledwie kilka minut - od wizyty w biurze Christie Valero w Departamencie Stanu i spotkania z nią oraz z St. Julienem Perlmutterem po schwytanie przez załogę, którą wzięła za pustynny patrol graniczny.

- Znam reputację Perlmuttera - powiedział Juan, kiedy skończyła. - To chyba najlepszy badacz historii morskiej na świecie i jeśli on jest przekonany, że „Saqr” wciąż jest pogrzebany na pustyni, mnie to wystarczy. Zastanawiam się, czemu nie poszedł z tym do NUMA. Myślałem, że jest u nich jakimś konsultantem.

- Nie wiem. Wcześniej nigdy o nim nie słyszałam. Odniosłam wrażenie, że według niego Departament Stanu powinien się tym zająć z powodu implikacji dyplomatycznych.

- Mimo wszystko powinien wybrać NUMA - powiedział Juan, wspominając profesjonalizm, jakim Agencja wykazywała się przez lata ich współpracy. - Miałem cię zapytać: wiesz, kim są pozostali więźniowie w obozie?

- Nie - przyznała Alana. - Greg mógłby wiedzieć. Zna arabski. Nie licząc pór posiłków, byłam trzymana z dala od mężczyzn, a żadna z kobiet, z którymi próbowałam rozmawiać, nie znała angielskiego ani tej odrobiny hiszpańskiego, którą znam ja.

- Kolejna tajemnica musi poczekać na swoją kolej - mruknął Juan. - Teraz pora wezwać kawalerię.

Rozpiął pas i zsunął spodnie, odsłaniając uda. Od chwili ich spotkania w szopie był dla niej taką enigmą, że nic, co robił, już jej nie zaskakiwało. W miejscu, gdzie jego mięsień czwórgłowy był najgrubszy, miał trzycentymetrową czerwoną bliznę.

Bez choćby głębszego wdechu Cabrillo rozciął ją nożem. Pomiedzy rozchylonymi krawędziami rany wezbrała ciemna krew.

- Co ty robisz? - spytała Alana, zaniepokojona.

- W nodze mam urządzenie naprowadzające - wyjaśnił. - Mogę dzięki niemu wysłać sygnał do swoich ludzi, żeby nas zabrali.

Wepchnął dwa palce w rozcięcie i badał ranę; z bólu zaciskał usta. Chwilę później wyciągnął urządzenie - czarny plastikowy przedmiot wielkości i kształtu taniego elektronicznego zegarka. Wytarł jego spód o bluzę munduru, zaczekał w milczeniu jakieś trzydzieści sekund, a potem zanurzył je w krwi spływającej po nodze. Powtórzył to samo jeszcze raz, a potem przyspieszył. Zanurzał nadajnik i go wycierał, a jego dłonie były w nieustannym ruchu.

- U... P... H... U... X... - mówił, nadając każdą literę po kolei.

Zza skalnego parapetu osłaniającego Juana i Alanę, niczym pustynny dzinn powstający z piasku, wyskoczyła widmowa postać. Runęła na Juana; siła uderzenia cisnęła śliski nadajnik w ciemność. Kościste palce wyciągnęły się do szyi Cabrilla, ostre paznokcie wbijały się w jego skórę.

Z krwawiącą raną na nodze i spodniami spuszczoneymi do kolan Juan był całkowicie zaskoczony. Brudna istota wrzasnęła gardłowo, uderzając kolanami w jego pierś i drapiąc stopami jego nogi jak kot usiłujący wypatroszyć ofiarę. Paznokcie ostre jak róg ryły krwawe bruzdy w skórze Juana.

Pistolet był schowany w kieszeni ściągniętych spodni, nóż leżał poza zasięgiem. Juan odchylił głowę w tył, najdalej jak mógł, a potem wyrzwał czołem w nos napastnika. Siła była za mała, żeby złamać tamtemu nos, musiał więc zadowolić się bryzgami krwi, chlapiącymi mu na twarz i bolesnym wyciem, jakie wywołał jego cios.

Przewrócił się na brzuch, podciągnął nogi i odepchnął z całych sił w górę. Istota spadła z jego pleców, przeleciała przez nieckę i uderzyła w kamienie po przeciwnej stronie. Cabrillo tymczasem przetoczył się po ziemi i chwycił nóż, kiedy potwór, z którym walczył, upadł bezwładnie na ziemię, Juan był już gotów.

Zamachnął się, ostrze zalśniło i nóż byłby sięgnął celu, gdyby w ostatniej chwili Cabrillo nie zauważył dwóch rzeczy. Jego przeciwnik był niewiarygodnie lekki i ubrany w takie same szmaty, jakie widział u więźniów. Było już za późno, by zatrzymać rzut, ale udało mu się odrobinę zmienić kąt. Ostrze wbiło się w piaskowiec centymetry od głowy tamtego.

Od chwili ataku minęło pięć sekund. W tym czasie Alana zdążyła jedynie podnieść dłonie do ust.

Juan wypuścił powietrze.

- O mój Boże - sapnęła Alana. - Greg mówił mi, że dwa dni temu uciekło dwóch więźniów. Z powrotem przywieźli tylko jednego.

Juan zastanowił się, jakie mieli szanse, by natknąć się na jedyne człowieka w promieniu trzydziestu kilometrów i uznał, że właściwie całkiem spore. Wyruszając w głąb pustyni, zostawili

obóz za sobą i szli po najłatwiejszym terenie, żeby zyskać na odległości. To było najbardziej logiczne wyjście i więzień musiał zrobić to samo.

Szli szybciej niż on, a biorąc pod uwagę jego wyczerpanie, nie było w tym nic dziwnego. Chyba cudem dotarł tak daleko. Musiał obserwować pustynię ze wzniesienia, zauważył Alanę i Juana idących w jego stronę, a potem pozostał w ukryciu do chwili, kiedy Cabrillo był najbardziej bezbronny.

Juan podszedł do niego i wyciągnął rękę do Alany, żeby podała mu manierkę.

- Pij - powiedział po arabsku. - Nie zrobimy ci krzywdy.

Przez brud, kurz i splątany wielotygodniowy zarost zobaczył, że mężczyzna jest mniej więcej w jego wieku, ma wydatny nos i szerokie czoło. Policzki nieznajomego były zapadnięte z głodu i odwodnienia, a oczy matowe. Wystarczyło mu jednak sił, by dojść tak daleko i przypuścić całkiem dobrze zaplanowany atak. Cabrillo był pod wrażeniem.

- Dobrze się spisałeś, przyjacielu - powiedział. - Ratunek jest w drodze.

- Jesteś Saudyjczykiem - wycharczał tamten, wypiwszy pół manierki wody. - Poznaję twój akcent.

- Nie, uczyłem się arabskiego w Rijadzie. Jestem Amerykaninem.

- Chwała Allahowi.

- Jego prorokowi Mohametowi - dodał Juan.

- Pokój z nim. Jesteśmy uratowani.

- My?

21.

Juan nie wysłał już żadnego sygnału po powitaniu, które Julia pracownice odcyfrowała, więc Max zdecydował, że Linc, Linda i Mark pojedą Knotem tam, gdzie ostatnio go zlokalizowano.

Droga zajęła trójce najemników dwie godziny.

Hanley siedział w centrum operacyjnym. Komputer statku sam pilnował położenia, więc w sterowni wystarczyła niewielka załoga, ale pod ścianami i na fotelach siedział tuzin mężczyzn i kobiet. Jedynymi odgłosami był szum wentylatora i rzadkie siorbnięcia kawy. Eric Stone siedział za sterem, a obok niego George Adams wyciągnął się na stanowisku operatora uzbrojenia Marka Murphy'ego. Ze swoją urodą aktora, w lotniczym kombinezonie, prezentował się zawadiacko. Był jednym z najlepszych pokerzystów na pokładzie, po samym prezesie, a zdradzał się jedynie tym, że szarpał swoje długie wąsiska, kiedy był bardzo zdenerwowany. Przy nerwach obecnej nocy po godzinie jego górna warga byłaby już łysa.

Na głównym monitorze nad ich głowami widać było ciemność przedświt. Na wschodzie pojawiały się niemal niedostrzegalne zwiastuny kolorów - nie tyle światło, co rozrzedzona smolista ciemność. Mniejszy ekran pokazywał postępy Knota. Świeące kropki oznaczające ciężarówkę i ostatnie położenie Juana dzieliło kilka milimetrów.

Kiedy zadzwonił telefon, wszyscy podskoczyli. Techniczny siedzący w centrum łącznościowym Halego Kasima zerknął na Maksa. Max kiwnął głową, założył na uszy słuchawki i poprawił mikrofon.

- Hanley - powiedział, pilnując, żeby ton jego głosu nie zdradził żadnych obaw. Nie zamierzał dawać Juanowi satysfakcji, pozwalając mu odczuć, jak bardzo się martwił.

- Ach, Max. Langston Overholt.

Max chrząknął, zirytowany niespodziewanym telefonem.

- Złapałeś nas w raczej złym momencie, Lang.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Wiesz, jak to z nami jest, to zawsze coś poważnego. Kończysz właśnie długi dzień czy tylko wcześniej zaczynasz?

W Waszyngtonie była północ.

- Szczerze mówiąc, sam już nie wiem. Wszystko zlało mi się w kilka najdłuższych dni mojego życia.

- Czyli musi być źle - powiedział Max. - Byłeś w Agencji podczas kubańskiego kryzysu raketowego.

- Wtedy byłem jeszcze tak zielony, że nie chcieli mi nawet podać kodu do drzwi łazienki.

Max Hanley i Langston Overholt mieli skrajnie różne doświadczenia. Max był niebieskim kołnierzykiem. Jego ojciec był związkowcem w kalifornijskiej fabryce samolotów, a matka nauczycielką. Swoje dowództwo w Wietnamie osiągnął dzięki własnym zasługom i zdolnościom. Overholt z kolei urodził się w rodzinie o fortunie tak starej, że wciąż uważała Astorów za

nuworysz. Ukształtowało go dwanaście lat edukacji: cztery lata na Harvardzie i kolejne trzy w Harvardzkiej Szkole Prawniczej. Mimo to obaj mieli dla siebie duży szacunek.

- Teraz chyba jedna z kabin nosi twoje nazwisko - dogryzł mu Max.

- Ciesz się zdrową prostatą, póki ją masz, przyjacielu.

- No dobrze, co jest grane?

- Libijczycy donoszą, że pilot myśliwca podczas nocnych ćwiczeń znalazł coś na pustyni tuż przy granicy z Tunezją. Wysłano patrol, który odkrył tajną bazę wyposażoną w śmigłowiec Hind. Ktoś ją zaatakował. Helikopter został zniszczony, najwyraźniej nikt nie przeżył.

- Tak, miałem ci o tym powiedzieć. To nasi ludzie się na nią natknęli. Załatwili hinda i ustalili, że był wyposażony w rakiety powietrze-powietrze, konkretnie... - Spojrzał na Erica, który bezgłośnie wymówił nazwę „Apex”. - ...konkretnie w apeksy. Ruskiej produkcji.

- Cholera, Max, trzeba było mi o tym powiedzieć, kiedy wam mówiłem, że profesor Bumford został porwany.

- Bez urazy, Lang, ale wynajęliśmy nas, żebyśmy znaleźli sekretarz stanu. Wszystko inne uważam za kwestie poboczne.

Max wiedział, że Overholt usiłuje nad sobą zapanować, bo nie odezwał się przez trzydzieści sekund. Hanley się tym nie przejął. Agencja wynajęła Korporację, bo nie miała innego wyjścia. To, jak najemnicy wykonywali swoje zadania, nawet pomimo niedawnego fiaska w Somalii, zależało tylko od decyzji jego i Juana.

- Masz rację. Przepraszam. Czasami zapominam, że macie autonomię, o jakiej ja mogę tylko pomarzyć.

- Nie ma sprawy. No i co z tym śmigłowcem?

- Libijczycy twierdzą, że znaleźli komputer pod namiotem dowodzenia, czy raczej pod tym, co z niego zostało.

Max otworzył usta, żeby powiedzieć, że ich ludzie przeczesali cały obóz, ale wiedział, że były to poszukiwania raczej pobieżne.

- Co było w tym komputerze? - zapytał.

- Informacje wiążące śmigłowiec z Sulejmanem Al-Dżamą, po pierwsze, i wskazówki, że terroryści utworzyli obóz szkoleniowy tuż pod nosem Libijczyków, jako przykrywkę używając lewej firmy, rzekomo otwierającej starą kopalnię węgla.

Max i Eric Stone popatrzyli na siebie znacząco. O tym właśnie rozmawiali poprzedniego wieczoru.

- Skąd mamy te informacje? - spytał Hanley.

- Z rozmyślnego przecieku do szefa placówki CIA w Trypolisie, faceta nazwiskiem Jim Kublicki. Jego informator to jego odpowiednik w OBD, czyli...

- Organizacja Bezpieczeństwa Dżamahiriji. Wiemy, kto to jest. Na ile można wierzyć temu człowiekowi?

- Biorąc pod uwagę współpracę Libijczyków z nami przed szczytem i pomoc, jakiej udzielili w poszukiwaniach samolotu Fiony Katamory, powiedziałbym, że można.

- Albo to wszystko jakaś sztuczka. Cholerni Libijczycy mogą w tym siedzieć po uszy.

- Według moich informacji, nie.

- Max - przerwał dyżurny oficer łącznościowy - mamy połączenie z Knotem.

Max zerknął na ekran nad głową. Kropka przedstawiająca ciężarówkę i kropka ostatniej pozycji

Cabrilla nałożyły się na siebie.

- Zaczekaj chwilkę, Lang. Dobra, łącz mnie. Tu Hanley.

- Dzień dobry, Max.

Po samym tonie Cabrilla Hanley zorientował się, że prezes jest cały i zdrowy.

- Nie rozłączaj się, Juan. - Przełączył się z powrotem na Owerholta. - Mów dalej, Lang.

- Co tam się dzieje?

- Nic. Juan się zameldował. Czeka. Co to za informacje, które mają mnie przekonać, że to nie OBD ani jakaś inna frakcja robią nam numer?

- Takie, że Libijczycy za jakieś dwie godziny zaatakują obóz szkoleniowy. Jim Kublicki jest w jednej z ich baz sił powietrznych, leci z nimi w śmigłowcu, żeby to potwierdzić. Jeśli to nie wystarczy, istnieje możliwość, że Fiona Katamora jest teraz w tym obozie. W komputerze były też tropy, po których możemy wyśledzić samego Al-Dżamę. Helikopter i inny sprzęt zostały przemycone do kraju z pomocą skorumpowanego pilota portowego nazwiskiem Tarik Assad. Libijczycy mają informacje, że taki człowiek istnieje i pracuje w porcie od pięciu lat, ale w systemie nie ma nic na jego temat z wcześniejszego okresu. Danych ze szkół, danych o zatrudnieniu, nic. Uważają, że ten Assad to tak naprawdę pseudonim samego Al-Dżamy i wysłali już ludzi, żeby go zwinęli.

Spojrzenia, które wymienili Max i Eric, tym razem były pełne grozy.

Juan i pozostali byli czterdzieści kilometrów od obozu szkoleniowego terrorystów. Mieli aż nadto czasu, żeby znaleźć sobie przyzwoite schronienie przed libijskim atakiem. Groza, którą poczuli dwaj mężczyźni, wynikała z faktu, że Eddie Seng i Hali Kasim śledzili Tarika Assada od chwili, kiedy „Oregon” zacumował. Stawka była zbyt wysoka, by Juan całkowicie zaufał ich cypryjskiemu łącznikowi, L'Enfantowi, rozkazał więc, by ich najlepszy tajny agent, Seng, i jedyny Arab w załodze, Kasim, obserwowali Assada, wypatrując sygnałów zdrady.

Oprócz tego, że Assad wydawał masy pieniędzy na swoje liczne kochanki w całym Trypolisie, nie odkryli niczego podejrzanego. Dlatego właśnie strzelanina na drodze wylotowej z miasta tamtej pierwszej nocy uznana została za zbieg okoliczności. Teraz Max zdał sobie sprawę, że Assad wystawił ich od samego początku.

Zależnie od tego, jak dużą sieć zarzuciła na niego OBD, Eddie i Hali byli w prawdziwym niebezpieczeństwie, że też w nią wpadną. Hanley w końcu odzyskał głos.

- Lang, to, co mi powiedziałeś, zmienia nasz obraz taktyczny o sto osiemdziesiąt stopni. Muszę porozumieć się z Juanem albo wpadniemy w niezłe szambo.

- Dobra, informuj mnie na bież... Max rozłączył go i przełączył linie.

- Juan, jesteś tam jeszcze?

- Nie wiem, czy jeszcze chce mi się z tobą rozmawiać - odparł Cabrillo, udając obrażonego.

- Mamy kłopoty, przyjacielu.

Ponury ton głosu Maksa zabił całą radość i ulgę Juana po uratowaniu go przez Linca, Lindę i Marka.

- Co się stało?

- Za dwie godziny Libijczycy zaatakują obóz szkoleniowy, w którym właśnie byłeś. Uważają, że sekretarz może tam być, więc to jednocześnie misja ratunkowa i szturm. Do tego zamierzają aresztować Tarika Assada, bo to Sulejman Al-Dżama.

- A co z kopalnią? - warknął Juan.

- Nie wiem - przyznał Max. - A co?

Cabrillo nie odpowiedział. Hanley słyszał jego oddech przez bezpieczne łącze radiowe. Znał prezesa i wiedział, że ten właśnie podejmuje trudną decyzję.

- Cholera - mruknął Juan, a potem jego głos nabrał zdecydowania. - Po pierwsze, trzeba dać sygnał Eddiemu i Haliemu, żeby uważali.

- Eric właśnie to robi.

- W tym obozie stacjonują ponad dwie setki tango. Jeśli jest tam Fiona Katamora, a równie dobrze może być, to jest już martwa. Zabezpieczenie obozu zajmie Libijczykom dwadzieścia czy trzydzieści minut, wystarczająco długo, żeby ktoś wpakował jej kulę w głowę. Musimy wyrównać szanse.

- Jak?

- Pracuję nad tym. Gdzie jesteście?

- Jakieś sto trzydzieści kilometrów od wybrzeża.

- I mamy dwie godziny?

- Mniej więcej.

- Dobra, Max, nie chcę słyszeć żadnego zrzędzenia o twoich drogocennych silnikach, ale jesteś mi potrzebny na wybrzeżu najszybciej, jak się da. Ogłoś alarm, Gomez Adams ma być gotowy do startu w piętnaście minut od wezwania.

- Ster, zasilanie awaryjne! - krzyknął Max. - Cała naprzód. Kierunek port węglowy. Nie martw się, Juan. Wyciągniemy was stamtąd.

Rozparty na tylnym fotelu Knota Cabrillo, któremu Linc zszywał miejscowo znieczuloną nogę, spojrzał na przednie siedzenie, na libijskiego więźnia, którego on i Alana uratowali. Mężczyzna nazywał się Fodl; sól w tabletkach i kilka litrowych butelek wody, którą wypił, znacznie go już ożywiły.

- Tak, wyciągniecie - powiedział Juan do Fodla i Maksa. - Nas wszystkich.

22.

W kraju, który był niemal całkowicie jednorodny etnicznie, Eddie Seng powinien być niewłaściwym kandydatem, by śledzić portowego pilota. Jednak prezes właśnie jemu i Haliemu Kasimowi przydzielił to zadanie. Mimo to Eddie się nie skarżył. Podobnie jak Juan wyczuwał w Assadzie coś podejrzanego, coś, co sprawiało, że jeżyły mu się włoski na karku.

Mieć podejrzenie i udowodnić je to jednak dwie różne rzeczy; do tego nie można było w żaden sposób nie zauważyć, że wszyscy przodkowie Eddiego dwieście pokoleń wstecz byli Chińczykami, a prawie wszyscy ludzie na ulicach Trypolisu urodzili się na Bliskim Wschodzie.

Nie było jednak aż tak źle. Na całej Ziemi nie istniało miasto, w którym nie byłoby enklawy chińskich imigrantów. A pierwszego wieczoru, kiedy Hali śledził Tarika Assada, niosąc ze sobą wypisaną odręcznie kartkę z informacją, że jest niemy - dla zamaskowania faktu, że nie zna arabskiego - Eddie udał się na poszukiwania trypoliskiego Chinatown.

To, co znalazł, było dla niego szokiem, choć po zastanowieniu uznał, że nie powinno. Napływ petrodolarów sprawił, że Libia, a zwłaszcza Trypolis, przeżywała boom budowlany; sporo zleceń wykonywały firmy z Hongkongu i Szanghaju. Oprócz sprowadzonych robotników, istniała także cała infrastruktura w postaci barów, sklepów i burdeli, obsługujących wyłącznie chińską klientelę, niemal taka sama jak w Chinatown w Nowym Jorku, skąd Eddie pochodził.

Podobnie jak w Nowym Jorku społeczeństwo dzieliło się tu na praworządnych i niepraworządnych. Wystarczyło kilka minut spaceru, żeby znalazł rozpoznawalne symbole gangów, wymalowane sprayem na witrynach. Po kolejnych kilku minutach zobaczył ten, którego szukał. Znak był niewielki, miał zaledwie kilka centymetrów wysokości; namalowano go czerwoną farbą na zwyczajnych metalowych szarych drzwiach. Drzwi wstawione były w grubą ścianę magazynu, z rzędem okien na piętrze.

Eddie zapukał, używając kodu, który znał z domu. Nikt nie otworzył, więc zapukał drugi raz, tym razem tak, jak zrobiłby to zwykły przechodzień - zabębnił w blachę kłykciami. Sądząc po głuchym echu, które usłyszał, drzwi były z litej stali.

Po kilku sekundach uchyliły się ze skrzypieniem i wyjrzał zza nich chłopiec w wieku około dziesięciu lat. Tuż za nim ukrywało się na pewno trzech albo czterech uzbrojonych mężczyzn. Chłopiec nie odezwał się ani słowem.

Eddie też nie.

Wyciągnął koszulę ze spodni i odwrócił się, pokazując plecy aż do łopatek.

Chłopiec głośno wciągnął powietrze i nagle Eddie poczuł na sobie wzrok kogoś innego. Powoli opuścił koszulę i odwrócił się do drzwi. Przyglądający się mu dwaj członkowie gangu mieli opuszczoną broń, co wziął za dobry znak.

- Kim jesteś? - spytał jeden z nich.

- Przyjacielem - odparł Eddie.

- Kto ci ten tatuaż dał? - spytał drugi.

Eddie popatrzył na niego z taką pogardą, na jaką się tylko odważył.

- Nikt mi go nie dał. Zasłużyłem na niego.

Na plecach miał rysunek zawilego, choć już wyblakłego smoka walczącego z gryfem. Był to stary symbol Tongu Zielonego Smoka, z czasów, kiedy grupa walczyła z rywalizującym gangiem o kontrolę nad szanghajskimi dokami w latach trzydziestych XX wieku. Jedynie starsi członkowie Tongu albo wyjątkowo odważni żołnierze mogli go sobie tatuować, a biorąc pod uwagę globalny zasięg chińskiego półświatka, Eddie wiedział, że tutaj wkupi się nim w łaski.

Miał tylko nadzieję, że go nie sprawdzą, bo tatuaż nałożył farbami kilka godzin wcześniej Kevin Nixon, wybrawszy go z katalogu tatuaży więziennych i symboli gangów na pokładzie „Oregona”.

- Co tu robisz? - spytał pierwszy opryszek.

- W porcie pracuje pewien człowiek. Jest winien dużo pieniędzy ludziom, których reprezentuję. Chcę wynająć paru waszych kolegów, żeby mieli na niego oko, aż przyjdzie pora odebrać dług.

- Masz pieniądze?

Eddie nawet nie odpowiedział. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przychodziłby z taką prośbą, gdyby nie mógł zapłacić.

- Cztery albo pięć dni. Ośmiu albo dziesięciu ludzi. Dziesięć tysięcy dolarów.

- Za trudno wymienić. Zapłać w euro. Dziesięć tysięcy.

Przy obecnym kursie to było prawie o połowę więcej. Eddie kiwnął głową.

I w ten sposób, tak po prostu, dysponował wystarczającą liczbą ludzi, żeby mieć Tarika Assada pod całodobową obserwacją, podczas gdy on sam i Hali czekali w podłym hoteliku kontrolowanym przez Tong. Gang co sześć godzin meldował o poczynaniach Assada przez komórki na kartę, więc już po kilku dniach agenci mieli dość dobre rozeznanie w rozkładzie jego zajęć.

Assad pracował zazwyczaj osiem godzin na nocnej zmianie w porcie, choć często kończył wcześniej, jeśli nie spodziewano się żadnych statków. W takie noce udawał się do mieszkania niedaleko portu, w którym miał kochankę. Nie była najładniejsza z tych, do których chadzał, ale mieszkała w najwygodniejszej odległości.

Po pracy wracał do domu, do rodziny, spał może sześć godzin i wychodził na kawę z kolegami z pracy, po czym odwiedzał kolejne mieszkania rozrzucone po całym Trypolisie. Eddie kazał swoim nowym pracownikom sporządzić listę nazwisk kobiet, a kiedy poprosił Erica Stone'a o ich sprawdzenie w komputerze „Oregona”, okazało się, że Assad sypiał z żonami pracowników administracji rządowej średniego szczebla. Nawet pospolita dziewczyna mieszkająca niedaleko portu była siostrą zastępcy dyrektora w Ministerstwie Energetyki.

Jego podboje robiły tym większe wrażenie, że nie był zanadto atrakcyjny.

Eddie i Hali doszli do wniosku, że Assad jest jedynie umiarkowanie skorumpowanym pilotem portowym z nadaktywnym libido i cholernie dobrym bajerem. Zmienili zdanie, gdy Max Hanley zbombardował ich nowymi informacjami. Sukcesy Assada w sypialniach libijskich władz nabrały zupełnie nowego, mrocznego znaczenia.

Juan słuchał przez telefon, jak Eric Stone opisuje trasę starej linii kolejowej przez góry do wybrzeża, trzydzieści parę kilometrów dalej. Zdjęcia satelitarne nie pokazywały nachylenia terenu, ale według chipa naprowadzającego Juan był prawie trzysta metrów nad poziomem morza, kiedy wysiadł ze śmigłowca w obozie szkoleniowym terrorystów.

Podczas rozmowy z Erikiem Cabrillo w myślach naszkicował plan działania i uznał, że to będzie naprawdę szalona przejażdżka.

W dodatku operacja musiała być niezwykle precyzyjnie obliczona w czasie, a Juanowi nie przychodziła do głowy żadna wymówka, którą mógłby przekazać Libijczykom przez Overholta, żeby opóźnili swój atak - żadna, która nie zdradziłaby jednocześnie jego zamiarów.

Jakby tego było mało, z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespał najwyżej sześć, a sądząc po wyglądzie trójki jego towarzyszy z „Oregona”, nie byli oni wcale w lepszym stanie.

- Co się stało? - spytał Linc. Jego chirurgiczne rękawiczki były pokryte krwią, kiedy kończył zakładać ostatnie szwy. Zaszył rozcięcie w nodze Juana trzema rzędami katgut, od najgłębszej części rany po skórę, tak by nie otworzyła się na nowo. Miejscowe znieczulenie redukowało ból do tępego pulsowania, więc Juan był pewien sprawności swojego ciała.

- Co?

- Właśnie się zaśmiałeś - powiedział Linc, ściągając rękawiczki i wpychając je do czerwonego pojemnika na odpady biologiczne.

- Naprawdę? Pomyślałem tylko, że wpadliśmy w takie bagno, że nie wiem, czy mój plan się uda.

- Znowu jakiś twój plan C? - jęknęła Linda. Stała przy drzwiach Knota i zaglądała Lincowi przez potężne ramię.

- Dlatego właśnie się śmiałem. Wisielczy humor. Plan C mamy już dawno za sobą, teraz będzie plan D, E albo F.

Cabrillo miał przed sobą dwie możliwości, ale tak naprawdę różnica między nimi nie była wielka. Jego plan zakładał, że wszyscy trafią na strzelnicę, a Knot będzie pełnił rolę kaczkę.

Linc przyłożył do rany kawałek gazy i przymocował ją taśmą klejącą.

- Jeśli doktor Huxley będzie miała jakieś zastrzeżenia co do mojej pracy - powiedział - to niech się zgłosi do twojej kasy chorych.

Juan z trudem założył z powrotem spodnie. Były porozdzierane w kilkunastu miejscach i tak oblepione piaskiem, że trzeszczały, kiedy naciągał je na biodra, ale w Knocie nie było zapasowych mundurów. Zeskoczył na ziemię i zrobił kilka przysiadów. Rana go ćmiła, ale szwy i znieczulenie robiły swoje.

Słońce nie pokazało się jeszcze nad górami w oddali, więc na niebie świeciły zimne i niewzruszone gwiazdy. Cabrillo patrzył na nie przez chwilę, zastanawiając się - nie po raz pierwszy - czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

- Wsiadać! - zawołał. - Kiedy „Oregon” przyplynie na miejsce, będzie już po zabawie, a nas czeka dużo nieprzyjemnej roboty.

- Tak z ciekawości, Juan - spytał tonem konwersacji Linc. - Kim są ci ludzie, których mamy uratować? Więźniami politycznymi, pospolitymi przestępcami, kim?

- Myślę, że mogą być kluczem do tej całej sprawy. Linc lekko pokiwał głową.

- W porządku.

- Jeśli ktoś by mnie pytał - powiedział Mark - to mam złe przeczucia co do...

Cabrillo uciszył go spojrzeniem.

Według jego zegarka minęło czterdzieści osiem minut, zanim uznał, że są gotowi. W miarę gotowi. Widział strażników pilnujących więźniów i wiedział, że w małej liczbie nie są groźni, ale było ich tam około czterdziestu, a gdyby nie zdążył w wyznaczonym czasie, kolejne dwie setki, które miał nadzieję odciągnąć od obozu szkoleniowego, dotarłyby do kopalni, zanim wszystkim udałoby się uciec.

Po drodze wysadzili Linca, który miał znaleźć jakiś wysoko położony punkt nad torowiskiem za

starym budynkiem administracyjnym. Z karabinem snajperskim Barrett 50 były komandos SEAL mógł trafić w cele z odległości ponad półtora kilometra. Imponujący zasięg mniejszego karabinu szturmowego REC7 wynosił siedemset metrów, ale plan Juana nie wymagał tak dalekosiężnej broni. Knot był już tuż poza zasięgiem wzroku strażników kopalni, na szczycie wąskiej ścieżki, którą dzień wcześniej pustynny patrol wrócił z ciałem uciekiniera.

W oddali wstawał świt, ciemność wypełniła parowy i zleby, a w powietrzu czuć było chłód dalekiego morza.

Juan żałował, że nie może trzymać Alany i ich nowego towarzysza Fodla z dala od walki, ale nie mógł ryzykować i zostawić ich na pustyni na wypadek, gdyby on i jego drużyna nie zdołali wrócić. Wyjaśnił obojgu swój plan i sprawdził, czy rozumieją, jakie się z tym wiążą niebezpieczeństwa. Oboje byli gotowi zrobić wszystko, co im kazał.

- Żebyś pasowała do reszty archeologów-poszukiwaczy przygód w tej okolicy, kupię ci kapelusz - powiedział i uśmiechnął się do Alany, kiedy przystała na jego plan.

- I bat? - spytała.

- Świntuszkę - skarcił ją, znów się uśmiechając.

- Test łączności - odezwał się Linc przez sieć taktyczną.

- Słyszę cię głośno i wyraźnie, wielkoludzie.

- Jestem na dachu starej przeladowni rudy - zameldował snajper. - Strażnicy zaczynają zaganiać więźniów na śniadanie. Teraz albo nigdy.

- Potwierdzam - odparł Juan i głośno przełknął ślinę. Jego gardło zrobiło się nagle suche jak piaski pustyni. Spojrzał na Marka Murphy'ego. Powodzenie bądź porażka jego planu zależały od tego, na ile sprawnie Murph będzie panował nad systemami uzbrojenia Knota.

- Gotowy?

Mark kiwnął głową.

- Cała naprzód!

Mark odpalił dachowe moździerzce ciężarówce. Zostały już wycelowane z pomocą Linca posługującego się laserowym dalmierzem. Wystrzeliły jednocześnie; ich automatyczny system ładowania zdążył wrzucić nowy pocisk do każdej z czterech luf, zanim pierwsze pokonały sto metrów swojego wysokiego parabolicznego lotu.

Druga salwa odpaliła z komicznie głośnym dźwiękiem.

- Naprzód! - krzyknął Mark.

Silnik Knota był już na wysokich obrotach, więc kiedy Juan puścił sprzęgło, wszystkie cztery koła zabuksowały. Z rykiem wypadli z szczytu wzniesienia i zobaczyli przed sobą obóz. Zgodnie z planem nikt nie usłyszał wystrzałów z moździerzy. Obszarpani więźniowie ustawiali się w kolejkach po swoje żałośnie skromne śniadanie, a strażnicy od niechcienia ich dręczyli. Juan zobaczył, jak jeden z nich uderzył jakiegoś mężczyznę pałką w nerki tak mocno, że tamten wygiął się jak napięty łuk i padł w piach.

Pociski z moździerzy osiągnęły najwyższy punkt i runęły w dół, każdy wypełniony kilogramem materiału wybuchowego. Mark część drogi do obozu spędził na wyciąganiu z pocisków szrapneli, żeby zminimalizować szansę trafienia któregoś z więźniów.

Linc umieścił krzyżyk celownika swojego REC7 na strażniku, który przed chwilą uderzył jeńca, wypuścił do połowy powietrze z płuc i nacisnął spust.

- Mamy różową mgiełkę - zameldował, kiedy głowa terrorysty eksplodowała.

Zlikwidował dwóch kolejnych, zanim przez strażników przeszła fala niepokoju. Ich dowódca wyłonił się ze swojego namiotu. Miał goły tors i spodnie munduru wpuszczone w buty. Linc zauważył antenę radiową sterczącą przez otwór w dachu namiotu i przeniósł celownik na inny cel.

Cztery pociski moździerzowe uderzyły w ziemię dokładnie w tej samej chwili. Ścieżka prowadząca na dno wykopu eksplodowała gejzerami piachu i tłustych płomieni. Chwilę później kolejne pociski spadły jeszcze bliżej obozu.

Strażnicy i więźniowie uciekali, wycofując się w stronę dużych drewnianych budynków, podczas gdy Linc dalej przeredzał szeregi terrorystów, każdym strzałem kładąc jednego. Przede wszystkim wybierał tych uzbrojonych.

Cabrillo popędził Knotem w stronę obozu niczym kierowca rajdowy mknący do mety. Siedzący obok Murph usiłował utrzymać celownik pokładowych rakiet na jednej z ciężarówek terrorystów. Usłyszał potwierdzający pisk i wystrzelił.

Rakietą z wyciem wyrwała się z mocowań, pomknęła zakosami przed siebie i eksplodowała w kabine ciężarówki, rozłamując na pół samochód, który złożył się jak storpedowany statek.

Wybuch jeszcze bardziej stłoczył przerażonych więźniów pod budynkiem, podczas gdy strażnicy biegli do namiotów, w których zostawili automatyczną broń.

Knot był sto metrów od obozu, kiedy uzbrojeni terroryści zaczęli wybiegać na zewnątrz, wymachując kałasznikowami i śląc długie serie pocisków w przypadkowych kierunkach. Stojąca pod włazem Knota Linda obserwowała ich przez celownik karabinu maszynowego M60. Broń szarpnęła się w jej rękach, uderzając w ramię jak młot pneumatyczny, ale jej cel nawet nie drgnął.

Ziemia wokół biegnących strażników ożyła, kiedy posypały się między nich pociski. Padali, chwytając się za paskudne rany, niektórzy skoszeni przez własnych towarzyszy, którzy obracali się w stronę nowego zagrożenia i bez zastanowienia otwierali ogień.

- Miał dość czasu! - krzyknął Juan przez ryk silnika. - Rozwalić namiot dowodzenia.

Cabrillo chciał osiągnąć dwie rzeczy. Pierwsza to uratowanie jak największej liczby więźniów, ponieważ Juan nie był pewny, czy libijskiemu wojsku będzie się chciało odróżniać wrogów od przyjaciół. W tym momencie nie był nawet pewien ich definicji tych dwóch określeń. Drugą było odciążenie tyłu terrorystów, ilu się da, od obozu szkoleniowego przed atakiem. Jeśli Fiona Katamora faktycznie tam była, to każdy bojownik walczący w kopalni oznaczał jednego mniej bojownika usiłującego ją zabić podczas akcji.

Dlatego właśnie Linc dostał rozkaz, by pozwolić dowódcy kopalni skontaktować się z obozem szkoleniowym przez radio. Chcieli, żeby podniósł alarm. Ale teraz, kiedy już to zrobił...

Mark posłał raketę przez wejście do namiotu pod takim kątem, żeby uderzyła w ziemię, zanim wyleci z drugiej strony. Płótno uniosło się pod wpływem płomieni, a fala uderzeniowa przewróciła poukładane na zewnątrz stosy wojskowego sprzętu. Namiot zapalił się niczym papier i zmienił w popiół, który spadł na ziemię jak brudny śnieg.

Byli już głęboko w obozie. Nad Juanem i Murphem Linda dalej pracowała swoim M60, eliminując grupki strażników i używając pocisków smugowych do zapędzania więźniów w stronę bocznic, na której terroryści trzymali swoje wagony i lokomotywy.

Cabrillo widział, że niespodziewany brutalny atak złamał ducha strażników. Wielu z nich uciekało do kopalni albo poprzez wzniesienie na pustynię. Około pięćdziesięciorga więźniów tłoczyło się pod ścianą dawnego budynku administracji kopalni. Nagle zza jednego z buldożerów wychylił się terrorysta. Miał idealny widok na bezbronnych mężczyzn i kobiety oraz wyrzutnię RPG-

7 uniesioną na ramieniu.

Murph przełączył się z raket na karabin maszynowy i spod nosa Knota zaterkotał kaliber 30. Terrorysta padł, zdążył jednak wystrzelić raketę. Dwuipółkilowy pocisk przeleciał najwyżej trzy metry i z niewiadomych przyczyn eksplodował w powietrzu.

- Cholera, Linc - powiedział Juan z podziwem - to byłeś ty?

- Najważniejsze, to wiedzieć, jak się zachowują - odparł Linc. Później przyznał, że strzelał w terrorystę, a raketa nadziała się na jego pocisk.

Juan skręcił za róg budynku i mocno zahamował. Ciężarówka wsunęła się na tory, a jej tył dzieliło ledwie pół metra od wagonu wyposażonego w kołowrót na dachu, którym hamowniczy mechanicznie spowalniał zabytkowy wagon. Tory były dobre trzydzieści centymetrów węższe niż rozstaw opon Knota. Juan przez chwilę szukał na desce rozdzielczej przełącznika pozwalającego zmieniać prześwit pod samochodem i wciągać koła na przegubowym zawieszeniu.

Musiał pobujać ciężarówką w przód i w tył, kiedy koła się chowały, aż ustawiły się wprost na szynach, a między podłogą a odłamkami skał na ziemi pozostawało wciąż ponad pół metra prześwitu.

Kolejnym przełącznikiem Juan wyłączył system automatycznego pompowania opon i wyskoczył z kabiny.

- Mark, Linda, bierzcie się do roboty - rozkazał przez sieć taktyczną. - Linc, kryj ich. Fodl, za mną.

Chwycił karabin szturmowy REC7, a kiedy jego stopy dotknęły ziemi, w rękę miał już pistolet FN Five-seveN. Strzelił do opon z lewej strony. Pod ciężarem samochodu natychmiast zeszło z nich powietrze, a stalowe felgi ułożyły się na szynie; guma zapewniała dodatkową przyczepność. Cabrillo nie zdołał powstrzymać zadowolonego uśmiechu. Postawienie Knota na torach było fundamentem jego planu.

Pobiegł do rogu budynku, a jego nowy libijski przyjaciel wygramolił się z ciężarówki, wciąż ubrany w więzienne szmaty. Po drugiej stronie placu widać było kilku strażników wypatrujących celów, ale na razie nikt nie zwracał na więźniów uwagi.

Kilkoro z nich, przyciśniętych do ściany, spojrzęło na Juana z przestraczem, widząc jego broń. Wtedy u jego boku pojawił się Fodl.

- Chodźcie z nami - powiedział z autorytetem, który nie zaskoczył prezesa. - Ci ludzie przyjechali nam pomóc.

Kilku wychudzonych więźniów gapiło się na niego niepewnie.

- Ruszajcie się. To rozkaz.

Jak struga z pękniętej tamy, kilka osób biegnących do otwartego przez Linde wagonu zmieniło się w tłum. Cabrillo stał na rogu budynku, wypatrując czujnych strażników. Jeśli któryś spojrzęł w ich kierunku, Juan go likwidował, podczas gdy obok niego Fodl machaniem spędzał swoich pobratymców. Spod powywracanych stołów wyłoniła się grupa kobiet. Ktoś otworzył do nich ogień z boku. Jedna padła na ziemię, zanim Juan zareagował i obsypał długą serią piramidę skrzyń, zza której strzelano.

Inne kobiety pomogły wstać rannej dziewczynie, chwytając ją pod pachy i niemal zmuszając do biegu w podskokach w stronę osłony.

- Niech ci Bóg wynagrodzi - powiedziała jedna z nich do Juana, kiedy go mijaly i chowały się za budynkiem.

Obok przystanął też inny więzień. Juan zerknął na niego przelotnie, a potem znów rozejrzał się po

obozie. Mężczyzna dotknął jego ręki i Cabrillo przyjrzał mu się uważniej. To nie był Arab, jak pozostali. Włosy i skórę miał jasne, choć słońce mocno go poparzyło.

- Jesteś Chaffee? - spytał Juan.

- Tak. Skąd wiesz?

- Musisz podziękować Alanie Shepard za ratunek. Chaffee odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Wczoraj wieczorem powiedzieli nam, że została zastrzelona za próbę ucieczki.

- Jesteś w stanie walczyć?

Agent CIA spróbował się wyprostować.

- Daj mi broń, to zobaczysz.

Juan wskazał Marka Murphy'ego, mocującego stary wagon do haków holowniczych Knota. Z tej odległości wagon wydawał się ogromny, a łańcuch cienki niczym srebrny łańcuszek, ale nic nie można było na to poradzić.

- Zgłoś się do tamtego faceta. On się tobą zajmie.

- Dzięki.

Cabrillo popatrzył na zegarek. Od pierwszych strzałów minęło osiem minut. Mieli jeszcze niecałe dziesięć, zanim przybędzie horda terrorystów z obozu szkoleniowego, i około godziny do chwili, kiedy zjawi się libijska armia i otworzy ogień do wszystkiego, co się rusza.

Więźniowie dalej pchali się do wagonu; nieważne, jak Juan usiłował ich popędzać, szybciej już nie mogli. Byli tak wycieńczeni, że nawet perspektywa wolności była w stanie wykrzesać z nich jedynie zbolące człapanie. Cabrillo niemal słyszał tykanie zegarka.

Zerkając przez ramię, patrzył, jak wspinają się do pociągu; każdy, który znalazł się w środku, przystawał, żeby pomóc następnemu w kolejce.

Ale to, co słyszał Juan, nie było tykaniem zegarka. To był rytmiczny warkot nadlatującego helikoptera. George Adams był wciąż dwadzieścia minut lotu stąd. To musiał być Mi-8 terrorystów.

Nie miało znaczenia, że wagon był już pełny, a przez plac do bocznicy biegła tylko jedna stara kobieta, gdy w tle płonęły namioty i sprzęt, wznosząc słupy dymu w różowiejące niebo.

Czas się skończył.

23.

Kiedy o ziemię za staruszką zabębniły pociski, Cabrillo wciskał właśnie nowy magazynek w gniazdo karabinu szturmowego. Nie wystrzelał do końca pierwszego, więc nie musiał przeładowywać broni.

Dla Juana w tej chwili nie liczyła się ponad setka ludzi stłoczona w wagonie. Tylko ta jedna staruszka.

Była to być może skaza w jego logice, synapsa, która źle zadziałała. Nie odróżniał potrzeb wielu od potrzeb nielicznych. W tej chwili jej jedno życie było dla niego tak samo ważne, jak życie całej reszty.

Wyskoczył spod osłony, strzelając z wysokości biodra i uciszając terrorystę nawałą ognia. Kobieta zamarła. Jak zając w świetle reflektorów, pomyślał Juan.

Dopadł jej w kilkunastu długich skokach, pochylając się, żeby zarzucić ją sobie na lewe ramię, nie zatrzymując się. Ważyła dobre osiemdziesiąt kilo mimo głodowej diety; przedtem musiała ważyć ponad setkę. Juan zachwiał się pod jej ciężarem, a zraniona noga omal nie odmówiła mu posłuszeństwa. Kobieta krzyknęła, przestraszona, ale nie stawiała oporu, kiedy Cabrillo ruszył z powrotem do budynku, biegnąc niezgrabnie i trzymając karabin w jednym ręku, na wpół odwrócony, żeby zerkać za siebie.

Staruszka nagle wrzasnęła. Juan się odwrócił. Za nim, nie wiadomo skąd, pojawił się strażnik. Był uzbrojony jedynie w pałkę - samobójcza szarża - ale karabin Cabrillo był wciąż skierowany w inną stronę. Kiedy Juan się obracał, stopy kobiety minęły głowę terrorysty o centymetry, a gdy w końcu wycelował swojego REC7, staruszka wykorzystując jego rozpęd, przyłożyła strażnikowi w szczękę na ułamek chwili przed tym, jak pałka miała spaść na jej odsłonięty kark.

Terrorysta zatoczył się w tył i już zaczynał znów atakować, kiedy pocisk Linca z wieży przeładunkowej przyszpilił go do ziemi.

- Droga pani - wysapał Juan po arabsku - ma pani prawy sierpowy jak Muhammad Ali.

- Zawsze uważałam, że lepiej bił George Foreman - odparła. Cabrillo tak się roześmiał, że prawie ją upuścił. Wrzucił kobietę do wagonu i skinieniem głowy dał znak Lindzie, żeby zasunęła drzwi.

- Murph, gotowy? - zawołał przez radio.

Odgłos zbliżającego się śmigłowca stawał się głośniejszy z każdą sekundą.

- Możemy jechać.

- Linc, szykuj się. Ruszamy za trzydzieści sekund.

Biegnąc na swoje miejsce w ciężarówce, Mark Murphy przestrzelił opony Knota z prawej strony. Na każdą musiał zużyć po dwie kule, mimo że strzelał z bliska. Linda pomogła już Fodlowi wsiąść do tylnego przedziału ładunkowego, a Greg Chaffee stał z głową i ramionami wystawionymi przez otwarty górny właz.

Juan wskoczył za kierownicę. Przed nimi stała potężna spalinowo-elektryczna lokomotywa,

olbrzymia maszyna zdolna wciągać wagony z rudą w górę zbocza. Mógłby się martwić, że ruszy za nimi w pościg, ale miała zimne silniki i rozgrzanie ich do odpowiedniej temperatury musiało potrwać co najmniej pół godziny.

Max Hanley zaprojektował Knota z dwudziestoczerobiegową skrzynią. Juan wrzucił najniższy z czterech wstecznych. Kiedy wcisnął pedał gazu, poczuł i usłyszał, jak silnik warczy wtórując dwóm turbinom. Wagon za nimi ważył dziewięć ton, według spłowiełego napisu z boku, a w środku miał upchnięte kolejne pięć ton ludzi. Juan nie miał pojęcia, czy da radę poruszyć taki ciężar.

Ciężarówka zadygotała, a przedziurawione opony obróciły się na śliskich stalowych szynach.

Juan odpiął zabezpieczenie z przełącznika w podłodze i wcisnął czerwony przycisk. Z wbudowanych zbiorników do cylindrów silnika popłynął tlenek azotu, który rozpadł się w wysokiej temperaturze i uwolnił dodatkowy tlen do zapłonu.

Knot nie miał dość sił, żeby - jak chełpił się Max - przepchnąć „Oregona” przez wodospad Niagara, ale dodatkowe dwieście koni mechanicznych dostarczonych przez tlenek azotu wystarczyło, żeby przewyciężyć inercję wagonu.

Ruszając z prędkością ślimaka, Knot zaczął pchać wagon po torach, z każdym metrem minimalnie zwiększając prędkość. Cyfrowy prędkościomierz na desce rozdzielczej przeskoczył na kilometr na godzinę, trzy; pięć, kiedy pociąg wjechał pod dźwigary wieży przeładunkowej, na której krył się Linc.

Gdy prezes nadał przez radio sygnał gotowości, Linc zszedł z wierzchołka wieży na przerdzewiały przenośnik taśmowy i stanął przygotowany nad zsysem węgla umieszczonym nad torami. Kiedy tylko zobaczył pod sobą przód wagonu, skoczył w otwór, wylądował i przetoczył się jednym płynnym ruchem. Stacja była zaprojektowana dla niskich węglarek, a nie wysokich kanciastych wagonów towarowych; kiedy Linc podparł się na rękach, żeby wstać, zobaczył ostrą jak brzytwa krawędź kolejnego zsypu, która zaraz miała obciąć mu głowę.

Padł na plecy - zsypan przesunął się kilka centymetrów od jego nosa - i leżał całkowicie nieruchomo, kiedy przejeżdżali pod tuzinem kolejnych. Dopiero gdy wyjechali spod przerdzewiałych dźwigarów, odważył się głębiej odetchnąć.

- Jestem na pokładzie - zameldował przez radio.

- Dobrze - odparł Juan. - Spędziłeś więcej czasu za kierownicą tego czegoś. Pakuj tu tyłek i prowadź.

Przez pierwszy kilometr czy dwa za kopalnią teren był płaski i Knot gładko przyspieszał, więc Juan włączył tempomat i wygramolił się z fotela. W przedziale ładunkowym wepchnął do kieszeni spodni dodatkowe magazynki do swojej barretty REC7.

- Jak się trzymacie? - spytał Alanę i Fodla, nie patrząc na nich.

- Dałeś mi nadzieję po raz pierwszy od pół roku - odparł Libijczyk. - Nigdy nie czułem się lepiej.

- Alana? - spytał Juan, w końcu mogąc poświęcić jej uwagę. Na biodrach zapiął pas z podwójnymi kaburami na dwa FN Five-seven.

- Jeszcze nic nie zrobiłam, żeby zasłużyć na ten kapelusz.

- Zrobiłaś bardzo dużo.

- Kto kieruje tym pociągiem? - spytał Linc, opuszczając się obok Grega Chaffee do środka i widząc Juana.

- Pierwszy zakręt mamy za jakiś kilometr. Zrobimy to dokładnie tak, jak mówiliśmy, i uda się nam. O, cholera. - Cabrillo nagle coś sobie przypomniał. Zajrzał znów do kabiny. - Mark, wagon

waży dziewięć ton. Dodaj jeszcze pięć ton ludzi. Przelicz.

- Potrzebne mi są wymiary.

- Zgadnij.

Mark popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Mam zgadywać? Żartujesz?

- Nie.

- „Przelicz”, dobre sobie - poskarżył się Mark znikającej postaci Juana. - „Zgadnij”. Rany!

Juan wspiał się na dach ciężarówki. Oceniał, że jadą z prędkością jakichś dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę i wciąż przyspieszają. Jak dotąd wszystko gra, pomyślał, rozglądając się i nie widząc nigdzie śladu śmigłowca.

Przeszedł na tył samochodu i szykował się właśnie do skoku na dach wagonu, kiedy Greg Chaffee otworzył ogień z M60. Cabrillo odwrócił się i zobaczył ciężarówkę w kolorach maskujących, pędzącą zakosami w stronę bocznicy. To byli pierwsi terroryści z obozu szkoleniowego. Kilkunastu trzymało się barierek na otwartej pacy pojazdu, najeżonej lufami karabinów.

Droga, którą jechali, biegła w poprzek zbocza nieco powyżej i równoległe do torów. Chaffee zareagował szybko, strzelając w opony ciężarówki, zanim kierowca odzyskał w pełni panowanie nad pojazdem. Pociski zasypały przednie koła, aż jedna z opon eksplodowała, strzelając strzępami gumy niczym fajerwerkami.

Ciężarówka wpadła w poślizg, kiedy goła felga zaryła w miękkie, zwirowe pobocze. Ludzie na skrzyni zaczęli wrzeszczeć; samochód przechylił się jeszcze bardziej. Wciąż sunąc niebezpiecznie szybko, przewrócił się na bok, zsuwając w dół zbocza. Niektórzy terroryści wypadli na ziemię, inni trzymali się wsporników, żeby zostać w środku, kiedy ciężarówka przetoczyła się na grzbiet. Kabina wyryła w ziemi bruzdę i samochód jeszcze raz się przewrócił, koziołkując i gubiąc w tumanie kurzu blachy i ludzi.

Drugi samochód pojawił się, zanim jeszcze pierwszy zatrzymał się na zniszczonym podwoziu. Kierowca trafił akurat na chwilę ciszy - Greg Chaffee wystrzelał ostatnie naboje z taśmy i czekał bezradnie, aż Linda pokaże mu, jak ją wyjąć. Ciężarówka zjechała pędem ze zbocza i wyhamowała pod osłoną zwalistego cielska lokomotywy. Terroryści na skrzyni otworzyli ogień i choć odległość była bardzo duża, kilka pocisków przeleciało wystarczająco blisko, żeby Linda i Chaffee się schowali.

Cabrillo stracił kilkanaście drogocennych sekund, oglądając to widowisko i otrząsnął się ze złością. Dach wagonu wznosił się ponad metr nad jego głową; Juan potrzebował rozbiegu, żeby trafić w krawędź piersią. Kopiąc gładki metal i naprężając ramiona, wciągnął się na wagon i popatrzył do przodu. Pierwszy zakręt był czterysta metrów przed nimi, a przyspieszyli do przynajmniej trzydziestu kilometrów na godzinę.

Wiedział z mapy, którą Eric przysłał e-mailem z „Oregoną”, że tym długim i łagodnym zakrętem tory omijały wierzchołek góry i że nachylenie terenu zaczynało się tam zwiększać. Trzydzieści na godzinę było w porządku na wjeździe, ale gdyby dalej przyspieszali, w końcu straciliby kontrolę nad wagonem.

Juan przeszedł na jego początek, gdzie przerdzewiałe, czteroszprychowe metalowe koło pozwalało kontrolować mechanicznie hamulce wagonu. W czasach, zanim George Westinghouse wynalazł pneumatyczne hamulce, na dachach pociągów jeździły zespoły hamowniczych, którzy kręcili kołami takimi jak to i przyciskali klocki hamulcowe do kół w nieskoordynowanym, a często

śmiertelnym balecie. Cabrillo chwycił koło, modląc się, żeby nie było zapieczona rdzą i żeby po dziesięcioleciach w szczękach były jeszcze resztki klocków.

Przygotowany, że będzie musiał szarpać z całych sił, zaklął, gdy koło zakręciło się bez oporu. Sprawiało wrażenie, jakby nie było z niczym połączone, potem jednak usłyszał tarcie metalu o metal, kiedy stare hamulce opadły na koła wagonu. Jednak działały i zostały niedawno naoliwione. Szczerząc się od ucha do ucha, zadowolony ze swojego szczęścia, obrócił koło jeszcze o pół obrotu i jego radość zamieniła się w rozpacz. Zwiększone ciśnienie powinno było zacisnąć klocki hamulcowe i zmienić wysokość dźwięku dobiegającego z kół. Nic takiego się nie stało.

Mieli hamulce, owszem. Tyle że niesprawne.

Knot wepchnął wagon w zakręt i wieża przeładunkowa zniknęła Juanowi z oczu za szczytem wzniesienia. Po prawej miał zapierający dech w piersiach widok na drugą dolinę i, na jej dnie, jakby dla przypomnienia o niebezpieczeństwie, kilka wyglądających jak wyrzucone zabawki wagonów, które wypadły z torów sto lat temu. Gdyby musiał zgadywać, parowóz, który spadł razem z nimi miał prawdopodobnie moc pięć razy większą od Knota.

- Linc, jesteś? - nadał przez radio.

- Tak.

- Jak prędkość?

- Czterdzieści pięć na godzinę.

- Dobra, nie pozwól, żeby wzrosła powyżej pięćdziesięciu. Wagon nie za bardzo może hamować.

- To źle? - spytała Linda przez sieć.

- Niedobrze.

Z przodu wagonu przyspawane były metalowe szczeble, więc Cabrillo zszedł po nich na dół. Obok siebie miał wał łączący koło na górze z przekładnią ślimakową uruchamiającą hamulce. Zaczepił nogi o przedni sprzęg i oparł się ręką o zderzak, żeby zajrzeć pod wagon. Czarne podkłady przemykały kilkanaście centymetrów od jego twarzy. Między ślimakiem i ślimacznicą przekładni utkwiał kamień. Kiedy Cabrillo obrócił kołem, kamień rozepchnął zęby przekładni, tak że obracała się, nie uruchamiając hamulców. Juan chwycił się mocniej i zanurzył tułów pod wagonem. Chwasty wyrosłe na starym torowisku chłostały go po twarzy.

Zatopił palce w smarze pokrywającym przekładnię, ale nieważne, jak się starał, nie mógł uchwycić mocno białego kamienia.

- Pieprzyć to - mruknął i sięgnął za plecy po jeden z automatycznych pistoletów.

Zakołysał się przy tym i przez ułamek chwili patrzył na tory. Między szynami leżał metalowy kanister, który spadł z jakiegoś pociągu albo został tu porzucony przez ekipę naprawczą. Juan zbliżał się do niego z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i nie miał czasu ani punktu zaczepienia, żeby się podciągnąć. Wisząc praktycznie do góry nogami, wycelował w kanister i zaczął strzelać najszybciej, jak to było możliwe. Pociski z FN Five-seveN przechodziły przez cienką blachę, nie poruszając pojemnika. Jeszcze trzy metry i Juan roztrzaska sobie o nią twarz. Wtedy jedna z kul trafiła w narożny spaw i kanister odskoczył na bok.

Cabrillo znów zanurzył się pod wagon i ostatni pocisk posłał w przekładnię. Kamień wyskoczył.

- I o to chodzi! - zapiał, nabuzowany sukcesem i adrenaliną.

- Powtórz, prezisie - powiedział Linc.

- Nic. Chyba naprawiłem hamulce. - Cabrillo się wyprostował i sięgnął do drabinki. - Jaka prędkość?

- Pięćdziesiąt pięć. Hamuję hamulcami Knota, więc włókna węglowe klocków mocno dymią.

- Nie ma problemu. Dlatego właśnie ruszyłem na wstecznym. Wrzuć jedynkę i zacznij zwalniać.

Ja wezmę się do hamulca tu na górze i to powinno wystarczyć.

Juan wspiał się na dach wagonu. Objężdżając szczyt góry, zjechali jakieś trzydzieści metrów w dół. Nad nimi z bocze porastały rzadkie krzaki. Cabrillo zobaczył, że nieco wyżej równolegle do torów biegnie droga. Zauważył ją tylko dlatego, że zza zakrętu wyjechała płowa ciężarówka i zaczęła doganiać pociąg.

Na skrzyni stał mężczyzna w kufi, szykując się do skoku. Cabrillo zostawił swój REC7 na dachu wagonu, kiedy schodził na dół naprawiać hamulce. Wciągnął się jednym susem na górę w tej samej chwili, kiedy fanatyk skoczył z pędzącej ciężarówki.

Jego wojowniczy okrzyk porwał wiatr. Palce Juana zacisnęły się na lufie karabinu, ale terrorysta wylądował na dachu tak blisko, że broń odjechała w bok. Nafaszerowany adrenaliną jeszcze bardziej niż Cabrillo, mężczyzna wyrzeszczał bojowy okrzyk i kopnął go prosto w twarz.

Świat Juana w jednej chwili pociemniał; rzeczywistość zaczęła wracać boleśnie i powoli. Kiedy odzyskał świadomość, terrorysta ściągnął już z pleców AK-47 i zaczynał do niego celować. Juan przetoczył się i kopnął go, obracając się na gorącym stalowym dachu wystarczająco, żeby trafić go w kostkę. Kałasznikow zrobił cztery dziury w dachu tuż obok jego głowy; wewnątrz wagonu ktoś krzyknął z bólu.

Rozwścieczony do granic możliwości Cabrillo chwycił broń za przedni uchwyt. Kiedy szarpnął w dół, terrorysta pociągnął w swoją stronę i w ten sposób pomógł mu wstać. Juan uderzył go dwukrotnie w twarz. Arab tak bardzo nie chciał puścić karabinu, że nawet się nie bronił. Cabrillo wymierzył mu jeszcze dwa solidne ciosy; nad jego ramieniem zauważył, że dwaj kolejni terroryści szykują się do skoku na wagon.

Wbił łokieć w brzuch przeciwnika i napał na niego, obracając ich obu w ten sposób, że kiedy chwycił Araba za prawą rękę i jego własnym palcem nacisnął spust, lufa kałasznikowa była skierowana na ciężarówkę. Seria pocisków smugowych trafiła jednego z atakujących w chwili, gdy szykował się do skoku. Wypadł z ciężarówki i zniknął pod jej tylnymi kołami; samochód podskoczył lekko na jego ciele.

Drugi mężczyzna poszybował jak ptak i z kocią zręcznością wylądował na dachu wagonu.

Cabrillo dalej obracał przeciwnika, a kiedy go puścił, tamten zatoczył się w tył. Krok, dwa, a później dach wagonu się skończył. Mężczyzna, koziółkując, poleciał w dół; jego chusta się rozwiązała i trzepotała za nim jak motyl.

Juan cisnął pustym pistoletem w nowego przeciwnika i zaatakował go, zanim ten zdążył ściągnąć z pleców karabin na płóciennym pasku. Cabrillo uderzył nisko i szarpnął w górę, unosząc mężczyznę ponad półtora metra w powietrze, zanim puścił. Bojownik rąbnął o dach; powietrze uszło z jego płuc cuchnącą eksplozją. Nawet jeśli nie miał pękniętego kręgosłupa, na razie był wyłączony z walki.

Jeśli Linda czy Linc nie zauważyli pierwszego terrorysty spadającego z wagonu, pod tym kątem nie mogli zobaczyć, co się dzieje za nimi, a Juan nie mógł ich ostrzec, bo słuchawka radia wypadła mu z ucha. Knot dawał z siebie wszystko, żeby spowolnić pociąg, ale bez udziału hamulców wagonu wciąż przyspieszali. Juan domyślał się, że zbliżają się do prędkości siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Teren cały czas jednostajnie opadał, a zakręt wciąż był łagodny, ale gdyby przyspieszyli jeszcze bardziej, Cabrillo obawiał się, że nie daliby rady wyhamować przed pierwszym ostrym łukiem.

Na wagon wskoczyło trzech kolejnych wrogów. Dwaj wylądowali na dachu; trzeci uderzył o burzę, drapiąc palcami krawędź, żeby nie spaść.

Jeden wpadł przy lądowaniu na Juana, chwycił go mocno i wbił mu zaciśniętą pięść w nerkę. Stęknienie bólu Cabrilla wprawiło napastnika w szal. Zadał kolejne dwa ciosy, za każdym razem wbijając knykcie w ciało prezesa. Juan poczuł, że jego drugi FN Five-seven wysuwa się z kabury. Obrócił się gwałtownie w chwili, kiedy terrorysta strzelił mu w kręgosłup. Kula przypaliła koszulę Cabrilla i trafiła drugiego bojownika w gardło. Krew trysnęła z rany do rytmu bijącego wściekle serca.

Widok kompana, z którego uchodziło życie, mógł zdezorientować terrorystę, ale na Juanie nie zrobił wrażenia. Wyrwał swój pistolet z osłabłego uchwytu napastnika, cofnął się o krok i wpakował mu dwie kule w serce. Oba ciała uderzyły o dach w tej samej chwili.

- Juan? Juan? Zgłoś się.

Cabrillo włożył z powrotem słuchawkę do ucha i poprawił mikrofon, zanim się odezwał.

- Tak.

- Potrzebne nam hamulce! - krzyknął Linc. - I to już!

Juan spojrział do przodu. Wychodzili z zakrętu; tory opadały w dół jakieś sto metrów, a potem znów skręcały w prawo, tym razem ostrzej.

Cabrillo rzucił się do koła hamowniczego i prawie już je miał, kiedy wcześniej unieszkodliwiony terrorysta wyciągnął rękę i chwycił go za nogę. Juan runął jak długi i nie zdążył się otrząsnąć, kiedy tamten na niego spadł, zasypując go ciosami. Nie było w nich siły, ale prezes mógł się tylko bronić - a pociąg pędził w stronę zakrętu.

Cabrillo poczuł nagły spadek nachylenia terenu i zrozumiał, że zostało mu ledwie kilka sekund. Przyciągnął kolana do piersi, zdołał oprzeć stopy na piersi przeciwnika, a potem ciosem dzudo przerzucił go sobie nad głowę. Mężczyzna runął na plecy. Juan obrócił się i dopychając lewą ręką prawą, wbił jej łokieć w jego gardło. Odgłos miażdżonej chrząstki, ścięgien i tkanki przyprawiał go o mdłości.

Kiedy tylko palce Juana zacisnęły się na metalowym kole, zaczął nim obracać z całych sił. Pędząc osiemdziesiąt na godzinę, wchodzili w zakręt, który należało pokonywać przy pięćdziesięciu. Hamulce zawyły i syknęły iskrami. Za późno - Juan wiedział. O wiele za późno.

Siła odśrodkowa podniosła zewnętrzne koła wagonu i mimo potężnej wagi zaczęły się one odrywać od szyn. Juan szarpał koło hamulca, aż się zablokowało. Za sobą słyszał ryk silnika Knota, zalewanego tlenkiem azotu, który Linc wpuścił w jego cylindry; buksujące na stalowych szynach koła zdzierały gumę. Zewnętrzne koła wagonu podnosiły się i opadały, podnosiły i opadały, za każdym razem o kilka centymetrów wyżej. Cabrillo żałował, że nie może porozumieć się z ludźmi w środku. Ich ciężar mógł ich wszystkich uratować.

Myśl zrodzona z desperacji kazała mu chwycić jeden z AK-47 terrorystów i podejść do krawędzi wagonu. Pod nim rozciągała się bezkresna dolina. Wycelował wzdłuż boku wagonu i wyrzucił cały magazynek. Kule uderzyły w stalowy bok pod takim kątem, że wszystkie odbiły się w pustkę, ale hałas w środku był wystarczający, żeby przepłoszyć pasażerów na drugą stronę nad podrywające się koła.

Ich ciężar osadził wagon z powrotem na szynach.

Pociąg wypadł z zakrętu na kolejną łagodną prostą. Juan pokręcił głową, chcąc rozjaśnić myśli, i już miał usiąść i odpocząć, kiedy w uszach eksplodował mu spanikowany głos Marka.

- Odkręć hamulec! Szybko!

Cabrillo zaczął kręcić kołem, żeby rozluźnić nacisk szcęk i zaryzykował rzut oka w tył. Droga nie była już widoczna, ciężarówka pełna latających terrorystów przynajmniej na razie wypadła z gry, ale nieco dalej w tyle po torach zbliżała się druga, przystosowana do jazdy po szynach. Nieobciążona trzynastotonowym bagażem pędziła na złamanie karku. Nad dachem jej kabiny Juan zobaczył kolejnych terrorystów gotowych do walki; nawet z tej odległości było widać, że mają ręczne wyrzutnie rakiet.

Przednia szyba Knota była tak popękana, że nie wytrzymałaby serii z broni ręcznej, więc nie miał złudzeń, co zrobiłaby z nią rakietka.

Linc znów wrzucił wsteczny, tym razem wyższy, mając nadzieję, że moc silnika ciężarówki i pęd wagonu kupią im trochę czasu. Jak długo jechali łagodnymi zakosami torów, terroryści nie mogli wycelować.

- Kiedy następny ostry zakręt? - spytał Juan. Wiedział, że Mark otworzył mapę na laptopie podłączonym do GPS-u ciężarówki.

- Trzy kilometry.

- Rakiety?

- Tylko jedna.

- Zachowaj ją. Mam pomysł.

Juan pobiegł w tył wagonu, zeskakując na dach Knota. Przy M60 Grega Chaffee zastąpiła Linda. Chaffee siedział w przedziale ładunkowym z Alaną i Fodlem. Wyglądał na wykończonego.

- Instruktorzy w Agencji byliby dumni, zwłaszcza... - Tu Juan wymienił nazwisko legendarnego wykładowcy w centrum szkoleniowym CIA, znane tylko tym, którzy przez nie przeszli.

Chaffee szeroko otworzył oczy.

- Ty...?

- Emerytowany.

Juan wyciągnął szpilki zawiasów z jednej z szafek wbudowanych w wewnętrzną ścianę Knota. Drzwi miały metr na metr i ważyły około trzydziestu kilo. Z pomocą Lindy wyciągnął je przez właz na górę, a potem wygramolił się na kabinę samochodu. Nie potrzebował aż tak dobrego wyczucia chwili, ale szczęście nie mogło go teraz opuścić. Ścigająca ich ciężarówka była czterysta metrów od nich i szybko się zbliżała. Ktoś z jej pasażerów zobaczył Cabrilla i otworzył ogień z AK. Juan zasłonił się metalowymi drzwiczkami; pociski zabębniły w nie jak ołowiany deszcz, odbijając się z energią ciosów młota.

Knot wszedł w następny łagodny zakręt, wystarczający, żeby pościg stracił go z oczu. Juan zsunął metalową płytę po prawie pionowej przedniej szybie ciężarówki, a potem ją puścił.

Drzwi spadły na zewnętrzną szynę z głośnym brzękiem i sunęły po niej długie kilka sekund, aż zaczepiły o podkład, skrzyły i stanęły. Znieruchomiały w poprzek torów.

Trzydzieści sekund później zza zakrętu wyłoniła się ciężarówka. Musiała jechać co najmniej sto na godzinę. Tym razem Knot był zbyt kuszącym celem dla terrorystów z wyrzutniami i kilku przygotowywało się do salwy.

24.

Kierowca ciężarówki-pociągu miał kilka sekund na reakcję i ratując swoje życie, uratował także Cabrilla i pozostałych. Zauważył metalową płytę leżącą na torach i natychmiast zrozumiał, że zderzenie z nią oznaczałoby wykolejenie. Wcisnął do podłogi pedał hamulca i szarpnął dźwignię w podłodze obok swojego fotela. Układ hydrauliczny podniósł kolejowe podwozie, zamontowane tuż za zwykłymi kołami, a te zetknęły się z podkładami torów.

Brutalne hamowanie i staccato jazdy po wystających podkładach sprawiło, że bojownicy oparci o dach kabiny nie mieli szansy celnie wymierzyć swoich RPG. Rakiety wystrzeliły na wszystkie strony - w niebo, gdzie poszły korkociągiem w górę jak olbrzymie fajerwerki, albo w dolinę, gdzie wybuchały na pustyni.

Ciężarówka podskoczyła na metalowej płycie, a kiedy ją minęli, bystry kierowca zwolnił jeszcze bardziej, żeby znów opuścić stalowe koła na szyny.

Dzięki wybiegowi prezesa zdobyli tylko niecały kilometr - nie na to Cabrillo liczył. Zbliżali się do kolejnego ostrego zakrętu i Juan musiał wrócić do koła hamulca. Wspiął się z powrotem na dach Knota i aż zakrztusił od smrodu palonej gumy z poszarpanych opon. Znow jechali ponad sześćdziesiąt na godzinę; pęd powietrza sprawiał, że skok na wagon stał się ryzykownym manewrem. Pod sobą Juan widział ciemne podkłady, rozmyte w pędzie w wąskiej szczelinie między ciężarówką i jej potężnym ładunkiem.

Tory wznosiły się lekko przed zakrętem, co pomogło im zwolnić, ale potem znów gwałtownie opadały, a jechali wciąż za szybko, żeby poradzić sobie na tak ostrym łuku. Wagon podskakiwał na nierównych szynach tak mocno, że ciała dwóch terrorystów zniknęły za krawędzią dachu. Tylko trup tego, któremu Cabrillo zmiażdżył gardło, leżał tam, gdzie upadł.

Wagon minął szczyt wzniesienia i mimo potężnej mocy Knota pociąg znów zaczął nabierać szybkości.

Juan przestąpił przez nieruchome zwłoki i sięgał właśnie do koła, kiedy terrorysta się na niego rzucił. Zbyt późno Cabrillo przypomniał sobie, że człowiek, którego zabił, miał niebieską kufie, tymczasem głowę tego spowijała czerwona. Przypomniał sobie trzech mężczyzn skaczących z ciężarówki i to, jak jednemu skok się nie udał. Terrorysta wspiął się na wagon, kiedy Juan był w Knocie, i udał zabitego.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Cabrilla w czasie krótszym niż mrugnięcie okiem, ale wystarczająco długim, żeby napastnik schwycił go za nogi i pociągnął w dół. Juan wyrznął o dach wagonu, niezdolny wytłumić uderzenia. Kiedy terrorysta napał swoim ciężarem na jego uda, Cabrillo uświadomił sobie jeszcze jedno. Jego przeciwnik był olbrzymem, cięższym o co najmniej trzydzieści kilo.

Juan sięgnął po swój ostatnie pistolet. Wróg dostrzegł ten ruch i chwycił jego rękę. Juan wyszarpnął mu ją i spróbował się wyrwać. Zakręt przed wagonem był coraz bliżej.

- Jak mnie nie puścisz - wrzasnął Cabrillo w desperacji - obaj zginiemy!

- No to obaj zginiemy - warknął tamten, wbijając łokieć w tył nogi prezesa. Zorientował się chyba w sytuacji i postanowił trzymać Cabrilla przygwożdżonego na brzuchu, aż pociąg wypadnie z torów i zabije ich obu.

Juan rozciągnął ciało tak, że jego kości zatrzeszczały w proteście, i z całych sił wyprowadził cios, który trafił jego przeciwnika w złączenie szczęki z czaszką. Rozległ się mdlący trzask wyskakującej zuchwy i przez krótką chwilę terrorysta był oszołomiony. Szarpiąc się i kopiąc, Juan zrzucił z siebie jego ciężar i wyprowadził drugie uderzenie w dokładnie to samo miejsce. Arab zaryczał z bólu. Cabrillo zerwał się na nogi, chwycił za koło i wściekle nim zakręcił.

Zdołał zrobić tylko kilka obrotów, zanim terrorysta zaczął go dusić. Kiedy tylko Juan poczuł grube przedramię na swojej szyi, ugiął kolana, a potem machnął nogą w górę, oparł ją o koło i pchnął. Przewinał się nad terrorystą, wrywając się z jego uchwytu, i wylądował za jego plecami. Olbrzym był od niego o głowę wyższy, kiedy więc się odwrócił, Juan musiał mierzyć w górę, żeby trafić go po raz trzeci w szczękę. Tym razem trzasnęła kość.

Oślepiony bólem mężczyzna spróbował chwycić Cabrilla w niedźwiedzi uścisk. Juan schylił się pod jego wyciągniętymi rękami, wbił grzbiet dłoni w krocze przeciwnika i znów skoczył do koła, wiedząc, że nie ma czasu. Zyskał kolejne dwa obroty, które mocniej zacisnęły rozgrzane klamry.

Wyczuł raczej, niż usłyszał kolejny atak i zanim się odwrócił, wyciągnął pistolet. Kiedy podniósł rękę z bronią, napastnik chwycił go pod pachą i szarpnął tak, że Juan nagle stanął na palcach. Kolos uderzył go od góry łokciem w ramię, chcąc złamać mu obojczyk. Juan schował głowę między ramiona, dzięki czemu cios spadł na staw ramienia, zamiast na wrażliwą kość obojczykową.

Terrorysta wyszczerzył się z zadowoleniem, wiedząc, że nawet takie uderzenie było okropnie bolesne. Juan zawisł w jego uchwycie, poderwał nogę i kolano w górę, jednocześnie majstrując coś za plecami. Kiedy ruszał do walki, protezę utrzymywały na miejscu dwa paski; teraz jego palce zręcznie je rozpięły. Ściągnął sztuczną nogę z kikuta i zamachnął się nią jak maczugą. Stalowy czub buta trafił Araba w kącik oka, rozrywając skórę i zalewając oczodół krwią. Cios nie był bardzo mocny, ale zadany tak niespodziewanie zaskoczył przeciwnika.

Drugie uderzenie z backhandu też trafiło terrorystę w twarz, obluzowując mu kilka zębów oraz rozluźniając mocny uchwyt na ręku Cabrilla. Juan wyszarpnął rękę; pistolet wypadł mu z dłoni i z grzechotem upadł na dach wagonu, więc prezes znów machnął protezą. Przeciwnik zachwiał się od ciosu, a Juan nie tracił czasu. Po tylulatach bez jednej nogi miał wyostrzony zmysł równowagi, skacząc za mężczyzną, machał protezą jak drwał toporem.

Lewa, prawa, lewa, prawa, z każdym ciosem odwracał uchwyt. W ten sposób powiększył dystans wystarczająco, żeby zwolnić dwa bezpieczniki wbudowane w protezę i nacisnąć spust w kostce. Przez piętę wystrzelił kompaktowy, jednostrzałowy pistolet kaliber 44 - właściwie sama lufa ze spłonką. Ostatnie ulepszenie bojowej nogi w Magicznej Pracowni niejednokrotnie uratowało Juanowi życie, a kiedy proteza wystrzeliła, od razu zrozumiał, że stało się to po raz kolejny. Ciężki pocisk trafił terrorystę w środek korpusu i zrzucił z dachu wagonu jak szmacianą lalkę.

Pociąg wjeżdżał właśnie w zakręt, kiedy prezes zakręcił hamulce do końca, i tak samo jak poprzednio stało się to w chwili, kiedy koła wagonu zaczęły unosić się z szyn. Ktoś w środku musiał się jednak orientować w sytuacji, bo nagle koła rąbnęły z powrotem w tory i tam już zostały. Uciekinierzy z kopalni swoją masą zrównoważyli siłę odśrodkową.

Cabrillo spojrzał w tył i zobaczył, że ciężarówka-pociąg pokonuje szczyt wzniesienia, przez które przemknęli chwilę temu. Spod kabiny Knota buchnął dym; ułamek sekundy później prezes

usłyszał odgłos ciągłego ognia. Mark Murphy ustawił celownik na wzniesieniu i czekał, aż pojawi się pościg.

Grad pocisków kaliber 7,62 milimetra przeorał nieopancerzony przód ścigającej ich ciężarówki. Przednia szyba się rozprysła, jej odłamki pocięły odsłoniętą skórę Arabów w kabinie. Chłodnica została przebita w kilku miejscach; erupcja pary spod kratki spowiła samochód parzącą chmurą, a kule znalazły drogę do przedziału silnika. Wrażliwy aparat zapłonowy rozpadł się w drzazgi, silnik stracił moc, a jedna kula przebiła przewód hydrauliczny, utrzymujący podwozie w pozycji wysuniętej.

Ciężarówka opadła na tory tak szybko i mocno, że jej kierowca nie zdążył zareagować. Opony uderzyły w podkład, tył samochodu wystrzelił w górę, wyrzucając dwóch z jadących na skrzyni mężczyzn przez kabinę na tory. Zniknęli pod kołami.

Ze strzaskanym zawieszeniem kabina osiadła ciężko na kamieniach i dziwaczny pojazd znieruchomiał w kłębie dymu i kurzu.

Cabrillo zawył z radości, widząc pokonanego wroga tkwiącego na środku torów.

Od ścian doliny odbił się niski huk.

Z wyciem syreny zza szczytu wzniesienia niczym szarżujący potwór wypadła elektryczno-spalinowa lokomotywa, która, Juan był przekonany, nie mogła ich ścigać. Miała pięć metrów wysokości i musiała ważyć ponad sto ton. Buchający z niej dym był czarny i tłusty, wskazując na jej kiepski stan techniczny, ale maszyna była zdolna do pościgu za zbiegłymi więźniami.

Paru bardziej fartownych terrorystów na skrzyni ciężarówki wyskoczyło z niej, zanim lokomotywa uderzyła w tył unieruchomionego samochodu. Rozleciał się, jakby był wypchany materiałami wybuchowymi. Blachy, części silnika i karoserii wystrzeliły na wszystkie strony, wirując w powietrzu, jakby nic nie ważyły. Rozerwany zbiornik paliwa obryzgał wszystko to płonącym paliwem, a lokomotywa wyglądała, jakby szarżowała przez piekło płomieni.

A potem się wynurzyła. Ciężarówka została zamieniona w kupę złomu i pogardliwie odepchnięta na bok.

Juan wypluł pięcioliterowe przekleństwo i zaczął odkręcać hamulce, przed, być może, śmiertelnym zakrętem.

Z boku Knota wystrzeliła strzała z ognistym ogonem. Mark odpalił ostatnią rakietę, prawie bez celowania. Juan wstrzymał oddech, gdy pocisk pożerał odległość dzielącą ich od lokomotywy. Ułamek chwili później uderzył. Wybuch był wielokrotnie silniejszy niż eksplozja zderzenia z ciężarówką. Lokomotywę spowił ogień, a powietrze zatrzęsło się od huku. Maszyna wyglądała jak meteor pędzący po torach, z ogniem i płomieniami bijącymi z boków.

Ale przy całej swojej furii rakietka nie zrobiła wrażenia na stutonowym behemocie. Otrząsnął się z wybuchu jak czołg trafiony śrutem i dalej ścigał Knota.

Mała karawana znów się rozpędzała, nie mogła się jednak równać ze spalinowo-elektryczną lokomotywą. Maszyna zbliżała się do nich z dwukrotnie większą prędkością. Przez ulotną chwilę Cabrillo rozważał, czy nie zeskoczyć, odrzucił jednak tę myśl, zanim się w pełni uformowała. Nie opuściłby nigdy swoich towarzyszy tylko po to, żeby ratować własną skórę.

Lokomotywa była już pięćdziesiąt metrów od Knota, wszystkie płomienie zdążyły wygasnąć. Nisko na okrywie silnika miała dymiący krater i trochę osmalonej farby. Poza tym nie było widać żadnych śladów, że dwukilowy ładunek kierunkowy rakiety ziemia-ziemia w ogóle ją uszkodził.

Juan jednak nie mógł widzieć pod czołem lokomotywy, gdzie do stalowej ramy przymocowany

był przedni wózek, że sworznie mocujące zostały trafione strumieniem plazmy z głowicy rakiety. Lokomotywa wpadła na jeszcze jeden wybój starych torów i sworznie pękły do końca. Przedni wózek z czterema kołami wykoleił się; hartowane koła strzaskały w drzazgi twarde podkłady, zrywając odcinek szyn ze wsporników.

Kiedy jej przód wypadł z torów, lokomotywa wykoleiła się do końca, przechylając na bok jak w zwolnionym obrocie, aż się wywróciła. Dodatkowe tarcie kamieni i wrywanych z ziemi dziesiątków podkładów nie wystarczyło, by wyhamować jej potworny pęd. Nawet w spazmach śmierci miała uderzyć w Knota.

Od ciężarówki dzieliło ją zaledwie kilka metrów. Linc musiał mieć pedał gazu wbity w podłogę, w ostatecznej próbie ucieczki. Knot i wagon brali zakręt na otaczających górę torach, ledwie trzymając się szyn.

Wykolejona lokomotywa dalej sunęła prosto, pchana swoim potężnym ciężarem i prędkością, której nabrała w pogoni za ofiarą. Minęła przód Knota o zaledwie metr w drodze do krawędzi urwiska. Nie było tam zapór, barier, niczego, co utrzymałoby ją na torach. Przód potwora wyrył klinowatą bruzdę w ziemi na skraju przepaści i posłał w dół zbrocza deszcz żwiru, a potem lokomotywa przewaliła się przez krawędź.

Nisko w kabinie Knota Linc i Mark stracili ją z oczu. Ale ze swojego miejsca wysoko na dachu wagonu, gdzie Cabrillo znów zakręcał koło hamulcowe, widział maszynę koziółkującą w dół zbrocza i nabierającą prędkości z każdym obrotem. Jej olbrzymi zbiornik paliwa pękł, a ropa zapaliła się od gorącego dymu. Eksplozja wzbila tuman kurzu, który zasłonił lokomotywę, zanim roztrzaskała się na skalistym dnie doliny.

Wagon wyszedł z zakrętu na samych zewnętrznych kołach, nachylony pod takim kątem, że Juan już myślał, że się nie wyprostuje. Rozklekotany antyk zdołał jednak jakoś pokonać zakręt i osiadł z powrotem na torach. Cabrillo zawisł ciężko na kole hamulca i złapał oddech; potem przypiął sztuczną nogę z powrotem do kikuta.

Ocecił, że jeszcze jakieś piętnaście kilometrów dzieli ich od portu węglowego i doku, w którym miał czekać „Oregon” - potem będą już w domu.

Jednej rzeczy nie wiedział i nie rozumiał - co się stało z helikopterem Mi-8, który na pewno słyszał, zanim uciekli z kopalni. Tango nie próbowali ich ścigać, co dla Cabrilla nie miało sensu. Oczywiście, śmigłowiec transportowy nie był najlepszą platformą szturmową, ale biorąc pod uwagę, do jakich środków uciekali się terroryści, żeby ich zatrzymać, pomyślałby, że wyślą za nimi również śmigłowiec.

Przez następne pięć minut pociąg pokonał kilka lekkich łuków, tak łagodnych, że Juan prawie nie musiał uruchamiać hamulców. Przełączał właśnie częstotliwość radia, żeby połączyć się z Maksem na statku, kiedy minęli kolejny zakręt, zza którego wynurzył się nowy krajobraz.

Krew zastygła mu w żyłach.

Tory opuszczały bezpieczne zbrocza góry i zakręcały przez dolinę mostem wyglądającym jak żywcem wyjęty z Dzikiego Zachodu. Przypominał fragment kolejki górskiej i wznosił się trzydzieści albo więcej metrów nad dnem doliny, skomplikowana kratownica drewnianych podpór wybielonych przez dziesięciolecia słońcem i wiatrem. A u jego podstawy, z wciąż obracającym się na jałowym biegu rotorem, stał Mi-8.

Juan nie potrzebował widzieć dokładnie, co robią mężczyźni poruszający się ostrożnie po wspornikach, żeby wiedzieć, że podkładają materiały wybuchowe, chcąc wysadzić most w diabły.

25.

Kiedy z drugiej strony w końcu odebrano, Abdullah, dowódca obozu terrorystów, który nazywano lekceważąco Wschodnim Gitmo, sam nie wiedział, czy się cieszyć, czy bać.

- Mów - powiedział głos, zaledwie tym jednym słowem wyrażając okrucieństwo płynące z głębi zatęchłej studni, która zastępowała mu duszę.

Abdullah nie musiał się przedstawiać. Tylko garstka ludzi znała numer tego telefonu satelitarnego. Brzydziła go myśl, że sprzęt ten wyprodukowali zniechęceni Izraelczycy, ale telefony były w stu procentach bezpieczne.

- Muszę z nim rozmawiać.

- Jest zajęty. Porozmawiasz ze mną.

- To pilne - nalegał Abdullah, ale obiecał sobie, że jeśli tamten znów odmówi, nie będzie się upierał. W tle usłyszał wycie syreny okrętowej i wesole dzwoniące dzwonka boi. Nie licząc tych odgłosów, odpowiedziała mu cisza. Wypełnił więc złożoną samemu sobie obietnicę.

- Dobrze. Powiedz imamowi, że więźniowie próbują ucieczki. Abdullah sam nie znał szczegółów, więc jego raport był ogólnikowy.

- Wygląda na to, że obezwładnili strażników i ukradli jedną z małych ciężarówek przystosowanych do jazdy po starych szynach oraz wagon.

Mężczyzna po drugiej stronie linii znów nic nie powiedział, więc Abdullah brnął dalej.

- Próby zatrzymania ich w kopalni się nie powiodły, kilku rekrutów z obozu też nie dało rady ich zatrzymać. Wysłałem część elitarnych sił w śmigłowcu. Mają wysadzić most kolejowy. W ten sposób będziemy mieli pewność, że załatwiliśmy ich wszystkich.

Dowódca terrorystów głośno przełknął ślinę.

- Pomyślałem, ee... że skoro mamy informacje, które zdobyliśmy od amerykańskiej archeolog, nasza obecność tutaj nie jest już konieczna. Wiemy, że nasze przekonanie, że ukryta baza pierwszego Sulejmana Al-Dżamy znajdowała się w tej dolinie, na południe od „czarnego, które płonie”, jak głosi legenda, jest błędne. Al-Dżama i „Saqr” ukrywali się w innym korycie rzeki w Tunezji. Ludzie, których tam wysłaliśmy, powinni tę kryjówkę znaleźć lada chwila.

Znów usłyszał tylko dzwoniące bojek i okazjonalny ryk syreny.

- Gdzie jesteś? - spytał, nagle zniecierpliwiony.

- Nie twoja sprawa. Mów dalej.

- Cóż, skoro nie potrzebujemy już pretekstu, by otworzyć kopalnię węgla, czyli płonącego czarnego, które błędnie wzięliśmy za legendarny znak, uznałem, że wysadzenie mostu to najlepsze wyjście. Dwa za cenę jednego, jak to się mówi. Zabijemy wszystkich zbiegów i zaczniemy wycofywać się z tego rejonu.

- Ilu naszych elitarnych żołnierzy tam zostało?

- Około pięćdziesięciu - odparł natychmiast Abdullah.

- Nie ryzykuj życia tych bojowników na coś tak błahego jak więźniowie. Jeśli musisz, wyślij za

nimi więcej gorzej wyszkolonych ludzi. Powiedz im, że męczeńska śmierć podczas takiego zadania kupi im wyjątkową łaskę Allaha w raju. Tak rozkazał imam.

Abdullah wiedział, że lepiej teraz nie tłumaczyć, że nie ma już czasu na wycofanie elitarnych oddziałów spod mostu. Zamiast tego spytał:

- Co z tą kobietą, sekretarz?

- Helikoptery przylecą tam za jakieś trzydzieści minut. Jeden z nich ma rozkaz się nią zająć. Twoim podstawowym zadaniem jest zabicie więźniów i dopilnowanie, żeby nasze oddziały w Trypolisie były w pełnym składzie. Na spotkaniu będzie obecna ochrona, którą będą musieli pokonać, żeby dostać się do głównej sali. Oczywiście wyznaczeni urzędnicy rządowi w środku nie będą uzbrojeni. To będzie wspaniały rozlew krwi i koniec tych mrzonek o pokoju.

To była najdłuższa przemowa, jaką Abdullah słyszał z ust swojego rozmówcy. Wierzył w ich sprawę tak samo jak wszyscy, tak jak sam imam Al-Dżama. Ale nawet on musiał przyznać, że istnieją otchłanie fanatyzmu, których nie umiał zgłębić.

Często słuchał, jak zwerbowani przez nich chłopcy ze sobą rozmawiają - chłopcy zarówno ze slumsów, jak i z bogatych rodzin. Z wymyślania sadystycznych tortur dla wrogów islamu uczynili sobie prawie zabawę, mającą wzmacniać ich pewność siebie. Wiele lat temu robił to samo, kiedy osiągnął pełnoletność podczas wojny domowej w Libanie. Ale każdy z nich w głębi serca wiedział - choć nigdy się do tego nie przyznawali - że to tylko odwrócenie uwagi, chwalenie się swoim oddaniem i nienawiścią. Kiedy przychodziło co do czego, większość z nich tak kamieniała ze strachu, że nie potrafiła nawet utrzymać prawidłowo pistoletu, a kamizelki-bomby trzeba było robić tak proste w obsłudze, jak się dało. Nie dotyczyło to jednak mężczyzny na drugim końcu linii telefonicznej. Abdullah wiedział, że przepada on za obcinaniem zachodnim jeńcom głów bułatem pochodzącym rzekomo z czasów krucjat. W bezludnych górach Czeczenii piekł żywcem rosyjskich żołnierzy, a w Bagdadzie pomagał bezcześcić zmasakrowane zwłoki Amerykanów. Zwerbował własnego siostrzeńca, nastolatka o umysłowości dwulatka, który najbardziej lubił układać ziarnka piasku na kupki po sto, i kazał mu wejść do sunnickiej pralni w Basrze z dwudziestoma kilogramami materiałów wybuchowych i gwoździ, żeby zapoczątkować łańcuch przemocy. W wybuchu zginęło pięćdziesiąt kobiet i dziewcząt, a odwet i odpowiedzi na odwet pochłonęły życie kolejnych setek.

Abdullah zamierzał zrobić to, co uważał za swój obowiązek, dla Allaha. Jego kontakt w wewnętrznym kręgu Al-Dżamy, osobisty ochroniarz imama, zabijał i torturował, ponieważ to lubił. Tajemnicą poliszynela w organizacji Al-Dżamy było to, że człowiek ten nie praktykował nawet islamu. Choć urodził się jako muzułmanin, nigdy się nie modlił, nie pościł podczas ramadanu i lekcewał wszystkie religijne zakazy.

Dlaczego imam pozwalał na taką hańbę, było tematem dyskusji wśród starszych rangą dowódców takich jak Abdullah. Jednak pogłoski o owych dyskusjach doszły uszu Al-Dżamy. Dwa dni później czterem dowódcom, którzy kwestionowali jego wybór prawej ręki, wyrwano języki, wylupiono oczy, obcięto nosy i opuszki palców oraz przekłuto bębunki uszu.

Znaczenie tego było jasne. Obmawiając zastępcę imama za jego plecami, pokazali, że nie są przy zdrowych zmysłach, więc od tej pory mieli być pozbawieni wszystkich zmysłów.

- Wola imama zostanie wypełniona, pokój z nim - powiedział pospiesznie Abdullah, kiedy uświadomił sobie, że powinien coś odpowiedzieć. Ale linia była już głucha.

- Linda. Przywlecz tutaj swój tyłek z M60! - krzyknął Juan przez radio. - I tyle amunicji, ile

zdołasz udźwignąć. Mark, musisz odłączyć Knota od wagonu.

- Co? - wrzasnął Murphy. - Dlaczego?

- Bo tyłem jedziemy za wolno. W słuchawce zgłosił się Linc.

- Myślałem, że mamy problem z wyhamowaniem tej wariackiej karawany.

- Już nie.

Kilka sekund później karabin maszynowy kaliber 30 z wjazdu Knota z łomotem wylądował na smolistym dachu wagonu. Cabrillo podbiegł, pomóc Lindzie z nieporęczną bronią. Za Lindą stała Alana Shepard z pasem amunicji zarzuconym na szyję jak jakaś mordercza biżuteria. Obok niej stały dwie kolejne skrzynki naboji. Podała je na górę, a Cabrillo pomógł jej wspiąć się na wagon.

- Widzę, że chcesz zasłużyć na ten kapelusz - powiedział z uśmiechem.

Widząc most, Linda Ross zrozumiała, dlaczego prezes potrzebował ciężkiej broni. Kiedy tylko dotarła na przód wagonu, rozstawiła krótki dwójnog M60 i położyła się za karabinem, czekając, aż Cabrillo załaduje pierwszą stunabojową taśmę. Alana wyciągała ze skrzynki następną, a Juan załadował M60 i zatrzasnął komorę. Linda szarpnęła w tył suwak i otworzyła ogień.

Most był sporo poza skutecznym zasięgiem strzału, ale nawet zabłąkane kule stukające o drewnianą konstrukcję potrafiły zmusić terrorystów do ukrycia się i mogły kupić uciekinierom trochę czasu, którego potrzebowali.

Całe ciało Lindy trzęsło się, jakby trzymała przewód pod napięciem, a z lufy karabinu strzelał trzydziestocentymetrowy język płomienia. Patrząc na niknące w oddali pociski smugowe, podniosła lufę, aż kule z fosforowymi czubkami odnalazły swój cel. Nawet z tej odległości Juan widział maleńkie obłoczki kurzu wzbijające się z pobielających belek. Trzeba było prawie jednej trzeciej pierwszej taśmy, żeby terrorysty pracujący pod torami zorientowali się, co się dzieje. Żaden chyba nie został trafiony, ale po chwili wszyscy zaczęli gorączkowo kryć się w płataninie wsporników. Strzelając kontrolowanymi seriami, żeby nie przegrzać lufy, Linda przyszpilała Arabów; przypadkiem udało jej się trafić jednego. Jego ciało runęło z mostu, spadając bezgłośnie i jakby w zwolnionym tempie, aż uderzyło o belkę i koziółkując, poleciało dalej. Uderzył o ziemię bez dźwięku, wzbijając chmurkę kurzu, która rozwiała się leniwie na wietrze.

Mark Murphy słyszał terkot karabinu maszynowego, ale nie miał pojęcia, do czego strzelają. Rozpiął pasy bezpieczeństwa, wygramolił się z Knota i siedział zgarbiony nad tylnym zderzakiem, starając się nie zwracać uwagi na migające pod nim podkłady.

Połączył ciężarówkę z wagonem, owijając linę holowniczą wokół zderzaka i mocowania wagonu. Linc przyspieszał odrobinę za mocno w stosunku do wagonu, więc lina nie była napięta. Murphy zaatakował ją wielkimi nożycami do drutu, tnąc najszybciej, jak mógł. Gdyby wagon zaczął odsuwać się od Knota, napięcie zerwałoby linę, która najpewniej urwałaby Markowi nogi w kolanach.

Zaczęli wchodzić w zakręt. Murph zauważył, że karabin maszynowy Lindy umilkł i zorientował się, że wzniesienia zasłoniły jej cel. Wagon zaczął nabierać prędkości. Cienka lina się napięła; stalowe włókna zaczęły pękać, wijąc się jak smuga srebrnego dymu.

- Linc, daj trochę gazu - poprosił przez radio Mark i Lincoln przyspieszył.

Kiedy tylko lina się poluzowała, Murphy znów się do niej zabrał, napierając na nożyce z całych sił.

- Kiedy przetniesz ostatni kawałek - zawołał Juan przez radio - wskakuj na sprzęg, żebyśmy nie musieli czekać, aż wleziesz z powrotem do Knota!

Mark z trudem przełknął ślinę, nie wiedząc, co podoba mu się mniej - perspektywa zwisania z przerdzewiałego sprzęgu czy myśl o tym, co takiego prezes wiedział o ich sytuacji, że wydał mu takie polecenie.

- Słyszałeś, Linc - ciągnął Cabrillo. - Kiedy tylko Mark skończy, odwróć Knota i zacznij pchać wagon, ile sił. Zrozumiałeś?

- Skończyłem - oznajmił Mark, zanim komandos SEAL zdążył odpowiedzieć.

W Knocie Linc stanął na hamulcu, wzbijając chmurę węglowego pyłu ze zdartych już niemal całkowicie klocków. Kiedy tylko uznał, że to bezpieczne, zakręcił kierownicą. Opony uderzyły w podkłady kolejowe z szarpiącą ciało regularnością, a ciężki samochód przechylił się trochę na jeden bok. Linc wrzucił pierwszy bieg, zanim ciężarówka do końca się zatrzymała, i wcisnął gaz, sypiąc spod kół kamieniami. Samochód skoczył za uciekającym wagonem, a Linc wycelował kołami w szyny. Wzrok zasnuł mu się mgłą i miał już wrażenie, że wyzionie ducha, zanim Knot ustawił się z powrotem na torach.

Kiedy już to się stało, popędził za wagonem, aż wzmocniony zderzak dotknął sprzęgu. Linc z podziwem patrzył, jak Mark Murphy stawia na nim stopę, wyciąga linę z przedniego bębna Knota i zaczyna owijać ją wokół sprzęgu, żeby z powrotem połączyć oba pojazdy. Linc nigdy nie wątpił w odwagę chłopaka, ale nawet on zastanowiłby się dwa razy przed tak niebezpiecznym manewrem.

- Prezesie - powiedział - zawróciłem i pcham mocno. Murph wiąże nas do wagonu linką z wyciągarki.

- Mark, skończyłeś obliczenia? - spytał Cabrillo. Stał nad młodym ekspertem od uzbrojenia i patrzył, jak ten pracuje.

Murph zaczepił hak liny o kilka jej zwojów i wspiał się po szybie Knota na dach ciężarówki, zanim odpowiedział prezesowi.

- Tak, jak kazałeś, obliczyłem wszystko. Wagon ma wystarczającą wyporność, żeby utrzymać się na powierzchni. Nie wiadomo tylko, jak szybko nabierze wody.

- Max będzie musiał się uwinąć z dźwigiem pokładowym „Oregona”.

- Powiedz mu, żeby zamiast haka założył elektromagnes.

Juan natychmiast dostrzegł logikę tej propozycji. Wielki elektromagnes nie potrzebowałby ludzi, by przymocować go do wagonu.

Pociąg musiał wyjechać z za wzgórze, bo Linda znów otworzyła ogień z M60. Cabrillo poczuł w powietrzu smród kordytu. Odwrócił się. Most wciąż był dość daleko przed nimi i wyglądał krucho jak model na makiecie zabawkowej kolejki. Pod nawalą pocisków smugowych mknących w jego kierunku mężczyźni zakładający ładunki znów pochowali się za wspornikami. Przy prędkości, z jaką Knot pchał stary wagon, pociąg miał wejść w następny zakręt za kilka sekund i terroryści mieliby czas skończyć swoją pracę.

Cabrillo poszarzał pod swoją opalenizną. Wiedział na pewno, że im się nie uda. Knot z rykiem pchał wagon, ale byli po prostu za daleko. Nie mieli bezpośredniej linii ostrzału ani możliwości przyszpilenia saperów. Arabowie mogli wysadzić most w chwili, kiedy pociąg by na niego wjechał.

Miał właśnie kazać Lincowi zahamować, w próżnej nadziei że wyładują pasażerów i zorganizują punkt oporu, kiedy zauważył jakiś ruch po drugiej stronie mostu. Z początku nie umiał powiedzieć, co widzi, bo grube drewniane podpory zasłaniały mu pole widzenia.

A potem, bez ostrzeżenia, z za mostu z rykiem wychynął lśniący, czarny McDonnell-Douglas MD-530N należący do Korporacji. Z kierunkowym wydechem eliminującym konieczność zastosowania

tylnego wirnika, kryjąc się za każdym skrawkiem terenu, który mógł wykorzystać, George'owi „Gomezowi” Adamsowi udało się osiągnąć efekt całkowitego zaskoczenia.

W słuchawce Cabrilla rozległ się grzmot wirnika i bojowy okrzyk Adamsa, szybko zagłuszone dudnieniem ciężkiego karabinu maszynowego. Postać siedząca w otwartych tylnych drzwiach śmigłowca otworzyła ogień z bliskiej odległości. Grube drewniane podpory stały tu od ponad stu lat, piekąc się i schnąc w bezlitosnym pustynnym słońcu, aż nabrały twardości stali. A mimo to pod ostrzałem posypały się z nich kawały drewna, zostawiając za sobą białe poszarpane rany i deszcz piachu i kurzu. Tam, gdzie kule trafiały w ciało, szkody były znacznie gorsze.

- W samą porę - nadał przez radio Juan.

- Przepraszam za to dramatyczne wejście - odparł Gomez Adams. - Całą drogę leciałem pod wiatr.

- Trzymaj ich przygwożdżonych na moście, dopóki nie przejedziemy, a potem kryj nas, aż nie dotrzemy do portu. - Juan zmienił częstotliwość. - Max, jesteś?

- Pewnie, że jestem - odparł Max tonem tak swobodnym, jakby nie miał zupełnie żadnych zmartwień, co tylko dowodziło, jak bardzo naprawdę jest zmartwiony.

- Jaki masz czas?

- Będziemy w doku jakieś dwie minuty przed wami. Dla twojej informacji, to pomost pontonowy, a jeśli uderzycie w bariery z taką prędkością jak teraz, pozabijacie wszystkich w wagonie.

- I to ma być tylko dla mojej informacji? Masz jakiś plan?

- Oczywiście. Wszystko jest pod kontrolą.

- W porządku - powiedział Juan, ufając bezgranicznie swojemu zastępcy. W pociągu i wokół niego tyle się działo, że detale zostawiał Hanleyowi.

Właśnie wtaczali się w zakręt. Inżynierowie, którzy kładli te tory, wyrąbali płytką półkę w zboczu góry, wąską na szerokość wagonu. Cabrillo domyślał się, że kiedy przejeżdżała tędy duża lokomotywa, posuwała się z prędkością ślimaka. Goła skała przemykała obok wagonu w odległości dłoni.

Ten ciasny margines błędu uratował im życie.

Zewnętrzne koła wagonu uniosły się z szyn, a jego górna krawędź uderzyła w kamienną ścianę, ryjąc w niej głęboką bruzdę i obsypując Cabrilla ostrymi jak szkło odłamkami. Siła uderzenia odepchnęła koła z powrotem na tory i na chwilę je tam osadziła, zanim niewiarygodna siła odśrodkowa znowu je podniosła. Ponownie górna krawędź wagonu zaryła w kamień, tym razem jednak Juan się odwrócił, a odłamki trafiły go w plecy, a nie w twarz.

- Prezesie? - W głosie Franklina Lincolna było coś, czego Cabrillo nigdy wcześniej nie słyszał. Strach.

- Nie waż się teraz zwalniać! - odparł. Pod sobą słyszał paniczne wrzaski pasażerów. Skoro jazda na dachu wagonu była tak straszna, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co przeżywają tamci w smolistych ciemnościach w środku.

Jeszcze dwa razy uderzyli w skałę, zanim promień zakrętu zaczął się zwiększać i koła przylgnęły twardo do rozgrzanych stalowych szyn. To był ostatni zakręt przed wjazdem na most. Przed sobą mieli prosty odcinek po lekko nachylonym zboczu, a potem tory wbiegały na podpory. Błysk światła odbił się od szkieł lornetki obserwatora w dolinie pod mostem. Juan prawie wyczuwał jego myśli mimo odległości. Chwilę później wydano najwyraźniej rozkaz, bo terroryści podkładający ładunki zaczęli zbiegać na dół, ignorując otwarty ogień Gomeza Adamsa z MD-520.

Cabrillo przeszedł na przednią krawędź wagonu, obok Lindy i Alany przycupniętych za M60.

- Wiem, że zdradzam swój wiek - powiedziała Linda, nieco pobladła pod piegami - Ale to właśnie nazywam przejażdżką na bilecie E. Matterhorn przy tym to betka.

Nie mogła już strzelać, kął był za duży, ale Adams zamieniał ucieczkę terrorystów w piekło.

- Nic więcej tu nie zdziałamy! - krzyknął Juan przez ryk wiatru. Jechali blisko sto na godzinę, a pęd powietrza był tak silny, że groził zdmuchnięciem ich z dachu wagonu, gdyby wstali powyżej kłęzek. - Wracajmy do Knota.

Dźwignął karabin maszynowy z naszyjnikiem lśniących, mosiężnych łusek zwisających z komory, żeby Linda i Alana mogły razem odpełznąć na tył wagonu. Opuściły się na kabinę Knota i zniknęły w otwartym włazie. Cabrillo przystanął na chwilę, zmrużył oczy i spojrzał wzdłuż torów w przód. Adams robił uniki śmigłowcem, uskakując przed ostrzałem wroga, a jego boczny strzelec - Juanowi wydawało się, że rozpoznaje zwalistą sylwetkę Jerry'ego Pułaskiego - zasypywał podpory mostu gradem kul za każdym razem, gdy helikopter na chwilę nieruchomiał.

Odgłos kół na szynach nagle się zmienił. Wjechali na pierwszy odcinek mostu. Szybki rzut oka za burtę wagonu potwierdził, że ziemia zaczęła uciekać w dół.

Ładunki wybuchły dalej wzdłuż mostu, na dnie doliny w pobliżu jednej z podpór. Dym i płomień wspięły się po drewnianych belkach, rozkwitając w górę i na boki jak zabójczy kwiat. Cabrillo rzucił się płasko na dach wagonu; pociąg przemknął przez pulsującą falę ognia i wyjechał z drugiej strony z zaledwie osmaloną farbą.

Wybuch osłabił konstrukcję mostu, ale ostrzał Lindy, a potem Adamsa nie pozwolił terrorystom podłożyć wszystkich ładunków. Podpory stały twardo przez pełne dziesięć sekund po tym, jak przejechał nad nimi pociąg, zanim zaczęły się walić, dzięki czemu zdołali dotrzeć na drugi brzeg. Olbrzymie pale zapadły się, wzbijając chmury kurzu, które zasłoniły czekający helikopter Mi-8 i maleńkie figurki uciekających terrorystów.

Podpory przewracały się jak kostki domina, stalowe szyny zwisały, jakby nie były sztywniejsze od fortepianowych strun. Linc musiał widzieć w bocznych lusterkach, co się działo za Knotem, bo odgłos pracy silnika zmienił się, kiedy cylindry zalał tlenek azotu.

Drewno i stal sypały się w dół lawiną goniącą uciekający wagon. Cabrillo patrzył jak zahipnotyzowany na znikający za nimi most. Powinien był czuć strach, ale jego los nie był już w jego rękach, więc obserwował ten spektakl z niemal klinicznym dystansem. Chociaż Knot przyspieszał, most też rozpadał się coraz szybciej. Trzydzieści metrów za tylnym zderzakiem ciężarówki szyny wpadały w dygot, a potem znikwały w kotłującym się wirze kurzu i pyłu.

Cabrillo nie śmiał spojrzeć w przód, żeby zobaczyć, ile zostało im do przejechania. Lepiej, pomyślał przelotnie, nie wiedzieć.

W chwili, kiedy tory zaczęły usuwać się im spod kół, głuchy odgłos powietrza wyjącego pod podwoziem znów się zmienił i pod szynami pojawiły się grube, drewniane podkłady. Zdażyli w samą porę, kiedy ostatnie podpory zwały się w dolinę, a konstrukcja mostu zniknęła w kłębach kurzu.

Cabrillo uderzył pięścią w powietrze, wrzasnął z całych sił i z radości omal się nie przewrócił.

- To dopiero była jazda - nadał do Linca. - Nikomu nic się nie stało?

- Wszyscy cali - odparł Lincoln.

W jego głosie słychać było coś, co prezesowi się nie podobało.

- O co chodzi, wielkoludzie?

- Ostatnim razem, kiedy dopalałem, rozwaliłem skrzynię biegów. Patrzę na tory w lusterkach i

widzę, że zostawiamy cholernie dużo oleju.

Dopiero wtedy Juan zauważył, że nie słyszy agresywnego warkotu silnika. Bez sprawnej skrzyni biegów nie było mowy, żeby działał.

- Mark mówi, że reszta trasy jest raczej łagodna, ale... - Lincoln umilkł.

- Niech zgadnę - powiedział Juan - hamulce też się posypały.

- Przycisnąłem pedał do podłogi, cokolwiek nam to da.

Juan popatrzył w kierunku, w którym jechali. Morze migotało szaroburo w oddali. Koniec torów krył się w zagłębieniu terenu, ale Cabrillo oceniał, że zostało im już tylko kilka kilometrów. Zgadzał się też ze stwierdzeniem Marka Murphy'ego, że reszta drogi biegnie po łagodnym nachyleniu. Mógł tylko mieć nadzieję, że to, co przygotował na ich przyjęcie Max, wystarczy, bo kiedy zakręcił hamulce wagonu, zobaczył, że podobnie jak hamulce Knota, zdarły się całkowicie.

- Max, słyszysz mnie? - powiedział do mikrofonu.

- Głośno i wyraźnie.

- Gdzie jesteście?

- Na pozycji, gotowi was odebrać.

- Jakież wieści o śmigłowcach libijskich sił uderzeniowych?

- Nie. Podejrzewam, że nadlecą z południa, więc ich nie zobaczymy. I co ważniejsze, oni nie zobaczą nas.

- Kiedy tylko złapiesz nas na magnes, Eric ma ruszyć całą naprzód na wody międzynarodowe.

- Spokojnie, Juan. Wszystko gotowe. Doktor Huxley i jej ludzie ustawili w przedniej ładowni łóżka polowe, koce i dużo kroplówek. Kambuz przygotowuje dość jedzenia, żeby nakarmić ludzi, których znalazłeś, a wszystkie systemy uzbrojenia na statku są gotowe na wypadek, gdyby ktoś chciał ich odbić.

- Dobra. Dobra, rozumiem. Będziemy na miejscu za jakieś trzy minuty.

Ostatni odcinek torów wychodził z gór doliną biegnącą wprost do morza. Członkowie Korporacji, razem z Alaną, Gregiem Chaffee i ich nowym libijskim podopiecznym, Fodlem, siedzieli przypięci pasami we wnętrzu Knota, podczas gdy resztę uciekinierów w wagonie uprzedzono krzykiem, żeby się trzymała.

Stary port węglowy był zapuszczoną ruiną, z kilku budynków zostały tylko metalowe konstrukcje ze zwisającymi kawałkami drewna. Dźwigi ładujące kiedyś węgiel na frachtowce zniknęły, a pustynia zasypała miejsce, gdzie pod osłoną urwiska wzniesiono hałdę antracytu.

„Oregon” kołysał się na falach obok niedawno zbudowanego pontonowego pomostu. Jego główny dźwig pokładowy był ustawiony w pozycji gotowości, a wielki elektromagnes wisiał sześć metrów nad pomostem.

Juan zazwyczaj czuł przyływ dumy na widok swojego dziecka, ale tym razem głowę miał zaprzątniętą prędkością pociągu, pędzącego w stronę portu. Zwalczył chęć spojrzenia na prędkościomierz, ale domyślał się, że dobijają do stu dziesięciu na godzinę. Spodziewał się, że Max umieści na torach jakąś zaporę spowalniającą z piany, ale nic takiego nie zobaczył. Wtedy się zorientował, że pomost jest zanurzony w wodzie o wiele głębiej, niż mu się z początku wydawało. Jego drugi koniec nikał wręcz pod powierzchnią.

Zaśmiał się głośno, kiedy rozpędzony pociąg zjechał z torów i ruszył wzdłuż pomostu. Max przedziurawił spięte ze sobą, wielkie plastikowe tratwy, z których było zbudowane moło, najpewniej przy użyciu gatlinga „Oregon”. Pomost zaczął tonąć pod własnym ciężarem, a waga pociągu

wepchnęła go pod wodę jeszcze głębiej.

Spod przedniej ściany wagonu wytrysnęły w górę dwie kurtyny wody, a morze pochłonęło pęd pociągu tak gładko, że nie włączyły się nawet automatyczne napinacze pasów bezpieczeństwa w Knocie. W dwóch trzecich długości pomostu ciężarówka zwolniła do trzydziestu kilometrów na godzinę, a woda sięgała wysoko ponad jej zdarte opony.

Wagon ledwie już jechał, kiedy osiągnął koniec torów i spadł z pomostu, ściągając Knota za sobą. Samochód unosił się na wodzie zaledwie kilka sekund, zanim pojawił się nad nimi elektromagnes i chwycił ich mocno, kiedy puszczono prąd. Chwilę później stary wagon z ciężarówką zwisającą z tylnego sprzęgu został wyciągnięty z morza. Juan wiedział, że za sterami dźwigu musi siedzieć sam Max Hanley, bo operator idealnie znalazł środek ciężkości pociągu.

Ociekający wodą wagon został przeniesiony ponad relingiem „Oregon”. Juan otworzył drzwi, kiedy tylko koła dotknęły pokładu. Jeden z marynarzy przecinał już acetylenowym palnikiem linę mocującą ciężarówkę do wagonu. Juan minął go w biegu i prawie zderzył się z doktor Huxley, spieszącą do odsuwanych drzwi. Za nią czekało w gotowości kilka zespołów sanitariuszy z noszami na kółkach.

- Według ciebie nie zarabiam na swoją pensję, latając twoich łotrów, co? - spytała. - Musiałeś mi przywieźć cały wagon pacjentów?

Juan poczuł pod stopami wibracje nabierającego mocy napędu hydrodynamicznego.

- A co innego można dać lekarzowi po relaksującej przepustce na brzeg?

Odciągnął przesuwane drzwi i na pokład wylała się fala wody. Potem z ciemnego wnętrza wyłonił się pierwszy wychudzony więzień, z wielkimi oczami, zupełnie przemoczony.

- Jesteście już bezpieczni - powiedział Juan po arabsku. - Wszyscy jesteście bezpieczni. Ale musicie się pospieszyć, rozumiecie?

Chwilę później do Cabrilla i doktor Huxley dołączył Fodl i razem, namowami i zachętami, wyprowadzili wstrząśniętych mężczyzn i kobiety z wagonu. Kilka osób było rannych - głównie stłuczenia oraz dwie, złamane kończyny. Do tego jeden mężczyzna dostał w nadgarstek kulą od terrorysty, z którym Cabrillo walczył na dachu. Jak to było w jego zwyczaju, Juan bardziej żałował, że naraził tych ludzi na cierpienia, niż cieszył się, że uratował im życie.

Zauważył Marka Murphy'ego. Chudy specjalista od uzbrojenia miał zarzuconą na ramię torbę ze sprzętem, a w ręku wodoodporny futerał na laptop. Szedł do wjazdu, który prowadził do jego kajuty.

- Nie ma mowy, panie Murphy. Od tej chwili pan i pan Stone zajmujecie się bardzo ważnym zadaniem badawczym.

- Nie może poczekać, aż wezmę prysznic?

- Nie. Natychmiast. Chcę wiedzieć wszystko, co możliwe, o tak zwanym Klejnocie Jerozolimy. Alana Shepard wspomniała, że może być pogrzebany razem z Sulejmanem Al-Dżamą, ale nie ma pewności, co to może być.

- Brzmi to jak jakaś legenda z wiejskiej powieści.

- Całkiem możliwe, że tak jest. Sprawdźcie to. Chcę mieć raport za godzinę.

- Tak jest, szefie - powiedział niechętnie Mark i odszedł, powłócząc nogami.

- Kim są ci ludzie? - spytała Julia Huxley, przekazując jakąś kobietę w ręce pielęgniarza.

- Wszyscy byli urzędnikami wyższych szczebli libijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych - odparł Juan. - Jeden z tych nieszczęśników to sam minister.

- Nie rozumiem. Dlaczego wszyscy zostali uwięzieni?

- Bo o ile czegoś nie pokręciłem, nowy minister spraw zagranicznych, czcigodny Ali Ghani, jest Sulejmanem Al-Dżamą.

26.

Helikoptery pomalowane w kolory libijskiej armii nadleciały z nad pustkowi południowej pustyni jak rozwścieczone osy. Cztery z pięciu rosyjskiej produkcji śmigłowców miało plamisty kamuflaż w kolorach ziemi, piąty - szarobure barwy libijskiej marynarki.

W ciągu piętnastu lat pracy w CIA Jim Kublicki nigdy nie przypuszczał, że będzie obserwatorem libijskiego ataku z powietrza na bazę terrorystów. Ambasador Moon załatwił jego obecność u samego ministra Ghamiego. Nowa chęć do współpracy władz w Trypolisie była na pozór niesamowita, ale Moon i Kublicki mieli wątpliwości. Największą z nich był raport przeznaczony tylko dla nich przysłany z centrali w Langley. Kublicki nie miał pojęcia, jak agenci spenetrowali libijską przestrzeń powietrzną podczas apogeum poszukiwań samolotu sekretarz stanu, ale jakoś im się to udało. Ślady, które znaleźli, prowadziły do jedyne go możliwego wniosku: samolot przed katastrofą został zmuszony do lądowania - przypuszczalnie po to, by porwać samą sekretarz. Potem boeinga umyślnie roztrzaskano o zbocze góry.

W raporcie znalazł się także opis tego, jak oddział mężczyzn w śmigłowcu wylądował w miejscu katastrofy i rozmyślnie zatarł ślady. Dokładne słowa dokumentu brzmiały „przeorali wrak jak trąba powietrzna pole kempingowe”.

Zespół z Narodowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu wydał tajny i wciąż wstępny raport potwierdzający to, co przysłało Langley. Mimo wysiłków terrorystów ułożenie wraku zawierało niespójności, których nie sposób było wytłumaczyć. Gdy Moon spotkał się z Davidem Jewisonem z NTSB i streścił mu raport CIA, inspektor pokiwał głową i powiedział, że to całkiem możliwe, że samolot przed katastrofą na chwilę wylądował.

Kiedy Kublicki przybył do bazy sił powietrznych pod Trypolisem, gdzie szykowano szturm i spotkał się z dowódcą operacji, pułkownikiem sił specjalnych o nazwisku Hassad. Arab wyjaśnił, że libijska pustynia pełna jest starych baz szkoleniowych pozostałych z czasów, kiedy rząd udzielał schronienia terrorystom. W ciągu kilku lat, odkąd się to skończyło, pułkownik i jego ludzie zniszczyli większość z tych, które znaleźli, ale przyznał, że istniały jeszcze dziesiątki takich, o których nie wiedzieli.

Hassad siedział w fotelu obok pilota, a Kublicki wtłoczył swoje blisko dwumetrowe cielsko w składany fotelik tuż za kokpitem. W tylnym przedziale transportowego śmigłowca leciała zaledwie garstka ludzi. Główne siły szturmowe znajdowały się w pozostałych.

Libijski pułkownik zasłonił dłonią mikrofon przy hełmie i odwrócił się. Musiał podnieść głos, żeby było go słycać przez łoskot wirnika.

- Lądujemy za jakąś minutę. Kublicki był trochę zaskoczony.
- Co? Myślałem, że wkraczamy, kiedy będzie po wszystkim.
- Nie wiem, jak pan, panie Kublicki, ale ja chcę załatwić paru tych, drani osobiście - odparł Hassad z wilczym uśmiechem.
- Ja też, pułkowniku, ale do munduru nie wypożyczyliście mi żadnej broni.

Libijski oficer odpiął od pasa pistolet i podał mu kolbę.

- Tylko niech pan nie pisze w raporcie, że oddałem panu swoją broń boczną.

Kublicki uśmiechnął się ze zrozumieniem i wyjął magazynek, żeby sprawdzić, czy pistolet jest naładowany. Wąska szczelina wzdłuż całej jego długości pokazała mu trzynaście lśniących mosiężnych łusek. Wsadził magazynek z powrotem, ale nie zamierzał przeładowywać, dopóki nie wylądowali.

Z niskiego fotela za kokpitem nie widział za dużo przez przednią szybę, ale wiedział, że za chwilę wylądują, kiedy niebo zasłoniła chmura kurzu wzbitego przez podmuch wirnika. Nie brał udziału w walce od czasu I wojny w Zatoce, ale połączenie strachu i podniecenia było czymś, czego nigdy nie zapomniał.

Śmigłowiec spoczął na ziemi i Kublicki rozpiął pasy bezpieczeństwa. Kiedy wstał, żeby spojrzeć nad ramieniem Hassada, zobaczył dobre sto metrów przed nimi obóz terrorystów. W ich stronę biegł tłum mężczyzn w kraciastych kuflach, wymachujących swoimi AK-47. Kublicki nigdzie nie widział śladu żołnierzy z pozostałych śmigłowców.

Strach zaczął przełamywać podniecenie.

Hassad otworzył swoje drzwi i wyskoczył na ziemię. Na chwilę zniknął z pola widzenia, a potem boczne drzwi śmigłowca odsunęły się i uderzyły o blokadę.

Kublicki zamrugał, oślepiiony światłem, które zalało wnętrze helikoptera.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie - Kublickiemu wydawało się, że przez długą chwilę, ale to było ledwie kilka sekund. Przeskoczyła między nimi iskra zrozumienia. Agent-weteran CIA jednym płynnym ruchem przeładował pistolet i wycelował go w Libijczyka. To, co brzmiało jak okrzyki strachu zbiegających się terrorystów, było w rzeczywistości okrzykami radości - i dobywało się ze stu gardeł.

Kublicki nacisnął spust cztery razy, zanim zorientował się, że broń nie strzela. Ktoś wbił mu lufę karabinu w krzyż; znieruchomiał, a Hassad sięgnął i wyrwał mu pistolet z ręki.

- Wyjęta iglica. - Powtórzył to samo po arabsku i terroryści zaśmiali się z aprobatą.

W ostatnich sekundach życia, jakie zostały Jimowi Kublickiemu, agent przysiągł sobie, że nie zginie bez walki. Ignorując przyciśnięty do pleców karabin szturmowy, wyskoczył ze śmigłowca, wyciągając ręce do gardła Hassada. Trzeba było przyznać, że brakowało mu ledwie kilku centymetrów, kiedy bojownik otworzył ogień. Sekundowa seria z AK 15 przeszła mu plecy od nerki do łopatki. Energia pocisków cisnęła Kublickiego do stóp Hassada. Libijczyk stał nad nim oszołomiony, bez słowa. Potem, zamiast oddać honory dzielnemu przeciwnikowi, który wpadł w niemożliwą do przewidzenia zasadzkę, splunął na trupa, odwrócił się i odszedł.

Dowódcę obozu, Abdullaha, znalazł przed jego namiotem. Obaj mężczyźni serdecznie się przywitali. Hassad przerwał wymianę uprzejmości, stanowiącą tak ważną część życia każdego muzułmanina, i przeszedł do sedna sprawy.

- Opowiedz mi o uciekinierach.

W komórcie terrorystycznej Al-Dżamy obaj mieli taką samą rangę, ale Hassad miał silniejszą osobowość.

- Mamy ich.

- Wszystkich? A, tak, słyszałem, że zamierzaliście wysadzić most. Udało się?

- Nie - powiedział Abdullah. - Przedostali się. Ale jechali tak szybko, że kiedy dojechali do końca pomostu, wpadli do wody.

- Ktoś to widział?

- Nie, ale helikopter doleciał do portu jakieś piętnaście minut po tym, jak minęli most. Na nabrzeżu nie było ani śladu więźniów, więc nie wysiedli, a załoga wypatrzyła wagon jakieś dwieście metrów od brzegu. Nad powierzchnię wody wystawał tylko dach, i zatonął zupełnie na ich oczach.

- Doskonale. - Hassad klepnął go po ramieniu. - Imam, pokój z nim, nie będzie zadowolony, że nie mógł być świadkiem śmierci naszego byłego ministra spraw zagranicznych, ale ucieszy się na wieść, że ucieczka się nie powiodła.

- Jeszcze jedna rzecz - powiedział Abdullah. - Meldunki moich ludzi nie są dokładne, ale wygląda na to, że więźniowie mogli mieć pomoc z zewnątrz.

- Pomoc?

- W tym samym czasie, kiedy więźniowie zaczęli ucieczkę, obóz zaatakowała pojedyncza ciężarówka, wioząca kilku mężczyzn i być może kobietę.

- Kim byli ci ludzie?

- Nie mamy pojęcia.

- A ich pojazd?

- Zakładamy, że zatonął razem z wagonem. Jak mówiłem, świadkami naocznymi byli nasi najświeżsi rekruci i całkiem możliwe, że w swoim entuzjazmie wzięli jedną z naszych własnych ciężarówek za coś innego.

Hassad zaśmiał się bez humoru.

- Te dzieciaki widzą pewnie agentów Mossadu za każdym kamieniem.

- Po jutrzejszym ataku, kiedy przeniesiemy się stąd do naszej nowej bazy w Sudanie, przynajmniej połowę ich zostawimy. Pojadą z nami tylko ci obiecujący. Reszta nie jest warta wysiłku.

- Liczba rekrutów nigdy nie była problemem. Jakość werbunku, cóż, to inna rzecz. A skoro o tym mowa...

- A, tak.

Abdullah powiedział kilka słów stojącemu obok adiutantowi. Chwilę później ten wrócił z jeszcze jednym z ich ludzi. Zniknął zakurzony, podarty kamuflaż i przepocona chusta. Mężczyzna miał na sobie nowy czarny mundur z mankietami spodni wpuszczonymi w lśniące buty. Jego włosy były schludnie przystrzyżone, a twarz gładko ogolona. Skóra pasa od kabury pistoletu lśniła po wielu godzinach czyszczenia, a gwiazdki na pagonach połyskiwały jak złoto.

Podczas gdy rekruci ćwiczyli z AK-47, których używano w terrorystycznym świecie, zanim jeszcze wielu z nich się urodziło, broń, którą prezentował ten człowiek, była nowiutka. Na zamku ani na polerowanej drewnianej kolbie nie było ani jednego zadrapania.

- Dokumenty - warknął Hassad.

Mężczyzna szybko zarzucił broń na ramię i z kieszeni na rękawie wyjął skórzane etui. Otworzył je i pokazał do inspekcji. Hassad uważnie przyjrzał się papierom. Wojskowy dowód tożsamości został wydrukowany w tym samym biurze, które wydawało prawdziwe dokumenty, przez zwolennika ich sprawy. Libijskie wojsko było ich pełne na wszystkich szczeblach - w ten właśnie sposób terroryści zdobyli śmigłowce do dzisiejszej operacji i hinda, którym zestrzelili samolot Fiony Katamory.

Obok legitymacji znajdowała się przepustka, dopuszczająca okaziciela do pracy w ochronie jutrzejszej konferencji pokojowej. Zdobycie jej z biura przepustek uznano za zbyt ryzykowne, więc została sfalszowana na miejscu, w obozie. Hassad miał w armii przyjaciół, którzy mieli brać udział

w szczybie jako członkowie licznej ochrony, i oglądał ich przepustki. To, co widział przed sobą, było idealną kopią.

Oddał dokumenty bojownikowi.

- Czego się spodziewasz jutro?

- Umrzeć męczeńską śmiercią w imię islamu i Sulejmana Al-Dżamy.

- Uważasz, że jesteś wart takiego zaszczytu? Odpowiedź padła po krótkiej chwili.

- Wystarczy mi, że tak uważa imam.

- Dobrze powiedziane - zauważył Hassad. - Ty i twoi rodacy zadacie Zachodowi cios, po którym nie podniesie się przez wiele lat, o ile w ogóle. Imam Al-Dżama zarządził, że nie wolno im dłużej dyktować nam, jak mamy żyć. Zepsucie, które szerzą swoją telewizją i filmami, swoją muzyką i demokracją, nie będzie dłużej tolerowane. Niedługo zobaczymy początek ich końca. Wreszcie rozumieją, że ich sposób życia nie jest dla nas i że islam zapanuje nad światem. To właśnie jest zaszczyt, za którego wart uważa cię Al-Dżama.

- Nie zawiodę go - odparł terrorysta stanowczym głosem, ze spokojnym spojrzeniem.

- Odmaszerować - powiedział Hassad i odwrócił się do Abdullaha. - Bardzo dobra robota, przyjacielu.

- Szkolenie wojskowe było stosunkowo proste - stwierdził dowódca obozu. - Trudniej było sprawić, żeby byli oddani sprawie i nie wyglądali przy tym jak obłąkani fanatycy.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że niezliczone ataki nie doszły do skutku, bo samobójcy wyglądali na tak zdenerwowanych i tak rzucali się w oczy, że nawet niewyszkoleni cywile wiedzieli, co się ma stać. A pięćdziesięciu ludzi, których wysyłali dzisiaj do Trypolisu, miało być otoczonych przez rządowe siły bezpieczeństwa w stanie pełnej gotowości, wypatrujące dokładnie takiego ataku, jaki zamierzali przeprowadzić. Żeby znaleźć właściwych kandydatów, dowódcy wybierali spośród setek rekrutów z obozów szkoleniowych i medres na całym Bliskim Wschodzie.

Hassad zerknął na zegarek.

- Za osiemnaście godzin będzie po wszystkim. Amerykańska sekretarz stanu będzie martwa, a pałacowa sala spłynie krwią. Fala pokoju zostanie znów odepchnięta, a pod jej nieobecność my będziemy dalej rozpowszechniać nasz styl życia.

- Jak napisał pierwszy Sulejman Al-Dżama: „Kiedy w zmaganiach o uchronienie naszej wiary przed zepsuciem słabnie nasza wola, kruszą się siła i determinacja, musimy natychmiast zdobyć się na wielki wysiłek, na wielką ofiarę, jeśli to konieczne, żeby pokazać naszym wrogom, że nigdy nie damy się pokonać”.

- Ja wolę inny ustęp: „Ci, którzy nie wyznają islamu, są obrazą dla Allaha, wartą jedynie naszych kul”.

- Niedługo je dostaną.

- A teraz może przedstawiłbyś mnie tej Amerykance. Nie mamy dużo czasu przed jej przeniesieniem na fregatę na spotkanie z przeznaczeniem, ale chciałbym na nią popatrzeć.

27.

Nadzieja Cabrilla na długą kąpiel po powrocie na „Oregona” nie spełniła się. Pozwolił sobie tylko na krótki prysznic, kiedy wszystkich więźniów urządzono już w ładowni najwygodniej, jak się dało. Fodl przedstawił go byłemu ministrowi spraw zagranicznych Libii, którego był zastępcą. Ponieważ zbliżało się południe, Cabrillo pokazał Libijczykowi, w którym kierunku leży Mekka, żeby wszyscy mogli się pomodlić - pierwszy raz od chwili uwięzienia.

Ubierał się właśnie, kiedy do drzwi jego kajuty zapukał i, nie czekając na zaproszenie, wszedł Max Hanley. Za nim szli Eric Stone i Mark Murphy, wciąż ubrany w swój brudny mundur.

- Rany, to nie fair - powiedział, widząc Juana.

- Przywilej rangi - odparł wyniośle prezes i skończył wiązać czarne wojskowe buty. - Co dla mnie macie?

- Najwyraźniej kupili tę sztuczkę z tonącym wagonem - powiedział Max. - Jakies piętnaście minut po tym, jak weszliście na pokład, wysłali na zwiad śmigłowiec. Wyliczenia zatonięcia pociągu zrobione przez Marka okazały się idealnie trafione. Musieli go zobaczyć na kilka sekund przed tym, jak poszedł na dno.

- Potem poleciałem bezzałogowcem z powrotem nad obóz terrorystów - przerwał mu Eric. - Musiałem trzymać się na dużej wysokości, żeby go nie usłyszeli, więc rozdzielczość zdjęć nie jest najlepsza, ale mamy dość dobre pojęcie o tym, co się tam dzieje.

- I?

- Miałeś rację - odparł Max. - Libijskie śmigłowce wylądowały bez oporu. Wygląda na to, że w każdym z nich było tylko kilku ludzi.

- Dla mnie wygląda to jak transport dla ludzi w obozie - domyślił się Juan.

- My też tak uważamy - powiedział Eric. - Zamierzają przerzucić więcej ludzi, niż mogą pomieścić w tym starym Mi-8, którym leciałeś z miejsca katastrofy.

- Ilu wejdzie do helikopterów?

- Co najmniej pięćdziesięciu.

- Cholernie duża grupa uderzeniowa.

- Celem - powiedział Mark - musi być konferencja pokojowa. Eric Stone pokręcił głową.

- Nie ma takiej możliwości. Ochrona jest nie do pokonania. Nie ma mowy, żeby jakiś terrorysta zbliżył się na kilometr do choćby jednego uczestnika szczytu.

- Jest, jeśli macza w tym palce libijski rząd - odparował Max.

- To właśnie pytanie za milion dolarów. Jeśli minister Ghani to Sulejman Al-Dżama, czy Kaddafi o tym wie?

- Jak może nie wiedzieć? Sam go mianował.

- Dobra, powiedzmy, że wie, Max. To jeszcze nie oznacza, że wie, co Al-Dżama planuje.

- A jaka to różnica? - spytał Hanley.

- Może żadna, ale musimy to wiedzieć.

- A jak się dowiemy?

- Zaraz do tego dojdziemy. Mark, jest jakaś szansa, żebyśmy załatwili te śmigłowce?

- Musielibyśmy wystrzelić jeszcze jednego UAV-a - powiedział Eric, zanim Mark zdążył odpowiedzieć. - Pierwszemu skończyło się paliwo i musiałem go rozwalić. Ale najpierw zrobiłem to.

Podał Juanowi ziarniste zdjęcie z kamery wideo drona. Szczegóły były co najmniej niewyraźne, ale wyglądało to jak dwie uzbrojone osoby eskortujące trzecią do śmigłowca.

- To sekretarz Katamora?

- Możliwe. Biorąc pod uwagę wzrost typowego Libijczyka i porównując go z postacią pośrodku, wzrost się zgadza, budowa też. Głowa jest zakryta, więc nie widać włosów, które natychmiast by ją zidentyfikowały, nosi je długie do pasa.

- A jakbyś miał zgadnąć?

- To ona, a zanim tam zawrócimy, dawno jej nie będzie.

Juan zmarszczył czoło. Podjął świadomą decyzję, żeby ratować libijskich więźniów, zamiast przeczekać terrorystów. Życie stu osób przeważało nad jednym, nieważne, kto siedział na szalach. Ale drażniło go, że był tak blisko sekretarza i jej nie uwolnił.

- Dobra, a pozostałe helikoptery? - spytał, żeby wrócić do tematu, ale nie odrywał wzroku od zdjęcia.

- Moglibyśmy namierzyć je drugim UAV-em, więc gwarantuję trafienie rakieta, ale musimy wziąć pod uwagę skutki uboczne, jeśli w którymś jest sekretarz Katamora.

- Wyjścia?

- Załatwić śmigłowce w locie, jeśli wylecą nad ocean. Ale tu znów ryzykujemy jej życie, jeśli jest na pokładzie któregoś z nich.

- Zresztą i tak będą się trzymać pustyni - powiedział Eric. Max odchrząknął.

- Słuchajcie, a może przekazemy to co mamy Overholtowi i niech on ostrzeże pozostałych delegatów o możliwości zmasowanego ataku?

- Powiemy Langowi - odparł Juan - ale nie chcę, żeby ta wiadomość się rozeszła.

- Dlaczego nie, do cholery?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli się dowiedzą o ataku, odwołają konferencję, a szansa na to, żeby zebrać tych ludzi jeszcze raz w jednej sali, jest żadna. Szczyt musi trwać. Po drugie, nie mamy żadnych konkretów łączących Ghamiego z Al-Dżamą. To nasza jedyna szansa, by zdemaskować jego i całą jego siatkę.

- Ryzykujesz życie wielu ważnych ludzi.

- Na przykład moje - powiedział Mark.

- Przyznaję, że to największe ryzyko, jakie kiedykolwiek podejmowaliśmy, ale wiem, że warto. Overholt się zgodzi. Rozumie, że jeśli uda się nam dopaść Al-Dżamę tuż przed konferencją pokojową, delegaci wymuszą wszechstronny i długotrwały traktat. Za jednym zamachem załatwimy drugiego najgroźniejszego terrorystę na świecie i zagwarantujemy pokój.

- Rany, Juan. Sam nie wiem. Główna wygrana jest świetna, tak. Ale cena, wiesz...

- Zaufaj mi.

Max wciąż nie był pewien, ale nigdy nie wątpił w prezesa.

- No to jak to ma wyglądać? - spytał.

- Za chwilę. - Cabrillo odwrócił się do Murpha i Stoneya. - Co znaleźliście?

- Niewiele informacji, które nie kwalifikują się jako fantastyka.

- Chwileczkę - przerwał Max. - Co kazaleś im zbadać?

- Alana powiedziała, że w grobowcu pierwszego Sulejmana Al-Dżamy może być coś, co nazywa się Klejnotem Jerozolimy. Powiedział jej o tym St. Julien Perlmutter. Nawet on nie był pewien, co to może być. Czego się dowiedzieliście?

- Nie dałeś nam za wiele czasu, więc nasz raport jest w najlepszym razie szkicem. Są na ten temat dwie szkoły. No, trzy, jeśli wziąć pod uwagę ogromną większość badaczy, która uważa, że to wszystko brednie. W każdym razie pierwsi twierdzą, że ten klejnot to rubin-kaboszon wielkości piłki do softballu, z wrytymi na nim słowami. Ludzie uważają, że to może być sura 115 z Koranu, ostatni rozdział muzułmańskiej świętej księgi, który nie pojawia się nigdzie indziej, bo Mahomet uważał go za tak doskonały i wyjątkowy, że można go było zapisać tylko na nieskazitelnym klejnocie.

- Wiadomo, o czym ta sura jest? - spytał Juan.

- To zależy, po której stronie stoisz. Wariaci uważają, że napisane tam jest: „Zabijaj niewiernych od rana do wieczora”. Umiarkowani przychylają się do tezy, że sura głosi pokój między islamem i chrześcijaństwem.

- Czyli nikt nie wie.

- Otóż to - powiedział Mark sceptycznym tonem. - Weź dowolny przedmiot, daj mu zdolność sprowadzania wyjątkowej wiedzy albo mocy i voila, legenda dla następnych pokoleń gotowa. Trochę jak z Arką Przymierza. Totalna bzdura, ale ludzie ciągle jej szukają.

- Daruj sobie komentarze i trzymaj się faktów.

- Dobra. Mówią, że Saladyn przywiózł ten klejnot do Jerozolimy po oblężeniu miasta w 1187 roku i że kamień był trzymany w cedrowej szkatule pod Kopułą na Skale. Według legendy każdy, kto śmiał na niego spojrzeć, ślepl albo tracił zmysły, albo jedno i drugie. Wygodne, co? Kamień leżał sobie w podziemnej krypcie aż do szóstej krucjaty, w 1228 roku. Wtedy właśnie Fryderyk II, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego, zawarł pakt z władcą Egiptu, przekazujący władzę nad Jerozolimą chrześcijanom, oprócz Kopuły na Skale i pobliskiego meczetu Al-Aksa. To w tych czasach niemieccy najemnicy templariuszy zdobyli Kopułę i ukradli klejnot.

- Po co chrześcijanom islamska relikwia?

- Bo uważali ją za coś innego. Pamiętaj, mówiłem, że są dwie szkoły. W tym punkcie obie drogi się przecinają. Widzisz, templariusze uważali, że Klejnot Jerozolimy nie był wcale rubinem. Uważali, że był to wisior wykonany tysiąc lat wcześniej dla człowieka o imieniu Didymus, zwanego też Juda Tomaszem.

- Nigdy o nim nie słyszałem - mruknął Max.

- Znasz go lepiej jako niewiernego Tomasza - powiedział Eric - jednego z dwunastu apostołów Chrystusa.

- A ten wisior? - spytał Juan.

- Jak wiecie, w Biblii Tomasz nie uwierzył w zmartwychwstanie Chrystusa i chciał dotknąć rany. Biblia nie mówi, czy to zrobił, ale templariusze byli przekonani, że tak. Wierzyli, że Klejnot Jerozolimy to kryształ, w którym alchemik o imieniu Jho'acabe zamknął krople krwi pozostałe na palcach Tomasza. Kryształ zawieszono potem na naszyjniku, który wpadł w ręce muzułmanów, kiedy Saladyn zdobył miasto.

- Czy muzułmanie by go nie zniszczyli, gdyby to była prawda? - spytał Hanley.

- Otóż nie - odparł Eric. - Według wszystkich przekazów Saladyn traktował z szacunkiem

jerozolimskich chrześcijan i ich kościoły. Mógł nie oddać wisiora, ale wątpię, czy rozmyślnie by go zniszczył.

- Czyli teraz klejnot, rubin albo naszyjnik, jest w rękach templariuszy. Jak trafił do grobowca Sulejmana Al-Dżamy?

- Bo statek wiozący ich z powrotem na Malte...

- ...został zaatakowany przez berberyjskich piratów - odpowiedział sam sobie Juan.

- Konkretnie przez jednego z przodków Al-Dżamy - powiedział Eric. - Cedrowa szkatuła z klejnotem była przekazywana z ojca na syna aż do śmierci Al-Dżamy. Henry Lafayette zostawił ją w grobowcu i tam spoczywa po dziś dzień.

- To wszystko bzdury - warknął Mark. - Prezesie, gdybyś zobaczył niektóre strony internetowe, na których znaleźliśmy te informacje, wiedziałbyś, że nie należy ich brać poważnie. To mit, tak samo jak potwór z Loch Ness, Wielka Stopa czy zaginiona kopalnia Waltza.

- W micie o Arce Przymierza było ziarno prawdy, jeśli pamiętasz naszą małą przygodę sprzed paru miesięcy - prezes na chwilę zamilkł. - Wiemy na pewno od Lafayette'a, że pod koniec życia Al-Dżama dostrzegł nadzieję na pokój między chrześcijanami a muzułmanami. To wyszło na jaw dopiero niedawno, tak? Maniacy teorii spiskowych nie lecą na takie rzeczy. Taka mała spekulacja. A jeśli to pierwsza wersja tej historii jest prawdziwa, że klejnot to rubin z inskrypcjami, a Al-Dżama przeczytał ostatnie słowa Mahometa i dzięki temu zmienił poglądy? Brzmi nieco wiarygodniej, prawda?

- Być może. Ale daj spokój. Jakie są szanse, że trafił w ręce Al-Dżamy?

- Czemu nie? Al-Dżama był znanym imamem z rodziny o długich pirackich tradycjach. Nawet jeśli żaden z jego przodków nie brał udziału w napaści na statek templariuszy, możliwe, że klejnot został któremuś z nich ofiarowany.

- Panowie, wróćmy do tematu - zaproponował Max. - Na tym etapie gry nie ma znaczenia, czym jest ten klejnot ani nawet gdzie jest. Powinniśmy się skupić na uratowaniu pani sekretarz i powstrzymaniu ataku Al-Dżamy.

- Max, mówiłeś, że Libijczycy twierdzą, że nasz koleżka z portu, Tarik Assad, to Al-Dżama.

- Jeśli mamy rację, to oczywiście zmyłka.

- Czy Eddie zameldował o czymś, co kazałoby ci myśleć, że Assad jest związany z ugrupowaniem Al-Dżamy?

- Nie, ale dzisiaj rano zauważyli, że jego dom i biuro są otoczone przez tajniaków. Libijczycy zamierzają spełnić swoją obietnicę i go zamknąć.

- A kiedy kurz opadnie, będą mieli swojego kozła ofiarnego - zauważył Eric. - Urządzą mu szybki pokazowy proces i skazą na śmierć za atak.

- Libijczycy muszą go namierzać z jakiegoś powodu. Coś w tym musi być, prawda? Max, leć do radia i każ Eddiemu zwinąć Assada. Musimy go przesłuchać.

Cabrillo przez chwilę przyglądał się Markowi Murphy'emu. Szczękę Murpha pokrywał cień zarostu; oklapł w fotelu, jakby się z nim stopił, ale oczy wciąż miał jasne. Kilka miesięcy temu, po tym jak reszta załogi długo mu dokuczała, po raz pierwszy w życiu zaczął regularnie ćwiczyć. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin dużo przeszedł, ale Juan podejrzewał, że był gotów na więcej.

- Masz siłę na jeszcze jedną operację?

- Ciągle chciałbym najpierw wziąć ten prysznic, ale tak.

- Ty i Eric macie przeskoczyć przez granicę do Tunezji i znaleźć grobowiec Al-Dżamy.

Cabrillo nie chciał tracić w takiej chwili swojego najlepszego sternika, ale Murph i Stone współpracowali ze sobą na poziomie tak głębokiej intuicji, że musiał wysłać ich obu.

- Lepiej weźcie ze sobą paru ludzi - zaproponował Max. - Nie zapominajcie, że tango porwali czwartego członka zespołu Alany Shepard.

- Bumforda - powiedział Mark. - Emile'a Bumforda. Linda i Linc mówią, że to pionek.

- Żebyście wiedzieli, z czym się mierzycie - ciągnął Hanley - pozostali archeolodzy mówili, że porwał go co najmniej tuzin terrorystów.

- Gomez może przerzucić was śmigłowcem i wrócić w dwie godziny.

- Ciągłe mamy tę skrytkę z paliwem na pustyni, którą założyliśmy, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy z Bumfordem.

- Dobrze. Za dwie godziny macie być w powietrzu. Na razie chcę od was tylko jednego, żebyście znaleźli grobowiec. Jeśli będą tam pierwsi, trzymajcie się blisko i obserwujcie. Nieważne, cokolwiek by się działo, nie atakujcie ich. Greg Chaffee zgłosił się na ochotnika do przesłuchania więźniów, ale z tego, co udało mi się dowiedzieć od nich do tej pory, Al-Dżamie zależy na tym grobowcu tak bardzo jak nam. Wszystkie jego działania na pustyni miały na celu znalezienie go. Bądźcie gotowi na wszystko.

- Gotowy mam na drugie.

- Na drugie masz Herbert - zauważył złośliwie Eric.

- Lepiej Herbert niż Boniface.

Zadzwoił telefon Cabrilla. To był oficer dyżurny z centrum operacyjnego.

- Prezesie, pomyślałem, że będzie pan chciał wiedzieć: radar wykrył jakąś jednostkę lecącą nisko równoległe do wybrzeża w pobliżu obozu szkoleniowego terrorystów.

- Możecie ją śledzić?

- Raczej nie. Wyskoczyła na chwilę i znów zniknęła. Domyślam się, że leci tuż nad falami.

- Macie prędkość i kurs?

- Nie. Mignęła i koniec.

- Dobra. Dziękuję. - Odłożył bakelitową słuchawkę na widełki. - Ludzie Al-Dżamy przyskają.

Max zerknął na zegarek.

- Szybko się uwinęli.

- Chciałbym myśleć, że nasz mały wybryk ograniczył ich zapas czasu - powiedział Juan - ale wątpię, żeby tak było - zamilkł na chwilę. - Co u diabła oni robili blisko brzegu?

- Hm?

- Śmigłowiec. Po co ryzykują i trzymają się wybrzeża, gdzie mogą być zauważeni? Eric ma rację. Powinni się trzymać otwartej pustyni. Max, poszukaj mi libijskich sił morskich. Chcę wiedzieć, gdzie w tej chwili jest każdy okręt zdolny przyjąć helikopter.

- A ty? - spytał Hanley.

- Zadzwoię do Langstona i przekonam go, żeby trzymał się mojego scenariusza. Potem doktor Huxley obejrzy miejsce, gdzie wydlubałem sobie przekąźnik i da mi następną dawkę znieczulenia. Mam przeczucie, że będzie mi potrzebne.

28.

Eddie Seng spokojnie zamknął telefon. Wydawało się, że powstrzymał westchnienie i siedzący po drugiej stronie dusznego hotelowego pokoju Hali Kasim spytał:

- Co jest?

Max poinformował już ich obu o tym, co się wydarzyło, więc rozmowa telefoniczna trwała niecałe pięć sekund, ale sądząc po wyrazie twarzy Senga, wieści nie były dobre.

- Prezes chce, żebyśmy złapali Tarika Assada.

- Kiedy? Wieczorem?

- Teraz.

- Dlaczego?

- Nie pytałem.

Ponieważ w nędznym pokoiku, który wynajmowali od chińskiego gangu, nie było klimatyzacji ani nawet bieżącej wody, obaj byli rozebrani do bokserek. Obaj splotli też potem, chociaż Hali wydawał się cierpieć bardziej. Piers i ramiona miał porośnięte splątanymi gęstymi włosami - świadczącymi o libańskim pochodzeniu.

Eddie siedział na jednym z pojedynczych łóżek, kiedy zadzwoniła jego komórka. Teraz wstał i zaczął się ubierać. Zanim włożył spodnie, wytrząsnął z nogawek karaluchy. Przez szpary w drewnianej podłodze sączyła się aromatyczna para z restauracji na dole.

- Naprawdę to robimy? - spytał Hali z twarzą pokrytą świeżą warstwą potu.

- Juan mówi, że ten Assad to klucz, więc tak, robimy to.

- Klucz? Assad to klucz? Ten gość to podrzędny, nic nieznaczący skorumpowany urzędnik!

Seng spojrzał przez pokój na łącznościowca Korporacji.

- Tym bardziej zastanawiające, że obstawili jego dom i biuro w porcie. Max mówił wczoraj, że ich władze uważają, że jest powiązany z ekipą Al-Dżamy, chociaż to nie ma sensu. Styl życia Assada za bardzo rzuca się w oczy, żeby był terrorystą. Prawdziwi tango nie mają po kilka kochanek i nie ściągają na siebie potencjalnego zainteresowania policji, przyjmując łapówki.

Hali myślał przez chwilę.

- Dobra, kupuję. Czyli jeśli nie robi dla Al-Dżamy, czemu Libijczykom tak na nim zależy?

- Z tego samego powodu, co Juanowi. Wie coś o tym całym bałaganie, tylko nie wiadomo co.

Kasim wstał, zapiął na kostce kaburę z krótkim glockiem 19 i włożył spodnie.

- Dlatego właśnie ja zostaję na statku. Tam mam prostą robotę. Przychodzi komunikat radiowy, ja go odbieram. Ktoś chce pogadać z kimś innym na drugim końcu świata, ja to łączę. Operacje lądowe potrzebują szyfrowanych telefonów, które wyglądają jak paczki papierosów, mogę je załatwić. Czajenie się w biały dzień, żeby porwać kogoś poszukiwanego przez libijską tajną policję, to niezupełnie moja działka.

- Rozbudź swój apetyt, pasikoniku - powiedział Eddie, naśladując głos starego Chińczyka - a świat nakarmi twoją duszę.

Seng nie słyszał z poczucia humoru. Nie chodziło o to, że nie lubił dobrych żartów, ale rzadko był ich źródłem, więc śmiech Halego był nadzwyczaj długi i głośny. Eddie, żartując, chciał go zapewnić, że wie, co robi.

- Nie martw się. Według ostatnich meldunków Assad jest w domu swojej dziewczyny numer trzy. Libijczycy są daleko. Musi już wiedzieć, że jest poszukiwany, więc każdy, kto mu zaproponuje jakieś wyjście, będzie dla niego jak dar niebios. Pójdziemy tam, wyjaśnimy mu, że nie ma innego wyboru i przyprowadzimy go z powrotem tutaj. Bułka z masłem.

Trzecia kochanka Assada, rubensowska żona sędziego, mieszkała wraz z mężem w dzielnicy pięcio- i sześciopiętrowych domów zbudowanych z otynkowanego kamienia i pochodzących sprzed ponad stu lat. Ich okna i balkony chroniły kute kraty, a płaskie dachy pokrywało morze satelitarnych talerzy. Na parterze większości budynków znajdowały się sklepy i butiki, obsługujące zamożnych mieszkańców.

Chodniki były tam szerokie i przestronne, a jezdnie wąskie i kręte - pozostałość z czasów, kiedy jeździły tu raczej konie niż samochody. Płatanina ulic nadawała okolicy charakter ekskluzywnej, cichej enklawy w gwarnym mieście.

Chińscy gangsterzy wynajęci do śledzenia Tarika Assada ukryli się w popsutej dostawczej furgonetce. Stali naprzeciwko budynku jego kochanki, z podniesioną maską i częściami rozłożonymi na brezentowej płachcie na chodniku. Mężczyźni i kobiety - niektórzy w tradycyjnych szatach, niektórzy ubrani według zachodniej mody - omijali ich bez jednego spojrzenia.

Eddie znalazł miejsce do zaparkowania wynajętego samochodu przed małym sklepem spożywczym kawałek dalej. Powietrze wypełniał zapach pomarańczy wydobywający się z koszy po obu stronach drzwi.

Eddie zaczął grzebać w schowku, rozglądając się jednocześnie po ulicy i wypatrując czegoś niezwykłego. Nic nie zobaczył; instynkt, który służył mu dobrze przez wiele lat, powiedział mu, że teren jest czysty. Dwaj starszycy grający w tryktraka w ogródku kawiarni byli tym, na kogo wyglądali. Sprzedawca odkurzający stół na wystawie sklepu meblowego skupiał się na swojej pracy, a nie na ulicznym ruchu. Nikt nie siedział beczynnym w samochodzie, kiedy bezlitośnie prażyło popołudniowe słońce. Nie licząc chińskich gangsterów, nigdzie nie było widać żadnej innej furgonetki, która mogłaby służyć za bazę zespołowi obserwatorów.

Na końcu przecznicy rozciągał się wielki plac budowy, z dźwigiem unoszącym materiały na dziesięciopiętrową, stalowo-betonową konstrukcję, która miała się stać luksusowym apartamentowcem. W paradzie cementowozów i ciężarówek przejeżdżających przez bramę Eddie również nie zauważył niczego podejrzanego.

- Gotowy? - spytał Halego.

Kasim wypuścił powietrze z płuc, wydymając policzki jak trębacz.

- Jakim cudem ty, Juan i reszta zachowujecie taki spokój?

- Juan na przykład obmyśla wszystkie możliwe scenariusze i dopilnowuje, żeby mieć plan awaryjny na każdą ewentualność. Ja? Ja w ogóle o tym nie myślę. Oczyszczam tylko umysł i reaguję na to, co się dzieje. Nie martw się, Hali. Damy radę.

- W takim razie do roboty.

Otworzyli drzwi samochodu. Eddie poprawił kapelusz i ciemne okulary, jedyny kamuflaż, który krył jego azjatyckie rysy. Obaj byli ubrani w luźne beżowe spodnie i rozpięte pod szyją koszule - najbardziej anonimowy z możliwych stylów w wielu zakątkach Bliskiego Wschodu.

Kiedy mijali furgonetkę, Eddie wcisnął jednemu z gangsterów do ręki telefon na kartę.

- Wycofajcie się - szepnął - i miejcie oko na tego czerwonego fiata, którym tu przyjechaliśmy. Jedynka w szybkim wybieraniu to mój numer.

Młody Chińczyk nie dał po sobie poznać, że słyszał cokolwiek oprócz trzasku zamykanej klapy samochodu. Eddie i Hali poszli dalej, nie gubiąc kroku.

Frontowe drzwi budynku nie były zamknięte, ale w holu na kanapie siedział strażnik w ciemnym mundurze, czytając gazetę. Dwaj agenci weszli do środka, śmiejąc się, jakby jeden z nich właśnie opowiedział dowcip. Zignorowali strażnika, który odłożył gazetę i powiedział po arabsku coś, czego nie zrozumieli.

Hali nie zobaczył skoku. Nie wierzył, że są w ogóle wystarczająco blisko.

Eddie rzucił się w przód jak szermierz, z wyprostowanymi sztywno palcami prawej dłoni. Uderzył nimi w zagłębienie na szyi mężczyzny, tuż pod jabłkiem Adama. Gdyby chciał, mógłby go zabić, ale cios był dobrze wymierzony. Libijczyk zaczął się dusić, a Eddie uderzył go jeszcze raz, kantem dłoni w bok szyi. Strażnik błysnął białkami oczu i runął z powrotem na kanapę.

Seng zerknął na szklane drzwi, sprawdzając, czy ktoś ich widział, a potem z pomocą Halego zawlókł nieprzytomnego do stróżówki, której jedna ściana była zajęta przez skrzynki na listy.

- Jak długo będzie nieprzytomny?

- Jakąś godzinę. - Eddie przeszukał kieszenie mężczyzny, szukając dowodu tożsamości. Według niego strażnik miał na imię Ali. - Chodź. Assad jest na trzecim piętrze, mieszkanie narożne od frontu.

Obaj mężczyźni z wyciągniętymi pistoletami ruszyli wewnętrzną klatką schodową. Nie bali się, że na kogoś wpadną. Ludzie, którzy mieszkali w takich budynkach, nieodmiennie używali wind.

Eddie ostrożnie uchylił drzwi na trzecim piętrze. Korytarz za nimi był wyłożony wykładziną i oświetlony kinkietami. Do mieszkań prowadziło sześć drzwi, solidnych, z grubego, rzeźbionego drewna - pozostałość z czasów porządnego rzemiosła. Eddiemu ulżyło, kiedy zobaczył, że żadne nie mają wizjera.

Podszedł do drzwi mieszkania kochanki i ostrożnie zastukał. Chwilę później usłyszał stłumiony głos kobiety. Założył, że pytała, kto tam, więc odpowiedział:

- Ali, sajjida.

Znów coś powiedziała, najpewniej pytając, czego chce. Eddie odpowiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy, modląc się, żeby dobrze to wymówił.

- Al-Zajal, sajjida. - Federal Express, proszę pani. W całym mieście widział charakterystycznie pomalowane ciężarówki kurierów.

Bezgłośnie powiedział „Cofnij się” do Halego; z wnętrza mieszkania dobiegł grzechot łańcucha i szcęk otwieranych dwóch zamków. Eddie wbił bark w drzwi; napotkał większy opór, niż się spodziewał, ale udało mu się odepchnąć kobietę na bok. Zgiął się nisko i kula z pistoletu z tłumikiem przecięła powietrze centymetry nad jego ramieniem.

Kobieta wrzasnęła. Seng przetoczył się po podłodze i podniósł na kolana za kanapą.

- Tarik, niech pan nie strzela! - Starał się mówić spokojnie, pomimo uderzenia adrenaliny. - Proszę. Przyszliśmy panu pomóc.

Płacz kobiety zmienił się w cichy bulgot. Na zegarze z kukułką wiszącym na gipsowej ścianie minęło kilka sekund.

- Kim jesteście? - spytał Tarik Assad.

- Dwie noce temu załatwił nam pan wyładunek dużej ciężarówki w porcie.

- Kanadyjczycy?

- Tak.

- Kto was ze mną skontaktował?

- L'Enfant.

- Może pan wstać - powiedział Assad.

Eddie powoli wstał, pilnując, żeby Assad widział, że jego palec nie znajduje się w pobliżu spustu.

- Przyszliśmy pomóc panu uciec.

Do pokoju ostrożnie wszedł Hali. Assad przyglądał mu się przez chwilę, potem odwrócił się z powrotem do Eddiego. Seng zdjął kapelusz i okulary, żeby portowy pilot mógł zobaczyć jego twarz.

- Pamiętam pana z tamtej nocy. Był pan sternikiem. Wie pan, od tamtej pory wydawało mi się, że wariuję. Miałem wrażenie, że jestem obserwowany, a gdziekolwiek się obróciłem, widziałem dziwnie zachowujących się Chińczyków. Domyślam się, że wy możecie to wytłumaczyć.

- Wynająłem paru miejscowych chłopaków, żeby mieli na pana oko - powiedział Eddie, wsuwając pistolet za pasek spodni.

Assad podszedł do płaczącej kobiety, pomagając jej stanąć na grube nogi. Wytarła nos wierzchem dłoni, rozsmarowując mokry ślad na rzadkim wąsiku. Eddie domyślał się, że ważyła ponad sto kilo, a ponieważ mierzyła niewiele ponad metr pięćdziesiąt w szacie koloru palonej pomarańczy wyglądała jak piłka do koszykówki.

Tarik Assad nie był Adonisem, ze swoimi siwiejącymi włosami i zrośniętymi gęstymi brwiami, ale miał charyzmę i Eddie pomyślał, że stać go było na coś więcej niż ta krowa. Jeśli w grę nie wchodziła miłość ani pożądanie, musiało chodzić o informacje. W końcu była żoną sędziego.

Kiedy Libijczyk mruczał słowa otuchy do jej kalafiorowatego ucha, Eddie rozejrzał się po mieszkaniu. Dom sędziego był bogato urządzone - nowa skórzana kanapa z fotelami i marmurowy stolik do kawy, na którym ułożono lśniące czasopisma. Na drewnianej podłodze leżał imponujący orientalny dywan, a na półkach stały książki w jednakowych skórzanych oprawkach. Ściany zdobiły zawile hafty w ramach za szkłem. Prawdziwe rękodzieło, uznał Eddie. Lekki wietrzyk poruszał muślinowymi zasłonami drzwi balkonowych, a mieszkanie znajdowało się wystarczająco wysoko, żeby odgłosy ruchu w dole brzmiały jak ciche brzęczenie.

Assad klepnął swoją kochankę w pokaźny tyłek, wysyłając ją z powrotem do sypialni.

- To dobra dziewczyna - powiedział, zanim zdążyła się oddalić. - Niezbyt bystra i trochę mało wyglądna, owszem, ale to prawdziwa tygrysica tam, gdzie to się liczy.

Eddie i Hali zadrżeli.

- Podać panom coś do picia? - zaproponował Assad, kiedy drzwi sypialni się zamknęły. - Sędzia najbardziej lubi gin, ale przyniosłem szkocką whisky. Och, i przepraszam, że do was strzelałem. To był odruch. Myślałem, że to on.

- Myślę, że może pan przestać udawać, panie Assad.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Na twarzy Assada Eddie widział, o czym tamten myśli. Już od jakiegoś czasu był wystawiony, jak to się określało w wywiadowczym slangu, i zastanawiał się, czy dwóch nieznajomych jest dla niego drogą ucieczki.

W końcu lekko się zgarbił.

- Dobrze. Koniec gry. - Chociaż wciąż mówił po angielsku z akcentem, teraz ten akcent się zmienił. - Mam przechlapane niezależnie od tego, co się stanie, więc to już nie ma znaczenia. Skąd

jesteście? Kiedy spotkaliśmy się na waszym statku, pomyślałem, że z CIA.

- Blisko - odparł Eddie. - To jest Hali Kasim. Ja nazywam się Eddie Seng.

- Jesteście w Libii, żeby dowiedzieć się, co się stało z waszą sekretarz stanu?

- Tak. Ale nasze zadanie przekształciło się też w łowy na Sulejmana Al-Dżamę.

- Tak jak się spodziewałem. Jego organizacja jest jak ośmiornica, której macki oplatają wszystkie szczeble libijskich władz. Działają w cieniu, infiltrują jeden po drugim wszystkie wysokie urzędy.

- Kim pan jest i co pan tu robi?

- Nazywam się Lev Goldman.

Olśnienie spadło na Eddiego niczym cios w żołądek.

- Mój Boże, Mossad. Mamy informacje, że jesteś tu od pięciu lat.

- Nie. Na tyle sięga w przeszłość mój kamuflaż. Przyjechałem do Trypolisu półtora roku temu. Tel Awiw podejrzewał, że Al-Dżama zamierza przejąć władzę nad jakimś północno-afrykańskim państwem drogą powolnych intryg. Wysłali głęboko utajnionych agentów do Maroka, Algierii, Tunezji i tutaj, żebyśmy mieli oko na władze. Kiedy stało się jasne, że celem jest Libia, pozostałych agentów wycofano, a ja zostałem.

- A te kobiety?

Goldman jeszcze bardziej ściszył głos.

- Samotne żony ludzi władzy. Najstarsza sztuczka w podręczniku.

- A twoja praca w porcie?

- Nie przewinie się tamtędy nic, o czym bym nie wiedział. Broń, zapasy, wszystko, co Al-Dżama tu ściągnął. W tym zmodyfikowany śmigłowiec szturmowy Hind, który kupili od Pakistańczyków. Był używany wysoko w górach Kaszmiru i może osiągać pułapy niedostępne dla zwykłego helikoptera. Nie miałem pojęcia, do czego był im potrzebny, dopóki nie rozbił się samolot Fiony Katamory.

- Członkowie naszego zespołu go załatwili - powiedział Eddie. - Uratowali też około setki ludzi, którzy pracowali kiedyś w libijskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Kiedy Ali Ghani został mianowany ministrem, rozeszły się pogłoski o czystkach, chociaż prasa donosiła, że wszyscy, których odwołano, przeszli na emeryturę albo zostali przeniesieni do innych urzędów. To wciąż państwo policyjne, więc wszyscy wiedzieli, że nie należy podważać oficjalnych komunikatów.

- Posłuchaj, możemy o tym wszystkim pomówić później. Musimy cię stąd wydostać. Tajna policja obstawiała twój dom i biuro.

- A myślicie, że dlaczego się tu ukrywam?

- Jakie masz opracowane strategie ucieczki?

- Mam parę, ale myślałem, że zostanę ostrzeżony przez moich informatorów. Teraz improwizuję. Planowałem napaść sędziego, kiedy wróci z pracy i ukraść jego samochód. Mam elektroniczne urządzenie, które przekaże moje położenie do izraelskiego satelity. Mam rozkazy wyjechać jak najdalej się da na południową pustynię i czekać na wojskowy helikopter zamaskowany jako jednostka agencji pomocowej wykonująca pracę charytatywną dla uciekinierów z Darfuru w Czadzie.

- Możemy cię wydostać o wiele szybciej i bezpieczniej, ale musimy ruszać natychmiast.

Kiedy tylko Eddie to powiedział, zadzwonił jego telefon. Odebrał, nic nie mówiąc, słuchał przez kilka sekund i się rozłączył.

- Za późno. Nasi ludzie właśnie zameldowali, że podjechała tu policyjna furgonetka. Słyszą też

nadlatujący helikopter. Zanim podejda, zamkną pierścień obławy.

- Mam tajne wyjście z budynku, ale nie uciekniemy tamtędy wystarczająco daleko. Przygotowałem je na wypadek, gdyby sędzia wcześniej wrócił do domu.

Eddie podjął szybką decyzję.

- Rozdzielimy się. Hali, zostań z Levem. Przedostańcie się do ambasady, ale nie naszej. Spróbujcie ze Szwajcarią albo jakimś innym nie sprzymierzonym krajem. Będziecie tam bezpieczni, dopóki to wszystko się nie skończy.

- A ty?

- Ja odwrócę ich uwagę. Lev, gdzie jest główna łazienka?

- Tędy. - Goldman wskazał zamknięte drzwi sypialni.

Wszyscy trzej weszli do środka. Lev i żona sędziego rozmawiali przez chwilę - on starał się ją uspokoić, ona oskarżała go o Bóg wie co. Eddie zignorował ich i zapalił światło w łazience. Przetrzęsnał kilka szuflad, aż znalazł to, czego potrzebował.

Najpierw zmierzwił włosy, żeby nadać im wyglądu loków Goldmana, potem obsypał je talkiem imitującym siwiznę. Połączył brwi kredką do oczu, a potem kłębkami papieru toaletowego i butelką tuszu do rzęs naniósł sobie na twarz ciemny siny zarost Leva.

Goldman zobaczył, co Eddie robi i ściągnął do zamiany swoją koszulę portowego pilota. Eddie rzucił mu swoją i obaj się przebrali.

Izraelski agent wyszedł z łazienki i zaprowadził ich do garderoby żony sędziego. Odsunął na bok wiszące ubrania, ignorując coraz bardziej skamlący ton pytań kobiety. Przesunął dość cuchnącą szafkę na buty i odsłonił deskę przyciśniętą do tynkowanej ściany. Kiedy ją odciągnął, ukazała się pionowa pusta przestrzeń szerokości około sześćdziesięciu centymetrów. Po drugiej stronie widać było tył wyłożonej deskami ściany sąsiedniego mieszkania. Szpary między łatami wypełniały bąble gipsu. Z góry, przez dwa zakurzone świetliki, sączyło się światło.

- To pozostałość z czasów, kiedy były tu biura - wyjaśnił Lev. - Znalazłem ją na starych planach. Na dole wyciąłem drugą dziurę, prowadzącą do garażu.

- Dobra, wy dwaj schodzicie. Hali, weźmiesz nasz samochód i zabierzesz Leva z garażu. Kordon nie powinien być jeszcze zbyt ścisły, a przy odrobinie szczęścia policja skupi się na mnie.

- O ile to policja - powiedział Goldman. - Pamiętajcie, Al-Dżama kieruje gabinetem cieni wewnątrz rządu Kaddafiego.

- Czy to ma rzeczywiście jakieś znaczenie? - spytał Hali, wsuwając nogę w otwór.

Zaparł się stopami o przeciwległe ściany i powoli zaczął schodzić. Jego ruchy wzbijały gęstą chmurę drobnego białego kurzu, a stare łaty wyginały się pod jego ciężarem. Kawalki gipsu odrywały się i spadały w ciemność na dole.

Goldman musiał wyplątać się z objęć przerażonej kochanki. Makijaż spływał jej ciemnymi smugami po rumianych policzkach, a ciężkie piersi unosiły się i opadały z każdym szlochem.

- Kobiety - mruknął, kiedy w końcu się uwolnił i ruszył w ślad za Halim.

Eddie poszedł za nim, ale zamiast zejść w dół, przeszedł kawalek w bok, żeby strącone przez niego kawalki gipsu nie trafiły dwóch mężczyzn poniżej, i zaczął się wspinać. Do pokonania miał tylko jedno piętro, więc już po paru chwilach wcisnął się pod jeden ze świetlików. W szybie było gorąco i duszno; brak powietrza ściągał go w dół tak samo mocno jak grawitacja.

Słyszał łopot wirnika policyjnego śmigłowca i ocenił, że ma jeszcze kilka sekund. Kit mocujący szyby do metalowej ramy wysechł na kamień i odszedł pod niewielkim naciskiem.

Nad świetlikiem przesunął się cień. Helikopter.

Eddie z trudem przełknął ślinę i wypchnął jedną z dużych szyb. Huk wirnika się podwoił; chociaż Seng wystawił się na południowe słońce, miał wrażenie, że wchodzi do klimatyzowanego pomieszczenia.

Przetoczył się po płaskim smolistym dachu i poderwał na nogi. Śmigłowiec był kilka przecznic dalej, unosił się w powietrzu jakieś sto metrów nad domami. Eddie musiał czekać prawie minutę, zanim został zauważony. Wielka maszyna skręciła w powietrzu i grzmiąc, ruszyła w jego stronę. Boczne drzwi miała otwarte, stał w nich policyjny snajper z karabinem z lunetą przyłożonym do ramienia.

Eddie pobiegł w stronę ściany dzielącej ten budynek od następnego; jego stopy zapadały się lekko w ciepłą smołę. Ściana sięgała mu do piersi, a jej szczyt zwieńczono zabetonowanymi ostrymi kawałkami szkła, żeby zapobiec rzeczom takim jak ta, którą Seng właśnie chciał zrobić.

W przeciwieństwie jednak do drutu kolczastego, który nigdy nie traci ostrości, szkło było przez dziesiątki lat smagane wiatrem i prawie gładkie. Odłamki pokruszyły się, kiedy Eddie przeskoczył przez murek i wylądował z drugiej strony.

Drugi dach był prawie identyczny jak pierwszy - rozległa przestrzeń smoły zmieszanej ze zwirem, obudowa mechanizmu windy i dziesiątki talerzy satelitarnych oraz niedziałających anten.

Śmigłowiec przeleciał nisko nad dachem; Eddie upewnił się, że snajper zobaczył jego twarz. Miał nadzieję, że wygląda wystarczająco podobnie do Tarika Assada. Odpowiedź otrzymał sekundę później, kiedy krótka seria trzech pocisków z broni automatycznej zabębniła w dach pod jego nogami.

Teraz, skoro policja była przekonana, że poszukiwany jest na dachu, Hali i Goldman powinni uciec niezauważeni.

Eddie popędził na tył budynku, krętą trasą, żeby zmylić strzelca, i już miał skoczyć z krawędzi dachu, kiedy zobaczył, że w przeciwieństwie do domu kochanki Goldmana ten nie miał schodów pożarowych. Do ściany przymocowana była tylko prosta metalowa drabinka - śmiertelna pułapka, gdyby zdecydował się na nią ze snajperem tak blisko nad głową.

Obejrzał się w kierunku, z którego przybiegł. Gdyby zawrócił, biegłby prosto na krążący śmigłowiec, zamiast tego więc pognął do następnego murku dzielącego dachy. Przeskakując go, rozciął sobie głęboko dłoń - nie wszystkie kawałki szkła wiatr wygładził tak samo.

W dach zabębniły kolejne pociski, bryzgając gorącą smołą, która zapiekła Eddiego w policzek. Wyciągnął pistolet i odpowiedział ogniem. Chociaż nie próbował trafiać, pilot i tak musiał na chwilę się wycofać.

Pełnym pędem pobiegł w stronę następnego budynku, przesadził trzeci murek i o mało nie runął w dół. Trzeci dach był o całą kondygnację niżej niż poprzednie, a za nim rozciągał się pusty plac budowy. Wisząc na koniuszkach palców, Eddie rozejrzał się szybko za drogą pożarową, ale nic takiego nie zobaczył - nawet budki z mechanizmem windy.

Postanowił podciągnąć się z powrotem i znaleźć inną trasę, kiedy snajper wycelował w jego dłoń. Pociski wbiły się w cegły i zaprawę, zmuszając Eddiego, żeby się puścił. Seng przetoczył się po dachu, wytłumiając uderzenie, ale to, że przeżył upadek z trzech metrów, nie znaczyło, że nie był w pułapce.

29.

Kiedy Hali Kasim dotarł na dno szybu wentylacyjnego, był pokryty kurzem, a ramiona i kolana wściekle go bolały. Obiecał sobie, że kiedy wróci na „Oregona”, zacznie spędzać więcej czasu na okrętowej siłowni. Widział, jak szybko i bez wysiłku wspinał się Eddie, a były agent CIA był od niego prawie dziesięć lat starszy.

Dno szybu było zaśmiecone kawałkami gipsu i zaschniętymi warstwami gołębiego łajna. Lev Goldman pokonywał właśnie ostatnie kilka metrów. Pot wypłukiwał kanaliki w brudzie na jego twarzy, a kurz pokrywający brodę postarzał go o dwadzieścia lat.

- W porządku? - wysapał Hali, opierając ręce na kolanach.

- Chyba trzeba było wymyślić lepszą trasę ucieczki - przyznał Izraelczyk, starając się nie kaszleć w zapyłonym powietrzu. - Chodź. Tędy.

Poprowadził Kasima w głąb budynku, do miejsca, gdzie nisko przy podłodze nacięto łąty. We dwóch zaczęli kopać odsłonięty kwadrat gipsu pół na pół metra. Z początku ledwie pękał pod ich uderzeniami, potem jednak kilka kawałków odpadło. Goldman rękami zaczął wrywać trzycentymetrowej grubości kawały, aż otwór był wystarczająco duży, żeby się przez niego przecisnąć.

Wyszli w podziemnym garażu. Był prawie pusty, stało tu zaledwie kilka samochodów, zazwyczaj prowadzonych przez siedzące w domu żony. Gdyby któryś był starszym modelem, Hali spróbowałby odpalić go zwarciem w stacyjce, ale wszystkie były dość nowe i na pewno miały alarmy.

- Czekaj na mnie schowany przy wyjeździe - powiedział. - Nasz samochód stoi tuż za rogiem.

Otrzeptał się najlepiej, jak mógł i wybiegł po rampie na oślepiające słońce. Na ulicy rozgrywało się pandemonium. Wystrzały z helikoptera zmusiły wszystkich do ukrycia się. Pomarańcze ze sklepu spożywczego zaścielały chodnik po tym, jak ktoś wpadł na wystawę. Krzesła, na których dwaj starcy grali w tryktraka, leżały przewrócone. Nadjeżdżały policyjne furgonetki.

Hali nie musiał się bardzo starać, żeby wyglądać jak jeszcze jeden przestraszony Libijczyk. Dotarł do ich wynajętego samochodu i otworzył drzwi. Powietrze wypełniło wycie syren, zagłuszając nawet ciężki łoskot wirnika śmigłowca.

Silnik fiata odpalił przy pierwszej próbie. Hali miał tak spocone ręce, że wysliznęła mu się kierownica i stuknęła w zderzak samochodu przed sobą. Jego alarm zawtórował wyjąłym policyjnym syrenom.

Z furgonetki zaczęli wyskakiwać pierwsi policjanci w czarnych kombinezonach. W kilka sekund mieli otoczyć cały kwartał. Żaden jednak nie wydawał się zainteresowany niczym innym, jak tylko drzwiami wejściowymi do budynku. Podstęp Eddiego działał. Myśleli, że schwytali swoją ofiarę w pułapkę i zlekceważyli odpowiednie procedury.

Hali skręcił za róg powoli, ale nie zatrzymał się po Leva Goldmana, który wskoczył w biegu na fotel pasażera. Samochód spokojnie włączył się do ruchu na następnej bocznej ulicy.

Każde pokonane skrzyżowanie w postępie geometrycznym zwiększało obszar, który policja

musiałaby przeszukać, żeby ich znaleźć. Po ośmiu światłach Goldman poczuł się wystarczająco bezpiecznie, żeby wystawić głowę nad deskę.

- Zjedź na tę stację benzynową - rozkazał.

- Nie wytrzymasz?

- Nie o to chodzi. Musimy się zamienić miejscami. To oczywiste, że nie znasz tu dróg i nie jeździsz jak miejscowy. Tutaj nikt się nie przejmuje przepisami ruchu drogowego.

Hali skręcił na stację i zatrzymał się. Lev siedział przez chwilę, czekając, aż jego towarzysz wysiądzie, żeby mógł zająć jego miejsce. Zamiast tego musiał sam wysiąść, a Kasim prześliznął się na fotel pasażera.

Wrzucając bieg, zaśmiał się bez humoru.

- Wyszkolenie Mossadu mówi, że w takiej sytuacji to kierowca wysiada z samochodu.

Kasim popatrzył na niego sceptycznie.

- Naprawdę? To oznacza, że nikt nie siedzi za kierownicą przez kilka sekund dłużej. Powinniście pogadać ze swoimi instruktorami.

- Mniejsza z tym. - Lev uśmiechnął się szeroko, tym razem z nieudawaną radością. - Udało się.

Skręcał na chybił trafił, oddalając się od okolicy swojej kochanki.

- Przepraszam, jak się nazywasz?

- Kasim. Hali Kasim.

- To arabskie nazwisko. Skąd jesteś?

- Z Waszyngtonu.

- Nie, pytam o twoją rodzinę. Skąd pochodzą?

Skręcili w wąską uliczkę między dwoma wielkimi nijakimi budynkami. Hali uznał, że to skrót.

- Mój dziadek wyemigrował z Libanu, kiedy był mały.

- Więc jesteś muzułmaninem czy chrześcijaninem?

- A jaka to różnica?

- Jeśli jesteś chrześcijaninem, nie byłoby mi tak trudno zrobić tego. Wystrzał zabrzmiał w ciasnym wnętrzu fiata jak ostre splunięcie.

Krwawa mgiełka obryzgała szybę pasażera, kiedy pocisk wyszedł z piersi Halego. Goldman wystrzelił jeszcze raz z pistoletu z tłumikiem, ale w tej samej chwili samochód wpadł w wybój. Chybił; kula roztrzaskała szybę w kaskadzie drobniutkich odłamków.

Hali był w pierwszej chwili tak oszołomiony, że nie zrobił nic, by obronić się przed drugim strzałem. Czuł się, jakby ktoś przebił mu pierś rozpalonym pogrzebaczem; pod pas spodni spływało mu coś mokrego i gorącego.

Chwycił za pistolet. Goldman puścił kierownicę i niezdarnie uderzył go w bok, trafiając prosto w ranę. Hali wrzasnął z niewyobrażalnego bólu i puścił ciepłą lufę broni.

Zamiast toczyć walkę, której wygrać nie miał szansy, łokciem otworzył drzwi i wypadł z samochodu. Jechali może czterdzieści na godzinę i wylądował na tyłku, więc nie potoczył się, tylko przejechał po asfalcie, zdzierając skórę.

Natychmiast zapaliły się światła stopu fiata, ale zanim samochód się zatrzymał, Hali zdołał wyciągnąć pistolet z kabury na kostce. Wystrzelił, kiedy tylko zobaczył głowę Goldmana, wychylającego się ze środka. Chybił, więc strzelił jeszcze raz, tym razem celując przez samochód. Dźwięk rozpryskującej się szyby zabrzmiał jak maleńkie dzwoneczki. Odrzut pistoletu sprawiał, że Hali czuł się, jakby był kopany, ale nie przestawał strzelać. W samochód uderzyły trzy następne kule,

pozostałe odłupywały tynk z budynku za nim. Człowiek, którego Hali uważał za izraelskiego agenta, uznał, że nie warto ryzykować dalszej walki.

- Gdybyś tylko wysiadł na tej stacji benzynowej, po prostu bym cię zostawił - powiedział. - Drzwi fiata się zatrzasnęły i samochód odjechał z piskiem opon.

Hali upadł na plecy. Z rany wlotowej i wylotowej do rytmu jego unoszącej się i opadającej ciężko piersi wypływała krew. Podciągnął koszulę, żeby ocenić szkody. Z dziury po prawej stronie wydobywały się małe banieczki. Nie potrzebował doktor Huxley, żeby wiedzieć, że dostał w płuco i że jeśli szybko nie trafi do szpitala, będzie po nim.

Zaułek, w którym go oszukano i porzucono, był długi; w żadnym z wylotów nie było widać przejeżdżających samochodów. Idealnie to sobie zaplanował, pomyślał Hali, zgrzytając zębami, kiedy przy wstawaniu uderzyła go kolejna fala bólu. Kimkolwiek Goldman był, wykiwał ich po mistrzowsku.

Hali przeszedł ledwie kilka kroków, zanim upadł na ścianę i osunął się na ziemię, między potłuczone butelki, kolczaste chwasty i śmieci.

Jego ostatnią myślą, zanim zapadł w ciemność, była ulga, że Eddiemu najpewniej się uda. Nic nie mogło powstrzymać żyłastego byłego agenta CIA.

Eddie Seng mógł tylko mieć nadzieję, że Hali i Goldman są bezpieczni, bo on sam wpadł w poważne kłopoty. Policyjny helikopter z rykiem pojawił się nad jego głową; Eddie wpakował mu dwie kule w podłogę, zanim maszyna wyleciała poza zasięg pistoletu. Snajper nie miał takich ograniczeń i strzelił. Pociski załomotały w ścianę za Eddiem, znów zmuszając go do biegu. Strzelec poprawił cel, wiodąc za nim lufą, i wpakował kulę w dach tuż przy jego prawej stopie.

Eddie czuł się odsłonięty jak aktor na pustej scenie. Bez żadnej osłony było tylko kwestią czasu, kiedy kule znajdą cel. Przed nim dach kończył się niskim dekoracyjnym gzymsem, dalej zaś wznosiła się szkieletowa konstrukcja budowanego wysokościowca. Nawet olimpijskiemu skoczkowi w dal zabrakłoby do niej dobrych piętnastu metrów. Ramię dźwigu, który Eddie widział z Halim, było bliżej, ale gdyby do niego doskoczył, i tak nie miałby się czego chwycić.

Przesuwało się na tle nieba; Eddie widział sunące w górę stalowe liny, ale nie miał pojęcia, co jest właśnie wciągane na górne piętra budynku.

W tym momencie nie miało to znaczenia.

Wystartował z miejsca i popędził prosto przed siebie, bez żadnych zakosów. Snajper nad nim dobrze wycelował i zasypał go nawałą kul, uderzających tuż za nim. Tuż przed gzymsem Eddie zobaczył, że dźwig podnosi paletę kartonowo-gipsowych płyt. Skorygował lekko prędkość, odbił się jedną stopą od gzymsu i poleciał w przestrzeń, przeskakując przez kłującą chmurę eksplodującego tynku.

Poleciał w przód i w dół. Dwudziestometrowa przepaść ciągnęła w dół, żołądek kurczył się od gwałtownego przyspieszenia. Paleta płyt była cztery metry pod nim, kiedy skoczył, i jechała w górę, więc kiedy na nią spadł, skręcił kostkę i omal nie zsunął się z drugiej strony.

Zanim zdołał chwycić stalową linę, jego ciężar przeważył ładunek. Płyty się przechyliły i Eddie musiał podeprzeć się skrzyconą nogą.

Gipsowe tafle zaczęły się przesuwać, kąt był coraz większy. Eddie skoczył na najbliższą linę, kiedy dwie tony ładunku się ześliznęły. Płyty rozdzieliły się, spadając, jakby jakiś olbrzym cisnął w powietrze talię kart.

Palce Eddiego zacisnęły się na stalowej linie. Całe jego ciało spazmatycznie podrygiwało, bo linka sprężynowała po utracie obciążenia. Udało mu się poprawić uchwyt i zaczepić o nią jedną nogą.

Operator dźwigu wykazał się refleksem. Obserwował ładunek ze swojej kabiny, widział, jak jakiś człowiek zeskakuje na niego z sąsiedniego budynku i wiedział, dlaczego ciężkie płyty spadły. Zamiast tracić czas i powoli opuszczać zwisającą postać na ziemię, zablokował bęben z liną i dalej przesuwiał ramię w stronę budowanej konstrukcji.

Hak na końcu liny był dość ciężki, żeby wahadłowym ruchem wrzucić Eddiego do środka budynku przez niezabudowaną ścianę. Eddie puścił linę i potoczył się po betonowej podłodze. Robotnicy, którzy widzieli jego wyczyn, znajdowali się kilka pięter wyżej. Zejście na dół po drabinach ustawionych w niedokończonyj klatce schodowej miało im zabrać kilka chwil.

Oszczędzając nadwerżoną kostkę, Eddie pokuśtykał na krawędź budynku, gdzie zamontowano zsyp na gruz. Zajrzał do środka. Zsyp był metalową rurą średnicy około sześćdziesięciu centymetrów, kończącą się tuż nad dużym zielonym kontenerem stojącym na pace ciężarówki. Eddie wsunął się do środka - sprawną nogę oparł o ścianę, rękami zaparł się za sobą. Schodził miarowo i pewnie. Bał się tylko tego, że ktoś wyżej może wrzucić coś do zsypu.

Wylądował lekko na kawałach betonu i zbrojenia, wydartych ze źle wylanego fragmentu konstrukcji. Kilka sekund później był już na ziemi i szedł przez plac budowy. Wszyscy cały czas zakładali, że znajduje się na drugim piętrze, więc nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Co ważniejsze, snajper w helikopterze obserwował budynek, a nie samotną postać idącą przez plac.

Obok pompy tłoczącej beton zbrojonymi węzami na górne piętra budowy stał cementowóz. Miał wysuniętą rynnę - betonowa zaprawa spływała nią do podajnika pompy. Eddie wskoczył na przedni zderzak, wspiał się na błotnik od strony kierowcy i chwycił wspornik dużego bocznego lusterka, zanim kierowca w ogóle go zauważył. Seng wskoczył do środka przez otwarte okno, trafił go w szczękę sprawną stopą i opadł na fotel, kiedy mężczyzna upadł na bok.

Cała ciężarówka wibrowała od pracy olbrzymiego bębna, kręcącego się tuż za kabiną. Eddie kopnięciem zepchnął nieprzytomnego kierowcę na podłogę po stronie pasażera, wrzucił pierwszy bieg i ruszył. Nie słyszał krzyków zaskoczonych robotników, ale widział w bocznych lusterkach, jak biegną za cementowozem.

Pojechał przez plac budowy gruntową drogą. Mokry cement lał się za nim na ziemię, jakby cementowóz był jakimś mechanicznym potworem z biegunką. Śmigłowiec musiał zaalarmować siły naziemne, że ich człowiek przeskoczył na budowę, bo do bramy z drucianej siatki biegło pół tuzina policjantów, kiedy Eddie się przez nią przebił, roztrącając ludzi jak kręgle.

Zakręcił kierownicą i stalowa rynna przeleciała na drugą stronę jak baseballowy kij w pełnym zamachu, przewracając jeszcze dwóch policjantów i wybijając szybę zaparkowanego sedana. W pościg ruszył za nim policyjny samochód z wyjącą syreną. Kiedy się z nim zrównał, Eddie mocno zahamował i przekręcił kierownicę. Cementowóz wjechał w maskę radiowozu; waga ciężarówki i ładunku cementu rozwalila mu chłodnicę i przednie opony. Tylne koła cementowozu uderzyły poślizgiem w bok sedana i zablokował oba wąskie pasy drogi.

Rynna przeleciała na drugą stronę, wybijając szyby innego samochodu. Odbijała się w tę i z powrotem jak metalowy ogon, tłukąc w auta i trzymając na dystans policyjny pościg.

Eddie widział, że policjanci zwolnili, żeby otworzyć ogień, ale ich strzały odbił olbrzymi, obracający się bęben i cementowóz z każdą sekundą się oddalał. Nie radiowozy były problemem, ale

krażący w górze helikopter. Eddie nie zdołałby uciec, gdyby śmigłowiec śledził każdy jego ruch i podawał przez radio pozycję.

Kiedy wyjechał z dzielnicy, ulica wyprostowała się i poszerzyła. Z oddali z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę zbliżały się trzy kolejne radiowozy, rytmicznie migając kogutami. Razem z nimi szarżował jakiś opancerzony pojazd. Eddie założył, że będzie wyposażony w ciężki karabin maszynowy.

Wcisnął gaz do podłogi, redukując bieg, żeby jak najszybciej przyspieszyć. Kiedy od patrolowców dzieliło go trzydzieści metrów, stanął na hamulcu i mocno zakręcił kierownicą. Przedni błotnik zahaczył o tylny róg dużej dostawczej ciężarówki i to wystarczyło, żeby cementowóz stracił równowagę. Stanął na zewnętrznych kołach, wciąż obracając się bokiem, a potem runął na bok.

Eddie trzymał się kierownicy, żeby nie polecieć na drzwi pasażera; łokciem osłonił twarz przed latającymi odłamkami pękającej przedniej szyby. Nieprzytomny kierowca był wepchnięty pod fotel i sypiące się szkło mu nie zagrażało.

Uderzenie o ziemię było wystarczająco mocne, żeby pękły sworznie mocujące gruszkę do ciężarówki i ogniwa napędzającego ją łańcucha. Reszty dokonał pęd.

Jedenaście ton stali i betonu potoczyło się ulicą, kołysząc się na boki od chlupoczącego w środku cementu. Dwa policyjne wozy zdążyły zniknąć z drogi i zjechać na chodnik - jeden uderzył w słup, drugi znieruchomiał wbity w ścianę. Samochód pancerny i trzeci radiowóz były bliżej i nie miały żadnej szansy. Gruszka wtoczyła się po masce transportera i zerwała mu wieżyczkę. Strzelec zostałby rozerwany na pół, gdyby w ostatniej chwili się nie schował.

Olbrzymia beczka spadła z powrotem na drogę, krusząc asfalt swoim ciężarem, a potem zahaczyła radiowóz wystarczająco mocno, by spłaszczyć mu cały tył. Znieruchomiała pod ścianą budynku; z jej otwartej paszczy sączył się cement gęsty jak pasta do zębów.

Eddie chwycił zapasową koszulę roboczą, która wisiała na haczyku na tylnej ścianie kabiny i wyszedł przez rozbitą przednią szybę. Ciężarówka zasłaniała go policjantom w śmigłowcu, więc poświęcił kilka sekund na wytarcie makijażu z twarzy i włożenie koszuli. Ból, którym promieniowała jego kostka, Eddie miał pod kontrolą, więc oddalając się od cementowozu, nie utykał. Po kilku krokach przystanął i zaczął się gapić razem z ludźmi, którzy wysypali się z domów i sklepów, żeby popatrzeć na wypadek. Ot, tak, po prostu został jednym z gapiów.

Kiedy policja przyjechała i zaczęła przesłuchiwać świadków, został całkowicie zignorowany. Szukali Libijczyka, a nie Azjaty, który nie mówił po arabsku. Powoli odsunął się od sceny zajścia i nikt go nie zatrzymywał. Pięć minut po telefonie do wynajętych członków gangu siedział w furgonetce jadącej w zupełnie inną stronę.

Dziesięć kilometrów dalej, w wynajętym fiacie, Tarik Assad rozmawiał przez komórkę.

- To ja. Był dzisiaj nalot. Policja prawie mnie dopadła. Po pierwsze, dowiedz się, dlaczego nie zostałem ostrzeżony. To nie miało prawa się stać. W ucieczce pomogli mi trochę ludzie z tego cholernego statku. Wyciskałem z nich informacje, kiedy zjawiała się policja.

Przez chwilę słuchał.

- Nie takim tonem! To ty zorganizowałeś zasadzkę na drodze na wybrzeżu i to byli twoi wybrani ludzie. Obaj widzieliśmy raport ze śledztwa dzięki naszemu kretowi w policji. Zamiast przepuszczać samochody bez przeszkód, twoi rzekomo dobrze wyszkoleni ludzie wymuszali od kierowców łapówki. Nie wiem, jak tym amerykańskim najemnikom udało się ich wszystkich pozabijać, ale to

zrobili. Potem rozwalili naszego hinda, uwolnili większość więźniów i ogólnie popsuli doskonale realizowany plan... Co? Tak, powiedziałem uwolnili. Ich statek musiał cumować przy pomoście w porcie węglowym. Nasi ludzie widzieli tonący pusty wagon... Skąd mam wiedzieć? Może ta łajba jest szybsza, niż się wydaje, albo ludzie w helikopterze są głupszy niż ci, których wysłałeś, żeby zatrzymali ciężarówkę.

- Muszę się wydostać z miasta - ciągnął. - Właściwie nawet z kraju. Znam pilota, który sprzyja naszej sprawie. Poproszę go, żeby śmigłowcem zawiózł mnie tam, gdzie nasi szukają grobowca Sulejmana Al-Dżamy i przejmę dowodzenie. Mimo przeszkód wygląda na to, że pod tym względem masz wszystko pod kontrolą. Fiona Katamora powinna już być u kata, a pułkownik Hassad dzwonił i mówił, że nasz oddział męczenników jest w drodze.

- Nie będę się odzywał, dopóki to się nie skończy. Powiem więc tylko, że Allah nam wszystkim błogosławi.

Rozłączył się i rzucił szyfrowany telefon na fotel obok siebie. Był człowiekiem, który zawsze potrafił trzymać na wodzy swoje emocje. Nie przeżyłby tak długo, gdyby było inaczej. Dzisiejsze wypadki go rozwścieczyły. Nie kłamał, mówiąc, że mieli szpiegów i sympatyków na wszystkich szczeblach libijskiego rządu. Uprzedzono go wystarczająco wyraźnie, że policja obstawiła jego dom i biuro, więc powinien o nalocie wiedzieć.

Wyglądało na to, że najwyższemu przywódcy Muammarowi Kaddafiemu trzeba było przypomnieć o granicach jego autonomii.

30.

Poruszając się najwolniej, jak potrafił, Eric Stone sięgnął pod siebie i ostrożnie przekręcił kamień, który od piętnastu minut wbijał mu się w żebra. Wyczuł dezaprobatę leżącego obok Franklina Lincolna. Po drugiej stronie leżał Mark Murphy, a obok niego Linda Ross. Za nią Alana Shepard.

Mimo wszystkiego co przeszła, mimo obecnego zagrożenia atakiem terrorystów, archeolog uparła się, żeby jechać z nimi. Doktor Huxley pobieżnie ją zbadała i zgodziła się.

Ze względu na swoją rangę w Korporacji grupą dowodziła Linda, więc wszystko zależało od niej. Uznała, że Cabrillo odrzuciłby ten pomysł, dlatego nie zawracała mu głowy, zgadzając się, żeby zabrali Alanę ze sobą.

Leżeli na grzbiecie wzgórza nad korytem wyschniętej rzeki, gdzie Alana i jej zespół spędzili tyle tygodni, szukając zaginionego grobowca Sulej mana Al-Dżamy. Pod nimi był tuzin terrorystów z obozu szkoleniowego. Może i potrafili zabijać i okaleczać, ale na archeologii nie znali się zupełnie. Ich dowódca nie miał pojęcia, co robi - kazał swoim ludziom kręcić się po całej dolinie, przewracać wybrane na chybił trafił kamienie i wspinać się na strome brzegi w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów położenia grobowca. W tym tempie za cztery czy pięć godzin dotarliby do starego wodospadu, który znalazła Alana.

Z terrorystami był profesor Emile Bumford. Bez lornetki trudno było powiedzieć - nie mogli jej użyć z obawy, że zdradzi ich słońce odbijające się od szkieł - ale nie wyglądał najgorzej. Szukał wraz z pozostałymi, a chociaż poruszał się wolno, nie utykał i wydawało się, że nie odniósł żadnych ran. Nigdzie nie było widać przedstawiciela tunezyjskiego ministerstwa archeologii ani jego syna. Wziął pieniądze za zdradzenie Amerykanów i prawdopodobnie był już z powrotem w Tunisie.

Nie widać było także starego Mi-8, którego terroryści używali jako bazy, więc najemnicy uznali, że musi czekać dalej w dole rzeki i doleci do poszukiwaczy, kiedy dojdą do wyznaczonego punktu.

Linc postukał Erica w nogę, dając sygnał do wycofania się ze wzgórza. Odpełził w tył najostrożniej, jak umiał, za nim Linda, Mark i Alana. Były komandos SEAL został na swoim miejscu jeszcze kilka sekund, upewniając się, że nikt w dole nie zauważył poruszenia.

Odprowadził grupę dwadzieścia minut na południe, zanim uznał, że można bezpiecznie mówić - choćby szeptem.

- Co myślicie? - spytał Mark.

- Musimy chyba zadać sobie pytanie, CBZJ? Mark popatrzył na Linca ze zdziwieniem.

- Co by zrobił Jezus?

- Nie. Co by zrobił Juan.

- To proste - odparł Eric. - Załatwiłby złych, znalazł grobowiec i jakimś cudem przespał się z beduińską dziewczyną.

Alana musiała zasłonić usta, żeby się nie zaśmiać.

- Poważnie - ciągnął Linc. - Teraz, kiedy wiemy, gdzie są źli, zostało nam tylko kilka godzin, zanim dotrą do wodospadu. Macie jakiś pomysł, geniusze, jak znaleźć grobowiec?

- Musimy zobaczyć wodospad, żeby mieć pewność, ale tak, mamy parę pomysłów.

Alana po raz pierwszy usłyszała o ich planach.

- Chwileczkę - powiedziała. - Sama widziałam te stare wodospady. Nie ma możliwości, żeby pokonał je statek żaglowy. Są za strome. Ten na samej górze to praktycznie pionowa skała.

- Nie doceniasz nas - odparł łagodnie Eric.

- Plan jest taki. - Linda popatrzyła w oczy wszystkim członkom zespołu. - Spróbujemy znaleźć grobowiec. Linc, ty zostaniesz z tyłu i będziesz miał oko na tych facetów. Daj znać przez radio jakąś godzinę, zanim dotrą do wodospadów, żebyśmy zdążyli się zwinąć. Jakies pytania?

Nie było żadnych.

Chociaż mieli już za sobą marsz do doliny z odległego miejsca, w którym wylądował śmigłowiec, dwie kobiety i dwaj mężczyźni wciąż w dobrym czasie pokonali dziesięć kilometrów dzielących ich od pierwszych katarakt przegradzających bezimienną rzekę. Trzymali się wierzchołka urwiska nad korytem i kiedy dotarli na miejsce, mieli widok z lotu ptaka. Linda rozkazała Alanie zostać z mężczyznami, a sama poszła na zwiad. Mark i Eric zajęli pozycje nad urwiskami i metodycznie obserwowali je przez lornetki.

Dopiero z góry - czego Alana i jej partnerzy nigdy nie mieli okazji zrobić - widoczna stawała się osobliwość koryta. W górę od pierwszej katarakty rozciągała się naturalna niecka, zajmująca całą szerokość rzeki, basen stworzony przez litą skałę, która przez tysiąclecia opierała się działaniu erozji. Miał około trzydziestu metrów długości, a od strony góry nurtu kończył się następnym urwiskiem, tyle że było zaledwie półtora metra wyższe od poprzedniego. Wzdłuż całej jego długości biegł zbudowany ludzkimi rękami mur ze spojonych zaprawą kamieni. W przeciwieństwie do koryta rzeki, wymytego do czysta przez potężne prądy płynące niegdyś między brzegami, dno basenu pełne było wygładzonych wodą okrągłych głazów.

Z góry Alana zobaczyła fundamenty starożytnego muru, który dawno się już zawalił, ciągnącego się od podstawy pierwszego wodospadu jakieś trzydzieści metrów w dół koryta.

Kiedy zauważyła głazy, pożyczyła od Erica lornetkę i przez kilka minut im się przyglądała, jakby oczekiwała, że zaczną się ruszać. Nic się nie zmieniło, a mimo to opowiedziały jej historię o tym, co się działo wyżej w górach.

- To bazalt - powiedziała, oddając lornetkę. - Tak samo jak ten mur.

- No i?

- To pierwszy ślad czegoś innego niż piaskowiec w tym całym zapomnianym przez Boga kraju. Oznacza to, że gdzieś w tej okolicy miała miejsce jakaś aktywność wulkaniczna.

- A to znaczy? - zapytał Mark.

- Że mogą tu być jaskinie.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

W głosie Alany pojawiło się rozczarowanie.

- Ale to nic nie zmienia. Al-Dżama nie mógł przepłynąć swoim statkiem wodospadów. Koniec, kropka.

- Patrzysz na to miejsce jak geolog, a nie inżynier. - Mark odwrócił się do Erica. - Jak myślisz, gdzie?

- Musieliby je postawić na obu brzegach. Rzeka jest o wiele za szeroka na tylko jeden. - Wskazał płaską półkę tuż nad brzegiem. - Tam po naszej stronie i to wzniesienie sześć metrów wyższe po drugiej.

- Zgadzam się.

- O czym wy mówicie? - spytała Alana. Dotychczas знаła ich tylko jako żołnierzy. Nie wiedziała, co ma myśleć o Ericu Stonie i Marku Murphym. Dla niej byli maniakami techniki, a nie najemnikami, i rozmawiali prywatnym dialektem, który tylko oni dwaj rozumieli.

- Żurawie - powiedzieli jednocześnie. - Pokażemy ci - dodał Eric.

Zeszli w dół na półkę. Nawet podczas wiosennych roztopów znajdowałyby się około metra nad poziomem wody. Ciągnęła się niemal równo z pierwszym poprzecznym uskokiem koryta i była dość duża, by pomieścić autobus. Dwaj mężczyźni zaczęli uważnie przyglądać się ziemi. Kiedy coś przykuwało ich uwagę, schylali się i odgarniali piach pokrywający piaskowiec.

- Mam - zawołał cicho Mark. Kucnął i odkopywał idealnie okrągłą dziurę o trzydziestocentymetrowej średnicy wywierconą w skale. Nie sięgnął jej dna, nawet kiedy położył się na ziemi i wsunął rękę po bark.

- Co to jest? - spytała Alana.

- Tutaj obsadzili maszt żurawia - odparł Murph. - Najprawdopodobniej okorowany pień drzewa. Do niego pod kątem przymocowano ramię sięgające do połowy szerokości rzeki. Jak widać po średnicy otworu, ramię było potężne i mogło udźwignąć kilka ton. Na drugim brzegu pewnie był taki sam.

- Nie rozumiem. Do czego służyły?

- Przy ich użyciu mogliby opuszczać do rzeki kamienie...

- Nie kamienie - sprostował szybko Eric. - Rozmawialiśmy o tym. Użyliby plecionych koszy albo worków z płótna żaglowego, napełnionych piaskiem. W ten sposób rozpuściłyby się w końcu w nurcie.

- Niech będzie - powiedział Mark z irytacją. Alana mogła być kilkanaście lat starsza od niego, ale była atrakcyjna, a jedyną nadzieją Murpha, kiedy chodziło o kobiety, było popisywanie się intelektem. - Wielkie wory piasku opuszczano na mur zbudowany poniżej pierwszego uskoku, żeby podzielić koryto rzeki. W ten sposób mogli wyhamować jej bieg bez całkowitego zatrzymywania. Ich konstrukcje ziemne nie wytrzymałyby pełnej siły nurtu.

- Kiedy „Saqr” wpływał w pewnego rodzaju śluzę, wpuszczali do komory określoną ilość wody, podwyższając mury w miarę podnoszenia się jej poziomu, aż byli w stanie przeciągnąć statek do następnej, tej, którą stworzyła natura i która najpewniej zainspirowała inżyniera starego Sulejmana.

- Potem powtarzali to samo od początku - dodał Eric - i przeciągali „Saqra” przez górny wodospad.

- Wymyśliliście to wszystko, nawet tu nie przyjeżdżając? - W głosie Alany słychać było szacunek.

Mark otworzył usta, żeby zacząć się chwalić, ale Eric wyprzedził go z wyjaśnieniami.

- Śluza - powiedział z typowym dla siebie entuzjazmem - to jedyna rzecz, która tłumaczy, co Henry Lafayette miał na myśli, pisząc o „przemysłnym urządzeniu”. Wiedząc to, przejrzelismy zdjęcia satelitarne, żeby potwierdzić naszą hipotezę.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Alana. - I trochę zła na siebie. Gapiłam się na tę głupią stertę głazów godzinami, ale nic takiego nie zobaczyłam.

Mark zamierzał wykorzystać jej słowa, żeby znów się trochę pochwalić, kiedy podeszła do nich Linda Ross tak cicho, że nikt jej nie usłyszał, dopóki nie znalazła się tuż za nimi.

- Musicie być trochę bardziej czujni chłopaki. Nawet nie próbowałam się skradać. Co

znaleźliście?

- Tak jak podejrzewaliśmy - powiedział Mark, rzucając Ericowi znaczące spojrzenie. - Podczas wyjątkowo suchego lata, kiedy rzeka wyschła zupełnie, ludzie Al-Dżamy przerobili wodospad na system śluz, żeby ukryć statek tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać.

- Czyli jaskinia jest dalej w górze koryta?

- Musi tam być.

- W takim razie ruszamy - powiedziała Linda.

Połączyła się przez radio z Lincem, żeby powiedzieć mu, co się dzieje i poinformować, że mogą stracić kontakt radiowy z powodu odległości i ukształtowania terenu. Linc musiał być blisko terrorystów, bo nie ryzykował odpowiedzi. Jego potwierdzeniem były dwa szybkie cmoknięcia w słuchawce Lindy.

Ruszyli na południe, maszerując w trzech czwartych wysokości brzegu, żeby ich sylwetki nie odcinały się na tle odległego horyzontu, a także żeby mieć jakąś osłonę przed wiatrem, który zaczynał wiać. W tym rejonie pustyni każdy mógł się poczuć jak pyłek. W górze rozciągało się spiżowe niebo, maszerujących przygniatał bezlitosny żar słońca. Każde z nich niosło całodzienny zapas wody, więc pragnienie nie było problemem, ale troje z nich było wycieńczonych brakiem snu i kilkoma ciężkimi dniami.

Członkowie Korporacji brnęli naprzód, bo uważali to za swój obowiązek. Alana maszerowała z nimi, bo gdyby tego nie zrobiła, nie pozbyłaby się nigdy obrazu martwych oczu Mike'a Duncana, leżącego na piasku z krwawiącą dziurą w czole. Była archeologiem i matką, i jej miejsce było daleko stąd, ale nie mogłaby sobie wybaczyć, gdyby z nimi nie poszła. Decyzja ta z pewnością nie była racjonalna, Alana jednak nigdy nie miała większego przekonania o słuszności tego, co robiła.

Ludzie, którzy ją porwali i zabili Mike'a, złamali zasady rządzące jej życiem i krótko mówiąc, pragnęła zemsty.

Trzy kilometry za wodospadem koryto rzeki dramatycznie się zmieniało. Piaskowcowe brzegi ustąpiły miejsca jasnoszarej skale, która miliony lat temu była słonowodną rafą, a potem zmieniła się w wapień.

- To musi być tu - powiedziała Alana, rozpoznając otoczenie. - Wapień słynie z jaskiń i grot.

Mark stuknął Erica w ramię i wskazał fragment przeciwległego brzegu.

- Co o tym sądzisz?

Pokazywał osuwisko w miejscu, gdzie fragment urwiska się oberwał i zepchnął tony kamiennego gruzu w koryto rzeki. Miało pięćdziesiąt metrów szerokości, a za nim brzeg był znacznie wyższy niż gdziekolwiek indziej.

- Bingo - powiedział Stone i przybił Murphowi piątkę. - Wlot do jaskini od strony rzeki został wysadzony i jaskinię zamknięto. Za tym gruzem znajduje się statek piracki Sulejmana Al-Dżamy, „Saqr”, jego grobowiec i możliwe, że Klejnot Jerozolimy.

Pierwszy entuzjazm ze znalezienia grobowca szybko znikł.

Alana wyraziła ich wspólną obawę na głos.

- Nie przerzucimy tyle gruzu bez ciężkiego sprzętu i kilku tygodni.

- Wciąż nie rozumiesz? - spytał poważnie Mark.

- O co ci chodzi?

- Tylne wejście - odparli chórem Stone i Murphy.

Zejscie na dno koryta i przejście pod drugi brzeg zabrało im dziesięć minut. Stanęli na

zawalonym fragmencie urwiska. Przeciwna strona wzniesienia od zachodu pustyni była zmagmatowanym labiryntem parowów i rozpadlin, które wyerodowały, kiedy Sahara była bujną subtropikalną dżunglą. Pierwsze wejście do jaskini znaleźli w kilka chwil po tym, jak podzielili się na pary i zaczęli systematyczne poszukiwania.

Eric wyciągnął z kieszeni na rękawie małą halogenową latarkę i wszedł w otwór wielkości człowieka. Trzy metry dalej korytarz zakręcał pod kątem prostym i kończył się litą skałą.

Linda i Alana znalazły drugą jaskinię, ciągnącą się nieco głębiej, ale również nagle kończącą. Trzecia była mniejsza od poprzednich; Eric i Mark musieli czołgać się na czworakach. Biegła głęboko w głąb wzgórza, wijąc się zależnie od kształtu skały. Czasami mogli wstać i iść wyprostowani, chwilę później musieli pełznąć w kurzu na brzuchach. Kiedy jaskinia zaczęła się rozgałęziać, Stone zaznaczał drogę kawałkiem kredy.

- Co o tym sądzisz? - spytał Eric po piętnastu minutach pod ziemią. Wskazywał napis wyrzeźbiony na jednej ze ścian. Był prymitywny, zrobiono go nożem albo dłutem i żaden z nich nie był w stanie go odczytać, ale rozpoznali arabskie pismo.

- Al-Dżamowska wersja „Tu byłem”?

- To musi być tu - odparł Murphy. - Będziemy potrzebowali pomocy w badaniu tych wszystkich tuneli.

Spróbował skontaktować się z Lindą, ale tak głęboko pod ziemią nie było już łączności.

- Kamień, nożyce, papier?

Obaj wybrali. Papier owinął kamień, więc Mark ruszył w mozolną drogę z powrotem na powierzchnię;. W miarę jak się oddalał, cichło jego zirytowane mamrotanie.

Eric Stone wyłączył latarkę, żeby oszczędzać baterię, ale kiedy ciemność przygniotła go niemal namacalnie, szybko włączył ją z powrotem.

Wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i znów nacisnął guzik.

Czekał długie trzydzieści minut, zanim usłyszał, że nadchodzą pozostali.

Kiedy światło latarki Marka padło na twarz Erica, Murph parsknął śmiechem.

- Stary, blady jesteś jak duch.

- Nigdy nie przepadałem za ciasnymi przestrzeniami - przyznał Stone. - Nie ma problemu, kiedy pali się światło. Gorzej po ciemku.

Normalnie Mark podokuczałby mu jeszcze trochę, ale w tej sytuacji powiedział tylko:

- Nie łam się, stary.

Linda szybko opracowała plan zbadania podziemnego labiryntu splecionych korytarzy i jaskiń. Za każdym razem, kiedy dochodzili do rozwidlenia, jeden zespół miał sprawdzać lewą odnogę, drugi prawą. Niezależnie od wszystkiego mieli się spotkać z powrotem przy rozwidleniu po dziesięciu minutach i całą grupą wybrać tę drogę, która wyglądałaby bardziej obiecująco.

Na mozolnym sprawdzaniu kolejnych rozgałęzień zeszła im następna godzina. Było to tym trudniejsze, że trójka członków Korporacji dźwigała broń i zapasy amunicji. Kolana i ręce obcierali sobie do krwi na szorstkich kamieniach, a nie mając odpowiedniego wyposażenia, każde z nich przynajmniej raz uderzyło się w głowę. Eric miał opatrunek przyklejony na linii włosów, gdzie rozciął sobie skórę. Krew zaschła miedzianym brązem w bruzdach na jego czole.

Cała czwórka szła razem długim korytarzem, którego podłogę zaśmiecały stosy kamiennego gruzu, kiedy Eric przypadkiem zaświecił latarką na sklepienie trzy metry nad ich głowami. Z początku wydawało mu się, że setki zwisających kształtów to stalaktyty, utworzone przez bogatą w minerały

wodę przesiąkającą do jaskini, potem jednak zobaczył, że jeden z nich ma na sobie spodnie.

Po plecach przebiegły mu dreszcze grozy.

- O mój Boże.

Alana spojrzała w górę i straciła oddech.

Ze sklepienia zwisały dziesiątki par zmumifikowanych nóg, niektóre wystające zaledwie od kostki, inne od pachwin, jakby wylaniały się z litej skały. Jeden człowiek został powieszony za bok, połowa trupa nikonęła w skale, a druga groteskowo zwisała. Szyję miał wygiętą pod takim kątem, że tył głowy ginął w kamieniu, a trupia twarz gapiała się na nich niewidzącymi oczodołami.

Były tam też nogi zwierząt, długie, niezgrabne nogi wielbłądów zakończone wielkimi szkieletowymi racicami i końskie, z charakterystycznymi kopytami. Suche powietrze powstrzymało rozkład, więc skóra wisiała na kościach krucha jak pergamin, a ubranie pozostawało nietknięte.

Mark przyjrzał się nierównej podłodze, schylił i podniósł skórzany sandał, który niemal natychmiast zaczął się rozpadać.

- Co im się stało? - spytała Linda. - Jak wtopili się w tę skałę?

Eric otrząsnął się z pierwszego szoku i przyjrzał się sklepieniu dokładnie. W przeciwieństwie do wcześniejszych odcinków jaskiń, sufit był tu czarny i pod warstwą kurzu lśniący.

- Zakryjcie uszy - powiedział i podniósł do ramienia karabin. Trzask wystrzału był wyjątkowo nieprzyjemny w takiej ciasnocie.

Pocisk strącił odłamek sklepienia. Eric go podniósł, przez chwilę oglądał, a potem rzucił Markowi Murphy'emu.

- Całkowicie zestalona - zauważył. - Kiedy jaskinia pod jamą się zapadła, zawiśli.

- Oczywiście - powiedziała Alana, oglądając odłamek.

- Niewiele to tłumaczy laikom. - Linda nie oglądała nawet próbki skały. Jej jedynym kontaktem z geologią były zajęcia wychowawcze na studiach.

- Nad nami jest dno asfaltowego jeziora - odparł Eric - coś jak La Brea w Los Angeles, tylko mniejszego i najwyraźniej uśpionego.

- To raczej piach asfaltonośny - poprawiła Alana.

- W miesiącach letnich rozgrzewał się na tyle, że robił się lepki i grzęzły w nim zwierzęta. Moim zdaniem ludzi wrzucano do niego w ramach egzekucji. Potem, w jakimś momencie ponad dwieście lat temu, dno jamy się zapadło, stąd ten gruz na podłodze, i odsłoniło ofiary na samym dnie jamy.

- Parę dni po pierwszym spotkaniu St. Julien Perlmutter coś mi powiedział - przypomniała sobie nagle Alana. - Trafił na dodatkowy strzęp informacji. Pochodzi z lokalnych wierzeń na temat grobowca Al-Dżamy. Mówią, że został pochowany pod „czarnym, które się pali”. Dlatego kazali nam kopać w opuszczonej kopalni węgla. Terroryści myśleli, że tym czarnym jest węgiel, ale chodziło o to.

Eric wziął od niej zestalony kawałek asfaltu i przyłożył do niego płomień jednorazowej zapalniczki. Odłamek natychmiast zajął się ogniem i najemnik upuścił go na ziemię. Cała czwórka patrzyła, jak bezgłośnie płonie.

Linda zgasila płomień stopą.

- Powiedziałabym, że jesteśmy coraz bliżej.

Jednak kolejne pół godziny poszukiwań wciąż nie doprowadziło ich do ukrytego grobowca.

Eric i Mark odłączyli się od kobiet na następnym rozwidleniu. Podeszli do ślepej ściany na końcu wyjątkowo prostego i przestronnego fragmentu tunelu, głęboko pod pierwotnym poziomem wody w

rzece. Eric przystanął, żeby napić się z manierki przed powrotem do punktu zbornego. Tunel kończył się idealnie płaską pochylnią, sięgającą sufitu. Zaintrygowała go; wspiął się po pochyłości, aż jego twarz znalazła się centymetry od miejsca łączenia ze sklepieniem.

Zamiast litej skały zobaczył tam nierówną linię, szparę szerokości ledwie milimetra, biegnącą przez całą szerokość tunelu. Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę.

- Wyłącz latarkę - zawołał przez ramię.

- Co? Dlaczego?

- No wyłączaj.

Pstryknął zapalniczką i przysunął płomień blisko do szczeliny. Migotanie było słabe, ale wystarczające, żeby go przekonać, że po drugiej stronie jest otwarta przestrzeń i że przez szparę wieje lekki wietrzyk. Znow włączył latarkę i zaczął badać każdy centymetr kwadratowy pochyłości. Była wpasowana bardzo dokładnie. Szpary przy ścianach były prawie niewidoczne.

- To robota człowieka - oznajmił. - Myślę, że to coś na kształt wielkiej huśtawki. Pomóż mi.

Stanęli zgarbieni najwyżej, jak mogli, zaparci plecami o sklepienie.

- Na trzy - powiedział Eric. - Raz... dwa... trzy...

Pchnęli z całych sił. Z początku nic się nie działo, w tunelu słychać było tylko ich wysilone stękanie. Potem, niezauważalnie, podłoga pod nimi trochę ustąpiła, odepchnięta ich połączonymi siłami. Kiedy przestali napierać, wróciła do pierwotnego położenia.

- Jeszcze raz. Mocniej.

Druga próba pchnęła olbrzymią kamienną dźwignię kilka centymetrów w dół, wystarczająco, żeby Eric zobaczył, że po drugiej stronie znajduje się duża komora. Zanim puścili, wepchnął w szparę zapalniczkę, ale ciężar kamienia był za duży i plastikowa obudowa trzasnęła.

- Ale to dobry pomysł. Myślę, że w czwórkę damy radę. Jest tu dość miejsca, żeby stanąć obok siebie.

Kilka minut później znaleźli Lindę i Alanę, siedzące pod ścianą i jedzące na spółkę proteinowy batonik.

- Nie chciałabym się powtarzać - powiedziała Linda, odgryzając olbrzymi kęs - ale znow trafiłyśmy w ślepy zaułek.

- Eric i ja chyba coś znaleźliśmy.

Chwilę później Eric wyjaśnił, że kamienna pochylnia była dźwignią podpartą na środku, w połowie trzymetrowej długości. Cała czwórka ustawiła się na miejscach, ramię w ramię, z barkami zapartymi o sklepienie.

- Wszyscy razem - rozkazała Linda.

Ich połączone siły sprawiły, że skała zazgrzytała o skałę i pochyłość zaczęła się zmniejszać. Mała szpara zmieniła się w przejście do następnej komory, częściowo obudowanej ceglami z błota. Pchnęli mocniej, stękając z wysiłku. Pochylnia ustawiła się płasko.

- Wiecie, że jak tam przejdziemy, nie będzie odwrotu - stęknęła Linda; jej drobna twarzyczka lśniła od potu.

- Wiem - odparł Mark. - Pchaj.

Kamienna platforma zaczęła się przechylać do ceglanej komory. Szurając stopami, przeszli na jej skraj, czując, jak ich mięśnie drżą z wysiłku. Znajdowali się pół metra nad zasypaną piaskiem podłogą.

Linda oceniła, że prześwit jest wystarczający.

- Gotowi? Teraz!

Cała czwórka zeskoczyła z kamiennej płyty, przewracając się w piach. Za nimi pochylnia zatrzasnęła się z powrotem z głośnym hukiem. Przestrzeń pod nią była pusta jak pod schodami. Z tego miejsca widać było, że podporą była gruba kłoda oparta na wyżłobionych kamieniach. Tam, gdzie kamień dotykał podłogi, znajdowało się jeszcze jedno drewniane nieduże narzędzie o nieznanym przeznaczeniu.

Jeszcze nie rozbrzmiały echa, kiedy dał się słyszeć nowy dźwięk - niski, grzmiący syk dochodzący gdzieś z góry. Eric poświecił latarką na sklepienie sześć metrów nad nimi w tej samej chwili, kiedy z tuzina dużych otworów zaczął się sypać piasek.

- To chyba żarty - powiedział Mark.

Drewniane urządzenie uruchamiało pułapkę, kiedy kamienna płyta wracała do swojej pierwotnej pozycji.

Poświecili latarkami po całej komorze. Miała około trzech na trzy metry. Trzy ściany stanowiła naturalna skała, część wapiennej grotty w jednej znajdowało się wgłębienie na mechanizm dźwigni. Czwartą stanowiły błotne cegły spojone zaprawą. Cała grupa zignorowała skały i skupiła się na murze. Nie było w nim żadnych otworów, uchwytów ani innego rodzaju mechanizmów, pozwalających wydostać się z pomieszczenia.

W pięć minut, które poświęcili badaniu ściany, na podłodze zebrało się ponad pół metra piachu, sypiącego się w nierówne, rosnące stosy z sufitu. Linda wyciągnęła z pochwy nóż i wbiła go w zaprawę pod jedną z cegieł. Cement wykruszył się pod ostrzem i po chwili udało się jej wyciągnąć cegłę ze ściany. Za nią znajdowała się druga, identyczna warstwa. I, możliwe, pół tuzina następnych.

- Będziemy musieli spróbować poruszyć pochylnię od spodu - powiedziała Linda. Przypadkiem cofnęła się pod strumień piasku sypiącego się ze sklepienia i potrząsnęła głową jak pies.

Nad zagłębieniem pod pochylnią ziały trzy otwory i wnęka była już pełna piachu.

- Zanim ją poruszymy - zaprotestował Eric - zasypie nas.

- Jesteśmy w pułapce - powiedziała Alana; panika sprawiała, że łamał się jej głos. - Co zrobimy?

Stoney popatrzył na Marka Murphy'ego i po raz pierwszy żaden z nich nie miał odpowiedzi.

31.

Tarik Assad podziękował swojemu znajomemu pilotowi i wysiadł z helikoptera. Zatrzasnął małe drzwiczki, postukał w nie i uciekł spod kręcącego się wirnika. Niewielki śmigłowiec podniósł się nad pustynię we własnej burzy piaskowej. Assad musiał odwrócić się plecami i mocno zamknąć oczy.

Kiedy tylko helikopter odleciał, Tarik pomaszerował w stronę dowódcy oddziału. Wściekłość, którą czuł po nalocie policji w Trypolisie, została zastąpiona nieskrępowaną radością. Objął dowódcę terrorystów i zamasyście ucałował go w oba policzki.

- Ali, to będzie wspaniały dzień - powiedział i szeroko się wyszczerzył.

Przez radio zapowiedział przybycie i z satysfakcją zobaczył, że jego rozkazy zostały wykonane. Bojownicy czekali przy tylnej rampie załadowniczej Mi-8. Kiedy Assad pomachał, odpowiedzieli mu gromkim wiwatem. Ich więzień był przywiązany do jednego z foteli, zakneblowany szmatą zawiązaną na ustach.

Ali zauważył spojrzenie Assada.

- Jeśli go nie kneblujemy, wrzeszczy jak baba. Gdyby nie był takim rzekomym ekspertem od Sulejmana Al-Dżamy, niech będzie błogosławiony, wpakowałbym grubasowi kulkę w łeb i miałbym spokój.

- Co za niesłychany zwrot wydarzeń - powiedział Assad, zapominając o odpowiednim traktowaniu Emile'a Bumforda. - Kilka godzin temu zaledwie chwile dzieliły mnie od aresztowania, a teraz chwile dzielą nas od znalezienia grobowca.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak do niego trafiłeś - poprosił Ali. Szli do czekającego helikoptera, którego wirnik zaczął mleć rozgrzane powietrze.

- Kazałem pilotowi zboczyć na południe, kiedy przekroczyliśmy granicę Tunezji, a gdy opuściliśmy się do starego koryta rzecznej, lecąc tuż nad nim, zauważyłem fragment brzegu, który wyglądał, jakby go wysadzono. Gdybym wiedział o wodospadzie kawałek dalej w dół rzeki, nie zwróciłbym na to uwagi, bo statek żaglowy z całą pewnością nie mógł tam dopłynąć. Ale nie wiedziałem, więc kazałem pilotowi wylądować, żeby się tam rozejrzeć.

- Kiedy to było?

- Tuż przed tym, jak się z wami skontaktowałem przez radio. Ile to będzie, pół godziny temu? A kiedy wylądowaliśmy, zobaczyłem ślady, że niedawno byli tam ludzie, ślady czterech różnych par butów. Dwa należały do kobiet albo może małych mężczyzn, ale myślę, że jedną z nich może być ta amerykańska archeolog, która pracowała z naszym gościem. - Wskazał na drugą stronę ładowni, na Bumforda.

Wycie turbin sprawiło, że Assad musiał krzyczeć, żeby usłyszał go siedzący po lewej mężczyzna.

- Wszystkie ślady zniknęły w jaskini położonej za wzgórzem przy rzece. Wszyscy muszą wciąż być w środku. Mamy ich, Ali, mamy tych Amerykanów, którzy zniweczyli nasze plany po raz ostatni, i mamy grobowiec Sulejmana.

Juan przyjął kubek kawy od Maurice'a, pierwszego stewarda „Oregona”.

- Jak się pan czuje, kapitanie? - spytał poważny Anglik.

- Mówi się chyba, jak koń po westernie” - odparł Juan, upijając łyk mocnego napoju.

- Nie znoszę koni. Brudne stwory, jedyny z nich pożytek to fabryki kleju i wyścigi w Ascot.

Cabrillo parsknął śmiechem.

- Doktor Huxley ostrzyknęła mi nogę, więc nie jest źle, zaczęła już też działać ta garść ibuprofenu, którą połknąłem. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest najgorzej.

Juan miał swój sekret dotyczący bólu, sekret, którym nie podzielił się nigdy z nikim oprócz Julii Huxley, oficera medycznego - czuł ból nieustannie. Lekarze nazywali to bólem fantomowym, ale dla niego był wystarczająco rzeczywisty. Stracona noga, odstrzelona przez chińską kanonierkę tyle lat temu, bolała go w każdej minucie każdego dnia. I to w dobre dni. Czasami atakowała włóczękami cierpienia, które znosił, mobilizując całą swoją samokontrolę.

Kiedy więc przyszło mu znosić ból rany, z której wyciągnął chip naprowadzający, ignorował go nie z brawury, lecz z przyzwyczajenia.

Dookoła nich centrum operacyjne tętniło aktywnością. Max Hanley i dwóch techników zdjęło panel pod jedną z konsol, żeby wymienić uszkodzony monitor komputera. Dyżurny oficer ogniowy rozmawiał z zespołami pracującymi na całym okręcie, żeby mieć pewność, że jego uzbrojenie działa dokładnie tak, jak powinno, zaś sternik utrzymywał stały kurs prowadzący daleko za dwudziestokilometrowy pas libijskich wód terytorialnych.

Okręt i załoga byli gotowi, tyle że, na razie, Cabrillo nie miał dla nich nic do roboty.

Wciąż nie dostali zaktualizowanej listy jednostek libijskiej floty zdolnych przyjąć helikopter, a dopóki jej nie mieli, „Oregon” mógł tylko czekać.

Juan nienawidził czekania. Zwłaszcza kiedy miał w terenie ludzi. Troszczył się o nich do tego stopnia, że wszystko, co przechodzili, odciskało swoje brzemienie też na nim.

- Nadchodzące połączenie - oznajmiła radiooperatorka przez ramię. Juan wcisnął przycisk na poręczy swojego fotela i z ukrytych głośników rozległ się ciężki oddech, prawie dyszenie.

- Wybrałeś sobie kiepski moment na świński telefon - powiedział Cabrillo nieznanemu.

- Prezesie, tu Linc - sapnął Franklin. - Mamy kłopoty.

- Co się stało?

- Możesz zapomnieć o swoich teoriach, że Ali Ghami to Al-Dżama. - Linc dalej sapał. Było oczywiste, że biegnie. - Właśnie pokazał się nasz stary kumpel Tarik Assad i po małym arabskim buziaku z dowódcą grupy szukającej grobowca polecili na południe tym swoim starym Mi-8. To on jest Al-Dżamą, Juan. Próbowałem skontaktować się z Lindą, ale wciąż są pod ziemią. Teraz ich gonię, ale mam jeszcze jakieś sześć czy siedem kilometrów.

- To by się zgadzało. - Podenerwowany Juan wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokładzie. - Parę godzin temu nabraliśmy podejrzeń, bo Hali Kasim się nie zgłosił, a jego GPS przez jakiś czas się nie ruszał. Wysłałem Eddiego, żeby go poszukał. Hali został postrzelony z tak bliskiej odległości, że cały był w śladach prochu. Ostatnią osobą, która go widziała, był Tarik Assad.

- Jezu, Hali jest cały?

- Jeszcze nie wiemy. Eddie mówił, że nie wygląda to dobrze. Mógł tylko go opatrzyć i wezwać karetkę. Pojechał za nią do szpitala, ale nie może tam wparować i zacząć się domagać wyjaśnień.

Faks wbudowany w centrum łączności zaczął brzęczeć.

- Skoro Assad tak szybko się zawinał - wydyszał Linc - musiał zobaczyć coś ciekawego w tym samym rejonie, gdzie jest Linda i reszta.

- Mogę wam wysłać wsparcie w helikopterze, ale to zajmie parę godzin - zaproponował niezręcznie Juan, bo wiedział, że wszystko się skończy o wiele wcześniej.

Oficer łącznościowa podała mu faks. Rzucił na niego okiem. To był raport o libijskiej marynarce, na który czekał od paru godzin.

- Nie, dam sobie radę. Robię kilometr w pięć minut, więc kiedy tam dotrę, będę miał jeszcze trochę w baku. Tuzin tango w jaskini, kiedy zdołam ich zaskoczyć, nie powinien być dużym problemem.

Juan słuchał go jednym uchem. Podszedł do komputera nawigacyjnego, żeby wpisać współrzędne GPS, kursy okrętów i ich prędkości.

Natychmiast w oczy rzucił mu się jeden z nich. Instykt Cabrilla krzyczał, że trafili w dziesiątkę. Okręt był w zasięgu lotu śmigłowca z obozu szkoleniowego terrorystów, a podczas gdy wszystkie inne kierowały się do Trypolisu na przegląd wojskowy z okazji konferencji pokojowej, ten jeden pozostawał w pobliżu tunezyjskiej granicy.

- Linc, odezwij się, kiedy dotrzesz do jaskini. Muszę lecieć.

- Potwierdzam.

- Ster, wyliczcie mi kurs na ten okręt. - Wskazał migające światełko na górnym wyświetlaczu. Napięcie w jego głosie sprawiło, że wszyscy dookoła przerwali zajęcia i podnieśli wzrok. Przez centrum operacyjne przeszła fala wyczekującej energii.

- Kurs wprowadzony, prezesie.

- Czas przybycia na miejsce przy największej możliwej prędkości?

- Trochę ponad trzy godziny.

- Dobra, płyniemy.

Zawył alarm, który cała załoga знаła aż za dobrze. Kiedy okręt rozpędzał się do prędkości bliskiej maksymalnej, zaczynało wyjątkowo mocno rzucać, więc wszystkie luźne przedmioty od spodków w kambuzie po słoiczki z kosmetykami w Magicznej Pracowni Kevina Nixona trzeba było zabezpieczyć.

Przyspieszenie było gładkie; rewolucyjne silniki „Oregona” zaskoczyły, pisk kriopomp wznosił się i wznosił, aż przestał być słyszalny dla ludzkiego ucha, za to doprowadziłby do paroksyzmów każdego psa.

Juan wrócił na swój kapitański fotel i wywołał specyfikacje libijskiego okrętu. Była to zmodyfikowana rosyjska fregata, kupiona w 1999 roku, o wyporności tysiąca czterystu ton. Miała dwie trzecie długości kadłuba „Oregona” - dziewięćdziesiąt pięć metrów - a okręt Korporacji bił ją w systemach uzbrojenia. Mimo to jednak fregata „Chalidż Surt” wciąż potrafiła mocno przyłożyć czterema pokładowymi działami kaliber 762 milimetry, licznymi wyrzutniami rakiet woda-woda SS-N-2c Styx, a także parasolem rakiet Gecko i szybkostrzelnych działek 30 milimetrów do obrony przed atakiem z powietrza. „Chalidż Surt”, czyli „Wielka Syrta” potrafiła także odpalać torpedy z pokładowych wyrzutni i kłaść miny z rufy.

Juan obejrzał zdjęcie okrętu ze strony internetowej Jane's Defence Review. Była to groźnie wyglądająca jednostka, z wysokim wywiniętym dziobem i masztem radiowym najeżonym antenami zaawansowanych systemów czujników za pojedynczym kominem. Działa zamontowano na niej parami w opancerzonych wieżach na dziobie i rufie, a tuż za nimi czaiły się wyrzutnie rakiet

przeciwokrętowych.

Cabrillo nie miał wątpliwości, że mogą się z nią zmierzyć. Rakiety woda-woda „Oregona” miały dwa razy większy zasięg niż styksy „Syrty”, ale nie chodziło o to, żeby wysadzić libijską fregatę salwą rakiet zza horyzontu.

Musieli dostać się na jej pokład, uratować Fionę Katamorę - jeśli przeczucie go nie myliło - i odstawić ją w bezpieczne miejsce.

- To ona? - spytał Max. Bezgłośnie stanął obok Juana i pokazał monitor komputera.

- Aha. Co o tym sądzisz?

- Sądząc po specyfikacjach radarów, zobaczą nadlatujący śmigłowiec z osiemdziesięciu kilometrów. Do tego wygląda, jakby była gotowa na wszystko, z bronią przeciwlotniczą i SAM-ami.

- Co oznacza, że będziemy musieli załatwić to po staremu.

- Chcesz iść z nią burta w burtę, prawda?

- Będziemy potrzebowali jakiegoś podstępu, żeby podejść tak blisko, ale owszem, o to mi właśnie chodzi.

Max przez chwilę milczał. Doktryna walki na morzu zmieniła się drastycznie od chwili udoskonalenia broni rakietowej. Ciężko opancerzone okręty nie zasypywały się już gradem pocisków z wielkich dział, w nadziei na trafienie. Uczestników bitew morskich często dzieliły teraz setki kilometrów. Siła głowic rakietowych sprawiała, że grube płyty pancerza były zbędne, więc nowoczesne marynarki rzadko zadawały sobie ten trud.

„Oregon” miał wbudowane zabezpieczenia, ale niewystarczające przeciwko trzycalowym działom „Syrty”, która w dodatku mogła wpakować mu w bok parę rakiet Styx. Juan proponował zbliżyć się do fregaty na tyle, żeby przetrzucić na jej pokład oddział abordażowy, pod nawałą ognia jej dział i rakiet.

- Kiedy po raz ostatni duże okręty toczyły taki pojedynek? - spytał w końcu Hanley.

- Wydaje mi się, że 9 marca 1862 roku pod Hampton Roads w Wirginii.

- „Monitor” i „Merrimack”? Juan kiwnął głową.

- One walczyły do remisu - powiedział Max. - My nie mamy takiej możliwości. Do tego zdajesz sobie sprawę, że jeśli jej nie zatopimy, kiedy tylko przechwycimy panią sekretarz, oderwać się nam będzie tak samo trudno, jak podejść? Może nam się udać podstępnie do nich podkraść, ale Libijczycy raczej nie pozwolą nam, ot tak, odpłynąć, nie sądzisz?

- Już o tym myślałem.

- Masz jakiś pomysł?

- Nie - odparł Juan beztrąsko. - Ale myślę nad tym.

- A podstęp? Masz już jakieś propozycje?

- Ani jednej. Ale skoro mamy zaatakować pod osłoną ciemności, mamy czas do zmroku, żeby coś wymyślić. Tyle że jest jedna rzecz...

- Tak?

- Okręt o wyporności „Syrty” będzie tonął co najmniej dwadzieścia minut, nieważne, w jakiś sposób pošlemy go na dno. To aż nadto czasu, żeby zrobić „Oregonowi” rakietową lewatywę.

Max zrobił udręczoną minę.

- Och, widzę, że masz same dobre wieści.

- A to jeszcze nie koniec. Zanim zmierzymy się z „Syrta”, załadujemy naszych nowych libijskich przyjaciół na szalupy ratunkowe. Nie chcę mieć ich na pokładzie, kiedy ruszymy do bitwy. Czyli jeśli

coś pójdzie nie tak, nie będziemy mieli jak uciec z „Oregoną”.

- Po co ja w ogóle odebrałem ten twój telefon te lata temu? - zawołał Max teatralnie do sufitu.

- Prezesie - powiedziała oficer łącznościowa - mamy kolejne połączenie.

- Linc?

- Nie, sir. Langston Overholt.

- Dzięki, Monica. - Juan założył słuchawki i wcisnął przycisk połączenia. - Lang, tu Cabrillo.

- Jak się czujesz?

- Dobrze. Jestem zmęczony, ale nic mi nie jest.

- A wasi goście?

- Wdzięczni i wygłodzeni. W jeden dzień pochłonęli połowę naszych zapasów.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, co nowego i przekazać ci parę wiadomości.

- Tarik Assad pojawił się właśnie w okolicy, w której moi ludzie szukają grobowca Sulejmana.

- To ten urzędnik, który według administracji Kaddafiego jest Al-Dżamą?

- I wychodzi na to, że mieli rację, a my pomogliśmy mu uciec i prawie straciliśmy przy tym człowieka.

- Straciliście człowieka? Kogo?

- Hali Kasim, mój główny oficer łącznościowy, został postrzelony w pierś. Eddie Seng odstawił go do szpitala, ale nie mamy jeszcze żadnych wiadomości o jego stanie.

- Dam znać ambasadorowi Moonowi, żeby się tym zajął.

- Byłbym wdzięczny.

- Czy to oznacza, że minister Ghami wypada z listy podejrzanych?

- W żadnym wypadku. Terrorysty mogli zestrzelić samolot pani sekretarz bez pomocy władz, ale potem sprawę zakamuflowano. Łatwo można to było zorganizować ze szczytów władzy, albo manipulując w cieniu. Jeśli ludzie Al-Dżamy infiltrowali libijską administrację tak, jak podejrzewamy, to mogli zostać ostrzeżeni wystarczająco wcześnie, żeby przygotować jakiś kamuflaż.

- Albo Ghami stoi wysoko w organizacji Al-Dżamy i rozkazał zniszczyć wrak samolotu, a także zorganizował jego odnalezienie w dogodnym czasie.

- Otóż to. Nie zapominajmy też, że osoba, którą Ghami zastąpił, oraz większość jej znaczących podwładnych, została aresztowana i wysłana do obozu pracy. To mogła być robota Ghamiego albo czystkę nakazał sam Kaddafi.

- Co za bajzel. - Weteran CIA westchnął. - Mimo naszych ostrzeżeń wiceprezydent upiera się, że pójdzie dzisiaj wieczorem na zaplanowane spotkanie ważniejszych członków szczytu w domu Ghamiego.

- Zły pomysł - warknął Juan.

- Zgadzam się, ale nic nie poradzę. Ochronę Secret Service poinformowano o możliwości ataku, ale wiceprezydent jest nieugięty.

- To kretyn.

- Z tym też się zgadzam, ale to nic nie zmienia. Z pozytywów, dom Ghamiego jest całkowicie odizolowany, a ochrona to ci sami ludzie, którzy mają ochraniać jutrzejszy szczyt w Trypolisie. Wszyscy zostali sprawdzeni. Nawet jeśli Ghami jest w jakiś sposób powiązany z terrorystami, na kolacji powinno być spokojnie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Zorganizowałbyś zmasowany atak na własny dom? Zwłaszcza kiedy miałbyś w nim ludzi,

których każdy ruch następnego dnia będą śledziły wszystkie światowe media? Pamiętaj, jaka była reakcja na zamach na Anwara Sadata, transmitowany prawie na żywo. Jeśli dojdzie do jakiegoś ataku...

- Nie ma, „jeśli”, Lang - powiedział Juan.

- Jeśli dojdzie do jakiegoś ataku - powtórzył z uporem Overholt - to będzie on miał miejsce jutro albo w trakcie trwania konferencji.

- Nie podoba mi się to.

- Nikomu się nie podoba, ale nie ma innego sposobu. Wszyscy ci przywódcy wiedzą, że ryzykują życie, biorąc udział w konferencji, czy to w Trypolisie, czy u siebie w kraju, gdzie ich fundamentaliści dostają hysterii. W tych burzliwych czasach zawód prezydenta bliskowschodniego kraju to ryzykowna posada, zwłaszcza dla tych, którzy chcą brać udział w rokowaniach pokojowych. Wszyscy oni o tym wiedzą, a mimo to są gotowi spróbować. To o czymś świadczy. - Overholt zmienił temat, dając znak, że to koniec dyskusji. - Jak wam idzie szukanie sekretarza Katamory?

- Chyba mamy jakiś trop. - Juan mówił już wcześniej Overholtowi o helikopterze, który mignął im na radarze i swojej teorii, że sekretarz jest przewożona na okręt gdzieś niedaleko wybrzeża. - Może być na fregacie „Wielka Syrta” czy „Chalidż Surt”, i właśnie do niej płyniemy.

- Co planujesz zrobić?

- Wedrzeć się na pokład, odbić sekretarza i posłać „Syrte” na dno.

- Absolutnie nie! - ryknął Overholt. Juan się skrzywił. - Nie zatopisz okrętu należącego do marynarki niepodległego kraju. Nie mogę nawet pozwolić na abordaż.

- Ja nie pytam o pozwolenie, Lang - odparował gniewnie Juan.

- Juan, Bóg mi świadkiem, jeśli zatopisz ten statek, osobiście dopilnuję, żeby cię oskarżono o akt piractwa. Mogę ci pozwolić sprawdzić, czy ona jest na pokładzie. Potem wszystko w rękach naszych dyplomatów i być może wojska.

- Dyplomatów? - prychnął Juan. - To są terroryści. Mordercy. Z nimi się nie negocjuje.

- W takim razie abordaż przeprowadzi nasza marynarka, jeśli do tego dojdzie. To jasne?

- Równie dobrze możemy się w takim razie pakować, Lang, bo jeśli będziesz się trzymał tego planu, ona już nie żyje.

- Myślisz, że nie wiem, jaka jest stawka?! - krzyknął Overholt. - Wiem, że prawdopodobnie jej nie uratujemy, ale ja też mam zasady, a jeśli ja je mam, to i ty je masz. Zostałeś wynajęty, żeby ją znaleźć, a jeśli ona jest na pokładzie „Wielkiej Syrty”, to wykonałeś swoje zadanie. Bierz pieniądze i znikaj.

- Cholera jasna. - W głosie Juana słyhać było gniew. Nie miał pojęcia, dlaczego rozmowa potoczyła się w tym kierunku, ale nie zamierzał pozwalać się obrażać. - Tu nie chodzi o pieniądze i ty o tym wiesz.

- Chryste, przepraszam - powiedział ze skruchą Lang. - To był cios poniżej pasa. To przez tę całą sytuację.

- Rozumiem. Markiz Queensbury.

- Kto to taki?

- Nic takiego, Max wspominał o nim jakiś czas temu. Nie przejmuj się. Nie zniszczę ich okrętu, masz moje słowo. Ale jeśli jest szansa, że mogę ją stamtąd wydostać, spróbuję. Dobrze?

- W porządku. Po prostu nie możemy sobie w tej chwili pozwolić na kolejny incydent dyplomatyczny z Libią. Po katastrofie samolotu zatopienie ich fregaty będą uważali za odwet,

nieważne, kto byłby za to odpowiedzialny, i potraktują to jako wypowiedzenie wojny. Zniweczysz całą konferencję, zanim się w ogóle zacznie.

- Wszystko to rozumiem, Lang. Wyluzuj się, odezwę się później. - Juan się rozłączył i odwrócił do Maksa. - Dobrze, że to nie było połączenie wideo.

- Dlaczego?

- Zobaczyłby, że mam skrzyżowane palce.

32.

Z otworów w sklepieniu sypało się tyle piasku, że w komorze coraz trudniej się oddychało, chociaż cała czwórka zawiązała sobie szmaty na twarzach. Ich latarki rzucały słabe, mętne snopy światła w duszących tumanach pyłu.

Linda, Alana, Eric i Mark zawzięcie przekopywali się w górę, żeby cały czas być na powierzchni rosnących stosów piachu. Przybywało go tak szybko, że wystarczyło kilka sekund, żeby przysypał komuś rękę czy nogę. Pchał ich sam instynkt przetrwania - kupowali sobie trochę więcej czasu, zanim sycząca nawała pogrzebie ich żywcem. Warstwa piasku była tak wysoka, że nie mogli już stać wyprostowani, lecz musieli się lekko garbić pod sufitem.

Ktokolwiek zaprojektował tę pułapkę setki lat temu, mógł czuć satysfakcję - w niebie czy w piekle - że wciąż działała, mimo upływu czasu.

Kobiety radziły sobie lepiej niż mężczyźni, bo były lżejsze. Pomagały Ericowi i Markowi odkopywać się za każdym razem, kiedy zanurzali się w piachu.

Alana właśnie wyszarpnęła na powierzchnię stopę Stoneya, kiedy ten nagle coś zrozumiał.

- Jesteś pewien, że ta komora jest poniżej poziomu dawnej rzeki?! - krzyknął do Murpha.

- Raczej tak. A co?

- Idioci z nas. Jeden przecinek sześć.

- Jeden przecinek sześć - potwierdził Eric. - Do tego pięćdziesiąt procent inżynierskiego marginesu bezpieczeństwa.

- Oczywiście. Czemu na to nie wpadłem?

- Może byście wytłumaczyli, co jest takiego ważnego w jeden przecinek sześć? - krzyknęła Linda przez szum sypiącego się piasku.

- Ponieważ ta część tunelu jest pod rzeką, pułapka miała prawdopodobnie wypełniać się wodą i topić ofiary. Z biegiem lat zbiornik wypełnił piasek.

- No i?

- Piasek w tej samej objętości jest cięższy od wody jeden przecinek sześć razy.

Linda nie rozumiała, co to znaczy i niecierpliwym gestem kazała mu mówić dalej.

- Ceglana ściana została zaprojektowana tak, by wytrzymać ciśnienie określonej ilości wody. Ale teraz, kiedy ta komora wypełnia się piaskiem, mur wytrzymuje wagę o jeden przecinek sześć większą, niż przyjęli budowniczowie. Każdy dobry inżynier wlicza dodatkowe pięćdziesiąt procent marginesu bezpieczeństwa dla pewności. Nawet jeśli tak zrobili, piach jest wciąż dziesięć procent cięższy, niż mur może wytrzymać. To kwestia czasu, kiedy runie.

Linda sceptycznie popatrzyła na Erica i Marka. Obaj wciąż z trudem utrzymywali się na powierzchni piachu, ale ponury fatalizm, który malował się na ich twarzach jeszcze chwilę temu, teraz znikł. Obaj byli pewni, że wydostaną się z tej pułapki żywi. Jej to wystarczało.

Kilka chwil później mur wciąż nie runął, a cała czwórka musiała już opaść na ręce i kolana. W tej pozycji o wiele trudniej było utrzymać się ponad poziomem piasku. Linda i Alana szamotały się

już tak samo jak mężczyźni. Plecy miały przyciśnięte do sklepienia, a do całkowitego zapełnienia komory pozostało zaledwie pół metra. Ostatnie sekundy miały minąć bardzo szybko.

Krótkotrwała radość Lindy, że przeżyją, zniknęła, choć kobieta zamierzała walczyć aż do końca. Mark i Eric wykrecali się, kopiąc gorączkowo, żeby utrzymać się nad podnoszącym się poziomem piasku, ale Alana Shepard się poddała. Przez szum kaskady słyszeli jej szloch.

- Cholera - powiedział tylko Eric. Policzek miał przyciśnięty do sufitu; zanim piach przysypał mu twarz, Stone zdążył jeszcze zasłonić dłonią usta.

Sześć metrów pod nimi warstwy cegieł u podstawy muru wybrzuszyły się pod naporem setek ton piasku, zaprawa pękała, a przez szpary posypały się cienkie strużki.

Nagle trzymetrowy mur ustąpił. Pękł i runął na zewnątrz, do następnej komory, jak przerwana tama. Fala piachu wypływała przez wyłom, pchając przed sobą resztki cegieł niczym przybój morskie śmieci.

Czwórka ludzi, którzy zaledwie przed chwilą mamrotali ostatnie modlitwy, została porwana przez to tsunami i bezceremonialnie rzucona naprzód w płataninie kończyn; ten sam piasek, który sekundy wcześniej ich zabijał, teraz wytlumił ich szalony zjazd.

Mark otrząsnął się pierwszy; jego głośny skowyt radości odbił się echem od ścian wielkiej komory. Wyciągnął rękę do Erica, żeby mogli stuknąć się pięściami.

- Dobra robota, kolego. Cholernie dobra robota. Eric był trochę blady.

- Pod koniec nie byłem już taki pewny.

- Ja tam nie zwątpiłem. - Mark podniósł Stone'a na nogi, a potem pomogli wstać Alanie i Lindzie.

Alana zarzuciła Ericowi ramiona na szyję i pocałowała go, jakby mur pękł dzięki temu, że Stone to przewidział.

- Dziękuję - szepnęła mu do ucha.

- Nie ma za co - odparł niezręcznie.

Minęło kilka minut, zanim znaleźli swoją broń i usunęli piasek z luf i zamków. Karabiny szturmowe nie były przystosowane do takich warunków, więc musieli być dokładni.

Znajdowali się w kolejnej jaskini, należącej do tego samego kompleksu piaskowcowych grot we wzgórzu nad nimi. Było z niej tylko jedno wyjście, wąska szczelina trzy metry wyżej w przeciwległej ścianie, dostępna po stopniach wykutych w litej skale.

- Skoro już wiemy, że są tu pułapki - powiedziała Linda u ich podnóża - ja pójdę przodem, Eric, ty za mną, potem Alana, potem Mark. I od tej chwili trzymamy się razem, żadnego zwiedzania w pojedynkę. Wszyscy idziemy na paluszkach i wypatrujemy wszystkiego, co wygląda niezwykle: dziwnych kamieni, napisów na ścianach, wszystkiego.

Wspięli się do wąskiej szczeliny. Była wystarczająco wysoka, ale tunel był tak wąski, że trudno było nim iść, nie zahaczając ramionami o ściany. Jaskinia pięła się stromo w górę, a w takiej ciasnocie łatwo było źle stanąć i skrócić nogę w kostce. Linda skupiała się na marszu, ale jednocześnie wypatrywała niebezpieczeństw; zauważyła drut potykacza, zanim na niego weszła.

Była to cienka, miedziana nitka przeciągnięta w poprzek tunelu na wysokości jej łydek. Jeden koniec przymocowany był do ściany żelazną śrubą, a drugi nikał w ciemności z przodu. Linda pokazała go pozostałym i ostrożnie przez niego przestąpiła.

Wznoszący się stromo tunel kończył się trzydzieści metrów dalej małym niskim pomieszczeniem. Najemnicy musieli przeczołgać się pod drewnianą konstrukcją u jego wylotu. Drut owinięty był

wokół metalowej dźwigni urządzenia, która przekręcała się, kiedy ktoś się o niego potknął. Obrót uwalniał kamienną kulę, spoczywającą na pochylonym łożu. Kula miała około metra średnicy i ważyła pół tony. Taki gład, toczący się tunelem, zmiażdżyłby człowieka, a lżejsze otarcie co najmniej połamałoby mu kości.

- Powinniśmy to uruchomić - powiedział Mark głównie dlatego, że tkwiące w nim dziecko chciało zobaczyć, jak kula toczy się tunelem.

- Zostaw - odparła Alana. Jako archeolog nie mogła znieść myśli o naruszaniu tego, co uważała za największe znalezisko w swojej karierze.

- Pójdziemy na kompromis - stwierdziła Linda. Wzięła z ziemi kamień i wetknęła go pod gład. Nawet gdyby ktoś potknął się o drut i pociągnął dźwignię, kula zostałaby na miejscu.

W pomieszczeniu było jeszcze kilka innych przedmiotów, będących dziełem ludzkich rąk - poobijana drewniana skrzynia bez wieka, pusta pochwa z klepanego mosiądzu po zakrzywionym berberyjskim bułacie, parę zwojów liny i pół tuzina metalowych prętów, w których Mark rozpoznał wyciory. Wykorzystali okazję, by wymienić baterie w latarkach i ruszyli dalej.

Z „komory z głazem”, jak ją nazwali, odchodziły trzy tunele. Jeden zbadali bez incydentów i byli w połowie drugiego, kiedy Linda nastąpiła na ukryty mechanizm pułapki. Podłoga ustąpiła niemal niezauważalnie pod jej ciężarem, ale Ross wiedziała, że mają kłopoty.

Tuż pod powierzchnią piasku przemyślnie ukryto drewnianą deskę. Jej ciężar potarł kawałkiem stali o krzemień, dając dość iskier, by podpalić lont. Głębiej w otworze ukryta była beczułka prochu, zawierająca go dość, by pozabijać ich wszystkich.

Linda natychmiast skoczyła w tył i tym skokiem, z którego byłby dumny zawodowy futbolista, pchnęła trójkę swoich towarzyszy, aż wszyscy padli na podłogę. Ale do wybuchu nie doszło. Proch tylko się nierówno palił, plując iskrami i wypełniając korytarz gryzącym białym dymem. Przez dwieście lat, które minęły od założenia pułapki, kwaśny materiał wybuchowy przegryzł się przez drewno beczułki, kiedy więc został podpalony, nie było niczego, co ograniczałoby spalanie i mogło spowodować eksplozję.

- Wszyscy cali? - spytała Linda, po tym jak resztką prochu się dopaliła.

- Chyba tak - odparła Alana, tłumiąc kaszel.

- Czuję się jak po trzech rundach z Eddiem w jego dojo - powiedział Eric, masując zebra, gdzie Linda uderzyła go barkiem. - Nie wiedziałem, że ktoś tak mały może uderzyć tak mocno.

- Niesamowite, co potrafi działać odrobina adrenaliny. - Linda wstała i się otrzepała. - Pułapki w tym tunelu mówią mi, że jesteśmy na dobrej drodze.

Ruszyli dalej, a tunel zaczął się piąć w górę. Nie wiedzieli, jak głęboko weszli ani gdzie jest brzeg rzeki, ale wszyscy czuli, że muszą być coraz bliżej.

Napotykali coraz więcej znaków, że w tej części jaskini ludzie spędzali więcej czasu. Na piasku widać było ślady - ślady tych, którzy konstruowali te wszystkie skomplikowane pułapki. Jeszcze dwa razy Linda zatrzymywała całą grupę, żeby przyjrzeć się ziemi, ale nie znaleźli już żadnych ukrytych bomb.

Tunel ostro zakręcił. Linda najpierw wyjrzała za róg, a potem wyszła i stanęła jak wryta. Za zakrętem znajdowały się żelazne drzwi, wstawione w skałę. Metal miał rudawy odcień, pozostałość rdzy powstałej w czasach, kiedy rzeka wciąż płynęła, a powietrze było wilgotniejsze. Nie było w nim żadnego zamka ani dziurki na klucz. Drzwi były gładką metalową płytą, wiadomo więc było, że zawiasy są z drugiej strony.

Linda przyklekła na jedno kolano i zaczęła grzebać w swoim plecaku.

Mark podszedł do drzwi i rozłożył ramiona teatralnym gestem.

- Sezamie, otwórz się - zaintonował. Drzwi ani drgnęły. Murphy obejrzał się na Alanę. - Wiesz, a prawie myślałem, że to podziała.

- To podziała na pewno. - Linda się wyprostowała, trzymając w ręku kostkę wybuchowego plastiku.

Kawałek tektury wydarty z apteczki wsunęła między drzwi a framugę, żeby ustalić, z której strony są zawiasy, i zamocowała na nich ładunki. Wybrała dwa dwuminutowe zapalniki i wcisnęła je w plastik.

- Puk-puk? - zawołała słodkim tonem i cała czwórka wycofała się pięćdziesiąt metrów wzdłuż tunelu. Odległość wytłumiła wybuch, ale fala uderzeniowa była wystarczająco mocna, żeby ich ubrania załopotwały.

Kiedy wrócili, drzwi leżały, wyrwane z zawiasów, trzy metry w głąb następnego odcinka tunelu.

W przeciwieństwie do większości klaustrofobicznych korytarzy, komora, w której się znaleźli, była ogromna. Ciągnęła się dalej niż sięgało światło ich latarek, także wszcz. Sklepienie majaczyło piętnaście albo więcej metrów nad ich głowami. Większość jaskini zbudowana była z wapienia takiego samego, jaki oglądali, odkąd zeszli pod ziemię, ale ściana po prawej była osuwiskiem gruzu - zasypanym wlotem groty, który wysadzono, kiedy Henry Lafayette ruszył w swoją długą podróż do domu.

Po lewej stronie jaskini ciągnęła się wysoka platforma, wyglądająca jak dawne nabrzeże Sulejmana Al-Dżamy. Przycumowany do niej, lekko przechylony, bo jego kil spoczywał na ziemi, a nie unosił się na wodzie, stał niesławny piracki okręt „Saqr”.

Maszt miał opuszczony, a olinowanie zwinięte przed wejściem do jaskini, poza tym wydawało się, że jest zdolny znów pożeglować. Suche powietrze idealnie zakonserwowało drewniany kadłub. Okręt stał rufą do nich, więc paszcze rufowych armat wyglądały jak olbrzymie czarne dziury.

Przy bliższych oględzinach, przeprowadzonych z nabrzeża, widać było uszkodzenia odniesione w pojedynku z amerykańskim keczem „Siren”.

Armatnie kule wyrwały wielkie kawały burty, w kilkunastu miejscach pokład był wypalony ogniem. Brakowało jednej armaty, a sądząc po zniszczeniach wokół jej stanowiska, musiała podczas bitwy eksplodować i wypadła za burtę.

- To wprost niesamowite - powiedziała Alana bez tchu. - To fragment żywej historii.

- Prawie słyhać odgłosy bitwy - zgodził się Mark.

Do zbadania mieli całą jaskinię, ale przez kilka minut stali tylko i patrzyli na piracki statek.

Jakieś poruszenie po prawej zwróciło uwagę Erica i wyrwało go z zadumy. Poświecił latarką na pogięte pozostałości metalowej framugi i zobaczył, jak prześlizguje się przez nią jakaś postać. Miał już krzyknąć do nieznajomego, kiedy trzy metry od pozycji tamtego odezwał się karabin szturmowy; w ciemności zatańczył płomień wylotowy z lufy.

W ułamku sekundy, którego potrzebował na reakcję, Eric zobaczył w migoczącym świetle kolejnych strzelców. Powietrze wokół niego wypełnił gwizd kul.

Nikt z ich czwórki nie miał pojęcia, jakim cudem ludzie Al-Dżamy znaleźli ich tak szybko, ale fakt był faktem. Terrorysty mieli przewagę niemal trzech do jednego i więcej amunicji, bo przyszli przygotowani do walki, a teraz kontrolowali jedyne wyjście z jaskini.

33.

Juan popatrzył na morze. Ten widok nigdy mu się nie nudził. Dla niego ocean był tajemnicą i majestatem, i obietnicą tego, co leżało za horyzontem. Mogły to być nieruchome, duszne wody tropikalnej laguny albo rozszalały azjatycki cyklon zdzierający płachty wody długie na kilometry. Morze było zarazem syreną i przeciwnikiem, a jego podwójna natura sprawiała, że Cabrillo kochał je jeszcze bardziej.

Kiedy założył Korporację, umiejscowienie jej na statku było jedynym logicznym wyborem. Dawało im mobilność i anonimowość. Ale w sekrecie cieszył się, że potrzebowali statku takiego jak „Oregon”, bo mógł się napawać chwilami takimi jak ta.

Wiatr szeptał delikatnie, a fale chlupotały o kadłub, jakby statek był dzieckiem w kołysce. Tak daleko od brzegu powietrze było świeże, a jego słony zapach przypominał Juanowi dzieciństwo na plażach w południowej Kalifornii.

- Przepraszam, panie kapitanie - przerwał mu czyjś głos. - Nie chcę przeszkadzać, ale zanim odpłyniemy, chciałbym jeszcze raz podziękować.

Juan się odwrócił. Przed nim, w garniturze dostarczonym przez Magiczną Pracownię, stał były minister spraw zagranicznych Libii. Trzymał wyciągniętą rękę.

Cabrillo uściśnął ją z nieudawaną serdecznością.

- Nie trzeba.

Juan chciał mieć pewność, że uwolnieni więźniowie opuszczą „Oregona” w biały dzień. Miał całkowite zaufanie do swojego okrętu i jego załogi, ale żaden kapitan nie lubi wysadzać ludzi w szalupach, a zrobienie tego w nocy jeszcze powiększałoby ryzyko. Spojrzał ze skrzydła mostka na tłum ludzi, stojących na pokładzie w cieniu jednej z łodzi.

Załoga nie była w stanie zapewnić wszystkim nowych ubrań, więc wielu uwolnionych wciąż miało na sobie szmaty, które nosili od czasu uwięzienia. Przynajmniej mogli coś zjeść i się wykapać. Kilkoro zauważyło, że Cabrillo na nich patrzy, i pomachało mu. Machanie szybko przerodziło się w chóralne wiwaty.

- Bez pana wszyscy by nie żyli - powiedział minister. Juan odwrócił się z powrotem do dyplomaty.

- W takim razie ich życie jest dla mnie wystarczającym podziękowaniem. Będziemy w kontakcie z marynarzami, których wysyłam z wami, więc będziecie wiedzieli dokładnie, co się dzieje. A my powinniśmy być w stanie zabrać was o brzasku. Jeśli coś pójdzie źle, moi ludzie zabiorą was do Tunezji. Tam sami zdecydujecie, co dalej.

- Wrócę do domu - powiedział stanowczo Libijczyk - i w jakiś sposób odzyskam swoją posadę.

- Jak został pan aresztowany? Z rozkazu Ghamiego?

- Nie. Ministra sprawiedliwości. Mojego politycznego rywala. Jednego dnia jestem ministrem spraw zagranicznych, następnego ktoś pakuje mnie do furgonetki, a Ghami przejmuje moje stanowisko.

- Kiedy to było?

- Siódmego lutego.

- A kim był Ghami przedtem? Pracował w pana ministerstwie, prawda?

- Chce, żeby ludzie tak myśleli. Nie wiem, co robił przed zajęciem mojej funkcji, ale nie pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, w jakiś sposób zorganizował sobie spotkanie z prezydentem Kaddafim, co jest trudne, mówiąc oględnie. Następnego dnia ogłoszono, że zostałem aresztowany, a Ghami został mianowany moim następcą.

- Czy mógł mieć coś na Kaddafiego, jakiegoś haka?

- Nie da się zaszantażować człowieka, który jest dożywočním prezydentem.

- Jedną chwilkę. - Juan wszedł na mostek i włączył mikrofon na ścianie. Natychmiast zgłosił się oficer dyżurny w centrum operacyjnym.

- Zrób mi przysługę - powiedział Juan. - Sprawdźcie doniesienia prasy międzynarodowej o wszystkich przestępstwach z udziałem obywateli Libii na miesiąc przed siódmym lutego bieżącego roku.

- Co pan podejrzewa? - spytał dyplomata, kiedy Juan wyszedł z powrotem na zewnątrz.

- Funkcji takiej jak pańska nie daje się człowiekowi znikąd bez powodu. - Juan miał ochotę zadzwonić do Overholta i przynajmniej zażądać, żeby wiceprezydent nie szedł na wieczorną kolację.

- Wciąż nie wiem, czy Ghami jest powiązany z Sulejmanem Al-Dżamą, ale nie mam do niego za grosz zaufania. Dał cholerny popis w kręgach dyplomatycznych, a zorganizowanie szczytu to życiowe osiągnięcie... Juan umilkł.

- O co chodzi?

- O czas i o to, kim pan jest. - Jego ton nabrał ostrości. - To nie zbieg okoliczności, że znajdowaliście się w obozie terrorystów Al-Dżamy. Jest jakiś związek między nim i Ghamim. Jestem tego pewny.

- Kapitanie, musi pan wiedzieć o moim kraju coś, z czego nie jestem dumny. Przyjmowaliśmy wielu bojowników, żeby mogli się szkolić na naszej ziemi, a użyczenie im naszych więźniów politycznych jest wciąż całkiem częste.

- Myślałem, że wasz rząd odciął się od terroryzmu.

- To prawda, ale jest wielu, którzy nie zgadzają się z tą polityką. Nasz minister sprawiedliwości jest jednym z nich. Wiem na pewno, że w przeszłości pomagał Al-Dżamie.

- Czyli twierdzi pan, że Ghami jest niewinny?

- Choć mnie to boli, to możliwe. A mam więcej powodów niż pan, by źle o nim myśleć. Zabrał mi pracę, a teraz mieszka w moim domu.

Zapisał interkom na mostku. Juan wszedł do środka i wcisnął guzik.

- Tak?

- Żadnych rewelacji, jeśli tego pan szukał. Szybkie wyszukiwanie znalazło dwójkę Libijczyków aresztowanych za przemyt heroiny do Amsterdamu, jednego zabitego w karambolu w Szwajcarii, w którym zginęły jeszcze cztery inne osoby. Obywatel Libii mieszkający na Węgrzech został aresztowany za przemoc domową, a jeszcze jeden za usiłowanie morderstwa, którym skończyła się kłótnia ze sklepikarzem tuż za granicą, w Tunezji.

- Dobra, dzięki. - Juan odwrócił się do ministra. - Ślepy zaułek.

- Co pan podejrzewał?

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

Pod nimi piętnastometrowa szalupa została opuszczona na wysięgnikach, żeby uciekinierzy mogli wsiąść na nią przez bramkę w relingu okrętu. Żeby pozbyć się ich wszystkich z „Oregona”, musieli przeładować łodzie. Były one całkowicie zamknięte, a dzięki niewywrotnym kadłubom potrafiły stawić czoło huraganowi, więc w najgorszym razie ekswieźniowie byliby stłoczeni, ale nie groziłoby im żadne poważne niebezpieczeństwo.

Juan po raz drugi uściśnął dłoń dyplomaty.

- Powodzenia.

Patrzył, aż ostatni Libijczycy znaleźli się bezpiecznie na pokładzie łodzi. Skinął głową Gregowi Chaffee, niezbyt zadowolonemu, że jest odsyłany razem z nimi. Ale, z drugiej strony, Juan też nie był zbyt zadowolony, że Alana Shepard wymknęła się z Lindą i pozostałymi, nic mu nie mówiąc.

Pomachał do technika, który miał sterować szalupą, zanim tamten wcisnął się do środka i zamknął za sobą pleksiglasowy właz. Kołowroty znów zaczęły pracować i opuściły łódź na wodę przy burcie „Oregona”. Chwilę później liny zostały odczepione, a szalupa odpaliła silnik i powoli oddaliła się od frachtowca.

Druga, opuszczana z prawej burty, spotkała się z pierwszą. Miały trzymać się razem całą noc; wszyscy liczyli na to, że łodzie znajdą się z powrotem w swoich mocowaniach przed śniadaniem.

Juan zjechał ukrytą windą w tyle nadbudówki do centrum operacyjnego i usiadł na swoim fotelu. Wciąż nie miał żadnego planu, jak podejść do „Syrtu” ani jak uniknąć zatopienia po uratowaniu sekretarza. Jeden narożnik głównego wyświetlacza ukazywał siatkę radaru. „Oregon” miał tak nowoczesną sieć sensorów, że Libijczycy nie mieli pojęcia, że są obserwowani, płynąc półtora kilometra od brzegu z leniwą prędkością ośmiu węzłów. Jedynym innym statkiem na radarze był supertankowiec płynący kursem równoległym, najprawdopodobniej kierujący się do terminalu naftowego w Az-Zawija.

Żeby się czymś zająć i uwolnić umysł w nadziei na iskrę weny Cabrillo poszukał w Internecie policyjnych raportów dotyczących Libijczyków. Zwłaszcza ów wypadek samochodowy wyglądał paskudnie. Trójka ofiar spaliła się nie do poznania i musiała być zidentyfikowana przez dane dentystyczne. Libijczyk, student, został zidentyfikowany, bo jechał wynajętym samochodem.

Cabrillo przejrzał jeszcze parę raportów, myśląc o rozmowie, jaką przed chwilą prowadził na pokładzie. Znalazł zdjęcie libijskiego ministra sprawiedliwości i wzdrygnął się. Mężczyzna był brzydki, miał bulwiasty niekształtny nos, wąskie oczka i jakąś chorobę skóry, przez którą jego twarz wyglądała jak pokryta guzowatymi naroślami.

Jakby tego było mało, minister został kiedyś ranny. Brakowało mu połowy dolnej szczęki, a przeszczepy zakrywające dziurę lśniły napiętymi zrostami. Według oficjalnej biografii odniósł te rany podczas amerykańskiego bombardowania Trypolisu w 1986 roku, ale przeszukawszy dokładniej bazę danych CIA, do której wciąż miał dostęp, Cabrillo odkrył, że minister został prawie pobity na śmierć przez męża swojej kochanki.

Juan uśmiechnął się pod nosem. Porównał te informacje z wrażeniem, jakie zrobił na nim były minister spraw zagranicznych. Ten miał klasę, pomyślał. Stracił posadę, został uwięziony i zmuszony do nieludzkiej harówki, a mimo to nie chciał oskarżać Ghamiego o zorganizowanie tego wszystkiego. Wydawał się bardziej zdenerwowany faktem, że Ghami mieszka w jego domu.

- To musi być cholernie ładna chałupa - mruknął Juan do siebie. Po kilku minutach poszukiwań w Internecie znalazł artykuł o domu Ghamiego, w którym podany był adres. Potem znalazł jego koordynaty GPS na internetowej mapie i wpisał je w Google Earth. Kiedy komputer wyświetlił

żądaną lokację, obraz był przez chwilę niewyraźny. Kiedy się wyostrzył, Cabrillo zerwał się z fotela tak szybko, że przestraszył resztę załogi centrum operacyjnego.

Rąbnął w przycisk interkomu na poręczy.

- Max, chodź tu szybko. Mamy kłopoty.

Jeszcze raz popatrzył na satelitarne zdjęcie. Dom stał samotnie na pustyni, kilometry od innych najbliższych zabudowań, i był otoczony murem. Podjazd biegł prosto od bramy i kończył pętlą pod kolumnami portyku. Z boku znajdowała się przeszklona oranżeria, a trawniki podwórza pokrywał istny labirynt żywopłotów. Na dachu zamontowana była antena satelitarnego nadajnika.

Cabrillo widział to wszystko niecałe czterdzieści osiem godzin wcześniej w postaci makiety.

W jednej chwili wszystko zrozumiał. Atak miał nastąpić tego wieczoru. Al-Dżama chciał uderzyć przed konferencją, żeby symbolicznie pokazać, że pokój nigdy nie miał żadnej szansy. Znając wycucie dramaturgii przywódcy terrorystów i jego upodobanie do ścinania głów, Juan wiedział, od czego atak się zacznie. Wyobraził sobie wdzięczną szyję pochylonej Fiony Katamory i mężczyznę stojącego nad nią z mieczem.

Kiedy zamknął oczy, ostrze opadło rozmigotaną plamą.

34.

Kat krytycznie rozejrzał się po pomieszczeniu. Teraz był sam, ale miejsca dla świadków było dość, choć trzeba było uciec się do losowania, żeby wyłonić szczęśliwców. Czarne tło - płachta materiału zawieszona na rurze - było gotowe. Kamera stała na trójnogu i została już wypróbowana. Łącze internetowe działało bez zarzutu. Na podłodze leżała gruba folia, żeby ułatwić nieco sprzątanie po wszystkim.

Kat przypominał sobie pierwszy raz, kiedy mieczem odrąbał głowę człowiekowi. Serce jego ofiary biło jak szalone i niebezpiecznie podniosło mu ciśnienie, kiedy więc głowa odpadła, trysnęło jak z fontanny. Z kikuta szyi wylało się tyle krwi, że porzucili kryjówkę w Bagdadzie, zamiast ją sprzątać.

Dziś wieczorem miał być jedenasty raz, dla niego najbardziej satysfakcjonujący. Nigdy dotąd nie zabił kobiety - a przynajmniej nie mieczem. Odkąd chwycił za broń, zabił dziesiątki kobiet w zamachach od Indonezji po Maroko. A podczas strzelanin z Amerykanami w Afganistanie i Iraku zabłąkane kule z pewnością trafiły inne.

Nie myślał o nich. Al-Dżama wydał rozkazy, a on je wykonał. Nie ciążyło to jego sumieniu bardziej, niż gdyby rozkazano mu uściskać ofiarom dłonie, zamiast je wysadzać.

Oczywiście ironią losu, a także sekretem poliszynela w organizacji, było to, że nie był praktykującym muzułmaninem. Urodził się w tej wierze, ale jego rodzice nie byli gorliwymi wyznawcami, więc do meczetu chodził tylko w święta. Do Al-Dżamy trafił dopiero po przygodzie z Legią Cudzoziemską, w której zasmakował w walce. Walczył, zabijał i okaleczał dla siebie, nie z powodu jakiegoś szalonego, religijnego przeświadczenia, że rzeź jest wolą Allaha.

Nie wnikał w motywacje tych, którzy walczyli przy jego boku, dopóki wykonywali rozkazy. Przyznawał jednak, że strach przed utratą raju motywował bojowników w stopniu, jaki potrafiły osiągnąć tylko najlepiej wyszkolone armie. A zdolność namawiania ludzi, żeby wysadzili się w powietrze, była bronią mogącą się równać z najpotężniejszymi w światowych arsenalach. Była tak jaskrawo sprzeczna z zachodnim postrzeganiem wartości życia, że jej skutki rozchodziły się falą od epicentrum wybuchu do serc wszystkich, którzy się o tym dowiedzieli.

We framugę drzwi za nim zapukał cicho podwładny.

- Czy wszystko zgodnie z życzeniem, Mansour?

- Tak - odparł kat z roztargnieniem. - Wystarczająco.

- Kiedy mamy przyprowadzić amerykańską kurwę?

- Tuż przed egzekucją. Z doświadczenia wiem, że są najbardziej przerażeni w pierwszych chwilach, kiedy do nich dociera, że czeka ich śmierć.

- Jak sobie życzysz. Jeśli będziesz potrzebował czegoś jeszcze, czekam za drzwiami.

Kat nawet nie odpowiedział i mężczyzna wyszedł.

Mansour wątpił, czy kobieta będzie błagać o litość. Widział ją tylko przelotnie, ale zrobiła na nim wrażenie odważnej. Właściwie wolał, kiedy tak się działo. Pozostali uwielbiali płacze i

zawodzenia, ale jemu to... przeszkadzało. Tak, to było to słowo, przeszkadzało. Uważał, że lepiej pogodzić się z losem, niż poniżać się bezskutecznym błaganiami. Zastanawiał się, czy naprawdę sądzili, że krzyki powstrzymają egzekucję. Kiedy go spotykali, ich śmierć była już nieunikniona, a prośby były równie nieskuteczne, co próba zatrzymania lawiny przez zasłonięcie się rękami.

Nie, ta kobieta nie będzie błagać.

- Uwaga na prawą flankę - powiedziała Linda i puściła krótką serię nad relingiem „Saqra”. - Próbują nas okrążyć, czołgając się pod rumowiskiem.

Płomień wylotowy jej lufy ściągnął ogień z czterech różnych miejsc.

Eric był na to przygotowany, przykucnął kilka metrów dalej. Przeczesał serią miejsce, gdzie ukrywał się jeden z terrorystów, ale w całkowitej ciemności jaskini nie miał pojęcia, czy kogoś trafił.

W pierwszych szaleńczych sekundach strzelaniny obie strony pospiesznie się organizowały po niespodziewanym spotkaniu. Linda szybko rozkazała swoim ludziom wbiec na pokład „Saqra”, zapewniającego najlepszą osłonę, podczas gdy dowódca terrorystów krzyknął do swoich, żeby oszczędzali amunicję i przygotowali się do zmasowanego ataku.

Bojownicy nadeszli szybko, mrugając latarkami jak świetliki, żeby orientować się w terenie, ale nadmiernie nie odsłaniać. Oddział Korporacji skupił ogień na terrorystach z latarkami, ale szybko spostrzegł swój błąd. Ci, którzy nieśli latarki, włączali je tylko wtedy, kiedy byli za jakąś osłoną. Światło było przeznaczone dla innych, podkradających się do przodu.

- No dalej, dalej - poganiał sam siebie Mark, przetrząsając plecak i rozrzucając dookoła sprzęt. - Wiem, że gdzieś tu jest.

Kule przefastrygowały burtę statku, kilka wpadło przez ambrazurę i odłupało drzazgi drewna kilkanaście centymetrów od niego.

- Na mój znak - krzyknęła Linda do Erica. - Teraz!

Oboje wyprostowali się i otworzyli ogień. Uciekając w poszukiwaniu osłony, jeden z terrorystów przypadkowo znalazł się w snopie światła innego. Wspinał się po brzegu starego koryta, żeby wejść na nabrzeże. Gdyby mu się to udało, mógłby ostrzelać pokład i samodzielnie zakończyć bitwę.

Snop światła ledwie musnął jego nogę, ale to wystarczyło. Linda wycelowała, oceniła, gdzie powinien być jego korpus i znów wystrzeliła. Nagrodą był krzyk, który poniósł się echem nad terkotem karabinów.

Linda i Eric schowali się z powrotem, kiedy powietrze wokół nich wypełniło się pociskami.

- To szaleństwo - wysapał Eric.

Nie widział szerokiego uśmiechu Lindy, ale usłyszał go w jej głosie.

- Jeszcze nie brałam udziału w strzelaninie, która by taka nie była. Coś ciężkiego załomotało o rufę „Saqra”.

- Padnij - krzyknęła Linda.

Chwilę później eksplodował granat. Odłamki przeleciały nad leżącymi postaciami najemników, jeszcze bardziej drąc drewno okrętu.

Lindzie dzwoniło w uszach, ale nie pozwoliła, żeby ją to rozpraszało. Granat miał ich przyszpilić na kilka chwil, a ona była zdeterminowana, by nie dopuścić nawet do tego.

Wyjrzała nad reling. Światła latarek migotały od jednego wejścia do jaskini do drugiego. Linda

zapanowała nad krążącym w jej żyłach czystym strachem. Tak naprawdę było ich dwoje przeciwko tuzinowi, bo Alana nie miała broni, a Mark Murphy nie umiał strzelać, choćby od tego zależało jego życie.

Namaciała ładownicę wiszącą na jej bojowej kamizelce i uskubała kawałek plastiku. Po omacku wybrała sześćdziesięciosekundowy zapalnik, wbiła go w plastik i wyrzuciła całość za burtę. Potem wypuściła jeszcze jedną trzynabojową serię i znów się schowała.

- Nie mogą nas dalej okrzyć! - krzyknęła do Erica. - Rzuciłam kawałek plastiku. Kiedy wybuchnie, znajdź jakieś cele.

Wykorzystała sposobność, żeby wymienić magazynek, niepewna, ile naboii wystrzelała. O ile mieliby czas, zamierzała kazać Alanie przełożyć niewystrzelaną amunicję do świeżych magazynków.

Wybuch nastąpił chwilę później. Fala uderzeniowa była jak kopniak w pierś, a ona była na to gotowa. Kula ognia sięgnęła sklepienia, zalewając całą jaskinię demonicznym blaskiem.

Linda i Eric otworzyli ogień. Terrorysty przyłapani na otwartym terenie rzucili się w poszukiwaniu osłony, pociski gwizdały obok nich, zanim dwójka najemników zdążyła skorygować cel i ich położyć.

Odpowiedź nadeszła z ośmiu różnych kierunków. Broda Lindy krwawiła od skaleczenia drzazgą odłupaną z relingu; chociaż Ross nie chciała tracić ostatnich sekund światła, pod tak morderczym ostrzałem musiała się schować.

Kiedy grad kul zelżał, strzeliła na ślepo w koryto rzeki pod nabrzeżem, na wypadek gdyby ktoś znów próbował tamtędy podejść. Potem, przez ostry smród kordytu, poczuła znajomy zapach: dym z drewna.

Spojrzała w kierunku rufy akurat w chwili, kiedy z żarzącego się pokładu trafionego granatem strzeliły płomienie. Były niskie i dymiące, ale rosły z każdą sekundą. Gdyby wydostały się spod kontroli, byłoby już po nich. „Saqr” stałby się ich stosem pogrzebowym.

- Mark, zajmij się tym. Będziemy cię osłaniać. Alana odczołgała się od jego boku i zbliżyła do Lindy.

- On jest czymś zajęty. Ja to zrobię.

- Nie wychylaj się - ostrzegła Linda pod wrażeniem odwagi archeolog.

Płomienie strzeliły wyżej, z początku oświetlając jedynie rufę statku. Ale niczym wschodzące słońce krąg ich blasku szybko się poszerzał. Terrorysty to wykorzystali. Widzieli teraz statek wyraźniej i ich celność się poprawiła.

Dziesięć metrów od Lindy Alana podpełzła tuż do pożaru. Zobaczyła, że pali się nie pokład, tylko ławka sternika. Przekręciła się na plecy, zaparła stopami o płonące siedzisko i pchnęła. Zamiast wylecieć za burtę, ławka przełamała się na pół, zasypując ją rozżarzonymi węglami.

Alana strząsnęła parzący popiół, ściągnęła koszulkę przez głowę i mając za osłonę tylko cienką bawełnę zaczęła gasić płomienie gołymi rękami. Przez cały ten czas Linda i terrorysty wymieniali strzały nad jej głową.

Kiedy Alana zdusiła ostatnie uparte płomienie, koszulkę miała całą popaloną, a skóra na prawie całych jej dłoniach schodziła, odsłaniając żywe mięso. Rany bolały jak nic, czego do tej pory doświadczyła.

Ból był tak silny, że nie mogła iść na czworakach, tylko musiała pełznąć jak wąż, żeby wrócić do pozostałych.

Linda zaświeciła kieszonkową latarką na rany Alany i zaparło jej dech.

- Nic mi nie będzie - wykrztusiła archeolog.

- Zakryjcie uszy - szepnął nagle Mark Murphy.

Zaczekał chwilę, przyglądając się mrugającym latarkom znad otworu prochowego jednego z wielkich dział „Saqra”. Kiedy uznał, że nadeszła pora, wsunął w nie zapalnik, wbijając go w wybuchowy plastik wcześniej wepchnięty do lufy. Między materiałem wybuchowym i otworem lufy znajdowała się kula złożona z dziesiątek mniejszych kulek, słabo ze sobą zespawanych.

Zapalnik zadziałał, detonując plastik, i armata wyrzuciła kartacze w trzymetrowym jeździe ognia. Liny, którymi dział było przymocowane do pokładu, żeby przy wystrzale nie przeleciało na drugą stronę, pękły i dwie tony brązu wystrzeliły przez przeciwległy reling, ryjąc bruzdę w stromym brzegu rzeki pod nabrzeżem.

Efekt wystrzału znikł w straszliwym ryku działa, ale kiedy Murphy spojrział tam, gdzie celował, dwóch z trzech latarek już nie było.

Wystrzał z armaty zadziałał jak sygnał końca rundy pierwszej i początku drugiej. Terrorysty zaatakowali pod wpływem kolejnej fali furii, pociski przeorały „Saqra”, jakby chciały go rozedrzeć na kawałki. Trójka agentów Korporacji odpowiedziała ogniem, ale natężenie ostrzału przygwoździło ich do pokładu.

Wrzask szarży terrorystów poniósł się nad hukami kanonady. Zaatakowali wszystkimi siłami.

Eric dostał lekko w bark, kiedy próbował zatrzymać falę atakujących. Nie mogąc przyłożyć karabinu do ramienia i celować, przełączył go na ogień ciągły i przeorał kulami ziemię dziesięć metrów od burty „Saqra”, wznosząc zaporę z ołowiu, której terrorysty nie mogli pokonać.

Kiedy zamek karabinu zablokował się na pustym magazynku, Murphy przejął obowiązki, siejąc pociskami w rozpaczliwej próbie złamania szarży. Jemu też skończyła się amunicja. Linda pręta seriami, wrzeszcząc jak walkiria. Nie miało znaczenia, czy kogokolwiek trafiła. Chodziło tylko o to, żeby powstrzymać terrorystów dość długo, by opuściła ich odwaga i wycofali się pod osłonę.

Dookoła niej gwizdały kule, ale ku swojej niewypowiedzianej uldze zobaczyła, że płomienie wylotowe się oddalają. Szarża została złamana. Zatrzymali ich.

Linda osunęła się w dół na pokład, czując, że całe ciało wibruje jej od odrzutu broni. Była zlane tłustym potem.

- Jesteście cali?! - zawołała do pozostałych, kiedy ostrzał terrorystów osłabł.

- Dostałem w ramię - zameldował z ciemności Eric.

- Ciągle jestem na siebie wkurzony, że nie wziąłem od Linca noktowizora - powiedział z goryczą Mark. - Idziemy do jaskiń, a ja zapominam najbardziej potrzebnego sprzętu.

- Alana?

- Tu jestem - zawołała cicho archeolog, głosem zduszonym z bólu.

- Mark, daj jej coś z apteczki.

Odgłos wystrzałów, który przez ostatnie dziesięć minut przybierał na sile i słabł, teraz ucichł zupełnie.

Wszystkim dzwoniło w uszach, ale nie aż tak, żeby nie usłyszeli głosu mężczyzny, wołającego od wejścia do jaskini.

- Dam wam tę jedną szansę na poddanie się.

- Jasny gwint - wykrzyknął Eric. - Ja znam ten głos.

- Co? Kto to?

- Słuchałem, kiedy rozmawiał z prezesem na pokładzie „Oregon”. To ten pilot z portu, Hassad,

Assad czy jakoś tak.

- To tłumaczy zasadzkę na drodze - domyślił się Murph.

- Ale nie zmienia nic w naszym położeniu. - Linda przez chwilę się zastanawiała, a potem odkrzyknęła: - General Anthony McAuliffe ujął to chyba najlepiej, kiedy zażądano od niego kapitulacji podczas bitwy o Ardeny. Jednym słowem: bzdura!

- Och, to nam bardzo pomoże - mruknął sarkastycznie Murph. Rozpoczęła się runda trzecia.

35.

Pierwszą dobrą wiadomością, jaką Cabrillo usłyszał od dłuższego czasu, było to, że zna supertankowiec powoli doganiający libijską fregatę. Był to należący do Petromax Oil ULCC „Aggie Johnston”; kilka miesięcy wcześniej „Oregon” uratował go przed dwoma irańskimi torpedami, wystrzeliwując jedną z własnych do okrętu podwodnego, z którego pochodziły.

Oba statki były na tyle blisko, że wszelka łączność między nimi mogła być monitorowana przez „Wielką Syrtę”. Żeby to obejść, Cabrillo znalazł adres e-mailu statku na stronie internetowej Petromaksu i wysłał wiadomość do jego kapitana. Nie był to najwygodniejszy sposób; wymieniali się wiadomościami przez dobre dziesięć minut, zanim Juan przekonał dowódcę tankowca, że jest kapitanem frachtowca płynącego kilometr za nim, a nie jakimś walniętym dzieciakiem wysyłającym e-maile z piwnicy rodziców w jakiejś dziurze w USA.

Czekając na każdą odpowiedź, Cabrillo żałował, że na pokładzie nie ma Marka i Erica. Ci dwaj włamaliby się do głównego komputera tankowca i mogliby nim sterować bezpośrednio, a on nie musiałby tłumaczyć, czego chce od pływającego behemota i dlaczego. W jego skrzynce odbiorczej pojawiła się nowa wiadomość.

„Kapitanie Cabrillo, klóci się to z moim rozsądkiem i latami szkolenia, ale zgodzę się na to, o co Pan prosi, pod warunkiem że nie podpłyniemy bliżej niż pół mili do tej fregaty, a Pan zapewni nam taką samą ochronę, jak w cieśninie Ormuz, jeśli ona otworzy do nas ogień.

Jakkolwiek bardzo chciałbym zrobić więcej, muszę przedłożyć troskę o mój statek i załogę ponad chęć pomocy Panu bez zastrzeżeń. Większą część mojej kariery spędziłem, pływając po Bliskim Wschodzie i nie mogę znieść tego, co terroryści zrobili z tą częścią świata, ale nie mogę pozwolić, żeby cokolwiek stało się z moim statkiem. I, jak z pewnością Pan się domyśla, gdybyśmy wieźli ropę zamiast balastu, odpowiedzią byłoby bezwarunkowe »nie«.

Wszystkiego najlepszego, James McCullough

PS Niech im Pan ode mnie dołoży. Dobrych łowów”.

- A niech to szlag - wykrzyknął Juan - zgodził się.

Max Hanley stał za mapą sterówki, z ustnikiem fajki zaciśniętym w poźółkłych od tytoniu zębach.

- Nie ekscytowałbym się tak, gdybym zamierzał grać w tchórza z uzbrojoną po zęby fregatą.

- A właśnie, że tak jest idealnie - odparował Juan. - Będziemy w martwej strefie jego uzbrojenia, zanim się zorientuje, co zamierzamy. Opracowałem wektory podejścia tak, że tankowiec będzie cały czas między nami i „Syrtą”. Według nich będzie ich mijał tylko jeden statek. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy i nie dowiedzą się, dopóki „Johnston” nie odbije.

Mówiąc, pisał odpowiedź na laptopie z bezprzewodowym łączem.

„Kapitanie McCullough, jest Pan kluczem planu uratowania życia pani sekretarz i nie wiem, jak dziękować Panu i Pana załodze. Chciałbym, żeby po wszystkim otrzymał Pan oficjalną pochwałę, jaka się Panu należy, ale ten incydent musi pozostać w tajemnicy. Kiedy będziemy chcieli, żeby Pan

zaczynał, błysniemy Wam w mostek naszą lampą Aldisa. Powinno to być za około dziesięć minut.

Jeszcze raz najserdeczniejsze dzięki, Juan Cabrillo”

Na stole map leżał rozłożony szczegółowy schemat rosyjskiej fregaty klasy Koni, ukazujący wszystkie jej wewnętrzne przejścia. Obok stali Mike Trono i Jerry Pułaski, którzy mieli poprowadzić drużyny abordażowe. Byli dobrze wyszkolonymi żołnierzami, którzy swoje już przeżyli, ale Juan żałował, że Eddie Seng i Franklin Lincoln nie mogą z nim iść do ataku. Za Trono i Pułaskim stało dziesięciu innych mężczyzn, którzy mieli zaatakować libijski statek.

Za oknami na sterburcie majaczyła trzystumetrowa płyta stali - kadłub „Aggie Johnston”. „Oregon” nabrał balastu, żeby zanurzyć się za sylwetką tankowca, ten zaś był prawie pusty, więc wydawał się górować nad frachtowcem nawet z tej odległości. Nadbudówka na rufie miała rozmiar bloku mieszkalnego, a przysadzisty komin przypominał postawiony na sztorc kolejowy wagon.

- Dobra, wracamy do planu. Czy wszyscy się zgadzają, że najbardziej prawdopodobnym miejscem egzekucji jest mesa załogi?

- To największe pomieszczenie na statku - powiedział Mike Trono. Był szczupłym mężczyzną o rzadkich brązowych włosach, który przed przyjściem do Korporacji był spadochronowym ratownikiem.

- Moim zdaniem to brzmi sensownie - stwierdził Ski. Wielki Polak był byłym marynarzem, górował nad pozostałymi o pół głowy. Zamiast polowych mundurów najemnicy włożyli przebrania marynarzy, które personel Kevina Nixona przerobił tak, by przypominały uniformy noszone przez libijskich żeglarzy. Chwila dezorientacji przeciwnika na widok znajomego munduru i nieznajomej twarzy mogła zdecydować o życiu albo śmierci.

- Czemu statek? - spytał nagle Mike.

- Słucham?

- Czemu przeprowadzać egzekucję na statku?

- Prawie niemożliwa będzie wtedy triangulacja źródła sygnału - odparł Max. - A nawet gdyby się udało, kiedy ktoś przyleci tu sprawdzić, statku dawno już nie będzie.

- Wejdziemy na „Syrtę” tutaj - powiedział Juan, wskazując właz na śródkręciu głównego pokładu. - Potem przesuniemy się dwoje drzwi dalej na prawo od pierwszych schodów. Schodzimy jeden bieg w dół, potem w lewo, w prawo i w lewo. I będziemy prosto przed mesą.

- W środku będzie się przyglądało dużo marynarzy - przewidział Jerry.

- Normalnie bym się zgodził - odparł Juan. - Ale kiedy tylko wykonamy nasz ruch, ogłoszą alarm. Korytarze będą puste, a każdy, kto zostanie w mesie, będzie terrorystą. Cała załoga będzie na stanowiskach bojowych. Eliminujemy tango, łapiemy pannę Katamorę i pryskamy z tej łajby, zanim się w ogóle zorientują, że tam byliśmy.

- Cały czas pozostaje jeden problem - powiedział Max, przypalając wygasłą fajkę. - Nie wytłumaczyłeś, jak się od nich oderwiemy. Kiedy tylko odbijemy od „Syrtę”, załatwią nas. Myślałem o tym i chciałem zasugerować, żeby na jej pokład przeszedł jeszcze jeden zespół z materiałami wybuchowymi. „Oregon” może zlikwidować część jej uzbrojenia podczas ataku, a czego nie damy rady zniszczyć, wysadzimy.

Hanley nie słyszał z rozwiązań taktycznych, więc Juan był autentycznie pod wrażeniem.

- Ależ Max, cóż za rozsądny i przemyślany plan.

- Ja też tak myślę - rozpromienił się Hanley.

- Tyle tylko, że ci ludzie zostaną skoszeni na długo, zanim podejną do głównych systemów

uzbrojenia „Syrty”. - Juan znów wskazał plan statku. - Mają gniazda karabinów maszynowych kaliber 30 na wszystkich czterech rogach nadbudówki. Możemy załatwić te, które widzimy, ale dwa po przeciwnej stronie są osłaniane przez sam okręt. Naszych chłopców potnie na strzępy.

- Wyślij Gomeza w śmigłowcu i walnij rakieta - powiedział Hanley, broniąc swojego planu.

- Są kryci SAM-ami. Nie zbliżymy się wystarczająco. Max wyglądał na załamane.

- No dobrze, mądralo - powiedział ponuro - co proponujesz?

Juan rozwinął plany fregaty. Pod nimi leżała mapa libijskiego wybrzeża na południe od ich obecnej pozycji. Postukał w miejsce piętnaście kilometrów na zachód od nich.

- To.

Max powiódł wzrokiem od Cabrilla do wskazywanego przez niego punktu i z powrotem. Uśmiechnął się iście diabelsko.

- Genialne.

- Tak myślałem, że ci się spodoba. To dlatego opóźnimy atak o kilka minut. Musimy poczekać, żeby byli wystarczająco blisko. Jeśli to wszystko - dodał - powinniśmy zająć pozycje.

- Do roboty - powiedział Mike Trono.

Najemnicy zeszli zewnątrz schodami na główny pokład. Juan i Max zostali.

- Cały czas wyglądasz na zdenerwowanego - powiedział Cabrillo do swojego najlepszego przyjaciela.

- Idziesz w paszczę lwa, Juan. To nie jest ciche włamanie do jakiegoś magazynu w środku nocy, gdzie wystarczy ogłuszyć paru ochroniarzy. Na tym statku jest paru naprawdę paskudnych typów i obawiam się, że jak tylko się zorientują, że coś się szykuje, od razu ją zabiją i wszystko pójdzie na marne.

Cięta riposta zgasła na ustach prezesa.

- Wiem - powiedział poważnie. - Ale jeśli nie spróbujemy, to już wygrali. Można powiedzieć, że ta wojna zaczęła się na tych wodach dwieście lat temu. Jako naród stanęliśmy wtedy w obronie naszych najważniejszych zasad i powiedzieliśmy „dość”. Nie sądzisz, że powinniśmy też tutaj to skończyć, walcząc o tę samą sprawę?

- Byłaby to przynajmniej poetycka sprawiedliwość. Juan uśmiechnął się wesoło i klepnął go w plecy.

- Tak trzymać. A teraz zasuwasz do centrum operacyjnego i nie popsuj mi statku, jak mnie nie będzie.

Max potrząsnął głową jak stary ogar.

- Wiesz, że akurat tej obietnicy nie mogę dotrzymać.

Kiedy dali sygnał kapitanowi McCulloughowi, olbrzymi tankowiec zmienił kurs i skręcił na południe, w stronę libijskiej fregaty. Zrobił to delikatnie i bez ostrzeżenia, ale odległość między dwoma statkami zaczęła się zmniejszać. Trzymając się pierwotnego kursu „Aggie Johnston”, minęłyby „Syrte” w odległości ośmiu kilometrów, ale w miarę jak ją doganiała, zmniejszał się też dystans między nimi. Trzymając się tuż obok tankowca, „Oregon” także zbliżał się do swojej ofiary.

W eterze panowała cisza, dopóki „Johnston” nie znalazła się półtora kilometra za rufą i trzy kilometry na północ od fregaty. Juan, czekając ze swoimi ludźmi w cieniu okrężnicy, miał w ręku radio. Słońce zaczęło zachodzić i najgorszy upał minął, ale pokład wciąż był zbyt nagrany, żeby go dotykać.

- Tankowiec zbliżający się do mojej rufy, tu „Chalidż Surt” z libijskiej marynarki. Jesteście za

blisko. Proszę zmienić kurs i zwiększyć odległość.

- „Chalidz Surt”, tu James McCullough z ULCC „Aggie Johnston”. - McCullough miał gładki uprzejmy głos. Juan wyobraził go sobie jako dwumetrowego mężczyznę, nie wiedząc czemu łysego jak kolano. - Trafiliśmy właśnie na odpływ. Wprowadziłem nowy kurs i statek zaczyna reagować. Zapewniam, że niedługo zastosujemy się do waszej dyrektywy.

- Bardzo dobrze - nadeszła krótka odpowiedź z „Syrty”. - Proszę o kontakt, jeśli dalej będziecie mieli trudności.

McCullough trzymał się scenariusza Juana i pierwszy akt przedstawienia poszedł doskonale. Oczywiście kapitan tankowca zamierzał utrzymywać kurs, jednocześnie kupując „Oregonowi” więcej czasu.

Minęło dziesięć minut, a relatywna prędkość obu statków zmniejszyła dystans o kolejne siedemset metrów. Juan myślał, że Libijczycy odezwą się dużo szybciej. Uznał za dobry znak, że na fregacie nikt się nie denerwował.

- „Aggie Johnston”, „Aggie Johnston”, tu „Chalidz Surt”. - Ton głosu mężczyzny był wciąż chłodny i opanowany. - Wciąż macie trudności?

- Jedną chwilę, proszę - odpowiedział McCullough, jakby nie miał czasu rozmawiać. Kiedy nie odezwał się przez dwie minuty, Libijczycy powtórzyli wezwanie. Tym razem z nieco większym naciskiem. - Tak, bardzo mi przykro. Odpływ się nasilił. Właśnie z niego wychodzimy.

- Nie doświadczyliśmy tego odpływu, z którym macie kłopoty.

- To dlatego, że nasz kil sięga piętnaście metrów pod wodę i ma długość trzech boisk piłkarskich. Spokojnie, Jimmy, pomyślał Juan.

On i kapitan zaplanowali, że następny komunikat będzie pochodził od McCullougha. Dwie minuty po swojej ostatniej uwadze znów się odezwał.

- „Chalidz Surt”, tu „Aggie Johnston”. Informujemy, że właśnie doznaliśmy awarii steru. Zarządziłem zatrzymanie awaryjne, ale przy obecnej prędkości zajmie nam to kilka kilometrów. Obliczam, że przejdziemy po waszej bakburcie w odległości około siedmiuset metrów. Sugeruję zmienić kurs i prędkość.

Zamiast zwalniać, tankowiec zaczął powoli przyspieszać; jego pojedyncza śruba tworzyła za rufą kipiący maelstrom wody i piany. Tego nie było w scenariuszu i Juan wiedział, że McCullough lekceważy własne warunki, żeby doprowadzić „Oregon” najbliżej, jak się da. Cabrillo obiecał sobie, że po wszystkim odnajdzie go i postawi mu drinka.

„Syrta” zaczęła zmieniać kurs i przyspieszać, ale prędkość miała na tyle niską, że jej manewry były powolne. Górzący nad nią tankowiec zaczął ją mijać, przechodząc z prędkością ośmiu węzłów ledwie pięćset metrów za burtą Libijczyków.

Juan poczuł, że pokład „Oregon” lekko zadrżał. Jego wielkie pompy gwałtownie wypuszczały wodę ze zbiorników balastowych. Ruszali do ataku.

Max Hanley siedział za sterem w centrum operacyjnym. Podobnie jak Juan słuchał radiowej wymiany komunikatów, ale w przeciwieństwie do prezesa mógł widzieć przynajmniej część akcji. Obok niego siedział technik uzbrojenia. Wszystkie zewnętrzne klapy były otwarte, wszystkie działa na pozycjach. Okręt był nimi dosłownie najeżony.

Max wyłączył zasilanie dysz, a potem odwrócił przepływ.

Woda wystrzeliła spienioną falą z dysz dziobowych i statek zwolnił tak gwałtownie, że jego rufa lekko się uniosła. Kiedy tylko wysunął się zza „Aggie Johnston”, Hanley wyłączył wsteczny i dał

całą naprzód. Kriopompy utrzymujące układy magneto hydrodynamiczne w temperaturze stu stopni poniżej zera zawyły, kiedy dysze zaczęły pobierać coraz więcej energii.

„Oregon” przyspieszył jak koń wyścigowy, wychodząc zgrabnym łukiem zza rufy tankowca. Przed sobą miał niską szarą sylwetkę libijskiej fregaty.

Max wyobraził sobie konsternację na mostku „Syrtu”, kiedy bez ostrzeżenia zza supertankowca wyłonił się statek dwa razy od niej większy. Po jakichś trzydziestu sekundach z radia posypały się przekleństwa, żądania i groźby.

Hanley zreżymie ustawił „Oregona” między dwoma statkami, a McCullough skrzył ostro na północ, żeby odejść na bezpieczną odległość.

- Zidentyfikujcie się albo otworzymy ogień.

Max drugi raz usłyszał to ostrzeżenie i wąpił, żeby nastąpił trzeci. Dystans wciąż był wystarczająco duży, żeby „Syrtu” przeorała „Oregonu” swoimi trzycalowymi działami. Hanley powstrzymał chęć, by porwać mikrofon i zidentyfikować się jako USS „Siren”.

Na monitorze zobaczył, że przed przednim działem „Syrtu” rozkwitła chmura, przypominająca wielki kłęb waty. Pocisk przemknął z wyciem nad dziobem i eksplodował w morzu piętnaście metrów od burty na ułamek chwili przed tym, jak nad „Oregonem” przetoczył się grzmot wystrzału.

- Strzał ostrzegawczy jest za darmo, przyjacielu - powiedział Max zduszonym tonem. - Jeszcze jeden i koniec zabawy.

Tym razem wypaliło tylne działu; pocisk burzący trafił w skrzydło mostku, całkowicie je niszcząc.

Max ledwie siedział w swoim fotelu.

- Dość tego. Ogień bez rozkazu.

Zmniejszający się dystans między okrętami ożył, kiedy gatlingi kaliber 30 milimetrów i większe automatyczne boforsy „Oregonu” wypuły strugi ołowiu. Działka przeciwlotnicze „Syrtu” dołączyły się do grzmotu jej głównych baterii, strzelających seriami czterech strzałów na minutę.

Po każdym ciosie „Oregon” huczał jak dzwon. Pociski z baterii przeciwlotniczych przebijaly jego poszycie, ale zatrzymywały się na grodziach. Pociski z dział pokładowych sięgaly dalej.

Zrujnowane były już trzy kajuty; ze ścian zbiornika balastowego, służącego za basen, odpadały kawały marmuru. Każde trafienie powiększało zniszczenia. W sali konferencyjnej, gdzie spotykało się dowództwo, dwustupięćdziesięciokilowy stół leżał wywrócony do góry nogami, a ze skórzanych foteli zostały drzazgi.

Automatyczny system gaśniczy walczył z pół tuzinem pożarów. Ekipom strażackim rozkazano trzymać się przeciwnej burty statku razem z resztą załogi, zamiast ryzykować życie w pojedynku.

Ale „Oregon” oddawał cios za cios. Wszystkie okna mostku „Syrtu” zostały wytłuczone, a do środka wpadło wystarczająco dużo wolframowych pocisków, żeby przerobić na mielonkę cały osprzęt nawigacyjny i sterujący. Kule odbijały się, iskrząc, od pancernego poszycia. Ostrzeliwana przez gatlinga szalupa podskakiwała jak szczur w zębach teriera. Kiedy karabin maszynowy przesunął ogień dalej, łódź była całkiem podziurawiona i wisiała krzywo na jednym tylko kołowrocie.

Broń mniejszego kalibru nie mogła przebić pancerza wież armat, więc oficer ogniowy uruchomił dziobowe działu kaliber 120 milimetrów. Ponieważ zastosowano w nim ten sam system stabilizacyjny, co w czołgu M1A2, było niewiarygodnie celne. Pierwszy pocisk trafił w miejsce łączenia wieży z pokładem „Syrtu”; cała wieża wystrzeliła półtora metra w powietrze i opadła z

powrotem. Z luf dział buchnął tłusty, czarny dym.

Odległość wciąż się zmniejszała, a oba okręty ostrzeliwały się nawzajem, każdy z nich zdolny znieść potężne cięgi. Przy takim dystansie nie było potrzeby celowania. Pociski trafiały niemal w tej samej chwili, kiedy opuszczały lufy.

Annały morskiej wojskowości nie zanotowały czegoś takiego od stu lat i mimo niebezpieczeństwa Max Hanley nie chciałby być w tym momencie nigdzie indziej na świecie.

W przeciwieństwie do prezesa i najemników na pokładzie. Siedzieli skuleni za potrójnie wzmocnionym fragmentem relingu, ale kiedy trzydziestomilimetrowe automatyczne działko orało burtę, wszyscy czuli się nadzy i odsłonięci.

Juan nie wyobrażał sobie, że taka walka w ogóle może być możliwa. Technologia wyjałowiła wojskowość, uczyniła ją zimną i bezosobową.

Żeby zniszczyć wroga, wystarczyło nacisnąć przycisk. To było coś zupełnie innego. Czuł wrogość przeciwnika, jakby każdy strzał był wyrazem osobistej nienawiści.

Chcieli go zabić. I nie tylko zabić, ale zniszczyć całkowicie, wymazać, jakby nigdy się nie urodził.

W płytę pancierza uderzył kolejny pocisk i Juan przez chwilę czuł się tak, jakby jego wnętrzności zamieniły się w zupę. Naszła go przelotna, przerażająca myśl, że to wszystko było błędem.

A potem pomyślał - nie, ci ludzie nie przestaną, dopóki ktoś im się nie przeciwstawi. Jeśli nie chcą słuchać głosu rozsądku, będą musieli ponieść konsekwencje swojej dzikości.

Okręt zadygotał - znalazł się burta w burtę z „Syrta”. Max wyregulował balast tak, żeby oba relingi były na tej samej wysokości. Juan chwycił swój pistolet maszynowy i przeskoczył na drugą stronę.

Migotliwy ogon rakiety wystrzelonej z ukrytego stanowiska za tylną wieżę „Syrty” przemknął centymetry nad jego głową i uderzył w pancerną płytę w chwili, kiedy przeskakiwała przez nią reszta dwunastoosobowego oddziału Cabrilla. Strzelający nie mógł mieć większego szczęścia - ani większego pecha. Wybuch odrzucił dziesięciu mężczyzn w tył, zakrwawionych i ogluszonych wstrząsem, a dwaj polecili do przodu w chwili, kiedy okręty trochę się od siebie odsunęły. Runęli w dół w szczelinę i równocześnie wpadli do wody.

Max widział tę katastrofę przez zewnętrzne kamery i natychmiast odsunął „Oregona” od „Syrty”, żeby kadłuby nie zderzyły się i nie zgmiotły mężczyzn. Nie wiedział, czy żyją, ale rozkazał ekipie ratunkowej, czekającej przy luku łodzi, żeby natychmiast wysłała zodiaca.

Technik poruszył joystickiem, przesuając pole widzenia kamery po pokładzie „Syrty”.

- Tam - krzyknął Max.

Cabrillo stał samotny na libijskim statku. Jego heckler&koch dymił po zastrzeleniu Libijczyka, który przeładowywał wyrzutnię rakiet. Juan jakby wyczuł, że kamera patrzy na niego - spojrzął w obiektyw z najdzikszym wyrazem twarzy, jaki Max kiedykolwiek widział, a potem zniknął w jednym z luków fregaty.

36.

Tego wieczoru ambasadorowi Charlesowi Moonowi nie udało się jedno z jego najważniejszych zadań. Prezydent wyraźnie polecił mu dopilnować, by wiceprezydent podczas przyjęcia w domu ministra Ghamiego za dużo nie pił.

Wiceprezydent odznaczał się brakiem samokontroli typowym dla alkoholika, ale nie miał takiej wytrzymałości. W ciągu pół godziny, odkąd się pojawili, wypił cztery kryształowe kieliszki szampana. Mogło to być zrozumiałe, gdyby wiedział, że dom jest prawdopodobnym celem ataku terrorystów, ale administracja uznała, że wiceprezydentowi nie można powierzyć tej informacji, jeśli plan ma się powieść.

Moon odstawił własny nietknięty kieliszek na marmurowy blat stołu i wytarł spocone dłonie w nogawki smokingu. Obok niego wiceprezydent Donner opowiadał właśnie niestosowny dowcip. Grupa gości siedzących najbliżej odczekała chwilę, a potem uprzejmie się zaśmiała. Sekretarz prasowa Donnera, tego wieczoru pełniąca obowiązki jego partnerki, odciągnęła go delikatnie na bok, zanim zdążył zacząć następny kawał.

Moon wykorzystał tę sposobność, żeby rozejrzeć się po eleganckiej sali. Samotny dom ministra Ghamiego był oszałamiający. Zbudowany z kamienia i stiuku miał charakter mauretańskiego zamku, potężnego i bezpiecznego. Główne wejście z portyku było wysokie na trzy kondygnacje. Górne piętra otaczały gustowne balustrady z kutego żelaza, a schody spływające na parter miały co najmniej sześć metrów szerokości. Na półpiętrze, gdzie stopnie rozdzielały się na prawo i lewo, ustawiła się orkiestra grająca klasyczną muzykę w arabskich interpretacjach.

Choć dom był imponujący, bladł wobec tak znakomitych gości. Moon w elegancko ubranym tłumie naliczył co najmniej dziesięć głów państw. W rogu, pod podświetloną reflektorem palmą w donicy, premier Izraela rozmawiał na osobności z prezydentem Libanu, zaś po drugiej stronie sali irański szef rządu konwersował z ministrem spraw zagranicznych Iranu.

Moon spodziewał się oczywiście tak serdecznej atmosfery - w końcu to byli politycy i dyplomaci - ale miał wrażenie, że chodziło tu o coś więcej. W sali czuć było prawdziwy optymizm, wiarę, że porozumienia trypoliskie okażą się sukcesem.

Potem tę chwilę pewności siebie przyćmił ponury głos z tyłu głowy. Najpierw musieli przeżyć ten wieczór.

Największa grupa ludzi skupiła się wokół Alego Ghamiego, stojącego obok szemrzącej terakotowej fontanny. Moon i Ghami przelotnie spojrzeli sobie w oczy. Libijczyk uniósł kieliszek w poważnym toaście, dając ambasadorowi znak, że najważniejszy dla niego jest ten gość, który jest nieobecny.

Fiona Katamora była głównym tematem rozmów. Moonowi powiedziano, że Kaddafi, w cywilnym garniturze zamiast munduru, zamierza wygłosić mowę o jej stracie.

Ochroniarz Moona na ten wieczór, w pożyczonym, źle leżącym smokingu, postukał go w ramię i ruchem głowy wskazał otwarte przejście do przyległego pokoju. Pod sufitem znajdowała się

niewielka, nie rzucająca się w oczy kamera.

- Jak dotąd, naliczyłem ich pięć - powiedział mężczyzna.

- Ochrona?

- Albo film dla potomności. Może pan być pewny, że są włączone i gotowe nagrać dzisiejszy atak. Zauważyłem też, że telewizor plazmowy w salonie został tam ustawiony tymczasowo. Kable są przyklejone taśmą do podłogi, zamiast biec pod perskim dywanem. W ten sposób wszyscy obecni będą mogli być świadkami ścięcia. Poza tym zbiorą się w jedną grupę, wygodnie dla atakujących. Myślę, że to będzie pokaz w obie strony, bo zauważyłem obok telewizora małą kamerkę internetową.

- To naprawdę się stanie, co?

- Taki mają plan, ale niech się pan nie martwi. Wiemy, co robimy.

- Udało się wam ustalić, kto jest prawdziwą ochroną, a kto terrorystami? - spytał Moon.

- Tango wciąż są na zewnątrz. Autorzy tego ataku wiedzą, że gdyby ich ludzie byli tutaj, nie utrzymaliby długo swojego kamuflażu.

Ochroniarz mówił pewnie, ale uważnie przyglądał się krążącym wśród gości libijskim agentom.

Muammar Kaddafi z bezprzewodowym mikrofonem w ręku wspiał się na kilka stopni, żeby stanąć ponad zebrany. Orkiestra ucichła, a mężczyźni i kobiety odwrócili się, by wysłuchać hołdu złożonego Fionie Katamorze.

Libijski przywódca słynął z krasomówstwa niemal dorównującego Castro. Po pięciu minutach gadaniny Moon przestał go słuchać.

Przez ten krótki czas wytarł ręce jeszcze dwa razy. Wiedział, że gdyby zdjął marynarkę, odsłoniłby plamy potu pod pachami sięgające pasa.

Co dziwne, ochroniarz przy jego boku wyglądał na całkowicie zrelaksowanego.

W ciemnościach jaskini Eric po omacku zmienił magazynek. W ładownicy przypiętej do jego kamizelki pozostały już tylko dwa. Ramię pulsowało mu bólem w rytm łomoczącego serca; nie miał okazji go opatrzyć. Krew, gorąca i lepka, spływała po same czubki palców.

Kolejny rzucony na oślep granat uderzył w burtę „Saqra” i spadł na ziemię. Kadłub stłumił eksplozję, ale statek przechylił się w stronę nabrzeża i znieruchomiał z pokładem nachylonym pod kątem dziesięciu stopni. Tym razem wyschnięte drewno natychmiast się zapaliło, a ponieważ paliło się zewnętrzne poszycie, najemnicy nie mogli na to nic poradzić.

- Kiedy tylko zrobi się wystarczająco jasno, już po nas - powiedział ponuro Mark.

Linda Ross widziała już wyłaniający się niewyraźny zarys jego sylwetki. Wiedziała, że Murphy ma rację. Ciemność kryła ich aż do teraz, ale kiedy ogień mocniej się rozpalił i rozjaśnił swoim blaskiem jaskinię, terroryści zdobędą przewagę. Pytanie brzmiało: czy zaczekać i spróbować odeprzeć atak, czy wycofać się i znaleźć inną drogę ucieczki z tej pułapki.

Podjęła decyzję w chwili, kiedy tylko zrozumiała, jak ograniczony ma wybór.

- Dobra, postawimy krótką zaporę ogniową. Mark, Eric, bierzcie Alanę, skaczcie na nabrzeże i biegnijcie z dala od wejścia. Spróbujcie znaleźć jakieś pozycje obronne. Dam wam trzydzieści sekund. Ostrzelam ich jeszcze raz i biegnę za wami.

Szybko ustawili się przy relingu „Saqra”. Palący się za nimi ogień nie był dość jasny, by oświetlić całą jaskinię, ale widzieli na kilka metrów przed sobą. Ciało terrorysty leżało rozciągnięte na ziemi na skraju ich pola widzenia; rozlewająca się pod jego piersią czarna kałuża powoli wsiąkała w piach.

- Ognia - rozkazała Linda i cała trójka zaczęła pruć seria, orząc pociskami rumowisko odcinające jaskinię od koryta rzeki.

Kiedy tylko wystrzelali całe magazynki, Eric i Mark chwycili Alanę za przedramiona. Linda za nimi wciąż strzelała, mierząc w ciemności, żeby przygwoździć terrorystów. Wspięli się na reling „Saqra” i przeskoczyli na nabrzeże. Alana prawie upadła i gdyby Eric szybko jej nie podtrzymał, podparłaby się poparzonymi dłońmi..

Pochyleni, najbardziej jak się dało, pobiegli za Markiem, wyciągającym przed siebie rękę. Kiedy dotknął ściany jaskini, skręcił w prawo, badając drogę na nierównej powierzchni. Alana nie mogła dotykać skały, ale idący za nią Eric położył jej rękę na ramieniu, żeby nią kierować.

Szli na oślep przez jakieś dwadzieścia metrów; ogłuszająca ściana dźwięku za nimi była wciąż tak samo głośnie przez akustykę zamkniętego pomieszczenia.

Mark zaryzykował włączenie latarki. Byli na końcu nabrzeża. Przed nimi piętrzył się stos sprzętu żeglarskiego, głównie zwoje lin, ale także kawałki łańcucha w trzciniowych koszach i długie drewniane drągi na drzewce. Uwagę Murpha zwrócił jednak wylot bocznej jaskini. Do skały powyżej przymocowano metalową sztabę, z niej zaś zwisały strzepy czegoś, co kiedyś było dwiema tapiseriami, które po zasunięciu zapewniały prywatność w środku.

- Może damy sobie radę - powiedział i cała trójka weszła do nowej komory.

Eric szybko zaciągnął za nimi kotary i zmienił magazynek, żeby stanąć na straży, podczas gdy Mark omiół pomieszczenie latarką, przykrywając reflektor palcami, żeby przytłumić ostre halogenowe światło.

- Nie do wiary - wyszeptała nabożnie Alana. Przez chwilę zapomniała o bólu promieniującym z jej ręk i hałasie strzelaniny na zewnątrz.

Podłogę jaskini pokrywało kilka warstw misternie zdobionych, wschodnich kobierców chroniących przed chłodem kamienia. Większość ścian zasłaniały kolejne tapiserie, nadające grocie wesoły wygląd wnętrza namiotu. Po jednej stronie stały dwa sznurowe łóżka - jedno gładko zasłane, drugie skotłowane. Resztę mebli stanowiło kilka skrzyń i duży stół do pisania, ze słóiczkami na atrament i piórami, które z upływem lat zmiękły i teraz zwisały po bokach podstawki z litego złota. Na podłodze dookoła stołu i na półkach pod ścianą piętrzyły się książki. Honorowe miejsce zajmował bogato zdobiony Koran, a obok niego wytarta, wymięta Biblia.

Przy półkach znajdowała się wnęka, od podłogi po sufit zastawiona skrzyniami. Wieko jednej z nich było uchylone, a kiedy Mark zaświecił w szparę, oślepił go blask złota.

Spróbował dostrzec, czy za skrzyniami jest przejście dalej, ale były tak ciasno upchnięte, że nie dało się nic zobaczyć, nie ruszając ich. Popchnął stojącą na samej górze. Nawet nie drgnęła. Jeśli była pełna złota jak ta poniżej, ważyła co najmniej pięćset kilo.

Mark podał latarkę Alanie, która wsadziła ją sobie pod pachę, nie ufając własnym dłoniom.

- Nie ma stąd wyjścia - powiedział, zwracając się do Erica. Stoney przeładował jego karabin i teraz mu go podał. - Jeśli chodzi o plusy, umrzemy bogaci. W tamtych skrzyniach jest chyba ze sto milionów w złocie.

Strzelanina na zewnątrz nie słabła, chociaż Linda musiała już uciec ze statku, bo przez ostry trzask AK-47 terrorystów nie słyhać było jej karabinu. Rufa „Saqra” zmieniła się w ognisty stos - płomienie sięgały prawie do sklepienia jaskini i szybko wypełniały ją dymem.

Eric co chwila szeptał w ciemność „Marco” i w końcu usłyszał odzew: „Polo”.

Linda dotarła do wejścia i wśliznęła się do środka na długo zanim terroryści zorientowali się, że

w ogóle się poruszyła.

- Słucham dobrych wiadomości.
- Jesteśmy bogaci - powiedział Mark. - Za to w pułapce.

Dwa okręty były tak blisko siebie, że nie mogły już strzelać, więc doszło do śmiertelnego pata, choć „Oregon” wykorzystywał przewagę masy i mocy i spychał libijską fregatę bliżej do brzegu. Za każdym razem, kiedy kadłuby się stykały, mniejszy statek był zmuszony odbijać na sterburtę, żeby frachtowiec go nie zmiażdżył. Co jakiś czas odważny - albo gotów popełnić samobójstwo - terrorysta wyskakiwał na pokład i próbował wystrzelić raketę, ale przeciwbordażowe karabiny maszynowe kaliber 30 namierzały go, zanim zdążył wycelować. Dwie rakiety, które Libijczykom udało się odpalić, przeleciały nad „Oregonem”, a obaj marynarze zginęli.

W korytarzach pod pokładem fregaty panował chaos, zespoły naprawcze biegały we wszystkich kierunkach. Powietrze było gęste od dymu z pożaru w przedniej części statku, chociaż przestarzałe filtry robiły, co mogły, żeby je oczyścić. Wyły alarmy, a marynarze wrzeszczeli rozkazy.

Dla uszu Fiony Katamory, przykutej do ramy łóżka, brzmiało to jak muzyka. Nie miała pojęcia, co się wokół niej dzieje, wiedziała tylko, że jej porywacze mają kłopoty.

Wiedziała, że po locie helikopterem z obozu szkoleniowego dżihadystów trafiła na statek. Zorientowała się po słonym powietrzu, przenikającym przez worek, który założyli jej na głowę, po wibracjach silnika i chlupocie fal uderzających o burty. Nie wiedziała, jaki to rodzaj statku, dopóki nie odezwały się działa.

Nie było dla niej zaskoczeniem, że Sulejman Al-Dżama zdołał skaptować libijski okręt wojenny. Najprawdopodobniej cała załoga należała do jego organizacji.

Fregatą szarpały eksplozje, a dobre samopoczucie sekretarz rosło. I tak mieli ją zabić, zanim to się skończy, nie robiła sobie co do tego złudzeń, ale Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych dopilnowałaby, żeby nie mieli czasu się swoim zwycięstwem nacieszyć.

W okręt trafił wyjątkowo potężny wybuch i fregata zachwiała się pod jego ciosem. Fiona nie słyszała już dziobowego działa i zrozumiała, że amerykańska jednostka odstrzeliła Libijczykom jedną z głównych wież.

Ktoś pospiesznie otworzył drzwi do jej kajuty. Jej oprawcy nosili chusty zakrywające twarze i mieli AK-47 zarzucone na plecy. Dobry humor Fiony zniknął, kiedy skuto jej ręce za plecami. Bez słowa terrorysty wywlekli ją z pomieszczenia.

Marynarze w mundurach ledwie przelotnie na nią zerkali. Byli zbyt zajęci ratowaniem statku, żeby tryumfować nad swoją ofiarą. Fiona runęła na stalową grodz, kiedy w burtę okrętu uderzyła kolejna salwa. Zaciekłość bitwy tak ją zaprzątęła, że po drodze na dół do innego, większego pomieszczenia zapomniała się pomodlić.

Kiedy jednak zobaczyła czarną płachtę powieszoną na ścianie, kamerę wideo i mężczyznę trzymającego wielki bułat, odjęło jej mowę. W pomieszczeniu byli też inni, terrorysty, nie marynarze. Jeden stał za kamerą, inny obok majstrował coś przy satelitarnym łączu. Reszta zamaskowanych mężczyzn pełniła rolę świadków. Fiona rozpoznała ich mundury khaki z bazy na pustyni. Mężczyzna z mieczem był ubrany na czarno.

Głośnik alarmu w mesie wyłączono, choć ostrzegawczy sygnał wciąż było słychać z innych części statku.

- Nie uratują cię - powiedział kat po arabsku. - Tylko przyspieszyli o kilka minut nasz harmonogram.

Popatrzył surowo na sekretarz, a ona hardo odwzajemniła jego spojrzenie.

- Jesteś gotowa umrzeć?

- Za pokój - odparła głosem najspokojniejszym, na jaki było ją stać. - Za to byłam gotowa umrzeć od chwili, kiedy zrozumiałam to pojęcie.

Przywiązali ją do krzesła stojącego pod płachtą. Na podłodze rozłożona była gruba folia. Fionę zakneblowano, żeby nie zdołała wypowiedzieć ostatnich słów.

Kat skinął głową kamerzyście, a ten zaczął filmować. Obiektyw przez chwilę skierowany był na Fionę, żeby widzowie mieli pewność, kto za chwilę zginie. Potem zasłonił ją miecznik, trzymający przed sobą zdobiony bułat.

- My, słudzy Sulejmana Al-Dżamy, stajemy dziś przed wami, by oczyścić świat z jeszcze jednego niewiernego - czytał z zapisanej na maszynie kartki. - Oto nasza odpowiedź na wysiłki krzyżowców, by narzucić nam swoją dekadencję. Ta przeklęta kobieta była źródłem najgorszych z ich kłamstw i za to musi umrzeć.

Fiona zmusiła się, żeby nie słuchać przemowy. W głowie chciała słyszeć tylko „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...”

Widok jego ludzi, którzy zostali trafieni przeszły serce Cabrilla włością bólu, ale nie było już możliwości odwrotu. Zamiast się nad tym zastanawiać, w pojedynkę ruszył do ataku. Żaden z libijskich marynarzy nie zwracał na niego uwagi. Kiedy garstka terrorystów Al-Dżamy wykorzystywała ich statek jako bazę do egzekucji Fiony Katamory, nieznajoma twarz nie była powodem do niepokoju. Liczni członkowie załogi kręcący się po wnętrzu statku byli zbyt skupieni na swoich zadaniach. Gdy drużyna przeciwpożarowa nadbiegła w jego stronę korytarzem, Juan zatrzymał się i przyłgął do ściany tak, jak zrobiłby to każdy wyszkolony marynarz.

- Chodź z nami - krzyknął dowódca, nie zwalniając.

- Rozkazy kapitana - odparł Juan przez ramię i popędził w przeciwnym kierunku.

Znalazł schody w dół i zbiegł po nich, przeskakując po trzy stopnie naraz i przewracając wbiegającego na górę marynarza. Pod drzwiami stało dwóch uzbrojonych strażników. Jeden zaglądał do sali, drugi zerknął na Cabrilla, ale dzięki mundurowi uznał go za członka załogi i zignorował.

Gdyby Juan potrzebował potwierdzenia obecności terrorystów, byli nim ci dwaj, w kuflach i z kałasznikowami.

Dziesięć kroków od nich usłyszał dobiegający z mesy głos.

- ...zabijali nasze kobiety i dzieci w ich domach, bombardowali nasze wioski i sprzeciwiali się każdemu słowu Allaha.

To mu wystarczyło. Z zimną furią będącą skutkiem zbyt długiej walki - czuł się, jakby walczył przez całe życie - wyciągnął zza pleców pistolet maszynowy. Jeden z terrorystów szeroko otworzył oczy, ale była to jedyna reakcja, na jaką Cabrillo mu pozwolił. Broń zagrzechotała mu w rękach, stębując obu strażników przez pierś. Jednemu z nich kula oderwała wierzch barku; rozbryzg krwi na ścianie za nim wyglądał jak jakieś obsceniczne graffiti.

Juan poruszał się tak szybko, że musiał odepchnąć padające ciała, żeby dostać się do mesy. Po prawej stronie, poza polem widzenia kamery na trójnogu, stało sześciu uzbrojonych mężczyzn. Dwaj kolejni stali obok sprzętu wideo, a trzeci przed nim, z kartką w jednym ręku i zakrzywionym mieczem

w drugim.

Za nim, z zakneblowanymi ustami, ale jasnym spojrzeniem, siedziała Fiona Katamora.

Cabrillo ogarnął wzrokiem tę scenę w pół sekundy, w następnej chwili ocenił zagrożenie. Kat musiałby się poruszyć, żeby zadać śmiertelny cios, a terroryści obsługujący kamerę zostawili swoją broń na podłodze.

Juan wyhamował na kolanach, żeby mieć stabilniejszą pozycję strzelecką, a potem zaczął kosić sześciu pozostałych. Dwaj padli, zanim się zorientowali, że wpadł do mesy. Trzeci zginął, próbując podnieść broń. Ponieważ H&K słynął z podrywania lufy przy ogniu ciągłym, numer pięć dostał dwie kule w głowę i jego mózg rozprysnął się w powietrze.

Cabrillo musiał puścić spust i wycelować ponownie. Zanim zdążył to zrobić, numer sześć otworzył ogień. Pociski zrykoszetowały od ściany na prawo od Juana, odłupując od metalu białą farbę i odbijając się na wszystkie strony.

Prezes wycelował i nacisnął spust, przesywając terrorystę odmierzoną serią, która cisnęła nim o grodzień. Odwrócił się do miecznika. Kat miał najlepszy refleks, jaki Juan kiedykolwiek widział. Od chwili, kiedy padły pierwsze strzały, minęły cztery sekundy. Każdy normalny człowiek połowę tego czasu spędziłby na przetwarzaniu informacji dostarczanych mu przez zmysły.

Ale nie miecznik.

Był już w ruchu, kiedy Juan po raz pierwszy go zobaczył. Zamachnął się mieczem w zręcznym piruecie, a jego ostrze runęło na odsłoniętą szyję Fiony Katamory, zanim jeszcze szósty terrorysta upadł na ziemię.

Nafaszerowany adrenaliną Juan widział to jak w zwolnionym tempie. Zaczął przesuwać krótką lufę H&K ze świadomością, że nie zdąży. Strzelił mimo to, a po drugiej stronie mesy kamerzysta wyciągnął pistolet z kabury, której Cabrillo nie widział.

Bok głowy Juana przeorała linia nieznośnego bólu i zrobiło mu się czarno przed oczami.

37.

Au Ghami spojrział na zegarek chyba po raz dwudziesty, odkąd Kaddafi zaczął przemawiać. I co chwila spoglądał na swojego asystenta, który kręcił się koło frontowych drzwi ze słuchawką radia w uchu. Za każdym razem, kiedy napotykał jego spojrzenie, asystent niedostrzegalnie kręcił głową.

Ochroniarz Charlesa Moona pokazał mu to zachowanie i ambasador, przyglądając się libijskiemu ministrowi, dostrzegł inne oznaki niepokoju. Ghami bezustannie przestępował z nogi na nogę albo wypychał ręce do kieszeni marynarki, tylko po to, żeby zaraz je wyjąć. Wielu gości znużyła długa przemowa, trwająca już prawie pół godziny, ale Ghami wydawał się raczej podenerwowany niż znudzony.

Znów spojrział na asystenta. Mężczyzna stał lekko odwrócony, z ręką przy uchu, żeby lepiej słyszeć przez monotony głos Kaddafiego. Chwilę później się odwrócił i skinął Ghamiemu głową z uśmiechem tryumfu na twarzy.

- Zaczyna się - powiedział spokojnie ochroniarz Ghamiego.

Minister wstąpił na schody, żeby zwrócić na siebie uwagę libijskiego prezydenta. Kiedy Kaddafi przerwał wychwalanie Fiony Katamory, Ghami wszedł wyżej i wyszeptał mu coś do ucha.

Kaddafi wyraźnie pobladł.

- Panie i panowie - powiedział, a jego głos, przed chwilą tak wyraźny i pełen współczucia, teraz drżał. - Właśnie otrzymałem najgorszą z możliwych wiadomość.

Moon przetłumaczył to swojemu towarzyszowi.

- Wygląda na to, że umiłowana amerykańska sekretarz stanu zdołała przeżyć straszliwą katastrofę samolotu. - Zebrani zareagowali na to chóralnym wstrzymaniem oddechu; w całej sali rozbrzmiał nagle gwar rozmów. - Proszę, panie i panowie, proszę o uwagę. Nie jest tak, jak mogłoby się wydawać. Po wypadku została porwana przez siły Sulejmana Al-Dżamy. Właśnie dostałem wiadomość, że zamierzają przeprowadzić jej egzekucję. Minister Ghami mówi mi też, że mogą porozumiewać się z nami w tym domu.

Kaddafi poszedł za swoim ministrem do sąsiedniego pokoju i już po chwili salon wypełnił się co odważniejszymi z gości. Ochroniarz kazał Moonowi poczekać, tak że stali w holu, zaglądając innym przez ramię.

Telewizor został włączony; w jego sinym blasku ludzie wyglądali, jakby ktoś spuścił z nich krew. Kilka kobiet płakało.

Na ekranie nagle pojawiła się twarz. Na czarnym tle siedziała sekretarz Katamora. Włosy miała splecione po tym, co przeszła, a duże ciemne oczy zaczerwienione. Knebel zawiązany na jej ustach wykrzywił jej policzki w brzydkim grymasie, ale mimo to wyglądała pięknie.

Szlochy się wzmogły.

Przed kamerą stanął mężczyzna zakrywający twarz kraciatą kufią. W ręku trzymał miecz ze szczerbą na ostrzu.

- My, słudzy Sulejmana Al-Dżamy, stajemy dziś przed wami, by oczyścić świat z jeszcze jednego

niewiernego - powiedział. - Oto nasza odpowiedź na wysiłki krzyżowców, by narzucić nam swoją dekadencję. Ta przeklęta kobieta była źródłem najgorszych z ich kłamstw i za to musi umrzeć.

Ochroniarz Moona uważnie obserwował reakcję Ghamiego. Coś w oglądanym na ekranie przedstawieniu wytrąciło ministra z równowagi.

Kaddafi podniósł małą kamerę ze stolika z telewizorem i odsunął ją na wyciągnięcie ręki.

- Bracie - powiedział. - Mój bracie w islamie, który kąpie się w świetle Allaha, pokój z nim. Tak już nie wolno. Naturalnym porządkiem świata jest pokój. Rozlew krwi prowadzi tylko do dalszego jej rozlewu. Nie widzisz, że odebranie jej życia niczego nie rozwiąże? Nie zakończy cierpienia muzułmańskiego świata. Tylko rozmową można tego dokonać. Tylko kiedy siedzimy naprzeciw naszych wrogów i rozmawiamy z nimi o tym, co doprowadziło nas do takiego stanu, możemy mieć nadzieję żyć w harmonii.

- Koran mówi nam, że nie może być harmonii z niewiernymi.

- Koran mówi nam także, że mamy kochać wszelkie życie. Allah każdego człowieka postawił przed tym wyborem. Czas wyboru nienawiści się skończył. Nasze rządy spotykają się, żebyśmy mogli podjąć tę decyzję za wszystkie nasze narody. Błagam cię, odłóż miecz. Daruj jej życie.

Nikt nie widział twarzy miecznika, bo zasłaniała ją szarfa, ale wystarczająco łatwo było odczytać mowę jego ciała. Zgarbił się i pozwolił, by ciężki bułat zniknął z pola widzenia.

Wtedy z głębi holu dobiegł tupot dziesiątek stóp na marmurowej podłodze.

Plan się sypał.

Ali Ghami wyrwał kamerę z ręki Kaddafiego.

- Mansour - wrzasnął do swojego goryla - co ty robisz? Nasi ludzie już tu są. Zabij ją! Teraz!

Zamiast unieść miecz i odciąć jej głowę, postać na ekranie wyjęła knebel z ust sekretarza Katamory.

- Mansour! - wrzasnął znów Ghami. - Nie!

Ktoś wyrwał ministrowi kamerę, jednocześnie wbijając lufę pistoletu w krzyż. Ghami obejrzał się przez ramię i zobaczył stojącego za sobą Azjatę, ochroniarza Charlesa Moona.

- Gra skończona, Sulejman - powiedział Eddie Seng. - Popatrz. Na ekranie człowiek, którego Ghami uważał za swojego najwierniejszego zastępcę, ściągnął z głowy kufie.

- Jak poszło? - spytał prezes Cabrillo, z głową owiniętą bandażem.

- Mówi się chyba „złapany na gorącym uczynku”.

Oddział osobistej ochrony prezydenta Kaddafiego zatrzymał się w drzwiach i zameldował, że obezwładnił ochronę na zewnątrz bez jednego strzału.

Kaddafi, którego Charles Moon wcześniej tego popołudnia wtajemniczył w sytuację, podszedł do swojego ministra.

- Koniec tej szarady. Po anonimowym donosie dzisiaj po południu szwajcarskie wojsko zrobiło nalot na dom, w którym trzymałeś mojego wnuka po upozorowaniu jego śmierci w wypadku samochodowym. Jest bezpieczny, więc nie możesz już siedzieć jak żmija na mojej piersi i grozić, że ukąsisz, jeśli nie dam ci wolnej ręki. Naprawdę nie wiedziałem, że jesteś Al-Dżamą. Myślałem, że szantażujesz mnie, żeby osiągnąć obecne stanowisko dla władzy i pieniędzy. Ale teraz zdemaskowałeś się przed całym światem. Twoja wina nie ulega wątpliwości i zostaniesz szybko stracony. A ja będę pracował dniem i nocą, żeby oczyścić mój rząd ze wszystkich, którzy choćby raz się o tobie dobrze wyrazili.

Kaddafi rozłożył ramiona, obejmując tym gestem wszystkie ważne osoby w sali.

- Jesteśmy zjednoczeni w sprzeciwie wobec waszych metod, a niepowodzenie twojego planu zabicia przywódców innych muzułmańskich państw będzie ostrzeżeniem dla tych, którzy staną na drodze pokojowi. Zabierzcie tego śmiecia sprzed moich oczu.

Krzepki libijski żołnierz chwycił Ghamiego za kark i wywlókł go przez osłupiały tłum.

Z telewizora dobiegł głos kobiety.

- Panie prezydencie, sama bym tego lepiej nie ujęła. - Fiona Katamora stała u boku Juana. - I chcę zapewnić wszystkich uczestników szczytu, że jutro rano, punktualnie o dziewiątej usiądę przy stole obrad, żebyśmy wspólnie wprowadzili nasz świat w nową erę.

Kula, która otarła się o głowę prezesa w mesie fregaty, ogłuszyła go tylko na chwilę, za to pocisk, który udało mu się wystrzelić, dokonał o wiele więcej. Trafił spadający miecz i sprawił, że kat chybił. Ostrze uderzyło w metalowe oparcie krzesła; krzesło się przewróciło, a Fiona upadła na podłogę.

Leżąc na ziemi, Juan wystrzelił dwie serie, zabijając kamerzystę i jego asystenta. Miecznik stracił swoją broń i odsunął się od Fiony z rękami nad głową.

- Proszę - błagał - jestem nieuzbrojony.

- Rozkuj ją - rozkazał Juan - i wyjmij jej knebel.

Zanim zdążył wykonać polecenie, człowiek, który chwilę wcześniej groził jej śmiercią, teraz się zmoczył.

- Trochę trudniej się walczy z uzbrojonymi ludźmi, niż wysadza niewinnych, co? - zakpił Juan. - Wszystko w porządku? - spytał panią sekretarz, kiedy nie miała już knebla w ustach.

- Tak. Chyba tak. Kim pan jest?

- Powiedzmy na razie, że duchem porucznika Henry'ego Lafayette'a. - Juan z kieszeni spodni wyjął radio. - Max, słyszysz mnie?

- Nareszcie, cholera jasna - zgłosił się Max tak opryskliwym tonem, że Cabrillo od razu się zorientował, że jego przyjaciel wychodził z siebie z nerwów.

- Mam ją i wychodzimy.

- Pospieszcie się. „Syrta” przyspiesza i mamy tylko jakieś dwie minuty, jeśli twój plan ucieczki ma się udać.

Fiona zerwała się na nogi, masując nadgarstki tam, gdzie kajdanki wrzynały się jej w skórę. Trzymała się z dala od miecznika, ale zrobiła najbardziej niesamowitą rzecz, jaką Juan mógł sobie wyobrazić.

- Wybaczam ci - powiedziała - i będę się modlić, żebyś któregoś dnia przyszedł do mnie jako przyjaciel, a nie wróg. - Odwróciła się do Juana. - Proszę nie zabijać tego człowieka.

Cabrillo nie mógł w to uwierzyć.

- Z całym szacunkiem, odbiło pani?

Nie oglądając się, Fiona wyszła z mesy. Juan ruszył za nią, odwrócił się do miecznika i oddał jeden strzał. Z podłogi chwycił kartkę z treścią przemowy i zapamiętał częstotliwość, na jakiej miała nadawać kamera - ostatni element jego planu.

- Nie mogłem pozwolić, żeby za nami poszedł - powiedział, dogoniwszy sekretarz - więc strzeliłem mu w kolano.

Wziął ją za rękę i razem popędzili na główny pokład. Dym, zauważył Juan, był o wiele rzadszy. Na górnym podejściu schodów stało dwóch marynarzy. Nie zareagowali, dopóki nie rozpoznali amerykańskiej sekretarz stanu. Jak na komendę jednocześnie na nią skoczyli. Juan zastrzelił jednego

w locie i siła pocisku wystarczyła, by zmienić jego trajektorię. Drugi uderzył go w pierś z siłą wystarczającą, by wypchnąć mu powietrze z płuc. Usiłując złapać oddech, Juan przez chwilę był bezbronny, co marynarz wykorzystał, by zadać serię ciosów.

Fiona usiłowała ściągnąć go z Cabrilla i gdyby nie miała za sobą trudów ostatnich dni, pewnie by się jej udało, ale była zbyt wycieńczona. Marynarz pogardliwie odepchnął ją i kopnął Juana w brodę.

Z zewnątrz dobiegł ryk, od którego zadygotały schody.

Z ukrytej wyrzutni na pokładzie „Oregona” wystrzeliła rakietą. Wzbiła się w gęstniejącą ciemność na kolumnie ognia, która zdawała się rozpoławiać niebo, i niemal natychmiast zaczęła opadać.

Ten dźwięk zelektryzował prezesa, który wpadł w furję. Kopnięcie go oszołomiło, więc kierował się samym instynktem. Uchylił się przed następnym ciosem i łokciem wyrzwał marynarza w odsłoniętą goleń, dość mocno, by złamać kość.

Przeciwnik wrzasnął, kiedy pod ciężarem jego ciała pękła piszczel. Juan zerwał się na nogi, wbił mu kolano w krocze i zepchnął ze schodów. Złapał Fionę za rękę i pobiegli do wyjścia.

Właz, przez który dostał się do wnętrza „Syrtu”, był zamknięty, a kiedy go otworzył, spodziewając się zobaczyć „Oregona” burta w burtę z fregatą, ujrzał swój okręt dobre dziesięć metrów dalej. Znad pokładu frachtowca ciągnęła się smuga kondensacyjna rakiety jak kręty wąż wzbijający się w powietrze.

Z przeciwnej strony fregaty dobiegł huk eksplozji o wiele potężniejszy niż wszystkie inne od chwili rozpoczęcia bitwy. Rakietą woda-ziemia trafiła w wewnętrzną stronę wrót śluzy Elektrowni Pływowej Zatoki Zonzur.

Osiem karabinów szturmowych pruło ogniem ciągłym w otwór bocznej jaskini. Odłupane kawałki kamienia i rykoszety wypełniały powietrze jak stado rozwścieczonych szerszeni. Czwórka Amerykanów krwawiła, choć nikt nie został ranny tak poważnie jak Eric Stone.

Nawała ogniowa miała takie natężenie, że nie mogli w żaden sposób odpowiedzieć, więc kulili się przy wejściu, a terroryści nacierali za zasłoną ołowiu.

Jeden z nich nagle wpadł do jaskini z dzikim wrzaskiem. Strzelał z biodra, orząc ściany, rozwalając łóżko i strącając księgi z półek. Linda położyła go serią w pierś, zanim zdążył trafić kogokolwiek z nich, i ranny wypadł z powrotem do głównej jaskini.

Wiedziała, że zabiła go, zanim dostał kogoś z nich, tylko dzięki szczęściu i że to się już nie powtórzy. Następnym razem do środka wpadnie cały oddział i to będzie koniec.

Sprawdziła amunicję. W ładownicy nie miała już zapasowych magazynków, a ten wetknięty w gniazdo karabinu był w połowie pusty. Ericowi skończyły się naboje i trzymał broń jak maczugę, gotowy bronić się w walce wręcz. Markowi Murphy’emu też nie mogło ich zostać dużo.

Miał umrzeć w tej ciemnej jaskini, daleko od domu, w starciu z gromadą fanatyków, którzy nie pragnęli niczego innego, jak tylko dalej zabijać.

Ogień z zewnątrz trochę zelżał. Terroryści szykowali się do ostatecznego natarcia.

Z zadymionego przejścia nadleciał granat i wylądował w niszy pełnej skrzyń. Drzazgi i lśniące złote monety trysnęły na ściany jaskini wraz z odłamkami. I znów nikt nie został trafiony, ale od wstrząsu kręciło im się w głowach. Kawałki płonącego drewna spadły na łóżka i podpaliły posłania. W kilka sekund powietrze wypełniło się dymem.

Eric wrzeszczał coś do Lindy, ale nie słyszała go przez dzwoniące w uszach. Była pewna, że

teraz nadejdą. Po wybuchu granatu terroryści musieli wiedzieć, że ich mają. Brudna, obolała, zrozpaczona położyła palec na spuście swojego REC7.

Przez długie sekundy nic się nie działo. Z siedmiu ocalałych terrorystów strzelało do nich tylko dwóch. Wyczekują nas, pomyślała Linda, wiedzą, że dym nas stąd wypędzi, albo mają nadzieję, że zginiemy w ogniu.

Leżąc na ziemi, żeby uniknąć najgorszego, Linda wciągała cuchnące powietrze, ale każdy oddech palił jej płuca. Ludzie Assada mieli dostać, czego chcieli, pomyślała posępnie. Nie mogli tu zostać dłużej. Spojrzała pytająco na Erica i Marka. Jakby czytając jej w myślach, obaj pokiwali głowami. Linda podniosła się na kolana, a potem zerwała na nogi.

- Idziemy, Sundance - zawołał Mark, kiedy zaszarżowali na lufy czekających karabinów.

Wybiegli przez płonące draperie zasłaniające wejście, pokonali dobre dwa metry, ale nikt do nich nie strzelał. W migotliwym blasku płonącego statku Linda szukała celu, ale nie znalazła nikogo, kto stałby naprzeciw. Kilka kroków od niej na ziemi leżał terrorysta z dziurą między łopatkami. Potem zobaczyła innych, których jakimś cudem udało im się trafić. Jaskinia była usłana trupami. Zwolniła w pędzie, a potem stanęła, mając u stóp osiem martwych ciał.

Po plecach przeszedł jej dreszcz.

Jeden z terrorystów poruszał się, drapał piach i spazmatycznie łapał powietrze. Tak samo jak pierwszy został trafiony w plecy. Mark kopnięciem odsunął kałasznikowa z jego zasięgu i odwrócił mężczyznę twarzą do góry. Z ust Araba płynęła pienista krew z przestrzelonego płuca. Linda nigdy nie widziała Tarika Assada, więc nie rozpoznała jego charakterystycznych zrosniętych brwi.

- Jak? - wycharczał.

- Wiesz tyle co my, kolego - odparł Mark.

A potem, przez trzask płomieni trawiących „Saqra” i dzwonięcie w uszach, usłyszeli dźwięczny, melodyjny baryton.

- „Od pałacu Montezumy/Do wybrzeży Trypolisu/Za nasz kraj będziemy walczyć/Lądem, morzem i w powietrzu”.

- Linc?! - wrzasnęła Linda.

- Jak leci, złociutka? - Linc wyłonił się ze swojej kryjówki z karabinem opartym na biodrze i noktowizorem ściągniętym na szyję. - Przybiegłem najszybciej, jak mogłem, ale to piękne ciało nie jest stworzone do wyścigów po cholernej pustyni.

Linda zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała się; rozpacзлиwa determinacja stawienia czoła wrogowi zmieniła się w ulgę, że żyje. Mark i Eric klepali Linca po plecach, śmiejąc się i krztusząc od dymu.

- Wygląda na to, że sami też daliście niezłe przedstawienie. - W ustach Linca było to wyrazem najwyższego szacunku.

Alana, zataczając się i potykając, wyszła z jaskini. Była bez bluzki, a biały wcześniej stanik był czarny. Najostrożniej, jak mogła, trzymała kilka książek. Ich kartki się żarzyły. Kiedy jedna się zapaliła, Mark wziął ją od Alany, rzucił na ziemię i zasypał piaskiem, żeby zgasić ogień.

- Chciałam uratować więcej - wykrztusiła Alana między kaszlnięciami - ale ten dym. Nie mogłam. Za to wzięłam to.

- Co to? - spytał Linc.

Na prymitywnym srebrnym łańcuszku wisiał mały kryształ w prostej oprawie. Nie był specjalnie atrakcyjny; wyglądał raczej jak dziecięcy prezent na Dzień Matki, zrobiony z czyścików do fajki i

kleju. Było w nim jednak coś przykuwającego uwagę, jakaś aura sprawiająca wrażenie, że w jaskini jest z nimi ktoś jeszcze.

Kamień był roztrzaskany przez zabłąkaną kulę, spoczywał więc w swoim mocowaniu w odłamkach wielkości ziarenek cukru, a spomiędzy nich wypłynęła pojedyncza czerwona kropla.

- Rany boskie - powiedział Mark, opadając na kolana, żeby zgarnąć piasek, na który spadła. Z kieszeni bluzy wyjął batonik i zdarł z niego opakowanie. Wyrzucił batonik, ostrożnie umieścił bryłkę piasku na papierku i zawinął go. Na dłoni pozostała mu czerwona smuga, mieszająca się z krwią płynącą z głębokiego skaleczenia.

- Kiedy posłanie się spaliło - powiedziała Alana - zobaczyłam, że na łóżku leży mumia, na boku, twarzą do Mekki, jak powinien leżeć dobry muzułmanin. To miała na szyi. Henry Lafayette musiał ułożyć tak Al-Dżamę, kiedy starzec umarł, i zostawił mu jego największy skarb. To Klejnot Jerozolimy, prawda? A to była Jego krew, zachowana przez dwa tysiące lat w próżni w kryształach.

- Jego krew? - powtórzył Linc. - Kim jest ten On?

- W tym papierku po batoniku, który trzyma Marc, może być krew Jezusa Chrystusa.

Olbrzymie stalowe wrota śluzy elektrowni pływowej wznosiły się na ponad trzydzieści metrów nad generator. Kiedy elektrownia działała z pełną mocą, wrota można było opuścić ponad dziesięć metrów, wpuszczając wodę przez rury o dużej średnicy do komory turbin dobre trzydzieści metrów pod poziomem morza. Słońce szybko zachodziło, więc wrota były zamknięte, a turbiny pracowały na jałowym biegu, żeby obsługa mogła usunąć nadmiar soli pozostały po parowaniu.

Rakietę z „Oregoną” trafiła odsłonięty mechanizm uruchamiający wrota, rozwalając systemy hydrauliczne i przekładnie działające jak mechaniczne hamulce. Nawet napór wody, który wrota według wyliczeń miały wytrzymać, nie mógł ich unieruchomić i zaczęły się opuszczać pod własnym ciężarem w zagłębienie w sztucznym korycie.

Woda przelała się górą, najpierw wąskimi strugami przerzucanymi przez fale bijące w konstrukcję, a potem litą ścianą, kiedy wrota opuściły się poniżej poziomu morza. Im mniejsza powierzchnia stawiała opór naporowi Morza Śródziemnego, tym szybciej się otwierały. Ściana wody zmieniła się w falę, a potem w rwący prąd, silniejszy niż ten przy najgorszych pęknięciach tamy na Missisipi. Przez otwór runęły miliony ton wody. Rury doprowadzające ją do generatorów były zamknięte, chroniąc delikatne turbiny, więc woda rozlała się niepowstrzymaną falą po pustyni.

Nawet kiedy elektrownia nie działała, otaczał ją trzykilometrowy pas, wyłączony z ruchu morskiego. Była to zasada, którą Max Hanley z zadowoleniem zignorował. Kiedy rakietę trafiła w cel, zapędził właśnie „Syrte” w dokładnie obliczone miejsce. Na głównym ekranie widział, jak morze znika we wrotach po drugiej stronie fregaty, ale, co ważniejsze, czuł siłę prądu w tym, jak jego ukochany statek reagował na stery.

„Syrta” oddaliła się od „Oregony”, kiedy tylko znaleźli się w grawitacyjnym wirze, wsysana we wrota tak szybko, jakby to było jej celem. Max podkreślił dysze kierunkowe i zmniejszył dystans, jednym okiem obserwując monitor kamery skierowanej tam, gdzie miał się pojawić Juan.

- No dalej, kolego, nie mamy czasu.

Prezes nagle wypadł z włazu fregaty, trzymając za rękę sekretarz Katamorę. Max zmniejszył kąt i zamknął dystans, tak że oba statki otarły się o siebie, zdrapując farbę z poszycia. W tym momencie Juan wskoczył na reling „Syrty”. Podniósł Fionę z pokładu i cisnął ją na „Oregonę”, gdzie wpadła w ramiona wciąż skołowanego Mike’a Torna.

Kiedy tylko Juan wylądował na pokładzie, Max odsunął wielki frachtowiec od fregaty i otworzył maksymalnie przepustnice. Libijski okręt także rozpaczliwie usiłował wyrwać się z wiru. Z jego komina buchał dym, a śruby gorączkowo meły wodę - a mimo to z każdą chwilą „Syrta” była coraz bliżej śluzy.

Rewolucyjny napęd „Oregona” dawał mu dziesięciokrotnie większą moc; kiedy w dyszach zadudniła woda, ruch poprzeczny ustał i frachtowiec zaczął się oddalać. Max nawet zmniejszył trochę moc, nie chcąc obciążać swoich wspaniałych silników bardziej niż to konieczne.

Kadłub „Syrty” wyrznął w otwarte wrota śluzy całą burtą. Woda dalej spływała pod kilem, ale połowa nurtu znów została zatrzymana. Okręt znieruchomiał w niebezpiecznej równowadze, stał jęczała pod naporem morza na kadłub, a załoga nie mogła nic zrobić, kiedy statek, który zniweczył jej idealny plan, spokojnie odpływał.

Na pokładzie „Oregona” żołnierze Korporacji, których odrzucił wybuch rakiety, stłoczyli się wokół prezesa i jego gościa. Personel medyczny nie zdążył jeszcze przybiec, ale wyglądało na to, że doktor Huxley i jej ludzie nie będą mieli za dużo do roboty. Rany Juana i sekretarz były powierzchowne.

Juan wyciągnął rękę, żeby oficjalnie przedstawić się Fionie.

- Chciałbym powiedzieć, że to zaszczyt panią, poznać. Nazywam się Cabrillo, Juan Cabrillo. Witamy na pokładzie „Oregona”.

Sekretarz nie chwyciła jego dłoni, lecz mocno go uściśniła, szepcząc mu do ucha podziękowania. Po chwili Cabrillo delikatnie wyswobodził się z jej ramion.

- Wiem, że jest pani kobietą o wielu uzdolnieniach, zastanawiam się, czy ma pani także talent aktorski?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Aktorski? Po tym, co właśnie przeszliśmy, pan pyta o aktorstwo. I to niby mnie odbiło?

Cabrillo objął ją w pasie.

- Proszę się nie martwić, będzie pani grała samą siebie, a przed chwilą przeciwiczyliśmy scenę, którą chcę odtworzyć dla Alego Ghamiego.

- Pan wie?

- Wiem nawet, w jaki sposób zaszantażował Kaddafiego. Jego wnuk był uczestnikiem wypadku samochodowego podczas wakacji w Szwajcarii. Wypadek został sfingowany, a chłopak porwany. Jeśli Kaddafi chciał go jeszcze kiedyś zobaczyć żywego, musiał mianować Ghamiego ministrem spraw zagranicznych, nie wiedząc, że właśnie mianował jednego z najgorszych terrorystów na świecie członkiem rządu i dał mu dostęp do wszystkiego, czego ten potrzebował, żeby spłatać figla.

- A pan? - spytała Fiona. - Jak pan się w tym wszystkim znalazł? Cabrillo ją uściśnił.

- Chyba mam fart.

Epilog

Kadra dowódcza zebrała się na lądowisku helikoptera, kiedy George Adams przywiózł Halego Kasima ze szpitala w Trypolisie. Hux stała z przygotowanym wózkiem; odwróciła się od helikoptera, który zawisł nad rufą „Oregona”.

Płoty dotknęły lądowiska. Gomez wyłączył turbiny. Wszyscy rzucili się do przodu pod obracającymi się łopatami wirnika i zaczęli łomotać w szybę tylnych drzwi, śmiać się i krzyczeć do Halego, który siedział przypięty do fotela, w szpitalnej piżamie naciągniętej luźno na zabandażowaną pierś. Przeszedł pięciogodzinną operację, był tydzień na szpitalnym wikcie, zanim lekarze zgodzili się go wypuścić.

Był ostatnim powracającym do domu po najtrudniejszej chyba jak dotąd misji Korporacji. O świcie spotkali się z dwoma szalupami pełnymi byłych więźniów. Minister spraw zagranicznych wrócił na swoje stanowisko i brał udział w szczycie. Niedługo potem Adams zabrał Lindę i pozostałych z pustyni. Kiedy wyszli z jaskini, znaleźli profesora Emile’a Bumforda związanego i zakneblowanego przy wejściu. Dwaj najemnicy, którzy skąpali się podczas ataku na „Syrte”, zostali wyłowieni ledwo żywi przez ratunkowego zodiaca, z powierzchownymi poparzeniami twarzy i dłoni. Hux i jej zespół połatali ich, opatrzyli ręce Alany i bark Erica i wyciągnęli chyba z pół kilo kamiennych odłamków z grupy, którą Mark ochrzcił Fantastyczną Czwórką.

Alana została na „Oregonie” zaledwie na jedną noc. Spieszyło się jej do Arizony i syna. Niestety, bez żadnych dowodów, że zniszczonym kryształem, nikt nie chciał ryzykować kariery, twierdząc z przekonaniem, że naszyjnik, który znalazła, to faktycznie słynny Klejnot Jerozolimy. Zespół archeologów, który odkopywał rzymską willę, został wysłany do jaskiń, kiedy wypompowano z nich dym. „Saqr” zmienił się w popiół, a w bocznej jaskini zostało tylko złoto. Było ono spełnieniem najbardziej szalonych marzeń każdego numizmatyka. Skarb w większości stanowiły monety z wszystkich państw Europy i wszystkich zakątków imperium osmańskiego, pochodzące sprzed setek lat. Był to łup gromadzony przez pokolenia Al-Dżamów i według nawet najbardziej powściągliwych wycen był wart dziesięć razy więcej niż wynosiła sama wartość złota.

Delegaci porozumień trypolitańskich już ogłosili, że zyski ze sprzedaży tak wielu doskonale zachowanych i różnorodnych monet zostaną przeznaczone na dofinansowanie programu walki z ubóstwem w muzułmańskim świecie. A to był dopiero początek przełomowych reform, które światowi przywódcy przygotowywali.

Pół tuzina pomocnych rąk wyjęło Halego Kasima ze śmigłowca i posadziło na czekającym wózku.

- Nie wyglądasz najgorzej - stwierdził Max, ocierając oczy.
- Ciągle jestem na środkach przeciwbólowych, więc i nie czuję się najgorzej - odparł Hali z szerokim uśmiechem.
- Witaj z powrotem. - Juan uściśnął mu dłoń. - Tym razem nieźle oberwałeś.

- Powiem ci, prezesie, nie wiem, co było gorsze: dostać kulkę czy dać się tak omotać. Agent Mossadu, akurat. Mam nadzieję, że miał bolesną śmierć.

- Nic się nie martw - powiedział Linc. - Postrzał w płuco to jeden z najgorszych sposobów umierania.

Alanie udało się uratować trzy książki. Jedną była Biblia Henry'ego Lafayette'a, którą zostawił swojemu mentorowi, a drugą Koran Sulejmana Al-Dżamy. Trzecią była szczegółowa rozprawa na temat tego, że te dwie wielkie religie mogą i powinny współistnieć, jeśli tylko wszyscy wierni będą mieli dość siły, by przestrzegać moralnych praw przekazanych w świętych tekstach. Autentyczność pism została już potwierdzona, a chociaż niektórzy uparcie nazywali je fałszerstwem i sztuczką Zachodu, inni - wielu, wielu innych - słuchało słów imama, który został piratem, a potem orędownikiem pokoju.

Nikt się nie łudził, a najmniej Juan Cabrillo, że terroryzm się skończy, ale wierzono, że terroryści będą coraz słabsi. Cabrillo nie miał nic przeciwko temu, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że „Oregon” zostanie pocięty na żyłki, a on sam uda się na emeryturę w tropikach.

Wszyscy poszli za Halim, którego wieziono do wnętrza statku, oprócz Maksa i Juana. Ci zostali na rufie, obok irańskiej bandery, pod którą pływali. Wielki frachtowiec zostawiał za sobą kipiący ślad na wodzie - znów ruszyli w drogę.

Max wyjął fajkę i wsadził ją między zęby. Na rufie za mocno wiało, żeby dało się ją zapalić.

- Mam dla ciebie dobre wieści. Oddział komandosów NATO zaatakował nową bazę, którą ludzie Ghamiego budowali w Sudanie. Kiedy ich przywódca został uwięziony, bronili się tylko symbolicznie. W przeciwieństwie do tych w Libii, którzy próbowali zaatakować więzienie, gdzie jest trzymany.

- I...? - ponaglił Juan.

- Wystrzelano ich co do jednego. Zginął strażnik w samobójczym wybuchu, kiedy próbował jednego z nich aresztować. O, hej - zawołał Max, nagle coś sobie przypominając. - Czytałem dziś rano twój raport z tej całej awantury. Mam do ciebie pytanie.

- Wal.

- Na „Syracie”, kiedy wróciłeś, po tym jak sekretarz kazała ci nie zabijać ochroniarza Ghamiego...

- Mansoura.

- Tak, właśnie. Napisałeś, że strzeliłeś mu w kolano. To prawda?

- Oczywiście - odparł Juan, nie odrywając wzroku od horyzontu. - Zasady markiza Queensbury'ego, pamiętasz? Sami sobie narzuciliśmy te ograniczenia. Ale właściwie, kiedy się nad tym zastanowić, mogłem zawrzeć w raporcie więcej szczegółów. Nie wspominałem, że Mansour był pochylony nad jednym ze swoich ludzi i sięgał po jego broń, tak że jego głowa była po drugiej stronie kolana, które przestrzeliłem. Dobry markiz nie pisał chyba nic o przechodzeniu pocisków na wylot.

Max parsknął śmiechem.

- Chyba faktycznie nie. Powiedz, co Hux ci powiedziała tuż przed przylotem Halego?

- Nie jestem pewien, czy chcesz wiedzieć. - W głosie Juana pojawił się dziwny ton. - Wciąż usiłuję to zrozumieć.

- Dawaj, poradzę sobie - powiedział Max.

- Udało się jej przebadać płyn, który wyciekł z klejnotu. Nastąpił już rozkład komórek krwi i było bardzo mało, więc nie może potwierdzić tego, co odkryła. W oficjalnym raporcie napisała

„niejednoznaczne”.

- Ale...?

- To była ludzka krew.

- Mogła należeć do kogokolwiek. Al-Dżama mógł sam zrobić ten naszyjnik i użyć własnej krwi.

- Datowanie radiowęglowe daje rozpiętość od 50 roku p.n.e. do 80 roku n.e. Najdziwniejsze jest to, że znalazła w niej tylko żeńskie DNA.

- To krew kobiety?

- Nie, chromosomy dowodzą, że należała do mężczyzny, tyle że miał sto procent mitochondrialnego DNA, nawet poza mitochondriami, i proszę, nie każ mi tego tłumaczyć. Hux próbowała i tylko mnie od tego rozboleła głowa. Generalnie chodzi o to, że mitochondrialne DNA dostajemy tylko od matek.

Mimo że było ciepło, Max poczuł nagle zimny dreszcz.

- Co to oznacza?

- To oznacza, że matka tego, do kogo należała ta krew, przekazała mu całość jego DNA. Sto procent. Ojciec nie przekazał nic. Zupełnie jakby nie istniał.

- Co ty chcesz powiedzieć?

- Hux powiedziała, że gdyby miała sobie wyobrazić krew pochodzącą od kogoś zrodzonego z niepokalanego poczęcia, tak właśnie by wyglądała.

- Jezu.

Max wyraził zdumienie za pomocą bluźnierstwa, ale Juan i tak mu odpowiedział:

- Na to wygląda.@